

Przez świat

**Informacje turystyczne
z całego świata**

Tom XX

pod redakcją naukową

Andrzeja Urbanika

Macieja Brożyny

Łukasza Godka



**WYDAWNICTWO
UNIwersytetu Rzeszowskiego
RZESZÓW 2016**

Autorzy: Katarzyna Anoszczenko, Krzysztof Batycki, Paweł Burchard, Tomasz Cukiernik, Leszek Czmur, Ewa Flak, Beata Gwóźdź, Rafał Gwóźdź, Jarosław Kociel, Joanna Kusiak, Krzysztof Lisowski, Anna Migdał, Krystyna Olszewska, Wojciech Pelczar, Rafał Robak, Beata Rujner, Adam Stępiński, Tomasz Szymkiewicz, Piotr Wiland, Danuta Wojciechowska

Współpraca redakcyjna

portal internetowy www.travelbit.pl

Recenzował

dr hab. inż. Marian Kowalewski, prof. AWF

Projekt okładki

Andrzej Urbanik

Fotografia na okładce

fot. A. + K. Kobus – TravelPhoto.pl

Przygotowanie do druku

Dorota Koczub

Korekta

Janina Dubiel

ISBN 978-83-903830-0-2 (całość)

ISBN 978-83-7996-342-3 (tom XX)

CIP – Biblioteka Narodowa

© Copyright by Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2016

© Copyright by portal internetowy www.travelbit.pl, Kraków 2016

Autorzy i wydawca tej książki starali się, by jej tekst był rzeczowy i aktualny. Należy zdać sobie sprawę, że podane fakty i dane mogły ulec zmianie. Autorzy i wydawca nie mogą wziąć odpowiedzialności za jakiegokolwiek skutki wynikające z korzystania z podanych w książce informacji. Wydawca nie odpowiada za treść zamieszczonych w tej książce reklam.

WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU RZESZOWSKIEGO

35-959 Rzeszów, ul. prof. S. Pigoń 6, tel. 17 872 13 69, tel./faks 17 872 14 26

e-mail: wydaw@ur.edu.pl; <http://wydawnictwo.ur.edu.pl>

wydanie I, format A5, ark. wyd. 19,0, ark. druk. 14,75, zlec. red. 114/2016

Druk i oprawa: Drukarnia Uniwersytetu Rzeszowskiego

Drodzy Czytelnicy

Książka, która trafia do Waszych rąk, jest niezwykła, niezwykli bowiem są jej autorzy. Na pozór są zwyczajnymi ludźmi, zanurzonymi w szarej codzienności, ale w sercach noszą tęsknotę za dalekimi wożażami, którą zaspokajają w czasie wakacji, przemieniając się w wytrawnych podróżników. Dla nich podróż to sztuka życia, pozbawiona jałowości masowej turystyki. Co więcej, potrafią oni dzielić się swoimi doświadczeniami, a często i bezcennymi informacjami. Z relacji ich podróży powstała ta oto książka, która pozwoli Wam wyruszyć w świat bez niepewności dokąd, jak i za ile. Nie zastępuje ona przewodników, ale je uzupełnia, podpowiada bowiem, jak zrealizować konkretne podróże w ciekawe zakątki świata, zarówno bliskie, jak i dalekie.

Język relacji jest prosty, ale bardzo konkretny, dlatego staraliśmy się zachować specyficzny charakter tej książki, ograniczając korekty redakcyjne do minimum. W tekście zachowano pisownię nazw geograficznych podaną przez autorów.

Tom pierwszy „Przez świat” był swego rodzaju eksperymentem, ponieważ na polskim rynku nie ukazała się dotąd książka tego rodzaju. Jednak powodzenie, jakie osiągnął tom I, przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Książka zniknęła błyskawicznie z księgarni, a w mediach ukazały się znakomite recenzje. Jeszcze lepiej wypadły kolejne tomy. Co jednak najbardziej nas cieszy, otrzymaliśmy ogromną liczbę listów zarówno od podróżników, jak i tych, którzy marzą o dalekich podróżach. Otrzymujemy także kolejne relacje, którymi dzielimy się z Wami. Kiedy książka ta trafi do Was, będziemy pracować nad następnym tomem, do którego współtworzenia serdecznie zapraszamy.

Tradycyjnie zapraszamy na imprezy przez nas organizowane (informacje o nich znajdziecie na kolejnych stronach), a także na naszą stronę www w Internecie.

Życząc ciekawej lektury, mamy nadzieję spotkać Was na globtroterskim szlaku.



Andrzej Urbanik



www.travelbit.pl

To adres internetowy travelbit-u.

Już od 1996 roku zapraszamy wszystkich podróżników-internautów do odwiedzania naszej strony. Znajdziecie tam informacje o nas, o imprezach przez nas organizowanych, wiadomości zebrane przez OSOTT-owiczów, a także informacje o książkach „Przez świat”. W dziale „Relacje z wypraw” zebrano ciekawe sprawozdania z eskapad po całym świecie. Bardzo przydatny jest dział „Imprezy dla podróżników” będący kalendarium najważniejszych imprez podróżniczych i turystycznych w Polsce oraz na świecie. Osobny dział poświęcono najważniejszemu spotkaniu globtroterskiemu w Polsce, jakim jest Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów (OSOTT).

Jednak chyba najcenniejszą możliwością jest nasza Lista dyskusyjna. Jest ona najbardziej dostępnym i najszybszym sposobem wymiany informacji. Jeżeli zdobyłeś ciekawe wiadomości, po prostu prześlij je do Listy dyskusyjnej Travelbit-u. Jeżeli szukasz towarzyszy podróży, napisz o tym do Listy dyskusyjnej Travelbit-u. Jeżeli masz jakieś problemy związane z podróżowaniem, napisz o tym do Listy dyskusyjnej Travelbit-u.

Im więcej będzie nas uczestniczyć w naszej Travelbitowej liście dyskusyjnej, tym łatwiej będzie nam się kontaktować i na bieżąco wymieniać informacje.

W świecie globtroterów

Trudno z całą pewnością ustalić, kiedy w Polsce powstał ruch globtroterski. Najpewniej wszystko zaczęło się w latach siedemdziesiątych w środowisku akademickim, gdy powszechne stało się organizowanie wyjazdów turystycznych, nazwanych wkrótce trampingowymi. Ich uczestnicy organizowali je sami, wymyślając trasę, a wędrowali bez pomocy biur turystycznych.

Na trampingowy szlak wyruszali także coraz śmielej podróżnicy indywidualni, korzystając z oficjalnych przydziałów dewizowych (po wielu zabiegach można było wykupić, po oficjalnym kursie, niższym pięciokrotnie od czarnorynkowego, równowartość kwoty 150 USD). Hasło „Świat za 150 dolarów” stało się modne i z tą magiczną kwotą wędrowali po nim polscy globtroterzy.

W 1976 roku w Krakowie, w studenckim biurze podróży Almatour, Andrzej Urbanik, jeden z głównych organizatorów trampingowych eskapad, stworzył BIT, czyli Bank Informacji Trampingowej. Początkowo był to zwykły skoroszyt, do którego wpinał relacje z podróży własnych i swoich znajomych. Pomysł okazał się znakomity i wkrótce BIT rozrósł się do rozmiarów sporego archiwum, a w roku 1994 przekształcił się w Travel BIT – Centrum Podróżnicze, które działa w sposób niekomercyjny i specjalizuje się w informacji globtroterskiej. Często jednak okazywało się, że w czasie zdobywania informacji konieczny jest bezpośredni kontakt z tymi, którzy wędrowali w rejonie, do którego chcielibyśmy się właśnie udać. Dotarcie do właściwych osób nie zawsze było proste, a często nie gwarantowało także sukcesu. Przekonał się o tym Andrzej Urbanik, kiedy nie udało mu się uzyskać informacji o Indonezji, a jedynym argumentem „życzliwego” informatora było stwierdzenie, że najlepiej jest się uczyć na własnych błędach. Kiedy Andrzej dotarł wraz ze swoim przyjacielem – podróżnikiem Krzysztofem Kmiecikiem do Indonezji, podzielił się z nim pomysłem zorganizowania mitingu globtroterów. Było to na Bali w 1985 roku. Po powrocie do kraju „rozpuścili wici” i w listopadowy wieczór do podkrakowskich Harbutowic zjechało ponad 50 podróżników. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę i odtąd co roku w listopadzie, w różnych miejscach w Polsce, spotykają się na OSOTT (Ogólnopolskie Spotkania Organizatorów Turystyki Trampingowej), czyli głównym mitingu podróżniczym, zarówno polscy, jak i zagraniczni globtroterzy. Ma on formę sympozjum, w czasie którego prezentowane

są przezrocza z całego świata, plakaty fotograficzne oraz omawiane są różne problemy związane z podróżowaniem (najważniejsza jest sesja „Geografia Podróżowania”). W sumie OSOTT to forum wymiany informacji i spotkanie o specyficznej atmosferze, przeznaczone dla doświadczonych podróżników, ale i tych, którzy planują wyruszyć w świat. Warto podkreślić, że impreza ma całkowicie niekomercyjny charakter. Co bardzo cenne – OSOTT-owicze coraz częściej organizują podobne imprezy o charakterze lokalnym lub regionalnym, umożliwiając przekonywanie do podróżowania kolejnych marzycieli.

Ważną rolę od początku istnienia ruchu globtroterskiego w Polsce odgrywały wydawnictwa. W latach 1987–1991 na łamach Ilustrowanego Magazynu Turystycznego „Światowid” ukazywały się rubryki „Vademecum Globtrotera” i „Klub Globtroterów”, redagowane przez Liliannę Olchowik i Andrzeja Urbanika, które były głównym forum wymiany informacji podróżniczej. Od roku 1989 BIT wydawał własne pisma – najpierw „Globtroter”, potem „Travel”. Uczestnicy OSOTT-ów stali się autorami pierwszych globtroterskich przewodników w Polsce. Najpopularniejszy, będący już klasycznym przykładem, to wydany w 1987 roku „Przewodnik Trampingowy: Birma, Tajlandia, Malesja, Singapur, Indonezja” autorstwa Andrzeja Urbanika, z którym powędrowało w ten piękny rejon świata już kilka pokoleń podróżników (ciekawostką jest wydanie plagiatu). Chyba najwięcej zamieszania (w pozytywnym tego słowa znaczeniu) w podróżniczym światku wywołała książka Ediego Pyrka pod zmiennym tytułem „Niech cały świat myśli, że jestem szalony, czyli do Indii za 30 dolarów”. Po jej przeczytaniu wielu dotąd niezdecydowanych marzycieli wyruszyło na globtroterski szlak. Od roku 1996 rozpoczęto wydawanie serii wydawniczej „Przez świat”. Jest ona w pewnym sensie kontynuacją pism „Globtroter” i „Travel”. Książki tej serii spełniają nie tylko zadanie informacyjne, ale także pełnią rolę integracyjną dla środowiska podróżników.

To tyle historii, a teraz odpowiedź – jak trafić do świata globtroterów. Najlepszą okazją jest przyjazd na OSOTT – Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów. Spotkanie przeznaczone jest dla podróżników i tych, którzy marzą o dalekich podróżach.

Od roku 2013 OSOTT rozszerza swoją formułę, jako że organizowany jest wspólnie przez serwis www.travelbit.pl oraz Uniwersytet Rzeszowski. Więcej informacji na stronie www.travelbit.pl/osott.

OSOTT

Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów

**Uniwersytet Rzeszowski
oraz serwis podróżniczy www.travelbit.pl
serdecznie zapraszają na XXXII OSOTT 2016,
który odbędzie się w Rzeszowie w dniach 11–13 listopada 2016.
Do udziału zapraszamy nie tylko doświadczonych podróżników,
ale i tych, którzy marzą o dalekich podróżach.**

Informacje:

www.travelbit.pl/osott

www.ur.edu.pl



Impreza odbędzie się pod honorowym patronatem
Prezydenta Miasta Rzeszowa, Marszałka Województwa Podkarpackiego
oraz Rektora Uniwersytetu Rzeszowskiego



W drugiej połowie XX wieku, na świecie, nastąpił prawdziwy rozkwit globtroterstwa, czyli wolnego podróżowania bez pomocy biur podróży. W czasie, kiedy w demokratycznym świecie wędrowanie po kuli ziemskiej było czymś naturalnym – wręcz stylem życia,

Polska znajdowała się po tej gorszej stronie „żelaznej kurtyny”, jaka podzieliła Europę po drugiej wojnie światowej. Znaleźliśmy się wśród krajów tzw. demokracji ludowej, zwanych inaczej obozem socjalistycznym. Paszport, a przez to możliwość swobodnego podróżowania, stały się dobrami reglamentowanymi i aby zostać globtroterem, należało mieć ogromną determinację. Innymi barierami były finanse (w tamtych czasach, przeciętny zarobek w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wynosił kilkanaście USD miesięcznie), a także wizy obowiązujące do większości krajów.

Z Polski w świat, mimo tych utrudnień, wyruszali rodzimi globtroterzy, chociaż nie było ich zbyt wielu. Przede wszystkim nie afiszowali się swoimi wyjazdami, bo tak było bezpieczniej – władza nie lubiła indywidualistów, a szczególnie takich, którzy chcieli na własnej skórze przekonać się, jak wygląda świat. Na początku lat siedemdziesiątych nastąpiła w Polsce liberalizacja przepisów paszportowo-dewizowych. Mimo to wyjazd za granicę był nadal trudnym przedsięwzięciem pod względem logistycznym. Nie zważając na trudności, z Polski wyruszało jednak coraz więcej indywidualnych podróżników.



Prawdziwy przełom nastąpił w środowisku studenckim. Na początku lat siedemdziesiątych pozwolono studentom organizować tzw. wyjazdy środowiskowe, wkrótce nazwane trampingowymi. Różniły się one od typowych wycieczek, jakie oferowały biura podróży, tym że zarówno trasa, jak i cała organizacja wyjazdu były przygotowane przez uczestników. Pod „przykrywką” studenckiego biura podróży AlmatuR, po świecie wędrowały globtroterskie (w Polsce ruch globtroterski nazwano trampingowym)



grupy polskich studentów. Wędrujących po świecie rodaków było coraz więcej, tak że można było już mówić o tworzeniu się ruchu trampingowego w Polsce. Nieodłącznym jego elementem stały się spotkania połączone z pokazami przeżroczy. Odwiedzali je nie tylko marzący o podróżach, ale także globtroterzy o pewnym doświadczeniu, takie bowiem spotkania dawały możliwość wymiany

doświadczeń. W ten sposób tworzyły się lokalne czy też regionalne grupy osób związanych z trampingiem. Powstało także szereg nieformalnych przedsięwzięć, służących wymianie informacji podróżniczej. Wszystkie miały jednak ograniczony zasięg.

Zasadniczy przełom w tworzeniu trampingowego środowiska nastąpił w roku 1985. Związany z krakowskim Almatorem Andrzej Urbanik wpadł na pomysł zorganizowania ogólnopolskiego spotkania podróżników – trampingowców. Wymyślił także nazwę dla nowej imprezy – OSOTT, czyli Ogólnopolskie Spotkanie Organizatorów Turystyki Trampingowej. Brzmiało to wtedy bardzo poważnie i nikt nie dochodził szczegółów, a było to ważne, gdyż impreza była całkowicie nieformalna. W tamtym czasie grupa „trampingowych liderów” (przede wszystkim kierownicy wypraw trampingowych) liczyła w Polsce nie więcej niż 100–150 osób. Pierwszy OSOTT odbył się w listopadzie 1985 roku w Harbutowicach pod Krakowem i od razu okazał się „strzałem w dziesiątkę”. Kontynuowane w następnych latach OSOTT-y odegrały ogromną rolę w rozwoju ruchu globtroterskiego i umożliwiły stworzenie



globtroterskiej społeczności w Polsce. Dzięki udziałowi mediów (pionierską rolę odegrał Ilustrowany Magazyn Turystyczny „Światowid”) o podróżniczej braci i OSOTT-ach stało się głośno w całym kraju. Pozwoliło to jeszcze bardziej spopularyzować wędrowanie po świecie, a przede wszystkim udowodnić, że może być dostępne dla każdego.

W drugiej połowie lat 90. XX wieku znaleźli się naśladowcy OSOTT-u i w następnych latach powstawać zaczęły i dalej powstają kolejne przedsięwzięcia promujące wędrowanie po świecie, a także integrujące polską społeczność globtroterską. Wszystko



jednak zaczęło się w roku 1985 od OSOTT-u. OSOTT (Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów – takie rozwinięcie dla skrótu OSOTT wybrano aktualnie) ma formę sympozjum, w czasie którego prezentowane są przeznaczone z całego świata, plakaty fotograficzne oraz omawiane są różne problemy związane z podróżowaniem (zdrowie, tanie bilety lotnicze, bezpieczeństwo w podróży



itp.). W sumie OSOTT to forum wymiany informacji i spotkanie o specyficznej atmosferze, przeznaczone zarówno dla doświadczonych podróżników, jak i tych, którzy marzą o dalekich eskapadach. Nie wiadomo do końca, gdzie tkwi fenomen OSOTT-u – być może w niepowtarzalnej formule. Kilkuset uczestników spotkania przez trzy dni jest cały czas ze sobą od rana do późnych godzin nocnych. Można powiedzieć, że cały czas wspólnie wędrują, oglądając pokazy multi-

medialne. Tworzą się grupy wyjeżdżające razem na wyprawy, nawiązują przyjaźnie, a zdarza się, że i miłości (jest już kilkanaście OSOTT-owych małżeństw).

Warto zwrócić uwagę, że organizatorzy większości spotkań globtroterskich zapraszają tzw. gwiazdy, które mają błyszczeć dla innych uczestników. Na OSOTT nie ma gwiazd. Są tam po prostu ci, którzy wzniesli się ponad poziom zwykłych zjadaczy chleba, wykazali się fantazją i wyruszyli w świat. Oczywiście, na OSOTT przyjeżdżają także osoby znane z mediów, ale zachowują się jak wszyscy uczestnicy. I to nadaje wspianą atmosferę tej imprezie. Po prostu OSOTT wyłamuje się z często powtarzanego schematu festiwalu podróżniczych, gdzie jest grupa prezenterów i widzowie. W przypadku OSOTT wszyscy są na równych prawach. Jest jeszcze jedna sprawa. Na OSOTT nie są organizowane konkursy, oceniające, kto dojechał dalej czy też w bardziej ekstremalnych warunkach (były takie pomysły, ale je odrzucono) i przez to nie ma atmosfery niezdrowej konkurencji.

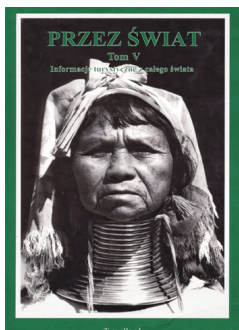
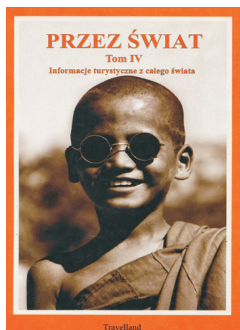
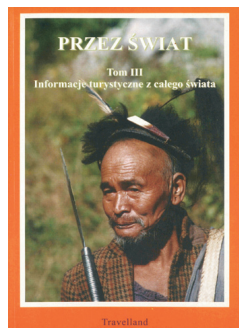
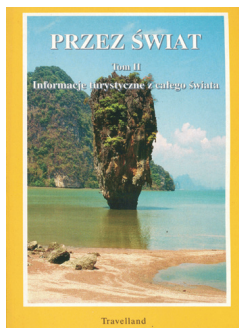
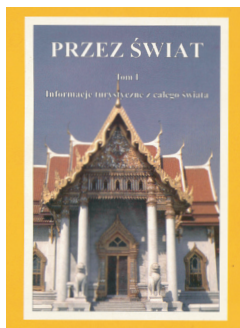
OSOTT przez wiele lat był głównym źródłem informacji dla polskich biur podróży. OSOTT-owicze bowiem przecierali szlaki, odkrywając dla polskiej turystyki kolejne regiony świata. Wielu uczestników spotkań, oprócz trampingowego podróżowania, pilotuje grupy, czy nawet są właścicielami agencji turystycznych. W latach 80. i 90. XX wieku na OSOTT przyjeżdżali przedstawiciele klubów globtroterskich z Wielkiej Brytanii, Niemiec, Holandii, Francji i Austrii, rozszerzając naszą wiedzę o świecie, dotyczącą tych miejsc, do których wtedy Polakom było trudno dotrzeć.

Swego rodzaju „streszczeniem” każdego OSOTT-u jest kolejny tom książki „Przez świat” (od roku 2013 wydawana przez Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego), składający się z kilkudziesięciu relacji z wyjazdów do najciekawszych zakątków świata. Autorami są w większości OSOTT-owicze, ale mogą być nimi także wszyscy, którzy coś widzieli, przeżyli i potrafią gromadzić użyteczne informacje. Każdy OSOTT trwa trzy dni, a potem... a potem funkcjonuje jako Centrala Polskich Globtroterów. Ten jeden z najbardziej popularnych w Polsce globtroterskich serwisów internetowych powstał w roku 1996 jako kontynuacja Banku Informacji Trampingowej, założonego w roku 1976. Dzięki niemu zarówno OSOTT-owicze, jak i wszyscy polscy globtroterzy mogą być cały czas ze sobą, nawet kiedy znajdują się w najdalszym zakątku świata.

Twórcą OSOTT-u (1985), Travelbit-u (1996) i wydawniczej serii „Przez świat” (1996) jest Andrzej Urbanik, pochodzący z Rzeszowa podróżnik, a z zawodu lekarz. Oprócz tego, że sam odwiedził ponad 100 krajów na całym świecie, jest pionierem w tworzeniu globtroterskiej społeczności w Polsce. Jest autorem pierwszych polskich – poradnika (1979), przewodnika (1987) i pisma (1989) dla globtroterów. Stworzył pierwszy polski serwis globtroterski (1976) – początkowo korespondencyjny, od 1996 internetowy. Zorganizował także ponad 100 trampingowych wypraw dla innych. Uważany za guru polskich globtroterów, zyskał przydomek Tourbanik. Otrzymał Nagrodę Specjalną Kolosa 2005 – „za pionierską działalność dla stworzenia polskiego ruchu globtroterskiego i wieloletnią pomoc młodym ludziom w spełnianiu ich podróżniczych pragnień”.

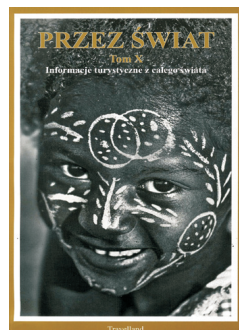
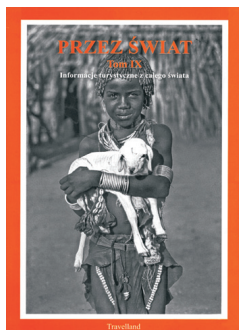
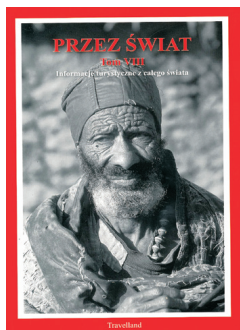
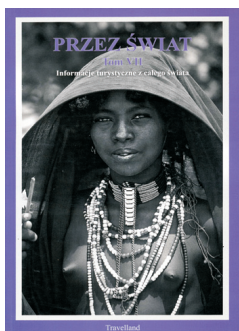
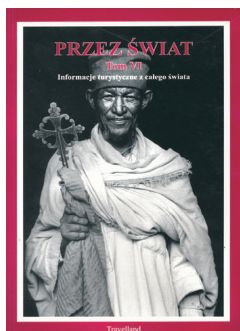
Przez cały czas OSOTT był realizowany – w różnych miastach w Polsce (najdłużej w Szczyrku) – przez Andrzeja Urbanika z niewielką grupą przyjaciół oraz w oparciu o serwis www.travelbit.pl. Od roku 2013 impreza została przeniesiona do Rzeszowa, a do Travelbit-u dołączyli Uniwersytet Rzeszowski (główne osoby to Maciek Brożyna i Łukasz Godek z Wydziału Wychowania Fizycznego) oraz Miasto Rzeszów.

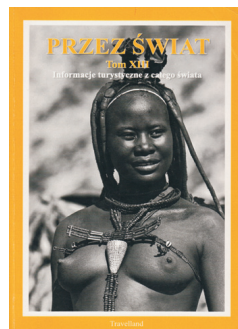
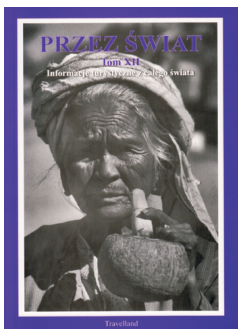
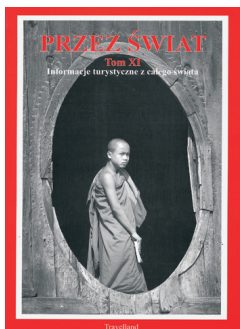




Przez Świat – Informacje turystyczne z całego świata to unikatowa seria wydawnicza. Każdy tom, wydawany co roku, składa się z kilkudziesięciu opisów najbardziej atrakcyjnych regionów świata, od całkiem nam bliskich po bardzo dalekie.

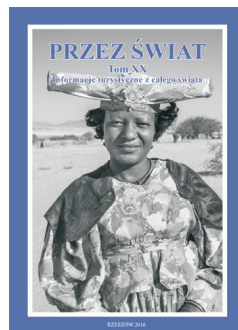
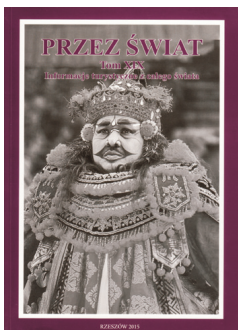
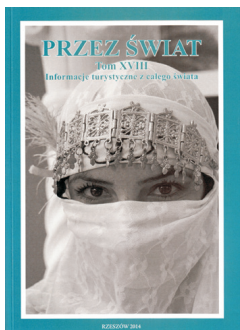
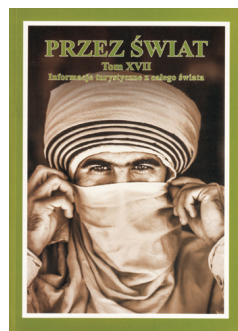
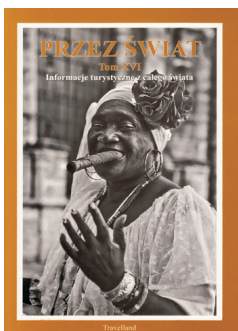
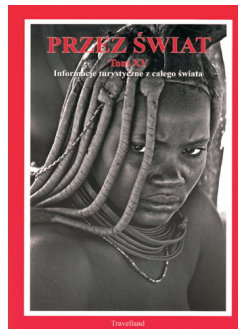
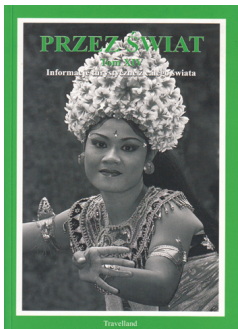
Opisy zawierają przede wszystkim praktyczne informacje pozwalające po przeczytaniu wyruszyć w podróż nawet globtroterskiemu żółtodziobowi. Autorami są polscy podróżnicy, a pomysłodawcą przedsięwzię-





cia – twórca globtroter-
skiej społeczności w Pol-
sce – Andrzej Urbanik.

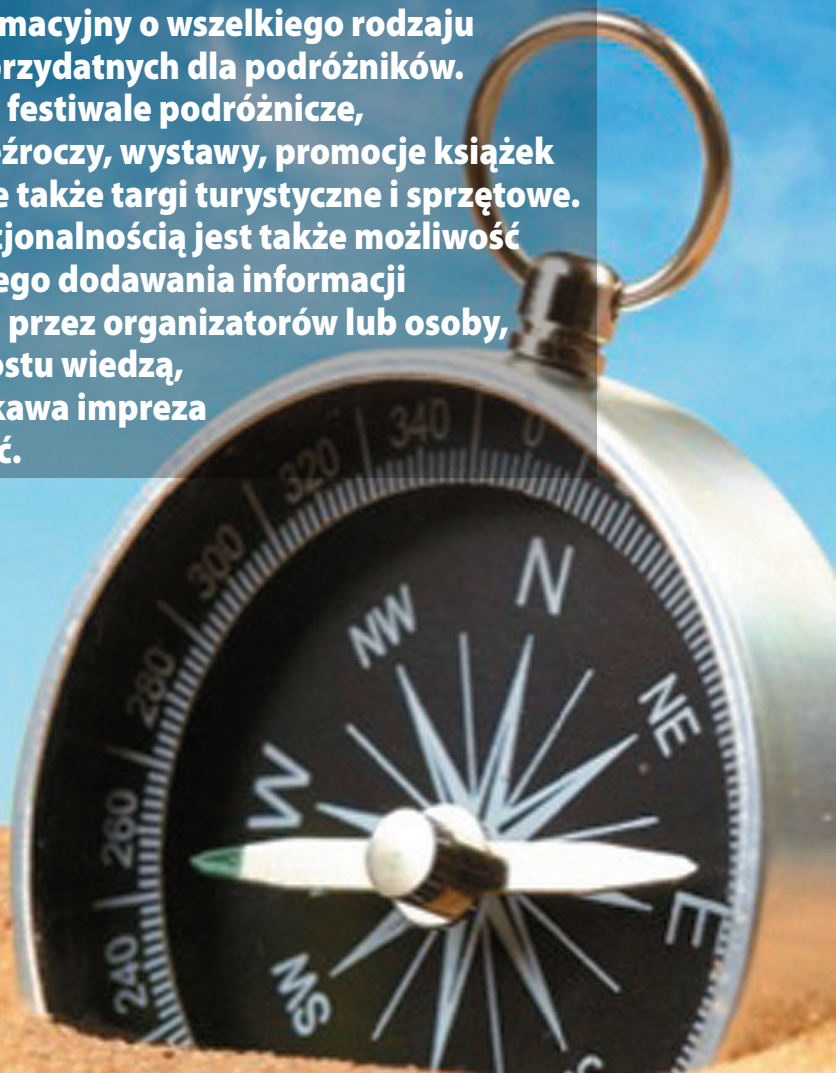
Książka jest znakomi-
tym uzupełnieniem prze-
wodników turystycznych.
Przeznaczona jest zarów-
no dla doświadczonych
podróżników, jak i tych,
którzy marzą o dalekich
eskapadach. Od kilku lat
wydawana jest przez Wy-
dawnictwo Uniwersyte-
tu Rzeszowskiego, a re-
daktorami kolejnych to-
mów są Maciek Brożyna,
Łukasz Godek i Andrzej
Urbanik. W roku 2016
ukazał się już XX tom.





imprezy-dla-podroznikow.pl

Serwis informacyjny o wszelkiego rodzaju imprezach przydatnych dla podróżników. Mogą to być festiwale podróżnicze, pokazy przeźroczy, wystawy, promocje książek i sprzętu, ale także targi turystyczne i sprzętowe. Cenną funkcjonalnością jest także możliwość samodzielnego dodawania informacji o imprezach przez organizatorów lub osoby, które po prostu wiedzą, że jakaś ciekawa impreza ma się odbyć.





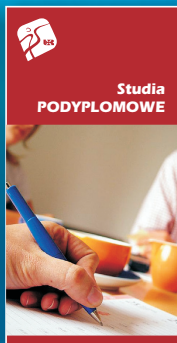
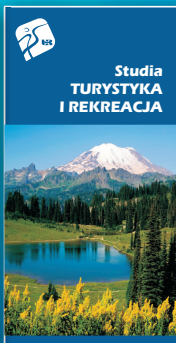
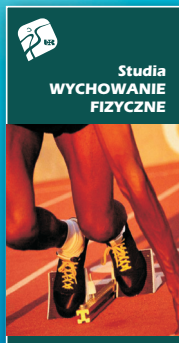


Wydział Wychowania Fizycznego

Uniwersytet Rzeszowski

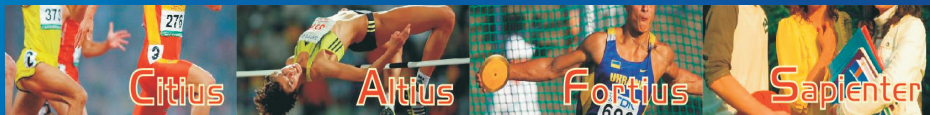
35-959 Rzeszów, ul. Towarnickiego 3, tel. 17 872 186 1

<http://wf.univ.rzeszow.pl>



W ofercie edukacyjnej:

- * studia licencjackie i uzupełniające
- * tryb stacjonarny i niestacjonarny
- * studia w jęz. angielskim
- * letnie i zimowe obozy programowe
- * kursy doskonalące
- * zajęcia w sekcjach sportowych
- * praktyki i staże w krajach Unii Europejskiej
- * studenckie koła naukowe



**Absolwencie, czy znalazłeś już swój wymarzony kierunek?
Zapraszamy na Wydział Wychowania Fizycznego!**

Konkurs na relację z wypraw

Uniwersytet Rzeszowski oraz Travelbit zapraszają do przesyłania relacji z podróży. Zamieszczone będą na stronie www.travelbit.pl w dziale „Relacje z wypraw”. Mogą one mieć dowolny układ, jednak proponujemy, aby zamieszczać w nich jak najwięcej informacji praktycznych – takie relacje są najchętniej czytane i oceniane najwyżej. Autorzy najlepszych relacji będą nagradzani książkami z serii „Przez świat”.

Mamy także przyjemność poinformować, że jeżeli nadesłane relacje spełnią warunki regulaminu (patrz poniżej), będą automatycznie brały udział w konkursie z nagrodami, a najlepsze z nich znajdą się w kolejnym tomie książki „Przez świat”. Za nadesłane, a także opublikowane relacje nie są wypłacane honoraria – autorzy biorą udział w corocznym konkursie.

Konkurs na relację do tomu XXI książki „Przez świat”

Każdy uczestnik może nadesłać dowolną liczbę sprawozdań/relacji z podróży odbytych w latach 2016–2017. Termin nadsyłania prac – na adres mailowy **travelbit@travelbit.pl** – upływa w dniu 20 lutego 2017. Relacje będą oceniane pod kątem wartości praktycznych informacji, czyli na ile po ich lekturze będzie można zrealizować taką samą podróż.

Zaleca się, aby maksymalna objętość dziennika/sprawozdania wynosiła 12 stron A-4 (12 stron po 1800 znaków); zwięzłość mile widziana. Prosimy także autorów, aby relacje były pisane w tym samym czasie (teraźniejszym lub przeszłym), a także aby nie zamieszczać tabel. Jako wyróżnień tekstu prosimy nie używać WERSALIKÓW, wystarczy **Bold**.

Preferowany układ:

Przejazd – na trasie – za ile – ile trwał – jaki środek komunikacji – ew. firma – uwagi,

Noclegi – nazwa hotelu – adres – cena – uwagi,

Zwiedzanie – nazwy obiektów – lokalizacja – dojazd – ceny wstępów – uwagi,

Dodatkowo – termin odbytej podróży, kursy walut (najlepiej w stosunku do USD lub EUR), ceny żywności oraz inne podstawowe, ważne informacje (np. szczepienia, wizy...). Najlepiej jeżeli te informacje będą podawane w układzie opis podróży dzień po dniu. Jeżeli jednak uznacie, że opracowana przez Was inna forma będzie lepsza – zaproponujcie własny układ. Prosimy o niezamieszczanie informacji opisowych i historycznych, jakie można znaleźć w przewodnikach (chyba że są to nieznane fakty albo są na tyle ważne, że trzeba o nich napisać).

Najlepsze prace zamieścimy w kolejnym tomie książki „Przez świat”. Przewidujemy umieszczenie prac na stronie **www.travelbit.pl**, a także współpracujących z nami portali (jeżeli uczestnik konkursu nie zgłosi w tej sprawie zastrzeżeń). Za nadesłane, a także opublikowane relacje nie są wypłacane honoraria – autorzy biorą udział w konkursie.

Z naszej strony nie czynimy przeszkód, aby teksty zamieszczone w książce „Przez świat” były później publikowane w innych mediach.

Krzysztof Batycki
Anna Migdał

Dania – dziwny kraj... czyli rowerami wokół Jutlandii



Termin: 18 czerwca – 7 lipca 2014

Uczestnicy: 2 osoby

Pokonawszy w 2013 r. kajakiem Bałtyk w poprzek, w tym roku przesiedliśmy się na rowery. Naszym celem było objeżdżenie zgodnie z ruchem wskazówek zegara wybrzeży Półwyspu Jutlandzkiego, od granicy duńsko-niemieckiej nad Morzem Północnym, do jej drugiego, wschodniego krańca – nad Bałtykiem. Mieliśmy na tę wyprawę zaplanowane 3 tygodnie.

Charakter całej podróży był całkowicie odmienny od tej kajakowej sprzed roku, jednak obie miały jedną, ważną, wspólną cechę – odbyły się w czasie białych nocy. Występują one pomiędzy 55 równoleżnikiem a kołem podbiegunowym, w czerwcu i lipcu (za kołem podbiegunowym jest to już dzień polarny). Podczas ich trwania słońce chowa się poniżej horyzontu, jednak czyni to około północy i – w zależności od momentu lata oraz szerokości geograficznej – na nie dłużej niż 4 godziny. Sprawia to, że zmierzch przechodzi w świt i nie następuje okres całkowitych ciemności.

RELACJA Z PODRÓŻY

18 czerwca. Z zapakowanymi do samochodu rowerami wyruszyliśmy z Radomia, docierając autostradą A2 do Rzepina przy granicy z Niemcami. Tam przenocowaliśmy w hotelu i nazajutrz ruszyliśmy w dalszą drogę.

19 czerwca. Pokonaliśmy autostradami Niemcy, docierając do Skaerbaek – niewielkiego, duńskiego miasteczka położonego nieopodal granicy z Niemcami, blisko Morza Północnego. Tu przenocowaliśmy na kempingu. Jego właściciel okazał się być bardzo życzliwym i pozwolił nam nieodpłatnie pozostawić samochód na swojej posesji, koło stodoły, na całe trzy tygodnie.

20 czerwca. Wyładowaliśmy z wnętrza samochodu nasze rowery, zapakowaliśmy na nie cały niezbędny ekwipunek podróżniczy i ruszyliśmy w nadmorską podróż.

Pierwszym miastem, które napotkaliśmy na naszej drodze, było Ribe. Urokliwe miasteczko, ze średniowiecznym Starym Miastem, z krętymi, wąskimi uliczkami oraz malowniczymi parterowymi i piętrowymi kamieniczkami. Miejsce kameralne, senne, pełne prowincjonalnego uroku. Ribe rozciąga się wzdłuż rzeki o tej samej nazwie, której brzegi wykorzystywane są jako port jachtowy.

Prawdziwym wyzwaniem okazało się znalezienie miejsca na nocleg. Na wysokości wspomnianego miasta, na długości dziesiątek kilometrów, wzdłuż morza rozciągał

się potężny wał ziemny, mający chronić okoliczne pola przed zalewaniem przez słoną wodę. Jechaliśmy tak i jechaliśmy kilometrami, polną drogą biegnącą u stóp owego wału i gdzie okiem nie sięgnąć – były tylko pola i pola. Żadnego lasu, zagajnika czy choćby większej kępy krzewów, w której byłoby można ukryć namiot. Wreszcie, szczęśliwie, udało się nam znaleźć kilka krzaczków, które, choć nie zasłaniały nas w całości, to dawały złudne poczucie, że nie jesteśmy wyeksponowani na widok z odległości kilkunastu kilometrów (w odróżnieniu od Finlandii, Szwecji i Norwegii, biwakowanie na dziko w Danii jest zabronione). Dania – dziwny kraj...

21 czerwca. Tego dnia zwiedziliśmy Esbjerg – miasto, w którym pizza jest niepodzielna. Gdy w restauracji chcieliśmy zamówić jedną pizzę dla nas dwojga, kelnerka oznajmiła nam, że „pizzy nie dzielą” i skoro jest nas dwoje, to musimy zamówić dwie pizze. Ponieważ byliśmy już po obiedzie i w restauracji bardziej chcieliśmy się zagrzać po wietrznym dniu spędzonym na rowerach niż najeść, więc udało się nam utargować, by drugim daniem nie była duża pizza, lecz zupa. Ale to nie był koniec. Obowiązkowo musieliśmy zamówić jeszcze dwa napoje do posiłku. Dania – dziwny kraj...

Samo miasto miało zgoła inny charakter niż Ribe. Zabudowa pochodziła z przełomu XIX i XX w., była dość okazała, ulice w większości szerokie i proste. Miejscowość też ładna, jednak nie miała aż tyle romantyzmu co poprzednie miasteczko.

Nieopodal miasta, nad samym brzegiem zatoki, znaleźliśmy bezpłatne miejsce kempingowe. Posiadało ono przyszyżoną trawę, miejsce na ognisko, kontener na śmieci, piaszczystą plażę. Jednak jego największą atrakcją były sanitariaty: ubikacja z bieżącą (choć zimną) wodą i zamontowany na zewnątrz prysznic. Wszystko, co potrzeba zmęczonemu podróżnikowi.

22 czerwca. Około południa wjechaliśmy na bezkresne wydmy, ciągnące się, z przerwami, aż do Skagerraku. Porośnięte skąpą roślinnością, tworzyły niesamowity krajobraz, niczym najprawdziwszej prerii z amerykańskiego westernu. Pośród nich wznosiły się – zwykle w koloniach, z rzadka samotne – setki drewnianych domków letniskowych, dodających uroku całemu krajobrazowi.

Na biwak znaleźliśmy niewielki zagajnik na skraju osady letniskowej.

23 czerwca. Mijając przez cały dzień kolejne wydmy i domki letniskowe, wieczorem dotarliśmy do latarni morskiej Hvide Sande, u stóp której w niewielkim zagajniku spędziliśmy noc.

24 czerwca. Nad ranem zwiedziliśmy latarnię, z której szczytu rozciągał się wspaniały widok na morze, okoliczne wydmy i domki letniskowe, po czym ruszyliśmy dalej, na północ. Tego wieczora dotarliśmy do kempingu Fjand. Wreszcie mogliśmy skorzystać z ciepłej wody, zrobić pranie i naładować baterie.

25 czerwca. Około południa dotarliśmy do Thorsminde, gdzie zwiedziliśmy muzeum brytyjskiego galeonu Święty Jerzy. Żaglowiec ów rozbił się o skały w Boże Narodzenie 1811 r., zaledwie kilkaset metrów od wybrzeża Jutlandii. W katastrofie zginęło 1400 członków załogi, ocalało zaledwie kilkunastu. Okręt do dziś spoczywa, zagrzebany w piasku, w miejscu zatonięcia. Podczas sztormów morze od czasu do czasu wyrzuca na plażę jego szczątki i elementy wyposażenia, które zbierane przez okolicznych mieszkańców i wczasowiczów stale powiększają kolekcję Muzeum.

Przed zachodem słońca zdążyliśmy jeszcze dotrzeć do ceglastoczerwonej latarni morskiej Bovbjerg, również udostępnionej zwiedzającym.

Noc spędziliśmy na mierzei nad jeziorem Ferring, przytuliwszy nasz namiot do samotnej szopy rybackiej.

26 czerwca. Wczesnym popołudniem dojechaliśmy do miasteczka Thyboron, na którym tak naprawdę kończy się Półwysep Jutlandzki. Stąd, na wschód, ciągnie się wąska cieśnina, która oddziela północną część lądu od kontynentu, czyniąc ją wyspą. Promem przeprawiliśmy się na drugi brzeg, „zdobyliśmy” latarnię morską Lodbjerg i nieco na północ rozbiliśmy obozowisko na leśnym polu biwakowym.

27 czerwca. Podążając dalej na północ, przed wieczorem dotarliśmy do Hanstholm. Miasto i jego okolice były jednym z największych skupisk niemieckich fortyfikacji Wału Atlantyckiego. Spomiędzy okolicznych wydm wyrastają dziesiątki świetnie zachowanych, betonowych bunkrów. Większość z nich dostępna jest dla zwiedzających zarówno z zewnątrz, jak i od środka.

W mieście znajduje się Muzeum Wału Atlantyckiego. Zgromadzone są w nim liczne eksponaty pochodzące z czasów drugiej wojny światowej, zwłaszcza broń i inne elementy wyposażenia umocnień i ich załóg. Wnętrza kilku bunkrów zostały odtworzone, toteż można zobaczyć, jak pierwotnie wyglądały magazyny, windy czy pomieszczenia socjalne dla żołnierzy. Zwiedzających pomiędzy bunkrami przewozi kolejka wąskotorowa, która służyła transportowaniu amunicji.

Noc spędziliśmy na kempingu po wschodniej części miasta.

28 czerwca. Skończywszy późnym popołudniem zwiedzanie Muzeum, oddaliliśmy się nieco na wschód, spędzając noc w lesie.

29 czerwca. Podążając dalej na wschód, wzdłuż wybrzeża Skagerraku dotarliśmy do wioski Thorup – jedynej osady rybackiej, jaką napotkaliśmy podczas naszej dwutygodniowej podróży. Na złocistej, piaszczystej plaży, nieopodal trawiastych wydm, stało kilkanaście kolorowych kutrów rybackich, tworząc na tle błękitnego morza i nieba iście malowniczy krajobraz. Uroku miejscowości dodawała także metalowa, wysoka na blisko dwa metry, rzeźba przedstawiająca kraba.

Tego wieczora, podążając za oznaczeniami ścieżki rowerowej, dotarliśmy na nietypową autostradę, która przebiegała po plaży. Na trzydziestokilometrowym odcinku wybrzeża piasek był tak twardy i stabilny, że bez problemu poruszały się po nim samochody osobowe, rowery, a nawet samochody kempingowe! Na plażę prowadziły liczne, asfaltowe drogi, kończące się w piasku ograniczeniami prędkości do 30 km/godz. Niesprawiająca żadnych trudności jazda rowerem po piasku, w odległości kilku metrów od wód Morza Północnego, będąc co chwila mijanym przez samochody, była przeżyciem tak nietypowym, że aż trudnym do opisania. Dania – dziwny kraj...

Gdy słońce zbliżało się już do horyzontu, wdrapaliśmy się wraz z rowerami pomiędzy wydmy, gdzie osłonięci od wiatru spędziliśmy noc pod gołym niebem.

30 czerwca. Wstaliśmy wczesnym rankiem, gdyż obudziło nas słońce, silnie rozgrzewające nasze śpiwory. Niebawem ruszyliśmy dalej, w kierunku Skagen.

Tuż przy wspomnianej swojej „plażowej autostradzie” co chwila wyrastały poniemieckie bunkry.

Po drodze mineliśmy kilka większych miasteczek o charakterze wczasowym oraz ruiny malowniczej latarni morskiej w Rubjerg. Wzniesiona na przełomie XIX i XX stulecia na wysokim klifie stała się ofiarą ekspansji wydmy, która zaczęła ją stopniowo pochłaniać. Pod powierzchnią piasku zniknęły już wszystkie budynki otaczające latarnię oraz jej podstawa. Ponieważ wydma przesuwa się w głąb lądu, więc latarnia stale zbliża się do urwiska. Według szacunków, ok. 2023 r. runie do morza. Dziś wygląda ona iście kuriozalnie, gdy patrzy się od strony lądu – jakby znajdowała się pośrodku pustyni, gdyż wydma zasłania morze. Dania – dziwny kraj...

Noc spędziliśmy na leśnym polu biwakowym nieopodal Skagen.

1 lipca. Wreszcie dotarliśmy do miasteczka Skagen i położonego tuż za nim przylądka Grenen – najdalej wysuniętego na północ skrawka Danii. To właśnie tu wody Morza Północnego spotykają się z wodami Bałtyku. Na długim, piaszczystym, malowniczym cyplu nie mogło oczywiście zabraknąć latarni morskiej. Zachowały się również poniemieckie bunkry.

Noc spędziliśmy na kempingu nad Kattegatem, 18 km na południe od Grenen.

Niestety, tego dnia okazało się, że z przyczyn niezależnych od nas musimy wrócić do domu tydzień wcześniej niż planowaliśmy. Tym sposobem straciliśmy szansę zamknięcia pętli wokół Jutlandii i dotarcia w ramach tej podróży z powrotem, wzdłuż Bałtyku, do granicy duńsko-niemieckiej.

2–3 lipca. Zwiedziliśmy jeszcze kilka nadmorskich miasteczek, m.in. Frederikshavn, po czym dotarliśmy do Aalborga. Stąd pociągiem wróciliśmy do Skaerbaek. Noc spędziliśmy na tym samym kempingu, od którego rozpoczęliśmy naszą podróż.

4 lipca. Zapakowawszy rowery do samochodu, udaliśmy się nim do Aarhus. Tam zwiedziliśmy wspaniały skansen, w którym zgromadzono przeszło setkę urokliwych, zabytkowych budynków, w większości drewnianych. Całość tworzy jakby krainę wyjętą prosto z bajki.

Wieczorem dotarliśmy do Ebeltoft, gdzie na miejskim kempingu spędziliśmy dwie kolejne noce.

5 lipca. Ostatni dzień naszej podróży po Danii poświęciliśmy żaglowcowi „Jylland” (pol. „Jutlandia”), znajdującemu się w mieście Ebeltoft. Zbudowana w połowie XIX stulecia, stumetrowej długości jednostka była jedną z ostatnich drewnianych fregat w duńskiej flocie. Zasłużona w bitwie pod Helgolandem urosła do rangi symbolu narodowego Duńczyków. Przechodząc różne koleje losu, znalazła wreszcie swe ostatnie miejsce w suchym doku, specjalnie przystosowanym do jej stałego eksponowania. Dostępna dla zwiedzających jest niemal w stu procentach – od stępki aż po górny pokład. Jej zrekonstruowane wnętrza wyglądają dokładnie tak, jak w czasach służby w marynarce wojennej w XIX w.

Obok okrętu wznosi się budynek Muzeum, którego ekspozycja opowiada o jego historii. Zgromadzono tu również liczne eksponaty związane ze statkiem i wspomnianą bitwą pod Helgolandem.

6–7 lipca. Przez Niemcy wróciliśmy do domu.

W czasie naszej dwutygodniowej podróży spotkaliśmy wiele różnych zwierząt – zarówno dzikich, jak i udomowionych, między innymi sarny, zające, jeże, bydło rogate, wielbłąda. Zwiedziliśmy dziesiątki zabytkowych kościołów, spośród których wiele

pochodziło z epoki średniowiecza. Obowiązkowym elementem wyposażenia każdego skandynawskiego kościoła jest model statku wotywnego, podwieszony pod sufitem nawy głównej. Przejechaliśmy rowerami przez kilka poligonów, które ciągnęły się kilometrami wzdłuż wybrzeża Morza Północnego. Zamykane są one jedynie na okres ćwiczeń wojskowych.

Latem w Danii jest dość ciepło, jednak upały należą raczej do rzadkości, szczególnie w bezpośrednim sąsiedztwie morza. Niewątpliwą wadą tego kraju, z punktu widzenia rowerzysty, jest bardzo wietrzny klimat. Wynika on z jednej strony z położenia geograficznego, z drugiej zaś – z charakteru niskiej roślinności porastającej wydmy.

Pod wieloma względami Dania znacznie różni się od Szwecji, Norwegii i Finlandii. Krajobraz antropogeny bardziej przypomina Niemcy i południową Szwecję. Tym, co uderza najbardziej, to całkowity brak charakterystycznych dla Skandynawii drewnianych domów, malowanych na czerwono. Dominuje zabudowa murowana.

Dania jest członkiem Unii Europejskiej i sygnatariuszem traktatu z Schengen. Przy wjeździe nie są rutynowo wykonywane kontrole graniczne. Do podróżowania wystarczy dowód osobisty. Podróżnych obejmuje ubezpieczenie w polskim ZUS. Wskazane jest posiadanie przy sobie Europejskiej Karty Ubezpieczenia Zdrowotnego (EKUZ).

Dania jest krajem drogim. Choć obowiązującą walutą jest korona duńska (DKK), to niemal wszędzie honorowane jest euro, którym na co dzień się posługiwaliśmy. Problem w mniejszych miejscowościach stanowi wymiana waluty. Choć dokonać jej można w niemal każdym banku, to pobierają one opłatę manipulacyjną rzędu 10 euro za każdą transakcję. Dużo ekonomiczniejszą metodą pozyskania na miejscu lokalnej waluty jest wypłacenie jej w bankomacie. Z kolei będąc gościem kempingu, można skorzystać z życzliwości gospodarza, który wymiany waluty może dokonać po oficjalnym kursie, nie pobierając żadnej prowizji.

Zjedzenie obiadu w jakimkolwiek lokalu gastronomicznym to wydatek przynajmniej kilkunastu euro. Ceny na kempingach oscylują w okolicach 20-30 euro od osoby za noc. Najtańsze (bo bezpłatne) noclegi oferują leśne kempingi, o których dobry stan dbają lokalne władze. Wyposażone są one zwykle w wychodek, miejsce na ognisko, siekiere, płaski, przystrzyżony trawnik, kontener na śmieci. Nierzadko wznosi się na nich prymitywna chatka, nieposiadająca drzwi ani okien, jednak umożliwiająca nocleg i dająca schronienie przed deszczem i wiatrem. Czasami dostępna jest bieżąca woda lub grill.

Porozumienie się w języku angielskim nie stanowi w Danii większego problemu. Przy granicy z Niemcami mieszka dużo ludności niemieckojęzycznej.

Beata Rujner
Tomasz Cukiernik

Rumunia i Mołdawia latem



Termin: 13 lipca – 3 sierpnia 2016 roku

W dniach od 13 lipca do 3 sierpnia 2016 roku odbyliśmy dwuosobową podróż oplem astrą IV do Rumunii i Mołdawii. Na początek kilka statystyk:

- 22 dni
- przejechane 3640 km
- średnie spalanie 6,3 l/100 km
- całkowity koszt podróży – 5100 zł/2 osoby

Trasa: Czeladź – przejazd przez Słowację i Węgry do Baile Felix – Jaskinia Niedźwiedzia w Chișcău – Baile Felix – góry Padiș – Deva – Hunedoara – Ulpia Traiana – Densus – góry Retezat – Sarmizegetusa Regia – Costești – Călnic – Sybin – Balea Lac – góry Fogaraskie – Corbeni – Poenari – Curtea de Argeș – Noaptes – granica rumuńsko-mołdawska w Oancea – Kaguł – Komrat – Kizyniów – Milestii Mici – Tyraspol (Naddniestrze) – Kiszyniów – Stary Orgiejów – Tipova – Saharna – Rezina – Rybnica (Naddniestrze) – Soroki – Bielce – Edinet – granica mołdawsko-ukraińska w Briceni – Chocim – Kamieniec Podolski – Czeladź

RELACJA Z PODRÓŻY

13 lipca. Wyjazd o godz. 6 rano. Przejazd lokalnymi drogami z ominięciem autostrad, których i tak jest niewiele w tym regionie, aby nie kupować drogich winietek. Droga jest wtedy krótsza i tańsza, ale prawdopodobnie czasowo dłuższa. Z Czeladzi do Baile Felix jest prawie 590 km, ok. 12–13 godzin jazdy. Po drodze obiad na Węgrzech kosztował 5900 HUF/2 os.

Zakwaterowanie w Baile Felix zarezerwowane przez bloking. com. Pensjonat Smarald kosztował 20 EUR (90 RON)/2 os. Duży pokój z łazienką i balkonem oraz Wi-Fi + dostęp do kuchni z jadalnią, czysto.

14 lipca. Przejazd do wsi Chișcău, gdzie znajduje się Jaskinia Niedźwiedzia. Bilet wstępu – 20 RON/os. Zwiedzanie z przewodnikiem w języku rumuńskim. Obiad pod jaskinią – 38 RON/2 os. Powrót do Baile Felix przez wioski, bo droga główna jest w remoncie generalnym i co chwilę mijanki z sygnalizacją świetlną. Jednak przez wioski droga jest jeszcze gorsza. Trzeba mieć dobrą mapę i na dłuższym odcinku brak asfaltu.

Wieczorem właściciele pensjonatu zaprosili nas na palinkę i omówili możliwości trekkingu w górach Padiș.

15 lipca. Po śniadaniu przejazd do Baile Felix, gdyż wzdłuż drogi nie ma chodnika, żeby przejść 3 km pieszo. Spacer w parku: stawy, żółwie, lilie wodne. Langos – 3 RON, lody w restauracji w pucharku – 8 RON, obiad dnia w restauracji (zupa z flaków i mięso z rożna z frytkami) – 14 RON. Brak kantorów. Wymiana 200 EUR = 880 RON w hotelu Prezydent.

16 lipca. Mieliśmy wstać o godz. 6, żeby jechać w góry na płaskowyż Padiș, jednak całą noc i rano padał deszcz, więc pospaliśmy dłużej. Wyjazd o godz. 10.30. Ponad 2 godziny jazdy do Padiș – 90 km. W Padiș kwatery Papas Padiș – 100 RON/2 os. (pokój z łazienką). Niestety cały czas lał deszcz, więc poszliśmy spać. Po obiedzie ok. godz. 17 poprawiła się pogoda, więc pojechaliśmy do miejsca w lesie o nazwie Cheile Somesului Cald. Najpierw droga asfaltowa, potem gruntowa. Na pagórkach owce i kozy. Zostawiliśmy auto pod lasem i poszliśmy szlakiem czerwonego kółka. Kilka strumyków, rozpadlin i wielkich otworów do jaskiń. Ponieważ była późna godzina, nie było szans na przejście dookoła, więc wróciliśmy. Łącznie ok. 1,5 godziny spaceru po lesie. Wieczorem kolacja: mamałyga z bekonem – 14 RON, piwo Timișoreana – 5 RON.

17 lipca. Rano śniadanie na kwaterach – 15 RON/os. Przejazd autem pod szlak niebieskich kółek do Cetățile Ponorului. Dojście do Doline 1 pod portal i następnie przejście do Doline 3. Szlak momentami wymagający: stromo, łańcuchy, liny, drabinki.

Droga między Oradeą a Devą przez cały czas, poza krótkimi wyjątkami, w fatalnym stanie technicznym albo w remoncie. Kilkadziesiąt (!) mijanek z sygnalizacją świetlną. Łącznie 280 km jechaliśmy ok. 6 godzin z półgodzienną przerwą na obiad. W Devie pojechaliśmy pod ruiny zamku na wzgórzu, na które prowadzi kolejka linowo-torowa. Był duży tłum, więc zrezygnowaliśmy. Kilka kilometrów dalej w Hunedoarze znajduje się zamek Corvinilor. Bilet wstępu kosztuje 30 RON, ale nie zdążyliśmy, bo w ten dzień z powodu wystawiania opery na dziedzińcu zamek był czynny dla zwiedzających tylko do godz. 18. Normalnie do 20.30. Parking pod zamkiem 7,5 RON.

W Hunedoarze pensjonat Flamingo – 140 RON za pokój 2-os. z łazienką i Wi-Fi.

18 lipca. Wymiana pieniędzy w banku 580 USD = 2325 RON. Cerkiew z XV w. była zamknięta, wokół cmentarz. W informacji turystycznej w Hunedoarze, zbudowanej z unijnych funduszy, pracownica niezbyt poinformowana o atrakcjach w okolicy. Przejazd nieco dalej od zamku, gdzie można bez problemu zaparkować za darmo. Przejście ok. 500 m. W zamku bilet za robienie zdjęć – 5 RON. Z zewnątrz zamek super, wewnątrz nie powala. Aż 50 RON za słuchawki z nagraniem o zamku w języku obcym!

Przejazd z Hunedoary niecałe 40 km do ruin rzymskiego miasta Ulpia Traiana w Sarmizegetusa. Wstęp do ruin – 10 RON/os. + 15 RON za robienie zdjęć, ale nie kupiłem i nikt tego nie sprawdzał. W restauracji pod ruinami tradycyjne danie (gołąbki z kapustą i boczkiem) za 13 RON. Przejazd kilka kilometrów do wsi Densuș, gdzie znajduje się XIII-wieczna cerkiew zbudowana z kamieni i fragmentów rozbieranych budynków z rzymskiego miasta.

Przejazd ok. 30 km w góry Retezat. Bardzo dobra górska informacja turystyczna w Mălăiești. Autem można dojechać do Poiana Cârnic (1040 m n.p.m.), gdzie znajduje się trzy schroniska. Wybraliśmy nocleg w Cabana Cascada – 35 RON/os. w pokoju

4-osobowym. Dość dobre warunki jak na schronisko. Naprzeciwko parking – 5 RON za dobę. W schronisku odbywał się akurat X zjazd artystów z Kiszyniowa – malarzy i wyrabiających ceramikę. Jeden z artystów w 1988 r. służył w Armii Czerwonej w Bornem Suliniowie. W kilku miejscach na szlaku są tablice z informacją, że należy uiścić opłatę za wejście do Parku Narodowego Retezat w wysokości 10 RON za tydzień. Jednak nikt konkretnie nie nakazuje kupić biletu, ani nikt nigdzie tego nie sprawdza.

19 lipca. Śniadanie za 13 RON o godz. 6, żeby wcześniej ruszyć w góry, jednak z powodu deszczu po 5 minutach wróciliśmy do schroniska i poszliśmy spać. Wstaliśmy ok. godz. 10 i ok. 11 wyjście w góry – już nie padało. Po drodze ładny wodospad Lolaia. Do schroniska Pietrele (1480 m n.p.m.) doszliśmy po ok. 1,5 godziny. Składa się ono z kilkunastu drewnianych budynków rozłożonych w lesie. W Pietrele wypiliśmy herbatę za 2 RON i ruszyliśmy dalej szlakiem niebieskiej kreski. Szlak dość stromy, cały czas przez las. Po 50 min. dotarliśmy do schroniska Cabana Gentiana (1672 m n.p.m.). Nie ma tu możliwości kupienia jedzenia ani nawet wody butelkowanej, jest tylko piwo i coca-cola w półlitrowych butelkach za 6 RON.

20 lipca. Od rana pada deszcz i góry są całkowicie zasłonięte chmurami. Para z Węgier idzie do góry na główną grań z namiotami, my decydujemy się na zejście. Po dwóch godzinach z hakiem doszliśmy do auta i zajeżdżamy z gór. W miejscowości Hateg kupujemy cheeseburgery po 6 RON. Zwiedzanie ruin twierdzy dackiej Sarmizegetusa Regia – była to stolica Daków, którą w 106 r. n.e. podbił Rzym. Wstęp 5 RON. Dość spory obszar położony w lesie.

Nocleg we wsi Costești, pensjonat Popasul Dacilor za 40 RON/os. w pokoju bez łazienki.

21 lipca. Przejazd częściowo nową autostradą ze wsi Costești do Călnic, gdzie znajduje się zamek chłopski. Bilet wstępu 5 RON + 7 RON za robienie zdjęć. Następnie przejazd do Sybinu. Po drodze spora elektrownia słoneczna. W Sybinie ciężko znaleźć nocleg. Podane w przewodniku wydawnictwa Bezdroży hostele Centrum i Chess nie istnieją, a hostel Felinarul zamieniono na drogi hotel. W centrum jest o wiele więcej hosteli, niż podano w przewodniku, ale albo nie było miejsca, albo nie było gdzie zaparkować. Ostatecznie został tylko pensjonat Ela. Nieco droższy niż podano w przewodniku – 140 RON/2 os. (zamiast 120 RON) w ładnym pokoju z łazienką + 15 RON za śniadanie.

Zwiedzanie Sybinu, który przypomina Kraków:

- rynek główny – Piața Mare,
- mały rynek – Piața Mică,
- katedra ewangelicka – wstęp 5 RON lub 8 RON z wejściem na wieże (warto!),
- wieża ratuszowa – 2 RON,
- Wieża Schodów,
- Pasaż Schodów,
- Most Kłanców,
- mury obronne z basztami,
- aleja rumuńskich gwiazd.

22 lipca. Kawka na małym rynku w Sybinie – 6,5 RON, herbata – 9 RON. Przejazd z Sybinu Trasą Transfagaraską do Balea Lac (2030 metrów n.p.m.) w górach Fogara-

skich. Najpierw dojazd do dolnej stacji kolejki linowej Cascada Balea (1234 m n.p.m.). Zupa z chlebem za RON. U góry przy Balea Lac atmosfera jak na Krupówkach: wokół handel pamiątkami, badziewie, fast-foody, bary, duży parking, mnóstwo jednodniowych turystów w klapkach. Nocleg w schronisku Balea Lac – 260 RON za pokój dwuosobowy ze śniadaniem. Jest jeszcze drugie schronisko Cabana Paltinu za 230 RON, ale brakowało miejsc. Pole namiotowe kosztuje 50 RON od namiotu, ale można rozłożyć się poza za darmo. Osoby korzystające z pola namiotowego mogą się w schronisku wykąpać za 15 RON. Woda mineralna 1,5 l – 7 RON!

23 lipca. W restauracji Balea Lac specjalnie zamówiłem śniadanie na godz. 7.30, aby szybciej ruszyć w góry. Pani, u której kupowałem pokój, zapewniła, że nie ma problemu. Niestety rano okazało się nikt nic nie wie i śniadanie będzie o godz. 8.00. To wszystko przy astronomicznej cenie pokoju ze śniadaniem. Nie polecam! Ostatecznie w góry wyszliśmy o godz. 8.20. Szlak na górę Negoiu – 2535 m n.p.m. Bezchmurna pogoda, momentami szlak wymagający liny, spora ekspozycja, piękne widoki. Jednak udało się dojść tylko do jeziora Caltum, nad jeziorem schron i Salvamont (tutejszy TOPR). Łącznie 9 godzin na szlaku.

Zjazd Trasą Transfagaraską na południe. Zwiedzamy zaporę na jeziorze Vidraru. Nocleg w wiosce Corbeni – pensjonat Antonia kosztował 60 RON/2 os. + śniadanie 20 RON/os.

24 lipca. Podjeżdżamy pod zamek Drakuli w Poenari. Do zamku prowadzi 1480 schodów przez las, bilet wstępu – 5 RON. Z góry niesamowite widoki na wszystkie strony, ale z zamku zostały tylko ruiny. Na dole pyszna lemoniada z miętą 0,5 l – 8 RON. Na trasie od zamku Drakuli do Curtea de Argeș we wszystkich wioskach jest mnóstwo pensjonatów, większość z nich była całkowicie zajęta przez rumuńskich wczasowiczów z dziećmi. Wynajęliśmy domek kempingowy z łazienką na kempingu w Noaptes – 40 RON/os. Niedaleko są trzy sztuczne jeziora, ale nie są one zagospodarowane turystycznie. Relaks na hamaku. Niestety niefortunnie spadłem z hamaka. Ponieważ była niedziela, ubezpieczenie z PZU nie potrafiło inaczej pomóc poza wskazaniem szpitala. Pojechałem do Curtea de Argeș, gdzie zrobiono mi prześwietlenie. Na szczęście okazało się, że wszystko jest w porządku. Wszystko poszło bardzo sprawnie: bez kolejek i bez zbędnej biurokracji. Co więcej, nie chcieli zapłaty za badanie i poradę lekarza mimo braku karty EKUZ. Obiad w restauracji: mititei z sałatkami. Na wieczór odwiedziliśmy cerkiew św. Mikołaja.

25 lipca. Dzień bardziej odpoczynkowy i relaksu. Zwiedzanie Curtea de Argeș:

- cerkiew Brad-Bătușari z XVI w. – malowana z zewnątrz, w remoncie,
- piękny monaster Curtea de Argeș,
- obok cerkiew z XIX w.,
- cerkiew w Noaptes.

26 lipca. Rano wyjazd z Noaptes, przejazd autostradą w stronę Bukaresztu, a następnie przez samo miasto, gdyż nie ma autostradowej obwodnicy. Dalej przejazd w kierunku północnym, na przejście graniczne z Mołdawią w Oancea. Spędziliśmy kilkadziesiąt minut na granicy: sprawdzanie paszportów, dowodu rejestracyjnego, prawa jazdy, zielonej karty, numeru nadwozia oraz zawartości bagażnika. Konieczność kupienia opłaty drogowej.

Po przejechaniu granicy na drogach znacznie mniej aut. Obiad w Kagule za 169 MDL. Dojazd do Komratu (stolicy Gagauzji, autonomicznego regionu Mołdawii, który uchodzi za najbiedniejszy w kraju), gdzie Ludmiła Wolewicz (szefowa Stowarzyszenia Polaków Gagauzji) zarezerwowała nam hotel Dom Plus za 200 MDL/os. (to specjalna cena dla Polaków – 50%), warunki superkomfortowe – duży apartament z aneksem kuchennym, łazienką, balkonem, ale Wi-Fi działało tylko na dole w barze.

27 lipca. Śniadanie w hotelowej restauracji – 92 MDL/2os. (jajecznica + kawa). Zwiedzanie Komratu. Wszystko znajduje się przy ul. Lenina:

- przed muzeum pomnik pamięci Gagauzów, którzy zginęli w wojnie w Afganistanie,
- aleja zasłużonych Gagauzów,
- uniwersytet gagauski,
- parlament gagauski,
- bar Vodolej,
- cerkiew,
- targ Budżak.

Kwas chlebowy na ulicy kosztował 3 MDL. Szukaliśmy Ludmiły Wolewicz, która, jak się okazało, sprzedaje ubrania dla dzieci na targu Rynok. Porozmawialiśmy chwilę o Mołdawii, Polakach mieszkających w Gagauzji i książce Judyty Sierakowskiej *Mołdawianie w kosmos nie ljetajut bez wina*.

Przejazd z Komratu do Kiszyniowa – 100 km. U wylotu niemal każdej miejscowości czekają autostopowicze; my też podwieźliśmy jedną kobietę.

W Kiszyniowie nie udało nam się znaleźć hotelu Retro Moldova – chyba nie istnieje, a na pewno nie pod podanym w przewodniku adresem. Ostatecznie trafiliśmy do taniego hotelu 1-gwiazdkowego Zarea – 330 MDL za pokój 2-os. bez łazienki, ale z TV i lodówką oraz Wi-Fi. Jak się szybko okazało, hotel pełen był karaluchów.

Najważniejsze atrakcje Kiszyniowa znajdują się wzdłuż ul. Stefan cel Mare:

- dwa parki,
- łuk triumfalny,
- katedra prawosławna,
- Teatr Narodowy,
- Opera i Balet Narodowy,
- pałac prezydencki,
- parlament Mołdawii,
- siedziba rządu.

Obiad w jednej z restauracji z jedzeniem na wagę – marny wybór – 140 MDL/2 os. Na ulicy kwas chlebowy duży za 9 MDL.

28 lipca. Poranna kawka za 42 MDL i cappuccino za 45 MDL. Na godz. 13.00 mieliśmy zarezerwowaną wizytę w Milestii Mici, kilkanaście kilometrów na południe od Kiszyniowa. To drugie największe na świecie, po znajdujących się w Argentynie, piwnice z winami o łącznej długości 200 km, z czego wykorzystują ponad 50 km. Zgromadzono tam ponad 1,5 miliona butelek z winem. Do środka wjeżdża się swoimi samochodami z przewodnikiem. Sama wycieczka kosztuje 200 MDL/os., a z degustacją win – 310 MDL/os. Najtańsze wina zaczynają się już od około 27 MDL (5–6 zł), a najdroższe są po 5 tys. zł.

Obiad w pizzerii w Ialoveni, pizza z colą i fantą za 96 MDL/2 os. Nigdzie nie ma widokówek, a na poczcie mały wybór. Widokówka kosztuje 3 MDL, a znaczek do Polski 11,5 MDL. Kupiliśmy też czekoladki w sklepie firmowym Bucuria. Wieczór w pubie Old Bus na deptaku: lemoniada 30 MDL, gałka lodów 15 MDL. W przewodniku Bezdroży jest bardzo dużo błędów na mapie Kiszyniowa. Są narysowane ulice, których nie ma. Dużym zaniedbaniem jest niezaznaczanie ulic jednokierunkowych, których jest dużo w mieście, co bardzo utrudnia poruszanie się samochodem.

29 lipca. Pobudka o godz. 6.00, ponieważ wybieraliśmy się do Tyraspolu, stolicy Naddniestrza, a z hotelu mieliśmy około pół godziny na dojazd do dworca autobusowego. Marszrutka kosztowała 37 MDL/os. Przejazd trwał prawie dwie godziny. Na granicy dostaliśmy specjalne karteczki z zezwoleniem na 24-godzinny pobyt w Naddniestrzu. W czasie przejazdu przez Bendery z daleka widać twierdzę, a z bliska rosyjskich żołnierzy, którzy określają się jako siły pokojowe. Na dworcu w Tyraspolu wymiana w kantorze dolarów na ruble naddniestrzańskie. Z dworca półgodzinne przejście do centrum (można też dojechać trolejbusem nr 1). Po drodze przy ul. Lenina znajduje się wytwórnia koniaków Kvint oraz cerkiew prawosławna. W Tyraspolu nazwy ulic nawiązują do komunizmu i bohaterów radzieckich, a główne atrakcje znajdują się wzdłuż ul. 25 Oktiabra:

- pałac prezydencki z pomnikiem Lenina,
- Dom Sowietów (parlament Naddniestrza) z popiersiem Lenina,
- pomniki żołnierzy, czołg,
- przedstawicielstwa dyplomatyczne Abchazji i Osetii Południowej,
- plaża nad Dniestrem,
- teatr,
- muzeum poległych radzieckich żołnierzy.

W restauracji w Naddniestrzu jest dwa razy drożej niż w Mołdawii, pizza + shake – 90 rubli, kawa – 8 rubli, cappuccino – 13 rubli, lemoniada – 10 rubli.

Bilet powrotny do Kiszyniowa 39,95 rubli naddniestrzańskich, czyli ponad dwa razy drożej niż w przeciwnym kierunku. Na granicy w drodze powrotnej tylko sprawdzono nam paszport i odebrano karteczki (za ich zgubienie grozi kara 750 EUR). Wszystko szybko i bez problemu.

30 lipca. Wyjazd z Kiszyniowa – na rogatek miasta policja zatrzymywała wszystkie auta i sprawdzała numery rejestracyjne w systemie. Zwiedzanie Starego Orgiejowa – bilet 10 MDL/os. Następnie przejazd drogą gruntową i zwiedzanie skalnego monastyru we wsi Tipova nad Dniestrem – 30 MDL/os. Dalszy dojazd drogą gruntową i zwiedzenie monastyru we wsi Saharna – bez biletu. Za monastylem szlak przez las wzdłuż strumyka – ochłoda w gorący dzień. Obok naturalny basen z wodą o temperaturze 6–8 stopni, gdzie można wziąć kąpiel.

Przejazd dalej na północ do Reziny, gdzie zjedliśmy obiad za 186 MDL/2 os., a następnie zatrzymaliśmy się na nocleg w hotelu Anastasia – 200 MDL/os. Pokój duży z łazienką i balkonem oraz pięknym widokiem nad Dniestr i Rybnicę.

31 lipca. Rano przejście przez most graniczny z Reziny do Rybnicy. Na granicy otrzymaliśmy karteczkę z 10-godzinną zgodą na pobyt w Naddniestrzu. W Rybnicy znajduje się polski kościół katolicki. Po mszy wywiad z sercaninem ks. Tadeuszem Ma-

gierowskim, który pracuje tu od 24 lat. Po spotkaniu powrót do auta w Rezinie, które zostawiliśmy przy plaży nad Dniestrem, blisko mostu granicznego.

Przejazd do miasta Soroki, gdzie znajduje się jedna z tureckich twierdz, wejście 5 MDL + opłata za robienie zdjęć, której nie zapłaciłem. Twierdza częściowo odbudowana. Przy drodze kupiliśmy sporego arbuza za 20 MDL. Przejazd do Bielc, gdzie trafiliśmy akurat na wieczorną mszę w polskim kościele, odprowadzając przez polskiego księdza Jacka Pucia (po rosyjsku tak jak w Rybnicy). Dom Polski był zamknięty. Szukaliśmy hotelu, ale jedyny hotel w rozsądnej cenie – Cecil (wg przewodnika) nie istniał. Pozostałe hotele miały astronomiczne ceny. Kolacja w klimatycznej knajpce Objora. Szaszłyk z kurczaka kosztował 60 MDL, a szaszłyk z wieprzowiny – 90 MDL. Nocleg w Edinet w aucie na parkingu pomiędzy przyczepami Cyganów-cyrkowców.

1 sierpnia. Wyjazd przed godz. 6 rano, duża kawa na stacji benzynowej – 25 MDL. Przejazd przez granicę mołdawsko-ukraińską bez problemu – tylko sprawdzenie dokumentów. Dojazd do Chocimia, gdzie dotarliśmy ok. godz. 8.00, a twierdza otwierana jest od godz. 9.00. Za wstęp, by obejrzeć twierdzę z zewnątrz, zapłaciliśmy 10 UAH/os. + 10 UAH za parking. Twierdza w Chocimiu znacznie bardziej okazała i większa niż w Sorokach. Następnie przejazd do Kamieńca Podolskiego, gdzie zjedliśmy śniadanie w hotelu – szwedzki stół za 100 UAH/os. Mapa drogowa zachodniej Ukrainy w księgarni kosztowała 50 UAH. Bilet wstępu do twierdzy 25 UAH/os. + 10 UAH za wjazd autem. Na Ukrainie tablice drogowe zamiast polskich nazw miejscowości, w alfabecie łacińskim tłumaczy się z języka... angielskiego, co czasami jest nie do przeczytania! Ukraińsko-polskie przejście graniczne w Korczowej było najgorsze na całej trasie – 3 godziny czekania w kolejce i problemy z pogranicznikami. Po stronie polskiej przy samej granicy zaczyna się autostrada. Tylko po co, skoro na godzinę z granicy wyjeżdża pięć aut? To typowy przykład marnotrawstwa pieniędzy podatników i brak zdrowego rozsądku urzędników. W zupełności wystarczyłaby droga jednopasmowa, a dwupasmowa dopiero od drugiego, albo trzeciego wjazdu na autostradę. Nocleg w Łańcucie – 40 zł/os.

2–3 sierpnia. Odpoczynek i relaks w Łańcucie. Spacerów po parku, czytanie zaległych gazet.

Informacje praktyczne:

Przekraczanie granicy. Do Rumunii i Mołdawii Polacy mogą wjeżdżać na podstawie paszportu lub dowodu osobistego. Przy wjeździe do Naddniestrza konieczny jest paszport, ale nie ma żadnych „opłaty migracyjnych” w wysokości 0,63 USD, o czym błędnie informuje polskie MSZ na swoich stronach internetowych.

Zdrowie. Nie są wymagane żadne szczepienia. Podobno występuje zagrożenie cholerą i wścieklizną (z uwagi na wałęsające się psy). Zaleca się picie wyłącznie wody butelkowanej lub przegotowanej. Prześwietlenie Roentgena i poradę lekarską w szpitalu w Rumunii miałem za darmo mimo braku karty EKUZ.

Bezpieczeństwo. Rumunia i Mołdawia to kraje bezpieczne. Mit wszechobecności Cyganów nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Ludzie są przyjaźnie nastawieni do obcokrajowców.

Waluty. Nie ma problemów z wymianą pieniędzy – w kantorach lub bankach. Podczas pobytu w Rumunii 1 USD kosztował 4,01 RON (lei rumuńskich), 19,7 MDL (lei moł-

dawskich) i 11,25 rubli naddniestrzańskich. Na granicy węgiersko-rumuńskiej bardzo opłacało się wymienić złotówki na leje rumuńskie.

Samochód. Wystarcza polskie prawo jazdy. Na granicy węgiersko-rumuńskiej trzeba kupić rowiniętę na samochód osobowy za 31,65 RON/miesiąc. Przy wjeździe samochodem na teren Mołdawii pobierana jest opłata drogowa – winieta na 7 dni kosztuje 20 RON, a na 14 dni – 40 RON. W Rumunii benzyna 95 oktanów kosztowała pomiędzy 4,76 a 4,96 RON za litr (nieco drożej niż w Polsce), w Mołdawii – ok. 15,22 MDL za litr (znacznie taniej niż w Polsce – ok. 3 zł), a w Naddniestrzu – ok. 10,5–11,8 rubli naddniestrzańskich za litr (taniej niż w Rumunii, drożej niż w Mołdawii). Nie spotkałem się z procederem wymuszania przez policję mandatów albo łapówek od obcokrajowców (nie wiem, jak sytuacja wygląda w Naddniestrzu pod tym względem, bo tam niejechałem samochodem).

Drogi. W Rumunii główne drogi z pewnymi wyjątkami są raczej dobrej jakości. Boczne drogi często gruntowe. Są dobrze oznakowane, także dobrze oznakowane są kierunki do atrakcji turystycznych. W Mołdawii główne drogi są w miarę równe, ale zdarzają się dziury. W Rumunii jest mniejszy ruch niż w Polsce, a w Mołdawii jeszcze mniejszy niż w Rumunii.

Noclegi. Hostele i kwatery prywatne w Rumunii to wydatek około 30–70 zł/os. w pokoju dwuosobowym z łazienką w dobrych warunkach. Niekiedy w cenie jest śniadanie. Zawsze w pokoju jest też Wi-Fi. W Mołdawii noclegi kosztowały ok. 40 zł/os. w pokoju dwuosobowym.

Jedzenie. W sklepach ceny jedzenia podobne jak w Polsce, niektóre produkty nieco tańsze, inne nieco droższe. Woda mineralna 1,5 l w Rumunii kosztuje ok. 2 RON. Śniadanie w pensjonacie to wydatek ok. 15 RON. Obiad kosztuje od 15 RON w barze do ok. 40 RON w porządnej restauracji. Danie dnia to wydatek ok. 14 RON. W Mołdawii za 100 MDL można kupić obfity obiad w porządnej restauracji. W Naddniestrzu generalnie jest drożej niż w Mołdawii.

Komórki i Internet. W Rumunii i Mołdawii nie ma problemu z zasięgiem telefonów komórkowych. Rozmowy z Rumunii nie są drogie, jednak z Mołdawii są bardzo drogie (w Plusie połączenia do Polski i lokalne 6,15 zł/min, odebrane – 3,08 zł/min, a SMS – 0,99 zł). Nigdzie nie ma problemu z Wi-Fi – jest w każdej restauracji, w hostelach i na kwaterach.

Pogoda i różnica czasu. Podczas pobytu w lipcu temperatura zarówno w Rumunii, jak i w Mołdawii była o ok. 10 stopni wyższa niż w tym czasie w Polsce i wynosiła ok. 35 stopni. Tylko raz padał deszcz. Jedynie w górach było pochmurno i deszczowo oraz znacznie zimniej. Różnica czasu między Polską a Rumunią i Mołdawią wynosi jedną godzinę, którą należy dodać.

Język. W Rumunii z osobami młodymi bez problemu można dogadać się po angielsku, a ze starszymi – po rosyjsku. W Mołdawii i w Naddniestrzu mało kto zna angielski, a rosyjski jest językiem powszechnie znanym.

Zimowe Wyspy Kanaryjskie



Termin: 14–20 stycznia 2016

Uczestnicy: 2 osoby

Wstaję rano... styczeń, ciemno, zimno. Wyjątkowo mi się nie chce. Do wiosny dalej niż od lata ubyłoby. Klikam, sprawdzam, może by gdzieś uciec, schować się, odpocząć, a tu nagle jest! – przelot na Gran Canarię za trochę ponad 300 złotych za osobę. Cena dobra, chęci są, organizacja sprawna, chwila namysłu, krótka rozmowa i postanowione – lecimy! Wygospodarować się uda 7 dni od 14 do 20 stycznia, blisko tydzień to na pewno rozgrzać i doświecić się trochę będzie można.

Po kilku lekturach, wpisach i blogach zdecydowaliśmy, że noclegu szukamy na południu w okolicy Maspalomas, pomimo że jest to wyjątkowo turystyczne miejsce, gdzie Anglicy, Skandynawowie i Niemcy używają, ile mogą, to jednak w styczniu jest tam najcieplej (średnio ok. 20–22 stopni) i opadów nie powinno być. Po kilkudniowym planowaniu, wybieraniu dokładnej lokalizacji, hotelu czy samochodu do wynajmu – decyzje zapadły. Po późnym przylocie (kilka minut po 21.00), lecąc przez Oslo, z lotniska pod Las Palmas De Gran Canaria wypożyczamy samochód z firmy Cabrera Medina (jest to ta sama firma co CICAR, choć ma trochę niższe ceny, ponadto ma wliczone absolutnie pełne ubezpieczenie od wszelkiego ryzyka, więc mamy święty spokój) i jedziemy do Maspalomas, dokładniej – do Playa del Inglés. Tam 6 noclegów zarezerwowanych przez booking.com (jak zwykle bezproblemowo) w hotelu Green Field, a następnie poranny lot (6.15) przez Eindhoven do Warszawy.

RELACJA Z PODRÓŻY

14 stycznia. Plan jest, trzeba działać i od słów do czynów przeszliśmy. Nadszedł wreszcie upragniony dzień, na dworze plucha, zimny wiatr, ni to deszcz, ni to śnieg. W samochód i na lotnisko do Modlina. Loty jak zwykle sprawnie bez zbędnych formalności, nikt nie ważył, nikt nie mierzył. Pierwsze lądowanie w Oslo Rygge, –18 stopni po wyjściu z samolotu, duży śnieg, lotnisko małe, a okolica całkiem pusta, 5-godzinne oczekiwanie dłuży się bardzo, nic do roboty, nigdzie pójść, ceny w barze norweskie, co tu robić? Czas rozwesela jedynie młody piesek labrador, uczony wyszukiwać niepo-

żądanych towarów w bagażach podróży. Wreszcie wsiadamy do samolotu, z nami praktycznie sami Norwegowie, którzy wreszcie wydostali się ze swojego pięknego, lecz bardzo ciemnego, zimnego i potwornie drogiego kraju. I zaczęło się, jedno wino, drugie wino, trzecie piwo, jest i whisky, stewardesy dwoją się i troją, ledwo nadążając z podawaniem win, piw i wszystkiego co ma procenty. Wypili wszystko, zjedli wszystko, no, ale dla nich ceny są kilkukrotnie niższe, nawet w samolocie. Po dłużącym się locie, blisko 6 godzin w ciasnym samolocie Ryanaira daje się we znaki, wyszliśmy na płytę lotniska, znajdującego się w okolicach Las Palmas de Gran Canaria, i tu zaskoczenie: godzina chwilę po 21.00, a tu 22 stopnie, czyli ponad 40 stopni różnicy w stosunku do Oslo, naprawdę przyjemnie. Odbieramy samochód, bardzo sprawnie, jedynie podpis na dokumencie, zapłata gotówką lub kartą (123 euro za 6 dni w tym doliczony depozyt 9 euro za benzynę, który po powrocie był już na koncie) i dostajemy kluczyki do Opla Corsy. Przejazd do Maspalomas szybki, ok. 25–30 minut autostradą, po drodze tankowanie (ceny benzyny przyjemnie niskie, ok. 0,85 euro za litr benzyny bezołowiowej), a drogi w bardzo dobrym stanie i bardzo dobrze oznaczone. Na pewno przydaje się telefon z nawigacją, np. google maps ze ściągniętą wcześniej mapą offline, która bezbłędnie doprowadza nas pod sam hotel. Szybki meldunek, odstawienie samochodu na parking przy hotelu; parking niewielki na kilkanaście samochodów, jednak zawsze miejsce było czy to późnym wieczorem, czy w ciągu dnia. I tak pierwszy dzień dobiega końca. Zmęczeni podróżą, po lampce (może dwóch?) wina padamy do łóżek, nie zwracając uwagi na to, że pokój jest delikatnie mówiąc mocno wysłużony i „średnio” czysty.

15 stycznia. Następnego dnia wstajemy wypoczęci, wreszcie możemy się na spokojnie zorientować i rozejrzeć po pokoju i hotelu, śniadanie całkiem dobre, dość bogaty wybór, Internet darmowy tylko przy recepcji, w tych czasach to jednak już powinien być wliczony w cenę pokoju, sporego trzygwiazdkowego hotelu. Ogólnie hotel średniej jakości w typowo angielskim stylu, z angielskimi knajpkami na dole. W pokoju sejf nie działał, ogrzewanie i klimatyzacja też (pewnie wyłączona, choć mówili, że działa i można regulować), woda w basenie dość zimna pomimo informacji, że podgrzewana, to była taka jak w oceanie. W pokoju na parterze głośno z okolicznych knajpek. Największym plusem hotelu była miła obsługa w recepcji i w kuchni. No, ale przecież wyjechaliśmy nie siedzieć w pokoju, tylko odpoczywać, zwiedzać i doświadczać, tak więc były to nieistotne i niewarte zwracania głowy sprawy. Jednak dla niektórych może to być ważne, dlatego ta informacja.

Pierwszy spacer, by poznać okolice. Idziemy promenadą wzdłuż oceanu w stronę słynnych wydym i... tu pierwsze rozczarowanie, pomimo że spodziewałem się, że to okolica wyłącznie turystyczna, to aż taki natłok 30-letnich hoteli dosłownie wszędzie, całe miasteczko to hotele, bary i restauracje tylko dla turystów, całe grupy Afrykanów sprzedające „byłe co” w „znakomitej cenie”, bez ogródek proponujące hasz i wszystko czego dusza zapagnie, zawiodły moje oczekiwania co do Wysp Kanaryjskich. Miejsce to skojarzyło mi się raczej z delikatnie podupadłym kurortem w Bułgarii wspomnianym z lat dzieciństwa. Plaże w okolicy bardzo szerokie, z szarozółtym piaskiem, nawet nie zbliżającym się do naszego bałtyckiego, ale że to wyspy wulkaniczne, to oczywiste.

Dochodzimy do wydym (bardzo przyjemna temperatura i lekki wiatr, 26 stopni w styczniu, a podobno to zima), wydmy rozdeptane, część ogrodzona, część ma porzucane słupki, a w krzakach to sikają, to leżą... golasy i pary „męsko-męskie”. Jest

bardzo ciepło, robimy zakupy w markecie Spar, ceny trochę wyższe niż w Polsce, ale nie jest źle, woda 0,50–0,80 euro, piwo 1–2 euro, wino od 3 euro wwyż.

Zima to na Wyspach Kanaryjskich czas ludzi starszych, aż przyjemnie popatrzeć, jak 70. czy 80-letnie osoby biegają, ćwiczą, cieszą się życiem i aktywnie spędzają swój wyjazdowy okres. Ludzi młodych bardzo mało. Roślinność typowa dla ciepłego rejonu: palmy, kaktusy i ogromne ilości pięknie kwitnącej bugenwilli. Odnośnie do zwierząt, to rzuca się w oczy prawie całkowity brak psów, ze zdziwieniem patrzyliśmy na ilość kotów wylegujących się na promenadzie, a psów pojedyncze sztuki widziane przez cały wyjazd. Czasem można zauważyć kanarki i papugi, czasem pojawi się nasz szary wróbel, który chyba od nas tutaj uciekł ze względu na przepiękną pogodę.

16 stycznia. Drugiego dnia postanowiliśmy przejechać z północy, przez zachodnią część wyspy, aż na południe, by wrócić przez sam górzysty środek. Rozpoczęliśmy od nadmorskiej drogi GC500, przejeżdżając przez wszystkie miejscowości z Puerto Rico, plażą Amadores i Puerto de Mogan na czele. Wybrzeże charakteryzuje się płaskim kawałkiem lądu przy oceanie, a dalej wysokie ściany gór z przyklejonymi do nich hotelami, w każdej zatoczce mały port i najczęściej usypana plaża, jest dosyć sympatycznie. Dla lubiących opalanie i odpoczynek na słońcu szczególnie polecam sztuczną plażę Amadores, przygotowaną idealnie dla opalających się i imprezujących na plaży turystów. Dalej wszędzie polecaną drogą GC200 poprzez kolorowe ściany gór Azulejos aż do Puerto de Las Nieves. Po drodze przyjemne widoki, ogromne urwiska, doliny i wielkie gołe skały, a przy tym wszystkim bardzo dobrej jakości droga, nic tylko jechać. Puerto de las Nieves to mała osada z biało-niebieskimi domkami, bardzo miłe miejsce na spacer, obowiązkowy punkt na północnym zachodzie wyspy.

Dalej skierowaliśmy się na północ, aby przejechać przez miejscowość Galdar z widokiem na wulkan i skręcić w drogę GC70 w kierunku środka wyspy aż do drogi GC60. Tu zaskakujące dla mnie były strome podjazdy, zdecydowanie największe, jakie spotkałem podróżując po Europie, w tym po Skandynawii; nasza wypożyczona Corsa tylko na pierwszym biegu była w stanie pod nie podjechać. I tak bardzo ładną, krętą drogą wspinaliśmy się w góry, widoki naprawdę godne polecenia. Jadąc wciąż pod górę przejechaliliśmy przez wszystkie okoliczne wioski, podziwialiśmy wykute w skale domy, i tak mineliśmy Cruz de Tejada, słynną skałę Roque Nublo (temperatura spadła w górach do 13 stopni) i górskie miasteczko słynące z przyzwoitego kanaryjskiego wina – Fataga. Przejechaliliśmy wśród pól, plantacji palm i bananów, lasów i kwitnących drzew, nie wiem czy to wiśni, czy innych owocowych drzew, aby powrócić do naszego hotelu. Ogólnie podczas całego przejazdu dominują widoki górskie, same skały, niewiele roślinności, czasem malownicze wioski. Czas potrzebny na przejazd to od 6 godzin wwyż, mimo że to tylko 200 km.

17 stycznia. Trzeciego dnia postanowiliśmy wybrać się w okoliczną dolinę, w której znajduje się park zwierząt Palmitos. Jadąc do parku, warto wybrać się wcześniej, zobaczyć z drogi i przejechać pętlę drogą 503, aby wrócić drogą 504. Po drodze ciekawe widoki, wielkie podmiejskie rezydencje i urokliwe wioski (Monte Leon czy Ayagaures). Palmitos Park ciekawy, wart odwiedzenia, szczególnie, jeśli ktoś podróżuje z dzieckiem czy miłośnikiem zwierząt. Najbardziej polecam zobaczyć ptaki drapieżne swobodnie latające, widok nurkującego w dół w naszym kierunku orła z prędkością ponad 200 km/godz. bezcenny. W parku znajduje się bujna, egzotyczna roślinność, dużo papug

i innych ptaków, trochę ssaków i gadów. Są też pokazy delfinów, czego akurat nie popieram, więc pominię. Wejście jest drogie, choć nie odbiega to od innych europejskich zoo (28–30 euro od dorosłej osoby). Po powrocie porzucamy samochód i wybieramy się na długi wieczorny spacer bulwarem w Maspalomas; przyjemna pogoda o godzinie 22.00 jest w okolicy 21 stopni, aż chce się spacerować, oglądać i przeganiać te rozleniwione wszechobecne koty, radość dla alergika...

18 stycznia. Następnego już czwartego dnia (czas zimą w ciepłym kraju biegnie dwa razy szybciej) pojechalśmy do stolicy wyspy Las Palmas de Gran Canaria, największego miasta na wyspie. Kolejny raz stwierdzam, że jeździ się naprawdę sprawnie, po wąskich, ale bardzo dobrych drogach. Zwiedzanie zaczęliśmy od starszej części stolicy o nazwie Vegueta, aby po spacerze przez historyczną starówkę, pomiędzy kilkusetletnimi kamieniczkami (dosyć sfatygowanymi, pamiętającymi czasy piratów i Krzysztofa Kolumba) trafić na nadmorski deptak przy plaży Playa de Las Canteras. Deptak jak to deptak – jest z niego ładny widok, pełno kawiarenek i restauracji. Osobiście podobało mi się tu bardziej niż w Maspalomas, tylko jest odrobinę zimniej (+/-2 stopnie) i jest więcej opadów (na południu góry zatrzymują deszczowe chmury). Droga powrotna także i tym razem prowadziła przez środek wyspy, tak aby móc zobaczyć wygasły wulkan Caldera De Bandama i zajrzeć do jego nieaktywnego wnętrza, przejechać przez ogród botaniczny w okolicy Tafira Alta (taki nasz podwarszawski Powsin) i przejechać przez wioskę małych kamiennych domków o biało-pomarańczowym kolorze – Teror.

19 stycznia. Ostatniego dnia przed powrotem zaplanowaliśmy porządnie się zmęczyć i tak też się stało. Z naszego hotelu wybraliśmy się na pieszą wycieczkę do portu/wioski Pasito Blanco. Spacer z Playa Del Ingles do Pasito Blanco wydawał się (palcem na mapie) krótszy niż okazał się w rzeczywistości, zamiast od deptaku za wydmami Maspalomas pójść plażą w stronę latarni morskiej i dalej po czarnych wulkanicznych kamieniach nad samym brzegiem, to postanowiliśmy pójść miastem, okrążając całą dolinę górą. I się zaczęło: podejścia, zejścia, skręty, zakręty, koniec chodnika, poboczne przy drodze szybkiego ruchu, jaszczurki jak pół człowieka, a słońce w południe (26 stopni) mocno przypiekało nasze zimowe twarze. Kiedy doszliśmy po 4 godzinach i 18 km drogi o różnej nawierzchni, naprawdę byliśmy zmęczeni (niby 18 km to nie tak dużo, ale w poświęconym letargu, wyciągnięci z zimy i nierozchodzeni nie byliśmy w formie), ale było warto! Małe zamknięte dla ruchu obcych samochodów miasteczko z portem wynagrodziło nam tę przechadzkę, a mała knajpka La Punta Yacht Club na końcu cypla i zimne piwo przy samej wodzie uratowały nam życie. To było to! Zdecydowanie jest to najbardziej eleganckie, kameralne, trochę ukryte miasteczko na Gran Canarii, kilka ładnych rezydencji, dobrych, nowych oraz fajnych zabytkowych samochodów. Zdecydowanie na plus i do polecenia. Po odpoczynku i ochłodzeniu się złotym napojem do domu postanowiliśmy się wybrać autobusem. Przystanek jest przy głównej trasie, kawałek za miasteczkiem, gdzie linią 1 i z biletem za 1,40 euro dostaliśmy się do hotelu.

20 stycznia. Następnego dnia rano trzeba było wstać o 3.00, bo o 6.15 mieliśmy wylot, przejazd na lotnisko, zwrot samochodu o 4.30 rano bezproblemowy, na otrzymanej pierwszego dnia kopercie wpisaliśmy aktualny stan licznika, włożyliśmy klucze do koperty i wrzuciliśmy całość do skrzynki w drzwiach wypożyczalni. Już tylko odprawa i powrót...

I tak wszystko, co przyjemne, szybko się kończy. Tydzień zleciał, wspomnienia zostaną. Może ciut rozczarowanie, bo zawsze Wyspy Kanaryjskie kojarzyły mi się wręcz mitycznie jako luksusowa, niedostępna i odległa część Europy ze wszystkim, co najlepsze: pięknymi palmami, turkusową wodą, sympatycznymi ludźmi, a z tego wszystkiego w pamięci pozostanie świeże powietrze i najlepsza pogoda ze wszystkich europejskich regionów. Za to właśnie ogromnie ten kawałek Hiszpanii polecam. Szczególnie w styczniu.

Adam Stępiński

Ślady biblijne w Izraelu i Jordanii



Termin: 28 listopada – 12 grudnia 2015

Trasa: Kraków – Ejlat – Jerozolima – Amman – Madaba – Petra – Aqaba – Ejlat – Kraków

Uczestnicy: dwie osoby

RELACJA Z PODRÓŻY

28 listopada. Zaczęliśmy naszą ucieczkę przed listopadową melancholią i grudniowym zimnem. Wystartowaliśmy punktualnie o 8.00, ale trzeba było być wcześniej na lotnisku Balice, do którego jest bardzo dobry dojazd podmiejskim autobusem 292 z przystanku obok Małopolskiego Dworca Autobusowego w Krakowie. Odprawa przebiegła sprawnie i sympatycznie, mieliśmy wcześniej wydrukowane karty pokładowe. W południe wylądowaliśmy w Ovdzie pod Ejlatem. Do kontroli paszportów warto ustawić się w kolejce do skrajnego okienka z prawej strony, ponieważ na półce są druki, które należy wypełnić, aby otrzymać Flay Visa. Niestety, my o tym nie wiedzieliśmy i policjantka wbiła nam pieczęć wjazdową do paszportu, co uniemożliwia wjazd do większości krajów muzułmańskich. Na lotnisku w Tel Awiwie podobno tych problemów nie ma? Wykupiliśmy w Internecie za 8 euro bilety na autobus, którym dojechaliśmy pod sam hostel Corrine, mieliśmy też opłacony powrót za 10 euro. Okazało się, że mimo szabatu kursowały autobusy miejskie, bilety ok. 6 szekli (S). Hostel jest położony o dwie minuty pieszo od dworca, ponieważ planowaliśmy następnego dnia przejazd do En Gedi, kupiliśmy bilety za 70 S.

Ejlat jako kurort prezentuje się okazale, zadbane plaże, przy których są bezpłatne natryski. Promenada spacerowa wzdłuż brzegu Morza Czerwonego. Eleganckie hotele i sklepy z chińską tandetą i modną odzieżą oraz kosmetykami znanych marek. Po południu otwierają kantory, najlepszy kurs jest w tych około dworca. Zaskoczeniem jest lotnisko, które mieści się w samym centrum. Doznajemy też szoku, patrząc na ceny podstawowych produktów spożywczych: chleb od 8,50, mleko powyżej 10 S. W hostelu jest dostępna kuchnia oraz kawa, herbata i cukier. Słońce zachodzi wcześniej, bo ok. 16.00, zapada za górami, które są za nami, ale góry Jordanii za zatoką stają się czerwone! – Cha, cha! – to góry są czerwone, a nie morze.

29 listopada. Autobus odjeżdża o 10.00, a więc wyspani, po śniadaniu idziemy na dworzec. Bagaże należy oddać do luku. Dostrzegamy chłopaków i dziewczyny w mundurach; nie robią sympatycznego wrażenia, ale należy się przyzwyczaić, również do kontroli dokumentów podczas przejazdu, a nawet przeglądania plecaka. Do En Gedi jedziemy ponad dwie godziny, przejeżdżamy przez kurort Moriah. W tej chwili to jedyne miejsce, aby pływać w Morzu Martwym, plaże znajdują się na terenie eleganckich hoteli Spa, pewnie wstęp na plażę jest płatny, ale po kąpielach trzeba opłukać się pod prysznicem. Mijamy Masadę, bardzo ważne miejsce dla Żydów, ponieważ Danusia i ja byliśmy na górze, więc rezygnujemy ze zwiedzania, wiemy, że wstęp jest bardzo drogi. Wsiadamy w En Gedi na przystanku wprost schroniska młodzieżowego, ale brak w nim miejsc, podobnie jak w wyżej położonym, w dawnej szkole, ceny za łóżko w dormitorium szokujące, ponad 100 S. Idziemy w kierunku wejścia do wąwozu, przed kasami po prawej stronie są druciane boksy, które służą jako przechowalnia bagażu, przy zakupie biletu otrzymuje się kłódkę, aby zabezpieczyć plecaki. Wstęp drogi 29 S. Idąc od schowków prawą stroną, można ominąć kasy i bramkę, później bilety nie są sprawdzane. Spacer pod górę jest wyjątkowo przyjemny, ścieżka pnie się pomiędzy drzewami, wzdłuż wodospadów, różnej wysokości. Miejsce, kilkanaście metrów od wejścia, upodobały sobie sympatyczne gryzonie – góraliki. Spacer można przekształcić w kilkugodzinną wycieczkę po okolicznych górach, ze szczytów można wypatrzeć ruiny Masady. My nie mamy czasu, schodzimy nad morze. Wiemy, że nie możemy pływać, ale zachwycają nas kolory: błękitny wody przy brzegu, potem lekko różowy i coraz bardziej czerwony, jest to również barwa gór po stronie Jordanii. Zdjęcia wyszły fantastycznie! Nie mamy możliwości noclegu, kąpeli w morzu, wsiadamy więc w autobus do Jerozolimy, bilety po 30 S. Trochę ponad godzinę jedziemy i wsiadamy na dworcu, który jest bardzo oddalony od starego miasta. Idziemy trasą tramwaju, ale nie korzystamy z przejazdu nim, nie tylko ze względu na cenę 6,50 S. Po drodze rozglądamy się za noclegiem, w hotelach dla nas ceny są zaporowe. Nareszcie dochodzimy do bramy Damasceńskiej, w obrębie starego miasta hosteli jest dość dużo, wybieramy Szwedzki Hostel, 55 S za łóżko w sali wieloosobowej, do dyspozycji gości kawa, herbata, kaloryczne kakao oraz mleko.

30 listopada. Cały dzień błądzimy uliczkami starego miasta. Odwiedzamy miejsca nam znane i odkrywamy nowe. Niestety do kościoła Ecce Homo wstęp płatny, podobnie jak do kościoła św. Katarzyny, ale trzeba ten kościół zwiedzić, bo jest to jedyne zachowane z czasów średniowiecza. Polecam darmowe zwiedzanie z przewodnikiem, zbiórka o 9.00 przed Centrum Informacji Turystycznej, obok bramy Jaffy. Zaglądamy do pracowni kaligraficznej w centrum kultury. Okazuje się, że stacje drogi krzyżowej III i IV nie są już polskimi, chociaż fundowanymi przez armię polską, należą teraz do kościoła ormiańskiego? Nie przyjmuje również pielgrzymów Stary Dom Polski? W Nowym ceny od 25 USD za noc w dormitorium.

1 grudnia. W nocy w pokoju było chłodno, ale rozgrzaliśmy się poranną kawą. Mieszkamy dwie minuty od Bazyliki Grobu Pańskiego, więc codziennie nawiedzamy kościół. Zwiedzanie indywidualne umożliwia nawiedzenie kościołów: koptyjskiego, etiopskiego i syryjskiego, pątnikom, którzy idą z procesją drogi krzyżowej wstęp do tych świątyń wzbroniony. Szokują te zakazy, podziały itd. Dziś zwiedzamy Górę Oliwną, a więc wychodzimy bramą Iwa i idziemy obok kościoła prawosławnego; trzeba go

odwiedzić, jest bardzo klimatyczny. Trochę się śpieszymy, ponieważ kościoły otwarte są do 12.00, a potem od 14.30 do 16.00, zależnie od pory roku. Po południu jedziemy tramwajem do Yad Vashem, kursuje tylko jedna linia, nazywana pociągiem, wysiada się na przedostatnim przystanku, potem kursuje schutlebus pod bramę muzeum. Warto zobaczyć park, który tworzą drzewa zasadzone przez Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, przeważają drzewa zasadzone przez Polaków. Na ścianie, która przypomina ścianę płaczu, jest replika Pomnika Bohaterów Getta z Warszawy. Pamiątek związanych z Polską jest dużo, przeczą one rzekomemu antysemityzmowi Polaków.

2 grudnia. Rozstajemy się z Danusią. Ona będzie dalej zwiedzała Izrael, a ja jadę do Jordanii. W naszym hostelu nocował Japończyk, który przyjechał z Ammanu i do tego miasta musi wrócić, zgodził się, abyśmy razem podróżowali. Minibus do granicy na Hussein Bridge odjeżdża z podwórka domu, położonego po przeciwnej stronie od bramy Damasceńskiej, ok. stu metrów w prawo pod górę, kosztuje 42 S, odjeżdża praktycznie co godzinę i po ok. dwóch godzinach jest na granicy. Żydzi pracujący na granicy okazali się bardzo nieuczciwi! Przy wyjeździe z Izraela wnosi się opłatę 108 S. Tymczasem urzędniczka, która wydawała kwit opłaty, bez którego nie można przekroczyć granicy, zażądała 180 S. Wręczyłem jej 200, wydała mi 10 dinarów. Nie pozwolono nam przejechać darmowym autobusem miejskim, podstawiono turystyczny, za który płaci się 8 dinarów plus za bagaż. Nie zostały mi żadne pieniądze, myślałem, że już przekroczyłem granicę, ale urzędnik zażądał 40 D za wizę, nie pomogły tłumaczenia, że wiza jest bezpłatna, musiałem zapłacić! Wymieniłem 100 euro, dostałem 55 D, moja wina, że nie sprawdziłem kursu wymiany, chociaż powinien być wypisany na tablicy, okazało się, że wypłacono mi 20 D mniej! Myślę, że przekonałem wszystkich, aby granicy nie przekraczać w tym miejscu i trzymać się zasady, aby nie wymieniać pieniędzy na granicy. Busik do Ammanu kosztował 3 D. Najwięcej tanich hosteli jest w dzielnicy Down Town, ceny od 4 D. Jedzenie też jest tanie, dwa fawele poniżej 1 D. Na dinary Jordańczycy mówią: dżidi.

3 grudnia. Mój hostel mieści się dziesięć minut od cytadeli; raczej omijam obiekty militarne, ale okazuje się, że na wzgórzu są ruiny rzymskie i bizantyjskie z mozaikami. Warto odwiedzić muzeum, w którym odnajdziemy fragmenty posągów między innymi z Petry. Zachwycają kolumny ze świątyni Herkulesa. Ze wzgórza doskonale widać ogromny amfiteatr, do którego schodzę w ciągu kilku minut. Odnajduję, w pięknej dzielnicy willowej, muzeum sztuki współczesnej, ufundowane przez obecnego króla Jordanii. Nad miastem górują kilkudziesięciopiętrowe, nowoczesne wieżowce. Słowem: Amman warto zwiedzać.

4 grudnia. Taksówką dojeżdżam na północny dworzec autobusowy, z którego kursują autobusy do Jerashi, chociaż wszyscy taksówkarze twierdzą, że trzeba jechać tylko z nimi. Bilet na przejazd minibusem tani 1 D. Przystanek tuż przy ruinach. Bilety wstępu dość drogie. Idę wzdłuż ulicy, pod górę, obok okazałego hipodromu. Wchodzę na teren ruin boczną bramą, obok visitor center. Kierują mnie do kasy. Zaraz za budynkiem centrum wiedzy pod górę ścieżka, wychodzę na prywatny gaj oliwny, akurat trwa zbiór oliwek, robię zdjęcia, zostaję poczęstowany herbatą ze świeżymi listkami mięty. Synek gospodarzy wskazuje mi dziurę w płocie i zeskakuje na teren wykopalisk. Nie jestem tak sprawny, ale fotografuję najbliższe obiekty i wracam, aby wspiąć się na wieżę, z której widać cały, ogromny park archeologiczny; na jego zwiedzanie trzeba prze-

znaczyć przynajmniej trzy godziny! Przez teren hipodromu dochodzę do bramy triumfalnej, fotografuję i opuszczam płatną strefę. Dochodzę do przystanku autobusowego i dojeżdżam do Ajloun, jednego z wielu zamków krzyżowców, wewnątrz tego jest bardzo ciekawie zaaranżowane. Co godzinę odjeżdża autobus na dworzec północny, z którego często odjeżdżają autobusy do Madaby, ok. godziny jazdy za 1 D. Szukam taniego noclegu i znajduję go w Queen Ayola Hotel, za trzy noce płacę 15 D. Dormitorium to trzyosobowy pokój, łazienka obok. Czysto, bezpiecznie, ale w pokoju chłodno.

5 grudnia. Jak przyjemnie budzić się ze słońcem za oknem. Dopytałem się o tani dojazd na Górę Nebo, kursuje minibus, za połowę dżidi, ale dopłacam do 1 D i jestem podwieziony pod samo wejście na szczyt. Oczywiście brama i płatne wejście, ale tylko 1 D. Mam pecha, kościół zamknięty, nie zobaczę więc grobu Mojżesza. Tutaj biblijny prorok otrzymał tablicę z dziesięciorgiem przykazań, stąd miał ujrzyć ziemię obiecaną. Ciekawe muzeum z archeologicznymi eksponatami, w osobnym namiocie duża, bizantyjska mozaika. Szeroka panorama na zachód, na Galileę, widać Morze Martwe. Rozległe widoki roztaczają się też z okolicznych, niższych wzgórz, ale kiedy wychodzę na drogę, aby przejść niżej, przejeżdża samochód, odruchowo wystawiam kciuk i po chwili jężdżam w dół, krętą drogą. Okolica górzysta, pozbawiona roślinności, niegościnna, a właśnie dostrzegam rozrzucone namioty koczowników, Beduinów? – To uchodźcy z Syrii – objaśnia mój kierowca. Czasem są to skupiska kilku namiotów. Przypominam sobie nocne zimno w pokoju hotelowym, a oni... Tracę humor.

Kierowca zatrzymuje samochód, idzie po coś do bagażnika, przynosi zawiniątko i umieszcza je w skrytce pod kierownicą. Po kilkunastu minutach jesteśmy na punkcie kontrolnym. Policjanci sprawdzają bagażnik i pozwalają jechać dalej. Po pewnym czasie kierowca wyjmuję zawiniątko, odwija i widzę pistolet, pewnie przerażenie mam w oczach, kierowca uśmiecha się i pokazuje na okolicę. Dojeżdżamy do głównej drogi, on skręca w prawo, w stronę Ammanu, ja wysiadam i kieruję się w lewo w stronę Betanii (Baptism Site) miejsca chrztu Chrystusa, łapię okazję, bo mam do pokonania kilkanaście kilometrów. Bilet wstępu okazują się bardzo drogi. Ktoś się awanturuje, że nie potrzebuje przewodnika, że nie chce uczestniczyć w zorganizowanej wycieczce, przyjechał tu jako pielgrzym. W kasie tłumaczą, że to strefa nadgraniczna, niebezpieczna. Wychodzę z parkingu, idę trasą autokarów, a potem odnajduję pieszego szlak po miejscach chrztu pierwszych chrześcijan z III i IV wieku. W bizantyjskich baptysteriach mozaiki z symbolami chrześcijańskimi. Kiedy dochodzę do miejsca chrztu Chrystusa, zostaję zatrzymany przez patrol, pyta o bilet, którego nie mam, przywołuje patrol zmotoryzowany i zostaję odwieziony do punktu wyjścia. To, co zobaczyłem, satysfakcjonuje mnie.

Z dojazdu nad Morze Martwe rezygnuję, jest po drugiej, a więc niebawem zrobi się ciemno. Bez problemu zatrzymuję samochód, którym dojeżdżam do drogi prowadzącej pod Górę Nebo. Zaraz zatrzymuję samochód do Madaby. Kierowca zna trochę angielski, siedzę obok sympatycznie uśmiechającego się Hatema Abu Shennara. W pewnym momencie pytają mnie, czy zechcę odwiedzić ich i zjeść razem obiad. Oczywiście przystaję na tę propozycję, Hatem dzwoni do domu, aby przygotowano posiłek. Przeglądam się zapraszającym, jeden wygląda jak Bin Laden, drugi jak herszt bandy, bąkam, że może zjem w restauracji. Widzę jak Hatem posmutniał. Mówię, że zgadzam się. Zatrzymujemy się w Madabie przed piekarnią, kupuję kilka słodkich rogali z figowym

nadzieniem, nie pozwalają mi zapłacić. Podjeżdżamy pod dom, zapraszają, nie muszę zdejmować butów. W salonie są tylko kanapy i małe stoliczki, na ścianie, w ozdobnej ramie wyjątek z Koranu. Na talerzach jakby gołąbki. Mięso mielone zawijane w jeden liść kapusty, czyli rodzaj ruloników, bardzo smacznych. Robimy sobie zdjęcia, przychodzi brat Hakem Abu Shennar z małym synkiem. Stryjek bawi się z bratankiem przez chwilę, bo moi gospodarze nie skończyli jeszcze pracy, więc pytają mnie, czy możemy już jechać? Podwożą mnie pod drzwi hostelu. Boss hotelu nie wierzy, że udało się zrealizować to, co zamierzałem.

6 grudnia. Dzisiejszy dzień przeznaczam na zwiedzanie Madaby. Mieszkam bardzo blisko Visitor Center, który mieści się w starym kupieckim domu, gdzie zgromadzono eksponaty, obrazujące dawne życie. Na fotografiach przedstawione są główne zabytki miasta; pierwszy zespół archeologiczny znajduje się kilka kroków od centrum. Za 2 D warto wykupić bilet, który obowiązuje do trzech ważnych obiektów. Zachwycają przede wszystkim mozaiki! W kościele greko-katolickim jest mozaika przedstawiająca mapę Ziemi Świętej. Interesujące są również podziemia kościoła katolickiego, zwiedzanie gratis, płatną wystawę można sobie podarować. Na zwiedzanie Madaby naprawdę warto poświęcić cały dzień.

7 grudnia. Wstaję bardzo wcześnie, aby zdążyć na autobus. Brak dokładnej mapy mści się okrutnie. Podano mi nazwę miejsca przesiadki do autobusu w kierunku Petry, myślałem, że to po drodze, gdzieś na autostradzie? Bałem się jechać do Ammanu, bo wiedziałem, że będę musiał zmieniać dworzec. W autobusie źle mnie poinformowano i wysiadłem za wcześnie. Wskazano mi drogę dojścia do autostrady, podobno miał się tam zatrzymać autobus. Prędko się przekonałem, że żaden autobus się nie zatrzyma. Nie chciałem wracać do Ammanu, łapałem stopa, w tym zamieszaniu, gnie mi torba z tabletem i innymi drobiazgami, dobrze, że dokumenty i pieniądze miałem przy sobie. Bardzo żałuję zdjęć, które miałem na tablecie. Wzbogacony doświadczeniem mówię stanowczo: trzeba wsiadać do autobusu na jego stację, po drodze nie zatrzyma się, bo rusza pełny. Podróżowanie autostopem ma jednak swoje uroki, poznaje się ludzi danego kraju. Podwozi mnie chłopak, który okazuje się nauczycielem w miejscowej szkole, zaprasza mnie do domu na herbatę. Podaje ją w drugim salonie, bo ten pierwszy widocznie nie okazał się wystarczająco reprezentacyjny. W rogu salonu są również kute naczynia do parzenia herbaty, tłumaczy, że to pamiątki po jego przodkach, bo mają ok. 400 lat. Jego rodzice są Beduinami, chcą się z nimi spotkać, musi jechać na wielbłądzie i wypatrywać ich na pustyni. Duży salon jest prawie pusty, zabytkowe przedmioty zajmują honorowe miejsce w rogu, obok ustawione są dyplomy ukończenia uczelni, na ścianie oczywiście w ozdobnych ramach wyjątki z Koranu. Meble stanowią czarne kanapy, rzeźbione i posrebrzane, zasłony przy oknach też są udrapowane, dominują kolory czarny i srebrny, czuję się trochę jak w staroświeckim zakładzie pogrzebowym. Gospodarze są bardzo mili, dostają duże opakowanie daktyli. Odwożą mnie do mostu, przez który prowadzi droga do Wadi Musa. Zatrzymuje się elegancki pan i podwozi mnie do centrum miasta, tak zwanego – średniego, tylko tu mogę szukać tańszego hostelu, tutaj też znajduje się dworzec autobusowy. Zatrzymuję się w Orient Gate Hotel, płacę 10 D za dwie noce.

8 grudnia. W nocy dokuczało mi zimno, prędko zaparzyłem sobie kawę i zjadłem słodkiego rogala. Zebrałem się szybko, aby uniknąć tłumu podczas zwiedzania ruin Pe-

try. Bilet koszmarnie drogi, płatny tylko w dinarach, obok kasy są kantory, 50 D. Bilety są sprawdzane powtórnie, a czasem okazjonalnie w różnych miejscach. Samo przejście wąwozem powoduje dreszcze emocji. Szczęśliwie przy skarbcu jest niewielu zwiedzających, oświetlenie idealne, żałuję zaginionego tabletu, pozostaje mi robienie zdjęć telefonem. Nasyciwszy się obrazem skarbcza, idę dalej równie pięknym wąwozem. Sciana, którą stanowią królewskie grobowce, jest w cieniu, a więc muszę fotografować po południu. Wyszedszy na otwarty teren dawnej metropolii, zaczynam zwiedzanie od ruin bizantyjskich, to już reguła, odnajduję mozaiki, a potem muzeum, zbiory raczej skromne. Cały czas jestem nagabywany, aby wsiąść na osła, wielbłąda, konia lub przynajmniej wziąć przewodnika, oczywiście nie korzystam z tych bezsensownych propozycji. Idę do monasteru, chociaż nazwa nie jest uzasadniona. Czas przejścia to około pół godziny, ale ja zatrzymuję się dość często, korzystam z zaproszeń sprzedających pamiątki i popijam herbatę, ale najprzyjemniejsze są rozmowy, dziwne, ale tak jakbyśmy znali się od dawna. Widok na monastyr jest bardziej zaskakujący niż ten na skarbiec, ale nie chcę pozbawiać przyjemności oglądania go czytających te słowa, a mam nadzieję odwiedzać Jordanię i Petrę. Wspinam się na punkt widokowy, jedna z piękniejszych panoram Galilei. Siedzę na stołeczku, a już idzie pani ze szklaneczką herbaty, zapewniając, że darmowa. Patrzenie na monastyr to jak przedstawienie teatralne, wszyscy siedzą jakby w amfiteatrze i podziwiają grę światła i cieni na fasadzie świątyni, zachwycają proporcje, to chyba jedyny mój hołd oddany geometrii. Wracam, zanim obejrzę grobowce, oglądam rzymskie ruiny, idę reprezentacyjną drogą ogromnego miasta, po którym zostały ułamki kolumn, fragmenty fryzów, tympanonów itd. Wracając, zatrzymałem się powtórnie przy skarbcu; na zwiedzanie Petry poświęciłem osiem godzin, ale nie zobaczyłem wszystkich obiektów. Wróciłem już o zmroku, poprosiłem hotelarza o elektryczny piecyk, przez nieszczelne okna bardzo wiało chłodem.

9 grudnia. O 6.40 jest busik do Wadi Rum, wiem, że są tam cuda przyrody, ale chcę zachować pamięć Petry. Co godzinę odjeżdża busik do Aqaby, marzę o wygrzaniu się na plaży, nurkowaniu nad jedną z piękniejszych w świecie raf koralowych. Przejazd trwa około godziny, 1 D. Hotele najdroższe w Jordanii, ale w cenie 10 D znajdują pokój w Al-Jameel Hotel, którego nie polecam ze względu na tragiczne warunki sanitarne, chociaż jest położony bardzo blisko promenady nadmorskiej. Można spacerować chodnikiem wzdłuż plaży, przy której czekają łodzie ze szklanym dnem, na przejażdżki po zatoce Morza Czerwonego. Przygotowałem się na pływanie w masce z rurką, ale kiedy na łodzi owionął mnie zimny wiatr, odeszła mi ochota na skok do wody. Rafa urozmaicona, ale głównie puszkami i innymi śmieciami. Przy samym brzegu jest zatopiony czołg; różne są teorie jego zatopienia, na żelastwie rozwinęły się kolonie koralowców, ale nurkowanie do środka, to raczej atrakcja dla nurków z odpowiednim sprzętem. Dochodzę do ruin średniowiecznego zamku, w których jest miejscowe muzeum, można je sobie podarować. Na naprawdę piękne plaże południowe trzeba jechać taksówką. Z promenady doskonale widać Ejlat i elegancką, hotelową część Aqaby.

10 grudnia. Cały dzień odpoczywam, spaceruję po plaży, siedzę w cieniu palm i oddycham morską bryzą.

11 grudnia. Dopytałem się, że o 12.40 jest autobus w stronę granicy, postanawiam iść piechotą, to około 10 kilometrów. Po drodze wstępuję do ruin arabskiej twierdzy, nic szczególnego. Taksówkarze informują mnie, że granicę mogę przekroczyć tylko

w pojeździe, to okazuje się prawdą, ponieważ najpierw przechodzi się przez posterunek wojskowy, podwozi mnie bezpłatnie taksówkarz do punktu kontroli paszportów, odprawa przechodzi bez problemów, pokazuję kwity opłaty za wizę, nie żądają opłaty wyjazdowej. Do granicy izraelskiej idzie się pieszo, ale to kilkanaście metrów. Żydzi postarali się uatrakcyjnić przejście, cztery razy sprawdzali paszport, czasem mając jakieś wątpliwości, rozstrzygane zespołowo, dwa razy bardzo dokładnie przeglądali plecak, oczywiście twierdziłem, że kilogramowe opakowanie daktyli kupiłem na suku w Jerozolimie. Z terenu przejścia granicznego do dworca autobusowego jest około trzech kilometrów. Tak więc w południe byłem w hostelu Cornne. Czekam na Danusię, aby załatwić kartę pokładową na jutrzejszy lot do Polski.

12 grudnia. Zamówiony autobus przyjechał punktualnie, na lotnisku też spokojnie, chociaż pytali np. gdzie pakowaliśmy plecaki, kto przy tym był itd. Pytania mogą być różne, a odpowiedzi takie, jakich oczekują odprawiający. Mimo drożyzny w Izraelu i nieuczciwego potraktowania mnie na granicy czeka mnie kolejna wizyta w Izraelu, ponieważ wbito mi tyle pieczętek, że do krajów muzułmańskich wjazd mam z głowy, ale chętnie odwiedzę Jordanię lub Egipt, bo te kraje nie zwracają uwagi na izraelskie stemple i dołot przez Ovdę można potraktować jako bardzo tani sposób do Jordanii i Egiptu.

Iran – do trzech razy sztuka



Termin: 12–22 kwietnia 2015

Do Islamskiej Republiki Iranu próbowałem wjechać już dwukrotnie w przeszłości. Pierwsza nieudana próba przypadła na okres zamieszek wyborczych w 2008 roku, gdzie na ulicach Teheranu ginęli ludzie. Zrezygnowałem. Dwa lat później, gdy sytuacja uspokoiła się nieco i naród przyjął kontrowersyjne rządy prezydenta Ahmadineżada jako nieunikniony rozdział w historii kraju, podjąłem drugą próbę ubiegania się o wizę. Tym razem administracja twardego rządu powiedziała mi NIE. Odczekałem następnych pięć lat, kiedy Iranowi zabrakło obcej waluty, a podejście ambasad i konsulatów nieco zmieniło się i wystąpiłem, jak sobie obiecałem, z ostatnią petycją, o wydanie mi wizy. TAK, może Pan wjechać – brzmiała odpowiedź. Poleciałem więc, ale nie do Teheranu tylko bardziej na południe kraju do Isfahanu, aby być bliżej głównego celu podróży – miasteczka Minab w prowincji Hormozgan.

Trasa: Isfahan – Yazd – Bandar Abbas – Wyspa Qeshm – Bandar Abbas – Minab – Shiraz – Persepolis – Isfahan

Uczestnicy: MGT, czyli samowzająca Mała Grupa Turystyczna, w skład której weszli: Tomasz Szymkiewicz, Maciej Lisiewicz oraz Jakub Tomiczek

Przełot: Polecieliśmy liniami Turkish Airlines, mającymi w owym czasie status najlepszej linii lotniczej w Europie. Faktycznie zasługują na to miano, może poza jednym czynnikiem, który odbiera im odrobinę chwały – nie dają mil premiowych w programie Miles and More za bilety zakupione w tańszych taryfach. A te faktycznie nie są wygórowane. Za lot z Berlina do Isfahanu i z powrotem w bardzo przyzwoitych godzinach z krótkim czasem oczekiwania w Stambule zapłaciliśmy około 1700 zł. Do Teheranu bilety były 300–400 zł tańsze, a do Shiraz 300–400 zł droższe.

Waluta: Walutą obowiązującą w Iranie jest rial. Sprawa niby prosta, gdy będziemy przeliczać po oficjalnym kursie (w kantorach najlepiej – 1 euro = 35 500 riali), ale nieco się komplikuje, gdy wszyscy dookoła podają ceny w tomanach albo czasami we wspomnianych rialach, częściej jednak w tomanach, nie zaznaczając tego wyraźnie. Jeden toman to 10 riali. To takie uproszczenie, żeby nie trzeba było używać zbyt dużej liczby

zer. Trzeba więc nieustannie mieć włączony „wewnętrzny kalkulator”, chroniący przed finansową wpadką.

Jeżeli chodzi o kwestie, jaką walutę przywieźć, to nie ma wielkiego znaczenia, czy wylądujemy z plikiem euro czy dolarów. Z innymi walutami może być na prowincji gorzej, w sensie takim, że trudniej je wymienić lub można to zrobić po gorszym kursie. Jedna sprawa jest na razie pewna – trzeba przywieźć gotówkę na cały okres pobytu. Żadne bankomaty w kraju nie obsługują kart w systemie Visa lub Mastercard, a przesłanie pieniędzy z Europy to wielodniowy i skomplikowany proces.

Wizy: Wizę można otrzymać w niektórych portach lotniczych, takich jak Teheran czy Isfahan po przylocie, ale może to być ryzykowna opcja. Słyszałem o odmowach wydania. Bezpieczniej, ale i drożej jest uzyskać wizę przed wyjazdem. Można aplikować bezpośrednio w Ambasadzie w Warszawie, ale ostatnio współczynnik odmów wizowych oscylował na poziomie 50%. Uzyskując wcześniej tzw. kod autoryzacyjny od irańskiej agencji wyspecjalizowanej w tego typu procederach, mamy prawie pewność, że w warszawskiej Ambasadzie Islamskiej Republiki Iranu przyznana zostanie nam wiza. My skorzystaliśmy z pomocy pośrednika (wizaserwis.pl), który zajął się całym procesem. Kosztowało to ponad 600 zł za osobę.

Bezpieczeństwo: Dla indywidualnego turysty z plecakiem Iran jest bezpiecznym krajem. Wyjątek stanowią tereny przygraniczne z Irakiem, Afganistanem i Pakistanem, gdzie trzeba dokładnie sprawdzić sytuację przed wyjazdem. Środkowy Iran, do którego udaje się większość podróżników i gdzie zlokalizowana jest większość atrakcyjnych miast, takich jak Shiraz, Isfahan czy Yazd, jest zupełnie wolny od konfliktów i bezpieczny. My zwiedzaliśmy głównie południową część kraju, czyli prowincję Hormozgan i tam także było zupełnie spokojnie mimo absolutnego braku turystów.

Transport: Iran ma bardzo dobrze rozwiniętą sieć drogową, a dzięki temu sprawnie funkcjonujący transport autobusowy. Wygodne dalekobieżne autobusy o wysokim standardzie i stosunkowo niskiej cenie docierają do większości miast wartych odwiedzenia. Kolej także działa sprawnie. Raz korzystaliśmy z nocnego pociągu na trasie Yazd – Bandar Abbas, gdzie kuszetki były czyste, na ekranie przedziałowego telewizora pojawiły się sceny kina irańskiego, a obsługa pociągu rozdawała tanie i smaczne posiłki.

Podróżując w kilka osób, warto rozważyć opcję wynajęcia całej taksówki, co także bywa popularną i niedrogą opcją. Taksówkarze chętni do zarobku bez wahania zabiorą turystę np. z Isfahanu do Yazdu, nie żądając wcale astronomicznych kwot. Jeżeli chodzi o transport powietrzny, to czasy latania po Iranie za 20 dolarów już chyba bezpowrotnie minęły, ale nadal przemieszczanie się drogą lotniczą nie jest horrendalnie drogie, a oszczędza długie godziny spędzone w pociągu czy autobusie. Jedyнным kłopotem jest bezpieczeństwo obniżone stanem technicznym samolotów niewymienianych i nieserwisowanych przez długie lata.

Przewodniki i literatura: Na temat Iranu pojawiło się na polskim (i światowym) rynku wiele pozycji. Jak to z reguły bywa, jedne warte są poświęconego na czytanie czasu i pieniędzy, na inne szkoda „złamanego grosza”. Poniżej podam kilka pozycji, które wpadły mi w ręce i dostarczyły garść ciekawych informacji na temat Islamskiej Republiki Iranu.

Iran – Lonely Planet 2008

Iran – Bradtguides 2011

Ajatollah śmie wątpić – Hooman Majd

Demokracja Ajatollahów – Hooman Majd

Szachinszach – Ryszard kapuściński

Czwarty Pożar Teheranu – Marek Kęskrawiec

RELACJA Z PODRÓŻY

12 kwietnia. Zawsze oczekuję pierwszego powiewu powietrza po wyjściu z samolotu po wylądowaniu w jakimś egzotycznym, odległym od Polski kraju. Także i tym razem myślałem przed wyjazdem, jak będzie pachnieć powietrze w Isfahanie i czy przywita nas chłód wiejący znad gór Zagros czy już może wiosenne powietrze docierające tutaj z odległej Pustyni Lota. Było raczej chłodno, gdy przyziemiliśmy wczesnym rankiem na płycie lotniskowej i po dość sprawniej odprawie rozpoczęliśmy poszukiwania kierowcy taksówki, która za równowartość 7 euro zabrała nas na dworzec autobusowy Jey we wschodniej części miasta. Taksówkarz początkowo krzywił się trochę, gdy nie mieliśmy riali, ale ostatecznie przystał na unijną walutę. Na dworcu nie upłynęło więcej niż dziesięć minut, zanim znaleźliśmy kolejnego śmiałka, który przetransportować miał nas do odległego o ponad 300 kilometrów miasta Yazd. Tym razem cena była wyższa, ale dystans także. Za czterogodzinną poranną podróż zapłaciliśmy 42 euro. Przed 11.00 stawiliśmy się nieco sfatygowani podróżą w hotelu o przywołującej podróżnicze skojarzenia nazwie Silk Road, przed którym zaparkowany był niemiecki kamper z napisem Iran is Great. Właściciele wycenili dla nas pokój 3-osobowy ze śniadaniem na 55 amerykańskich dolarów. W hotelu można było także zamówić obiad czy kolację na ciepło. Delikatne mięso wielbłąda w smakowitym sosie kosztowało 100 000 riali. Wieczorem wystarczyło nam energii na zobaczenie ciekawego spektaklu, bo tak chyba można nazwać „zurkaneh” – rodzaj rytualnych tańców połączonych z ćwiczeniami w siłowni męskiej, gdzie panowie przy dźwiękach tradycyjnej muzyki nadzorowanej przez profesjonalnego muzyka-didżeja ćwiczyli swoje mięśnie i oddawali się transowym tańcom przypominającym momentami wirujących derwiszy. 100 000 riali od osoby pobierali dozorczy siłowni za ponad godzinne przedstawienie.

13 kwietnia. Za kolejowy bilet do Bandar Abbas z Yazdu trzeba było zapłacić 600 000 riali. Pociąg wyjeżdżał o 20.00 w blisko 700-kilometrową podróż i oferował czterolóżkowe przedziały. Gdy załatwiliśmy wszystkie biletowe formalności, ruszyliśmy pieszo do Świątyni Ognia, a następnie za 170 000 riali taksówką udaliśmy się do Wież Milczenia. Warto odwiedzić to miejsce chociażby dla samej atmosfery, ciszy, która tutaj panuje, i widoku z jednej z wież na całe miasto Yazd i pustynne okolice. Długo wzbraniał się przed propozycją taksówkarza, aby obiad zjeść w hotelu Moshir, ale ostatecznie było warto. To jeden z lepszych hoteli w mieście, jeśli nie najlepszy. Przy wyjściu do ogrodu dwie amazońskie ary strzegące drzwi pięknie prezentowały swoje upierzenie, a wystrojeni kelnerzy wraz kilkudziesięciocentymetrowym karłem obsługiwali nielicznych klientów. Spodziewałem się, że stracimy tutaj fortunę, ale się myliłem – za 160 000 riali dostaliśmy ogromne danie, składające się ze świeżej ryby, potężnej miski ryżu i zimnych napojów.

Najciekawsza część dnia miała dopiero nadejść. Gdy delektowaliśmy się królewskim jedzeniem w hotelu Moshir, nasz zaprzyjaźniony taksówkarz planował naszą eskapadę do Chak Chak, miejsca niemalże świętego dla Zoroastrian. Warto tam pojechać. Nas kosztowała ta kilkugodzinna wycieczka 200 000 riali od osoby, czyli 600 000 za całe auto z kierowcą.

Gdy zbliżała się godzina wieczornej podróży koleją, za 80 000 riali przenieśliśmy się z plecakami na nowocześnie wyglądający dworzec, aby z godzinnym opóźnieniem wyruszyć w długą drogę na ciepłe południe.

14 kwietnia. Ósmą rano pokazał zegar na stacji w Bandar Abbas, gdy wysiadaliśmy w porannym skwarze na głównym peronie. Kilka minut przejazdu taksówką oddzielało nas od niewielkiego portu, gdzie małe kilkudziesięcioosobowe motorowe łodzie, odpływające co godzinę, zabierały podróżnych, chcących znaleźć się na magicznej wyspie Qeshm. Tutaj, gdzie publiczny transport praktycznie nie istnieje, przyjeźdźni skazani są na wynajmowanie taksówek na godziny. Nam udało się wynegocjować 200 000 riali za godzinę. To chyba dobra cena, bo w trakcie kolejnych dni nigdy nie udało się takiej ceny powtórzyć. Dotarliśmy do jaskini Khavas, a potem do Stars Valley, gdzie za 20 000 riali od osoby można było przespacerować się wąwozami otoczonymi przez pionowe skały, przypominające trochę amerykańskie kaniony pokazywane na westerbach. Baza hotelowa, poza miastem Qeshm, praktycznie nie istnieje. Udaliśmy się więc do poleconego przez taksówkarza domu Mr Amina w wiosce o nazwie Tabl. Za nocleg wraz z trzema smacznymi, świeżymi posiłkami płaciliśmy właścicielowi po 800 000 riali od osoby. Ulokował nas w przestronnym pokoju z materacami rozłożonymi na podłodze i klimatyzatorem hałasującym na potęgę. Późnym popołudniem kolejny taksówkarz, tym razem polecony przez pana Amina zabrał nas na jedną z plaż, gdzie mogliśmy wykąpać się w wodach Zatoki Perskiej. W drodze powrotnej ustaliliśmy przystanek w malowniczej wiosce Laft, gdzie dziesiątki murowanych wieżyczek służących za naturalne klimatyzatory, zwanych tutaj badgirami, tworzyło piękną panoramę miasteczka w promieniach obniżającego się, pomarańczowego słońca. Tym razem zapłaciliśmy 250 000 riali za godzinę pracy taksówkarza.

15 kwietnia. Chcąc zobaczyć Park Harra i gniazdujące w nim ptaki, warto wstać przed piątą rano. Z domu pana Amina do małej przystani, z której łodzie wypływają, do parku jest blisko – niecałe 15 minut jazdy autem. Za przewodnika, który jednocześnie prowadzi małą motorówkę, trzeba zapłacić 700 000 riali do podziału na liczbę płynących osób. Polecam to miejsce miłośnikom ptaków. Widzieliśmy zimorodki, czaple, a wysoko nad głowami przelatowała od czasu do czasu szukająca pożywienia warzęcha. Poza tym w cieniu mangrowców można było dostrzec tuziny mułskoczków.

Po obfitym, smacznym śniadaniu przenieśliśmy się do kanionu Char Khuh, gdzie fascynujące formacje skalne przypominają trochę amerykański Kanion Antylopy w Arizonie. Byliśmy tam dosłownie sami w najgorętszym momencie dnia – w samo południe, gdy słupek rtęci wskazywał 35 stopni. To dopiero wiosna. Następnie taksówkarz zostawił nas w mieście Qeshm przy restauracji Nazeem, gdzie za 170 000 riali skonsurowaliśmy duży obiad, składający się ze świeżej ryby z ogromną ilością doprawionego ryżu w otoczeniu przeróżnych warzyw. Przed 15.00 zajęliśmy miejsca w małej łodzi motorowej pędzącej do portu w Bandar Abbas. Za godzinną przeprawę trzeba uiścić opłatę w wysokości 125 000 riali.

Z hałaśliwego Bandar Abbas, gdzie znacząca liczba mieszkańców to Arabowie, a nie jak w większości irańskich miast Persowie, odjeżdżają za 200 000 riali zbiorowe taksówki, zwane tutaj dźwięcznie savari, do miasta Minab, bliżej pakistańskiej granicy. Szeroka asfaltowa droga wije się wzdłuż wybrzeża, doprowadzając podróżnych przed samym miastem Minab do malowniczych wyschniętych gór o kolorze ciemnobrązowym. Miejscami przy drodze pojawiają się dziesiątki palm, co tworzy zgoła odmienny obraz od suchego irańskiego płaskowyżu. Zatrzymujemy się w jednym z dwóch hoteli w mieście, które wymienia przewodnik Lonely Planet jako całkiem przyzwoite. Hotel Saadaf jest pusty i cichy, a recepcjonista wyglądający na właściciela proponuje po negocjacjach cenę 900 000 riali za pokój 3-osobowy. Zatrzymuje, ku naszemu początkowemu zaskoczeniu, nasze paszporty i kasuje należność z góry. Może nie wzbudzamy zaufania i potajemnie planujemy poranną ucieczkę bez uiszczania należności?

16 kwietnia. To nie ma znaczenia. Wszystko co się liczy w Minab i dlaczego warto tutaj przyjechać, to Panjshambe Bazar, czyli Czwartkowy Targ. Wizyta tutaj to trochę jak surrealistyczne przeżycie przeniesienia się w świat terminatorów czy raczej ludzi-ptaków. Bajecznie kolorowo wystrojone arabskie kobiety Bandari majestatycznie sunące na targ w podnoszącym się słońcu Zatoki Perskiej to nasz cel. Wzorzyste spodnie obcisłe na łydkach i zakończone złotymi wzorami, przykryte kolorowymi szatami przypominającymi zwiewne suknie wraz z czadorem zwanym tutaj shamat, a do tego najważniejszy element stroju – misternie wyszywane i zdobione maski dobrane gustownie do całego stroju. To one nadawały im wyglądu kolorowych ptaków. Nigdzie indziej na świecie nie widziałem tak ubranych kobiet. Co ciekawe, pierwsze zdjęcia o wczesnym poranku spotkały się z delikatną dezaprobatą właścielek tych niesamowitych strojów, ale następne godziny spędzone na oglądaniu stoisk i dokonane przez nas zakupy zjednały sobie większość pań na bazarze. Przynajmniej tych, które spędziły tam długie godziny, sprzedając swoje często ręcznie wytworzone produkty.

Około 14.00, kiedy słońce zaczęło swoją niemiłosierną pracę spalania ziemi, uciekliśmy w cień. Przypadkowo poznani sympatyczni i gościnni Irańczycy, Saba i Mohammed, zaprosili nas do swojego auta i wspólnie ruszyliśmy przez Bandar Abbas do położonego znacznie wyżej i przez to znacznie chłodniejszego Shirazu. Do centrum dużej metropolii dotarliśmy zaraz po północy.

17 kwietnia. Nasi irańscy przyjaciele chcieli pokazać nam Shiraz z jak najlepszej strony, więc ulokowali nas w centralnie położonym hotelu o nazwie Ariana (Mahdi), będącym własnością jednego z członków ich zamożnej rodziny, nie zważając za bardzo na grubość naszych portfeli. Może nie był to najtańszy dach nad głową w czasie naszej irańskiej wyprawy, ale za to wydane pieniądze miały swoje odzwierciedlenie w jakości noclegu. Pokój 3-osobowy z dużym śniadaniem kosztował 1 500 000 riali i był usytuowany zaraz przy Bulwarze Zand. Stąd już tylko 10 minut spaceru dzieliło nas od Cyta deli Karima Chana, gdzie za wstęp do tej imponującej budowli trzeba zapłacić 150 000 riali. Gdy słońce stanęło w zenicie, ruszyliśmy z Sabą i Mohammedem do grobowców Naqsh-e Rostam i Persepolis. Wstęp do każdej z tych wartych odwiedzenia atrakcji kosztował również 150 000 riali za osobę.

18 kwietnia. Rankiem, gdy mieliśmy już aż nadto naleśnikowych placeków serwowanych na codzienne śniadanie, ruszyliśmy na zwiedzanie bazaru Vakil. To niezwykle miejsce pachnące tysiącami przypraw i mieniące się srebrem, złotem i innymi kamie-

niami szlachetnymi jest jednym z ciekawszych punktów na turystycznej trasie miasta Shiraz. Zakupiliśmy także bilety na jutrzejszy, popołudniowy kurs autobusem VIP do Isfahanu. 300 000 riali kosztowało nas jedno miejsce w luksusowym autobusie, gdzie w jednym rzędzie ulokowane są tylko trzy siedzenia naprzeciwko płaskich ekranów, gdzie wyświetlają przeboje irańskich telenowel.

Gościnność Irańczyków ponownie dała o sobie znać, kiedy w porze obiadowej siedzieliśmy w wytwornej restauracji przy bazarze Vakil i zajadaliśmy się opiekanymi ziemniakami, rybą, świeżymi i gotowanymi na parze warzywami, popijając herbatę albo bardzo tutaj popularny napój o nazwie Doogh, przypominający trochę nasz kefir. Iście królewskie przyjęcie kosztowało około 250 000 riali za osobę.

Syccy udaliśmy się do ogrodów Eram, gdzie można było odpocząć i kontemplować otaczającą zielenią. Tutaj także trzeba zapłacić 150 000 riali za wstęp. Grób sławnego irańskiego poety Hafeza odwiedziliśmy późnym popołudniem, gdy słońce nie wyrządziło już tyle szkód białej skórze Europejczyków. 150 000 riali to wszędzie obowiązująca cena za wstęp do atrakcji. Także tutaj – do grobu Hafeza.

Wieczorem postanowiliśmy sprawdzić, czy Irańczycy potrafią naśladować Włochów w przygotowywaniu pizzy. Za 100 000 riali można otrzymać dużą i smaczną pizzę w popularnym barze fastfood zaraz obok naszego hotelu.

Zwyczajowo wyznawcy innej wiary niż islam nie mogą odwiedzić Mauzoleum Shah-e Cheraagh, ale zapoznani młodzi i energiczni studenci umożliwili nam wizytę w tym imponującym kompleksie. Trudno to opisać słowami, co podróżnik może zobaczyć we wnętrzach meczetu i przyległych budowlach. Nie spotkałem nigdzie podobnej świątyni w ciągu dwudziestoletniej tułaczki po świecie. Uważam to za najciekawszą architektoniczną niespodziankę Shirazu i całego Iranu. Nie zapłaciliśmy ani riala za wejście do tej majestatycznej atrakcji.

19 kwietnia. Meczet Nosiromolk najlepiej zobaczyć jest rano, kiedy promienie słońca rzucają światło przechodzące pod odpowiednim kątem przez kolorowe witraże umieszczone na jednej ze ścian małej świątyni. 150 000 riali trzeba zapłacić, aby wejść do wnętrza. Po ponownej wizycie na bazarze Vakil i sfinalizowanych tym razem zakupach pamiątek udaliśmy się na dworzec autobusowy, gdzie luksusowy autobus z posiłkami serwowanymi na pokładzie zabrał nas w 7-godzinną podróż do Isfahanu.

20 kwietnia. Podobnie jak właściciel hotelu Sadaaf w Minab, dwaj energiczni, w sile wieku bracia prowadzący hotel Amir Kabir żądali 900 000 riali za pokój trzyosobowy i nie mieli zamiaru obniżyć tej ceny ani o jednego riala. Serwowali skromne śniadanie na kwadratowym dziedzińcu, w którym wyschnięte drzewo rzucało strzępy cienia, gdy słońce rozpoczynało swoją wędrówkę po isfahańskim niebie. To chyba uczciwa i niezbyt wygórowana cena jak na tak duże miasto, w którym zamierzaliśmy spędzić nasze ostatnie dwa dni w Islamskiej Republice Iranu.

Isfahan to plac Naqsh-e Jahan i wszystkie znajdujące się na nim imponujące budowle. To po to głównie przyjeżdżają tutaj tłumy żłaknionych Orientu obywateli. Odwiedziliśmy Meczet Szajcha Luft Allaha, Pałac Ali Kapu i ogromny Meczet Imama. Wszędzie odchudzono nasze portfele o 150 000 riali. Po obiedzie, składającym się z hamburgerów po 100 000 riali sprzedawanych w małym barze przy głównym placu Naqsh-e Jahan, pospacerowaliśmy do ormiańskiej dzielnicy Jolfa; tam imponująca katedra Vank przywoływała wspomnienia z sąsiedniej Armenii, gdzie w Echmiadzynie

oglądaliśmy podobną świątynię. Łatwo było odgadnąć cenę wstępu do katedry. Było to mało zaskakujące 150 000 riali. Zobaczenie fresków we wnętrzu było warte nawet dwukrotność tej ceny.

21 kwietnia. Dla niektórych Isfahan to mosty. Po porannej wycieczce na rowach wodnych wzdłuż brzegów rzeki Zayandeh ruszyliśmy pieszo na kilkunastokilometrową wycieczkę, aby zobaczyć pięć starych mostów isfahańskich. Dotarliśmy do mostu Marnan najbardziej wysuniętego na wschód, następnie przystanęliśmy przy moście Si-o-Seh posiadającym 33 łuki kamienne, później zrobiliśmy dwa krótkie przystanki przy mostach Chubi i fotogenicznym Khaju. Najdłużej zajęło nam dotarcie do oddalonego o prawie cztery kilometry najstarszego mostu Shahrestan, którego konstrukcję datuje się na XII wiek. Był to jednak przyjemny spacer wzdłuż szumiącej rzeki, gdzie można było obserwować piknikujących Irańczyków i sporadycznie trenujące kajakarstwo młode studentki.

Przy mojej znajomości kilkunastu słów w języku farsi i totalnym braku opanowania jakiegokolwiek słowa po angielsku przez mojego rozmówcę przekonaliśmy napotkanego taksówkarza, aby za 150 000 riali zawiózł nas do Parku Safeh górującego nad kilkumilionowym miastem. Wieczorem pożegnaliśmy Isfahan, kiedy miły znajomek właścicieli hotelu Amir Kabir podwiózł nas na lotnisko Shahida Beheshtiego.

Południowe Indie. Od Goa do Chennai



Termin: lato 2015

Ceny: Wymiana pieniędzy: 1 USD = 3,75 PLN, 1 PLN = 17,30 Rp, wymiana na lotnisku w Chennai: $200 \text{ USD} \times 60 \text{ Rp} = 12\,000 \text{ Rp} - 840 \text{ Rp}$ (opłata za wymianę) = 11 160 Rp, 1 USD = 56 Rp, na lotnisku w Goa: $300 \text{ USD} \times 63 \text{ Rp} = 18\,900 - 200 \text{ Rp}$ (opłata za wymianę) = 18 700, 1 USD = 62,30 Rp; wymiana w Goa – zaprzyjaźniony z moim taksówkarzem, $300 \text{ USD} \times 65 = 19\,500 \text{ Rp}$.

Transport: Samolot Jet Airways: Chennai – Goa 11.10–14.10 (29.08.2015, międzylądowanie w Bangalore) – limit bagażu 15 kg, ręczny – 7 kg, ATR 72, cena 450 zł.

Taxi Lotnisko Dabolim (Goa) – centrum Panjim – 670 Rp, kierowca z autem po okolicy – Goa – AC – 8 godz. lub 80 km – 1800 Rp, jeśli non-AC – 1500 Rp; jeśli było więcej niż 80 km, wtedy przelicznik 18 Rp za kilometr, czyli np. za 125 km zapłaciłem 2600 Rp.

Przejazd riksą z dworca Hospet do hotelu w pobliżu Hampi – 200 Rp, przejazd riksą z Barry'm po południu wraz z wjazdem na punkt widokowy zachodu słońca Malayanata Raghunath Temple – po negocjacjach – 750 Rp. Przejazd riksą cały dzień z Barry'm – po Hampi – 1800 Rp, przejazd samochodem od godz. 7.00 do 18.00 – zwiedzanie Badami-Pattadakal-Aihole – około 300 km – 6900 Rp, przejazd samochodem Mysore – Somnathpur – Srirangapattana – Mysore (z kierowcą) – około 3 godz. jazdy (od 13.00 do 19.00) 2100 Rp, riksza ze stacji kolejowej w Mysore do mojego hotelu La Villa – 100 Rp, kursy z hotelu do pałacu maharadży – ok. 1,5 km – 40–50 Rp, bilet na autobus miejski w Mysore – 10 Rp.

Pociągi: Hampi Express (Hospet 21.05 – Mysore 9.20, prowadzi pociągi klasy 1A, 2A, 3A, SL, II) cena nominalna w internecie AC 2 A – 1215 Rp, AC 1A – 2035 Rp, ale zapłaciłem w agencji turystycznej Guru Travels, Main Road, Hampina 2 dni przed odjazdem 2400 Rp, w puli TATKAL dystans – 545 km. Pociąg Howrax Express Madgaon – Hospet: 7.50–14.53 – 860 Rp (stan PQWL) – 352 km, Shatabdi Express (Mysore–Chennai: 14.15–21.25, cena za AC chair – 945 Rp – miejsce było dostępne na 4 dni przed odjazdem.

Hotele: Welcome Heritage Panjim Pousada, 31st January Road, Fontainhas, Panjim, Goa – za noc 3520 Rp + 8, 4% service tax + 3,6% luxury tax = 3942 Rp/ noc.

Heritage Resort Hampi, Hosa Malpangaudi Village, 48 C/4B ze śniadaniem – 5 500 Rp/ noc.

La Villa, 942, 2nd Main Lakshmipuram, 570004 Mysore, lavillamysore@gmail.com – 4588 Rp / noc (w tym 12% tax luxury oraz service tax – 8,4%).

Ceny w sklepach: coca-cola – 2,25 l – 85 Rp, butelka Fanty – 0,6 l – 40 Rp.

Ceny w restauracjach: Panjim – Verandah Restaurant – Pork Sorpotel – 390 Rp, zupa (Caldo verde) – 150 Rp, kieliszek porto – 110 Rp, Masala Papad – 90 Rp, kiełbasa w stylu goa – 350 Rp, Cheese Naan – 90 Rp, Feni – 60 Rp, duży dzbanek herbaty – 120 Rp, Vindaloo pork (wieprzowe) – 390 Rp, kalafior z przyprawami – 230 Rp, Garlic Naan – 90 Rp.

Pizza wegetariańska w hotelu w Hampi – 200 Rp, herbata – 80 Rp.

01.09.2015 – Paneer Tikka (ser biały w sosie) – 225 Rp, Naan Garlic – 70 Rp, Ghost Rogan Josh (kaszmirska potrawa – baranina) – 375 Rp.

02.09.2015 – Naan maślane – 70 Rp, Dal Fry – 130 Rp, Gobi manchurian – 210 Rp, ale doliczali tam jeszcze podatek 14,5%, service tax – 5,6%, service chargé – 1,5%, łącznie 22%. Pizza vegetariańska – mniejsza – 250 Rp.

Wstęp do obiektów: Wstęp do Hampi – niektóre obiekty – bilet łączony – kompleks Elephant Stables + Lotus Mahal oraz Muzeum Archeologiczne oraz Vitthala Temple – 250 Rp. Wstęp do Virupaksha Temple (Hampi) – osobny – 10 Rp oraz zostawienie butów – 2 Rp. Wstęp do Badawi – 100 Rp dla cudzoziemcy + 25 Rp za kamerę wideo, Patadakal – 250 Rp, Aihole – 100 Rp. Wstęp do świątyni Somnathpur – 100 Rp. Wstęp do pałacu sułtana Tipu (Daria Daulat Bagh) – 100 Rp. Pałac maharadzy w Majsurze – 200 Rp (cudzoziemiec). Muzeum Rzeźb Piskowych w Majsurze – 40 Rp (8–18.30, codziennie) koło Sree Saphmathurukha Layout.

<https://www.tourmyindia.com/blog/top-cultural-festivals-india/> – ta strona to kopalnia wiedzy o festiwalach w Indiach na rok 2015.

RELACJA Z PODRÓŻY

Przylot do Chennai. To był już mój piąty pobyt w Indiach i po raz drugi w południowych Indiach. Wylądowałem na lotnisku w Chennai i zamierzałem następnego dnia polecieć do Goa. Stamtąd już drogą lądową planowałem wracać przez stan Karnataka do Chennai i odlecieć do Polski. W Polsce wykupiłem tylko bilet lotniczy do Goa, a resztę chciałem już załatwić na miejscu.

Na lotnisku w Chennai (dawna nazwa Madras) przy kontroli paszportowej nie mieli takich nowinek technicznych jak tykanie okiem do kamery czy okazywanie swoich linii papilarnych na rzecz obcego państwa. Odebrałem swój bagaż i wymieniłem 200 dolarów po dość lichym kursie (60 rupii za dolara) i dość wysokim podatku (odliczyli jeszcze 400 rupii). W porównaniu do tego, co było przed dwoma laty, rupia spadła znacznie (przedtem 1 dolar był wart nieco mniej niż 50 rupii).

Nikt na mnie nie czekał z tabliczką, choć hotel był powiadomiony i chwalił się transferem z lotniska. Na dodatek nie było instytucji prepaid taxi, może i z powodu późnej pory wieczornej. W każdym razie panowały już prawa dżungli i chaosu samowolnych kierowców tzw. taksówek. Z duszą na ramieniu skorzystałem z kręcącego się w strefie zarezerwowanej dla podróżnych jakiegoś obrotowego jegomościa. Wolałem jednak nie obdarzyć go zbyt dużym zaufaniem, w tym ciągnięciem mojej walizki.

Po chwili ściągnął jakiegoś swojego kumpla z autem i w trójkę ruszyliśmy pod wskazany adres. O tej porze i w sytuacji dwóch na jednego, nie były to warunki z moich marzeń. Dobrze przynajmniej, że hotel miał być nie dalej niż dwa kilometry. Gdy dojechalśmy pod bramy hotelu, odetchnąłem z ulgą, zapłaciłem uzgodnione już 700 rupii, choć na pożegnanie usłyszałem jeszcze nieśmiało „miauczenie” o jakiegoś tipa.

Wbrew wszystkim prognozom pogody o nieustannym deszczu zarówno w Madrasie, jak i w Goa rankiem niepodzielnie królowało słońce. Czas było ruszać w dalszą podróż. Tym razem do Goa, liniami Jet Airways. Bilet opiewał na zabranie bagażu na 15 kilogramów, więc ponownie mój plecak podręczny zaczął ważyć niemal tyle, co duża walizka. Bo cena za nadbagaż nie była mała. Po około 17 złotych za każdy kilogram. Bagaż podręczny miał również ważyć nie więcej niż 7 kg. Obyło się jednak bez strat finansowych. Walizka skurczyła się do 15 kilo, a co do plecaka nikt niewygodnych pytań nie zadawał.

Nie był to lot bezpośredni. Zaliczyliśmy jeszcze międzylądowanie w Bangalore, ale bez konieczności zmiany samolotu. W międzyczasie wskoczyła do samolotu ekipa sprzątaczy, która każdy pyłek czy papierek po pasażerach, którzy wysiedli, uprzątnęła w dwie minuty. To też Indie, gdzie czasem dba się o czystość. Po kolejnej godzinie zaczęliśmy przebiegać się przez chmury zawieszone nad Goa.

Wędrówki po Goa. Bank na lotnisku o nazwie łatwej do zapamiętania Dabolim miał znacznie lepszy kurs i mniejszy tzw. podatek niż w Chennai, więc zamieniłem kolejne 300 USD. Była tu też instytucja płaconej uprzednio taksówki. Odległość z lotniska do Panjim była całkiem spora – prawie 30 kilometrów. Droga miejscami była czteropasmowa, choć bliżej miasta stawała się węższa i znacznie bardziej zatłoczona.

Mój hotel położony był w Fontainhas, dzielnicy jedno-, dwupiętrowych budynków – pamiętających jeszcze portugalskie panowanie; ale tylko kilka z nich stosowało się do starodawnych zasad, aby po każdym monsunie pokrywać budynek świeżą farbą. Do tych nielicznych należała moja Pousada Welcome Heritage Panjim Inn. Z początku nie zgadzała mi się zbyt nazwa z tym, co rezerwowałem, a Google map pokazywał mi lokalizację kilkaset metrów dalej. Powziąłem więc uzasadnione – jak na indyjskie warunki – podejrzenie, że choć mnie gorąco przywitali, to może niekoniecznie we właściwym hotelu. Ale dokładne poszukiwania okolicy z komórką w ręce tego nie potwierdziły. Po prostu oba hotele jakiś czas temu się połączyły, a mi proponowano do wyboru pokoik w tym drugim obiekcie.

Czas było rozejrzeć się po okolicy. Przejornie wziąłem ze sobą hotelowy parasol i można powiedzieć, że to był dobry wybór, tak jakbym w nosie miał jakiś bardzo dokładny barometr. Po kilkunastu minutach jak lunęło, to nawet mój parasol przed wodą mnie nie chronił. Pomimo wysokich krawężników można było zostać zmoczonym przez samochody przedzierające się spływającymi przez ulice strumieniami wody. Tak jak nagle lunęło, tak i po kwadransie wszystko prawie wróciło do normy, słońeczko z powrotem zatriumfowało.

Mój hotel oferował restaurację, do której się bardzo przywiązałem. Co wieczór zasiadałem przy tym samym stoliku, aby wybierać z karty coraz to nowe dania kuchni goańskiej, stanowiącej mieszankę kuchni hinduskiej i portugalskiej. Czego tam nie było w tym pierwszym dniu na moim stole! Kieliszek wina przypominający smakiem porto. To tak na rozruszanie kubków smakowych. Zupy nie były mocną stroną tej restau-

racji, a może i wielu innych miejsc, gdyż podawano je w małych czarkach i były tylko skromną zakąską dla kogoś, dla kogo wieczorne danie było głównym posiłkiem dnia. Trzeba było więc dobrać odpowiednie drugie danie. Tego wieczoru było to sorpotel z wieprzowiną, która wprawdzie jest wstępnie przygotowywana, a następnie przyrządzana w sosie z różnymi dodatkami. Co ciekawe, podobne danie przygotowują też w północnej Brazylii. Do tego wielki dzbanek herbaty i na deser feni, czyli alkohol sporządzany z owoców nerkowca. Mocny, bo czuć było aż nadto te jego 40 procent.

Następnego dnia rano ruszyłem na wycieczkę z umówionym wcześniej kierowcą. Taryfy za transport po stanie Goa są z góry ustalone. Za przejazd samochodem z kierowcą do 80 kilometrów lub jazdę nie dłuższą niż 8 godzin płaci się 1500 Rp (bez klimatyzacji) lub 1800 Rp z klimatyzacją. W planie miałem odwiedzić Starego Goa oraz leżącą niedaleko miejscowość Ponda. Tam dla odmiany znajdują się warte zobaczenia świątynie hinduistyczne położone w pewnej odległości od miasta Goa. Gdy około 1540 roku rozpoczęto na większą skalę niszczenie świątyń hinduskich i muzułmańskich, te świątynie się uchroniły, gdyż były ukryte z dala poza portugalską jurysdykcją.

Mogłem się spodziewać, że trochę czasu spędzę w aucie, stąd wybrałem auto z klimatyzacją. Moim szoferem na ten, jak i następne dni okazał się być sympatyczny Ajay, którego angielską wymowę czasem udawało mi się przy prostych zdaniach rozszyfrować. Wprawdzie jednak czekało mnie kupno biletu kolejowego. Moim następnym celem podróży miało być Hampi, miejsce wyśnione i wymarzone przeze mnie od dobrych kilkunastu lat. Można się tam było dostać autobusem, w tym również jadącym w godzinach nocnych, lub też pociągiem, który jeździ tylko trzy razy w tygodniu. Najbliższy pociąg miał ruszyć we wtorek wczesnym rankiem. Trzeba jednak było podobno bilet kupić osobiście. Pociąg jednak nie jedzie przez Panjim, a najbliższa stacja była oddalona kilkanaście kilometrów od miasta w pobliżu Starego Goa. Bilety można było też rezerwować na stacji autobusowej Panjim, ale w niedzielę biuro było nieczynne. Ruszyliśmy więc na najbliższą stację, gdzie po wypełnieniu wszelkich formalności papierkowych miałem stać się posiadaczem biletu najlepszej klasy – bo drugiej AC pociągu Howrah Express, który pokonywał w ciągu 36 godzin odcinek z wybrzeża Goa aż do Kalkuty. Ja, na szczęście, wysiąść mogłem już po 7 godzinach.

Wokół kościoła Bom Jesus w starym Goa (Velha Goa) panowało poruszenie. Było mnóstwo ludzi, a na ulicy sporo zaparkowanych aut. Wszyscy, którzy przyjechali, aby zwiedzić kościół musieli poczekać. Trwała niedzielna msza święta i turystów nie wpuszczano do środka. Po jej zakończeniu mogłem przyrzyć się wnętrzu świątyni. Robić zdjęcia można, z jednym wyjątkiem, aby nie fotografować ludzi modlących się, jak i nie robić sobie selfie. Ale miejscowi nagminnie łamali te zasady. Po prawej stronie w transepcie znajdował się ołtarz. To ołtarz św. Franciszka Xawerego, apostoła Indii – arcydzieło wykonane na zlecenie Wielkiego Księcia Toskanii w 1696 roku i następnie ofiarowane w darze świątyni. Mnóstwo tutaj marmuru i jaspisu. Tam prawie zawsze jest tłum osób – niektórych modlących się o uzdrowienie czy inne łaski, a czasem tylko zwykłych turystów. Można przejść stamtąd do krużganku, gdzie mieści się muzeum poświęcone przede wszystkim życiu św. Franciszka Xawerego.

Nie jest przesadne stwierdzenie, że liczba kościołów na jednostkę powierzchni miasta jest chyba rekordowa w chrześcijańskim świecie. Po przeciwnej stronie ulicy znajduje się jeszcze większa świątynia. To katedra będąca jedną z największych ko-

ściołów chrześcijańskich w Azji, czyli Se, której patronką jest św. Katarzyna Aleksandryjska. Z zewnątrz i wewnątrz panuje biel. Mogłbym to określić jako zimną biel, gdyby nie duszne i gorące powietrze, które obezwładniało mnie, jak tylko tam wszedłem. Przy tych wielkich i jeszcze większych kościołach łatwo pominąć małe perełki. Jedną z nich jest mały kościół, zwany Kaplicą św. Katarzyny, położony z tyłu za kościołem św. Franciszka z Asyżu. Podobna patronka jak w katedrze, bo i okazją rozpoczęcia budowy tuż po wkroczeniu ich do Goa, było upamiętnienie tej daty i patronki tego dnia. Styl niemal nie do odróżnienia od kościołków widzianych przeze mnie kilka miesięcy temu w Brazylii.

W Starym Goa, poza położonym na wzgórzu kościele Naszej Górskiej Pani, wszystkie inne, głównie sakralne zabytki pozostają dostępne w zasięgu spaceru. Ale jak ma się auto z kierowcą, to dlaczego nie podjechać te 500 metrów pod górkę w kierunku rozległych ruin dawnego kościoła i klasztoru augustynianów. Postawiono go w 1602 roku i stanowił wtedy największy kościół w Indiach. Te ruiny, w których tropikalna roślinność na dobre się zadomowiła, są wynikiem decyzji o rozwiązaniu wszystkich zakonów w 1834 roku. Budynki bardzo szybko popadły w ruinę; dach kościoła się zapadł już w siedem lat później, a w latach trzydziestych XX wieku los ten spotkał wielką pięciopiętrową fasadę i część wieży, zresztą już pobawionej dzwonów, które przeniesiono do kościoła Matki Boskiej w Nowym Goa. Obecnie rozpoczęto jakieś tam prace, co pozwala pospacerować po części kompleksu oczyszczonej z wszechobecnych krzewów, traw, drzew. Natura w tej części świata bardzo szybko odzyskuje to, co jej człowiek kiedyś wydarł. A jeszcze w XVII wieku mnisi mieli tutaj bibliotekę, która rywalizowała z biblioteką w Oxfordzie.

Pora było ruszać dalej. W zaplanowanym przeze mnie programie, dla odmiany i wyrwania się z okowów historii czy zabytków, miałem okazję wpaść do Ogrodu Korzennego, czyli Tropical Spicy Plantation, położonego kilka kilometrów od Ponda, miejscowości, gdzie uchowały się świątynie hinduistyczne. Ogród korzenny czy ogród przypraw to dość powszechna atrakcja, którą można spotkać na południu Indii czy w Cejlonie. Ale warto było sobie odświeżyć pamięć i coś przekąsić. Pooglądałem trochę drzewek, krzewów obfitujących w przyprawy i nie omieszkalem skorzystać z obiadu wliczonego w wędrowkę po ogrodzie. Najważniejsze było to, że przynajmniej wiedziałem, iż feni – alkohol z nerkowca należy pić przed posiłkiem. Stamtąd było już niedaleko do świątyni Shri Manguesh poświęconej bogowi Bhagavan Manguesh, czyli inkarnacji Sziwy; oddaje się tu cześć również jego małżonce Parvati i bogowi Ganeszy. Co najbardziej zwraca uwagę przy wchodzeniu na teren świątyni, to siedmiopiętrowa wieża, zwana Deepstambha (wieża latarni), przypominająca chińską budowlę.

Wieczorem – jak to już wpadło mi w rytm – kolację celebruję w swoim hotelu. Próbowiałem nawet rozeznaczyć, czy czasem nie ma jeszcze bardziej wyrafinowanej restauracji, ale ostatecznie wybrałem swój hotel. Miałem tam Internet i mogłem włączyć się w rozmowy międzykontynentalne przez whatsapp.

Następnego i ostatniego dnia mojego pobytu w Goa wybrałem się z tym samym kierowcą do Chandor, małej wioseczki, gdzie mieści się rezydencja arystokratycznego rodu Braganza. Oddalona jest od Panjim około 50 kilometrów. Górnołotnie określiła ją pewna dziennikarka jako Wersal ukryty w dżungli. Początków świetności rodowodu rodziny Braganza, jak i ich rezydencji należy szukać w XVI wieku. Po zbudowaniu re-

zydencji została ona podzielona pomiędzy dwie gałęzie rodzinne: rodzinę Antonio Elzario Sant, Ana Pereira, którzy zajmują wschodnie skrzydło budynku, druga zaś gałąź rodziny – Francisco Xavier de Menezes Braganza zajmuje zachodnie skrzydło pałacu.

Dwukondygnacyjny budynek z zewnątrz przesłonięty przez bujną roślinność wyglądał imponująco ze swoimi oknami i kremowym zabarwieniem murów. Znajdował się w samym środku Chandor i z okien pałacu widać było zarówno białe ściany kościoła, jak i położone tuż obok rodzinne mauzolea, dla każdej rodziny z osobna. Gdy wysiadłem z auta, wyszedł nam na spotkanie młody mężczyzna z rodu Pereira i to on został moim przewodnikiem tego poranku. Weszliśmy wpierrw do pokoju przyjęć pełnego krzesel z kolekcji rodzinnej z wrytymi inicjałami rodu. Cały dom aż kipiał od starych mebli, zdjęć dziadków, pradziadków, pra-pra-dziadków i babć, jak i wszelakich, czasem niezwykle cennych bibelotów. Mój gospodarz pozwalał na robienie zdjęć i korzystanie z tak wspaniałych siedzeń, gdzie nogi można było sobie relaksująco rozłożyć na poręczach. Ach, kiedyś to były dobre czasy, szczególnie, kiedy się miało fortunę. Obecnie w tym wschodnim skrzydle mieszka podobno 15 osób z rodziny. O tej porze roku zwiedzających nie ma zbyt dużo. Strużka zainteresowanych rośnie, kiedy zbliża się sezon, a jak na razie byłem pierwszym zwiedzającym tego dnia. Nie ma opłaty za wstęp. Po zakończeniu zwiedzania można wrzucić dowolną sumę do puszeczki na potrzeby konserwacji. Złożyłem tam 500 rupii, aby dowiedzieć się, że mogę przyrzec się jeszcze zachodniemu skrzydłu zaludnionemu przez rodzinę Menezes Braganza. Tam jednak – jak mnie uprzedzał mój przewodnik – aparat mogę już schować, bo zdjęć robić nie można. Drzwi do zachodniego skrzydła otworzyła mi starsza, dystyngowana pani. Największą dumą napawały ją nie wystrój wewnątrz czy też przepych, ale dokonania jej własnych przodków.

Kilkanaście kilometrów dalej znajduje się jedno z większych miast stanu Goa – Margao. Bardziej znane jako węzeł komunikacyjny i stacja kolejowa niż jako miasteczko do oglądnięcia. Ale w tym dniu mogłem sobie pozwolić na powolniejsze zwiedzanie; sporo tam było starych domów, które wyremontowane stałyby się wizytówką miasta, a tak większość mija miasto w drodze na plażę czy na dworzec kolejowy.

Nie mógłbym nie być w Goa, gdybym zaniechał przywitania się z Oceanem Indyjskim i kilometrami złotych piasków, przyciągających zimową porą tysiące zorganizowanych i mniej zorganizowanych turystów. Wśród nich znajduje się podobno mnóstwo Rosjan, którym władze idą na rękę i wystawiają wizę na lotnisku. Kiedyś zapełniali te okolice dzieci-kwiaty, dzisiaj królują napisy w cyrylicy w karcie dań na plażowej restauracji. Tego dnia było pustawo. Nieliczni turyści, nieco liczniejsi ratownicy i czerwona flaga, przestrzegająca przed kąpielą o tej porze roku, a może tylko dnia.

Wracaliśmy już do hotelu bocznymi drogami, przebiegającymi wzdłuż kolorowych domków ukrytych w gęstej roślinności, świadczących o względnej zamożności mieszkańców tych ziem. Drogi z dziurami stanowią raczej wyjątek, chodniki w mieście to prawie reguła w odróżnieniu od reszty Indii, gdzie granica między pasem dla pieszych i pojazdów jest niezwykle płynna, a jeśli nawet istnieje coś takiego jak chodnik, to zajęty jest niepodzielnie przez drobny i bardzo drobny handel. W Goa nawet żebraków czy proszących o wszystko dzieci prawie się nie spotyka. Taki nieco inny kawałek Indii.

Hampi i okolice. Mój kierowca, dla którego w ciągu ostatnich 3 dniach stałem się głównym pracodawcą, wiozł mnie z indyjską uliczną brawurą, próbując dojechać na

dworzec kolejowy z zawrotną średnią prędkością 65 km/godzinę. To nie ironia. Jak na zwykłe, indyjskie drogi przez wsie i miasteczka to naprawdę wynik był godny uznania. Czasem się to udaje, czasem kończy się mniejszą czy większą stłuczką, której próbkę z potłuczonym motocyklistą i obitym motocyklem widzieliśmy po drodze. Dworzec w Margao znajduje się na obrzeżach miasta, ale biuro rezerwacji biletów nie było jeszcze czynne. Doświadczenia w kupowaniu biletów czy ich rezerwacji dopiero się miałem nauczyć, choć na pewno nie zrozumieć. Według biletu miałem miejsce 5 w wagonie nr 9. Gdy przeszedłem się te 200 czy 300 metrów, aby wstąpić do sleepera II klasy o numerze 9, wyglądającym równie kiepsko z zewnątrz, jak i w środku, dowiedziałem się, że to nie jest właściwy adres. Albowiem o swoim miejscu w pociągu mogę się dowiedzieć dopiero przez internet, gdyż najważniejszy jest symbol PQWL (Pooled Quota Waiting List). Wprawdzie za ten bilet klasy 2 A zapłaciłem, ale dopiero sms z biura kolei mógł mi potwierdzić, jakie miejsce mi przysługuje. Ktoś z pasażerów szybko wstukał w swoją komórkę jakieś oznaczenia z mojego biletu i okazało się, że miejsce czeka na mnie, ale w drugiej części pociągu.

Pociąg już ruszył, więc czekało mnie przejście przez wszystkie 9 wagonów klasy sleeper, 3 wagony klasy B. Wreszcie nieco zmęczony po tych 12 wagonach dotarłem do upragnionego celu. Na kartce wewnątrz wagonu widniało moje nazwisko, więc mogłem odtrąbić sukces. Ten cel, upragniony cel był jednak prawie taki sam pod względem standardu jak inne wagony. Jedyne czym się różnił, to tym, że siedzeń, a raczej miejsc do leżenia było cztery, a nie sześć w bocznym przedziale (są jeszcze przynajmniej dwie leżanki równoległe do korytarza). Było też tzw. AC, ale zamiast dopływu świeżego powietrza przez poziome kraty była brudna szyba, przez którą ledwie co było widać. Dopiero wtedy sobie zacząłem przypominać, że kiedyś z własnej woli w Kerali zamieniłem taki wagon na ten pośledniejszy, gdyż przynajmniej można było pooglądać krajobrazy. Toaleta podobna jak w każdym wagonie, gdzie lepiej niczego nie dotykać i zamknąć oczy, ale raczej nie należy tego robić, bo można wpaść w gorsze tarapaty. Zasiadłem na którejś z dolnych leżanek i zmrzyłem nieco oczy.

Po kilku godzinach w moim przedziale zaczęli się dosiadać nowi pasażerowie. W ten sposób poznałem Matthew, który pracował przez pewien czas w branży hotelarskiej w miejscowości Hubli, a obecnie wybierał się wraz z rodziną w długą, 36-godzinną podróż do Kalkuty. To on mi zaczął wyjaśniać m.in. tajniki rezerwacji biletów i choć był bardzo komunikatywny, to nadal nie do końca to mogłem pojąć. Dowiedziałem się od niego, że dla mnie liczy się przede wszystkim bilet potwierdzony, a nie pozostawanie w kolejce czekających, czyli tzw. Waiting List. Rezerwacji często się dokonuje kilka tygodni, a czasem nawet i miesięcy wcześniej. Według Matthew dobrą opcją mógłby być przejazd autobusem, szczególnie że nie trzeba kłopotać się o wcześniejszą rezerwację; mają one podobno tzw. sleepery (miejscza do spania) lub semi-sleeper i jadą często znacznie krócej niż pociąg. Można też sprawdzić ich dostępność przez stronę internetową www.redbus.com.

Stacja Hampi. Trzeba się było spieszyć z wysiadaniem, bo po 5 minutach pociąg odjeżdża dalej. Jeszcze w pociągu objął mnie swymi opiekuńczymi skrzydłami młody Hindus, Barry. Powtarzał, że już jest Hospet, a następnie nie odstępował mnie na krok, aby ostatecznie stać się moim przewodnikiem po ruinach Hampi. Póki co – z pewną dozą obojętności na propozycję tej opieki – rozpocząłem poszukiwania kasy przed-

sprzedaży biletów. Kupiłem dostępny w sprzedaży bilet na pociąg z Mysore do Chennai, ale do Mysore była tylko Waiting List. Mój rykszarz, Barry, za 200 rupii zawiózł mnie do hotelu Heritage Resort Hampi. Warunki były całkiem miłe. Dostałem pokój w bungalowie, zrzuciłem tam swoje bagaże.

Warto było jeszcze wykorzystać te ostatnie dwie godziny przed zachodem słońca. Po wstępnych negocjacjach ustaliłem z Barrym sumę 750 Rp za objazd miasta. Miał mi pokazać miejsca, których jeszcze nie zamykano w późnych godzinach popołudniowych. Nie było zbyt dużo czasu do zmierzchu. Riksza przystanęła pod potężnymi murami otaczającymi Komplex Królewski, a po zwiedzeniu co ciekawszych obiektów zaczęliśmy wjeżdżać na wzgórze, gdzie mieści się Malyanata Raghunath Temple. Stamtąd rozciągał się widok na wzgórze obłożone olbrzymimi skałami. Podobno maczały w tym ręce małpy, tak przynajmniej mówi legenda. Dawno, dawno temu w czasach, o których opowiada Ramajana, była tu kiedyś stolica małp, które porozrzuciły te kamienie na dowód, że sił im nie brakuje.

Czas było wrócić do współczesności. Już po zmierzchu wjeżdżamy w wąskie uliczki Hampi Bazaar, dostępne jedynie dla naszego trójkołowego pojazdu. Miałem wpaść do restauracji u zaprzyjaźnionego z Barrym właścicielem oraz zorientować się, jak stąd dalej ruszyć. Trafiliśmy w miejsce, gdzie wszystko okazało się możliwe. Można było bowiem w jeden dzień objechać samochodem trzy spore atrakcje oddalone od Hampi jakieś sto kilkadziesiąt kilometrów pod warunkiem, że ruszymy wcześniej rano. A do tego znalazło się jedno miejsce w pociągu jadącym do Mysore w czwartek wieczorem. Było ono z założenia przeznaczone dla cudzoziemca. Wymieniłem więc kolejne 200 dolarów, zapłaciłem za objazd autem i bilet kolejowy. Bilet miałem otrzymać następnego dnia po 11. Mądrzejszy już o rady mojego Matthew, wiedziałem, że w tych tzw. złotych godzinach pomiędzy 10 a 11 można otrzymać potwierdzenie na bilety tzw. puli Tatkal. Są droższe, ale co robić, gdy nie mam zamiaru czekać zbyt długo. Wszystko więc pasowało i mogłem poświęcić cały następny dzień na zwiedzanie Hampi.

Następnego dnia wyjazd miałem zaplanowany na godzinę dziewiątą. Przede mną było poważne zadanie, aby ogarnąć to co najcenniejsze w Hampi, mając na uwadze, że można tu siedzieć wiele, wiele dni i sił by nie starczyło, aby się wszystkiemu przyjrzeć. Stąd musiałem się zdać na mojego kierowcę i zarazem przewodnika, który miał mi to choć w części przybliżyć. Dla uproszczenia ruiny miasta można podzielić na część sakralną ze świątyniami w pobliżu rzeki oraz część królewską, której kawałek mogłem ujrzeć poprzedniego dnia. Pierwszym punktem naszej wycieczki była świątynia Vithala. Lepiej skorzystać z przejazdu melexem, gdyż do samej świątyni idzie się co najmniej 20–30 minut. Pomimo zniszczeń jakie poczynili muzułmańscy zdobywcy miasta w 1565 roku, zachowała się ta świątynia prawie nienaruszona. Tu już obowiązywały bilety. Jeśli coś zostało uznane przez UNESCO jako światowe dziedzictwo kultury, to ceny wznoszą się do 250 rupii dla cudzoziemców. Dla obywateli Indii, ale również i mieszkańców sąsiadujących państw należących do organizacji SAARC i BIMSTEC (Afganistan, Bangladesz, Bhutan, Malediwy, Myanmar, Nepal, Sri Lanka, Tajlandia, a nawet i tak wrogi kraj jak Pakistan) cena wstępu wynosi 10 Rp. Mniejsza o to. Przynajmniej z tym biletem, ale tylko w tym dniu można odwiedzić jeszcze Muzeum Archeologiczne oraz kompleks zawierający Lotus Mahal i stajnię dla słoni. Reszta zabytków, nawet jeśli na

stale siedzi strażnik, nie wymaga posiadania biletu, choć czasem może być po godzinie 17 czy 18 zamknięte, jak łaźnie Królowej.

Świątynia Vithala jest tym obiektem, którego nie powinno się opuścić. Jest tutaj kamienny pojazd procesyjny, tzw. ratha, ciągniony przez dwa słonie – ulubione miejsce dla wszystkich, którzy chcą się utrwalić w gronie rodziny czy znajomych. Świątynia Vithali to też radosna i dźwięcząca świątynia i warto popробować stuknięcia w tzw. muzyczne kolumnienki.

Aby uzmysłwić sobie, jak były usytuowane poszczególne dzielnice, warto zaglądnąć do Muzeum Archeologicznego w miejscowości Kamalapuram już poza obrębem murów miasta. Jego atrakcją jest duża makietą dawnej stolicy. Muzea w tej części świata, jeśli nie posiadają klimatyzacji, nadają się tylko dla tych, co szukają sauny, bo pot leje się gęsto jeszcze szybciej niż w saunie. Na dodatek, jak to w Indiach, wyłączany jest prąd o niespodziewanych porach, a muzea nie mają własnych generatorów prądu. Wszystko to przeżyłem w ciągu kwadransu, jaki poświęciłem na zwiedzenie muzeum.

Wróciłem jeszcze raz do Kompleksu Królewskiego, w tym do Pałacu Lotosu i królewskich stajni słoni. Stajni jest zaledwie na 11 słoni, może dla tych, które trzeba było trenować, jak to wspominał mi Barry, a może dla tych szczególnie cennych. Tuż obok było kolejne muzeum, gdzie tabliczki ogłaszały zakazy fotografowania, jakby znajdowały się w nim rzeczy jeszcze piękniejsze niż to, co do tej pory widziałem. Jeszcze ciekawiej robi się już za stajnią. Tam podobno już chodzić nie można, ale ścieżka wysadzana palmami aż sama się prosiła, aby tam wstąpić. I było warto. Dopiero tam ujrzałem ile jeszcze świątynek mniejszych czy większych, zarówno tuż przy ścieżce, jak i wysoko, wysoko gdzieś na skałach, pozostaje nieodkrytych przed masowym turystą.

Nachodziłem się sporo, przydałby się więc i odpoczynek. Uległem namowom mojego kierowcy, aby na obiad wpaść do najwspanialszej knajpki nad brzegiem rzeki Thungabadra. Kulinarnie było całkiem niezłe, a jeszcze więcej radości miałem z obserwowania małych harców na dachu miasteczka. Ale musiałem zachować czujność. Ich żywe oczka śledziły klientów restauracji, czy czasem nie da się im coś podwędzić i wystarczyła chwila nieuwagi.

Wioska Hampet Bazaar ma sporo różnych tanich hotelików (guest-house) na każdą kieszeń, małych biur podróży, miejsc, gdzie można wynająć rowery czy motocykle. W obrębie wioski znajduje się też świątynia Wirupakszy (tak zwą w tej okolicy boga Sziwę). Tym razem była to nie tylko świątynia pamiętająca czasy królestwa Widźjanagaru, ale i żywe miejsce kultu, przyciągająca licznych pielgrzymów. Turyci są wpuszczani na teren świątyni, ale muszą złożyć drobną opłatę. Miało się już ku zachodowi słońca, kiedy wspiałem się na wzgórze Hemakuta, skąd rozpościera się jeden z najpiękniejszych widoków na tę część dawnego Widźjanagaru i obecnego Hampi Bazaar z górującą gopurą nad świątynią Wirupakszy. Lite skały, na nich zaś małe świątynki pamiętające czasy królestw istniejących jeszcze przed królestwem Widźjanagaru były najwspanialszą wizytówką tego miejsca na pożegnanie słońca i tego szczególnego terenu.

Następnego dnia zmieniam pojazd z rykszy na auto. Moim kierowcą był w tym dniu Surya. Czekał już na mnie przed hotelem. Jego imię było wypisane też na masce samochodu, stąd nie miałem kłopotów z odnalezieniem samochodu na parkingu wśród innych pojazdów. Indie mimo wszystko się zmieniają. Wjechaliśmy na drogę szybkiego ruchu łączącą Bangalore z Bidżapur, z trzema pasami drogi z każdej stro-

ny. Gdy dojeżdżaliśmy do skrzyżowania lub jakiejś wioski przy drodze, pojawiały się spowalniające garby, a od czasu do czasu spowalniały nas również bramki pobierania opłat. Wciąż egzystując na pograniczu snu i jawy, tę część drogi szybkiego ruchu do Badami przedrzemkałem. Wybudziła mnie ze snu zwykła indyjska droga. Na tyle szeroka, że pozwalała nam mijać bezkarnie motocykle czy rowery, ale na tyle wąska, iż musieliśmy bynajmniej nie z grzeczności zjeżdżać na pobocze przy spotkaniu z autobusem. Znikły gdzieś te wielkie skupiska okrągłych skał, tak charakterystycznych dla okolic Hampi, na polach królowała kukurydza czy trzcina cukrowa. Po 3 godzinach i przejechaniu 150 kilometrów (całkiem dobry wynik jak na Indie) dotarliśmy do Badami. Czym jest Badami. Ta część zabytkowa, za którą płaci się bilet, to ciąg czterech świątyń wykutych w jaskiniach, do których wspina się po stromych schodach. Należą one do kompleksu Południowego Fortu, czyli potężnej skały z czerwonego piaskowca wznoszącego się nad sztucznym jeziorem. Byłem tutaj jedynym zagranicznym turystą wśród Hinduśców. Zwiedzają oni całymi rodzinami i zawsze pragną mieć jakieś ciekawe zdjęcia. Nadawałem się do tego idealnie. Dochodziła dwunasta w południe. Nie miałem ambicji zobaczenia dosłownie wszystkiego. Znalazłem w sobie jeszcze siłę, aby wspiąć się na rozległą platformę ozdobioną hinduistyczną świątynią, pstryknąć sobie zdjęcie z kolejną grupą hinduskich nastolatków i pomknąć naszym autem do Pattadakal położonego w odległości około 20 kilometrów.

To kolejna mała wioska, gdzie za płotem można dostrzec idylliczny widok na świątynię zbudowaną przez Ćalukjów w VIII wieku n.e. Wystrzyżona, zielona trawa, kwitnący na żółto żywopłot i rudawy brąz świątyń na tle bezchmurnego nieba. Zupełnie inne miejsce niż skaliste Badami. Zaczynam rozróżniać styl południowoindyjskich świątyń, które mają kształt schodkowej piramidy oblepionej ze wszystkich stron rzeźbami, od stylu północnoindyjskiego z zaokrąglonymi stożkowatymi wieżami.

Zostało mi jeszcze jedno miejsce, którego nie można opuścić. Jest nim Aihole, położone niedaleko, zaledwie 10 kilometrów od Pattadakal. Przejeżdżamy przez wioskę, która okazuje się być jednym wielkim muzeum pod gołym niebem, gdzie współcześnie wieśniacy koegzystują swoimi obejściami ze świątyniami sprzed 1300 lat. Główne wejście, gdzie kupuje się bilety, znajduje się z drugiej strony tej wioski. Wizytówką tego miejsca jest świątynia Durgi – największa i jednocześnie o niespotykanym owalnym kształcie. Dokoła niej biegnie otwarta kolumnada; nie wiadomo do tej pory, kto był w tej świątyni czczony, gdyż oprócz wizerunku Durgi widać również inne postacie: Sziwę z bykiem Nandi czy Wisznu z Garudą. To wciąż ten sam styl Ćalukjów.

Może w pewnym pośpiechu, ale czasu starczyło na te wszystkie trzy miejsca. Wracamy ponownie drogą szybkiego ruchu, aby po 3 godzinach pojawić się w moim hotelu; niedługo później znalazłem się na dworcu kolejowym. Tam na tablicy pojawiła się informacja o opóźnieniu Hampi Express, choć ruszył jakieś 2–3 godziny temu. Trzymając w ręku bilet, mimo wszystko czułem podziw dla indyjskich kolei; na ekranie ukazywały się informacje, w którym miejscu zatrzymają się poszczególne wagony, w tym i mój A1. Nie musiałem więc już biec wzdłuż kilkusetmetrowego składu pociągu. Wreszcie – z pewnym poślizgiem czasowym – pociąg wtoczył się na stację Hospet. Wygląd wewnętrzny, jak i zewnętrzny miał taki jak poprzedni pociąg sprzed 2 dni. Za to ja już wiedziałem, czego mogę oczekiwać. Szybko wskoczyłem na górną półkę, walizkę wsunąłem pod siedzenie i jakoś do rana przekiemałem.

Mysore i powrót do Chennai. Z dwunastu godzin jazdy pociągiem zrobiło się niemal czternaście. Nie ma zmartwienia. Zostałem sam w moim przedziale i mogłem zsunąć się na dolną ławkę. Pociąg włókł się przez kilkadziesiąt minut przez Bangalore, a miasto nie miało końca, szczególnie przy średniej prędkości pociągu około 40 km/godz. Mój hotel, a w zasadzie pensjonat zdobył w ocenie użytkowników Booking.com ocenę bardzo dobrą. Gdy wysiadłem z rikszy na ganku starego domu z kolumnami pochodzącego sprzed 120 lat czekała na mnie już właścicielka La Villi. Pensjonat prowadzony był przez sympatyczną parę z Francji – Magali i Patrice. Kupili ten dom kilka lat temu, ale sporo czasu zabrało im następnie przedzieranie się przez indyjską biurokrację, a potem wyremontowanie go według własnych zamierzeń. Trudno im było zarówno z materiałami, jak i pracownikami, aby potrafili to zrobić solidnie. Ale udało się i od tamtego roku zaczęli przyjmować gości. Głównie z Europy, gdyż indyjscy goście za tę cenę chcieliby mieć klimatyzację i telewizor, a klimat, jaki oni stworzyli, ma dla nich drugorzędne znaczenie. Przez dwa dni pobytu byłem jedynym gościem. Stąd tylko dla mnie przygotowywano śniadanie i to o porze, jaką sobie wspólnie ustaliliśmy.

Patrice był dobrym doradcą w tym, co można zobaczyć w okolicy. On mi też załatwił kierowcę z autem. Obiektów do zobaczenia w okolicy było całkiem sporo, a świątyń zbudowanych w okresie królestwa Hojsala było znacznie więcej niż można przeczytać w dostępnych przewodnikach. Ale trzeba było założyć realistyczny plan na ten dzień, kiedy to mogłem ruszyć wczesnym popołudniem.

To nie był sezon turystyczny. Mysore oblegane jest przez odwiedzających w trakcie święta Dasehra, które obchodzone jest w całych Indiach czy Nepalu na przełomie września i października. We wrześniu zwykle często pada i podobno wyjątkowo trafiłem na tak bezdeszczowy okres. Trzeba więc było korzystać z okazji.

Somnathpur to mała wioska, gdzie jedyną atrakcją jest do tej pory zachowana w całości świątynia w stylu Hojsala. Stanowi ona ostatni wielki przykład tej architektury; przez bramę wchodzi się na dziedziniec otoczony murem okalającym całą świątynię. Byłem jednym z nielicznych zwiedzających tego dnia. Kompleks świątynny jest niski i składa się praktycznie z odrębnych trzech świątyń, w których czci się trzech bogów; Keszawę, w centrum, Venungopale po prawej stronie i Jagannatha po lewej stronie. Nad tymi sanktuariami wznoszą się osobne wieże. Wnętrze ma znaczenie dla hinduistów, ale najciekawsze dla zwiedzających są mury zewnętrzne świątyni pokryte przeróżnymi opowieściami z Ramajany czy Mahabharaty.

Ruszyliśmy dalej w kierunku Srirangapatnam, które przed ponad dwustu laty było miejscem zaciętych walk między sułtanem Tipu a siłami angielskimi i ich hinduskiimi poplecznikami. Droga do tego miasteczka wiodła przez malownicze pola ryżowe, plantacje bananów, nawodnione pola. Ta kraina była zawsze bardzo bogata żyznością swych ziem i pracowitością swoich mieszkańców. Musieliśmy się spieszyć, gdyż o 17 zamykano dla odwiedzających dawny letni pałac sułtana Tipu, Daria Daulat Bagh, co tłumaczy się jak Dobrobyt Morza. Z daleka, gdy wchodzi się na teren ogrodu, ten pałac nie czyni wrażenia, gdyż na zewnątrz założono drewniane przepierzenia. Mają one chronić przed promieniami słonecznymi malowidła, które pokrywają wszystkie zewnętrzne ściany na tzw. werandzie. Wewnątrz pałacu, niestety, zabrania się robić zdjęć.

Kilka kilometrów dalej znajduje się inne jeszcze dzieło, o którym pomyślał zawczasu sułtan Tipu i które zbudował w tym samym roku co swój letni pałac. To mauzoleum

Gumbaz, które zostało przez niego wzniesione, aby złożyć tam szczątki jego ojca Hajdera Ali oraz swojej matki. Spoczął tam również sam twórca tego mauzoleum, sułtan Tipu. Mauzoleum położone jest w rozległym ogrodzie pełnym cyprysów. Nie udało mi się już wejść do wnętrza tej budowli, a jedynie zaglądnąłem przez plecy sporej wybieczki uczniów; w rozległej komorze znajdowały się trzy sarkofagi, a wewnętrzne ściany ozdobione były w tygrysie pasy.

Obiektem numer 1 w Mysore jest Pałac Maharadży. Zajmuje on olbrzymią powierzchnię w samym środku miasta. Przy wejściu kupuje się bilet upoważniający do wejścia do pałacu. Cudzoziemca kosztuje to 200 rupii, wiele razy więcej niż Hindusa, ale daje za to okazję do bezpłatnego skorzystania z audioguide w różnych językach. Gdzieś tam w rogu dziedzińca trzymano też słonie, które biorą udział w święcie Dasara, a przed pałacem olbrzymi plac pozwala na różne parady w trakcie licznych świąt. Przed wejściem do pałacu trzeba zdeponować buty, natomiast aparat fotograficzny i kamerę pozwolono mi wnieść na teren pałacu, jeśli schowam do plecaka. Pałac istnieje w swoim kształcie dopiero od 100 lat. Budynek jest olbrzymi, ale oglądanie w masie zwiedzających Hindusów nie trwa zbyt długo, chyba że mamy cierpliwość wysłuchiwania wszystkiego co audioguide zamierza nam powiedzieć.

Wczesnym popołudniem po raz kolejny wsiałem do rikszy. Pierwszy raz kierowca nie ustalał ze mną na wstępie ceny za przejazd, ale zaproponował jazdę według riksometru. Coś takiego istnieje, choć pewnie dla cudzoziemców włączany jest od wielkiego święta. Cena za wejście wynosi 25 rupii, co pozwala na przejechanie krótkiego odcinka, a potem już licznik bije. Od czasu do czasu mój kierowca wysiadał, aby zapytać się o drogę, ja zaś próbowałem z powodzeniem kierować się wskazaniem Google map, przedtem już zalogowanej na Wi-Fi. Naszym celem było muzeum położone na drodze wiodącej w kierunku Chamundi Hills. Było nim Muzeum Rzeźb Piskowych. Pierwsze takie muzeum w moim życiu. Z zewnątrz wyglądało niepozornie. Jakiś brezent rozpostarty nad czymś, co miało być muzeum. Ale cena za wstęp była jednakowa dla Indusów i cudzoziemców – 40 rupii.

Muzeum zawdzięcza swoje istnienie pomysłowi młodej artystki M.N. Gowri, która wprawdzie ma dyplom inżyniera w technologii budowy maszyn, ale swoją karierę ostatecznie związała z rzeźbieniem w piasku. Muzeum stało się w ten sposób jedną z atrakcji Mysore, jedyną tego typu w Indiach. I jest do tego dobrze rozreklamowaną atrakcją. Wszystko znajduje się w jednym wielkim namiocie. Dla każdego coś miłego – jest kącik romantyczny, ściana pełna horrorów, nie zabrakło również świętego Mikołaja czy drzewka bożonarodzeniowego razem z prezentami.

Nieco trudniej było wrócić do centrum. Taksówki czy jakakolwiek riksza pojawiały się tam sporadycznie, więc choć raz mogłem skorzystać z miejskiego autobusu i śledząc w moim Google map wysiadłem przy innej atrakcji Mysore, jaką jest targ. Otwarty jest niemal cały dzień i sprzedają tam niemal wszystko, ale największym powodzeniem cieszyli się kwiaciarze, a w zasadzie sprzedawcy płatków kwiatów ofiarowywanych zwykle w świątyniach. Sprzedawano je w ilościach często hurtowych, czasem klienci wynosili całe worki.

Zaczęło się chmurzyć. Zanim coś skapnęło z nieba, trafiłem na uliczne święto, którego uczestnicy z bojowym entuzjazmem wymachiwali przy tym mieczami niemal pod moim nosem. A kiedy już z nieba spadł rześisty deszcz, nie ustał on w swym zacięciu

z pewnymi przerwami aż do następnego dnia. Podskoczyły też i niemal trzykrotnie opłaty za riksę, ale nie miałem wyjścia i okazując taksówkarzom uczucie niesmaku, że jest to straszne zdzierstwo, wziąłem kolejnego kierowcę, który śpiewał tak samo niebotyczne ceny, aby dojechać do mojego pensjonatu.

Przyszła czas na pakowanie. Rozstałem się serdecznie z moimi gospodarzami i na dworcu byłem o właściwej porze. Moje nazwisko – jak to w Indiach – było już wywieszane na jednym z wagonów bezprzedziałowych ekspresu Mysore-Bangalore-Chennai. To już był inny typ pociągu niż taki, jakimi do tej pory jeździłem. Cena była podobno zaporowa dla większości mieszkańców tego kraju, więc i nie było aż tak dużo problemów z otrzymaniem miejscówki, choć miejsca w większości były już zajęte. Miejsca do rozłożenia się miałem dużo, nie tylko na swoje nogi, ale również i komputer i mogłem pieczołowicie uzupełnić swoje wspomnienia. Nie można było się w tym pociągu poczuć głodnym. W czasie tych siedmiu godzin dostaliśmy cztery posiłki, aż trzeba sobie samemu było powiedzieć stop. Za oknami zaś mojego ekspresu przewijały się krajobrazy ryżowych pól, ciągnące się dziesiątki kilometrów zabudowania aglomeracji Bangalore, aż w końcu zapadła ciemność.

Na wielkim dworcu w Madrasie nie było o tej porze już okienka, gdzie można by opłacić z góry za taksówkę z podaniem miejsca docelowego. Musiałem więc wyjść na zewnątrz i wybrać coś na łapu-capu. Moja hotel był położony w odległości około pół godziny jazdy. Tak oto zatoczyłem pętlę i po rozejrzeniu się w następnych dniach po atrakcjach Chennai przyszedł czas na powrót do domu.

Indonezja 2015



Termin: 7–28 września 2015

Trasa: Warszawa – Dubai (przesiadka) – Jakarta (przesiadka) – Jogjakarta – Cemo-ro Lawang (Bromo) – Sempol (Kawah Ijen) – Denpasar – Labuan Bajo – Komodo i Rinca – Ende – Moni (Kelimutu) – Ende – Denpasar – Ubud – Denpasar – Jakarta – Dubai (przesiadka) – Warszawa.

Transport: Warszawa – Dubai – Jakarta (Emirates) – Jakarta – Dubai – Warszawa (Emirates) 2295 zł/os. bilet powrotny (oczywiście już z podatkami i opłatami) kupiony w promocji na stronie przewoźnika.

Przeloty wewnętrzne: Jakarta – Jogjakarta (Lion Air), Denpasar – Labuanbajo (Garuda Airlines), Labuanbajo – Ende (Wings Air), Ende – Denpasar (Kalstar), Denpasar – Jogjakarta (Lion Air).

Obywatele Polski od lipca 2015 roku nie muszą ubiegać się o wizę indonezyjską.

Waluta: 1 USD – od 12 000 (lotnisko) do 14 350 rupii indonezyjskich (dalej IR – zmiany kursu w zależności od banknotów i miast).

Indonezja zawsze była w naszych planach wyjazdowych. Musiała tylko poczekać na swoją kolej, a ta nadeszła w tym roku. W maju Emirates ogłosiły na swojej stronie internetowej atrakcyjną cenowo ofertę biletów do Jakarty w świetnym okienku pogodowym. Skorzystaliśmy niezwłocznie. Od końca maja mieliśmy dużo czasu, żeby opracować trasę, która pozwoliłaby nam na zobaczenie tego, co chcieliśmy najbardziej. Z pełną świadomością, że tak duży kraj położony na tak wielu wyspach wymaga nie jednego, a kilku wyjazdów. Stopniowo całość nabierała konkretnych kształtów i sposobów przemieszczania się. Od razu przyjęliśmy, że kilka przelotów wewnętrznych będzie koniecznych dla wygody i realizacji naszych zamierzeń. Stąd decyzja, że nie zatrzymamy się w stolicy i polecimy do Jogjakarty, od której rozpoczęła się właściwa podróż.

RELACJA Z PODRÓŻY

7 września. Jak zazwyczaj, wyjazd rozpoczęliśmy na macierzystym lotnisku Okęcie. W tym dniu było zimno, mokro i pochmurno. Aż nie chciało się wierzyć, że jeszcze ty-

dzień temu było 35°C. Nas jednak to nie dotyczyło – wyruszaliśmy przecież do ciepłej i słonecznej Indonezji. Przelot do Dubaju (5,5 godz.) odbył się Airbusem A330-200, wygodnie i komfortowo. Nawet w klasie ekonomicznej było sporo miejsca na nogi. Ciekawostką na pokładzie była wręczana każdemu pasażerowi karta menu, w którym opisano propozycje dań. Kiedyś już doświadczaliśmy tego na pokładzie Thai. W Dubaju wylądowaliśmy przy Terminalu 2, co okazało się korzystne, gdyż nie musieliśmy go zmieniać, odlatując do Jakarty. Z programu telewizyjnego wiedziałem, że tutejsze lotnisko jest wielkie. Co innego wiedzieć, a co innego widzieć. Mimo to trudno jest się tutaj zgubić, oznakowania są czytelne i precyzyjne. Jednak z powodu rozmiarów terminalu można się na lot łatwo spóźnić. Oślawiona Dubai Duty Free nie zrobiła na nas wielkiego wrażenia. Może dlatego, że nie gustujemy w złocie, którego tutaj są niezliczone ilości. Tak na oko w tonach i hektarach. Sklepy odzieżowe na pewno lepsze choćby w Bangkoku czy Stambule. Z uwagi na konieczność kilkugodzinnego oczekiwania na lot do Indonezji Emirates oferowały nam voucher na skromny posiłek w jednym z punktów konsumpcji w terminalu. Sześciogodzinne oczekiwanie w nocy (od 22 do 4 rano) dało się nam trochę we znaki. Do Jakarty mieliśmy polecieć Boeningiem 777-300 ER – największym dwusilnikowym samolotem świata. Zmieniliśmy nasze miejsce zarezerwowane jeszcze w Polsce na lepsze przy wyjściu ewakuacyjnym, co pozwoliło nam wyprostować nogi. A ma to duże znaczenie w długich międzykontynentalnych lotach.

8 września. W stolicy Indonezji wylądowaliśmy ok. 16.00 miejscowego czasu. Omięliśmy długą kolejkę po wizy i przeszliśmy do punktu odbioru bagaży. Po ubiegłorocznych doświadczeniach w Indiach z lekkim niepokojem czekaliśmy na nasze plecaki. Tym razem jednak pojawiły się na taśmie niemal natychmiast. Jak to zazwyczaj bywa, kursy walut na lotnisku były niekorzystne, toteż wymieniliśmy niewielką kwotę 40 USD. Bezpłatnym shuttle busem pojechaliśmy na krajowy Terminal 3, skąd po ok. 2 godzinach oczekiwania odlecieliśmy do Jogyakarta. Lot przebiegł spokojnie i już po zmierzchu byliśmy na miejscu. Wraz z rezerwacją noclegu w Puri Pangeran Hotel dostaliśmy w pakiecie bezpłatny przejazd dużym vanem Toyoty. Muszę przyznać, że była to wielka ulga nie szukać transportu z lotniska do hotelu. Tym bardziej wieczorem w nieznanym mieście po 33 godzinach spędzonych na lotniskach i w samolotach, ze zmianą czasu po przebyciu kilkunastu tysięcy kilometrów. Takiego modelu jeszcze nie przerabialiśmy – 3 loty bezpośrednio po sobie. W komforcie przejechaliśmy do hotelu. Publicznym transportem nie byłoby łatwo do niego trafić. Położony jest nieco na uboczu, co jednak wynagradza cisza wokół niego. Oczywiście, jak na Azję. Zgodnie uznaliśmy, że na dziś wrażeń mamy już dość i po odświeżeniu się nie wyszliśmy nawet na krótki rekonesans okolicy. Chęć odpoczynku zwyciężyła ciekawość poznania nowego. Śniadanie rzecz jasna było wliczone w cenę, a z balkonu pokoju roztaczał się widok na całkiem spory i zadbane ogród. Internet bez ograniczeń, a na zachętę hotel oferował gratisowy voucher na 10-minutowy pobyt w spa.

Wymiana 40 USD – 480 000 IR.

9 września. Choć mieliśmy za sobą bardzo długą podróż, to obudziliśmy się wcześniej – kilka minut po 6.00. Pomimo entuzjastycznych opisów odpuściliśmy sobie oglądanie świątyni Borobudur o wschodzie słońca. Na dziś zaplanowaliśmy obejrzenie dwóch największych atrakcji: Borobudur i kompleksu świątyni Prambanan – a to dwa

różne kierunki. Stąd tak wczesna pobudka. Po śniadaniu (świetna kawa!) z hotelu wyruszyliśmy piechotą na główną ulicę Jogjakarty – Malioboro Road. Znaleźliśmy przystanek, skąd odjeżdżał autobus linii 1A, z którego przesiadliśmy się do autobusu 2B. Ten z kolei zawiózł nas na dworzec Jambor Station. Natychmiast wskoczyliśmy do minibusu udającego się do Borobudur. Jazda trwała nieco ponad 1 godz. Z „dworca” idzie się piechotą szybko, choć dla leniwych jest transport. Teren oczywiście jest ogrodzony, toteż można zapomnieć o wyobrażeniach zagubionej w dżungli największej na świecie buddyjskiej świątyni. Wejście jest naprawdę drogie, 250 000 IR, to prawie 20 USD. Kupiliśmy kombo ticket upoważniający do zwiedzenia Prambanan. Borobudur jest zbudowana z materiału pochodzenia wulkanicznego, czarnego bazaltu. Krótko mówiąc (pisząc?) jest imponująca. Niestety brakuje jakiegoś punktu widokowego, z którego widać byłoby jej ogrom. Płaskorzeźby interesujące, choć nie tak odważne obyczajowo jak w Khajuraho. Niestety byliśmy chyba o najgorszej porze dnia pomiędzy 11 a 13. Światło słońca prawie wprost wpadało do obiektywu. Poranek na pewno jest lepszą porą na fotografowanie, popołudnie zapewne też. Tylko wspomnę, że wyjście wiedzie przez niezliczoną liczbę stoisk i kramów wszelkiego (kiepskiego) asortymentu. No i niestety ciągnie się długo. Powrót do Jogy tą samą trasą. Na Jombur Station zjedliśmy po raz pierwszy nasi goreng, jedno z podstawowych dań kuchni indonezyjskiej, a ulicznej na pewno. To smaczony ryż z kawałkami kurczaka i wbitym jajkiem. Podanych warzyw nie zjedliśmy, były oczywiście surowe i nie chcieliśmy się narażać na sensację żołądkową.

Wyruszyliśmy w kierunku Prambanan. Zaliczyliśmy sztafetę autobusów 2B, 3B i 1A i kwadrans przed 17 dojechaliśmy na miejsce. Najbardziej irytującą rzeczą jest długie oczekiwanie na właściwy autobus. Prambanan to – jak na Indonezję – niezwykle ciekawy kompleks świątyń hinduistycznych. Bogato zdobione, posępne kolorystycznie z powodu koloru użytego do ich budulca. W każdym razie niewątpliwie warto tutaj przyjechać. Teren jest dość rozległy, jednak swoją uwagę można poświęcić kilku obiektom zgromadzonych obok siebie. Niestety dziś balet Ramajana nie był wystawiany. Zatem nasza ponowna wizyta w Prambanan była pewna. Na Malioboro wróciliśmy autobusem 1A. Mieliśmy dość sił, aby przedrzeć się przez bardzo długi szpaler ulicznych stoisk, małych sklepików i dużych sklepów z pamiątkami. Brutalna rzeczywistość odsłania tandetny w większości towar, liczne podróbki światowych brandów i oczywiście tanią elektronikę. Trudno jest tutaj znaleźć ciekawą pamiątkę dla siebie. Jednak w bocznej uliczce udało się nam zjeść egzotyczny deser – kawałki owoców (banan, kokos) w mleku kokosowym z durianem na cieple. To jednak absolutnie niesamowity owoc i chyba mogę określić się jako jego fan. Jego smak jest dla mnie absolutnie niezwykły i nie do pomylenia z jakimkolwiek innym. W restauracji Legian szisza była jedynie w karcie, fizycznie już nie. Pocieszyliśmy się zatem dużym Bintangiem, to sztandarowe piwo Indonezji. Smaczne. Naprzeciwko na ulicznym stoisku zjedliśmy pierwsze sataye, inne firmowe danie krajowej kuchni. Wzięliśmy porcję 10 szt., do której „kucharz” wkrroił bataty. Całość została polana pysznym arachidowym sosem orzechowym. Do hotelu wróciliśmy motorowerową riksą, nazywaną tutaj becak. Ceny różne, warto negocjować. Niektórym chyba upał szkodził, 20 m dalej cena spadła o 50%.

7200 IR – 2 bilety do Jambor Station

50 000 IR – transport busem do Borobudur (2 os.)

3800 IR – duża woda

745 000 IR – 2 bilety kombo (Borobudur i Prambanan)

50 000 IR – bus do Jogjakarty

20 000 IR – 2 nasi goreng

2000 IR – 2 herbaty jaśminowe

7200 IR – 2 bilety do Prambanan

16 000 IR – 2 desery

15 000 IR – porcja satayi z batatami

80 000 IR – 2 duże Bintang

20 000 IR – becak z Malioboro do hotelu

10 września. Śniadania w hotelu są w formie bufetu. Obfity i różnorodny – kawa, herbata, soki owocowe, pieczone placki (prawie jak polskie racuchy), ziemniaki pieczone w cieście, gotowane warzywa, smażony makaron, smażony ryż, owoce – arbuz, papaja, płatki czekoladowe z mlekiem. Jak widać, z głodu umrzeć się nie da. Po posiłku zwyczajnym krokiem udaliśmy się na pobliską stację kolejową – Lempuyangan Train Station. Bez kłopotów kupiliśmy bilety na jadący do Probolinggo pociąg w taniej klasie ekonomicznej. Ze stacji chcieliśmy dojść do zabytkowej Tugu Station. Na mapie odległość wydawała się do przejścia, ale to złudzenie. Idzie się długo, w słońcu i ostatecznie wzięliśmy becaka na końcówkę. Poszliśmy na łatwiznę i wyruszyliśmy trasą zaproponowaną w przewodniku Lonely Planet. Obejmuje ona muzea, stary holenderski fort Benteng Vredenburg, pałac sułtana (Kraton) i zamek wodny (Water Castle). Resztę spokojnie można sobie odpuścić. Jak się później okazało, nie byliśmy we właściwym pałacu, bo do właściwego dotarliśmy tuż przed zamknięciem. Po drodze zahaczyliśmy o pocztę, na której kupiliśmy znaczki na kartki. Jednak, o dziwo, kartek nie było. Malioboro żyje handlem badžewiem. Przechodzić tędy to strata czasu na przedzieranie się przez stoiska, których są pewnie tysiące. Można jednak dokonać korzystnej wymiany pieniędzy w bankach, które są położone na jej początku. W trakcie spaceru było naprawdę ciepło, co poniekąd uprzykrzyło nam zwiedzanie. Odległości pomiędzy obiektami są całkiem spore, toteż sugeruję wzięcie becaka. Po intensywnym zwiedzaniu po południu wróciliśmy do hotelu. Zapłaciliśmy za noclegi i poprosiliśmy o rezerwację biletów na balet Ramajana. W pakiecie z transportem tam i z powrotem. Czytaliśmy wcześniej o kłopotach po przedstawieniu ze złapaniem transportu do miasta związanych z brakiem miejskiej komunikacji.

Obiad zjedliśmy w Bambino's Cafe, nieopodal hotelu. Smacznie, czysto i niedrogo. Do rachunku dopisuje się podatek od obsługi, co zwalnia klienta z zastanawiania się nad wysokością napiwku. Wieczorem wyruszyliśmy (tylko my!) wygodnym dużym vanem do Prambanan na balet. Odbywa się on oczywiście w niezwyklej scenerii, z podświetlonymi świątyniami za sceną. Samo przedstawienie wciągające, jego akcję można zrozumieć dzięki napisom w języku angielskim umieszczonym na telebimach. Cena biletu zależy od wybranego sektora na widowni. Bileterzy są pomocni, ale mają baczna uwagę, czy ktoś nie przesiada się na lepsze miejsce. Przedstawienie jest długie, z obowiązkową przerwą. W jej trakcie można posilić się lub zrobić sobie zdjęcie, wkładając głowę do kartonowej dekoracji. Jak się okazało, w kasie można również wykupić przejazd do miasta, jeśli wcześniej ktoś przyjechał autobusem. Do hotelu wróciliśmy, jadąc prawie pustymi o tej porze ulicami. Jakż kontrast z tłokiem i korkami za dnia! Po

szczelnie wypełnionym atrakcjami dnia zasiedliśmy w jadalni z butelkami schłodzonego Bintanga w dłoniach, ciesząc się ciszą.

10 000 IR – becak z ulicy do Tugu Station

200 000 IR – 2 bilety kolejowe do Probolingo

5000 IR – 5 masek do apteki w aptecę (z przeznaczeniem na wulkany)

95 000 IR – karta 4GB do smartfona

40 000 IR – 5 znaczków pocztowych do Europy

20 000 IR – 2 bilety do fortu (nie warto!)

10 000 IR – 2 bilety do muzeum Sono-Budoyo (OK)

14 000 IR – 2 bilety do Keratyn (odpuścić!)

25 000 IR – 2 bilety do Taman Sari (może być)

139 000 IR – obiad w Bambino's Cafe

896 000 IR – 3 noclegi w Puri Pangeran Hotel

350 000 IR – 2 bilety na Ramajana Ballet

150 000 IR – transport vanem w obie strony

11 września. Pociąg miał odjechać rano, toteż pobudka musiała być wczesna. Wczoraj poprosiliśmy w recepcji hotelu o wcześniejsze przygotowanie śniadania i zamówienie taksówki. Posiłek był, ale taksa spóźniła się. Kierowca oczywiście chciał zdecydowanie zawyżoną kwotę, ale wymusiliśmy na nim włączenie licznika taksometru. Na stacji wskazywał on trochę ponad 10 500, kierowca dostał 20 000 i jeszcze się cisnął. Ot mentalność taksiarzy, niezależnie od miejsca na świecie. Pociąg wyruszył punktualnie o 7.15, do celu podróży dotarł z niewielkim opóźnieniem o 16.30. Probolingo to miasto, z którego turyści wyruszają w kierunku Cemoro Lawang na spotkanie z najbardziej oglądanym wulkanem kraju Bromo. Na dworcu już czekali naganianiec. Zgarnęli kilkoro białych, w tym i nas. Po drodze oczywiście zboczyliśmy do agencji, gdzie zapłaciliśmy za transport. Padły też propozycje kompleksowej obsługi turystycznej wokół Bromo, a nawet z dojazdem do innego słynnego wulkanu Kawah Ijen, a potem promem na Bali. Taki pakiet typu 3 dni/2 noce z gonitwą po drogach i ekspresowym oglądaniem – jak to zazwyczaj bywa w takich przypadkach. Niektórzy poważnie się zastanawiali, ale ostatecznie nie skusił się nikt z oczywistego powodu – naprawdę wysokich cen. Nawet nie pytaliśmy za ile, bo nie byliśmy zainteresowani. Jazda w ciemnościach trwała ok. 1,5 godz. W Cemoro Lawang jacyś samozwańcy „strażnicy” bezczelnie próbowali wyrwać od każdego cudzoziemca „opłatę”. Nie mogliśmy tylko ustalić jakiego rodzaju: turystyczną, klimatyczną czy widokową?! Próbowali to absurdalnie uzasadnić jakimiś rządowymi zaleceniami. Doszło do słownych utarczek i skończyło się niczym dla nich. Choć porządna awantura wisiała już w powietrzu. Była to naprawdę wkurzająco ordynarna zagrywka. Chodziło o relatywnie niewielką kwotę typu 10 000 czy 20 000 IR za osobę. Jednak zważywszy na liczbę przyjeżdżających tutaj ludzi w ciągu roku, to tworzą się duże kwoty. W miarę szybko znaleźliśmy miejscówkę na 1 noc i to niepełną, z uwagi na konieczność pobudki w środku nocy. Za niewielkie pieniądze dostaliśmy wilgoć w pomieszczeniu, zapach stęchlizny i kran z wodą. Podobno w ciągu dnia ma być nawet ciepła do kąpieli. W ciemnościach przeszliśmy się ulicami wioski, znaleźliśmy jadłodajnię z dającymi upiorne światło świetłówkami. Czułem się, jakbyśmy byli w trochę odrealnionym świecie. Nawet o tej porze, a było to przed 22.00, spotkalśmy otwarte sklepiki nastawione na turystyczną klientelę.

20 000 IR – taksa na stację kolejową
40 000 IR – 2 nasi goreng w pociągu
100 000 IR – transport busem

12 września. Obudziliśmy się tuż po 3.00 nad ranem. Co za koszmar! I to ma być urlop?! Po wciągnięciu na siebie ciepłych ubrań wyruszyliśmy na szlak prowadzący na punkt widokowy, z którego mieliśmy obserwować wschód słońca i pobliskie wulkany Bromo i Semeru. Po przyjeździe do Cemoro Lawang spotkaliśmy rodaków, którzy powiedzieli nam, że wejście szlakiem nie wymaga ani przewodnika, ani specjalnych umiejętności. Niezbędna jest jednak czołówka do oświetlania drogi. Na rozwidleniu dróg skrzyliśmy w prawo i zaczęliśmy mozolną wędrówkę w ciemnościach. Gwiazdy na niebie skrzyły się tysiącami niezwykle intensywnie. To była piękna bezchmurna noc. Jak się później okazało, punktów widokowych jest kilka. Na ten najwyższy można nawet dojechać. Mijaliśmy i byliśmy mijani przez innych nocnych marków, spragnionych nowych doznań. Niewiele rozmawialiśmy, bo nie sprzyjała temu ani pora, ani coraz większe trudności na szlaku. Robiliśmy sobie przerwy i wtedy wymienialiśmy wrażenia z wędrówki.

Po wyjściu z wioski początkowo idzie się po prostu utwardzoną drogą, choć pod górę. Niestety później zaczynają się trudności: szerokie rozwalone kamienne schody, potem rozpadliny, spotyka się też luźno leżące kamienie i na końcu piaszczysty szlak. Podejście jest naprawdę forsowne. Przede wszystkim dlatego, że wiedzie ciągle stromo w górę. Choć dla wprawnego turysty górskiego będzie to ledwie spacer. Szlaki tatrzańskie są o wiele bardziej męczące. Około 4.45 byliśmy już na miejscu. A tutaj dość tłoczno. Na horyzoncie widać było nadchodzący dzień. Kalderę wypełniały mgły. Z nich wyrastały wierzchołki wulkanów. Panorama była naprawdę spektakularna, zdjęcia w albumach nie oddają urody tego miejsca. Na niebie nie było ani jednej chmurki. Za Bromo majestatycznie wznosi się Semeru, który raz na jakiś czas efektownie wyrzuca chmurę dymu i popiołów. Wschód słońca moim zdaniem przereklamowany. Idąc w dół, zauważyliśmy, jak strome było to podejście pokonywane w nocy. Wróciliśmy do hostelu, gdzie zjedliśmy posiłek w postaci pudełka z suchym prowiantem. Teraz nadszedł czas na bezpośrednie odwiedziny Bromo. Zejście z wioski jest łatwe i przyjemne, bo odbywa się w cieniu. Spacer po kalderze w piachu/pyle wulkanicznym barwi buty na szaro. Po wspięciu się przez 243 schodki (liczyłem uważnie!) mogliśmy przez barierki spojrzeć w trzewia Bromo, a następnie szybko zatkać nos i chronić oczy. Smród siarkowodoru jest wybitnie intensywny. Przez resztę podróży będzie mi towarzyszył w ubraniach włożonych tego dnia. Zbocza krateru pokrywają żółte smugi osadzonej siarki. W drodze na górę skorzystaliśmy z podwózki skuterami.

Nadeszła pora wyjazdu z Cemoro Lawang. Wydawało się, że nie będzie z tym żadnego problemu. Busiki czekały na chętnych. Weszliśmy do pierwszego stojącego i otwartego. Niestety z chętnymi było krucho. Musieliśmy czekać. Teraz zrozumieliśmy, dlaczego większość turystów tak szybko zniknęła z punktu widokowego rano, tuż po wschodzie. Po prostu pędzili na oglądanie Bromo, a potem załadowali się do busików. W końcu po ponad godzinnym oczekiwaniu ruszyliśmy, zapłaciliśmy nawet trochę taniej niż wczoraj. Busik zjechał za dnia do Probolingo, rzecz jasna, szybciej. Wysiedliśmy obok dworca autobusowego i szczęśliwie długo nie czekaliśmy na autobus do Bondowoso. Ciekawostką „umilającą” jazdę były występy amatorskich muzyków z 3- lub

4-strunową gitarą lub fałszujących niemiłosiernie wokalnych duetów. Dla mnie była to muzyczna katorta. Nawet słuchając głośno muzyki rockowej z odtwarzacza, słyszałem te zawroty głowy. Spokój przyniosły mi dopiero zatyczki w uszach. Mieliśmy nadzieję, że uda nam się jeszcze dziś dotrzeć do Sempol. Po podróży trwającej 3 godz. i 15 min., prawie o zmroku dojechaliliśmy do Bondowoso. Niestety okazało się, że do Sempol już nic nie pojedzie. Ulegliśmy namowom naganiacza, który zawiózł nas do hotelu Palm, który niby miał zorganizować wyjazd do wulkanu Kawah Ijen. W hotelu recepcjoniści twierdzili, że nie mają nic wspólnego z kierowcą. Choć widać było, że znają go dobrze. Próbowaliśmy dowiedzieć się, jakie są ceny wyjazdu i czy można do kogoś dołączyć. Informacje były dziwnie niejasne i sprawiały nieodparte wrażenie, że mają na celu maksymalne wyjęcie od nas kasy. Szczerze powiem, że rozmowa z tymi ludźmi była strasznie męcząca i od pewnego momentu bardzo denerwująca. DLATEGO Z PEŁNĄ ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ PISZĘ – TRZYMAĆ SIĘ Z DAŁA OD HOTELU PALM, JEŚLI CHODZI O WSZELKIE WYJAZDY W POBLIŻE KAWAH IJEN. Natomiast sam hotel całkiem niezły. Ma nawet basen, w którym można przyjemnie zrelaksować się po trudach podróży. Postanowiliśmy sprawdzić ofertę innego hotelu w mieście (nazwy nie pamiętam). Położony jest całkiem niedaleko. Cena była taka sama (czyli spora), ale atmosfera rozmowy znacznie przyjemniejsza. Byliśmy już skłonni zaaprobować ofertę, ale zwyciężyła chęć odpoczynku. Inaczej, znowu musielibyśmy wstawać o 3.30, bo wyjazd zaplanowano na 4 rano. W restauracji obok hotelu znajdowała się restauracja, w której zjedliśmy smaczną kolację – gado gado (warzywa polane arachidowym sosem), dobre frytki i kurczaka smażonego w cieście. Do tego chłodne piwo Bintang. Jedząc kolację, ustaliliśmy, że spróbujemy samodzielnie dotrzeć do Sempol. Obok kolację jadła polsko-tajwańska para, z którą wymieniliśmy kilka uwag na temat wyjazdu pod Kawah Ijen. Też tam zmierzali. Po kolacji wolnym krokiem po pustych, ale jakże czystych ulicach dotarliśmy do hotelu. Bondowoso uchodzi za najczystsze miasto w Indonezji.

200 000 IR – nocleg w Cemoro Lawang (2 os.)

20 000 IR – 2 motorki z kaldery Bromo do wioski

70 000 IR – transport na dworzec autobusowy w Probolingó

50 000 IR – 2 bilety autobusowe do Bondowoso

187 000 IR – nocleg w hotelu Palm

122 050 IR – obiad

13 września. Kolejna wczesna pobudka. Podobno miał to być wreszcie wypoczynkowy urlop. Ciekawe kiedy nastąpi? Z plecakami weszliśmy do hotelowej restauracji na śniadanie. Choć menu raczej lunchowe/obiadowe – gotowany ryż, nasi goreng, smażone warzywa podkrecone chili, smażony makaron sojowy, pikantna zupa. Na szczęście były też owoce i normalna herbata oraz wodnista kawa. Spieszyliśmy się na dworzec autobusowy i z ulgą pożegnaliśmy hotel. Przed budynkiem stał jeden (dosłownie!) becak, którego kierowca nie znał ani słowa po angielsku. Byliśmy już gotowi jechać z naszym majdanem, kiedy szczęśliwie z naprzeciwka pojawił się kolejny becak. Teraz już mogliśmy wyruszyć na dworzec. Zastanawiałem się, jak długo będziemy jechać. O 7.45 zameldowaliśmy się na miejscu, busik do Sempol już czekał na pasażerów. Po chwili dołączyła do nas wczoraj spotkana para – Agata i Richie. W ten sposób los złączył nas towarzystwo na najbliższe godziny. Droga do Sempol wiedzie – a jakże – malowniczymi góorskimi serpentynami. Silnik pojazdu jęczał niemiłosiernie, a skrzy-

nia biegów wydawała jeszcze ciekawsze dźwięki. Oprócz pasażerów busik wiózł także inne towary. Udało się nam dojechać bez problemów. Sempol to mała, leżąca na odludziu wioska. Jej atutem jest bliskość wulkanu Kawah Ijen, to napędza ruch turystyczny. Niestety Arabica Guesthouse leży poza wioską, tak około 1 km. Odległość śmieszna jak na spacer, ale nie z 2 dużymi plecakami na brzuchu i plecach. W dodatku w pełnym słońcu. Wykupiliśmy nocleg oraz transport (auto na 4 osoby) pod wulkan, a potem na przystań promową. Obok hostelu położone są plantacje kawy, a także fabryka, z której wychodzi gotowy produkt. Podobno można kupić w niej słynną kawę kopi luwak, certyfikowaną na autentyczność jej wytworzenia. Jednak ta możliwość nas nie dotyczyła, bo była niedziela i fabryka nieczynna. Wyjeżdżając w środku nocy, już nie wracaliśmy do hotelu. Po szybkim posiłku wyruszyliśmy na popołudniowy spacer do wioski. Po drodze zostaliśmy zaproszeni na miejscową kawę do jednego z domów przez uśmiechniętą panią. Kawa była łagodna (jak na odmianę arabica przystało), smaczna i słodka, co dla nas nieużywających na co dzień cukru jest ewenementem. W wiosce kupiliśmy słodkie bułki na jutro oraz tutejsze papierosy o niespotykanym smaku goździków. Nazywają się Kretek. Wracając, przeszliśmy się wzdłuż alejek krzewów kawowych. Były już pozbawione owoców, bowiem zbiory już się odbyły. Z niejakim zdziwieniem zauważyłem, że w hostelu nie jest podawany jakiegokolwiek alkohol, choć zupełnie nie odczuwałem chęci wypicia piwa. Godny podziwu jest fakt, że w imię zasad zarządzający pozbawiają się dodatkowych dochodów. Nasi towarzysze położyli się wczesnym wieczorem, a ja postanowiłem odpocząć trochę później. Mieliśmy wyjechać przed 1 w nocy, co zapowiadało kolejną pobudkę w środku nocy. Nagrodą za ponowny trud i znój mają być słynne „niebieskie ognie” wulkanu Kawah Ijen i siarkowe jezioro. Zapowiadały się niezwykłe wrażenia.

20 000 IR – 2 beczki spod hotelu Palm na dworzec w Bondowoso

70 000 IR – transport busem do Sempol

175 000 IR – nocleg w Arabica Guesthouse

375 000 IR – przejazd z hotelu pod Kawah Ijen i przystań promową w Banyuwangi (1/2 ceny za samochód)

40 000 IR – wołowe curry w hostelu

10 000 IR – 2 truskawkowe koktajle

10 000 IR – 2 filiżanki kawy

12 000 IR – paczka papierosów

60 000 IR – kolacja w hotelu (zestaw – zupa warzywna, ryż, makaron, pieczony kurczak, koktajl owocowy)

200 000 IR – 2 bilety wstępu do parku Kawah Ijen

14 września. Przed wyjazdem odebraliśmy z recepcji pudełko z suchym prowiantem. Do auta wsiedliśmy przed 1 w nocy, a do parku narodowego dojechaliliśmy przed upływem godziny. W kasie kupiliśmy bilety, których posiadanie jest skrupulatnie sprawdzane przez strażników. Podejście jest dość strome i długie, a przez to męczące. Dodatkową trudnością jest fakt, że idzie się w zupełnych ciemnościach. To jednak dopiero uwertura. Po osiągnięciu najwyższego punktu należy zejść w dół. I ten etap jest zdecydowanie bardziej wyczerpujący oraz wymagający szczególnej uwagi. Bardzo łatwo można potknąć się o leżące luźno kamienie lub zalegający na ścieżce gruz i skrócić kostkę. Za to widok sunącego węża świateł (latarek, czołówek) był fascynu-

jący. Aż dziwił fakt, że takiej masie ludzi chciało się wstać w środku nocy. Myśleliśmy, że będzie ich znacznie mniej. Widocznie sława „błękitnych ogni” obiegła świat. Rzeczywiście w mroku nocy płomienie mają niebieską barwę. Przypuszczam, że to zjawisko związane jest z wydobywaniem się gazu ze szczelin wygasłego już wulkanu. Niemniej widok był niezmiernie piękny. Przy brzegu jeziora trwała intensywna praca. Wbrew spotykanym opisom o Kawah Ijen nie jest to żadna kopalnia. Oślawieni „górnicy” za pomocą łomów wydobywali siarkę ze sporej dziury w podłożu. Ich niebывale ciężka praca objawiła się już po wschodzie słońca. Robotnicy ładowali kawały siarki do 2 koszy połączonych długim kijem, a następnie zakładali je na ramię. Podobno kosze te ważą między 70 a 90 kg. Z takim obciążeniem wynosili towar na górę, zatrzymując się co jakiś czas. Założyłem sobie taki standardowy ładunek. Utrzymałem ledwie kilka sekund. Każdy z robotników był ode mnie o wiele szczuplejszy. Na nogach nie mieli butów, lecz plastikowe sandały lub klapki. Świadomość, w jakich warunkach pracują tutaj ci ludzie, każe z wielkim szacunkiem podejść do nich i ich wysiłku. Jednocześnie czuliśmy, jak wielkimi jesteśmy szczęściarzami, nie musząc tak niewiarygodnie ciężko pracować na swoje utrzymanie. A w dodatku zarobki robotników są minimalne. Zanim wyruszyliśmy w drogę powrotną, dość długo rozmawialiśmy w naszym gronie o tym, co zobaczyliśmy. Nawet piękne turkusowe jezioro straciło trochę ze swojej urody w obliczu tej niedoli robotników. Wejście na krawędź krateru zdecydowanie cięższe niż w nocy. Zejście też było powolne z uwagi na piaszczyste podłoże, które wzbijało sporo kurzu. Na dole czekał na nas śpiący w samochodzie kierowca. Zmieniły się też warunki pogodowe. Było ciepło, co wymagało zmiany odzieży. Przejazd do przystani promowej заняł nam 1,5 godz. Wcześniej pożegnaliśmy się z Agatą i Richiem. Od ręki kupiliśmy bilety na prom płynący na Bali. Był to nasz pierwszy i – jak się później okazało – ostatni rejs podczas pobytu w Indonezji. Choć wcześniej planowaliśmy ich więcej. Rejs nie trwał długo, ledwie kilkadziesiąt minut. Z przystani przeszliśmy piechotą na dworzec autobusowy, znajdujący się niedaleko. Po szybkim posiłku wsiedliśmy w autobus jadący do Denpasar, gdzie pojawiliśmy się po ok. 3 godz. 15 min. Szybko znaleźliśmy nocleg w okolicy dworca autobusowego, jednego z kilku w mieście. Właściwie chcieliśmy tylko przenocować i następnego dnia polecieć do Ende na wyspie Flores. Nie mieliśmy kupionego wcześniej biletu, ale sądziłem że nie będziemy mieli z tym żadnych problemów. Pozostało nam tylko zamówić taksówkę na lotnisko. W Denpasar znajduje się ono poza miastem i taksa jest najwygodniejszym (a w nocy/nad ranem zapewne jedynym) środkiem transportu. Umówiliśmy się z pierwszym spotkanym na dworcu autobusowym taksówkarzem, że przyjedzie o 4 rano do hotelu, w którym zamieszkaliśmy. Kolejna zarwana noc. Zaczynaliśmy się przyzwyczajać do tego reżimu. Choć z wytęsknieniem czekaliśmy na prawdziwy wypoczynek, który miał wkrótce nastąpić. Nastawiliśmy budziki w telefonach na 4.00 i położyliśmy się spać.

15 000 IR – 2 bilety na prom

20 000 IR – 2 zestawy w jadłodajni przy dworcu (ryż, smażona ryba, warzywa)

10 000 IR – mała fanta w jadłodajni

100 000 IR – 2 bilety autobusowe do Denpasar

165 000 IR – nocleg w Denpasar

15 września. W środku nocy obudził nas gwałtowny łomot do drzwi. Totalnie zasniani i zdezorientowani zerwaliśmy się z łóżek. Ostrożnie otworzyliśmy drzwi, zasta-

nawiając się, co się dzieje. Był to umówiony kierowca, który „delikatnie” pukał. Okazało się, że Bali znajduje się w innej strefie czasowej i nie przestawiliśmy zegarków. Nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek tak szybko się spakowali. O tak wczesnej porze ulice były prawie puste, więc przemknęliśmy przez miasto błyskawicznie. Do czasu otwarcia biura Garuda Airlines musieliśmy czekać w holu lotniska. Niestety, mój optymizm tym razem był zdecydowanie na wyrost. W biurze zostaliśmy poinformowani, że biletów na lot do Ende brak. A także, że wszyscy pasażerowie dotarli i nie będzie żadnych wolnych miejsc. Musieliśmy zastanowić się, co robić dalej. Właściwie nie pozostawało nam nic innego, jak dokonać błyskawicznej korekty naszych zamierzeń. Kupiliśmy bilety do Labuangbajo. Oczywiście w tej sytuacji zapłaciliśmy najwyższą stawkę. Finansowo byliśmy na to przygotowani. Liczyło się tylko to, że dziś możemy wynieść się z Denpasar. Ku naszemu zdziwieniu lot do Labuangbajo i Ende odbywał się tym samym samolotem. Garuda mają bardzo dobrą opinię jako linia, która nie odwołuje lotów. Pewnie dlatego ceny biletów u nich są znacznie wyższe niż u pozostałych przewoźników. Z okien samolotu wyspy otoczone lazurowymi wodami morza wyglądały zjawiskowo. Jak wprost wyjęte z folderów biur turystycznych.

W hali lotniska Labuangbajo wykupiliśmy transport do miasta, nie była to taksówka. Nocleg znaleźliśmy w Gardena Hotel, którego największą zaletą jest fantastyczny widok na zatokę. Natomiast wadą jest konieczność wspinania się po kamiennych schodkach. W upalnym dzień z plecakami na grzbiecie nie było to zajęcie przyjemne. Musieliśmy szybko rozpocząć poszukiwania agencji, z rozsądną cenowo ofertą rejsu na jedną z wysp, Komodo lub Rinca w wiadomym celu – spotkania oko w oko z legendarnymi waranami. Optowałem za Komodo, bowiem to ona rozstawiła na cały świat „smoki”. Choć raczej to one przyniosły jej rozgłos. Wstąpiliśmy do kilku agencji turystycznych i można wysnuć wniosek, że z dużym prawdopodobieństwem wszystkie w tym mieście mają taką samą bądź zbliżoną propozycję dla turystów. Będą różniły się może czasem trwania i kolejnością „zaliczania” atrakcji, ale zestaw jest praktycznie identyczny. Temperatura wzrosła i weszliśmy do apetycznie wyglądającej naleśnikarni na późne śniadanie. Wewnątrz było przyjemnie chłodno, był też dostęp do Internetu poprzez Wi-Fi. Naleśniki bardzo smaczne, kawa też, a na deser lody marakujowo-cytrynowe zachwycające oryginalnością smaku. Nie powinno więc dziwić, że nie chcieliśmy szybko wychodzić. Jednak musieliśmy dopiąć jutrzejszy rejs na wyspy. Weszliśmy jeszcze do kilku miejsc i zdecydowaliśmy się na pakiet jednej z nich – nazwa i lokalizacja naprawdę nie ma najmniejszego znaczenia. Zasadniczo o jej wyborze zadecydowała okoliczność, że pracownik potwierdził na piśmie nasz bezwzględny wymóg. Mianowicie: gdybyśmy na Komodo nie spotkali waranów, „kapitan” popłynie na Rincę. W ten sposób chcieliśmy zwiększyć swoje szanse na spotkanie z tymi niezwykle gadami.

Wieczorem zadowoleni z udanego dnia usiedliśmy na małym tarasie przed wynajętym domkiem i pijąc miejscowe ciemne piwo (o dziwo marki Guinness! i Ankar), zapaliliśmy tutejsze papierosy. Miały nieznaną nam dotąd słodkawy smak goździków. Zapadający nad zatoką zmierzch i dobiegający z portu dźwięk krzątanimy dał nam złudzenie zasłużonego wypoczynku. Nie chcieliśmy wychodzić na ulicę miasta w poszukiwaniu lokalu na wieczorny posiłek. Wizja ponownego wspinania się po schodach skutecznie nas zniechęciła. Leniwie zeszliśmy do restauracji znajdującej się na terenie hotelu. I nie był to bynajmniej zły wybór. Z karty dań wzięliśmy dania pochodzenia wło-

skiego: grillowany stek z tuńczyka z gotowanymi warzywami oraz pizza z anchois i kaparami. Oba dania wywołały zachwyt naszych kubków smakowych. Tym razem pamiętaliśmy o przestawieniu zegarków, bo jutro nie możemy spóźnić się na zbiórkę przed agencją za żadną cenę. Zbyt długo czekaliśmy na to szczególne spotkanie przeszłości z teraźniejszością – waranami, potomkami dinozaurów.

200 000 IR – kurs taxi na lotnisko w Denpasar

3 600 000 IR – 2 bilety lotnicze z Denpasar do Labuangbajo (Garuda Airlines)

60 000 IR – transport z lotniska do miasta

100 000 IR – 2 porcje naleśników

50 000 IR – 2 kawy latte

20 000 IR – 2 herbaty

70 000 IR – 2 porcje lodów

16 września. Pobudka bardzo późno, bo o 6 rano. Przed agencją stawiliśmy się o umówionej porze 6.30, „kapitan” już czekał na swoich pasażerów. Oprócz nas płynęła para Włochów. Dostaliśmy maski i płetwy do snorkellingu. Z głównej ulicy miasta weszliśmy w jakieś zakamarki wiodące do nabrzeża, przy którym cumował statek. I w tym momencie przypomniałem sobie o kamizelkach ratunkowych, których nie dostaliśmy. Ktoś z obsługi szybko pobiegł do agencji i przyniósł po kilkunastu minutach. Rejs na Komodo trwał trochę ponad 3 godziny, które przedrzemaliśmy. Po 10.00 przybiliśmy do przystani na wyspie i nie zwlekając udaliśmy się do budynku straży parku narodowego. Tam kupiliśmy bilety i dostaliśmy przewodnika. Zgodnie wybraliśmy najdłuższy 2-godzinny szlak, co miało nam dać większe szanse na spotkanie waranów w ich naturalnych warunkach. Tak nas zapewniał przewodnik. Tuż po wyruszeniu natknęliśmy się na małego, czyli zapewne młodego warana. Następnie, idąc ponad 1,5 godz. przez suchy las i wzgórze, zobaczyliśmy jedynie 1 małego „smoczka”, który zwał jak oparzony. Oczywiście zobaczyliśmy też – zgodnie z obietnicą strażnika – także duże sztuki. Prawdziwie udomowione, najedzone i leniwie odpoczywające po słusznym posiłku przy zabudowaniach blisko nabrzeża. Cóż za rozczarowanie i gorycz jednocześnie! No i wściekłość, że to taki ordynarny kant! Mam na myśli wyrachowaną sprzedaż turystom obietnicy bliskiego obcowania z tymi niezwykłymi zwierzętami.

Wkurzeni spytaliśmy Włochów czy chcą płynąć na Rince. Na szczęście zgodzili się. „Kapitan” był zdziwiony i zaskoczony naszym pragnieniem dalszego rejsu, ale (co trzeba uczciwie przyznać) nie protestował. Po drodze Włosi zażyli krótkiej kąpieli na „rózowej” plaży, która jest jednym z punktów sprzedawanego turystom pakietu. Kolejne 2 godziny spędzone na wodzie i o 15.00 dobiliśmy do wybrzeża Rinki. Włosi jednak zdecydowali się pozostać na łodzi. W kasie musieliśmy dodatkowo zapłacić za przewodnika po wyspie. Zrobiliśmy to, choć z niejakim uczuciem złości. Odnieśliśmy wrażenie, że było to żałosne wyciąganie kasy od turystów. Ponownie wybraliśmy najdłuższy szlak. Tym razem warany były na początku. Niestety tak samo udomowione jak na Komodo. Na szlaku nie spotkaliśmy nawet warana-oseska, nie mówiąc o większej sztuce. Uczciwie piszę, że widoki na trasie zarówno na Komodo, jak i na Rince są piękne. Przewodnik wskazywał nam mijane zwierzęta – małpy, dzikie świny, bawoły, a nawet konia. Ale nie w tym celu ciągaliliśmy się przez przysłowiowe pół świata. Przylecieliśmy do Indonezji, żeby zobaczyć wielkie warany w ich naturalnym środowisku. A ich po prostu nie było, stąd mój wielki zawód i rozczarowanie.

Wracając do portu zatrzymaliśmy się, żeby Włosi mogli popływać i dać nura w toń morza. No i zrealizować ostatni punkt programu. Krypa do nabrzeża dobiła po 19 już w ciemnościach. Zamiast odpoczywać po 12-godzinym intensywnym w negatywne emocje dniu, musieliśmy jeszcze szybko kupić bilety na jutrzejszy autobus do Ende. Niestety było już za późno. Co za dzień! Weszliśmy jeszcze do kawiarenki internetowej i spytaliśmy o autobus. Odpowiedź była zniechęcająca i zatrważająca – jazda miała zająć od 10 do 12 godzin. Facet zaproponował nam samolot. Pamiętając o kosście lotu z Denpasar do Labuangbajo byłem sceptycznie nastawiony. Po wyświetleniu zdecydowaliśmy natychmiast. Cena była rewelacyjna, wprost nie do uwierzenia. Za 2 bilety lotnicze mieliśmy zapłacić tylko 160 000 IR więcej niż za 2 bilety autobusowe. No i lot miał trwać tylko 45 min.!!! Fantastyczne zakończenie dość smętnego dnia. Jedząc kolację w restauracji La Cucina, jeszcze niedowierzałem, że można za tak małe pieniądze polecieć do Ende. Bardzo dobre dania za niewielką kwotę. Siedząc na tarasie przed hotelowym domkiem i sącząc chłodne piwo, jakoś przeboleiałem swoje gorzkie rozczarowanie waranami.

1 000 000 IR – rejs na Komodo i Rincę

470 000 IR – 2 bilety wstępu do parku narodowego Komodo

110 000 IR – dodatkowa opłata za przewodnika na Rincę

700 000 IR – 2 bilety lotnicze do Ende (Wings Air)

176 000 IR – kolacja (pizza, grillowania ośmiornica i warzywa, sok z limonki, duży kubek herbaty)

166 500 IR – 3 duże piwa (Guinness, Ankar Stout i St. Miguel)

50 000 IR – sok jabłkowo-marakujowy (1 litr)

30 000 IR – 6 kartek pocztowych

17 września. Od tygodnia nie wstaliśmy tak późno, bo po 8.00. W spokoju mogliśmy zjeść śniadanie na świeżym powietrzu, które było serwowane w formie bufetu. Wczoraj z powodu rejsu musieliśmy je sobie darować. Jajka smażone oraz naleśniki z dżemem ananasowym zadowolili nas całkowicie. Ożywczym uzupełnieniem były kawałki papai. Spakowaliśmy plecaki i mając sporo czasu do odlotu wyszliśmy na spacer. Wstąpiliśmy na pocztę, skąd wysłaliśmy kartki do kraju. Kupiliśmy też drobną pamiątkę symbolizującą naszą wizytę tutaj – małe metalowe warany. Z ulicy wzięliśmy taksówkę na lotnisko. Odprawiając bagaże, okazało się, że linie Wings Air (odnoga Lion Air) zezwalają na przewóz w luku jedynie 10 kg. Nasze ważyły więcej, toteż musieliśmy dopłacić, choć niewiele. Czekaliśmy na boarding dłużej, bo śmigłowy ATR-72 przyleciał z opóźnieniem. Jednak odlot był już o czasie. Sam lot przebiegł bez większych emocji, po 45 min. spoglądaliśmy na czarne plaże Ende. Po odebraniu bagażu z taśmociągu dopadł nas tłum żądnych kasy taksówkarzy. Proponowali przejazd do Moni za absurdalne stawki typu 500 000 IR. Mieliśmy własny plan dotarcia tam. Najpierw wsiedliśmy do taksy i zadisponowaliśmy krótki kurs na dworzec bemo. Musieliśmy trochę poczekać na odjazd busika do Moni, żeby wypełnił się całkowicie pasażerami. Niedługo po starcie, a było już sporo po 15, stanęliśmy z powodu remontu drogi. Postój trwał ponad godzinę. Wzmogło to nasze obawy, czy zdążymy dojechać do Moni przed zmrokiem. Jazda po zmroku górkami drogami nie wywoływała w nas entuzjazmu. Była to dość niebezpieczna perspektywa. Kiedy w końcu wyruszyliśmy, to kierowca postanowił sobie za punkt honoru nadrobienie wynikłego opóźnienia. Jechał jak przystowiowy

wariat, moim zdaniem szaleńczo nieostrożnie. Wyprzedzał na tych serpentynach kogo, jak i kiedy się dało. Prowadził to bemo w ten sposób nawet po zapadnięciu ciemności. Staraliśmy się nie patrzeć i nie rozmawiać, bo mieliśmy napięte nerwy dość mocno. Oczywiście pozostali pasażerowie wyglądali na zrelaksowanych, zapewne byli przyzwyczajeni do takich wyczynów. Ta obłądana jazda trwała około 1,5 godziny i wreszcie bemo zatrzymało się w Moni. W swoich podróżach zdarzało się nam przemieszczać różnymi środkami transportu, w różnych górach i z wieloma kierowcami. Tym razem jednak była to przejażdżka na granicy ryzyka. Pierwszy raz naprawdę czułem ten nieprzyjemny stan niepokoju o nasze bezpieczeństwo. Trasa przebiegała przez piękne wzgórza, cudne tarasy ryżowe i małe ładne wioski. Nie cieszyliśmy się jednak mijanymi widokami z powodu stylu prowadzenia bemo przez szalonego (w naszym mniemaniu) kierowcę. Tuż po zatrzymaniu szybko znaleźliśmy nocleg i poszliśmy na kolację do zachwalanej Arwenty's Bungalow & Restaurant. Po wyborze dań z leżącej na stole karty dość długo czekaliśmy na ich podanie, ale warto było. Wszystko, co zamówiliśmy, było bardzo smaczne: gado gado, spaghetti bolognese i ziemniaki z pikantnym sosem. Wracając, zamówiliśmy transport do parku Kelimutu, ale tylko w jedną stronę – tam. Jutro wstajemy ostatni już raz w środku nocy, żeby obserwować wschód słońca nad kolorowymi jeziorami. Przekonamy się, czy warto.

440 000 IR – 2 noclegi w Gardena Hotel

60 000 IR – 2 porcje lodów mango

10 000 IR – znaczek na kartkę pocztową

200 000 IR – 2 metalowe warany

50 000 IR – taxi na lotnisko

110 000 IR – dopłata do bagażu

40 000 IR – kurs z lotniska na dworzec bemo w Ende

100 000 IR – transport bemo z Ende do Moni (2 os.)

101 000 IR – kolacja w Arwenty's Bungalow & Restaurant

18 września. Pobudki w środku nocy weszły nam w nawyk i nie sprawiają już najmniejszych trudności. Tym razem o 3.30 i o tej porze poruszamy się jak zaprogramowane roboty. Kierowca, z którym byliśmy umówieni, zastukał do drzwi o czasie. Jednak musieliśmy jeszcze poczekać w samochodzie na spóźnionych, bo zaspanych Japończyków. Przy kasie byliśmy kwadrans przed 5 w nocy. Z zaskoczeniem stwierdziliśmy, że w porównaniu z 2014 r. ceny znacząco wzrosły, z 20.000 do 150. 000 IR za osobę. Jest to jednak cena tylko dla turystów z zagranicy. Miejscowi płacą przystosowane grosze, tak jak za nasi goreng na ulicy. Podejście z parkingu do punktu widokowego jest banalnie łatwe. Nie ma się jak i gdzie zmęczyć. Za to na szczycie było przeraźliwie zimno. Niezwykle porywisty wiatr kręcił bez przerwy. Przydały się nam ciepłe ubrania, choć niektórzy stali w szortach i T-shirtach. I nie było widać na ich twarzach uczucia chłodu?!

Wschód słońca ładny, ale niewart wstawania w nocy. Za to dwa jeziora o różnych barwach wody rozdzielone stromą skalną ścianą są godne trudów dotarcia do parku Kelimutu. Jest to osobliwość na skalę światową i chyba nigdzie indziej na Ziemi nie występuje. Co ciekawe, kolor wód jezior zmienia się co jakiś czas. Proces ten jest zobrazowany zdjęciami na planszy, które jednak są cokolwiek wypłowiałe. Dobrym pomysłem jest pozostanie na górze dłużej, bo po wschodzie słońca większość gości zwinęła się.

Ma się dla siebie dużo miejsca i czasu na fotografowanie bez czekania na czyste tło, bez ludzkich głów lub kończyn. Do Moni wracaliśmy na własnych nogach. Zafundowaliśmy sobie długi spacer i to wcale nie z powodów finansowych. Po prostu chcieliśmy przejść przez okoliczne wioski krętymi ścieżkami. I była to naprawdę duża przyjemność. Dopisała nam pogoda, było ciepło, a lekki wiatr przyjemnie owiewał nam twarze. Na niektórych odcinkach ścieżka jest stroma, przez co trochę bolały kolana i czubki palców w butach. Tuż przed końcem dróżka dociera do malowniczego wodospadu. Wyszliśmy na asfaltową drogę wiodącą do Moni, bardzo blisko „naszego” bungalowu. Zejście z jezior do Moni zajęło nam 2 godziny i kilka minut. W jadalni spotkaliśmy sympatycznego młodego Niemca, który podróżował po wyspach Indonezji motorem. Wymieniliśmy się wrażeniami z naszych wojaży. Po śniadaniu i kąpieli przyszedł czas na wyprowadzkę. Teraz musieliśmy w miarę szybko wrócić do Ende. Stanęliśmy na poboczu i oczekiwaliśmy na jakiś jadący bemo. Długo nie czekaliśmy. Tym razem jechaliśmy o wiele bezpieczniej i wygodniej. Dzięki temu mogliśmy ze spokojem i zaciekawieniem przyglądać się mijanym tarasom ryżowym, nad którymi dominowały wysokie palmy kokosowe i pochylały się dorodne bananowce. Intensywna zieleń aż biła po oczach.

Na lotnisku w Ende okazało się – znowu! – że nie ma biletów na jutrzejszy lot do Denpasar. A na pojutrze zostały już tylko 2 w kompletnie nam anonimowej linii Kalstar. W dodatku nie mogliśmy zapłacić kartą kredytową, w grę wchodziła tylko miejscowa gotówka. Wystarczającej ilości do kupna biletów nie mieliśmy w portfelach. Pozostała nam tylko prośba o rezerwację na 2 godziny i poszukiwanie kantoru lub banku w celu wymiany waluty. Przeszliśmy kilkaset metrów (może ciut ponad 1 km) do hotelu Ikhlās, gdzie wynajęliśmy pokój i zostawiliśmy plecaki. Znaleźliśmy bank BNI, w którym na szczęście poza kolejką zostaliśmy błyskawicznie i miło obsłużeni przez niezwykle uprzejmą pracowniczkę. Wróciliśmy na lotnisko i sfinalizowaliśmy transakcję kupna biletów. W ten sposób zostaliśmy na pewien czas uziemieni w Ende. Co ciekawe, Ende było najdalej wysuniętym punktem na mapie naszej wyprawy. Z jakimś zdziwieniem przypominałem sobie, że Ende po niemiecku znaczy koniec. Zabawny zbieg nazwy miasta z okolicznościami. Wstąpiliśmy do położonej blisko hotelu piekarni Bread Top Bakery, w której sprzedawano wypieki zbliżone wyglądem i smakiem do europejskich. Wieczorem po odpoczynku wybraliśmy się na kolację. Zadowoliliśmy się potrawami z ulicznej jadłodajni. Było pikantnie, ale smacznie. Kolejny bogaty w nowe doświadczenia dzień zakończyliśmy, popijając zimnego Bintanga. Jutro będziemy spać jak długo chcemy, po raz pierwszy w Indonezji. Przymusowy pobyt w Ende miał swoje korzyści.

150 000 IR – transport z Moni do parku Kelimutu

300 000 IR – 2 bilety wstępu do parku

230 000 IR – nocleg w Watugana Bungalow

100 000 IR – transport z Moni do Ende

2 390 000 IR – 2 bilety lotnicze z Ende do Denpasar

45 500 IR – bułki i napoje w piekarni

33 000 IR – kolacja w ulicznej jadłodajni (3 zupy)

73 000 IR – 2 duże Bintangi w sklepie

19 września. Przymusowy postój w Ende postanowiliśmy spędzić leniwie. Po skromnym śniadaniu oferowanym przez hotel oddaliśmy się lekturze gazet i książek. W taki sposób przeczekaliśmy gorące godziny dnia i po południu ponownie zawi-

taliśmy do Top Bread Bakery. Poszliśmy na miejscową plażę, która faktycznie wygląda jak czarna. Wskoczyłem do wody, która była przyjemnie ciepła. Jednak nie da się powiedzieć, aby zarówno plaża, jak i morze były czyste. Jakieś śmieci leżały i pływały. Wieczorem zjedliśmy kolację w warungu Sari Rasa. To uliczna jadłodajnia prowadzona przez małżeństwo. Zamówiliśmy ręcznie (jak nas zapewniano) zrobiony makaron z zieleniną i gotowanymi wołowymi kulkami. Takie same kulki dostaliśmy też w wersji smażonej oraz porcję smażonego kurczaka posypanymi wiórkami kokosowymi. Całości dopełniała mała miseczka z wywarem z kurczaka oraz napój aloesowy z cząstkami pływającymi w szklance. Bez dwóch zdań był to, jak dotychczas, najsmaczniejszy posiłek obok tego spożytego w Moni.

79 000 IR – „lunch” w Top Bread Bakery

42 000 IR – 2 lody Magnum (smak granatu – pycha!)

114 000 IR – kolacja w warungu

18 000 IR – 3 paczki cukierków tamaryndowych

20 września. Po śniadaniu spakowaliśmy bagaże i przed opuszczeniem hotelu wyszliśmy zrobić aprowizację w pobliskiej piekarni. Jak na tutejsze warunki, produkty mają smaczne. Lotnisko nie znajdowało się daleko, toteż idąc z plecakami nie zmęczyliśmy się zbyt mocno. Ku memu zdumieniu do Denpasar miał nas przewieźć odrzutowy Embreair 190/195 (oczekiwałem kolejnego samolotu śmigłowego). Moje wcześniejsze obawy związane z marną opinią tanich lotniczych linii indonezyjskich i kilkoma wypadkami w ostatnich miesiącach, tym razem zostały uśmierzone. Lot był spokojny z pięknymi widokami z okna na wyspy otoczone lazurową wodą. Podejście do lądowania w Denpasar jest chyba jednym z najbardziej efektownych, jakie do tej pory widzieliśmy.

Po wyjściu z terminalu przylotów musieliśmy znaleźć transport do Ubud. Szczerze mówiąc, myślałem o jeździe do Denpasar, tam szukaniu dworca skąd odjeżdżają autobusy, spowodowała, że wybraliśmy wersję wygodniejszą. Sprawdziliśmy cenę kursu taksówki i stanowisk pre-paidowych. Wybraliśmy tę drugą możliwość, bo była trochę tańsza. W ten sposób po upływie godziny znaleźliśmy się w Ubud. Nie zarezerwowaliśmy noclegu tutaj, przez co musieliśmy znaleźć go samodzielnie i szybko. Zostawiliśmy bagaże w sklepie i wyruszyliśmy na poszukiwania wzdłuż głównej ulicy miasta – Monkey Forest Jl. Spośród kilkunastu miejsc, które obejrzelśmy, na placu boju pozostały dwa. Jeden w cenie budżetowej, drugi zaś z wyższej cenowo półki. Ubud Inn miał jeden atut nie do pobicia – naprawdę przepiękny ogród. Dziesiątki drzew i chyba setki krzewów. Zadbany basen oraz duże i wygodne pokoje z obszerną łazienką. Udało się nam wynegocjować bardzo przyzwoitą cenę – 500 000 IR za noc, oczywiście ze śniadaniem. Pewnie dlatego, że umówiliśmy się na pięć nocy. Odświeżeni zjedliśmy późny obiad w hotelowej restauracji. Zamówiliśmy lassi w wersji czystej i kardamonowej, zupy kokosowe, żeberka barbecue z warzywami oraz stek wołowy plus warzywa. Porcje niewielkie, ale dania smaczne. Restauracja znajduje się na otwartej przestrzeni w sąsiedztwie wypełnionego roślinnością oczka wodnego m.in. lotosami. Po posiłku wyszliśmy na zapoznawczy spacer. Idąc Monkey Forest Jl. nie sposób zauważyć, że Ubud to typowo turystyczne miasto – z niezliczoną liczbą knajp, sklepów i spa. Co krok słyszeliśmy propozycje – transport, taxi i massage. Zapewne skorzystamy, ale ledwie przyjechaliliśmy i mamy dużo czasu na rozrywki. Wieczór zakończyliśmy, siedząc przy stoliku

obok basenu, popijając chłodne lokalne piwo Bali-Hai. Towarzyszyły nam klimatyczne dźwięki wydawane przez żaby i cykady. Niewątpliwie wybór tego hotelu był znakomitym posunięciem.

500 000 IR – 2 noclegi w Ikhlas Hotel

47 500 IR – zestaw bułek w piekarni

300 000 IR – kurs taxi z lotniska w Denpasar do centrum Ubud

352 000 IR – kolacja w hotelowej restauracji Ubud Inn (z doliczonym podatkiem)

21 września. Śniadania w Ubud Inn były serwowane w restauracji. Do wyboru: soki w kilku smakach, kawa lub herbata, jajka podawane na różne sposoby, omlet lub naleśniki. Do tego 2 croissanty, kostka masła i dżem pomarańczowy. Oczywiście obsługa kelnerska – uprzejma i szybka. Zjadłszy śniadanie, wyruszyliśmy na poszukiwania rozrywki. Idąc w górę główną ulicą, wstąpiliśmy do lodziarni, w której były niezbrane nam smaki, np. cynamon, organiczna wanilia z wyspy Sulawesi (Celebes) zmieszana z popiołem ze spalonego bambusa – naprawdę lekko chrzęścił w zębach. Oglądanie pałacu nie miało większego sensu, bo były w nim prowadzone prace remontowe. W Ubud Tourist Information (oficjalnym, bo urzędowym) kupiliśmy bilety na wieczorny pokaz tańca kecak. Cena biletu obejmowała transport spod UTI i powrót. Po południu zwiedziliśmy muzeum sztuki balijskiej – Puri Lukisan. Zwiedzający otrzymują w cenie biletu powitalny napój. Kolekcja przedmiotów została zgromadzona w 4 pawilonach, pomiędzy którymi znajdują się zadbane trawniki, kameralne baseny i niewielka porośnięta roślinami pergola. Bardzo ciche i estetyczne miejsce, w którym można odpocząć od zgiełku miasta i popołudniowego upału. A nawet nabyć niektóre wystawiane przedmioty, choć ceny zbijają z nóg. Wolnym krokiem wróciliśmy do hotelu, gdzie z dużą ulgą i przyjemnością skorzystaliśmy z basenu. Taneczny show odbywał się w wiosce niedaleko Ubud. Tancerze to mieszkańcy wioski. Amatorzy, lecz mocno zaangażowani emocjonalnie i wokalnie, co dało się zauważyć. Układy taneczne podobno opierały się na wybranych wątkach Ramajany. Pojawiły się również tancerki. Ogólne wrażenia sympatyczne. Folklor, który jest do przyjęcia. Jak wspomniał „mistrz ceremonii”, wokół rzeźby z buzującymi płomieniami zgromadziło się ponad 100 mężczyzn. Po powrocie do Ubud zasiedliśmy w Lotus Cafe, gdzie czekała na nas nagroda. Była nią szisza z chłodnymi butelkami piwa Bintang.

80 000 IR – 4 gałki lodów

170 000 IR – 2 bilety wstępu do muzeum

150 000 IR – 2 bilety na pokaz tańca kecak z transportem z i do Ubud

186 000 IR – obiad (zupa rybna, 2 porcje spaghetti, 2 mrożone herbaty)

166 000 IR – szisza i 2 duże Bintang

22 września. Wczoraj ustaliliśmy, że dzień spędzimy aktywnie, jeżdżąc rowerami po Ubud i okolicach. Chcieliśmy zobaczyć pobliskie wioski, pola i tarasy ryżowe, małe lokalne świątynie. Niedaleko hotelu wypożyczyliśmy rowery i wyposażeni w informacje od obsługi wyruszyliśmy. Na początku zjechaliśmy w dół Monkey Forest JI., a potem na lokalne drogi. Niestety nie były one tak poboczne, jak wcześniej sądziliśmy, z leniwym ruchem samochodowo-skuterowym. Było zupełnie przeciwnie, duży ruch i dużo spalin do wdychania. Jednak po drodze skręciliśmy na jakieś polne ścieżki, gdzie mogliśmy zaobserwować, jak autochtonka „młóci” dojrzałe pędy ryżu. Jednakże nie było to, czego oczekiwaliśmy. W miasteczku, a może wiosce Sayon trafiliśmy do Sayon Ter-

race i stąd już mogliśmy obserwować piękny widok. „Las” palm kokosowych, słysząc było szum płynącej w dole rzeki. Z kolei w wiosce, w której podobno znajdowały się galerie z pracami miejscowych artystów, okazały się one (galerie) sklepami z tandetną amatorszczyzną przeznaczoną dla mało wymagających i ewidentnie pozbawionych gustu zagranicznych frajerów. To nie był nawet sympatyczny miejscowy prymitywizm, lecz żałosny, tani kicz. Szkoda czasu i wysiłku nóg. Z dalszych eksploracji zrezygnowaliśmy, bardziej już nie chcieliśmy się rozczarować. Zaoszczędzony czas wykorzystaliśmy na kąpiel w basenie i lekturę w zaciszu hotelowego ogrodu. W końcu zaznawaliśmy prawdziwego leniwego wypoczynku. Było to znacznie przyjemniejsze doznanie niż kręcenie pedałami w upale. Wieczorem w jednym z setek miejsc obsługujących turystów wykupiliśmy zorganizowany wyjazd obejmujący niektóre z atrakcji Bali. Taki typowo masowy pakiet, oferujący od 6 do 12 punktów w ciągu dnia.

Smaczną kolację zjedliśmy w Dien Restaurant. Dobra pizza pescatore oraz kawałki miękkiej wołowiny w pieprzowym sosie z gotowanymi warzywami skutecznie przypominały nam, że Indonezja nie tylko ryżem i makaronem stoi. Do tego zamówiliśmy soki (mix banana i ananasa oraz marakuja) i 2 piwa Bintang. Za każdym razem, kiedy wieczorem przychodzimy do Ubud Inn, cieszyliśmy się z dokonanego wyboru. O tej porze ogród jest oazą ciszy i spokoju. Naprawdę fantastyczne otoczenie. Bungalow, w którym zamieszkaliśmy, znajduje się na samym końcu posesji, zatem nawet w ciągu dnia nie dociera tu najmniejszy hałas z ruchliwej Monkey Forest Jl. Zarezerwowaliśmy też wizytę w salonie masażu. Ma bardzo dobre opinie i rekomendacje od ludzi z całego świata.

50 000 IR – wypożyczenie 2 rowerów na cały dzień

8000 IR – szklanka soku mango

30 000 IR – miejscowy jogurt kokosowy na trasie rowerowej

30 000 IR – kawałek organicznej czekolady na trasie

95 000 IR – posiłek w trasie

173 000 IR – obiadokolacja w Dien Restaurant (z podatkiem)

200 000 IR – depozyt do pakietu objazdowego

23 września. Dzień poświęcony na wyjazd zorganizowany. Nie jestem zwolennikiem tego typu imprez, ale cóż... Całkiem przyjemne zaskoczenie wiązało się z faktem, że łącznie z nami w minivanie Suzuki było tylko 6 osób. Wyruszyliśmy spod hotelu o 10 rano. Po drodze kierowca podjechał po pozostałych uczestników wycieczki. Zaczęliśmy od Royal Temple (może być), potem Monkey Forest (sporo wysokich drzew i małp). Następnie komercyjna wizyta na „plantacji” kawy, gdzie pokazano nam inne rośliny (przyprawy: cynamon, wanilia) i drzewa (jack fruit, durian, papaya). Wizyta była połączona z degustacją różnych rodzajów kawy. Gwoździem programu była możliwość wypicia oraz kupna osławionej kawy kopi luwak. Sądzę, że nie była to autentyczna kawa, bo cena za filiżankę 50 000 IR wydawała mi się za niska. Jednak skusiliśmy się. W środku dnia zatrzymaliśmy się w jednej z przydrożnych restauracji na obiad. Z restauracji rozpościerał się malowniczy wręcz widok na pobliskie tarasy ryżowe. Obiad był w formie bufetu szwedzkiego z dużą ilością dań – zupa warzywna, kukurydziana, smażony makaron, smażone tofu, smażona ryba w cieście, smażony kurczak, frytki, ryż, gotowane warzywa, desery (pudding z czarnego ryżu, placki z bananami), świeże owoce (papaja, arbuz), kawa i herbata. Inne napoje płatne dodatkowo. Po południu

dotarliśmy do świątyni Ulun Temple położonej nad jeziorem i pasmem górskim w tle. Na koniec zawitaliśmy do Tanah Lot Temple obserwować zachodzące słońce nad morzem. Wiedziałem, że na kameralność nie można liczyć, ale jednak liczba turystów była przytłaczająca. Nie były to setki, lecz tysiące ludzi. To absolutnie atrakcja nr 1 na Bali. Fakt – świątynia usytuowana jest niezwykle, na skale oddalonej od wybrzeża. W trakcie przyływu skała ta jest odcięta od brzegu wodami morza i wtedy widok jest jeszcze bardziej imponujący. Po spektaklu wsiedliśmy do auta i w zapadających ciemnościach wyruszyliśmy w drogę powrotną do Ubud. Kierowca zatrzymał się przed hotelem po 19.30, tak więc wycieczka trwała prawie 12 godzin. Bez najmniejszych wątpliwości sami nie zdołalibyśmy w tym czasie zobaczyć wszystkich punktów z pakietu, więc tym razem było warto. Dla jasności, bilety wstępu do świątyń, małego lasu oraz koszt obiadu oczywiście nie wchodziły w cenę objazdu. Z uwagi na obfity obiad nie byliśmy głodni i udaliśmy się ponownie do Lotus Cafe na sziszę i dzbanek jaśminowej herbaty.

280 000 IR – dopłata do wycieczki objazdowej

30 000 IR – 2 bilety do Royal Temple

50 000 IR – 2 bilety do Monkey Forest

100 000 IR – 2 filiżanki kawy (niby kopi luwak)

70 000 IR – torebka herbaty o smaku trawy cytrynowej

60 000 IR – 2 bilety do Ulun Temple

275 000 IR – 2 obiady

60 000 IR – 2 bilety do Tanah Lot Temple

110 000 IR – szisza i dzbanek herbaty jaśminowej

24 września. Przedwczoraj zarezerwowaliśmy wizytę w salonie masażu i spa. Zdecydowałem się na 2-godzinną sesję obejmującą masaż i scrubbing, czyli chyba ścieranie. I nie były to zmarnowane pieniądze. Do zabiegów użyto pachnących olejków i środków złuszczących skórę. Na zakończenie kwadrans odpoczynku w wannie wypełnionej ciepłą wodą ze świeżymi płatkami kwiatów. Aż nie chciało się wychodzić na zewnątrz, bo wiedziałem, że tam będzie bardzo ciepło. I było, a musiałem znaleźć miejscową pocztę, żeby wysłać kartki do kraju. Wiem, że to anachronizm w dzisiejszych czasach, ale jeszcze chce mi się to robić. SMS i e-maile są takie oschłe i pozbawione emocji. Z kolei pozostawienie kartek w hotelu nie zawsze kończy się ich dostarczeniem do urzędu pocztowego przez obsługę. Pocztę znalazłem, ale niestety była zamknięta. Już myślałem, że mój trud poszedł na marne, ale na szczęście obok była stara dobra skrzynka.

Wczesnym popołudniem zjedliśmy obiad w restauracji Barcelona Tapas, gdzie zamówiliśmy paellę z owocami morza z sokami owocowymi. Suta porcja, która zaspokoiła nasze łaknienie. Wróciliśmy do hotelu i po krótkiej sjeście oddaliśmy się przyjemności pływania w basenie. Niestety już ostatni raz, bo jutro mieliśmy opuścić Ubud. Wieczorem przeszliśmy się po sklepach i dokonaliśmy zakupów pamiątek i konfekcji oraz wykupiliśmy przejazd busem do Padangbai. W kawiarni na Monkey Forest JI. wypiliśmy kawę kopi luwak, podobno certyfikowana. Baristka przygotowała ją z ekspresu ciśnieniowego. Kawa smaczna, jednak potwierdzeniem oryginalności towaru były tylko słowa obsługi. Ceny były znacznie wyższe niż na „plantacji”, ale nadal miałem wątpliwości co do oryginalności produktu. Dla niewierzących w gablotce zostały wystawione odchody zwierzątka (luwaka), w których można było zauważyć nie strawione ziarna kawy.

Na miejscu można kupić paczkę tejże kawy zmielonej lub w ziarnach. Kolację zjedliśmy ponownie w Dien Restaurant, bo smakowały nam podawane tam dania.

300 000 IR – 2-godzinna sesja w salonie masażu

550 000 IR – 4-godzinna sesja

200 000 IR – 2 paelle z owocami morza i 2 soki owocowe (mango, truskawka)

26 000 IR – 2 lody Magnum (smak granatu)

121 000 IR – kubek kawy kopi luwak w kawiarni

200 000 IR – kolacja (2 steki z tuńczyka, zupa z owoców morza, 2 piwa Bintang)

120 000 IR – transport z Ubud do Padang Bay (2 os.)

25 września. Wcześniejsza pobudka, bo przed nami pakowanie i ostatnie zakupy – te przemysłane, jak i spontaniczne. Do tych pierwszych należały owoce na lokalnym marketcie. Kupiliśmy fantastycznego salaka i jeszcze lepszą marakuję. Do tych drugich można zaliczyć nabycie obrazków. Wykonanych przez malarza farbami olejowymi i chyba klasyczną techniką (płótno malarskie, podkład, farby). Wcześniej zauważyliśmy tę amatorską galerię, ale w poprzednich dniach wieczorem była już zamknięta. Zapowiadało się, że nie dopniemy planowanej transakcji. Nie mieliśmy dużo czasu, toteż negocjacje były krótkie i bardzo stanowcze z naszej strony. Nie zastosowaliśmy żadnej ze strategii i wiedzy nabytej podczas wcześniejszych podróży. Powiedzieliśmy, ile możemy zapłacić maksymalnie i że dziś wyjeżdżamy z Ubud. Marszandem malarza była jego żona, posługująca się angielskim. Ostatecznie zapłaciliśmy 50% ceny wywoławczej za jeden obrazek. W drodze powrotnej do hotelu wstąpiliśmy do lodziarni na pyszne lody i kawiarni po małą paczkę ziaren kawy kopi luwak. Uregulowaliśmy rachunek za noclegi i spokojnie czekaliśmy na transport do Padangbai. W vanie było 10 miejsc. Po blisko 1,5 godz. jazdy dotarliśmy do celu. Szybko znaleźliśmy noclegownię i poszliśmy sprawdzić, jak wygląda jedna z dwóch plaż, Blue Lagoon Beach. Ładna i kameralna, ale piasku na niej tyle co na lekarstwo. Obiad (dania rybne) zjedliśmy w restauracji nad brzegiem zatoki, a potem przeszliśmy się spacerem na drugą z plaż. Zalegliśmy leniwie na piasku i przez jakiś czas musieliśmy uporczywie odmawiać składanym propozycjom masażu. Kupiliśmy też przejazd do Denpasar na następny dzień, bo okazało się, że jakimś cudem straciliśmy rachubę czasu i już jutro mamy lot z Denpasar do Jakarty. Dobrze, że wyszło to dziś, a nie jutro po południu. Mielibyśmy dodatkowe koszty i zapewne sporo nerwów. Wieczorem zjedliśmy kolację w hotelowej restauracji, znajdującej się w odrębnym budynku. Przyjemnie było w niej siedzieć, bo przez otwarte okna wpadała rześka bryza. Z okien restauracji obserwowaliśmy odpływające na Lombok promy. Ot, taka mała wioska, w której po zapadnięciu zmroku nie ma co robić poza przesiadywaniem w restauracjach do czasu ich zamknięcia. Upiorne światło z energooszczędnych żarówek w pokojach i na tarasie zniechęcało do czegokolwiek. Dlatego najlepszym rozwiązaniem był sen.

15 000 IR – 1 kg salaka

20 000 IR – 1 kg marakui

1 200 000 IR – 2 obrazki

80 000 IR – 4 gałki lodów w lodziarni Gelato Secrets

324 000 IR – mała paczka (50 g) kawy kopi luwak w kawiarni

2 500 000 IR – 5 noclegów w Ubud Inn

300 000 IR – nocleg w Kerti Beach Bungalows

134 000 IR – obiad (grillowany merlin-ryż-warzywa, barrakuda-frytki-warzywa, las-
si i sok z melona)

140 000 IR – transport do Denpasar

25 000 IR – paczka kretek (papierosy)

225 000 IR – kolacja (smażony merlin-ryż-warzywa, spaghetti z owocami morza,
2 piwa Bintang, 2 soki tamaryndowce)

26 września. Forma śniadania lekko nas zaskoczyła tym, że wybiera się je z kar-
ty. Niezbyt obfite, ale do Denpasar powinniśmy dotrzeć. Przy odjeździe autobusu wy-
nikło spore zamieszanie i opóźnienie. Odlot mieliśmy późnym południem, więc nie
przejmowaliśmy się. Po upływie ok. 1,5 godziny dojechalśmy na lotnisko krajowe.
Szybko odprawiliśmy bagaże. Przed nami było ponad 5 godzin oczekiwania. Mając tyle
czasu, chcieliśmy sprawdzić, czy opłata wylotowa zawarta jest w cenie biletu. Niestety
w informacji na obu terminalach (krajowym i międzynarodowym) nie uzyskaliśmy od-
powiedzi. Biuro Emirates było już zamknięte i pozostaliśmy w stanie niewiedzy. W stre-
fie boardingu na tablicy ukazała się informacja, że lot do stolicy był opóźniony. Musie-
liśmy uzbroić się w cierpliwość. Na dodatek po wylądowaniu długo czekaliśmy na ba-
gaże, co oznaczało konieczność jazdy taksówką do dzielnicy tanich hoteli. Na stano-
wisku firmy taksjarskiej Blue Bird (podobno w miarę uczciwa, taksometr był włączony)
z charakterystycznymi błękitnymi autami też musieliśmy swoje odczekać, mając przy-
dzielony nam numer. Choć lotnisko jest oddalone od Jakarty, dojechalśmy szyb-
ko, czyli ciut ponad godzinę. A to z uwagi na brak korków o tej porze. Wysiedliśmy na
ulicy Jalan Jaksa przed hotelem Margot, który wybraliśmy z przewodnika Lonely Plan-
et. I w nim zostaliśmy. Byliśmy na tyle znużeni, że nie wyszliśmy na wieczorny spacer.

80 000 IR – nasi goreng, makaron z kurczakiem, 2 wody obok lotniska w Denpa-
sar (sieciówka)

61 000 IR – mocca venti w Starbucks

99 000 IR – średnia pizza americana w Pizza Hut na lotnisku

155 000 IR – kurs z lotniska w Jakarcie

27 września. Hotel był oczywiście z kategorii budżetowych, co dało się zaobser-
wować po jego korytarzach i wyposażeniu pokoju. Mieliśmy spędzić w nim tylko 1 noc
(ostatnią), toteż wczoraj nie grymasiliśmy. Cena za nocleg obejmowała też śniada-
nie. Jakarta nie ma zbyt wiele miejsc, które mogą zainteresować turystę. Jednak coś
da się znaleźć. Autobusem nr 1 linii Transjakarta pojechaliśmy w okolice „starego mia-
sta” – dzielnicy Kota. Znajdują się w nim pozostałości architektoniczne holenderskiej
zwierzchności nad kolonią, jaką była wówczas Indonezja. To ledwie kilka budynków
stylistycznie różnych od otoczenia. Niewątpliwie najciekawszym z nich jest Cafe Bata-
via. Jej wnętrze i atmosfera przywodzi na myśl epokę art-deco. Stylowy bar na parterze
i elegancka restauracja na piętrze skutecznie przywołują ducha tamtych czasów. Ściany
pomieszczeń, korytarzy, a nawet toalet obwieszone są zdjęciami znanych postaci. Chy-
ba jednak niebędących gośćmi kawiarni. Sposób podania kawy przenosi nas do Eu-
ropy. Można tutaj spędzić przyjemnie kilka chwil. Już poza „kwartałem holenderskim”
na bocznej ulicy natknęliśmy się na rower z budką, w której kryły się ... lody duriano-
we!!! Właściwie to był sorbet, ale po chwili wahania poprosiłem o 1 porcję. Moje oba-
wy związane były z możliwością zatrucia, ale nie mogłem odmówić sobie. Taka oka-
zja mogła się już nie przydarzyć. Lody były fantastyczne – czyste, niczym nie zmaco-

ny smak duriana. Z pętli autobusowej w dzielnicy Kota podjechaliśmy w okolice National Monument. Symbol walki o niepodległość to wysoki, wolno stojący słup. Na jego szczyt można wjechać, ale zrezygnowaliśmy. Obeszliśmy jedynie jego otoczenie. Niedaleko pomnika zjedliśmy lekki posiłek, ale gado-gado było wyjątkowo pikantne.

Do hotelu było niedaleko, więc szliśmy wolnym krokiem przez opustoszałą arterię miasta. Wstąpiliśmy do dużego sklepu handlowego domu handlowego, a w nim tekstylia z batikami na czele, rękodzieła, muzyka, elektronika i turystyczne pamiątki. Duży wybór i wysokie ceny. Kupiliśmy przede wszystkim egzotyczne i fantastyczne owoce – salak, mangosteena i po raz pierwszy sirsaka. Ten ostatni jest absolutnie fenomenalny! Nie tak wyrazisty jak durian, ale ma w sobie słodycz i maślaną konsystencję. Nie polecam wymiany waluty na Jalan Jaksa, bo dostaliśmy słaby kurs. Niestety, było to jedyne miejsce, w którym mogliśmy jej dokonać. Naprzeciwko hotelu zlokalizowaliśmy knajpę z sziszą. Nie omieszkałoby skorzystać z okazji, żeby przewentylować płuca miętowym dymem z jednoczesnym zwilżeniem gardła ostatnimi łykami Bintanga. Już wcześniej zdecydowaliśmy, że na lotnisko pojedziemy wygodnie i szybko. Recepcjonista zamówił nam taxi z Blue Bird. Przed wyjazdem bardzo dokładnie sprawdziłem każdy zakamarek plecaka, który stał cały dzień w recepcji. Programy o turystach złapanych na przemyśle narkotyków i ich egzekucjach nakazywały dużą ostrożność. Nic nie znalazłem i spokojnie jechałem taksówką przez Jakartę. Korków na trasie nie było, dopiero przed lotniskiem. Odprawa poszła bardzo sprawnie i mieliśmy czas na kolację i wydanie resztek miejscowych pieniędzy. Samolot wystartował o czasie i przed nami był długi lot do Dubaju. Bogata oferta rozrywki na pokładzie i dużo miejsca na nogi w tym Boeingu 777 to atuty Emirates. Niestety ponownie boarding był opóźniony, a później jeszcze czekaliśmy ponad 2 godziny na start do Warszawy. Kolejny lot i po południu wylądowaliśmy w Warszawie. Zadowoleni i sęsknieni.

300 000 IR – nocleg w Margot Hotel

96 200 IR – 2 kawy w Batavia Cafe

10 000 IR – sorbet durianowy

7000 IR – przejazd autobusem z Kota do National Monument

60 000 IR – 2 gado-gado i 2 kokosy przy pomniku

20 000 IR – 2 lody Magnum

31 800 – 6 paczek cukierków durianowych

15 600 – 2 paczki cukierków tamaryndowych

129 000 IR – szisza i 2 duże piwa Bintang

155 000 IR – kurs taksówki z hotelu na lotnisko

15 000 IR – opłata za autostradę

189 000 IR – kolacja na lotnisku (smażony łosoś-frytki-warzywa-zielona herbata, spaghetti carbonara, czarna herbata)

18 000 IR – paczka ciastek w strefie

Był to nasz pierwszy wyjazd do Indonezji. Sądzę, że nie ostatni. W pamięci zapisały się nam przede wszystkim niezwykle piękne wulkany i mimo wszystko zdumiewające warany z Komodo i Rinki. Imponująca świątynia w Borobudur jest jedyna w swoim rodzaju w całej Azji Południowo-Wschodniej. Zostało jeszcze tyle wysp i atrakcji, że szkoda byłoby do tego kraju nie wrócić.

Ewa Flak
Jarosław Kociel

Borneo – światowe sanktuarium przyrody



Termin: 28 lutego – 25 marca 2015

Uczestnicy: Ewa, Jarek, Mirek

Trasa lotnicza: Warszawa – Barcelona – Warszawa (Ryanair – 2 loty) – 223 PLN/os., Barcelona – Doha – Kuala Lumpur – Kuching (Qatarair/Airasia) – 1965 PLN/os., Kuching-Mulu – 80 MYR/os., Mulu – Kota Kinabalu (1 lot) – 80 MYR/os.

Trasa lądowa: Kuching – Mulu – Kota Kinabalu – Kota Belud – Park Narodowy Abdul Rahman – Park Narodowy Mt. Kinabalu – Sandakan – Sepilok – Labuk Bay – Labuan – Bandar Seri Begawan (Brunei) – Miri-Bekenu (jaskinie Niach) – Kuching – Park Narodowy Bako – Sarawak Cultural Village – Semengokh – Farma Krokodyli

Koszty podróży: 5230 PLN/os. (pełny koszt za pobyt na Borneo i w Barcelonie)

Kursy walut: 1 USD = 3,59 MYR

Czas: w zależności od pory roku: zimą +7 godz., a latem +8 godz.

Bezpieczeństwo: turysta może czuć się bezpiecznie

Wizy: przy pobycie turystycznym trwającym do 3 miesięcy wiza nie jest potrzebna

Język: językiem urzędowym jest malezyjski, pomocniczym angielski, którym posługuje się wielu mieszkańców

Pogoda: jest słonecznie, gorąco i wilgotno, wieczorem są tropikalne deszcze

Elektryczność: 220V, należy mieć adapter z trzema płaskimi bolcami

Przewodniki i mapy: Lonely Planet *Malezja*

Koszyk podróżnika: woda mineralna duża – 1,5 MYR, coca-cola 2 l – 3,4 MYR, lody 2 l – 7,9 MYR, piwo – 5 MYR, wino – 35 MYR, ziemniaki 1 kg – 2,5 MYR, banany 1 kg – 4,2 MYR, pomarańcze 1 kg – 6 MYR, arbuzy 1 kg – 3,99 MYR, Internet – 4,9 MYR / 1 godz., herbata w restauracji – 1,6 MYR, kawa – 1,7 MYR, obiad w restauracji od 6 MYR w górę, 1 l ropy – 2 MYR, benzyna – 3,9 MYR, paczka Marlboro – 12 MYR. Zakupy warto robić w supermarketach, które są w każdym dużym mieście. Smacznie można zjeść na targowiskach i w galeriach handlowych, gdzie każdy znajdzie coś dla siebie.

RELACJA Z PODRÓŻY

28 lutego, Katowice-Warszawa-Barcelona. O godzinie 10.00 Polskim Busem za 10 zł pojechaliśmy z Katowic do Warszawy, w stolicy byliśmy o godz. 14.30. Następnie spod Pałacu Kultury i Nauki o godz. 16.40 odjechaliśmy Modlin Busem na lotnisko do Modlina. Samolot do Barcelony odleciał o godz. 19.50. Na miejscu byliśmy o 22.25. Tu

kupiliśmy bilety w automacie na Aerobus (10,20 euro/os. w dwie strony do centrum miasta). Po kilkunastu minutach byliśmy przy Plaza Catalunya, skąd piechotą dotarliśmy do „After Hostel” przy Carrer d’Enric Granados, 52, 08008 Barcelona. Hostel mieści się w starej kamienicy. Jest tu darmowy dostęp do Internetu i Wi-Fi, jeśli ktoś chce gotować, to musi zapłacić dodatkowo 5 euro. Za nocleg zapłaciliśmy 131 euro/3os. za 3 noce (w tym 6 euro podatek i 10 euro wcześniejsza zaliczka). Przed północą zrobiliśmy jeszcze szybkie zakupy spożywcze i poszliśmy spać.

1 marca, Barcelona. Po szybkim śniadaniu poszliśmy zwiedzać miasto. Zaczęliśmy od Casa Milà, jednego z arcydzieł Gaudiego, następnie przechodząc przez Plaza Real, udaliśmy się do portu, gdzie stoi pomnik Kolumba, który jest punktem orientacyjnym i miejscem spotkań. Skierowaliśmy się do nowej części miasta Barcelonetty, tutaj powstał kompleks portowo-usługowy, stanowiący dużą atrakcję dla mieszkańców i turystów. Niedaleko znajduje się marina, gdzie cumują łodzie i jachty. Następnie udaliśmy się główną arterią miasta Las Ramblas w kierunku północnym. Część tej alei wyłożona jest mozaiką Joan Miro, po drodze można zobaczyć chińskiego smoka zawieszonego na jednej z kamienic. W jednej z uliczek znajduje się Palacio Guell. Kolejną atrakcję stanowił Łuk Triumfalny, następnie podeszliśmy do Torre Agbar, który przypomina ogórka (biurowiec). Wciąż wspinając się pod górę dotarliśmy do Sagrada Familia, budowanej od 1882 r. Następnie obejrzelśmy szpital de la Santa Creu i Sant Pau, skąd przeszliśmy do Parku Guell (wstęp 8 euro/os., wejścia co 30 minut). Przez cały dzień przeszliśmy spacerkiem ponad 20 km. Miasto od naszej ostatniej wizyty 16 lat temu zmieniło się, wybudowano nowe osiedla, powstało przez ten czas wiele nowych inwestycji. Barcelona tętni życiem, kawiarenki i restauracje są zapelnione. Dodatkowo pogoda nas rozpieszczała pięknym, wiosennym słońcem. Wracając do hostelu, znaleźliśmy małą kawiarenkę „Zaika” przy c/Rossello, gdzie serwowano menu del dia, czyli menu dnia, które składa się z kilku dań i deseru za stałą kwotę 8 euro.

2 marca – poniedziałek, Barcelona. Od rana zwiedzamy miasto. Najpierw obejrzelśmy Casa Batlló, następnie udaliśmy się na targowisko La Boqueria, gdzie można spróbować świeżych soków i owoców, jak również przekąsić różne specjały. Jest to miejsce, które stanowi atrakcję turystyczną, a mieszkańcy Barcelony robią tutaj codzienne zakupy. Przechodząc przez La Rambla (główny deptak miasta), weszliśmy do Barri Gòtic, czyli gotyckiej części miasta, gdzie można obejrzeć katedry, kamieniczki, średniowieczne mury miejskie. Jest to płatanina zabudowy starej Barcelony, która rozwijała się, wychodząc za mury miasta, wchłaniając kolejne dzielnice. Następnie spacerkiem podeszliśmy na Wzgórze Montjuïc, gdzie znajduje się twierdza, punkt widokowy oraz rzeźba tańczących sarmale dzieci. Obok mieści się kompleks olimpijski ze stadionem, halą sportową i charakterystyczną wieżą telekomunikacyjną. Niedaleko jest Muzeum Sztuki Współczesnej. Dalej przeszliśmy w kierunku Plac Espana, gdzie znajduje się budynek corridy Las Arenas (zamknięta arena do walk byków) zamieniona na hipermarket. Tutaj też można za 1 euro wjechać na platformę widokową, skąd rozciąga się panorama miasta. Obok mamy Park Joan Miro, gdzie można podziwiać jedno z jej dzieł. Kawałek dalej znajduje się jeden z większych dworców Barcelona Stand, obok którego wybudowano Park Industrials. Zmęczeni wróciliśmy na „naszą” dzielnicę, gdzie zjedliśmy kolację w knajpce odkrytej dzień wcześniej.

3/4 marca, Barcelona-Doha-Kuala Lumpur-Kuching (przelot). Rano Jarek w ramach treningu pobięgał po mieście 12 km, natomiast my spakowaliśmy bagaże i czekaliśmy do godz. 12.00, aby potem ruszyć na lotnisko. Odlot mieliśmy z terminu 1 o godz. 15.20 do Doha w Katarze (linie Qatarair). Po 5 godz. i 40 min. byliśmy na miejscu. Tu mieliśmy 2 godz. oczekiwania, by o godz. 1.35 odlecieć do Kuala Lumpur, gdzie dolecieliśmy po 7 godz. Następnie przesiadaliśmy się na samolot Airasia do Kuching na Borneo – lot trwał 1.45 godz. O godz. 21.00 byliśmy na miejscu. Z lotniska pojechaliśmy taksówką za 26 MYR/3os. do hotelu Marco Polo's Guesthouse 236, Jalan Padungan, 93100 Kuching, Sarawak za pokój zapłaciliśmy 56 MYR/3 os. Różnica czasu między Polską a Malezją to +7 godz., czyli gdy w Polsce jest 12.00 w południe, w Malezji mamy 19.00 wieczorem.

5 marca, Kuching-Mulu. Jak zwykle mieliśmy problem ze zmianą czasu i tym razem bardziej zmęczenie nas uśpiło niż rzeczywisty rytm dnia. Wstaliśmy na hostelowie śniadanie, które nas miło zaskoczyło, bo serwowano herbatę, kawę, chleb, dżem, Nutellę, babeczki i było to podane w wersji szwedzkiego stołu. Potem wymieniliśmy w kantorze pieniądze, gdzie przelicznik okazał się dla nas łaskawy, bo 1 MYR to prawie 1 PLN (1 USD = 3,59 MYR). Taksówką podjechaliśmy na lotnisko, skąd o godz. 11.20 mieliśmy samolot do Mulu (leciało 16 osób). Po 1,30 godz. byliśmy na miejscu. Wychoząc z samolotu, uderzyło w nas potwornie gorące i wilgotne powietrze. Z lotniska poszliśmy 1300 m pieszo do kwatery parku narodowego, gdzie potwierdziliśmy rezerwację, wykupiliśmy wycieczki i pozwolenia za łączną kwotę 480 MYR/3 os. Następnie wyszliśmy z terenu parku i znaleźliśmy nocleg w homestay-u „Bamboo” za 15 MYR/os. Warunki spartańskie, budynek to tradycyjny longhouse, z kilkoma pokojami oraz prostą ubikacją, stoi na palach i chwieje się przy mocniejszym wietrze. Zostawiliśmy bagaże i wyruszyliśmy na pierwszą przechadzkę po dżungli. Trasa wiedzie wytyczonymi kładkami, jest dobrze oznakowana, więc wszędzie można trafić. Z recepcji parku warto wziąć klucz do kłódki, by wejść na drewnianą wieżę z punktem obserwacyjnym. Postanowiliśmy podejść do jaskini nietoperzy, w której podobno mieszka ich 3 mln. Parę metrów od wylotu jaskini wybudowano platformę, z której można obserwować, jak od godz. 16.00–18.00 nietoperze wylatują na „kolację”. Zobaczyliśmy kilka grup nietoperzy, które, wznosząc się, tworzą ciekawe wzory i koła. Potem deszcz wszystko zepsuł. Chcieliśmy przeczekać burzę, ale ona wciąż przybierała na sile, w końcu wróciliśmy przemoczeni do suchej nitki. W nocy deszcz nie odpuścił i dudnił po blaszanych dachach.

6 marca, Mulu. Rano zjedliśmy śniadanie i podeszliśmy do centrum parku, skąd razem z przewodnikiem wyruszyliśmy na poranną wycieczkę do jaskiń. Okazało się, że w samym sercu malezyjskiego lasu równikowego pod ogromnym wapiennym pasmem kryją się największe sale jaskiniowe świata. Do dziś grotolazi sporządzili mapy 26 z nich, które wiją się w głąbi góry Mulu na długości ponad 200 km. Równie fascynujące są tutaj zwierzęta żyjące w ich tajemniczych głębinach. Odpłynęliśmy z przystani małymi łódkami, najpierw odwiedzając wioskę, w której odbywało się targowisko. Można było kupić rękodzieło oraz spróbować swoich sił jako wojownik, strzelając z dmuchawek. Obok można zobaczyć nowe longhous'y wybudowane przez rząd. Jest to duża różnica, bo tradycyjnie są zbudowane z desek, na wysokich palach i zamieszkuje w nich kilka rodzin. Nowe wyglądają jak koszary wojskowe. Dalej popłynęliśmy

do małej przystani, skąd zaczynał się szlak do jaskiń. Najpierw Wind Cave, potem Clear Water. Trasa wiedzie kładkami wybudowanymi na krawędziach skał, jest malowniczo i zielono. Wytyczono tu specjalny odcinek w postaci kładek, mostków i drabinek. Obowiązkowo należy wziąć ze sobą latarki. Po 3 godzinach wróciliśmy do parku i poszliśmy zjeść obiad. Mieliśmy dwie godziny do następnej wycieczki, więc przeczekaliśmy ten czas w cieniu. Wilgotność i wciąż parująca po nocnej ulewie woda bardzo uprzykrzały życie. Każdy wypity łyk wody ponownie wypływał porami skóry.

Popołudniową wycieczkę do Lagang Cave mieliśmy tylko w trójkę. Okazała się ciekawsza niż poranna, ponieważ było spokojnie, bez hałasu innych osób weszliśmy do jaskini i przeszliśmy w niej kilka kilometrów. W pewnym momencie przewodnik kazał wyłączyć latarki i ogarnęła nas całkowita cisza i ciemność. Pokazał nam jaskiniowe pająki, nietoperze, kraby albinosy, ciekawe formacje skalne. Ścieżka wiedzie przez dżunglę, więc tutaj przewodnik też okazał się niezbędny, pokazując nam co ciekawsze drzewa i insekty. Następnie łodzią wróciliśmy do głównej przystani, w ostatnim momencie zdążyliśmy przed kolejną nawałnicą. Tutaj deszcz leje z dużą siłą, więc w parę sekund jest się mokruteńkim. W Parku Narodowym Mulu znajduje się prawdziwa stara dżungla, pełna gigantycznych drzew, lian i paproci. Słychać cykady, ptaki, świerszcze i wszystkie odgłosy żyjącego lasu. Ma się wrażenie, że jest się na planie filmowym.

Dżungla jest niebezpieczna, wszystko wokół kłuje, drapie, parzy. Prawdziwe spektakle odbywają się o świcie i zmierzchu, gdy dżungla budzi się i zasypia. Jej odgłosy układają się w orkiestrę chrząknięć, pisków, wrzasków. Otacza nas tu kakofonia leśnych dźwięków i sprawia, że europejska rzeczywistość zostaje daleko. Wieczorem poszliśmy na kolację do „Bamboo Restaurant” obok naszego longhouse, choć trudno nazwać to restauracją. Po prostu jest to buda z kuchenką gazową, na której przygotowywane są obiady. Trwa to dość długo, bo wszystko od początku do końca jest robione ze świeżych produktów, a jeśli każdy zamówi inne danie, to dla każdego szefowa kuchni gotuje osobno wszystkie potrawy. Można zjeść tu smacznie, za nieduże pieniądze. Dziś tocymy kolejną nieudaną walkę z jetlagiem, którą przegrywamy od kilku nocy. Budzimy się o godz. 0.40 i próbujemy na siłę spać. Masakra.

7 marca, Mulu-Kota Kinabalu. Zjedliśmy śniadanie i udaliśmy się na lotnisko, gdzie w cieniu hali odpraw oczekujemy na samolot do Kota Kinabalu. Mamy nadzieję, że klimat będzie trochę łagodniejszy niż w parnej, gęstej dżungli. Najpierw polecieliśmy do Miri, gdzie było międzylądowanie. Trzeba było wyjść z samolotu, przejść odprawę paszportową i znów wsiąść do tego samego samolotu lecącego do Kota Kinabalu. Przy przekraczaniu stanu otrzymuje się pieczętkę w paszporcie. Cały przelot z przesiadką trwał prawie 1 godz. Do centrum miasta dojechaliśmy autobusem za 5 MYR/os., który najpierw objeżdża terminale, zbierając pasażerów, a potem kieruje się do miasta. Zatrzymaliśmy się w Stay in-Lodge 121, Jalan Gaya, Pusat Bandar, 88000 Kota Kinabalu, Sabah za 60 MYR/3os. pokój. Zostawiliśmy bagaże i ruszyliśmy na rekonasans. Okazało się, że miasto jest małe i po kilku godzinach mieliśmy obeznane najważniejsze punkty. Kontrast po opuszczeniu dżungli był dość duży, bo tam nieustannie słychać było cykady, ptaki, małpy, a tu ruch miejski odbywający się po dwóch głównych ulicach, znajdujących się w pobliżu hotelu. Kolację zjedliśmy u Chińczyka, który miał restaurację pod naszym hostelem. Ceny przystępne, obiady od 5 MYR.

8 marca, Kota Kinabalu – Kota Belud. Rano zjedliśmy śniadanie, czyli tosty z dżemem, herbata, kawa. Potem pojechaliśmy 70 km bussem (10 MYR/os.) do Kota Belud, gdzie odbywał się niedzielny targ. Przewodniki i ulotki opisują to miejsce jako targowisko, na którym można spotkać przedstawicieli tubylczych plemion zamieszkujących okoliczne wioski i góry. Na targu można przyjrzeć się miejscowym oraz ich rzadkim wyrobom. Pokręciliśmy się, porobiliśmy zdjęcia i postanowiliśmy wrócić do Kota Kinabalu. Tutaj odbywają się codziennie targowiska, w tym filipiński nocny market, na którym Jarek oddał się fotograficznemu szaleństwu. Można tu nabyć miejscowe pamiątki, kupić owoce – warzywa, jak również skosztować świetnej lokalnej kuchni. Po kilku godzinach chodzenia stwierdziliśmy, że podejdziemy jeszcze do City Mosque, który znajdował się na obrzeżach miasta. Okazało się to dosyć daleko jak na pieszą wycieczkę, więc podjechaliśmy miejskim autobusem za 1 MYR. Meczet jest zamknięty dla niewiernych, więc zrobiliśmy zdjęcia z zewnątrz. Upał niemiłosierny, więc na modłę muzułmańską okryłam głowę chustą, co chociaż trochę osłoniło mnie przed słońcem. Wróciliśmy autobusem do centrum i poszliśmy na obiad do hinduskiej restauracji, gdzie spróbowaliśmy dosai masalę i masala tea, które są miłym, kulinarnym wspomnieniem z Indii. Jest to cienki placek z soczewicy i ryżu, do którego podaje się zazwyczaj różne odmiany dhal (zupy z soczewicy). Posiłki są tu tanie i sycące. Jarek wrócił na filipińskie targowisko, a ja i Mirek oglądaliśmy zachód słońca i życie toczące się na ulicy. Wieczorem korzystamy z Wi-Fi i schładzamy się izotonikiem „100plus”, który polecamy.

9 marca, Kota Kinabalu – Park Narodowy Tunku Abdul Rahman. Rano pierwsze kroki kierujemy do agencji „Sutera Sanctuary Lodges” (block B, lot 9, Ground Floor of Coastal Highway, 88100 Kota Kinabalu) wydającej permity do Parku Mt. Kinabalu. Dziennie wydawanych jest 200 pozwoleń, więc zależy nam na szybkim załatwieniu permitów, aby nie tracić dodatkowych dni na oczekiwanie. Cena na osobę 357 MYR + 15 MYR za wstęp do parku + 17 MYR za podwiezienie do bramy wjazdowej parku. Cena pierwsza zawiera 5 posiłków, nocleg, ubezpieczenie. Otrzymaliśmy wejściówki już na wtorkowe wejście. Następnie poszliśmy na przystań, skąd odpływają łodzie do Parku Narodowego Tunku Abdul Rahman na okoliczne wyspy. Jest to pięć górzystych pokrytych dżunglą wysp (Manukan, Mamutiuk, Sapi, Sulug, Gaya), znajdujących się na nich najlepsze na Borneo plaże. My wybraliśmy się na Manukan, wyspę, która słynie z rafy koralowej, dużej ilości kolorowych rybek oraz plaży z białego piasku otoczonej palmami kokosowymi. Wyruszyliśmy, ale po chwili łódź stanęła, bo w śrubę wkręciło się coś plastikowego. Poczekaliśmy na drugą łódkę, która nas dowiozła na wyspę. Bilet kosztował 23 MYR, na miejscu trzeba jeszcze zapłacić wstęp do parku 10 MYR/os. Najpierw poszliśmy na szlak, chłopaki stwierdzili, że pójdą dżunglą, a ja zwykłym szlakiem. Spotkaliśmy się na końcu drogi, gdzie był punkt widokowy. Wróciliśmy na plażę, gdzie w turkusowym Morzu Południowochińskim można było dostrzec kolorowe ławice rybek, jakie zazwyczaj widzimy w akwariach. Pływały płaszczyki, nadymki, skalarki, brzanki. Pięknie. Temperatura powietrza to 38°C, woda miała 25°C, więc zaleca się duże ilości kremów z filtrem, bo słońce mocno grzeje. O godz. 16.00 mieliśmy powrotną łódkę do miasta i znów powtórzyła się historia z uszkodzoną śrubą. Było to jedno z niewielu miejsc, gdzie zobaczyliśmy tak dużo śmieci. Ogólnie wszędzie jest bardzo czysto, a miasta na Borneo odbiegają od ogólnego wizerunku azjatyckich metropoli. Nawet

nie odczuwaliśmy tu smogu, który zazwyczaj dokucza w wielkich azjatyckich miastach. Obiadokolację zjedliśmy u Hindusa, który już wiedział, co zamówimy.

10 marca, Kota Kinabalu – Park Narodowy Mt. Kinabalu. O godz. 7.00 ma być busik do Parku Narodowego Mt. Kinabalu, czekaliśmy jeszcze kilka minut, bo schodziło się wielu turystów, którzy mają zamiar wejść na szczyt. Załadowaliśmy się do busa i po 1.40 godz. byliśmy u wrót parku. Za przejazd zapłaciliśmy po 20 MYR/os. W biurze parku otrzymaliśmy smycze z identyfikatorami, które trzeba było pokazywać na check pointach. Potem zapłaciliśmy za przewodnika 150 MYR/3os. i dostaliśmy lunchboks. W budynku administracji parku można oglądać przeźrocza i zdjęcia przedstawiające miejscową bogatą faunę i florę. Następnie wsiedliśmy do busika, który podwiózł nas kilka kilometrów, na początek szlaku naszej wędrówki (1829 m n.p.m.). Szlak do góry wiedzie przez 6 km, zanim dotrze się do bazy noclegowej. Jest to przede wszystkim sterta kamieni, głazów, jak również „wytyczonych” schodów. Po 4 godzinach mozolnej wspinaczki byliśmy w bazie i tu czekaliśmy na Mirka, który „delektował się” trasą. Weszliśmy do budynku Laban Rata Hostel (3372 m n.p.m.) położonego na skraju strefy lasu. Można stąd podziwiać zachód słońca, mając pod stopami morze chmur. Wieczorem temperatura na zewnątrz spada do 10°C. Tu spotykają się wszyscy, przewodnicy załatwiają pokoje, trwają rozmowy, spożywa się posiłki. O godz. 16.30 rozpoczyna się obiadokolacja i trwa do godz. 19.00, później wszyscy idą spać, bo ok. 2.30 wyrusza się na szlak. Pokoje są czyste, z pościelą, kocami, ogólnie warunki dobre. Zmęczenie dało o sobie znać i padłam jak kamień. Po kilku godzinach obudziła mnie obecność jakiś osób w pokoju. Okazało się, że jeden z Japończyków, który został w naszym pokoju ulokowany, zachorował na chorobę wysokościową.

11 marca, Park Narodowy Mt. Kinabalu 4095 m n.p.m. (wejście na szczyt). Zjedliśmy tzw. nocne śniadanie, co dało nam zastrzyk energii. Trzeba przyznać, że posiłki były solidne i bardzo smaczne. Było wiele potraw do wyboru, w tym przygotowane według zasad halal, bez wieprzowiny, wegetariańskie. Każdy znalazł tu coś dla siebie. O godz. 3.00 wyruszyliśmy na szlak. Początkowo drogę wytyczają schodki, drabinki i kamienie, ale potem podejście jest ciekawsze, szczególnie w świetle latarek. Trasa w niektórych miejscach jest olinowana i trzeba się podciągać do góry, nie jest ona technicznie trudna. Jest trochę frajdy. Dostęcznie szybko wchodziliśmy, więc okazało się, że w tym tempie będziemy mieli około godzinę zapasu do wschodu słońca. Poczekaliśmy chwilę na check poince, ale na tej wysokości wiał zimny, porwisty wiatr, więc szkoda było się wychłodzić, tak więc ruszyliśmy dalej. Powoli wchodziliśmy do góry. Wraz z wysokością wiało coraz mocniej, warto wziąć z sobą czapkę i rękawiczki. Około godz. 5.45 byliśmy u szczytu, gdzie schowaliśmy się przed wiatrem i doczekaliśmy wschodu słońca. O godz. 6.00 zdobyliśmy Mount Kinabalu (4095 m n.p.m.). Porobiliśmy pamiątkowe zdjęcia i rozpoczęliśmy zejście. W promieniach porannego słońca robiło się ciepło, trasa przybierała ciekawsze obrazy, których nie widzieliśmy nocą. Dopiero teraz można było zobaczyć jak wygląda szlak. Jest dość pochyło i czasem trzeba się posłużyć linami. Po 1,5 godz. byliśmy w Laban Rata, tu zjedliśmy śniadanie i ok. 9.00 ruszyliśmy w dalszą drogę w dół. Tu już nie było tak fajnie. Okazało się, że zejście jest mozolne i w stosunku do schodków i kamieni poszło wiele bluzgów. Zejście zajęło nam 3 godz. Stwierdziliśmy, że odchoryjemy tę trasę zakwasami. Ponownie zostaliśmy odwiezieni do kwatery głównej parku, gdzie czekał na nas lunch. Znowu najedliśmy się do

syta super jedzonka. Następnie udaliśmy się na przystanek i poczekaliśmy na przyjazd busa do Kota Kinabalu, za który zapłaciliśmy po 20 MYR. W mieście zatrzymaliśmy się w tym samym hostelu, ale w pokoju z klimatyzacją.

12 marca, Kota Kinabalu – Sandakan. No i doczekaliśmy się, dzisiaj mamy mega zakwasy!!! Chodzimy połamani jak cyrkle, a wyzwanie stanowiły dla nas wysokie krańcówki. Po śniadaniu podeszliśmy na postój busów jadących w kierunku terminalu autobusowego. Busik do terminalu kosztował 1,5 MYR/os./40 minut, trzeba jednak mieć na uwadze, że rano na drogach są spore korki. Autobus do Sandakan mieliśmy o godz. 8.00 za 43 MYR/os., by po 7 godz. dojechać na miejsce. Z dworca trzeba jeszcze dostać się do centrum miasta, więc szybko złapaliśmy miejski autobus za 2 MYR/os., który dowiózł nas pod drzwi hostelu „Sea View Backpackers”. Okazało się to dobrą opcją, bo za 90 MYR/3 os. mieliśmy pokój z klimatyzacją. Do tego darmowe Wi-Fi i śniadanie w postaci naleśnika, herbaty, kawy. Następnie udaliśmy się na rekonesans po tym portowym mieście, stwierdzając, że ma niewiele do zaoferowania, więc przysiedliśmy w jednej z restauracji znajdujących się na nadmorskim bulwarze i zjedliśmy przepyszne krewetki w cieście z frytkami (15 MYR).

13 marca, Sandakan – Sepilok – Labuk Bay – Kota Kinabalu. Rano podeszliśmy do terminalu, skąd odjeżdżają busy do Sepilok. W hostelu i w Lonely Planet napisane było, że odjazd jest o godz. 8.30, jednak faktycznie okazało się, że jest o godz. 9.00. Siedzieliśmy w nagrzanym samochodzie, czekając na odjazd, aż zebrali się tak dużo turystów, że konieczne było załatwienie drugiego pojazdu. Za przejazd zapłaciliśmy 6 MYR/os. (40 min. jazdy), chociaż zazwyczaj jest szybciej, ale tym razem drogę blokował wypadek samochodowy. Podwieziono nas pod samą bramę schroniska. Tu kupiliśmy bilety za 30 MYR/os. + 10 MYR za aparat fotograficzny. O godz. 10.00 rozpoczęło się karmienie orangutanów, które przychodziły na specjalne platformy, przywoływane przez opiekunów. Zajadały się papajami, bananami, pędami palm i zerkały na nas. Z przyjemnością można obserwować ich zachowanie. Po jakimś czasie przyszedł do nas młody samiec i zaczęła się sesja fotograficzna. Zwierzak wdzięcznie pozował, wyginał się, szczyrzył zęby, śmiechu i westchnień było co niemiara. W ośrodkach żyją małpy odebrane handlarzom lub uratowane z zagrożonych lasów. Postanowiliśmy zostać do godz. 15.00 na popołudniowe karmienie, wykorzystaliśmy ten czas na odwiedzenie schroniska dla nosaczy. Tak więc podjechalśmy taksówką za 100 MYR/3 os. (w dwie strony) do Labuk Bay, gdzie znajduje się schronisko dla małp nosaczy (wstęp 60 MYR/os. + 10 MYR aparat fotograficzny). Nazwa streszcza to, co mają najbardziej charakterystycznego, czyli wielki nos. Wygląda on jak przerośnięty ogórek wyrastający im między oczami. Tutaj nosacze i makaki pozowały jak zawodowe modelki, spokojnie czekając aż zaspokoimy swoją ciekawość. Siedziały na trawniku, skubały trawę, iskały się i karmiły maluchy, widok sielankowy. Po godzinie wielki samiec szybko i zwinnie zaczął skakać po poręczach, stołach i dachach, co przepłoszyło większość stada i małpy rozpieczęły się po okolicznych budynkach i drzewach. Część z nich siedziała przy drodze, co stanowiło ciekawy widok, jakby patrol odprowadzający turystów.

Wróciliśmy do Sepilok, gdzie zjedliśmy w restauracji mały obiad (w przystępnych cenach). Poczekaliśmy w cieniu do godz. 15.00 na kolejne karmienie, tym razem przyszło 8 orangów. Ponadto słońce operowało nam w twarz, więc trudno było zrobić dobre zdjęcia, bo zwierzaki były głęboko w cieniu. Mimo to byliśmy zadowoleni. W dro-

dze do wyjścia zauważyliśmy orangutana idącego po poręczy, który zatrzymał się i przysiadł, patrząc ciekawie na nas. Tu zrobiłam Jarkowi fajną sesję zdjęciową z pomarańczowym stworem. Ten był zafascynowany obiektywem, w którym się widział i przeglądał. Łapką chwycił za szkło, ale pamiętaliśmy o ostrzegach, że gutan może ukraść cokolwiek i uciec do dżungli. Na biletach do tych ośrodków jest napisane, że władze parku nie biorą odpowiedzialności za zranienia i kradzieże dokonywane przez małpy. Po chwili przyszła strażniczka i kazała nam się cofnąć na bezpieczną odległość. Z ośrodka orangutanów podjechalśmy 2 km do skrzyżowania, ustawiając się przy drodze, aby złapać autobus do Kota Kinabalu. Po dłuższym oczekiwaniu zatrzymał się kierowca samochodu terenowego i zaproponował nam podwiezienie, bo i tak tam jechał. O godz. 23.00 byliśmy na miejscu, tu zatrzymaliśmy się w „Season Street Hostel”, który jest w tym samym budynku co Stay in-Lodge, zapłaciliśmy 75 MYR/3 os. za pokój w dormitorium, który mieliśmy tylko dla siebie. Hostel jest nowszy i czystszy niż sąsiad, więc polecamy go o wiele bardziej. Ponadto pokój jest bez okien, z klimatyzacją, i tym razem nie byliśmy narażeni na całonocne karaoke i dyskoteki. Ot, luksus ciszy.

14 marca, Kota Kinabalu – Labuan – Bandar Seri Begawan (Brunei). O godz. 6.00 pobudka. Poszliśmy do portu, by o godz. 8.00 popłynąć do Bandar Seri Begawan. Za bilety zapłaciliśmy 60 MYR/os. + 3.60 MYR tax za opłatę portową. Po 3 godz. byliśmy w Labuan, gdzie mieliśmy 2 godz. przerwy. Poszliśmy na obiad, potem okazało się, że jeszcze musimy zapłacić kolejny podatek portowy 5 MYR/os. O godz. 13.00 weszliśmy na pokład łodzi płynącej do Bandar Seri Begawan. W porcie w Brunei okazało się, że z uwagi na brak miejsca w paszporcie, nie chcą nam wbić pieczętki wjazdowej. Zostaliśmy wezwani do szefa pograniczników i zaczęła się umoralniająca mówka. Chciał nas cofnąć do Malezji. Trwało to dłuższą chwilę, wykonano telefon do szefa szefów i nie dostałam zgody. Uderzyliśmy w pokorny ton, przyznając się do własnej niekompetencji, obiecując, że po przylocie do Polski natychmiast wyrobimy nowe paszporty. Ponadto obiecałam, że jak zwykle wypromuję Sułtanat Brunei, jako miłe i otwarte na turystów państwo. Szef stwierdził, że da nam w końcu pieczętkę, ale jakby co on o niczym nie wie. Zrobił zdjęcia naszym paszportom, otworzył czarną skrzynkę z pieczętką i przybił na jednym z ostatnich wolnych miejsc. Trochę to skwasilo humor, bo nie wiedzieliśmy, jakie jeszcze mogą być konsekwencje przy wyjeździe.

Okazało się, że z portu nic nie jeździ do centrum miasta, więc podeszliśmy 2 km do przystanku, skąd autobusem nr 38 za 1 BND/os. dojechalśmy do Bandar Seri Begawan. Tu wymieniliśmy malezyjską walutę na dolary Brunei (2,76 MYR=1 BND). Zatrzymaliśmy się w hostelu „Soon Resthouse”, za 68 BND/pokój/3 os., który znajduje się 300 m od dworca autobusowego. Obeszliśmy miasto, które nie jest zbyt duże. Wrażenie robi meczet położony nad wodą, którego odbicia fajnie wychodzą na zdjęciach. Kontrast stanowi wioska na palach, położona po drugiej stronie rzeki. Miasto jest czyste, budynki nowoczesne, strzeliste, bardzo dobrze zaopatrzone supermarkety. Ceny trochę wyższe niż w Malezji. Zastanawiał nas brak ludzi na ulicach. Okazało się, że życie z uwagi na wysokie temperatury zaczyna się tu po zmierzchu. My jak zwykle zwiedzamy w porze największego upału, mając przy tym dobre światło do robienia zdjęć, natomiast codzienne życie wymaga innych godzin.

15 marca, Bandar Seri Begawan (Brunei) – Miri. Rano popłynęliśmy łódką za 30 BMD/3 os. (przy wynajmowaniu należy negocjować cenę) do wioski i okolicznych la-

sów namorzynowych. Po drodze mogliśmy obejrzeć budynki rządowe i pałac sułtana. Przewodnik nie pozwalał nam robić zdjęć, będąc w pobliżu budynków rządowych, lecz jedynie z pewnej odległości. Na pocztówkach także są takie ujęcia, więc nie mieliśmy pretensji. Pałac sułtana Istana Nurul Iman jest największą rezydencją świata, liczy: 1788 pokoi, 257 toalet, garaż na 110 samochodów, ponadto jest tu sala bankietowa na 5000 osób, 18 wind, 5 basenów. Następnie wpłynęliśmy do miasta na palach, gdzie mogliśmy pooglądać budynki straży pożarnej, policji, szpitali, szkół. Z ciekawych miejsc można wyróżnić jeszcze miejscowe niedzielne targowisko. Następnie wróciliśmy do miasta i próbowaliśmy zapełnić czas oczekiwania na autobus do Miri.

Przed godz. 13.00 byliśmy w miejscu, skąd wyjeżdżają autobusy do Malezji. Rozmowę umilał nam charakterystycznie ubrany przewodnik. Zwróciliśmy na niego uwagę dzień wcześniej, bo jako nieliczny ubrany był w kamizelkę z naszytymi flagami różnych państw i wielkie, zielone klapki o fasonie stopy. Wyróżniał się wśród lokalnych mieszkańców. Okazało się, że został nawet zamieszczony w książce Lonely Planet, jako przewodnik po Brunei. Opowiedział nam trochę o zarobkach i życiu w tym kraju. Okazało się, że Brunei zмага się z dużym problemem nielegalnych imigrantów z Filipin i Wietnamu. Ponadto żyje im się tutaj dobrze i tak naprawdę nie mogą narzekać. Tak więc mieszkają w państwie wiecznej szczęśliwości. O godz. 13.30 za 20 BND/os. mieliśmy odjazd do Miri (150 km autobusem kompanii Phls). Przeszliśmy kontrolę graniczną brunejsko-malezyjską, gdzie nikt się nawet nie zająknął o braku miejsca w paszporcie. Cały przejazd, łącznie z przerwą trwał 3,5 godz. W Miri z dworca autobusowego do głównej ulicy przeszliśmy jakąś przejściówką z tyłu stacji benzynowej. Ustawiliśmy się na przystanku, skąd autobusem nr 62 za 1 MYR/os. podjechalśmy do centrum miasta. Tu znaleźliśmy „Hotel Apollo” South Yu Seng Road 98000 za 85 MYR/3 os. pokój, z łazienką. Wieczorem poszliśmy zjeść kolację w chińskiej dzielnicy, którą zakończyliśmy fajką wodną za 15 MYR.

16 marca, Miri – Bekenu (skrzyżowanie) – jaskinie Niach. Rano podjechalśmy do terminalu autobusowego i stąd dalej 96 km do Niach za 10 MYR/os. Autobus zatrzymuje się na skrzyżowaniu w Bekenu, następnie taksówką za 30 MYR/3 os., podjechalśmy do parku Niah, wstęp kosztował 20 MYR/os. + 1 MYR za łódź, którą przeprawiliśmy się na drugą stronę rzeki Sungai Niah. Szlak wiedzie przez 3 km w jedną stronę + 1 km we wnętrzu gigantycznych jaskiń. Mimo że przewodniki stwierdzają, że jaskinia nie może się równać do tych z Mulu, my uważamy, że jest inna, zielona i ciekawsza. W środku wiedzie fajna trasa, można spotkać różne formacje skalne, nietoperze, a nawet węży, którego zauważył Jarek, a każdy z nas nieświadomie koło niego przeszedł. Na poręczach swoje kokony miały pająki, więc nie było mi dane skorzystać ze wsparcia poręczy. Na niektórych kładkach było dosyć ślisko, warto zaopatrzyć się również w latakarki. Na końcu trasy znajdują się malowidła ścienne, które można oglądać z odległości 10 m zza krat. W środku jest bardzo parno, wyszliśmy zlani potem jakby po prysznicu. Droga powrotna do rzeki wiodła tą samą trasą, więc podwójnie zwiedziliśmy te jaskinie. Ponownie przeprawiliśmy się przez rzekę, a do skrzyżowania (15 km) dowiozła nas pani też za 30 MYR/3 os. Tutaj zjedliśmy obiad i poczekaliśmy na autobus do Kuching. Bilet na godz. 18.30 kosztował nas 70 MYR/os. Profilaktycznie ubraliśmy się w ciepłe ubrania, bo pamiętaliśmy z wcześniejszej wizyty w Malezji, że klima zamraża w nocy i tak też było tym razem.

17 marca, Kuching. Po 14 godz. jazdy byliśmy na miejscu bardzo zmarznięci. Do centrum miasta dotarliśmy taksówką za 30 MYR/3 os. Zatrzymaliśmy się w „Hotel Mandarin” Lodging House no. 6 Jalan 93100 Kuching. Za 6 noclegów zapłaciliśmy 450 MYR/3 os. (pokój z łazienką i klimatyzacją). Mieliśmy nadzieję, że będzie cicho i spokojnie, bo hotel położony jest z dala od głównych ulic. Zostawiliśmy bagaże i ruszyliśmy na rekonesans. Po kilku godzinach chodzenia w upale znaleźliśmy schronienie w hipermarkecie „Plaza”, który stał się ważnym dla nas miejscem na mapie miasta. Okazało się, że na ostatnim piętrze jest hala restauracyjna, gdzie jest kilka punktów gastronomicznych. Czysto, tanio i chłodno. Można posilić się tradycyjną kuchnią azjatycką, arabską, jak również w zachodnim stylu. Po przetestowaniu wielu potraw naszymi ulubionymi stała się wątróbka curry i ryba z frytkami. Wieczorem, wracając do hotelu, zorientowaliśmy się, że dziś jest dzień św. Patryka. Borneańskie puby irlandzkie ustrojone były w zielone balony, oprawa jak w Irlandii. Był to nasz kolejny św. Patryk za granicą. Tym razem spróbowaliśmy Guinnessa, porozmawialiśmy z Anglikiem, który od kilku tygodni był na Borneo i podjął pracę w tym pubie. Otwarty, ciekawy człowiek, który trochę podróżował i pracował.

18 marca, Kuching – Park Narodowy Bako. O godz. 8.00 pobudka. Poszliśmy na dworzec, skąd odjeżdżały autobusy do Parku Narodowego Bako. Okazało się, że terminal, to trzy ulice, na których stoją autobusy różnych firm, są nawet rozkłady jazdy. Pytaliśmy się ludzi i zawsze ktoś nam powiedział, który dokąd odjeżdżał. Tym razem mieliśmy odjechać o godz. 10.00, więc wykorzystując czas, udaliśmy się jeszcze na śniadanie. Przejazd kosztował 3,5 MYR/os., a autobus jechał godzinę. Podwieziono nas do samego portu, gdzie trzeba wykupić łódź (po 20 MYR/os. w jedną stronę) i wstęp do parku 20 MYR/os. Do PN Bako płynęliśmy 20 min. Na miejscu stwierdziliśmy, że pójdziemy na 2,8 km żółty szlak, który przeszliśmy w 1,5 godz. (w jedną stronę). Szlaki są oznaczone kolorami i fajnie wytyczone. Najpierw wspinaliśmy się po kamieniach i schodkach, a potem przeszliśmy dżunglą na klif. Trasa jest ciekawa, co jakiś czas można było pójść prawdziwą dżunglą, bez kładek i podestów, płataniną korzeni, namokłych po nocnych ulewach. Woda wlewała i wylewała się sandałami, a wilgotne powietrze zapewniało „odnowę biologiczną”. Obeszliśmy cały żółty szlak i wróciliśmy do centrum parku. Tutaj zauważyliśmy, że przybyło znacząco wody i całkowicie zmienił się krajobraz lasów namorzynowych. Mamy więc fajne zdjęcia z poranka i popołudnia, gdzie można grać w „znajdź różnicę”. Po drodze widzieliśmy kilka małp, warana, węża, więc byliśmy usatysfakcjonowani. Park Narodowy Bako jest niewielki, leży na wschód od Kuching nad ujściem rzeki o tej samej nazwie. Posiada zróżnicowaną faunę i florę. Można tu znaleźć kilka typów roślinności charakterystycznych dla stanu Sarawak, m.in. las mangrowy, las nadbrzeżny, roślinność klifową, florę aluwialną, roślinność bagienną. Poczekaliśmy do godz. 16.00 na ostatnią łódź do Bako, trzeba więc dobrze zaplanować trasę, aby nie nocować na wyspie, choć jest tu kilka domków, gdzie można spędzić noc w dżunglowej atmosferze. Ponadto ostatni autobus do Kuching odjeżdża o godz. 17.00. Kolację zjedliśmy w supermarkecie na ostatnim piętrze.

19 marca, Kuching – Sarawak Cultural Village. O godz. 9.00 pojechaliśmy autobusem K15 za 6 MYR/os. do Sarawak Cultural Village. Wstęp kosztował 60 MYR/os. Jest to skansen, w którym odtworzono domy mieszkalne plemion zamieszkujących malezyjskie Borneo, między innymi Iban, Orangów, Dajaków. Można zobaczyć,

jak wyglądały dawniej longhousy, wytwarzano jedzenie, wykuwano noże albo polowano z dmuchawek. O godz. 11.30 odbywa się 45-min. przedstawienie, podczas którego prezentowane są tańce poszczególnych plemion, jak również elementy wojenne i myśliwskie. Jest barwnie i wesoło. Tancerze są ładnie wystylizowani, w kolorowe etniczne stroje, część z nich wcześniej siedziała w domach, prezentując dawną kulturę. Okazuje się, że wycieczki organizowane w mieście do plemion w głąb Borneo przez agencje turystyczne wyglądają podobnie, z tą różnicą, że trzeba jechać kilkaset kilometrów, aby zobaczyć to samo. Tam też mieszkańcy przebierają się w tradycyjne stroje i tańczą. Szkoda więc czasu i pieniędzy, chyba że ktoś chce skorzystać z dodatkowych atrakcji. Mieliśmy nadzieję, że wrócimy do miasta lokalnym autobusem, ale okazało się, że po 2 godz. czekania mogliśmy liczyć na shuttle busa do centrum miasta za 12 MYR/os. Byliśmy już tak znużeni upałem, że z radością powitaliśmy klimatyzowane wnętrza auta. Po przyjeździe do Kuching udaliśmy się na promenadę, gdzie spędziliśmy chwilę czasu, relaksując się i obserwując mieszkańców. Jest to fajne miejsce do spotkań towarzyskich i tu też można zauważyć pierwszych turystów, którzy pojawiają się w mieście. Przechadzają się z przewodnikiem Lonely Planet w rękę, i robią masę zdjęć.

20 marca, Semengokh (centrum orangutanów). Wczesna pobudka. Udajemy się na dworzec autobusowy, aby dojechać do schroniska dla orangutanów w Semengokh. O godz. 7.15 odjeżdża tam autobus nr K6, za 3 MYR/os. Jest to godzina wskazana we wszystkich rozkładach jazdy. Wstęp do centrum wynosi 10 MYR/os. Podjechalismy pod bramę parku, skąd trzeba jeszcze przejść 1,3 km do miejsca, gdzie można obserwować orangutany. Karmienie rozpoczyna się tutaj o godz. 9.00 pod warunkiem, że orangi przyjdą. My znów mieliśmy szczęście i przyszło 8 zwierzątek. Większość z nas była zachwycona matką z małym gutankiem i na niej skupiliśmy uwagę, nie zauważając nadchodzącego z tyłu potężnego samca. Wszystko odbyło się jak w filmie katastroficznym. Najpierw staliśmy z zadartymi głowami, patrząc, jak maluch radzi sobie z bananami, ale kątem oka zauważyłam, że ludzie dziwnie się zachowują i wycofują z przerażeniem na twarzach. Odwróciłam się i zobaczyłam, że parę metrów ode mnie idzie ogromny, 34-letni samiec Richie, który przyszedł sobie chodnikiem, a nie jak większość orangutanów po linach. Nikt go wcześniej nie zauważył, zaskoczył tym strażników, którzy nie widzieli go już od pół roku. Zazwyczaj powinien przyjść górą po drzewach i linach. Jarek w dalszym ciągu nie zauważył, co się dzieje, i jak się zorientował, to orangutan zerwał się nagle i skoczył na liny. Wyglądało to trochę groźnie, ale orangutan zainteresował się jedzeniem, a nas przesunięto na bezpieczną odległość, na most. Stąd do woli mogliśmy patrzeć jak Richie je, zerkając na samicę i na nas. Byliśmy bardzo zadowoleni, bo takiego samca spotkać to wielkie przeżycie. Widać było, że całe zdarzenie mocno wystraszyło strażników, którzy wciąż przestrzegali przed hałasowaniem i prowokowaniem zwierząt. Ciężko było to osiągnąć, bo dużą część widzów stanowiły dzieci, którym trudno wytłumaczyć zasady przebywania w parku. Stwierdziliśmy, że poczekamy do godz. 15.00 na kolejne karmienie. Nie mieliśmy niczego zaplanowanego na ten dzień, więc jak reszta turystów pojechała, my rozłożyliśmy się na podłodze w cieniu i pospaliśmy kilka godzin. Ok. godz. 14.30 niebo spochmurniało i zaczęła się kolejna, solidna ulewa. Wiedzieliśmy, że może być krucho ze zwierzaki, bo zupełnie jak ludzie boją się burzy. O godz. 15.00 strażnik ponownie przedstawił warunki bezpieczeństwa i udaliśmy się w inne miejsce, w głębi dżungli, gdzie za-

zwyczaj przychodzą gutany. Deszcz lał, więc przyszedł tylko 3 sztuki. Niestety schowały się w koronach drzew i czekały, aż ulewa i burza się skończy. Zapytałam strażnika, czy się boją grzmotów i dowiedziałam się, że tak jak człowiek siedzą skulone i chronią się pod parasolkami z liści. Kazał mi się dobrze przypatrzeć, co było trudne w strugach deszczu, ale potem okazało się, że orangie rzeczywiście siedzą pod parasolem z liści, które trzymają w łapach. Byliśmy usatysfakcjonowani, że rano mieliśmy takiego farta, bo teraz wielu ludzi odchodziło niezadowolonych lub w przeświadczeniu, że tak jest zawsze. My mamy porównanie 4 karmień w dwóch ośrodkach. Wróciliśmy do miasta o godz. 16.00, tym samym autobusem. Obiad zjedliśmy jak zwykle w supermarkecie, potem udaliśmy się jeszcze w poszukiwaniu pamiątek do sklepików skupionych niedaleko promenady, ale nic ciekawego nam nie wpadło w oko.

21 marca, Kuching (farma krokodyli). W nocy znów do godz. 2.00 mieliśmy dyskotekę, więc jesteśmy zapoznani z obowiązującymi hitami. I tyle o cichym i miłym hotelu „Mandarin”. O godz. 9.30. autobusem K3 za 3 MYR/os. podjechaliśmy do farmy krokodyli. Podróż trwała ponad godzinę, aż kierowca wysadził nas przy skrzyżowaniu, skąd 1 km trzeba podejść do farmy i minizoo. Za wstęp zapłaciliśmy po 16 MYR/os. O godz. 11.00 zaczyna się pokaz karmienia krokodyli. Na sznurku zawieszane są kawałki padliny i przesuwane nad wodę, w której pływają gady. Aby sięgnąć po zdobycz, muszą wyskoczyć i kłapać wielkimi szczękami. Jest to bardzo widowiskowe, szczególnie jak zwierz złapie ścierwo, wypuści i ponownie próbuje złapać. Rozlega się dźwięk, który budzi grozę. Krokodyle mają tu dobre warunki, większość z nich przebywa w dżungli, która jest ogrodzona, a wokół są moczary, kanały, baseny, woda. Stworzono też boksy, w których trzymane są słabe, stare, kalekie gady. Można przejść się kładkami i zobaczyć warany, jeżozwierze, sarny, pawie, misia malajskiego, łasice, kilka dzikich świń. Część zoo jest słaba i trudno oglądać zwierzęta w takich warunkach. Rzeczywiście jest to miejsce stworzone tylko dla krokodyli. Po raz kolejny odwiedziliśmy takie zoo, gdzie chciałoby się otworzyć klatki i uwolnić zwierzęta. Wróciliśmy do miasta i poszliśmy jeszcze do parku miejskiego. Park jest mały, zadbane i utrzymany w wielu stylach architektonicznych, bo jest tu arabska fontanna, angielskie kolonialne budynki, chińskie altanki, ogromne drzewa, krzewy hibiskusów i innych pięknych gatunków roślin. Niedaleko znajduje się Muzeum Natury i Sztuki Współczesnej. Idąc w kierunku centrum, można odwiedzić katedrę katolicką. Kuching jest ciekawe i każdy znajdzie tu coś dla siebie, są tu zakamarki przypominające hutongi Pekinu, jest arabski suk, wielkie hotele i banki oraz stare dzielnice handlowo-usługowe. Całości dopełniają czerwone chińskie świątynie, meczety i posągi kotów w różnych pozach. W końcu Kuching to miasto kotów (kot po malajsku). Wieczór zakończyliśmy przyglądając się barwnemu korowodowi z okazji Pierwszego Dnia Wiosny. Chińska społeczność zorganizowała przemarsz ulicami miasta, widzieliśmy wielkie smoki, przebranych w ludowe stroje ludzi, bębniarzy, platformy z tancerzami. Było głośno, kolorowo, strzelały petardy i ognie sztuczne. Cieszyło to oko, tak więc zadowoleni wróciliśmy do hotelu.

22 marca, Kuching. Śpimy do oporu. Po śniadaniu popłynęliśmy na drugi brzeg rzeki Sungai Sarawak za 0,50 MYR/os., która dzieli miasto na dwie części. Tutaj udaliśmy się do fortu, który jest dość mały, następnie przeszliśmy kilka kilometrów w nadziei, że odwiedzimy Astanę. Robiła wrażenie z drugiej strony rzeki i planowaliśmy ją

zwiedzić. Dotarliśmy na miejsce, weszliśmy na teren placówki i okazało się, że jest to dom gubernatora. O... to my nie wiedzieliśmy! Zaczęłam ze strażnikiem żartować, że zostaliśmy zaproszeni na niedzielny obiad, ale nie podjął tematu, więc zrezygnowaliśmy z gościnności gubernatora i poszliśmy do Muzeum Kotów. Jak zwykle w okropnym upale przeszliśmy kilka kilometrów, aż dotarliśmy na miejsce. Muzeum położone jest na lekkim wzniesieniu, ale ok. godz. 13.00 nawet małe wzniesienie jest ogromną górą. Wstęp do muzeum jest darmowy. Posiedzieliśmy chwilę, schładzając się w klimatyzowanym pomieszczeniu. Stanowiliśmy atrakcję turystyczną dla młodzieży z Indonezji, pozując z uśmiechem do zdjęć, robiąc przy tym azjatycką „victorię” z palców. Muzeum jest ciekawe dla koneserów kotów. Pełno tu eksponatów kotów, koteczków, solniczek, dywaników, zdjęć, pamiątek, biżuterii. W drogę powrotną załapał się na stopa. Na promenadzie zauważyliśmy, że odbywa się zlot skuterów, a jego uczestnicy zachowują się jak prawdziwi harleyowcy. Posiedzieliśmy wśród nich, aż uwieńczyliśmy to spotkanie pamiątkowym zdjęciem. Na koniec dnia weszliśmy na 9 piętro parkingu samochodowego, skąd są fajne widoki i można porobić superfotki. Znajduje się niedaleko naszego hotelu, u wejścia do Chinatown.

23 marca, Kuching – Kuala Lumpur – Doha – Barcelona. Pobudka o godz. 4.00, jedziemy na lotnisko zamówioną taksówką za 30 MYR. O godz. 6.00 mieliśmy prawie 1,5-godz. lot do Kuala Lumpur. Stąd odlecieliśmy o godz. 9.25 do Doha, gdzie byliśmy o godz. 12.10. Z Doha do Barcelony wystartowaliśmy o godz. 13.55, a na miejscu byliśmy o godz. 19.10. Aerobusem (10.20 euro/os.) podjechalśmy na Plac Espana, skąd piechotą w 10 minut dotarliśmy do „Hostel Elcano” 78 Sants-Montjuic (zarezerwowany w Polsce) za 158 PLN/37 euro/3 os. Hostel znajduje się w starej kamienicy.

24 marca, Barcelona – Warszawa – Katowice – Bytom. Śpimy do oporu i wykorzystujemy do końca dobę hotelową do godz. 12.00. Zjedliśmy w tym czasie śniadanie (zakupy zrobione w marketcie na rogu) i oglądamy hiszpańską telewizję. Potem udaliśmy się na Plac Espana, skąd odjeżdża Aerobus na lotnisko. W terminalu odlotów zauważyliśmy, że jest dużo wozów telewizyjnych, dziennikarzy, jakieś zamieszanie. Najpierw myśleliśmy, że piłkarze Barcy wracają z meczu i czekają na nich. W informacji dowiedziałam się, że rozbił się samolot linii Germanwings i wszyscy zginęli. Trochę to nas przygnębiło. Zauważyliśmy jednak, że loty odbywają się regularnie i o godz. 16.10 odlecieliśmy do Warszawy, gdzie byliśmy o godz. 19.20. Stąd Modlinbusem podjechalśmy do centrum stolicy. Następnie o godz. 0.15 Polskim Busem pojechalśmy do Katowic.

25 marca, Katowice

O godz. 5.00 byliśmy w stolicy Górnego Śląska. Następnie autobusem 820 pojechalśmy do Bytomia. W domu szybka kąpiel i o godz. 7.30 jestem w pracy. Uff, nawet tramwaj się nie spóźnił!!!

Podsumowanie: na Borneo nie ma wyraźnej pory monsunowej. Przez cały rok jest tu gorąco, latem czy zimą, w dzień czy w nocy temperatura wynosi około 25–30°C, przy wilgotności 70–80%. Wysoka wilgotność powietrza i częste opady sprzyjają rozwojowi bujnej tropikalnej roślinności. Borneańskie „gorąco” jest troszkę inne niż „gorąco” gdzie indziej. Okna są tu zupełnie niepotrzebne. Komunikacja autobusowa pomiędzy dużymi miastami jest tu dobrze rozwinięta, ceny biletów nie są zbyt wysokie.

Są tu wspaniałe góry, bujne tropikalne lasy, krystalicznie czysta woda i jedna z najbardziej okazałych raf koralowych.

Ludzie różnych kultur – Malajowie, Chińczycy, Hindusi żyją tu w symbiozie. Dla każdego smakosza Borneo jest wielkim kulinarnym rajem, ze względu na różnorodność miejscowej kuchni można najeść się za niewielkie pieniądze. Najtańszy posiłek na ulicy kosztuje 5 MYR, górny limit wydatków zależy tylko od fantazji zamawiającego, lecz ceny są raczej niższe niż w Polsce. Ten kraj nie przytłacza i ma wszystko, czego można oczekiwać od Azji. Są palmy, małpy, dżungla, plantacje herbaty, postkolonialna architektura, kolorowe świątynie, równie barwne święta, tropikalne owoce, słoneczne plaże. Borneo znane jest jako jeden z ostatnich dzikich zakątków globu. Jest tu jak w filmie przyrodniczym, brakuje tylko głosu Krystyny Czubówny. To idealny kraj na pionierski wyjazd z plecakiem czy nawet podróż z dziećmi.

Malezja jest krajem muzułmańskim. Tamtejszy islam uznawany jest za stosunkowo tolerancyjny, kobiety mogą nosić kolorowe chusty na głowach, a młode dziewczyny chodzą w modnych džinsach i T-shirtach. Należy jednak przestrzegać muzułmańskich norm zwyczajowych, nie ubierać się wyzywająco i zachować umiar w spożywaniu alkoholu. Malezja jest zaliczana do „azjatyckich tygrysów”, dokonał się tu niebywały skok cywilizacyjny. Prawdziwe przyspieszenie gospodarcze pojawiło się tutaj w latach 90. dość znieścacka, wraz z odkryciem na Borneo ropy. Nieustannie pracujące pompy Sarawaku sprawiły, że kraj nagle owinęła sieć autostrad i kolejek naziemnych. Uwaga!!! Za posiadanie narkotyków w Malezji grozi kara śmierci.

Ewa Flak
Jarosław Kociel

Okinawa



Termin: 28 października – 12 listopada 2015

Uczestnicy: Ewa, Jarek, Mirek

Trasa lotnicza: Warszawa-Londyn-Tokio (British Airways), Tokio-Naha (Japan Airlines), powrót podobny, z tym że przylecieliśmy do Budapesztu (6 lotów – 1814 PLN/os.)

Koszty podróży: 3741 PLN/os.

Kursy walut: 1 USD = 3,76 PLN, 1 USD = 117,90 JPY

Czas: w zależności od pory roku: zimą +8 godz., latem +9 godz.

Bezpieczeństwo: poczucie bezpieczeństwa jest tu bardzo wysokie

Wizy: Przy pobycie turystycznym trwającym do 3 miesięcy wizy nie są potrzebne

Język: tylko japoński, sporadycznie w miejscach turystycznych angielski

Pogoda: jest słonecznie, gorąco i wilgotno, wieczorem mogą padać deszcze

Elektryczność: 220V, należy mieć adapter z trzema płaskimi bolcami

Przewodniki i mapy: Lonely Planet „Japan”

Koszyk podróżnika: woda mineralna 1,5 l – od 90 JPY, coca-cola 2 l – od 250 JPY, lody 2 l – od 300 JPY, chleb tostowy 8 kromek grubych – od 160 JPY, jajka 10 szt. – 225 JPY, szynka paczkowana krojona – od 330 JPY, ryż 1 kg – od 468 JPY, ziemniaki – 58 JPY/szt., pomidory 1 kg – 225 JPY, olej 1 l – 391 JPY, piersi z kurczaka 1 kg – 1000 JPY, wątróbka 1 kg – 800 JPY, mięso mielone 1 kg – 900 JPY, brokuł – 250 JPY, por zielony – 105 JPY, herbata Lipton 25 szt. – 90 JPY, dżem mały – 90 JPY, ciasto pancake – 250 JPY, mleko 1 l – 220 JPY, sake – 105 JPY w górę, piwo puszka – od 198 JPY w górę, papierosy – 450 JPY, 1 l benzyny – 127 JPY. Zakupy robiliśmy w tanim markecie MaxValu, czasem w AEON-ie. Supermarket znajdujący się w centrum handlowym przy budynku ratusza jest ekskluzywny i drogi.

RELACJA Z PODRÓŻY

28 października, Katowice–Warszawa–Londyn. Kolejną naszą podróż rozpoczynamy z Katowic, skąd Polskim Busem o godz. 7.10 za 10 PLN/os. jedziemy do Warsza-

wy. W stolicy ze stacji Metro Wilanowska podjechaliśmy autobusem 709 na przystanek Poleczki, tutaj trzeba przejść skrzyżowanie, gdzie jest przystanek autobusu 148 na Okęcie. Na miejscu okazało się, że nasz samolot ma opóźnienie i dalsza podróż jest pod znakiem zapytania. Po półtoragodzinnym oczekiwaniu okazało się, że mamy lecieć o godz. 17.00 do Londynu, a tam British Airways ma się martwić o nasze dalsze połączenia. Na Heathrow okazało się, że samolot do Tokio, który ma odlot o godz. 19.00, czekał na nas, więc wszystko dobrze się skończyło.

29 października, Tokyo–Naha. Po 12 godz. lotu i przesunięciu czasu o +8 godz. byliśmy w Tokio. Stąd autobusem podjechaliśmy na terminal 1, gdzie o godz. 17.25 odlecieliśmy (Japan Airlines) na Okinawę. Lotnisko w Naha obsługuje szybka kolejka, której trasa przebiega przez całe miasto. Cena za przejazd wynosi 260 JPY/os. Do stacji Kencho-mae station jechaliśmy ok. 12 minut, a stąd mieliśmy już niedaleko do zarezerwowanego hostelu „Guest House” Grand Naha przy 2-7-11, Kumoji. Tutaj powstało małe zamieszanie, ponieważ Mirek zarezerwował pokój prywatny, a chciano dać nam dormitorium. Po wykonaniu telefonu i rozmowie z menadżerem hostelu okazało się, że rezerwacja jest prawidłowa i dostaliśmy pokój. Różnica jest znacząca, ponieważ hostel składa się z kilku pięter, podzielonych na dormitoria męskie, damskie oraz koedukacyjne. Są to duże pomieszczenia, w których ustawione są łóżka piętrowe, przypominające kapsułowe, tylko z drewna. Każdy boks ma zasłonkę, w środku jest lampa. Ogólnie fajnie, ale nie można wziąć do środka plecaków, które muszą zostać na specjalnej półce. Trochę to utrudnia codzienne życie, jeśli pobyt trwa dłużej niż jedną noc. Naha, zamieszkała przez 316 tys. mieszkańców, jest bardzo dobrą bazą wypadową do poszczególnych atrakcji na wyspie. My planujemy spędzić w tym hostelu 10 nocy, więc pokój był jak znalazł. Jedną noc spędziliśmy w dormitorium, bo ktoś wcześniej zarezerwował „nasz” pokój, ale nawet dobrze się spało. Hostel nie jest czysty, on jest czyściuteńki. Kuchnia jest bardzo dobrze wyposażona we wszelakie garnki, patelnie, talerze itp. Dla mnie raj... Pokój stanowiło łóżko piętrowe i futon dla Jarka, w środku łazienka, klimatyzacja, stolik, telewizor. Wieczorem wyszliśmy na mały rekonesans po mieście, znajdując sklep Lawsona, gdzie zapoznaliśmy się z obowiązującymi cenami.

30 października. Próbuje spać do oporu, ale około godz. 3.00 wszyscy wierziliśmy się w łózkach. Około godz. 5.00 zasnęliśmy i rano próbowaliśmy zwlec się z łóżek. Zabukowaliśmy pokój na kolejne 10 dni, bo stwierdziliśmy, że jest cicho, spokojnie, a miejsce położone jest dogodnie w centrum. Zapłaciliśmy z rabatem 60.000 JPY/3 os., zjedliśmy śniadanie i poszliśmy na miasto. Pierwsze kroki skierowaliśmy na 1,6-kilometrową główną ulicę Kokusai-dori, która stanowi serce miasta. Znajdują się tutaj liczne sklepy, hotele, restauracje, bary, banki oraz miejskie biuro informacji, w którym można dostać bezpłatne mapy i wymienić walutę. Na końcu ulicy jest wejście na targowisko Daiichi Makishi, gdzie po pożarze odbudowano kompleks budynków stanowiących tętniący życiem market. Można tu kupić różne pamiątki, jak: barwne tkaniny, kolorowe wyroby szklane, ceramikę, ciekawą biżuterię czy figurki lwów-strażników. Spacer gwarną Kokusai-dori zarówno za dnia, jak i w nocy powinien zadowolić turystów żądnych rozrywki. Każda z bocznych uliczek skrywa kilka knajpek, które są czynne do godz... 26.00 lub 27.00. Pochodziliśmy kilka godzin, zaglądając do sklepów, próbując różnych smakołyków. Zjedliśmy w małej knajpce obiad w formie bento, czyli pudełka z ryżem, rybą i różnymi sałatkami za 250 JPY. Po rozeznaniu cen w restaura-

ciach stwierdziliśmy, że taniej wyjdzie gotowanie w hostelu, tak więc wieczorny posiłek przygotowałam w hostelowej kuchni. Następnie udaliśmy się do dzielnicy garncarzy Tsuboya. Jest tu kilkanaście pieców do wypalania, w których wyrabia się niemal wszystko. Tamtejsza wizyta stanowi najlepsze wprowadzenie w historię wyspy. Centrum produkcji ceramicznej powstało w 1682 r. na mocy królewskiego dekretu. W większości sklepów można kupić te popularne wyroby. Następnie weszliśmy na wzgórze, gdzie mieści się jedyna buddyjska świątynia w Naha Gokoku-ji. W tłumaczeniu „Świątynia Chroniąca Kraj”. Jest to miejsce warte odwiedzenia. Znaleźliśmy również market MaxValu (2 Chome-10-1 Makishi), około 1,1 km od hostelu, gdzie były w miarę przystępne ceny produktów żywnościowych. Ustaliliśmy, że będziemy robić składki po 1000 JPY/os., z czego będą śniadania i obiadowe kolacje. Tak, więc supermarket obok zwiedzania był naszym codziennym punktem programu.

31 października. Kolejna nocka nieprzespana, masakra! Jacyś tacy byliśmy połamani, nie do życia. Spakowaliśmy się i przenieśliśmy rzeczy na jedną noc do dormitorium. Mamy w końcu nadzieję, że zmiana czasu jakoś szybciej pozwoli się przestawić na rytm japoński. Po śniadaniu pojechaliśmy kolejką za 300 JPY/os. do Shurijo Castle. Zamek Shuri jest całkowicie odbudowany po zbombardowaniu w czasie II wojny światowej, wstęp wynosi 820 JPY/os. (8.30–19.00). Rekonstrukcja została zakończona dopiero w 1992 roku, więc tytuł najmłodszego średniowiecznego zamku należy się właśnie Shurijo. Został wybudowany po raz pierwszy w XIV wieku. Był siedzibą króla Shō Hashi, który z pomocą Chin podbił sąsiednie królestwa Chūzan, Hokuзан i Nanzan, jednocząc całą wyspę pod swoim władaniem. Od tego czasu Shurijo był administracyjnym centrum, a zarazem stolicą królestwa Ryukyu. Królestwo, mimo bliskiego położenia geograficznego Japonii, kulturowo było bliższe Chinom, a przez następny wiek królowie Ryukyu byli chińskimi wasalami. Tak było do japońskiej inwazji w 1609 roku, po której Ryukyu stało się również wasalem Japonii, zachowując jednak większość swojej autonomii. Ponieważ ówczesne Chiny nie utrzymywały jakichkolwiek relacji dyplomatycznych z Japonią, Ryukyu bardzo dobrze wychodziła finansowo, pośrednicząc w handlu między tymi dwoma wschodnimi mocarstwami. W zamkowych ruinach znajduje się brama nazywana Shurei-nomon, odrestaurowana w 1958 r. Dziś budowla uważana jest za symbol Okinawy, a jej wizerunek umieszczono na banknocie o nominale 2000 JPY.

Dziś na zamku odbywa się parada i ceremonia koronacji. Jest to coroczne przedstawienie, podczas którego aktorzy odgrywają cały ceremoniał trwający ponad dwie godziny. Jest kolorowo, ale monotennie. Nie ma tłumaczenia angielskiego, więc tym bardziej czuliśmy się jak w teatrze pantomimy. Po przedstawieniu obeszlśmy kompleks zamkowy i park, a potem poszliśmy do pobliskiej destylarni Zuisen Distillery (1-35 Sakiyama-cho, otwarta 9.30–16.30). Tutaj po krótkim filmie można było poprobować różnych gatunków sake, które ma od 10–45% alkoholu, a ilość w kieliszku była tylko do pobudzenia kubków smakowych niż rzeczywistego pocucia smaku. Wróciliśmy do stacji Kencho-mae, skąd podjechaliśmy na targowisko coś przekąsić.

1 listopada. Godz. 9.30 pobudka. Okazało się, że w dormitorium całkiem fajnie się spało, może dlatego, że nie było za wiele osób i było cicho. Po śniadaniu przenieśliśmy rzeczy do pokoju. Obsługa spisała się szybko, sprawnie i przed check-inem mieliśmy gotowy pokój. Corocznie na początku listopada odbywają się w Naha festiwa-

le sztuki scenicznej, pokazy tańców dworskich, koncerty muzyki klasycznej i ludowej oraz parada kostiumowa. Dziś w centrum miasta ma się odbyć „Dynasty Parade”, więc spokojnym krokiem podeszliśmy do głównej ulicy Kokusai-dori. Cała impreza trwała dwie godziny. Swoje pokazy miały różne szkoły tańca, sztuk walki, teatry. Następnie poszliśmy do ogrodu chińskiego, Fukushu-en Park (Kume 2-29), 9.00–18.00 wstęp bezpłatny, gdzie na małej powierzchni, w otoczeniu osiedla stworzono przepiękny ogród. Przechadzaliśmy się małymi uliczkami, podziwiając zakamarki, roślinność, jeziora. Miejsce jest urokliwe i warto spędzić tu więcej czasu, odpoczywając na ławeczce. Wszystko, co się tu znajduje, łącznie z pagodą na szczycie niewielkiego wodospadu, przywieziono z partnerskiego miasta Naha w Chinach. Niedaleko ogrodu jest supermarket, w którym zaopatrywaliśmy się w zakupy żywnościowe. Wieczór spędziliśmy na hotelowym tarasie, przyglądając się betonowej dżungli i przejeżdżającej kolejce. Miasto pomimo ruchu ulicznego jest ciche, czyste i bez smogu. Samochody zatrzymujące się na światłach wyłączają silniki. Kolejka nie hałasuje, a sunie cichutko po szynach, bez żadnych zgrzytów i pisków. Wszelkie miejsca użyteczności publicznej są czyste. Wszędzie jest porządek i zachowana higiena. Obowiązują oczywiście wszechobecne maseczki na twarzach. Jeśli ktoś jest przeziębiony, to w trosce o innych zakłada maseczkę, aby nikogo nie zarazić. Nikt nie pluje na ulicę, nie charka, smarka, nie rzuca petów i nie kłóci się o miejsce w metrze lub autobusie. Japończycy są uprzejmi i nienachalni.

2 listopada. Po śniadaniu udaliśmy się na dworzec autobusowy, skąd linią nr 55 za 230 JPY jedziemy 20 min do Podziemnej Kwatery Marynarki Wojennej. Wstęp do muzeum kosztował 440 JPY/os. Kwatera to 250 m udostępnionych tuneli i wydrążonych we wnętrzu góry przez ludność cywilną Okinawy prymitywnymi narzędziami podczas wojny w ramach przymusowych robót na rzecz armii. We wnętrzu znajduje się muzeum, w którym dość dokładnie opisano przebieg bitwy o Okinawę, zwanej też tajfunem stali (Typhoon of Steel). W ciągu 82 dni trwania walk zginęło ponad 70 tys. japońskich i 14 tys. alianckich żołnierzy. Jednak to co najbardziej przerażało, to straty wśród ludności cywilnej – do 150 tys. Chodzi o ludzi, którym nie udało się ewakuować na północ wyspy i która nie miała innego wyjścia, jak tylko ukrywać się w licznych jaskiniach. Japończycy, zarówno żołnierze, jak i cywile, byli gotowi bronić wejść do tych jaskiń i w ten sposób odpierać ataki, jednak Amerykanie po prostu wysadzali wejścia. Związanie tuneli to przede wszystkim obejście kilku szerszych korytarzy, w których zachowały się pomieszczenia szpitalne, biura oraz kaplica. Wrażenie robi ściana z pozostałościami odłamków granatów, którymi ludzie wysadzili się w powietrze. Jest to miejsce, gdzie ponad 4 tys. żołnierzy popełniło zbiorowe samobójstwo, woleli umrzeć niż oddać się w ręce Amerykanów. Na całym obszarze jest mnóstwo pomników upamiętniających wydarzenia z najbardziej krwawej bitwy na Pacyfiku. Do miasta wróciliśmy piechotą, zaglądając po drodze na stadion baseballa oraz mieszczące się w nim muzeum. Wstąpiliśmy do salonu gier pachinko, a potem szliśmy wzdłuż trasy kolejki, która doprowadziła nas do naszego hostelu. Należy nadmienić, że kolejka porusza się na betonowej konstrukcji nadziemnej, jej trasa wiedzie przez całe miasto, więc wystarczy dojść do jednej stacji, aby potem znaleźć interesujące punkty zwiedzania. Miasto jest jednakowe, punktami orientacyjnymi może być kolejka lub wieża stacji telewizyjnej, a poza tym dzielnice niczym się od siebie nie różnią. Trzeba krok za krokiem chodzić po kwar-

tałach, aby odnaleźć szczególne miejsca, jak np. szkołę ikebany, szkołę karate, destylarnie, zakład garncarski lub szkła kolorowego. Tak trafiliśmy na targ rybny, lecz po południu odbywa się już tylko wielkie sprzątanie, choć można kupić jeszcze sashimi lub sushi. Wróciliśmy do hostelu, uciekając przed ciemnymi chmurami, które zasłoniły niebo. Zjedliśmy kolację i każdy spędzał czas na swoich zajęciach, Jarek pobiegał, ja poćwizyłam, a Mirek serfował po necie.

3 listopada. Po śniadaniu podeszliśmy na dworzec, skąd autobusem nr 83 za 580 JPY/os. jedziemy 1 godz. do Wioski Królestwa Gyokusen-do (królewskiej wioski i jaskiń). Wstęp kosztował 1240 JPY/os. Jaskinia jest uznawana za największą grotę w Azji Wschodniej. Zwiedzającym jest udostępniona jedynie piąta część tuneli, mamy tu liczne stalaktyty i stalagmity. Zrekonstruowana wioska to typowa cepelia. Odbudowano kilka chat w tradycyjnym ryukańskim stylu i zrobiono z nich sklepiki z kimonami, garnkami i innymi wyrobami rękodzielniczymi. Trącało kiczem, ale cóż. Obok znajduje się amfiteatr, w którym co dwie godziny odbywają się pokazy bębniarzy, i był to najlepszy element tej wizyty. Kilkoro młodych ludzi zrobiło show bębnowe, tańcząc i śpiewając tradycyjne przyspiewki. Nam do końca życia wryła się jedna strofa „Ijasasa!”, która była motywem przewodnim wszelkich piosenek. Podobno w wolnym tłumaczeniu znaczy „więcej zabawy”, „more fan”. Najważniejszy zwrot to „arigatou gozaimasu”, który padał przy każdym spotkaniu lub próbie konwersacji i obowiązkowy pokłon, charakterystyczny dla kultury japońskiej. Do Naha wróciliśmy wieczorem, zjedliśmy kolację i poszliśmy spać. Jutro wstajemy wcześniej.

4 listopada. Wstaliśmy o godz. 6.50, ale okazało się, że kuchnia otwierana jest o godz. 7.30, więc poczekaliśmy, potem zjedliśmy szybkie śniadanie i ruszyliśmy w drogę do Nago. Najpierw autobusem 111 za 2100 JPY/os. Podróż wygodnym, klimatyzowanym autobusem trwała 2 godz. Hm... należałoby wspomnieć, że rozkład jazdy to prawie jak rozwiązywanie krzyżówki typu sudoku lub jolka, nic się nie zgadza. Mirek miał ściągnięty rozkład jazdy, ale nie wiedzieliśmy kiedy są dni robocze, a kiedy wolne, bo był po japońsku. Tak więc kilka razy staliśmy jak kołki, czekając na autobus według rozkładu „jak przyjedzie, to będzie”. Dopiero w informacji turystycznej pani napisała nam, kiedy są jakie dni i okazało się, „telewizorek” to dzień roboczy, a „grobek z krzyżykiem” to weekendy. Jakoś dawaliśmy radę, nigdzie nam się nie spieszyło, ale zdarzyło się, że autobus danej linii podejżdżał z drugiej strony ulicy, dlatego próbowaliśmy zapytać tubylców, co i jak. No i tu pojawiało się kolejne ciekawe zjawisko, ponieważ jakiegokolwiek próby nawiązania rozmowy z Japończykami spotykały się z historycznymi reakcjami, machaniem rąk i neurotycznym zachowaniem. Widzieliśmy to już 7 lat temu, podczas wcześniejszej wizyty w Japonii, ale tu wydawało się, że po tylu latach wspólnego życia z Amerykanami codzienność wymusi rozmowy w języku angielskim. Okazało się, że w wielu przypadkach ludność posługuje się dialektem okinawskim. No więc Polaku radź sobie sam. Fajne też były rachunki z supermarketu, bo jak chciałam dokonać analizy, ile wydałam na poszczególne produkty, to widniały znaczki, które wskazywały, że kupiłam same telewizory.

Po przyjeździe do Nago udaliśmy się do browaru Orion (2-2-1-Agarie). Tutaj za darmo można obejrzeć proces warzenia, puszkowania lub butelkowania złocistego trunku. Otrzymuje się dwa kupony na degustację piwa. Tym razem porcje były słuszone, a nie jakieś naparstki. Wypiliśmy po dwie szklaneczki i okazało się, że nasze współ-

towarzyski z grupy zostawiły swoje kuponiki, więc szybko wykorzystaliśmy ich porcje i w dobrym humorze opuściliśmy ten przybytek. Orion tego dnia był naszym ulubionym piwem. Niedaleko browaru znajduje się przystanek autobusu 66, którym dojechaliśmy do Ocean Expo Park. Podróż trwała 50 min i kosztowała 860 JPY/os. Wstęp do oceanarium wynosił 1870 JPY. Trochę drogo, ale warto. Oceanarium to ogromny kompleks z drugim największym akwariem na świecie, w którym pływają trzy rekiny wielorybie 10 m długości. Akwarium ma 22,5 m długości, 8,2 m wysokości, z szybą o grubości 60 cm. Po wyjściu z budynku przeszliśmy jeszcze do innych pawilonów z żółwiami i manatami. Niedaleko odbywał się pokaz delfinów. Te przesympatyczne ssaki wykonują różne akrobacje, piszczą, nawiązują kontakt z widzami. Mimo wielu mieszanych opinii na temat trzymania delfinów w niewoli i poddawaniu tresurze, każdy taki pokaz cieszy oczy. Droga powrotna była taka sama, czyli autobus 66 do Nago, a potem 111 do Naha. Pobyt w oceanarium można spokojnie zaplanować na jeden dzień, jest tutaj ogród botaniczny, plaża i restauracja.

5 listopada. Pada. Zanosilo się już od kilku dni, aż w końcu lunęło. Parę godzin popadało, a potem nastała tropikalna wilgotność. To nie są Hawaje, mimo że Okinawa leży prawie w tej samej strefie klimatycznej. Tam pogoda była w miarę przewidywalna, bo po upalnym dniu około godz. 17.00 zaczynała się tropikalna ulewa, można było zaplanować w dzień zwiedzanie, a wieczór spokojnie spędzać „podziwiając” strugi deszczu. Na Okinawie tak nie było. Jednego dnia było upalnie, kolejnego mogło zanosić się na burzę i w ogóle nie padać, innego dnia mocno wiało. Postanowiliśmy dzisiaj pochodzić po mieście, a nuż coś fajnego jeszcze wpadnie w oko. Jarek przeszedł główną ulicę Naha Kokusai-dori i targ Daiichi Makishi, który ma specyficzny klimat azjatyckich targowisk, i oddał się fotograficznemu szaleństwu, a ja odwiedziłam kilkupiętrowy supermarket, gdzie na parterze były restauracje, więc mogłam przyglądać się, jak mistrzowie kuchni przygotowują niektóre japońskie potrawy. Zestawianie niektórych produktów ze sobą pobudzało moją kulinarną wyobraźnię. Wszystko podane w wymyślny, kolorowy sposób, więc robiąc zakupy żywnościowe brałam pod uwagę nowe pomysły, starając się dorównać japońskim mistrzom kuchni. Jak wyszło? Spaghetti nie można zepsuć...

6 listopada. Rano poszliśmy na przystanek, skąd autobusem nr 89 za 580 JPY odjechaliśmy do Itoman. Następnie autobusem nr 82 za 470 JPY/os. pojechaliśmy do Memorial Peace Museum. Tutaj znajduje się monument, w którym stoi ogromny posąg Buddy (wejście 450 JPY). To było nasze pierwsze spotkanie na Okinawie z jakimkolwiek kultem religijnym. W samym Naha znaleźliśmy przez przypadek jeden mały kościół i świątynię przy miejskiej plaży. Następnie obezliśmy kompleks mauzoleum, wchodząc po drodze do muzeum. Ogólnie eksponaty to przede wszystkim propaganda i pokazanie zniszczeń wojennych. Zdjęcia pokazują ubogą Okinawę, którą najechali Amerykanie. Na fotografiach można zauważyć pełne łęku spojrzenia Japończyków i uśmiechniętych żołnierzy amerykańskich, którzy zachęcają dzieci do jedzenia, opatrują rany itd. Mamy więc porównanie do muzeów i mauzoleów z obu krajów, tj. USA i Japonii, jak postrzegają II wojnę światową z perspektywy okupanta i jeńca. Choć historia pokazuje, że obie strony były poszkodowane w tej potyczce. Faktem jest, że okupacja Okinawy była ciosem dla imperialistycznych zapędów Japonii, która wiele lat wcześniej zaczęła podbój Indochin, okupując Koreę, Malesję i często wykazując się okrucieństwem. Jednak poko-

nanie ich przez Amerykanów i wybudowanie na terytorium Okinawy wielu baz wojskowych, było gorzką pigułką do przełknięcia. Dopiero w 1972 r. Okinawa odzyskała niepodległość, ale do dnia dzisiejszego są tu bazy wojsk amerykańskich, liczące 50 tys. żołnierzy i pracowników cywilnych, a samoloty i helikoptery codziennie latają po niebie. Obecnie to może mieć trochę inny wymiar z uwagi na rosnące zagrożenie ze strony Korei Północnej, która co jakiś czas skutecznie prowokuje na Morzu Japońskim. Poniżej mauzoleum znajduje się szereg bloków kamiennych, na których wykute są nazwiska poległych. Powyżej parku mamy cmentarz z ciekawymi pomnikami.

Wracając do Naha po raz kolejny mogliśmy poznać architekturę kraju i zobaczyć, jak wygląda wieś. Okazuje się, że wcześniej Okinawa była „dużą osadą”, zbitą z desek, o niskiej zabudowie. Zbombardowanie wyspy spowodowało, że odbudowa zakończyła pewien tradycyjny sposób budowania, a zastąpiono go betonową dżunglą. Próżno szukać tutaj tradycyjnych malutkich domków, które można jeszcze znaleźć na północy lub w krajach ościennych. Okinawa jest betonowa, klockowa, a każdy centymetr jest zagospodarowany. Roślinność w mieście to przede wszystkim wciśnięte w każdy zakamarek doniczki z jakimś kwiatkiem, krzaczkiem, co ma stanowić namiastkę ogródka. Zabudowa podmiejska to domy piętrowe na małej powierzchni, a wokół ogród według zasad feng shui, z bonzai i innymi ciekawymi kompozycjami roślinnymi. Całości obowiązkowo pilnują dwa lwy Shiisaa, wesołe i groźne. Strzegą wejść do domów przed drzwiami albo na bramach wjazdowych. Dotarliśmy do Naha przed zmrokiem i udaliśmy się na główną ulicę, gdzie znaleźliśmy sklep z 500 gatunkami soli (Masu-ya 3-2-59 Makishi). Można tutaj popробować słonych lodów (za 280 JPY). Dziwne doznanie kulinarno-smakowe. Lody są przy pierwszym wrażeniu lekko słone, a potem stają się śmietankowe.

7 listopada. O godz. 7.20 mieliśmy pobudkę, a po śniadaniu poszliśmy wzdłuż drogi nr 58, która prowadzi do portu Naha Tomari. Tu kupiliśmy bilety na prom na wyspę Aka na godz. 9.00 za 5970 JPY/os. Rejs trwał 75 min, z krótkim postojem na wyspie Zamami, gdzie wysiadło mnóstwo turystów, a my popłynęliśmy na Aka. Przybiliśmy do portu, porobiliśmy kilka zdjęć przy statui psa Shiro i udaliśmy się na mały rekonesans. Wyspa ma kilka domków, pensjonatów, a potem zaczyna się dżungla. Są tu wspaniałe plaże z białym piaskiem i lazurowym morzem, miejsce pełni funkcję oazy wypoczynkowej. Przez środek wyspy wiedzie asfaltowa droga na jej drugi kraniec. Weszliśmy na jeden ze szlaków i nagle wśród drzew rozległ się głos z megafonu (oczywiście nic nie rozumieliśmy), ale jedno słówko było nam znane habu, czyli jadowity wąż. Poza tym wszędzie są tabliczki z podobizną gada i przestrogami. Mimo to dziwnie było słyszeć głos „wielkiego brata” pośród skrzeczących cykad i ptaków. Weszliśmy na wzgórze, skąd rozciągał się piękny widok na okolicę. Upał dokuczał, ale skoro jest to tropikalna wyspa, to tak musi być. Chłopaki poszli fotografować dzikie okolice, a ja zostałam na plaży, która okazała się rajem kolekcjonerskim, z całą masą muszli, kamyków i patyków. Przepiękne okazy, które zasiłyły moją kolekcję. Później popływaliliśmy w Jarkiem w ciepłych wodach Morza Wschodniochińskiego. W drodze powrotnej do portu zauważyliśmy stado jelonków. O godz. 16.20 mieliśmy powrotny prom do Naha.

8 listopada. O godz. 10.14 z Naha pojechaliśmy autobusem 111 do przystanku Ishikawa Interconnect za 1280 JPY/os. na sumo byków. Wstęp kosztował 2000 JPY/os., ale mnie się udało za 1000 JPY. Całe zawody to 12 walk, gdzie spotykają się ze sobą byki

w różnych kategoriach wagowych i polega to na waleniu łbami oraz rogami i przepchaniu przeciwnika poza ring (podobnie jak w zapasach sumo). Pierwsza walka była dosyć krwawa i w momencie jak któremuś z byków odpadł kawałek mięsa, miałam dosyć. Po walkach kogutów na Filipinach jakoś nie miałam takiego niesmaku, ale tutaj mnie ruszyło. Chłopaki stwierdzili, że trzeba to potraktować w kategorii atrakcji turystycznej, ale jak ktoś nie lubi takich rzeczy, to niech odpuści. Najważniejsze zawody odbywają się w maju oraz listopadzie i potrafią zgromadzić na trybunach kilka tysięcy ludzi. Wróciliśmy do Naha, a tu znów jakieś parady i pokazy dziecięce, kolorowo, głośno. Mirek wrócił do hostelu, a my podreptaliśmy do hipermarketu rozeznaczyć ceny elektroniki, AGD i odzieży sportowej. Ceny zbyt nie powalają, szczególnie elektroniki, która jest przecież produkowana na miejscu. Okazuje się, że aparaty fotograficzne czy obiektywy można kupić taniej na lotnisku w strefie bezcłowej. Dziś kładziemy się wcześniej spać, bo chłopaki chcą rano wstać na targ rybny.

9 listopada. Panowie wstali po godz. 5.00 rano i udali się na giełdę oraz targ rybny Tomari Numachi (1-1-18 Minatomachi), znajdujący się w porcie. Giełda jest czynna prawie codziennie przez całą dobę; ludzie obsługują kutry, łodzie, samochody dostawcze, wózki widłowe. Jest tu kilkadziesiąt sklepów, gdzie z rąk do rąk przechodzi około 20 ton ryb (70% to tuńczyki), owoców morza i wodorostów. Na podestach leżały równo ułożone rybie cielska o obciętych ogonach i numerach wymalowanych farbą na grzbiecie. Punktualnie o godz. 5.30 rozpoczęła się aukcja. Cała procedura sprzedaży to: cena otwarcia, kilka gestów, kilka słów, wpis do książki i kupcy przechodzą do następnej ryby. Znaleźć tu można kilkadziesiąt gatunków morskich stworzeń: tuńczyki, węgorze, pstrągi, barakudy, łososie, makrele, niebezpieczne fugu, ośmiornice, kałamarnice, homary, kraby, małże, ostrygi, krewetki, jeżowce, morskie ślimaki, wodorosty, algi, morskie warzywa, oraz setki innych, których nazw ani smaku nigdy nie poznamy. Licytacja toczyła się błyskawicznie, po godzinie aukcja była już tylko wspomnieniem. Detaliści ładowali towary na ciężarówki, by zawieźć je do swoich sklepów, restauracji i barów. Po powrocie chłopaki dospali jeszcze do godz. 9.00, zjedliśmy śniadanie, spakowaliśmy rzeczy i przenieśliśmy się do „Star Capsule” przy Chome 2-3-15 Nishi (nocleg kosztował 85 JPY/os.).

W ostatnią noc na Okinawie postanowiliśmy przeżyć taką przygodę (albo przespać taką przygodę). Niedaleko jest stacja kolejki Asahibashi, skąd odjechaliśmy do Shuri za 300 JPY/os. W okolicy zamku jest kilka ciekawych zakątków, których nie zobaczyliśmy wcześniej. Podeszliśmy do Shikina-en, ogrodu królewskiego (wejście 400Y/os.). Jest to obszar z porządnie utrzymanymi alejkami i trawnikami, które otaczają pałac królewski. Miejsce urocze, fajne na piknik z kocykiem. Pałac jest odrestaurowany, więc trudno tu szukać samurajskich klimatów, ale postarzałe deski, mech na murach i zapach drewna pobudza wyobraźnię. Do tego wylegujące się żółwie w kanale wypełnionym wodą. Przez park wiedzie ścieżka, która wytycza kolejne atrakcje m.in. miejsce, skąd mogły wypływać małe łódeczki przewożące pasażerów kanałem, wodospady, które zasilane deszczówką tworzyły wspaniałe kaskady, jak również mosteczki zbudowane z kamienia. Z ogrodu udaliśmy się według szlaku turystycznego, który jest zaznaczony na słupach i płotach, więc trzeba go szukać. Stanowi to dodatkową atrakcję, jakby w grach miejskich. Najpierw dotarliśmy do kamiennej uliczki, która przetrzymała bombardowanie wojenne, bardzo fajne miejsce położone wśród willi, knajpek, pnące się na po-

bliskie wzgórze. Trasa wiedzie wokół zamku, więc po jakimś czasie dotarliśmy w jego okolice, jak i do Tama-u dun, mauzoleum zbudowanego dla rodziny królewskiej Ryukyu w 1501 r., wstęp 300 JPY/os. Wróciliśmy do miasta, płacąc 260 JPY/os. za przejazd (wysiedliśmy na wcześniejszej stacji niż Shuri). Udaliśmy się do pizzerii „Napoli”, gdzie za 500 JPY/os. popróbowaliśmy pizzy. Miejsce popularne wśród turystów z europejskiego i amerykańskiego kontynentu, ponieważ wiesz co jesz, a smaki są znajome. Wracając do hostelu, kluczaliśmy uliczkami, bo tej strony miasta jeszcze nie zwiedziliśmy. Tutaj zjedliśmy kolację, popiliśmy jaśminową herbatką i spędziliśmy czas na surfowaniu po Internecie. Ponieważ w hostelu nie było łazienki dla kobiet, każda otrzymała kupon do pobliskiego onsenu. Trzeba było podejść do sąsiedniego hotelu, który jedno piętro miał przekształcone w baseny i saunę, podzielone na strefę męską i damską. Otrzymałam torbę z ręcznikami i klucz do szatni. Trochę czułam się zagubiona, ale kobiety pokazały, gdzie mam iść i jakie są zasady. Onsen składał się z kilku basenów z wodą o różnej temperaturze, wokół ścian są krany z prysznicami, małe stołeczki i miski do polewania wodą. Obowiązuje strefa nagości, ale nikogo to nie dziwi. Kobiety pielęgnują się i robią wszelkie rzeczy, które... robią w łazienkach kobiety. Potem seans w saunie i pełen relaks na fotelach masujących. Kto chce, może skorzystać z solarium, platformy wibracyjnej, można też pooglądać telewizję. Prawdziwy świat kobiet. Tak zrelaksowana wróciłam do swojej kapsułowej dziupli, która też była stworzona na świat męski i damski. W środku kapsuły jest półka i mały panel multimedialny do obsługi budzika, radia i tv, który nie zawsze jest standardem. Miejsca nie ma dużo, ale nie jest klaustrofobiczne.

10 listopada, Naha-Tokyo. Okazało się, że nocleg w kapsule wszystkim odpowiadał, bo każdy z nas dobrze się wyspał. Zjedliśmy małe śniadanie, które zakupiliśmy w pobliskim Family Markt. Następnie autobusem nr 38 za 780 JPY/os. w 1 godz. dojechalismy do Sefa Utaki „Święty gaj” w Nanjo City (wstęp 200 JPY/os.), przez stulecia najważniejsza świątynia na wyspie. Atrakcję stanowi pochyły blok skalny, oparty o drugą skałę. Teren położony jest na gęsto zalesionym wzgórzu wzdłuż oceanu i oferuje kilka formacji skalnych, które są połączone ze sobą poprzez szlaki turystyczne. Sefa Utaki jest ujęte jako jeden z obiektów Okinawa World Heritage. Stało się jednym z najważniejszych miejsc dla religijnych ceremonii i rytuałów. Dalej poszliśmy na plażę Azama Sansan i powłóczyliśmy się po okolicy. Gdyby pogoda nam dopisała, pewnie miejsce byłoby urocze, ale na niebie wisiały ciężkie, burzowe chmury, więc ani ocean, ani widoki nie miały tej porywającej mocy. Wróciliśmy do Naha, gdzie wysiedliśmy w pobliżu targowiska. Tu podeszliśmy do budek z jedzeniem, gdzie kupiliśmy zestawy obiadowe, czyli porcję curry i ryżu z mięsem. Posmakowaliśmy kanapek ryżowych w formie sushi. Fajne to i bardzo syćące, ponieważ grube warstwy ryżu sklejone są majonezem lub serkiem z kawałkiem imbiru, szynki, omletu lub jeszcze innych składników, owinięte w liść nori. Daje to grubą kanapkę ryżową, którą można kupić w marketach Family lub Lawson, jak również na targowiskach i małych stoiskach. Zauważyliśmy, że w porze lunchu sprzedawcy rozkładają swoje małe stoliczki i wypakowują pudełka z zestawami obiadowymi (bento) w okolicach banków, instytucji państwowych, szpitali itd., gdzie biznesmeni i urzędnicy nie tracą czasu na szukanie restauracji z popularnym ramen (rosół z makaronem i dodatkami), a zadowolają się pudełkiem ciepłego ryżu z kurczakiem i sałatkami. Tanio, świeżo i szybko. Powoli, spacerkiem wróciliśmy do hotelu. Tu-

taj spakowaliśmy nasze plecaki i kolejką podjechaliśmy na lotnisko, przejazd kosztował 260 JPY/os. Samolot (Japan Airlines) do Tokyo odleciał o godz. 21.20, na miejscu byliśmy o godz. 23.30. W hali odlotów znaleźliśmy miejsce, gdzie dospaliśmy do rana.

11–12 listopada, Tokyo–Londyn–Budapeszt–Kraków–Katowice–Bytom. Odlot do Londynu (British Airways) mieliśmy o godz. 11.30, po 12,5 godz. byliśmy na miejscu, czyli o godz. 15.00 czasu londyńskiego. O godz. 18.05 mamy dwugodzinny przelot samolotem do Budapesztu. Tutaj przemieszczamy się autobusem podmiejskim 200E oraz metrem do stacji Nepliget (4 przystanki, bilet minutowy 350 HUF/os.). Następnie o godz. 23.50 pojechaliśmy autobusem Lux Express za 62 PLN/os. do Krakowa. Z Krakowa o godz. 6.30 jedziemy autobusem Uni Bus za 14 PLN/os. do Katowic, skąd dalej przemieszczamy się komunikacją miejską do Bytomia. Uff... Jesteśmy w domu i tu czeka nas kolejna potyczka z jet lagiem.

Podsumowanie: Okinawa jest miejscem związanym z tragicznymi wydarzeniami II wojny światowej. Należy również poznać jej naturalne piękno i kulturę oraz udać się na jedną z wysp słynących z dziewiczego krajobrazu. Mamy tu tropikalny klimat i puste plaże, zabytki z czasów królestwa Ryukyu, które wciąż stanowią o atrakcyjności wyspy, i przyciągają turystów. Podróż na Okinawę jest warta zachodu, nie bez powodu ta wyspa jest perełką japońskiej turystyki.

Okinawa leży w strefie subtropikalnej, gdzie średnia roczna temperatura wynosi 23°C. Najlepszy czas do podróży to wiosna i późna jesień (należy unikać września i października – pora tajfunów). W tym okresie turystów jest nieco mniej, a z noclegami nie ma problemów i są nieco tańsze. W wielu miejscach można spotkać tabliczki informujące mieszkańców o drodze ewakuacyjnej w przypadku zagrożenia tsunami. Lokalna kuchnia obfituje w specjały japońskie na bazie ryżu i ryb, jak i przysmaki pochodzące z Chin. Okinawczycy zjadają się flakami, golonką, wieprzowiną, a lokalnym przysmakiem są świńskie uszy. Zwiedzanie samodzielnie Japonii, bez biur podróży to wyzwanie intelektualne.

Republika Zielonego Przylądka – karnawał w Mindelo



Portugalskie jednak, a nie afrykańskie korzenie ma karnawał na Wyspach Zielonego Przylądka w Mindelo. Ludzie hucznie obchodzili koniec okresu postnego już w XVII–XVIII wieku. Anglicy, mający tutaj interesy na Sao Vincente, także dołożyli swoją cegiełkę, ale prawdziwym wzorcem do naśladowania był jednak starszy brat – karnawał w brazylijskim Rio de Janeiro.

Rio jest jednak duże i niezbyt bezpieczne, a ostatnio karnawał bardzo się tam zmienił i nabrał biznesowego wymiaru. To dobry interes, sposób na zarobienie grubych pieniędzy, podczas gdy bardziej kameralna zabawa w Mindelo to zupełnie coś innego. Nie ma co oglądać zdjęć czy filmów, bo to nie odda tej atmosfery. Trzeba tu przyjechać i samemu przeżyć karnawałowe szaleństwo, chodząc z uczestnikami po ulicach i tańcząc do świtu. Witamy na Cabo Verde!

Termin: 13–22 lutego 2015

Uczestnicy: 2 osoby (ja i kumpel Artur)

Przełot: poleciliśmy liniami TAP Air Portugal – ja za mile z programu Miles and More (opłaty lotniskowe ok. 1500 zł), a kolega Artur za 3700 zł. Ja leciałem do Praii z Wrocławia z przesiadką w Warszawie i Lizbonie, a Artur dosiadł się do mojego samolotu w stolicy naszego kraju.

Waluta: escudo to nazwa waluty kabowerdyjskiej. Kurs wymiany to około 110 escudo płaconych za 1 euro. Bankomaty dostępne na wyspach, a banki bez problemu wymieniają gotówkę.

Wizy: wiza kosztująca 25 euro jest dostępna do kupienia na lotnisku. Najbliższa placówka dyplomatyczna znajduje się w Londynie. Polska nie ma swojego przedstawicielstwa w Republice Zielonego Przylądka.

Bezpieczeństwo: relacji na temat bezpieczeństwa jest wiele i są bardzo rozbieżne. Niektórzy piszą, że ostatnio sytuacja znacznie się pogorszyła ze względu na pojawienie się kanałów przerzutowych dla narkotyków na wyspach i deportacje na wyspy kabowerdyjskie „rzeszemieszków” z USA, popełniających tamże jakieś przestępstwa. Ile w tym jest prawdy? Ciężko zweryfikować. Będąc tam przez tydzień, nie zauważyliśmy

żadnych oznak napięcia, które bardzo łatwo wyczuwa się na ulicach choćby sąsiedniego Senegal. Wiadomo wtedy, że przez ulicznych złodziejasków trzeba się mieć na baczności. Tutaj było inaczej – wydaje mi się, że znacznie bezpieczniej. Potwierdzają to też statystyki. Najbardziej trzeba uważać w Praii, szczególnie nocą.

Transport: trzeba zabrać worek pieniędzy albo nabyć umiejętności pokonywania wpływ dużych odległości na Atlantyku. Innego wyjścia, przy ograniczonym czasie, nie ma. Oprócz regularnego promowego, codziennego połączenia między wyspami Sao Vicente i Santo Antao pozostaje tylko samolot. Konkurencja w branży jest praktycznie zerowa więc narodowy przewoźnik TACV dyktuje wygórowane ceny, oscylujące wokół 100 USD za jedno połączenie. W czasie karnawału polecam kupić bilet wcześniej – naprawdę może nie być miejsc, a woda w oceanie w lutym jest dość chłodna.

Przewodniki i literatura:

Cape Verde – Bradt 2011

West Africa – Lonely Planet 2009

Republika Zielonego Przylądka – wyd. Global PWN

RELACJA Z PODRÓŻY

14 lutego. Sama nazwa hoteliku Residencial Sol Atlantico nasuwa dalekie od zimnej północy skojarzenia. Właściwie to zachęta do skorzystania z usług i wyspania się po wieczornym locie z Lizbony. Gdy zaraz po północy, w sobotę 14 lutego, podjechaliśmy z lotniska im. Nelsona Mandeli do cichego, opustoszałego centrum stolicy Praii i wdrapaliśmy się na pierwsze piętro murowanej, małej kamienicy z prawie niewidocznym szyldem Sol Atlantico, drzwi otworzył czarnoskóry chłopak przypominający raczej dakarskiego „ulicznego złoczyńcę” niż miłego pracownika hotelu. Zażądał 4000 escudo za mały pokój bez łazienki. Chce mnie naciągnąć i oszukać, pomyślałem. Dziękując mu, udaliśmy się na poszukiwania tańszej opcji o niekoniecznie tak miłej nazwie. Pół godziny później poddaliśmy się. To uczciwa cena w stolicy. Wróciliśmy do Senegalczyka, który wcale nie okazał się gburem, lecz zaspianym, uprzejmym pracownikiem przybytku.

Taksówkarze też chcieli uszczuplić nam portfele – za kurs z lotniska do miasta zażądali w nocy 1000 escudo. Na szczęście, chcąc rano dostać się na centralny targ przy ulicy Amilcara Cabrala, gdzie można podglądać życie mieszkańców, nie musieliśmy już za nic płacić. Nasz hotel był zlokalizowany 200 metrów od targowiska. Tam też można, w przyległych uliczkach znaleźć kogoś, kto chętnie wymieni nam europejską walutę na kabowerdyjskie escudo.

Po owocowo-warzywnych targowych doświadczeniach pojechaliśmy z bazaru Supupira na drugi koniec wyspy Santiago do miejscowości Tarrafal. Kierowca uczciwie zebrał od każdego pasażera po 700 escudo za dwugodzinną podróż. Ale cóż to była za podróż! Jechaliśmy przez wyschnięte przedmieścia Praii, dalej do górskiej, bogatej Assomady, gdzie mieszkańcy okolicznych wiosek zjeżdżają się, aby nabyć czy sprzedać coś na lokalnym targu, a zamożniejsi obywatele wyspy pobudowali swoje domy. Klimat jest tu chłodniejszy, a powietrze rześkie i świeże. Jadąc dalej na północ, znaleźliśmy się w masywie Serra Malagueta, gdzie brązowe szczyty sięgające blisko 1500 metrów ponad wody Atlantyku wznoszą się, dając schronienie lokalnej florze i faunie, spośród której, moim zdaniem, koczodany zasługują na szczególną uwagę.

Stąd już blisko do celu naszej podróży na wyspie Sao Tiago, czyli Tarrafalu. W środku europejskiej zimy, gdzie wszystko w południowej Polsce pokryte było warstwą śniegu, chcieliśmy poczuć tropiki. W miejscowości Tarrafal znajduje się najbardziej przypominająca karaibskie plaże półksiężycowa zatoka z piaskiem i palmami kołyszącymi się na wietrze. Na pobliskiej skarpie rozłożyły się nieliczne jadłodajnie, gdzie za sowite 800–900 escudo można zasmakować świeżo złowionej ryby z frytkami.

Wracając do stolicy, postanowiliśmy przejechać drogą wzdłuż północnego wybrzeża wyspy przez wioskę Calheta de Sao Miguel (200 escudo) i dalej przez Pedra Badejo do Praii (500 escudo). Warto. Można przy okazji zobaczyć, jak chłodne wody Atlantyku rozbijają się o brzegi, a kobiety handlujące rybami i owocami morza jadą na targ sprzedać swój cenny towar.

15 lutego. W żaden sposób nie udało się, mimo posiadania zdolności negocjacyjnych, obniżyć ceny przejazdu taksówką o poranku na lotnisko. Nieugięty kierowca wytrwale żądał 1000 escudo za 15-minutowy przejazd z centrum Praii. To jednak i tak dużo mniej niż 90 euro, które musieliśmy zapłacić za 50-minutowy lot, aby przedostać się maszyną narodowej linii TACV na wyspę Sao Vincente. Lotnisko na tejże wyspie znajduje się niecałe 10 kilometrów od Mindelo, a zaledwie kilkaset metrów od wioski Sao Pedro, która wydała się nam o świecie atrakcyjniejszym celem niż stolica wyspy. Była siódma rano w niedzielę, więc na przepięknej piaszczystej plaży, nad którą Sao Pedro ulokowało się, nie spotkaliśmy nikogo oprócz radośnie biegających psów urządzających sobie wyścigi wzdłuż pieniających się fal. Sao Pedro to jednak kilkadziesiąt domostw, które nie mogły zatrzymać nas dłużej niż na dwie godziny. Rano wszyscy taksówkarze spali, a o transporcie publicznym można było zapomnieć. Po godzinnych poszukiwaniach telefonu do zaprzyjaźnionego kierowcy jednego z właścicieli hotelików za 1000 escudo dotarliśmy do Mindelo, gdzie można było już wyczuć atmosferę przygotowań do trwającego karnawału. Głód zmusił nas do poszukiwań jedzenia. Za 150 escudo można w lokalnej knajpcie nasycić się narodową potrawą – cachupą, a za 100 escudo zamówić do tego małe, wyborne piwo (250ml).

Ulokowaliśmy się w spartańskim hoteliku La Terrazza z bajecznym widokiem na zatokę i całe miasteczko Mindelo. Dom, w którym mieszkała Cesaria Evora przez długie lata, znajdował się uliczkę niżej. Za 16 euro za osobę za noc to było optymalne rozwiązanie, aby przyjrzeć się nadchodzącemu dużymi krokami karnawałowi.

16 lutego. Rano, gdy prawie wszyscy uczestnicy wczorajszych tańców ulicznych i szalonych zabaw smacznie spali, my wybraliśmy się na wschodni kraniec wyspy Sao Vincente do miasteczka, czy raczej wioski Calhau, gdzie chłodne wody Atlantyku obmywają miejscami skaliste wybrzeże, a wiatry znad niego wiejące smagają nagie, brązowe szczyty. Z Mindelo do Calhau jazda minibusem zwanym tutaj na Wyspach dźwięcznie „aluquerem” trwa nie więcej niż pół godziny i kosztuje pasażera, niezależnie od koloru skóry, 150 escudo. Dalej nieregularny transport może was zabrać wzdłuż bajkowej, długiej plaży Praia Grande do Baia das Gatas. My jednak, trochę może nieświadomi siły promieni słonecznych operujących w godzinach około południowych, wyruszyliśmy w tę kilkukilometrową przechadzkę pieszo. Widoki wynagradzały wszelkie trudy, ale gdy po godzinie zaczęliśmy na własnej skórze odczuwać siłę słońca, najzwyczajniej w świecie złapaliśmy stopa. W Baia das Gatas znajduje się kilka hotelików i restauracji, gdzie za 800–900 escudo można uraczyć się niezłym spaghetti z tuńczykiem czy wyborną rybą z frytkami.

Jadąc z Baia das Gatas do Mindelo, można odbić w prawo, na północ do miejscinki o znajomo brzmiącej nazwie Salamansa, leżącej nad ciekawą zatoczką. O wiosce Salamansa śpiewała Cesaria Evora – „Areia Salamansa”. Za 100 escudo pędzący do Mindelo aluguer wysadził nas na krzyżówce, gdzie mili panowie prowadzący ogromną ciężarówkę zabrali nas „na pakę”, właściwie to na węgiel, który akurat przewozili, i podwieźli nas do samej osady. A osada ta to nie byle jakie miejsce, szczególnie dla miłośników kitesurfingu. Zjeżdżają się tutaj amatorzy tego wodnego szaleństwa, aby spróbować swoich sił i umiejętności na wietrze, który dmie tutaj niewybrednie, tworząc małe fale i idealne warunki do tegoż sportu.

100 escudo to oficjalna cena przejazdu do stolicy wyspy z Samalansy. Trzeba tylko uzbroić się w cierpliwość przed wyruszeniem takim zbiorowym środkiem transportu i przypomnieć sobie, że jednak jesteśmy w Afryce. Odjedziemy, jak nazbieramy komplet pasażerów. I to dzisiaj pasażerów nie byle jakich. Kabowerdyjska młodzież z okolicznych wiosek i samej Salamansy jechała właśnie do stolicy. Dziewczyny z przepięknymi makijażami i malunkami na ciele zajęły prawie wszystkie miejsca w alugerie i z nieukrywana radością i uśmiechem pozowały mi do zdjęć.

W Mindelo nie czuć Afryki. To taka mieszanka kontynentów, ale z przeważającą większością Europy. Wyśmienite ciasteczka z nadzieniem waniliowego budyniu kosztowały mnie 80 escudo za sztukę. Zazwyczaj nie jem słodczy. Kupiłem dwa.

17 lutego. Praia da Laghinia w Mindelo ma trudny do opisanie kolor piasku na plaży i jeszcze trudniejszy do wyrażenia kolor wody graniczący z tym białym proszkiem, na którym leżeli pojedynczy amatorzy zimowej kąpeli. Jest po prostu uderzająco piękna. Niby brakuje tutaj palm tak charakterystycznych dla Karaibów i kojarzących się z rajem, ale ma coś innego. Zupełnie nie pasuje do otoczenia, w którym się znajduje. Jest jakby sztuczna, zbyt ładna. Chociaż samo Mindelo także do brzydkich miast nie należy. Za porządny obiad w lokalnej knajpie, w której stołują się mieszkańcy stolicy wyspy, trzeba zapłacić 300 escudo. Jednego dnia dostaniemy wspomnianą wcześniej cachupę, drugiego dnia kurczaka z frytkami, a w kolejny dzień ryba z frytkami wyląduje przed nami na stole. A i pośmiać z lokalnymi się można. Pod warunkiem znajomości portugalskiego albo kriolu, oczywiście.

Wracając do samego karnawału, to wygląda na to, że prawie wszyscy tym żyją. Przynajmniej wszyscy mieszkający w Mindelo. Najhuczniejsze kolorowe korowody i tańce trwają przez 3 dni poprzedzające Środę Popielcową, czyli rozpoczynają się w niedzielę od tzw. pospolitego ruszenia, gdzie wszyscy chętni przebiegają się w co bądź według własnego pomysłu i maszerują ulicami centrum. W poniedziałek jest już bardziej formalnie i parady są bardziej zorganizowane ze szkołami i grupami tanecznymi na czele. We wtorek zaś, w dniu kulminacyjnym, ma miejsce największa fiesta z feerią barw i wyszukanych strojów. Wszystko to przy akompaniamencie karnawałowej muzyki, emitowanej przez jadące platformy z tańczącymi kobietami i mężczyznami. Wszystko do północy albo dłużej...

Warto to zobaczyć!

18 lutego. Rankiem powietrze bywa rześkie, żeby nie powiedzieć chłodne. Cienki polar czy bluza, upchana gdzieś na dnie plecaka, przydała się w trakcie porannego spaceru do portu. Bilet na tańszy prom firmy Armas, kursujący do Porto Novo na wyspie Santo Antao kosztował 810 escudo. Nie ma alternatywy dla tego godzinnego

rejsu po rozkołysanym Atlantyku, gdyż samoloty nie latają, a mostu nie ma. Jest za to duże prawdopodobieństwo choroby morskiej, ale to już inna sprawa...

Na małym nabrzeżu w Porto Novo na przyjezdnych czeka już rządęk alugueroów i pick-upów. Prawie wszystkie jadą do Ribeira Grande albo do Ponta do Sol. Jedne tak zwana starą drogą, inne zaś nowiutką, gładką asfaltówką wzdłuż wschodniego wybrzeża wyspy. Do Tarrafal de Monte Trigo na zachodnim krańcu wyspy nie widać za bardzo chętnych. Ani chętnych kierowców, ani pasażerów. W Afryce większość spraw to kwestia czasu i tutaj nie było inaczej. Po godzinie oczekiwania pędziliśmy już wyłotówką z Porto Novo w kierunku przeciwnym do wschodzącego słońca. Za dwie godziny takiej przyjemności trzeba zapłacić 700 escudo. Ale cóż to była za przyjemna trasa! Dawno nie jechałem taką drogą.

Marie-Alice i Jaime da Cruz ugościli nas w swoim czystym skromnym domku, w którym kilka pokoiów przeznaczonych jest dla gości. Taras z widokiem na ocean i czarną plażę, moim zdaniem najładniejszą w całym kraju, na którym serwują wyśmienite, świeże ryby w otoczeniu warzyw pochodzących z przydomowego ogródka, można uznać za największy atut tego miejsca noclegowego. Pokój dla dwóch osób kosztował 2000 escudo, wspomniana kolacja – 500 escudo za osobę, a litrowa butelka nie było jakiego wina sprowadzanego z Portugalii to wydatek 350 escudo.

Zapomniałem dodać, że w samym Tarrafal de Monte Trigo jest niewiele miejsc do spania i wszystkie chyba nieco kosztowniejsze od naszego. W domkach czy namiotach „U Hiszpana” można także przenocować się za dwa razy większe pieniądze, a obiad składający się z ryby i frytek oraz ryżu wyceniony jest na 600 escudo.

Po przylegających do wioski wzgórzach i dolinie można się przespacerować, pod warunkiem posiadania dobrej orientacji w terenie i znajomości trasy. My trochę niefortunnie odczytaliśmy narysowaną odręcznie przez Hiszpana (właściciela wspomnianego hoteliku) mapę i zamiast godzinnego spaceru zafundowaliśmy sobie 4-godzinną wyprawę w pobliskie góry. Po powrocie musieliśmy odpocząć na plaży, kąpiąc się we wcale nie takim zimnym Oceanie Atlantyckim.

19 lutego. Aluguery do Porto Novo opuszczają Tarrafal dość wcześniej zanim pierwsze promienie słońca zaczną ogrzewać puste uliczki osady. Poranny chłód spotęgowany pędem powietrza na otwartym pickupie zmusił nas do narzucenia niemalże wszystkich ubrań z plecaka łącznie z czapką i śpiworem, który najlepiej chroni od zimy i działa jak poduszka łagodząca skutki wybojów napotkanych na trasie. 700 escudo kosztuje powrót do Porto Novo, skąd za kolejne 300 dostajemy się do wioski Corda w górach na „starej trasie” przecinającej wyspę przez jej środek. Z Corda biegnie niesamowicie piękna widokowo droga, dla której warto zapłacić następne 700 escudo do Ribeira Grande i przesiadać się kilka razy. Na nowej drodze biegnącej przy oceanie nie napotkamy takich widoków. Ostatecznie po południu docieramy do Ponta Do Sol leżącej na końcu asfaltowej drogi. Nie było łatwo znaleźć miejsce do spania w zasięgu naszego budżetu i długo musieliśmy wędrować z plecakami wśród kolorowo pomalowanych budyneczków, zanim natrafiliśmy na kwatery prywatną, gdzie za 2500 escudo ulokowali nas w pokoju dwuosobowym z łazienką i śniadaniem.

W Ponta do Sol, w lokalnej restauracyjce, cachupa to wydatek 400 escudo, a za małą butelkę coca-coli trzeba dopłacić następne 100 escudo.

Godzinny spacer pozwala przenieść się do malowniczej wioski Fontainhas, zawieszona wysoko na stromych zboczach skalistych gór spadających wprost do Atlanty-

ku. Warto tutaj zajrzeć, gdyż nigdzie indziej na tych Wyspach nie zobaczymy podobnych widoków.

20 lutego. Chcąc znaleźć się w malowniczej dolinie Ribeira do Paul, trzeba z Ponta do Sol pojechać do Ribeira Grande za 50 escudo, a następnie za 100 escudo udać się do wioski Paul i dalej do Cabo da Ribeira za kolejne 100. Niestety, Cova do Paul, czyli krater nieczynnego już wulkanu, który tak bardzo chcieliśmy zobaczyć, tonął tego dnia w chmurach i poddaliśmy się po godzinie solidnego marszu pod górę. Nie było nic widać oprócz szarobiałych chmur, z których sączył się leniwie deszcz.

Miłośnicy owoców morza w postaci nadającej się do spożycia będą czuli się trochę jak w raju w Ponta do Sol. Restauracje ulokowane tuż nad skalistym nabrzeżem, o które rozbijają się z hukiem spienione fale, serwują wyszukane dania z krewetek, homarów, ośmiornic i różnych gatunków ryb. Homar z dodatkami to wydatek 1800 escudo, znakomicie przyrządzona ośmiornica kosztuje średnio 1000 escudo, a dla mniej wybrednych duża pizza z owocami morza to jedynie połowa tej ceny. Tradycyjna ryba z frytkami to 800 escudo.

21 lutego. Rankiem, o 7.30 aluguer za 400 escudo zabiera nas do Porto Novo, pędząc po gładkim, nowym asfalcie, mijając bajkowo położone nad oceanem miasteczka, takie jak Sinagoga, Vila das Pombas czy Pointinha da Janela. Musimy zdążyć na prom, który wypływa równo o 10.00 i nie czeka na spóźnialskich. Cena biletu to 810 escudo. Po godzinie podskakiwania na ogromnych falach i przyglądaniu się kolejkom do toalety, jesteśmy z powrotem w naszym znajomym Mindelo. Jeszcze tylko 15 minut spaceru promenadą i siedzimy w zaprzyjaźnionym barze, gdzie ładne kabowerdyjskie kelnerki, będące jednocześnie kucharkami w tym lokalu, podają nam kurczaka z frytkami i ryżem. Zostawiamy im po 300 escudo i za 50 escudo jedziemy w kierunku wioski Sao Pedro. Domyślny kierowca, oceniając wielkość naszych plecaków, sam, bez zbędnych komentarzy zatrzymuje się przy lotnisku, które właśnie mijamy. To dziesięć razy taniej niż taksówka z centrum.

Kolejne 90 euro pozwala nam polecić, dużym tym razem airbusem, do Praii na wyspie Santiago. Czasu mamy niewiele przed nocnym lotem do Lizbony, ale na szczęście wystarczająco dużo, aby za 1000 escudo miły taksówkarz zabrał nas do lokalu o dźwięcznej nazwie Quintal da Musica w centrum stolicy, gdzie ostatnie godziny na Wyspach Zielonego Przylądka spędzamy przy kabowerdyjskiej muzyce granej i śpiewanej przez lokalnych artystów, jedząc przepyszna rybę złowioną właśnie tutaj – w wodach Cabo Verde.

Cabo Verde



Wyspy Zielonego Przylądka są bardzo różnorodne. Każda z nich jest inna.

Wybrałam się tam sama i zwiedziłam trzy wyspy: Sal – płaską, wysuszoną, najmniej ciekawą dla mnie, ale wspaniałą dla osób lubiących przepiękne, piaszczyste plaże i sporty wodne, tj. windsurfing i kitesurfing. Sao Vicente – pagórkowatą, wulkaniczną wyspę, miejsce hucznych karnawałów i festiwali muzyki, rozstawionej przez Cesarię Evorę. Santo Antao – przepiękną, zieloną, górzystą, poprzecinaną wąwozami, z egzotycznymi roślinami, tarasowymi uprawami rolnymi i wspaniałym mocnym alkoholem wytwarzanym z trzciny cukrowej, doskonałą na górskie wędrówki z cudownymi widokami – dla mnie najwspanialszą.

Decyzję o odwiedzeniu Wysp Zielonego Przylądka podjęłam szybko, gdy udało mi się dostać tani bilet na przelot liniami Jetairfly (JAF) z Brukseli na Sal i z powrotem, kupiony przez Internet. Planowałam pobyt 2-tygodniowy, ale tanie bilety były tylko na okres 1 tygodnia. W ostatniej chwili przelot samolotem do Brukseli był zbyt drogi. Dojechałam więc Polskim Busem do Berlina, a stamtąd Ryanair'em do Brukseli. Przez Internet wykupiłam też bilet na samolot z Sal na wyspę Sao Vicente na linii TACV (Cabo Verde Airlines).

Termin podróży: 12–23 marca 2016

Trasa: Berlin – Bruksela – wyspa Sal – wyspa Sao Vicente – wyspa Sal – Bruksela – Berlin – przelot samolotem, Sao Vicente – Santo Antao – Sao Vicente – prom.

Trasa wewnątrz wysp:

Wyspa Sal: lotnisko – Santa Maria i wycieczka po wyspie: Murdeira – Palmeira – Buracona – Espargos – Pedra de Lume – Santa Maria.

Wyspa Santo Antao: Porto Novo – Ribeira Grande – Boca de Ambas as Ribeiras – Caibros de Ribeira – Ponta do Sol – Fontainhas – Ribeira Grande – Vila das Pombas – Valle do Paul – Ribeira do Paul – Ribeira dos Pombas – wodospad Neve.

Wyspa Sao Vicente: Mindelo – Calhau – Baia das Gatas – Calhau – Sao Pedro.

Wiza: wizę otrzymuje się bezpośrednio po wylądowaniu na lotnisku na wyspie Sal, po uiszczeniu opłaty 25 euro.

Waluta: escudo (CVE). 1 euro = 110 escudos. Kurs jest stały, ale naliczana jest różna prowizja i w zależności od niej za 1 euro można otrzymać od 100 do 110 escudos. Pieniądze wymienia się w bankach. Na wyspie Sal można płacić w euro nawet za aluguery. Na innych wyspach tylko w escudo.

Bezpieczeństwo: wyspy, które zwiedzałam, są bardzo bezpieczne, a ludzie serdeczni i przyjaźnie nastawieni.

Język: mieszkańcy mówią najczęściej po kreolsku i portugalsku. Z wieloma osobami można porozumieć się po angielsku, francusku. Na Sal angielski jest powszechnie znany. Warto przyswoić sobie trochę zwrotów w języku portugalskim, a w szczególności form grzecznościowych. Z miejscowymi na Santo Antao porozumiewałam się mieszaną hiszpańskiego, francuskiego i zwrotami portugalskimi.

Pogoda: w okresie, kiedy tam byłam, było zawsze słonecznie, czasem upalnie, ok. 30 stopni, woda w oceanie ciepła, dobre warunki do pływania.

Transport na wyspach: Na Sal przemieszczać się można łatwo i bardzo tanio minibusami, mieszczącymi 10 osób, tzw. aluguerami. Odjeżdżają one po napełnieniu się, ale chętnych jest dużo i nie trzeba długo czekać. Z Santa Maria jeżdżą do Espargos (40 min – 1 euro), mijając po drodze lotnisko, gdzie można wysiąść na żądanie. Za pokonanie takiego samego odcinka taksówką płaci się 10 euro, a wieczorem, kiedy aluguary już nie kursują – ponad 12 euro.

W Mindelo kursują autobusy miejskie, a między miastami aluguary. Na lotnisko można dojechać aluguerem, jadącym docelowo do Sao Pedro. Jednak tu nie było turystów, więc dosyć długo czekałam na zapełnienie się.

Do Calhau busy jeżdżą dokładnie co godzinę, o równych godzinach. Aluguary odjeżdżają z Placu Estrela, tuż obok bazaru owocowo-warzywnego.

Na Santo Antao aluguary jeżdżą ze wsi do miast rano i późnym popołudniem. Z Porto Novo do Porto Grande wyjeżdżają po przyplynięciu promu, a do Porto Novo zaczynają wracać ok. 14.00.

Prom z Mindelo do Porto Novo na Santo Antao był o godz. 7.00 i 8.00, a z Porto Novo o godz. 8.00, 9.00 rano i 15.00 oraz 16.00.

Koszty podróży: Lot Ryanaiem Berlin–Bruksela i z powrotem – 57 euro. Lot z Brukseli liniami Jetairfly (JAF) do Sal na Cabo Verde i z powrotem – 145 euro wraz z airport tax. Tacy Cabo Verde airlines z wyspy Sal na wyspę Sao Vicente i z powrotem – 125 euro. Prom Mindelo – Porto Novo – 8 euro, a z powrotem promocyjna cena 4 euro, ze względu na zbliżające się Święta Wielkanocne.

Transport lądowy na wyspach: jest bardzo tani, 1–4 euro busem w zależności od odległości.

Noclegi. Przy dwóch osobach można znaleźć nocleg już od 30 euro, najczęściej jednak za minimum ok. 40 euro ze śniadaniem.

Najdrożej jest na Sal. Tutaj istnieją tylko apartamenty o wyższym standardzie. Ponieważ byłam sama, musiałam skorzystać z takiego apartamentu. Cena wyjściowa dla 1 osoby to 25 euro ze śniadaniem, zgodzono się bez śniadania za 20 euro. Nie rezerwowałam wcześniej, gdyż nie był to szczyt sezonu i miejsc noclegowych było dużo.

Nocowałam w Santa Maria – Hotel Holiday Royal Bed and Brekfast, tel. +238 924 424 4218, holidaycabo Verde@gmail. com. Na Sao Vicente rezerwowałam przez Inter-

net, gdyż przyleciałam tam wieczorem, a w tych godzinach nie ma już obsługi, pozostaje tylko kontakt telefoniczny. Simbo's Backpackers' Hostel – Avenida Vicente Rendall Leite 13, Mindelo, tel. +238 231 24 65. Cena całkowita 1540 CVE za pokój, do dyspozycji kuchnia na parterze. Na wyspie Santo Antao nocowałam w:

- Ribeira Grande – Residencial Tropical – 1500 CVE;
- Vale do Paul – residencial bar restaurante – tuż przy głównej drodze przy oceanie, w budynku przylegającym do sklepu spożywczego, naprzeciw poczty – 1500 CVE.

Przykładowe ceny: istnieje duża różnica w cenach poszczególnych produktów, w zależności od wyspy. Na Sal, które jest bardzo komercyjne, ceny potrafią być 2-4 razy wyższe niż na Santo Antao, szczególnie ceny warzyw, owoców i posiłków w restauracjach.

Internet w Ribeira Grande – 0,5 godz. 50 CVE, na Sal wielokrotnie droższy;

Grog w sklepie – butelka 750 ml – 575–1200 CVE;

Jogurt portugalski 500 ml – 107 CVE, a z Cabo Verde 120 ml – 40 CVE;

Chleb 500 g – 1,5 euro;

Jajka 12 sztuk – 2 euro;

Woda mineralna 1,5 l – 0,50 euro;

Piwo importowane 0,33 l – 0,7 euro, lokalne 0,5 l – 1,30 euro;

Catchupa – 1–4 euro;

Na Santo Antao tanie owoce i warzywa: papaje 1 kg – 100 CVE, pomidory i banany 1 kg – 150 CVE;

W restauracjach na Sal: hamburger – 6 euro, hot dog – 5 euro, krewetki – 12–16 euro, cola 0,3 l – 2 euro, obiad mięsny ok. 10 euro;

Pocztówki i znaczki po 0,60 euro;

Wstęp do salin – 5 euro;

Wycieczka autem po wyspie Sal – 25 euro.

RELACJA Z PODRÓŻY

12 marca. Polskim Busem dojechałam do Berlina bezpośrednio na lotnisko Schoenefeld.

13 marca. Wcześniej rano miałam lot Ryanair'em do Brukseli na lotnisko Zaventem.

Cały dzień spędziłam na zwiedzaniu Brukseli. Łatwo mi to poszło, gdyż byłam tu niecałe 2 miesiące wcześniej, ale z przyjemnością spędziłam czas we wczesnowiosennej atmosferze. Wieczorem wróciłam na lotnisko Zaventem, jadąc metrem nr 1 z przesiadką na autobus nr 12.

14 marca. Wcześniej rano wyleciałam z Zaventem Airport do Sal liniami Jetairfly. Różnica czasu między Brukselą a Cabo Verde to 2 godz. Po przylocie cofnęłam więc czas. Na lotnisku w Sal byłam w południe. Bezpośrednio po wylądowaniu ustawiłam się w kolejce po wbięcie wizy do paszportu za opłatą 25 euro. Na lotnisku była możliwość wymiany pieniędzy, nie wymieniałam jednak, gdyż wiedziałam, że na Sal można płacić w euro. Minęłam taksówki stojące przed lotniskiem i udałam się kawałek dalej, na ulicę równoległą do budynku lotniska, na której można zatrzymać bus, jadący z oddalonej zaledwie 2 km stąd stolicy wyspy – Espargos do Santa Maria – głównego miasta turystycznego z bazą noclegową. Zatrzymałam jadący bus. Okazało się, że nie był to publiczny aluguer, lecz prywatny samochód, a jego właściciel był pracownikiem ho-

telu, w którym ostatecznie zostałam. Zanim jednak zostałam w tym hotelu, w towarzystwie miejscowego młodzieńca przeszłam się po okolicy, aby sprawdzić ceny w innych hotelach, jednak nic tańszego nie znalazłam. Z 25 euro utargowałam na 20 euro bez śniadania, ale za to otrzymałam ładny, ogromny apartament z dwiema sypialniami, dużym pokojem dziennym, aneksem kuchennym, łazienką i balkonem. Kilka kroków od mojego hotelu znajdował się Mercado Municipal – bazar z wyrobami artystycznymi, a trochę dalej plaża wypełniona turystami z przylegającego do niej hotelu. Udałam się około 300 m na prawo, gdzie znajduje się małe molo, pełniące rolę targu żywymi rybami, a tuż za nim znalazłam wspaniałe miejsce do pływania, przy pięknej i piaszczystej plaży. Plaża ta ciągnie się kilometrami. Wiele osób uprawia tu windsurfing i kitesurfing. Wieczorem przeszłam się po miasteczku. Jest bardzo małe i szybko można je obejść. Nie znalazłam tu niczego, czym mogłabym się zachwycić. Dwie główne ulice, mnóstwo sklepików z pamiątkami, prowadzonymi przez emigrantów z Senegalu i Chińczyków, kościół katolicki i wiele budynków, będących w trakcie budowy. Na większości sklepików widnieje napis „no stress”, a turyści są bardzo mili i pogodni. W licznych restauracjach przesiadują amatorzy rozrywek i błogiego spędzania czasu.

15 marca. Większość dnia spędziłam na pływaniu w oceanie. W banku, na przeciwko postoju aluguerów wymieniłam euro. Przy wymianie euro na escudos pobierają niewielką prowizję, natomiast jeśli wymieniamy escudos na euro – prowizja jest wysoka. Za 90 euro otrzymałam 9600 escudos. Po południu udałam się aluguerem na lotnisko (1 euro), gdyż miałam lot na Sao Vicente. Busy oczekują na chętnych w okolicy banku. Odjeżdżają po napełnieniu się. Docelowo jadą do Espargos, zatrzymując się na żądanie przy głównej drodze, na wysokości lotniska. Chociaż na lotnisko jedzie się do 20 min, to lepiej być wcześniej. Lot TACV (Cabo Verde Airlines) z Sal na wyspę Sao Vicente trwał 50 min. Tutaj, podobnie, jak na wyspie Sal, z lotniska można jechać taksówką (10 euro) lub z głównej drogi aluguerem (1 euro). Przyleciałam jednak po 19.00, a tak późno aluguery nie jeżdżą. Pozostało mi wziąć taxi, ale ponieważ na tę wyspę przylecieli głównie turyści zorganizowani, na których oczekiwały samochody, dzięki uprzejmości jednego z kierowców wiozących parę starszych Francuzów, udało mi się dotrzeć z nimi bezpośrednio do hotelu. Hotel miałam zarezerwowany wcześniej przez Internet, gdyż wieczorem nie ma w nim obsługi. W Mindelo mieszkalam w Simabo's Backpackers' Hostel, mieszczącym się w zielonym, narożnym budynku, obok Casa Comba – bardziej znanego hostelu. Jest specyficzny, gdyż w hostelu tym znajduje się kilka pięknych psów i 24 urocze koty, które przebywały w pomieszczeniu obok mojego pokoju. Mój pokój był duży, z balkonem, łazienka była obok, a kuchnia na parterze. W hotelu był tylko 1 turysta. Bardzo uprzejmy właściciel udzielił mi szczegółowych informacji dotyczących spędzenia czasu na Sao Vicente i Santo Antao.

16 marca. Rano pieszo dotarłam do portu (15 min). Wykupiłam bilet na prom na godz. 8.00 za 8 euro. Wcześniejszy prom był o godz. 7.00. Do Porto Novo płynęłam 1 godz. Ocean był bardzo spokojny, sporo wolnych miejsc na promie, ale bywa, że przyjeżdżają grupy i miejsc brakuje. Jeśli ktoś ma możliwość, to lepiej wykupić je wcześniej, zwłaszcza w sezonie. W porcie Porto Novo czekało wiele aluguerów. Zamierzałam jechać do Ribeira Grande górską drogą, z której można zobaczyć krater Cova. Czasami aluguery jadą tą trasą, wioząc zaopatrzenie do okolicznych sklepów wiejskich. Ktoś zasugerował mi, że można złapać takiego pikapa rozwozącego żywność do

wsi. Niestety żaden nie jechał tą trasą, nie było też turystów indywidualnych, aby zorganizować wspólnie taki przejazd za dodatkową opłatą. Zorganizowane grupki turystów podążyły bezpośrednio do czekających na nich samochodów. Od czasu, kiedy zbudowano dobrą i łatwą do pokonania asfaltową drogę wzdłuż wybrzeża, wszystkie aluguery korzystają z niej i w niecałą godzinę są już na północy wyspy. Koszt przejazdu – 400 CVE/osoby. Trasa ładna, wybrzeże urozmaicone klifami i różnorodnymi formami skalnymi.

W Ribeira Grande nie miałam zarezerwowanego noclegu, ale nie było problemu z jego znalezieniem. Ulokowałam się w Residencial Tropical połączonym z restauracją, niedaleko rzeki, blisko mostu, 5 minut od miejsca postoju aluguerów, w uliczce po prawej stronie od głównego placu i kościoła. Do dyspozycji miałam duży, ładny pokój z dwoma łóżkami i wyposażoną lodówką oraz łazienkę. Cena wyjściowa to 2500, ale utargowałam na 1500 CVE. Po rozpakowaniu się szybko udałam się przez most na drugą stronę rzeki, gdzie czekały aluguery dojeżdżające do górskich wsi. Jechałam piękną widokowo trasą górską, z niezwykłą roślinnością, mijając różnorodne uprawy, zarówno trzciny cukrowej, kukurydzy, bananowców, papai, mango. Dojechałam do Boca de Ambas as Ribeiras (150 CVE) i ruszyłam na spacer ribeirą w kierunku Caibros de Ribeira, ścieżką prowadzącą w lewo wzdłuż górskich wiosek. Santo Antao jest wspaniałą wyspą do trekkingów w otoczeniu egzotycznej, zielonej roślinności i stromych gór poprzecinanych licznymi ribeirami, czyli głębokimi wąwozami. Idąc ribeirą, na trasie byłam zupełnie sama, ale czułam się bezpiecznie. Spotykałam przemitych mieszkańców, pracujących na polach przy zbiorze trzciny cukrowej, z którymi zamieniałam kilka zdań, przyglądałam się tarasowo rosnącym uprawom, zasilanym wodą poprzez sieć rurek i gumowych węży. Napotykałam po kilka domów, niekiedy wspinałam się dosyć wysoko po schodach, aby dotrzeć do chat, zawieszonych na stromych zboczach. Widoki były oszałamiające i co kilka metrów zupełnie nowe. Zatrzymywałam się często, aby nasycić się nimi. Po dwóch godzinach takiej wędrówki, kiedy szłam pod górę, niespodziewanie zatrzymał się pikap, wiozący trzcinę cukrową, którym podjechałam dalej ok. 3 km. W drodze powrotnej, po wyjściu z ribeiry, długi odcinek przemierzałam pieszo główną drogą prowadzącą do Ribeira Grande, mijając liczne akwedukty, a także rynny, dzięki którym nawadnia się uprawy rolne. Nie spotkałam ani jednego turysty, ale sporo dzieciaków żujących świeżą trzcinę cukrową. Wieczorem pochodziłam po Ribeira Grande – głównym mieście Santo Antao, otoczonym wspaniałymi górami i oceanem. Centrum jest bardzo małe. Skorzystałam z kawiarenki internetowej.

17 marca. Rano, nie chcąc czekać na aluguer, wybrałam się pieszo w kierunku Ponta do Sol, wzdłuż oceanu. Na trasie zatrzymałam aluguer i po 10 min (50 CVE) byłam już w najbardziej wysuniętym na północ cypelku Santo Antao. Przeszłam się po pustym jeszcze z rana miasteczku, z ładną architekturą, z górami w tle, podeszłam do portu, a na końcu miasteczka skierowałam się na lewo w kierunku cmentarza i dalej drogą wzdłuż wybrzeża udałam się do Fontainhas, położonego na stoku góry, na zboczach której rozpościerają się tarasy pól uprawnych. Z Sal do Fontainhas nie ma publicznego transportu. Szłam więc pieszo ok. 1 godz. krętą drogą, spotykając kozy skaczące po nabrzeżnych skałach, tuż przy oceanie, klatki z łąciatymi świniami, do których donosili je na rękach młodzi chłopcy. Trasa jest bardzo malownicza, a Fontainhas z jego kolorowymi domami i tarasowo ułożonymi polami uprawnymi mogłam oglądać

już z góry, gdyż z drogi jest bardzo ładny widok na wioskę. Na trasie spotkałam tylko 1 samochód z grupą turystów. Po powrocie do Ponta do Sol pospacerowałam jeszcze po porcie, a do Ribeira Grande wróciłam aluguerem. Po opuszczeniu hotelu pojechałam do Paul, położonego nad oceanem (20 min – 100 CVE). Tu zaczyna się przepiękna rajska dolina. Wysiadłam tuż za ukwieconym wzgórzem z figurą świętego Antoniego.

Nocleg znalazłam kawałek dalej, w Vila das Pombas, przy głównej drodze, naprzeciwko poczty, u właścicieli sklepiku spożywczego, którzy prowadzą hotel. Cena wyjściowa to 1750, ale zgodzili się za 1500 CVE za pokój z 2 łózkami, balkonem, z którego miałam bezpośredni widok na pocztę, ale również po prawej stronie z balkonu na ocean i wzgórze ze św. Antonim. Zostawiłam plecak w hotelu i pikapem, stojącym na drodze prowadzącej do Valle do Paul pojechałam do tej rajskiej doliny. Siedząc z tyłu, na bocznej ławie pikapa, mogłam cały czas zachwycać się zmieniającym się przepięknym krajobrazem górskim z bujną roślinnością. Co chwilę pojawiał się inny widok, zapierający dech. Dojechałam do samego końca, chociaż po drodze wszyscy już wysiedli i zostałam sama. Samochód dowiózł mnie do destylarni (Fabrica de destilacao) – miejsca produkcji grogu – lokalnego, mocnego alkoholu z trzciny cukrowej, chociaż nie wiedziałam wcześniej, że jest to jego docelowy przystanek. Tutaj miałam wiele czasu, aby przyrzeć się procesowi wytwarzania grogu i spróbowania go na miejscu. Kupiłam też butelkę tego trunku. Za ciwartkę płaciłam 400 CVE.

Z powrotem wracałam pieszo, zatrzymując się często na robienie zdjęć i aby nasycić się niezwykłymi widokami. Podchodziłam też głębiej, między zagrody, aby przyrzuć się życiu tutejszych ludzi. Od rolników kupiłam papaje (100 CVE), banany i pomidory (po 150 CVE). Na trasie zatrzymałam się w dolinie, tuż przy głównej drodze, w pasażu turystycznym, gdzie z bliska mogłam obejrzeć uprawy owoców rolnych i pięknie kwitnące krzewy. Nieco dalej złapałam pikapa i wróciłam do Vila das Pombas. Po schodach wspięłam się na wzgórze ze św. Antonim – stąd roztacza się widok na całą okolicę: widać zarówno kamienistą plażę, całą miejscowość, a także otaczające ją piękne góry. Późnym wieczorem udałam się do Casa Maracuja, położonej w pobliżu kościoła, a pełniącej rolę zarówno hotelu (1500 CVE za noc), restauracji, jak i informacji turystycznej. Tutaj dowiedziałam się, że z Paul można jechać ribeirą do wulkanicznej kaldery Cova i za całodzienny wyjazd płaci się 35 euro/os. przy dwóch osobach. Stąd jest dalej niż z Ribeira Grande. Niestety chętnych nie było, abym mogła dołączyć.

18 marca. Wcześniej rano zrobiłam sobie samotną wycieczkę do wodospadu Neve. Pieszo doszłam do Ribeira dos Pombas, a potem za ostrym zakrętem skierowałam się na lewo od głównej drogi i weszłam w dolinę początkowo pustą, a w dalszym odcinku porośniętą różnorodnymi egzotycznymi drzewami i krzewami. Zmierzałam w kierunku wodospadu kamienistą, wyboistą ścieżką. Po drodze spotykałam zagrody ze świniami i kozami. Byłam jedyną osobą na trasie. Nagle z tyłu nadszedł mężczyzna w roboczym ubraniu, nieco się złękłam, ale okazało się, że jest to pracownik, opiekujący się roślinnością w tym rejonie. Pokazywał mi rośliny i krzewy rosnące na trasie do wodospadu i opowiadał o nich. Rosły tu drzewa chlebowe, bananowce, mango, trzcina cukrowa, drzewa pomarańczowe, papaje, nona i maniok. Ten ostatni akurat grupka pracowników sadiła w pobliżu ścieżki. Przejsie trasy w obie strony zajęło mi ok. 3,5 godz. Po powrocie do Vila das Pombas podjechałam pikapem jeszcze kilka kilometrów w kierunku doliny Paul, aby pochodzić po bocznych drózkach prowadzących

do domostw i przyrzeć się mieszkającym tam ludziom i ich otoczeniu. Po godz. 14.00 wyjechałam pierwszym aluguerem do Porto Novo (busy do Porto Novo jeżdżą 2 razy dziennie, rano i po 14.00, w godzinach przyplięcia promu i dwa razy też wracają na północ wyspy do Ribeira Grande, jadąc wzdłuż wybrzeża oceanu). Wykupiłam bilet na prom. Ze względu na zbliżające się Święta Wielkanocne jedna z kompanii ogłosiła promocyjną cenę 4 euro za bilet. Pospacerowałam po głównym placu miasta, przeszłam się wzdłuż wybrzeża i promem o godz. 16.00 popłynęłam do Mindelo na wyspie Sao Vicente. Nocowałam w tym samym miejscu, co poprzednio.

19 marca. Dzień przeznaczyłam na zwiedzanie Sao Vicente. Wypę cechuje pagórkowaty krajobraz. W Mindelo, stolicy kulturalnej wyspy, z kolonialną architekturą, szerokimi ulicami, zaczęłam od obejrzenia z zewnątrz różowego pałacu, gdzie mieści się siedziba rządu. Przy głównej ulicy Rua de Lisboa zajrzałam do Cafe Royal, gdzie śpiewała niegdyś pochodząca stąd słynna piosenkarka Cesaria Evora. Podeszłam do Torre de Belem – wzorowanej na wieży lizbońskiej. Potem udałam się na targ warzywno-owocowy i targ rybny z rybami niezwyklej wielkości i różnorodności. Na tym targu zjadłam za 1 euro pyszną narodową potrawę catchupę na bazie fasoli i warzyw oraz ryby. Ryba była podana w całości. Tę smakowitą potrawę nakładaną na talerze bezpośrednio z dużego garnka można kupić tu rano do godziny 13.00. Była tak dobra, że po zjedzeniu jednej porcji kupiłam kolejną. Do Mindelo wiele osób przyjeżdża, aby posłuchać muzyki i pospacerować po tym postkolonialnym miasteczku. W lokalach grają mornę – styl muzyczny rozstawiony przez Cesarię Evorę. Chciałam zobaczyć kawałek wyspy. Skorzystałam z busa, aby pojechać do Calhau (2 euro). Busy odjeżdżają co godzinę, z placu Estrela (w pobliżu bazaru warzywnego). Na trasie dojazdu rosną sucholubne krzewy, gdzieniegdzie palmy. Calhau to wioska położona tuż przy oceanie i wygasłym kraterze wulkanicznym, skąd można obserwować okolicę. Tuż przy kraterze, po prawej stronie od wejścia, jest naturalny basen morski i tu właśnie spędziłam godzinę na pływaniu. Potem przeszłam się ścieżką wzdłuż ściany krateru i ścieżką od lewej strony doszłam do Baia das Gatas. Między Calhau a Baia das Gatas rozciąga się ładna plaża. Zajął mi to godzinę.

Po powrocie do Calhau wróciłam aluguerem do Mindelo, przeszłam się po porcie, potem z hotelu zabrałam plecak i z placu Estrela, aluguerem za 2 euro, pojechałam w kierunku lotniska. Aluguery docelowo jadą do Sao Pedro, miejscowości, leżącej ok. 2 km za lotniskiem. Można wsiąść na wysokości lotniska, ale ja miałam jeszcze trochę czasu do odlotu samolotu i postanowiłam pojechać do Sao Pedro. Przy wejściu do miejscowości liczna grupa chłopców zgromadziła się na boisku wokół innych grających w piłkę nożną, bardzo popularną na wyspach. Przeszłam się ładną, szeroką, drobnopiaszczystą plażą. Na lotnisko wróciłam aluguerem. Pasażerów było niewielu. Zdziwiłam się, że nikt nie prześwietlał bagaży. Wieczorem byłam już na wyspie Sal. Ponieważ była sobota i po godz. 20.00, do Santa Marii, gdzie wcześniej zarezerwowałam nocleg, mogłam dojechać tylko taksówką. Dołączyłam do dwójki indywidualnych turystów i po 20 min (12 euro za taxi) byłam już przy moim Hotelu Holiday Royal. O tej porze hotel był zamknięty i trzeba było zatelefonować, aby przyjechał ktoś z obsługi. Po przeciwnej stronie ulicy, kawałek dalej od hotelu, skorzystałam z kawiarni internetowej.

20 marca. Dzisiejszy dzień poświęciłam na zwiedzanie wyspy Sal. Skorzystałam z oferty organizatora miejscowego Caramau Tours (tel. 00238/9822566, e-mail:

caramautours@web.de). Wycieczkę wykupiłam w Santa Maria za 25 euro jeszcze przed wylotem z Sal na Sao Vicente, korzystając z ogłoszenia na tablicy wystawionej w okolicy tutejszego mola. Byłam w grupie z parą młodych Francuzów. W szybkim tempie i bez specjalnego wysiłku objechaliśmy najważniejsze atrakcje wyspy. Nie są one oszałamiające, ale warto zobaczyć, jak wygląda ta wyspa. Jest płaska, pustynna. Czas od godz. 9.00 do 16.00 w zupełności wystarczył na objechanie ważniejszych miejsc. Samochodem zatrzymaliśmy się najpierw na plaży, w zatoce Murdeira, położonej niedaleko lotniska. Jest tu baza hotelowa, a nocleg można tu dostać w całkiem przyzwoitej cenie, rezerwując przez Internet.

Kolejny postój był w Buracona – naturalnym słonym basenie usytuowanym w czarnej skale magmowej, o którą co kilka minut rozbijały się potężne fale morskie, a na wodzie pojawiała się śnieżnobiała piana. Tuż obok, obejrzelśmy grootę, w której wyraźnie widoczne było „magiczne oko”, odznaczające się piękną, jasnoniebieską barwą. Jest to wynik gry światła i wody. Dlatego ważne jest, aby to miejsce odwiedzić, kiedy świeci słońce. Zatrzymaliśmy się też w porcie Palmeira. Przejeżdżaliśmy przez pustynię Terra Boa, na której mieliśmy postój, na zobaczenie fatamorgany. Potem zwiedziliśmy stolicę Espargos i chwilę zatrzymaliśmy się przy okolicznych slumsach. Wjechaliśmy też na wzgórze z widokiem na Espargos, aż wreszcie dotarliśmy do salin Pedra de Lume – naturalnego zbiornika, mieniaącego się różnymi kolorami od niebieskiego, różowego, zielonego, po brązowy, gdzie odparowuje się wodę morską i odzyskuje sól. Do krateru prowadzi tunel. Wstęp kosztuje 5 euro i można zanurzyć się w solance. Nasz kierowca zaprowadził nas na wzgórze otaczające saliny, skąd mogliśmy przyrzeć się nie tylko salinom, ale też okolicy. Wracaliśmy, przejeżdżając obok słupów nieczynnej już od dawna kolejki, transportującej sól na wybrzeże. Po wycieczce miałam czas na popływanie w morzu i przyjrzenie się urokom życia turystycznego w miasteczku Santa Maria.

21 marca. Wykorzystałam ostatnią szansę na popływanie w morzu. Potem pozostał tylko dojazd aluguerem na lotnisko, a w południe odlot Jetairfly z Sal do Brukseli na lotnisko Zaventem. O 21.00 byłam już w Brukseli. Nie przemieszczałam się już nigdzie, gdyż rano, następnego dnia miałam samolot do Berlina.

22 marca. Rano o godz. 8.00 byłam już po odprawie. O 8.20 miałam odlecieć Ryanaiem do Berlina. Miałam... Zadowolona, że pobyt na Cabo Verde zaspokoił moje oczekiwania, liczyłam w samolocie minuty do odlotu. Ten jednak opóźnił się. W tym czasie na lotnisku Zaventem rozgrywała się tragedia. W wyniku ataku terrorystycznego nastąpił wybuch. Załoga i pasażerowie samolotu dowiedzieli się o tym z Internetu. Widzieliśmy z okien samolotu grupy biegnących pasażerów, ale sądziliśmy, że śpieszą się na swój samolot. Nikt też nie spodziewał się, że skoro siedzimy już w samolocie, nie będziemy mogli odlecieć. Po długim oczekiwaniu załoga ogłosiła, że musimy zostawić wszystkie rzeczy wraz z torebkami i opuścić samolot. Zostaliśmy ewakuowani do strefy militarnej, gdzie w potężnej hali znajdowali się pasażerowie z innych samolotów, rozmieszczeni na kartonach położonych na betonowej posadzce. Tam rozdano wszystkim koce do okrycia, wodę i suchy prowiant. Wieczorem przewieziono nas autobusami do innej hali, oddalonej o godzinę drogi i tam mogliśmy spędzić noc na łóżkach polowych. Pojawili się wolontariusze i przedstawiciele bardziej renomowanych linii lotniczych, aby udzielić informacji, jakie są szanse na opuszczenie tego miejsca i dostanie się do poszczególnych krajów. Niestety z Ryanaiem nie było żadnego kontak-

tu. Sytuacja była beznadziejna. Większość pasażerów z naszego samolotu straciła całkowicie nadzieję i rozjechała się pociągami do znajomych w Brukseli lub Holandii. Zapewnione były darmowe taksówki do dworca kolejowego. Z całego naszego samolotu zostało tylko 10 osób.

23 marca. Rano, ku mojemu miłemu zdziwieniu, pojawił się ktoś z Ryanaira, oznajmiając, że za kilka godzin powinien być autobus, który przewiezie nas na lotnisko Charleroi w Brukseli, skąd jeszcze odlatywały samoloty. Miejsc na żaden samolot do Berlina jednak nie było, gdyż był to okres przedświąteczny i wszystkie na cały tydzień były zabukowane. Zapisano nas na listę oczekujących i mieliśmy zgłosić się na pół godz. przed odlotem samolotu, przed godz. 22.00 na wypadek, gdyby ktoś z pasażerów nie leciał. Z niepokojem wyczekiwaliśmy tej godziny. Kilka godzin czekania w wąskim korytarzu, kontrolowanym bacznie przez policję, zostało wynagrodzone. Okazało się, że samolot z całkowicie wykupionymi miejscami był w 2/3 pusty. Pasażerowie w obawie przed kolejnymi atakami terrorystycznymi zrezygnowali z lotu lub też nie mogli dojechać. Nocą dotarłam do Berlina, a stamtąd Polskim Busem do Krakowa. Na bagaż czekałam 3 tygodnie, pisząc liczne maile, aż wreszcie przysłali go na lotnisko w Krakowie.

Kamerun – niespełnione marzenie



Gerald Durrell, niegdyś mój ulubiony brytyjski pisarz, zoolog i konserwator przyrody, już jako dwudziestodwulatek zorganizował, sfinansował i poprowadził ekspedycję do Kamerunu. Ponadto potrafił swoje bogate wspomnienia z zoologicznych wypraw opisać w niesłychanie zabawny sposób. Będąc jeszcze studentem natrafiłem na jedną z jego książek – *Bafut Beagles*. Na język polski została przetłumaczona pod tytułem *Ogary z Bafut*. Całe studia marzyłem o odwiedzeniu kiedyś wioski Bafut i ujrzeniu na własne oczy wszystkich węży i innych afrykańskich stworzeń, które łapał. Na wiele lat zapomniałem o Geraldzie Durrellu i o jego dzikich bestiach, ale kiedy w zeszłym roku, studiując mapę Kamerunu, rzuciła mi się w oko nazwa miasteczka Bafut, od razu wiedziałem, że muszę tam pojechać. Nigdy nie sądziłem, że będę miał okazję odwiedzić pałac Fona, czyli lokalnego władcy Achirimbi II, którego opisywał Durrell, ale bardziej poruszała moją wyobraźnię możliwość ujrzenia Petera Shu, Króla Węży – The King of The Snakes, którego można spotkać w Bafut wraz z dziesiątkami gadów, które trzyma w swojej małej chatce z gliny przy głównej drodze wiodącej z Bamendy do Wum. Gerald Durrell znał Petera Shu. Peter Shu żyje, Durrell już nie. Czyż nie jest to wystarczający powód, aby zaplanować eskapadę do Kamerunu?

Termin: 6–16 lutego 2013

Uczestnicy: 2 osoby (ja i kumpel Maciek)

Trasa: Yaounde – Kribi – Campo – Bafoussam – Foumban – Bamenda – Bafut – Wum – Limbe – Douala

Przełot: poleciliśmy liniami Turkish Airlines za 520 euro w dwie strony z Berlina do Yaounde, a powrót z Douali. Do Berlina dostaliśmy się własnym autem z Wrocławia. Przy berlińskim lotnisku Tegel zostawiliśmy samochód na parkingu oddalonym o kilka kilometrów od terminala, ale z bezpłatnym dowozem. Koszt to niecałe 40 euro za tydzień (<https://www.mcparking.de/pl/tegel.php>).

Waluta: walutą używaną w Kamerunie jest Frank Afryki Centralnej o symbolu międzynarodowym XAF. W trakcie naszego pobytu za 1 euro płacono około 650 XAF w ban-

kach, gdzie wymiana przebiegała w miarę szybko i bezproblemowo. Poza tym w wielu miastach działają bankomaty obsługujące karty Visa i Mastercard.

Wizy: Kamerun wymaga wiz od Polaków. Najprościej i najszybciej otrzymać ją w Ambasadzie Kamerunu w Berlinie. Można aplikować samemu lub, tak jak my, za pośrednictwem jednej z firm specjalizujących się w uzyskiwaniu wiz (np. wizaserwis.pl). Koszt samej wizy to 80 euro. Do tego trzeba doliczyć wysyłkę paszportu w obie strony i ewentualny koszt pośrednictwa. Za wszystko razem zapłaciliśmy ponad 600 zł za wizę.

Bezpieczeństwo. W lutym 2013 roku Kamerun był krajem stosunkowo bezpiecznym jak na realia afrykańskie, szczególnie w porównaniu z sąsiadującymi krajami – Nigerią, Czadem i Republiką Środkowoafrykańską. Dzisiaj, odwiedzając rejony przygraniczne, trzeba dokładnie sprawdzić lokalną sytuację. Daleka północ kraju w rejonie jeziora Czad jest miejscem skrajnie niebezpiecznym ze względu na panoszące się bojówki nigeryjskiej organizacji Boko Haram.

Jeżeli chodzi o południową część Kamerunu, największym zagrożeniem będzie popollita przestępczość na ulicach wielkich miast, takich jak Douala czy Yaounde. Nie odbiega jednak ona od większości afrykańskich metropolii.

Transport. Agences voyages to określenie agencji podróży, czyli firm specjalizujących się w transporcie osobowym w ściśle określonych kierunkach. Dla podróżnych stwarza to niemałe problemy, gdyż praktycznie nie ma wspólnych dworców i każda z firm odjeżdża z innego punktu w mieście. Większość z tych firm posiada duże autobusy w nie-najgorszym stanie lub mniejsze czy większe minibusy. Bilety z reguły kupuje się w dniu wyjazdu, a lepsze linie poważnie traktują podane godziny odjazdu.

Jeżeli chodzi o kameruńską kolej to, poza trzema trasami, praktycznie jest dla turysty bezużyteczna.

Przewodniki i literatura:

Cameroon – Bradt 2008

West Africa – Lonely Planet 2009

Bafut Beagles – Gerald Durrell

A Zoo in My Luggage – Gerald Durrell

Man no be God: Bushdoctor in Cameroon – Dieter Lemke

RELACJA Z PODRÓŻY

6 lutego. Nsimalen to niewielkie lotnisko obsługujące stolicę Kamerunu, Yaounde. Kiedy lądowaliśmy tutaj w środku nocy, sprawiło wrażenie opuszczonego i trochę zaniedbanego baraku z grupką krzątających się ludzi. Dziwne, bo formalności nie zabrały, jak to zwykle na Czarnym Lądzie bywa, kilku godzin, ale kilkanaście minut. Może dlatego, że to był jedyny lot do obsługi o tej porze, a może coś się w Afryce zmienia. Nie wiem. W każdym bądź razie aparycja celników i temperatura powietrza od razu zdradziły fakt, że znaleźliśmy się gdzieś poza Europą i poza szeroko pojętą cywilizacją Zachodu. Zanim dostrzegłem swój pokryty pyłem i kurzem plecak, wyjeżdżający na taśmie bagażowej, mignęła mi przed oczami twarz białego człowieka, stojącego i czekającego na kogoś zaraz za bramkami oddzielającymi halę przylotów od pozostałej części lotniska. Jak się później miało okazać, była to twarz ojca Darka, czekającego na nas przed terminalem. Kilka minut potem byłem już pewny, że wylądowałem w Afry-

ce. Pędziliśmy w mroku słabo oświetlonymi uliczkami stolicy Kamerunu, zbliżając się do miejsca, gdzie ojciec Darek zbudował Dom Dziecka. Było przyjemnie ciepło, ale nie gorąco, a komary nie uprzykrzały życia. Trwała jeszcze pora sucha.

Harmattan znad Sahary zawiewał drobny pył piaskowy, skutecznie odcinając ziemię i jej mieszkańców od słońca. To właściwie nie chmury, tylko jednolita piaskowa kołdra przykrywająca niemalże cały kraj w porze suchej. Niebo nie było niebieskie tylko białoszare. Trochę bez wyrazu, jakby miało mżyć. Ale nie mżyło, nie padało i było gorąco. Do późnej nocy i przy śniadaniu dyskutowaliśmy i snuliśmy różne opowieści o Afryce i śmiałkach zapuszczających się w ten rejon świata. A to o Cizia Zyke, francuskim podróżniku urodzonym w Maroku, a to o naszym rodaku Kazimierzu Nowaku, który przejechał cały kontynent na rowerze, a to o malarii czy AIDS, które zabija miejscowych w strasznym tempie i w przerażający sposób. Tak minęło spotkanie z ojcem Darkiem, trochę przerywane bezzcelnymi okrzykami papugi żako zamkniętej w klatce wiszącej kilka metrów od naszego stołu.

7 lutego. Musiało być już blisko południa, gdy opuściliśmy gościnne mury sierocińca i ruszyliśmy do centrum Yaounde, aby wymienić pieniądze w banku. Stolica Kamerunu nie jest typowym wielkim afrykańskim miastem pełnym zakorkowanych ulic i niebezpiecznych targów. Jest położona na wzgórzach, co zapewnia jej znacznie przyjemniejszy klimat niż parna, duszna i znacznie większa Doula. Poza tym Yaounde jest spokojniejsze i bezpieczniejsze. Architektonicznie nie pozostawia jednak wątpliwości, jeżeli chodzi o swoją przynależność geograficzną. Totalny chaos, pomieszanie kilku wysokich budynków ze slumsową, lichą afrykańską zabudową daje znajomy obraz równikowej Afryki.

Podróżni nie mają tutaj łatwego życia – każda z firm czy raczej agencji, jak nazywają w Kamerunie przedsiębiorstwa przewozowe, ulokowała swój dworzec w innej części miasta. Gdy dotarliśmy do małego przystanku firmy Kribienne, jeden z autobusów właśnie odjeżdżał. Nie pozostało nam nic innego, jak tylko kupić bilety za 3000 XAF i czekać na następny pojazd. Dworzec to wspaniałe miejsce do handlowania i zawierania przeróżnych transakcji. W całym tym bałaganie, po dłuższej obserwacji, można było dostrzec jednak jakąś logikę działania i jakąś namiastkę porządku. Byli handlarze orzeszków, sprzedawcy przeróżnych bułek, a to samego pieczywa, a to bagietek z nadzieniem rybnym. Zaraz obok rozłożyła swoje stanowisko pod parasolką kobieta oferująca różnej maści napoje: czy to znajome nam plastikowe butelki coca-coli i fanty, czy lokalne soki i nalewki. Pół metra od niej stał duży ruszt obsługiwany przez energicznego chłopaka smażącego szaszłyki z niewiadomego pochodzenia mięsa. Wszyscy przekrzykiwali się, próbując nakłonić klientów do zakupów. Bagietki i banany były pyszne. Kupiliśmy po sześć sztuk.

Droga numer N3 z Yaounde do Kribi biegnie najpierw na zachód w kierunku wybrzeża Atlantyku, aby później w miasteczku Edea zmienić numer na N7 i odbić mocno na południe. Ten drugi fragment jest naprawdę ciekawy. Największe wrażenie robi ogrom zieleni i wielkość drzew. Nikt tutaj nie ma wątpliwości, że znaleźliśmy się w tropikach, takich jak sobie zawsze jako dziecko wyobrażałem i takich jakie były opisywane w bajkach. Wąska droga i zaraz obok wyrasta nieprzebyta dżungla, do której człowiek bez maczety nie ma szans wejść. Przedziwne kształty krzewów, drzewa nienaturalnej i niespotykanej w Europie wysokości oraz liany oblepiające te drzewa niczym

macki ośmiornicy, która dopadła swoją biedną ofiarę. I spokój. Praktycznie nikogo na drodze, żadnych zabudowań, żadnych aut, tylko nasz pędzący autobus z pootwieranymi oknami, przez które wlatywało orzeźwiające powietrze.

Nareszcie po 4 godzinach, przed zmrokiem, pojawiają się pierwsze zabudowania Kribi. Sama nazwa już kojarzy mi się dość egzotycznie. Chyba trafnie, bo Kribi w istocie egzotyczne jest. Niska zabudowa bez większego architektonicznego zamysłu i planu ciągnie się wzdłuż piaszczystej plaży Atlantyku. Jadąc główną drogą przez miasto w kierunku naszego hoteliku, co chwilę migają nam piękne widoki fal morskich i drewnianych łodzi pozostawianych na brzegu przez rybaków. Nie ma tutaj żadnych charakterystycznych budowli, może poza murowanym kościółkiem o czerwonym dachu, stojącym nieco wyżej niż otaczające go baraki. Wszystko jest na pierwszy rzut oka podobne do siebie. Beton i blacha. Niska i właściwie brzydka zabudowa. Tak w skrócie można ocenić styl budownictwa Kribi i pewnie wielu innych kameruńskich miasteczek. Jednak to miejsce różni się od innych – jest wspaniale zlokalizowane. Nad Atlantykiem, gdzie ciągną się wąskie, ale piękne piaszczyste plaże z bujną tropikalną roślinnością, wchodzącą niemalże do oceanu. Z tej perspektywy to raj. Można tutaj odpocząć i zapomnieć o afrykańskiej beznadziei codziennego życia i kłopotach jej mieszkańców. Kribi czasami tętni życiem. Czasami, bo zazwyczaj jest senne i pogrążone w bezruchu, szczególnie w godzinach południowych, kiedy temperatura sięga zenitu i nikt o zdrowych zmysłach nie marnuje sił na przemieszczanie się. Hotelik, a właściwie kilka murowanych niskich domków, o dźwięcznej nazwie Tara Plage wydał się nam zupełnie odpowiedni do zatrzymania się na te kilka dni. Taksówka z dworca autobusowego kosztowała 3000 XAF. Za rozbicie namiotu na polanie obok bungalowów zażądano od nas 4000 XAF. W hotelowej restauracji, z której można było podziwiać morze, schłodzone piwo „33” kosztowało 1500 XAF, a pyszna, świeża ryba z frytkami 5000 XAF. Za śniadanie zapłaciliśmy 3500 XAF.

8 lutego. Do Kribi przyjechaliśmy przyjrzeć się Pigmejom z grupy Baka. Właściwie to nie powinni być tak nazywani, gdyż z punktu widzenia antropologii to tylko ludy Mbuti, zamieszkujące Las Równikowy Ituri w Kongo, są właściwymi Pigmejami, ale dwie inne grupy, czyli Twa Binga z Republiki Środkowoafrykańskiej i właśnie nasi kameruńscy i gabońscy Baka, także są klasyfikowane jako Pigmeje ze względu na niski wzrost i częściowo koczowniczy tryb życia. Dzisiaj w Kamerunie Pigmeje zostali zdegradowani do jednej z najniższych pozycji społecznych. Mieszkają w biednych, zapuszczonych obozowiskach, zlokalizowanych bardzo często przy głównych drogach na południu i wschodzie kraju. Dalej zajmują się łowiectwem i zbieractwem, ale żyją na marginesie społeczeństwa.

W hotelu Tara Plage jest możliwość zorganizowania wycieczki do małej osady pigmejskiej zlokalizowanej w okolicach Kribi i wodospadów Lobe za 13 000 XAF za dwie osoby (dwa motocykle). Wioska, którą odwiedziliśmy, oddalona jest o kilkanaście kilometrów od Kribi. Kilka chat skleconych z drewnianych żerdzi, pokrytych wyschniętymi liśćmi palmowymi, ułożonych wokół klepiska na wykarczowanym fragmencie dżungli. Obraz nędzy. Zasmarkane, brudne dzieciaki z nienaturalnie dużymi brzuskami biegają bezcelowo po obozowisku, podczas gdy kobiety zajmują się gotowaniem i obieraniem manioku i zawijaniu go w liście. Mężczyzn prawie nie widać, poza starym szefem wioski, który nie miał już chyba siły udać się z młodymi na polowanie.

Pigmeje mają bardzo bogate życie obrzędowe związane z totemizmem. Niestety, w tej wiosce tego nie zobaczymy. Trzeba byłoby się wybrać dalej na wschód, gdzieś w okolice granic z Kongo i Republiką Środkowoafrykańską. Podobno pomiędzy wioskami Yokadouma i Moloundou jest ich znacznie więcej i żyją życiem mniej zmaconym przez turystów i cywilizację. Może przy następnej wizycie w Kamerunie...

Wodospady Lobe wpadają bezpośrednio do Atlantyku, co stanowi o ich unikalności. Kaskady nie są szczególnie wysokie, najwyższa z nich ma około 20–30 metrów, ale ich liczba i położenie wśród niesamowitej zieleni przyciąga uwagę przybysza. Spędziliśmy blisko pół godziny, wpatrując się w huczące tony wody, prześlizgujące się po czarnych jak smoła skałach. To urokliwe miejsce oddalone jest o zaledwie 8 kilometrów od Kribi.

9 i 10 lutego. Postanowiliśmy wyruszyć na południe w kierunku granicy z Gwineą Równikową. Taksówkarz tym razem skasował 2000 XAF za podwiezienie nas z hotelu Tara Plage do centrum Kribi, skąd odjeżdżają zbiorowe taksówki na południe. Droga prowadząca z przygranicznego miasteczka Campo (taksówka z Kribi 3500 XAF, 3 godziny jazdy) do miasta Ebolowa przecina Park Narodowy Campo Ma'an. Ten park, jak większość podobnych w Kamerunie, istnieje tylko na mapach. Mieliśmy się o tym dowiedzieć po dwóch dniach jazdy na motocyklach, pędząc w laterytowym pyłe, omijając głębokie na pół metra dziury w drodze prowadzącej do wioski Nkoleon. Nie liczyliśmy na zobaczenie ogromnej liczby zwierzyny, ale wyprawa tutaj pozbawiła nas wszelkich złudzeń. Bez dobrze przygotowanej ekspedycji na kilka lub kilkanaście dni nie ma co marzyć o spotkaniu goryli czy nawet słoni. Nie zmienia to jednak faktu, że dżungla jest fascynująca, przerażająca i przytłaczająca zarazem. Wysokie na kilkadziesiąt metrów drzewa wyrastają jak wieżowce zaraz obok drogi. A droga tutaj to nie coś takiego, co wyobrażamy sobie, siedząc w aucie pędzącym po dwupasmówce gdzieś pod Wrocławiem czy Londynem. Tutaj droga to dowód wygranej walki człowieka z żywiołem, z połykającą wszystko zielenią. Ludziom udało się wyciąć kilkunastometrowy pas w gęstej dżungli i jeżeli nie będą o niego dbali i regularnie wycinali odrastających krzewów, roślinność pochłonie wszystko. Dżungla żyje. Kiedy jechaliśmy wczesnym rankiem, gdy słońce dopiero podnosiło się znad horyzontu i sylwetki ogromnych drzew ukazywały się przed nami, wszystko śpiewało, brzęczało i skakało. Widzieliśmy małpy i ogromne dzioborożce lecące wysoko nad drzewami. Przynajmniej tak mi się wydawało, oceniając ciężki lot tych ptaków i ich charakterystyczne dzioby.

Można byłoby spędzić tutaj kilka dni, wpatrując się w tajemniczy, żyjący las, ale na ziemię sprowadzili nas szybko nasi pijani przewodnicy, którzy niewiele widzieli poza własnymi nogami. To kierowcy naszych motorków albo my sami tropiliśmy i wypatrywaliśmy zwierząt. Przewodnicy byli wyrwani z całonocnej balangi, gdy o piątą nad ranem przyjechaliśmy do wioski Nkoleon w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby przeprowadzić nas przez dżunglę, pokazując zwierzynę. Nie w smak im była nasza wizyta, a to że oferowaliśmy za to godziwą zapłatę, nie miało dla nich żadnego znaczenia. Chcieli się dalej bawić albo wyspać po nocnej dyskoteczce. Dlatego więc około południa, gdy słońce sięgnęło zenitu, byliśmy już w drodze powrotnej do Campo, podskakując na nierównościach lokalnych traktów.

W samym Campo za 300 XAF dotarliśmy do Auberge Valerie Theresa, gdzie miła właścicielka ulokowała nas w małych, ciemnych pokojach. Każdy z nas zapłacił 5000

XAF za duszną klinkę z wentylatorem i łazienką na korytarzu. Campo to dziura. Tak przynajmniej stwierdził Maciek. Piwo w knajpie w centrum kosztowało 700 XAF.

Za zorganizowanie całodziennego wycieczki do Parku Narodowego Campo Maan zapłaciliśmy łącznie 57 000 XAF, gdzie wstęp za osobę to wydatek 5000 XAF, aparat fotograficzny 2000 XAF, 10 000 wjazd jednego motocykla do parku, a sam transport motocyklowy z Campo do parku i z powrotem to także 10 000 za osobę.

Pozostała jeszcze kwestia naszego przejazdu z powrotem do Kribi. Zanim jednak przystąpiliśmy do tego zgoła niełatwego zadania, zamówiliśmy w lokalnej budzie piwo za 700 XAF i omlet za taką samą kwotę. Gdy pojawiliśmy się przy małej szopie z krytym falistą blachą dachem, nazywaną tutaj szumnie głównym dworcem w Campo, nie znaleźliśmy wielu chętnych na przejazd na północ. Po godzinnych nawoływaniach i poszukiwaniach współpasażerów daliśmy za wygraną. Europejska niecierpliwość wzięła górę i ruszyliśmy, płacąc 3000 XAF za osobę. Tylko jeden ochotnik wraz z nami zajął wygodne miejsce w rozpadającym się aucie zmierzającym do Kribi. Namiot rozbity w Tara Plage był naszym schronieniem tamtejszej nocy, a świeża ryba złowiona w Atlantyku (5000 XAF) była kolacją. Pokój dwuosobowy z łazienką i klimatyzacją kosztował 9000 XAF za dobę. Zimne piwo było ponad dwa razy droższe niż w Campo; tutaj nad brzegiem oceanu zażyczyli sobie 1500 XAF za butelkę.

11 lutego. Tego dnia w Kamerunie jest Dzień Młodzieży. Jeszcze będąc w Polsce, studiując wszelką literaturę dostępną o tym afrykańskim kraju, zwróciłem uwagę, że właśnie wtedy tam będziemy. Niewiele jednak wyczytałem, jeżeli chodzi o sposób organizacji tego święta i związanych z nim obchodów. Ojciec Darek poradził: „Jak będziecie w Kribi albo innym mieście 11 lutego, to koniecznie idźcie zobaczyć paradę młodzieży. Nigdy nie widzieliście tylu dzieci w jednym miejscu”. Nie mylił się. Kiedy godzinę przed rozpoczęciem oficjalnych obchodów i przemówieniami lokalnych oficjeli pojawiliśmy się w uliczce prowadzącej do głównego placu, gdzie dotarliśmy motocyklową taksówką z hotelu Tara Plage za 500 XAF, mieliśmy namiastkę tego, co miało nastąpić. Tysiące albo dziesiątki tysięcy dzieci w wieku od kilku do kilkunastu lat szykowały się do parady. Lubie fotografować, a szczególnie robić zdjęcia ludziom, ale nie wiedziałem komu robić zdjęcia. Setki uśmiechniętych twarzy na wyciągnięcie ręki (albo obiektywu) patrzyło na nas, chyba jedynych białych obserwujących pochód. Skierowany na twarze aparat nie budził sprzeciwu, a sympatyczny uśmiech i czasami pozdrowienie wręcz zapraszały do naciśnięcia spustu aparatu. Dzieci były podzielone według przynależności szkolnej. Każda instytucja miała swoje kolory ubrań. A to czerwono-czarne, a to żółto-fioletowe czy zielone. Dziesiątki barw mieniły się, gdy dzieciaki rozpoczęły marsz ulicami przy akompaniamencie dostojnego hymnu Kamerunu i piosenek o młodzieży. Na końcu pojawiły się delegacje dorosłych uczestników reprezentujących kadrę nauczycielską, lokalne zespoły sportowe czy grupy muzyczne z Kribi i okolic. Przepiękny spektakl. Skończyła mi się wolna pamięć na karcie aparatu.

Uczciliśmy ten dzień iście europejskim obiadem, płacąc 6000 XAF za przyzwoitą pizzę i kosmiczne 2500 XAF za małe piwo. Dzień Młodzieży jest tylko raz w roku!

12 lutego. Chcąc dostać się autobusem z południa kraju do granicy z Nigerią w region anglojęzyczny prowincji Northwest albo West, trzeba przesiąść się w Douali. Podróż zajmie niecałe dziesięć godzin, czyli cały dzień. Tak, cały dzień, bo w Kamerunie, podobnie jak w większości krajów Afryki, podróże nocne nie należą do popularnych.

W nocy bywa niebezpiecznie, a duchy zaczynają rządzić światem. Lepiej zostać wtedy w domu albo hotelu. Nie żartuję. Kameruńcy naprawdę wierzą w duchy i ich obecność, więc wystrzegają się przemieszczania nocą.

Poranny autobus do Douali kosztował 3000 XAF. Tam musieliśmy zmienić dworce, a taksówka z jednego terminala na drugi kosztowała 1000 XAF. Siedmiogodzinna podróż do Bafoussam z Douali to wydatek 3000 XAF.

Kiedy dotarliśmy już po zmroku do hotelu Federal na głównej ulicy Bafoussam, poculiśmy ulgę po bezpiecznej podróży. Kończąc nasz kurs, kierowca niepotrzebnie wdał się w kłótnię z pasażerami i pojawiła się policja. Nie chcąc uczestniczyć w przepychankach ani świadczyć na komisariacie, ulotniliśmy się z autobusu niczym eter, zabierając w pośpiechu nasze umieszczone na dachu bagaże. Tuńczyk z puszek (1500 XAF) i bagietki po raz kolejny bardzo nam smakowały, a namiot (z powodu braku moskitier) rozbity na łóżku ponownie posłużył za tarczę ochronną przed nieprzyjawnymi moskitami. Hotel wydawał się porządny jak na kameruńskie warunki. Tak, wydawał się. To dobre słowo. Zagrzybiała łazienka była niemalże bezużyteczna w obliczu braku wody w hotelu. Podobnie zresztą hotelowa restauracja, która była zamknięta, a po otwarciu nie serwowała żadnego jedzenia z powodu braku kucharza i składników. Najzabawniejsze jest to, że zaspany recepcjonista zapewniał nas za każdym razem, że hotel jest z łazienką i restauracją. Właściwie to miał rację. Nie obiecywał nam przecież, że będziemy mogli z tych luksusów korzystać.

13 lutego. Piszą, że Fouban to turystyczne miejsce na mapie Kamerunu. Może to prawda, ale przez pół dnia, wążając się po jego uliczkach, nie spotkaliśmy żadnego turysty. Właściciele sklepików z lokalnymi rękodzielami chyba także. O ile nam to było nawet na rękę, im raczej spędzało sen z powiek. Siedzieli zmarnowani na progach swoich glinianych budek, wypatrując kogokolwiek, kto chociażby zaglądnął do środka i zapytał o cenę czegośkolwiek, co mają w ofercie.

Właściciele minibusów kursujących na trasie Bafoussam – Fouban ustalili cenę 800 XAF za półtoragodzinny przejazd. Wstęp do samego kompleksu Pałacu Sułtana kosztował nas 2500 XAF od osoby i 1500 XAF za aparat fotograficzny. Sam budynek pałacu był niestety zamknięty dla zwiedzających.

Bardzo ciekawy okazał się targ, gdzie setki kolorowo ubranych sprzedawczyń i handlarzy towarami wszelkimi, głównie proveniencji chińskiej, oferowało swoje przedmioty niecodziennego użytku. Przynajmniej dla nas. Hitem okazała się odlewnia figur z brązu, gdzie wytapiano egzemplarze warte tysiące dolarów, które następnie trafiały do europejskich i amerykańskich kolekcjonerów.

Gdy dotarliśmy z powrotem do Bafoussam, czekał już na nas autobus do anglojęzycznej Bamendy. To całkowita odmiana językowa w porównaniu do frankofońskiej części kraju. To ponad 200-tysięczne miasto położone jest na wzgórzach na wysokości ponad kilometra nad poziomem morza, co czyni upalne dni bardziej znośnymi, a noc przynosi prawdziwą ulgę. W Presbyterian Church Centre mają kilka pokoiów do wynajęcia oraz skrawek trawy, gdzie można rozbić namiot za 1500 XAF za dobę. Cały kompleks jest zadbany i ogrodzony płotem, co czyni w miarę bezpiecznym miejscem do nocowania.

14 lutego. W planach mieliśmy pokonanie całej trasy zwanej Ring Road. Plany były ambitne, ale czasu było niewiele, a widząc stan drogi kilkanaście kilometrów za Ba-

mendą, zmieniliśmy zamiary. Nie to było jednak najważniejsze. Byliśmy blisko celu podróży – bardzo blisko było miasteczko Bafut, czyli właściwie to, co nas przyciągnęło do tego kraju. Gdy pokryta ponadgryzanym na bokach asfaltem droga wjechała w niskie zabudowania, wiedziałem już że to Bafut. Po krótkiej rozmowie w pałącym słońcu z uczestnikami codziennej knajpianej biesiady dowiedzieliśmy się, że Peter Shu mieszka kilkadziesiąt metrów dalej, zaraz przy głównej drodze, ruszyliśmy tam pędem. Mała lepianka była zamknięta na cztery spusty. Jeden z towarzyszącej nam obstawy gapiów okazał się być jego synem. Za takowego przynajmniej się podawał i orzekł tonem dość przekonującym, że ojciec wyruszył na jakiś czas do dżungli łapać węże. Na jakiś czas, według niego, mogło oznaczać pół dnia albo pół tygodnia. Licho go wie. Zaraz zjawiała się jednak pomoc, jak to bywa w takich sytuacjach, i starsza kobiecina obiecała, że jest gotowa wynająć motor i udać się na obrzeża lasu, tam gdzie stary podobno bywa i ściągnąć go do Bafut za kilka godzin, akurat wtedy kiedy planowaliśmy tędy wracać do Bamendy. Jakaś głupia naiwność albo nieprzemierzalna chęć spotkania się z tym człowiekiem odpowiedziała mi, że warto jej dać 3000 franków za tę fatywę. Więcej jej już nie widziałem. Niestety, Petera Shu i jego węży także. Jak spytałem syna z dozą nalegania, aby otworzył nam drzwi domu ojca i pokazał kilka okazów węży i żmii, to najpierw roześmiał się, myśląc, że żartujemy, a potem trochę pobladł, przechodząc do zdecydowanej odmowy.

Niestety, The King of the Snakes nie był nam tym razem pisany. Trzeba tu wrócić.

Tymczasem niedługo za Bafut asfalt się skończył, ustępując miejsca laterytowej drodze i fragmentom pyłowej nawierzchni, która przeistaczała nasze auto i jego wnętrze w jedną wielką piaskownicę, wypełnioną drobnym piaskiem i pyłem. Im więcej pyłu, im wyższa temperatura na zewnątrz i więcej wertepów, tym więcej karaluchów mieszkających pod siedzeniami zapragnęło wyjść z kryjówek i poznać pasażerów taksówki. Nasz przestraszony kierowca zawiózł nas ostatecznie do wodospadów MENCHUM, skąd po małej sprzeczce z lokalnymi „strażnikami” wodospadu wróciliśmy do Bamendy. Cała wycieczka kosztowała 20 000 XAF za naszą dwójkę plus koszty biletów do Pałacu Fona w Bafut i 1500 XAF za wniesienie aparatu tamże.

Wieczorem w restauracji Azaline zakończyliśmy dzień, jedząc bufetową kolację za 3000 XAF, gdzie piwo kosztowało 800, a butelka czerwonego wina 7000 XAF.

15 lutego. Linia autobusowa Amour Mezam dysponuje dużymi, w miarę wygodnymi autobusami, kursującymi z Bamendy do Douali. Bilety kosztują 5000 XAF, a podróż zajmuje około sześć godzin. Douala to dwumilionowy afrykański moloch, z przynębiającymi przedmieściami przykrytymi tonami śmieci, w którym niewielu podróżujących zatrzymuje się w celach turystycznych. Postąpiliśmy podobnie, płacąc 20 000 XAF za taksówkowy kurs do nadmorskiego Limbe, gdzie zatrzymaliśmy się w Park Hotel Miramar. To dość przyzwoity jak na warunki środkowoafrykańskie hotel z basenem i widokiem na Zatokę Gwinejską i szyby naftowe ulokowane w pobliżu brzegu. Właściciele hoteliku, gdzie można przenocować w bungalowie albo pod namiotem, chcieli 20 000 XAF za dwuosobowy pokój z klimatyzacją i łazienką. Maciek, mający już dość gotowania się w namiocie, wynajął taki właśnie domek. Ja, udając prawdziwego twardziela, stwierdziłem, że namiot to znacznie lepsze rozwiązanie, gdyż za klimatyzacją nie przepadam. Wytrzymałem to do północy. Najpierw niemiłosierna wilgotność połączona z wysoką temperaturą nadwyrężyły moją hardość, a następnie ulewny deszcz

ostatecznie przekonał mnie, żeby przyznać Maćkowi rację i zapukać do drzwi jego bungalowu. Smaczny obiad składający się z ryby i frytek kosztował tutaj 5000 XAF.

16 lutego. Śniadanie wliczone było w cenę noclegu, podobnie jak korzystanie z dużego basenu. Nie omieszkalem popływać rankiem, orzeźwiając się po ciężkiej nocy. Niedaleko hotelu zlokalizowane są ogrody botaniczne, gdzie spędziliśmy dwie godziny, podziwiając bujną roślinność i ogromne drzewa. Wstęp kosztował nas 1000 XAF za osobę. Przed południem zdążyliśmy odwiedzić jeszcze Limbe Wildlife Centre, gdzie można zobaczyć mandryle i goryle.

Późnym popołudniem, siedząc w taksówce pędzącej do Douali na najruchliwsze lotnisko w kraju, już myślałem o Peterze Shu i jego węzach. Do Kamerunu trzeba wrócić i spotkać się z The King of The Snakes.

Katarzyna Anoszczenko (Zuza)
Rafał Robak (Mundi)

Michigan – road trip po Upper Peninsula (USA)



Termin: 26 lipca – 9 sierpnia 2015

Uczestnicy: Katarzyna Anoszczenko (Zuza), Rafał Robak (Mundi), Janek Robak i Basia Robak

Trasa: Illinois Chicago (Illinois) – Wisconsin (przez Madison, Wausau, Minocqua) – Michigan (Ottawa National Forest: Henry Lake; Porcupine Mountains Wilderness State Park – Presque Isle River Waterfalls, Summit Peak, Lake of the Clouds; Bonanza Falls, Green, Ontonagon, Victoria Ghost Town, Victoria Dam, Twin Lakes State Park, Wyandotte Falls, Houghton, McLain State Park, Calumet, Eagle River Falls, Jacob's Falls, Eagle Harbor, Silver River Falls, Agate Beach, Copper Harbor, Fort Wilkins State Park, Mangane Falls, Estivant Pines Trail, Mandan Ghost Town, Haven Falls, Bete Grise Lighthouse, Betsy, Gay, Schoolcraft Township Park, Quincy Mine Hoist, Houghton, Sand Point Lighthouse, Silver Mountain Lookout, Sturgeon River Gorge & Falls, Van Riper State Park, Ishpeming, Negaunee, Michigan Iron History Museum, Marquette, Presque Isle Park, Lakenenland Sculpture Park, Face Rock, Scott Falls, Munising, Alger Falls, Wagner Falls State Scenic Site, Pictured Rocks National Lakeshore, Munising Falls, Olson/Tannery Falls, Miner's Castle Beach, Miners Falls, Mosquito Falls, Chapel Falls, Au Sable Point Lighthouse, Log Slide Overlook, Sable Falls, Grand Marais, Blind Sucker Campground, Muskallonge Lake State Park, Tahquamenon Falls (Upper & Lower Falls) State Park, Whitefish Point, Seney National Wildlife Refuge, Seul Choix Point Lighthouse, Manistique, Palms Book State Park – Kitch-iti-iki Spring, Sac Bay Ghost Town, Fayette State Park, J. W. Wells State Park, Menominee), Wisconsin (Manitowoc – Lincoln Park Zoo, Wisconsin Maritime Museum; Sheboygan – Lottie Cooper Shipwreck, Kohler, Port Washington, Cedarburg – Cedar Creek Winery), Milwaukee, Chicago.

Kilka słów wstępu: Upper Peninsula w Michigan jest niezwykle ciekawym obszarem, zarówno pod względem przyrodniczym, jak i historycznym. Półwysep położony jest nad największym (powierzchniowo) na świecie zbiornikiem wody słodkiej – jeziorem Górnym (Superior), charakteryzującym się krystalicznie czystą wodą, w której żyją szczupaki, pstrągi, łososie, bassy i 80 innych gatunków smakowitych ryb. Dla uzmysło-

wienia sobie skali wielkości tego jeziora, można przytoczyć fakt, że jego objętość jest tak duża, że mogłaby pokryć wodą całą Amerykę Północną i Południową na wysokość 1 stopy, czyli 30 cm. Żeby je okrążyć, trzeba przebyć odległość... 1300 mil (2092 km). Na dnie jeziora znajduje się ponad 6000 wraków statków, które zatoniły tu w przeciągu ostatnich 300 lat. Woda jeziora jest tak przejrzysta, że wiele z nich widocznych jest z brzegu lub łodzi turystycznych (firma Glass Bottom Shipwreck Tours z Munising organizuje wycieczkowe rejsy szlakiem wraków, udostępniając szklane widokowe dno, przez które turyści mogą podziwiać pozostałości statków; bilet 32 USD/os. za dwugodzinny rejs). Upper Peninsula to również miejsce niewyobrażalnie wielkich piaszczystych wydmy, których wysokość dochodzi prawie do 100 metrów i z których to można w ramach rozrywki dosłownie stoczyć się prosto do jeziora (rozrywką natomiast nie będzie już powrót stromo w górę, zajmujący średnio 1,5 godziny).

Od południa półwysp oblewają wody jeziora Michigan, które jednak w tej części stanu nie tworzy tak pięknych krajobrazów, jak jezioro Superior. Kolejną olbrzymią atrakcją tego obszaru są wodospady – a jest ich tu około 200 i niektóre z nich należą do najpiękniejszych, jakie w życiu widzieliśmy. Poza tym plaże kryją w sobie skarby w postaci prawdziwych agatów, które można znaleźć, przeczesując otoczaki i drobny piasek (zabronione jest natomiast zabieranie tych agatów z plaży). Dużo ludzi przyjeżdża tu z canoe i kajakami, a także z własnymi łódkami i pontonami i wybiera się na ryby, których tu jest niewiarygodnie dużo. Wybrzeża obu jezior pełne są też zabytkowych latarni morskich, do których można dotrzeć czasami jedynie po kilkumilowej pieszej wędrówce. Do całości należy jeszcze dodać piękne, czyste i pachnące lasy, pełne smakowitych jagód oraz zabytkowe już kopalnie i huty miedzi i żelaza, przynoszące niegdyś dochody rzędu miliardów dolarów. I tak właśnie w wielkim skrócie powyższy opis powinien zachęcić każdego do przyjazdu tutaj i rozkoszowania się pięknem i klimatem tego obszaru.

Przewodniki: *Michigan* – Laura Martone, *A guide to 199 Michigan waterfalls* – Laurie Penrose, *Michigan atlas topograficzny* DeLORME, *Wisconsin atlas topograficzny* DeLORME, *Michigan State and National Parks* – Tom Powers, *Hiking Michigan – Upper Peninsula* – Eric Hansen, *Hiking Michigan* – Roger Storm.

Noclegi: za darmo w lasach państwowych (National Forest), kempingi 13–18 USD/noc.

Koszt benzyny: 325 USD, 1804 mile = 2903 km (średnie spalanie – 14 mil/galon). Średnia cena benzyny 2,50 USD/galon.

Całkowity koszt wyjazdu: 887 USD.

Środek transportu: Toyota Camper '87 (RV), stan jako taki.

Nieprzyjemności: spowodowane mogą być ugryzieniem muchy czarnej (black fly), na które to nie działają żadne dostępne środki na komary, kleszcze, pająki itp. Pojawiają się na plażach w północnej części stanu Michigan podczas upalnych i bardzo wilgotnych dni. Jedyną ochroną przed ich upierdliwością jest nakładanie bluzek z długimi rękawami i długich spodni... albo po prostu unikanie wypoczynku na plaży. Ich ugryzienia są bardzo bolesne. Kiedy atakują, nie można się od nich odpędzić, a jeśli gryzą, to odczuwa się to jak wbijanie szpili w skórę...

Lokalne smakołyki: 1) wędzone ryby – „whitefish” i pstrągi, zakupione tylko i wyłącznie w lokalnych „Fish house”. Mamy wtedy gwarancję, że zjemy świeżutkie lokalnie

złowione ryby. Cena waha się od 6,99–9,99 USD za funt (czyli prawie pół kilograma). 2) dzikie jagody dostępne w lasach i przy plażach.

Pogoda: Lato jest najlepszym okresem do podróżowania po Upper Peninsula. Zima jest potwornie śnieżna, zimna i sroga. Przykładowo w części Keweenaw spada w ciągu zimy średnio ponad 8 metrów śniegu (kumulacja). Rekordowym rokiem była zima 1978/79, kiedy to opad śniegu osiągnął prawie 10 metrów. Do tego dochodzą niskie temperatury i zamiecie śnieżne.

Przydatny: Język fiński – Upper Peninsula to największe skupisko Finów w USA.

RELACJA Z PODRÓŻY

26 lipca. Wyjeżdżamy o 5.30 rano, przy pełnej organizacji... no może nie do końca wszystko okazało się dopięte na ostatni guzik. Problem pojawił się przy tankowaniu propanu potrzebnego do pełnego funkcjonowania wyposażenia naszego RV-ika – lodówki, kuchenki i ogrzewania. Żaden z pracowników sklepu Menards nie mógł poradzić sobie z napełnieniem zbiornika, pistolet pompy odskakiwał i koniec. Panowie wręcz zasugerowali, że problem leży po naszej stronie. Zmartwieni tym faktem po prostu ruszyliśmy dalej w kierunku wakacyjnego celu, postanawiając zająć się tym problemem po drodze. Przejechaliśmy granicę z Wisconsin i kolejno Madison, Portage, Stevens Point i Wausau i dopiero tam udało nam się znaleźć miejsce, gdzie mogliśmy uzupełnić gaz (U-Haul – 141 Grand Ave, Schofield). Na szczęście tankowanie tym razem odbyło się bez zarzutów i mogliśmy już na dobre zacząć nasze wakacje. Przejeżdżamy przez Minocqua i Woodruff (ulubione miejscówki rybaków) i poprzez jeziora i lasy (drogą M i B) przekraczamy granicę ze stanem Michigan. Z głównej asfaltowej trasy nr 64 zjechaliśmy do kempingu Henry Lake w Ottawa National Forest (11 miejsc, 13 USD/noc, łazienek brak, widoczne są krany w kilku miejscach, ale nie sprawdzaliśmy, czy działają) i ku naszemu zdziwieniu stwierdziliśmy, że jesteśmy tu zupełnie sami... no jeśli nie liczyć setek niezbyt przyjemnych kompanów w postaci komarów. Przez gąszcz przedzieramy się do jeziora, by chwilę popatrzeć na otwartą taflę akwenu i szybciotko, zabierając ze sobą kilka gałęzi na ognisko, pędzimy z powrotem w kierunku auta. Wilgotność i upał dają się we znaki – stąd też i taka masa komarów. Ognisko rozpoczynające naszą wakacyjną podróż zapłonęło i pierwsza kiełbaska została na nim przy-smażona. Długo nie udaje nam się jednak pozostać na zewnątrz i po godzinie kończymy biesiadę.

27 lipca. Wstajemy o świcie i po śniadanku ruszamy dalej w kierunku Porcupine Mountains Wilderness State Park i kierujemy się bezpośrednio do zachodniej części parku – Presque Isle River Waterfalls (droga 519). Budka strażnicza jest jeszcze zamknięta (przed wjazdem znajduje się punkt płatniczy – system kopertowy), więc zostawiamy na szybie samochodu kartkę z informacją dla rangera, że nie zapłaciliśmy za jednorazowy wjazd do parku, ponieważ zamierzamy wykupić całoroczny karnet na wszystkie stanowe parki w Michigan i zgłosimy się do nich, jak tylko wrócimy ze szlaku (karnet 31 USD – ważny do końca roku kalendarzowego). Wędrówkę zaczynamy od Falls Picnic Area, kierując się ścieżką na północ, dochodzimy do mostu zwodzonego, z którego doskonale widać spektakularne „potholes”, czyli okrągłe dziury w skalistym dnie rzeki, wyrzeźbione przez wiry i siłę spływającej wody. Przechodzimy na drugą stronę i rozpoczynamy East River Trail, który łącznie z West River Trail daje 2,5-milowy

szlak wiodący brzegami rzeki Presque. Wschodnia „dzika” część jest słabo uczęszczana przez turystów i wszyscy kierują się od parkingowej strony, gdzie dostęp do lepszego widoku na wodospady umożliwiają drewniane schody i pomosty. My wędrujemy, mijając kolejno Manabezho, Manido i Nawadaha Falls, zakręcamy na moście (South Boundary Road) i już w kierunku północnym po kładkach penetrujemy stronę zachodnią rzeki. Upał i duchota dają się poważnie we znaki i pod sam koniec wędrówki brakuje nam już wody. Po dotarciu do auta padamy na pobliską zacienioną trawkę i tak leżymy z godzinę, wykończeni pierwszym tegorocznym debiutem piechurskim. Nie spodziewaliśmy się w tym rejonie temperatur powyżej 30°C i wysokiej wilgotności, przy której dość niekomfortowo się wędruje.

Po regeneracji sił zasiadamy do naszego RV-ika (kupujemy jeszcze u strażnika MI State Park Pass) i przenosimy się w kolejne miejsce (jadąc South Boundary Road na wschód) – wyjście na Summit Peak (597 m n.p.m.). Szlak jest całkiem przyjemny (długość 1 mila) i biegnie szeroką ścieżką pośród drzew. Na samym szczycie znajduje się wieża widokowa, na którą trzeba wdrapać się po drewnianych, wysokich schodach. Dzisiejsza pogoda tak nas wykończyła, że zapragnęliśmy jedynie usytuować się gdzieś na kempingu i zanurzyć po szyję w jeziorze Górnym (Superior Lake). Znaleźliśmy ostatnią miejscówkę na Union Bay Campground przy 107-ce (z powodu remontu łazienek cena za kemping została obniżona z 32 do 18 USD/noc). Na nasze nieszczyćście miejsce, które pozostało, znajdowało się obok przenośnych prysznicy i toalet... Niezrażeni tym faktem, przebieramy się w stroje kąpielowe i walimy bezpośrednio na kamienistą plażę znajdującą się przy kempingu. Woda jest zimna, ale przy dzisiejszym skwarze nie robi nam to żadnej różnicy i zanurzamy się w wodzie. Po tym wspaniałym relaksie wracamy do naszego super podśmierdującego miejsca i rozpalamy ognisko, racząc się kiełbaskami. Kemping ogólnie jest niezaciekawy – ale takie właśnie są kempingi stanowe – miejsce przy miejscu, zero prywatności, duży ruch samochodów... nie da się wcale odpocząć, tym bardziej że nasza 2-letnia Basia ubzdurzała sobie, że przesiadywanie na drodze jest czymś zabawnym i nie da się jej stamtąd ściągnąć nawet przekupując gumisiami.

28 lipca. Czekamy na słońce, gdyż natrętne muchy uniemożliwiają dalszy sen. Przemysłonka mnie dopadły i opatentowuję w myślach nowy wynalazek, który nazwałabym wysaszczem przebrzydłych much. Miałby on wyglądać jak mini odkurzacz, wyposażony w mini trąbę wysasującą z megamocą te upierdliwe. Mozołnie organizujemy się z naszym wyjazdem z kempingu. W końcu około południa opuszczamy miejsce „budowy” (naprzeciw naszego pola trwała budowa nowego budynku łazienki) i jedziemy do najbardziej charakterystycznego punktu tego parku stanowego – Lake of the Clouds (zachodni kraniec drogi nr 107). Z parkingu jest bardzo łatwe podejście drewnianymi kładkami na punkt widokowy, skąd rozpościera się spektakularna panorama okolicy, usłanej zalesionymi wzgórzami oraz jedyne w swoim rodzaju jezioro o turkusowym kolorze wody. Pospacerowaliśmy chwilę po drewnianym pomoście i ruszyliśmy w kierunku wschodnim w poszukiwaniu miłej, piaszczystej plaży, gdzie dzieciaki dałyby upust swojej skondensowanej energii. Jadąc 107-ką, mijamy South Boundary Road (którą przybyliśmy wczoraj) i podjeżdżamy jeszcze około 1 milę, zatrzymując się na poboczu (przy moście). Zejście na plażę jest wydeptaną ścieżką, znajdującą się właśnie przy moście, chociaż można też próbować szczęścia, schodząc na skró-

ty po wielkich ostrych kamieniach... ale to nie wróży nic dobrego, zwłaszcza w plażowych flip-flopach. Spędzamy tu godzinę, zającąc przy okazji lunch (catering prosto z RV-ikowej kuchni – indyk z hummusem i papryką z grzankami) i delektując się ciszą niezakłócaną przez innych ludzi.

Jadąc dalej 107-ką na wschód, skręcamy na południe w 64-kę, by dosłownie po przejechaniu 1 mili skręcić na zachód (w szutrową drogę) i dotrzeć do pięknego wodospadu o wdzięcznej nazwie Bonanza. (wodospad znajduje się tuż przy parkingu). Nacieszywszy oko, wracamy z powrotem na północ i skręcamy na wschód w 64-kę, jadąc cały czas wzdłuż wybrzeża jeziora Superior. Zatrzymujemy się na chwilę w Green Park (czynny od świtu do zmroku), by wskoczyć na huśtawki znajdujące się przy plaży (bardzo przyjemne miejsce, by spędzić tu dłuższą chwilę). Po dotarciu do Ontonagon zjeżdżamy na marinę w poszukiwaniu kempingu, ale jedyne co tu zastajemy, to port pełen jachtów i opuszczone miejsce, które zapewne kempingiem kiedyś było. Obok znajduje się prywatny RV Campground, ale nie jest to zdecydowanie miejsce dla nas. Przejeżdżamy miasteczko i kierujemy się dalej na wschód do miejskiego kempingu (Ontonagon Township Park & Campground, 30 USD/noc, prysznic na tokeny 0,75 USD/3 minuty) położonego nad samym Superior (przy Lake Shore Drive). Miejscówka świetna i dlatego zapewne wszystkie pola zajęte. Zostajemy więc w części piknikowej (czynnej do 23.00) i wypuszczamy maluchy na podbój placu zabaw, który jest tu olbrzymi i pełen różnorodnych ślizgawek i zjeżdżalni na przyjaznym piaskowym podłożu. Wykorzystujemy stacjonarnego parkowego grilla na podwyższonej bazie ogniska i pieczemy kiełbasy na kiju, wmawiając dzieciom, że to takie nowoczesne ognisko na metalowym słupku... Zachód słońca jest wspaniały... i w ogóle całe popołudnie i wieczór tu spędzony uważamy za petardę. Pachnące wysokie sosny i piękne położenie tego parku nad samym jeziorem dają mu z pewnością wysokie noty w naszej klasyfikacji miejsc odwiedzonych. Zbieramy się już po zmroku i dosłownie cofamy o jakąś milę na zachód, zatrzymując się na noc na parkingu plażowym (parking na 6 aut). Razem z nami nocuje tu jeszcze kilka innych osób, też zapewne rozczarowanych brakiem miejsc na kempingu.

29 lipca. Wiatr wieje okrutnie, ale nie powstrzymuje nas to od odwiedzin plaży, przy której nocowaliśmy. Fale kłębią się i kołtunią, uderzając z wielką siłą o piaszczysty brzeg, wyrzucając tony kamieni. Piasek wdziera się w oczy... postanawiamy więc po krótkiej eksploracji wrócić do auta na śniadanie i ruszać dalej w nadziei na stabilizację pogody. Przejeżdżamy Ontonagon i skręcamy w 45-tkę na południe, zaglądając na chwilę do Ottawa National Forest Ranger Station (1209 Rockland Road), by zasięgnąć trochę informacji o terenie i wziąć kilka bezpłatnych map okolicy. W jakby opuszczonej wiosce Rockland skręcamy w wyboistą Victoria Dam Road, prowadzącą do Victoria Ghost Town (wejście bezpłatne). Miejsce urokliwe i pełne autentycznego klimatu sprzed ponad 100 lat. Przesympatyczna fińska pani wolontariuszka proponuje nam wycieczkę jako przewodnik (5 USD/os.), ale z naszymi rozwrzeszczanymi brzdącami przy boku nie miałoby to racji bytu. Zostajemy więc sami w chatce z wyposażeniem z epoki, wnikliwie oglądając wszystkie eksponaty. Najwnikliwej jednak Basia z Jasiem sprawdzają wytrzymałość drewnianych zabawek z początku ubiegłego wieku. Te wydają się jednak nie do zdarcia, nawet po wielokrotnym przerzucie lub zgnioście dalej pozostają w nienaruszonym stanie. W skansenie znajduje się tylko 5 domków, co wcale nie oznacza, że miejsce nie jest warte odwiedzin. Poza nami przyjechało tu tylko

2 osoby, a więc tłumów tu nie ma, co tworzy dodatkowy atut tego miejsca. Mamy też okazję podziwiać pokaz drwali, którzy oczyszczają teren skansenu ze skutków ostatniej burzy. Przechadzamy się też ścieżką po lesie, ale po ataku komarów szybko zwracamy w stronę auta. Szutrową drogą dojeżdżamy nad tamę – ciekawą atrakcję. Dopiero w 1959 roku wymieniono tu rury, prowadzące wodę z jeziora, z drewnianych na metalowe. I właśnie model tej drewnianej rury można teraz tu podziwiać. Zawracamy znowu w kierunku Rockland i skręcamy na północny wschód w drogę nr 26. I tu nasz wiekowy kempingowóz zaczyna szwankować..., tzn. dźwięk, jaki wydobywa się spod jego podwozia, jest po prostu przerażający. Wczoraj zahaczyliśmy o jakiś wystający kamień i teraz właśnie odczuliśmy tego skutki. Pierdzimy jak najgłośniejszy Harley i dzięki temu zaczynamy wzbudzać ciekawość, gdziekolwiek się pojawimy. Ale tym problemem postanawiamy zająć się wieczorem.

Zajeżdżamy do parku stanowego Twin Lakes, gdzie gotujemy sobie wyborny obiad z torebki i ruszamy dalej do wodospadów Wyandotte, które o tej porze roku na pewno nie są wodospadami, a jedynie wąską stróżką kapiącej wody. Mimo wszystko warto było tu zajrzeć, bo poobiedni spacer po lesie dobrze nam zrobił. Jadąc dalej, zaglądamy w Houghton do Walmartu i spożywcza w celu uzupełnienia zapasów, a przede wszystkim zakupu lepu na muchy, które są dla nas strasznym utrapieniem. Mundi rozgląda się także za sposobem załatania przepalonego „wydechu”. Przejeżdżamy jedyny most prowadzący na półwysep Keweenaw i w Hancock skręcamy w lewo w 203-kę, prowadzącą do parku stanowego F. J. McLain. Tu korzystając z ustronnego miejsca na parkingu, postanawiamy rozbić obóz mechanika. Mundi wjeżdża na wysoki krawężnik przednim kołem i nurkuje pod auto (z reklamówką na głowie), dzierżąc w dłoniach kawałek rozciętej puszki po kukurydzy. Jankowi przysnęło się troszkę, więc same z Basią w wózku udajemy się na eksplorację parku. Sam kemping położony jest spektakularnie na skarpie bezpośrednio nad jeziorem Superior. My wałęsamy się po całym terenie parku, ale niestety piaszczyste podłoże na leśnych szlakach nie pozwala na wjechanie wózkiem i poznanie tej najciekawszej części. Mundi dłubie przy samochodzie kilka godzin (sic!) i gdy wreszcie kończy, biegniemy szybko podziwiać zachodzące słońce, które tuż przed zachodem wyrzało na chwilkę zza chmur, dając spektakularne zakończenie dnia. Ponieważ na kempingu nie ma już wolnych miejsc, udajemy się Lake Shore Drive do miejskiego parku – County Park Beach i tam, w zasadzie obok parku (z powodu zakazu przebywania w parku po zmroku), idiemy spać.

30 lipca. Jadąc drogą Calumet Water Works, wspinamy się do miasta Calumet; tuż przed wjechaniem do jego centrum następuje przepalenie załatanej rury wydechowej i z wielkim pierdem wkraczamy jak na Harley’u, robiąc spektakularny wjazd. Miasto Calumet przypomina trochę polskie upadające poprzemysłowe miasto u schyłku lat 80. poprzedniego wieku. Zakurzone wystawy sklepowe z jakimiś przestarzałymi sprzętami AGD, sztuczne kwiaty, dużo sklepów jest wręcz opustoszałych i, zaglądając do środka, widać np. porozrzucane butelki, kawałki połamanych krzeseł, stare gazety. Tworzy to jednak niepowtarzalny klimat, dla którego warto się tu zatrzymać. Rozklekotane parkometry przywołują co najmniej czasy prezydenta Kennedy’ego... jednym słowem rupieciarnia, ale z klimatem. Wiele tablic z zakazem wstępu „no trespassing” przytwierdzonych jest do syjących się dawnych restauracji czy warsztatów samochodowych. Mówiąc krótko: dziura zabita dechami, ale zarejestrowana jako „National Register of

Historic Places". Na pewno dofinansowanie zaniedbanego miasta postawiłoby go na nogi i ściągnęło rzeszę turystów – potencjał jest i to duży. Prawie 150 lat temu okolica Calumet była głównym dostawcą miedzi w Stanach Zjednoczonych, a więc lata świetności dawno minęły, choć dawne bogactwo jest zauważalne i teraz na każdym rogu. Dochody z produkcji miedzi przekraczały kilkakrotnie dochody pochodzące z wydobycia złota w Kalifornii z czasów legendarnej „gorączki złota”. Drogą 26/41 pojechaliśmy dalej na północ, mijając po prawej stronie drogi „rest area”, na której znajduje się olbrzymia „metrówka” prezentująca na wysokość ilość opadów śniegu w tym rejonie (rekord to 10 metrów w zimie 1978/1979). W ostatnim sezonie spadło tu „jedynie” 8,5 metra białego puchu.

Zatrzymujemy się też na chwilę w Phoenix (rozwidlenie 41 i 26-ki), by zajrzeć do historycznej kuźni (Blacksmith Shop, gratis). Jakies 4–5 mil dalej jadąc 26-ką, zatrzymujemy się przy starym moście nad rzeką Eagle, by podziwiać 12-metrowy wodospad (o takiej samej nazwie). I dalej, jadąc już wzdłuż wybrzeża, „zaliczamy” jeszcze jeden wodospad – Jacob’s Falls (przy samej 26-tce) i lądujemy w Eagle Harbor, położonej w zacisznej zatoczce z widokiem na latarnię morską. W tym przyjemnym miasteczku (a niegdyś wielkim porcie – w czasach świetności miedziowej) zwiedzamy małą, zażytkową szkołę (National Register of Historic Places) z klasyczną budką na dzwon na dachu (z 1853 roku). Szkoła ta stała się kolebką powstania sekretnego bractwa Knights of Pythias, którą założył tutejszy nauczyciel Justus Rathbone, a któremu przyświecała idea – „lojalność, honor i przyjaźń”. Chłopaki nie mieli w ówczesnych czasach portali społecznościowych, więc musieli się udzielać w tej oto formie. Jedziemy dalej – wieje strasznie, a woda w jeziorze Górnym jest przerażająco zimna... na pewno więc nie zamierzamy dziś piknikować na plaży. Dalej na wschód znajduje się kolejny niewielki wodospad o imieniu Silver River Falls, szemrający niemrawo w lesie i niecałą milę dalej – Agate Beach Picnic Area – piękna zatoka, na której, sugerując się nazwą, powinny znajdować się agaty (ale w tym akurat miejscu nie znajdujemy żadnego). Spacerujemy sobie po wzgórzu nad zatoką i podziwiamy widoki.

Ponieważ dzień się już powoli kończy, pędzimy co sił w kołach do Fortu Wilkins (park stanowy), który okazuje się „petardą” dzisiejszego dnia. Perfekcyjnie zrekonstruowany fort daje potężną dawkę historii – każdy barak, dom, pokój, sala urządzone na wzór oryginału. Poprzezbierani wolontariusze udzielają obszernych odpowiedzi na Mundka niekończące się pytania. Pokazują naszym malcom zabawy i gry z minionej epoki. Na środku fortu stoi wielka armata, tworząc pokusę nie do odparcia dla wszystkich przebywających tu dzieci – każdy musi się na nią wspiąć, nie zwracając w ogóle na znak informujący o zakazie wchodzenia na nią. Poza wielką bieżnię, jaką dzieci skutecznie zajmują tu z nowo poznanymi kumplami, uwagę ich przykuwa interaktywna wystawa w jednym z domów – bębni żołnierskie i werble, które można używać do woli, grając według nut lub zasłyszanej wcześniej melodii z głośnika. Wałą pałeczkami, wyładowując resztki pozostałej w nich energii. Na sam koniec „zaglądamy” jeszcze do wychodka, stojącego na tyłach fortu w oryginalnym stanie... i zapachu. Po 3 godzinach spędzonych w forcie jedziemy na kemping stanowy, znajdujący się tuż obok. Miejsc nie ma już wcale, ale korzystamy z bezpłatnych gorących pryszniców, co daje nam dużo energii do kolejnej wycieczki. Jedziemy dalej do końca asfaltowej 26-ki, potem telepiąc się szutrową, wyboistą drogą 1 milę do wyjścia na szlak Horseshoe Har-

bor Trail (długość 1,6 mili). Parking jest mały i mieści tylko 8 aut. Po przejściu przez las (bardzo wyboistą ścieżką, pełną wystających korzeni) dochodzimy do wielkiego garbu skalnego, wpadającego bezpośrednio do jeziora Superior. Trzeba dużo się natrudzić, żeby na ten garb się wdrapać. O dziwo, szlak jest bardzo uczęszczany i poza nami pojawia się tu może z 20 innych osób, spragnionych widoku spektakularnego zachodu słońca, lub po prostu lokalnych imprezowiczów z alkoholowym ekwipunkiem w kieszeni. Słońce chowa się niestety szybciej za chmury niż za horyzont, nie ujawniając ostatecznego widowiska. Natomiast po przeciwnej stronie w ramach rekompensaty możemy podziwiać piękny wschód księżyca, wstającego zza przybrzeżnych skał. Już po zmroku z latarkami w dłoni wracamy ostrożnie do samochodu i postanawiamy zostać tu na noc, bo nie chce nam się tłuc z powrotem po wybojach wąską drogą w poszukiwaniu czegoś lepszego.

31 lipca. Pomijając może nocną ulewę, to noc okazała się spokojna; poza nami nikt na noc tu nie został i mieliśmy święty spokój. Zbieramy się po szybkim śniadaniu i wracamy po tych okrutnych wybojach do Copper Harbor. Próbuje znaleźć Manganese Falls, ale stan wody jest bardzo niski i wodospady stają się niewidoczne... przynajmniej nam nie udaje się ich odnaleźć. Tą samą drogą (Manganese Road) jedziemy dalej na południe do wyjścia na 2-milowy szlak Estivant Pines (z Manganese Road przy małym jeziorze trzeba skręcić w prawo w Burma Road na zachód). Szlak można obrazowo scharakteryzować jako spacer przez sosnowy las, po wystających z ziemi korzeniach, które na zabagnionych terenach stają się drewnianą kładką. Jest to zachowane oryginalne stanowisko najstarszych sosn białych w całych Stanach Zjednoczonych (a ich wysokość sięga nawet 50 metrów). Wracamy z powrotem do Copper Harbor i skręcamy na 41-kę, kierując się na południowy-zachód. Z trudem trafiamy w leśną dróżkę (Mandan Road), prowadzącą do – zarośniętego z powrotem przez las – Mandan Ghost Town, z którego tak naprawdę niewiele zostało... no może poza dwoma opuszczonymi domostwami. Na drugim końcu wioski-widma na drodze stają nam powalone pewnie przez jakąś nawałnicę drzewo, które Mundek, używając swojej nadludzkiej mocy, usuwa i możemy spokojnie przedostać się do asfaltówki.

Po przejechaniu 2,5 mili skręcamy w Gay La Belle Road i przy rozwidleniu drogi odbijamy w prawo, by po 0,5 mili znaleźć się w parku Haven Falls. Park jest uroczy – drewniane stoliki porożstawiane w zacienionej dolince, do której spływa wodospad, drewniany mostek nad potokiem... idealne miejsce na piknik i zabawę dla dzieci, które od razu wzięły się do pracy, budując tamę z kamieni. W tym czasie pojawia się tu drużyna weselników, organizując park na plenerową uroczystość ślubną. Przyozdabiają mostek płóciennymi kokardami i polnymi kwiatami, zadaszoną piknikową wiatę owijają białymi prześcieradłami i wieszają ozdoby. Pan kamerzysta wypuszcza drona, który co chwila krąży nad naszymi głowami, zagłuszając delikatny szum wodospadu. Para młoda ubrana na „ludowo” krząta się nerwowo, dopinając na ostatni guzik przygotowania do uroczystości. Miejsce rzeczywiście wybrali sielankowe. Nie chcąc im przeszkadzać w przygotowaniach, pakujemy się do wozu i jedziemy dalej w naszą objazdówkę.

Wracamy z powrotem do rozwidlenia dróg i jedziemy drogą Lac La Belle/Bete Gris Road do samego końca, do latarni morskiej Bete Gris Lighthouse. Przed dotarciem do latarni odkrywamy super miejscówkę – piaszczysty pas plaży, położony tuż przy

drodze, którą jedziemy. Najprawdopodobniej jest to sekret „tubylców”, bo miejsce to nie figuruje w żadnym przewodniku czy publikacji o Michigan. Woda w płytkiej zatoce Bete Gris Bay musi być naprawdę ciepła, bo wszyscy siedzą zanurzeni po szyję z uśmiechami na twarzach. Bardzo malownicze i na pewno godne polecenia na spędzenie przyjemnego popołudnia. My jednak zwracamy i jedziemy dalej w poszukiwaniu przygód. Sytuacja trochę się komplikuje, gdy przy następnym przystanku na „rest area” w okolicy Betsy przyłącza się do nas „szambonurek”..., a precyzyjnie określając: kierowca cuchnącej szambocysterny. Po kolei zatrzymując się w plażowych punktach widokowych, by wykonywać swoją pracę czyszczenia szamba, pozostawia po sobie niemiły ślad w powietrzu. Próbowaliśmy przeczekać ten śmierdzący moment lub też wyprzedzić jego tempo pracy, ale jak na złość dziwnym trafem po prostu nie dało się. Albo w jednym przypadku on był za szybki, albo my za wolni w drugim. W końcu żegnamy się z nim na postoju przy moście w Gay, odbijając w kierunku Traverse Bay. Jedną milę za miasteczkiem (tuż po przejechaniu skrzyżowania z drogą Big Traverse Bay Road) znajdujemy Schoolcraft Township Park. Miejsce to przypomina trochę kemping położony bezpośrednio nad jeziorem Górnym. Każde miejsce ma swojego grilla i ławki oraz bezpośrednie zejście do jeziora. Jest plac zabaw i łaźienka. Ponieważ do wieczora jest jeszcze dużo czasu, niestrudzony Mundeł tnie kolejną puszkę po groszku konserwowym i robi drugie podejście do wyciszenia dziury w rurze wydechowej. Szkraby nasze wariują na placu zabaw i na plaży..., gdyż do wody niestety nie da się wejść, bo jest okropnie zimna. Mundi spędza popołudnie pod samochodem, a reszta rodziny przy grillowaniu kiełbasek. Piknikujemy sobie tak do wieczorka, podziwiając wschód księżyca nad zatoką. W ciągu całego naszego pobytu przyjechały tu może 2 samochody. Taka petarda z dala od utartych ścieżek otrzymuje 10 punktów w naszej dziesięciostopniowej skali. Pomimo zakazu przebywania tu w nocy, postanawiamy zostać do rana.

1 sierpnia. Wstajemy o świcie i wyglądając przez okno dostrzegamy parę młodych ludzi zbierających jagody tuż obok. Wczoraj byliśmy tak blisko jagodowiska i nawet nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Śniadanie fundujemy sobie więc na łące, zbierając do garnuszków świeżutkie, pachnące i soczyste jagody. Niebo w gębie!!! Lokalni żniwiarze jagód okazują się oczywiście Finami, zamieszkującymi pobliskie zabudowania. Ze dwie godziny uzupełniamy tak zapasy witamin i nie możemy się od nich uwolnić. Z łałem opuszczamy jagodowisko. Zaznaczając na mapie wielki wykrzyknik, by wrócić tu w przyszłości, ruszamy drogą Big Traverse Bay Road/Rice Lake Road do miasteczka Lake Linden, mijając po drodze malownicze jeziora Rice i Torch. Zaglądamy na chwilę do katolickiego kościoła św. Józefa i rozpoznajemy te same identyczne dekoracje ławek i bocznych ołtarzy, którymi wczoraj strojono wiatę „weselną” przy Haven Falls. Drogą dedukcji wnioskujemy, że tu odbyła się ta oficjalna część ceremonii.

Otoczamy jezioro od zachodu, jadąc 26-tką; mijamy ruiny zabytkowej huty miedzi Quincy Mill, której najbardziej fotogeniczną resztką jest pogłębiarka uwięziona przy brzegu jeziora, a za moment dosłownie niecałą milę dalej (miasteczko Mason) naszym oczom po lewej ukazuje się zapomniany park maszyn, czyli stare rozklekotane samochody, dystrybutory paliwa, warsztat i pełno innych „klimatycznych” zardzewiałych rupiec. Mundi depcze po hamulcach, bo nie możemy sobie odmówić zobaczenia tego wszystkiego. Na posesji nikogo nie ma, więc śmiało krążymy wokół starych

rozgruchotanych krążowników szos, rozrzuconych puszek po oleju silnikowym i dziurawych opon. Skansen samochodowy okazuje się nie lada lekcją historii amerykańskiej motoryzacji dla nas wszystkich. Dalej 41-ką wspinamy się do Quincy Mine & Hoist (Keweenaw National Historic Park) – niegdyś jednej z największych kopalni miedzi (wstęp bezpłatny, wycieczki z przewodnikiem 15–20 USD/os.). W budynku Visitor Center & Gift Shop dostajemy bezpłatne broszury i mapki i wędrujemy sobie sami po całej powierzchni byłej kopalni. Basia i Jasio zainteresowani są najbardziej odkręcaniem wszystkich napotkanych śrubek, ale gdy tylko wchodzimy do budynku – majstersztyku inżynieryjnego jak na owe czasy – kopalnianego wyciągu Hoist nr 2, całą ich uwagę pochłania makietą kolejowa z pędzącym pociągiem. Jest tu sporo do zwiedzania i zajmuje nam to grubo ponad 2 godziny. Wygłodniali, wskakujemy na rybkę z frytkami (fish & chips 10 USD) do rock'n'rollowej knajpki umiejscowionej naprzeciwko kopalni. Jedzenie nie jest zbyt smaczne (raczej typu fastfoodowego – ocieka tłuszczem!!!), ale tuż obok stoi sobie sklep rybny, w którym robimy smakowite zakupy w postaci wędzonego łososia i pstrąga (pycha!).

Z pełnymi brzuchami wyjeżdżamy z półwyspu Keweenaw przez zachwycający zażytkowy most zwodzony Portage Canal Lift Bridge i przejeżdżamy przez historyczne śródmieście regionalnej „metropolii” i uniwersytecki kampus. W uroczym kameralnym Houghton (zamieszkałym przez 7700 mieszkańców) mieści się Michigan Technological University z liczbą studentów przekraczającą również 7000 osób. Da się to zauważyć na ulicach miasta – pomimo sezonu wakacyjnego po ulicach spacerują prawie sami młodzi. Chcąc przywołać sobie wspomnienia sprzed kilku lat, zahaczamy na moment do przystani promu na wyspę Isle Royale, będącej ostoją dzikości, chronioną statusem parku narodowego, a którą przemierzaliśmy w ciągu 3 dni trampingu. Jadąc na południe wzdłuż wybrzeża cieśniny i jeziora Portage i później zatoki Keweenaw zaglądamy na chwilkę do Sand Point Lighthouse – małej czerwonej latarni morskiej otoczonej ze wszystkich stron wylegającymi się na plaży turystami w parku rekreacyjnym prowadzonym przez indian Ojibwa.

Wyjeżdżając z tego miejsca od razu skręcamy na zachód na 38-kę, by dostać się do Sturgeon River Gorge – 80-metrowy kanion wyrzeźbiony przez rzekę Sturgeon, na której utworzyły się wodospady – Lower i Upper. Z 38-ki skręcamy na południe w Pricett Dam Road (Forest Hwy 2270) i po paru milach niewygodnej trzęsawki dojeżdżamy do małego parkingu, skąd znajduje się wyjście na Silver Mountain – szlak prowadzący po 250 drewnianych schodkach do punktu widokowego. Ponieważ Jankowi przysnęło się troszkę, postanawiamy, że Mundek z Basią w plecaku-nosidełku wdrapią się na górę, a ja ze śpiącym Młodym zostanę w RV-iku. Potem jedziemy już na szlak prowadzący do wodospadów Sturgeon (długość 1,5 mili w obie strony). Szlak po doprowadzeniu do krawędzi kanionu schodzi stromo w dół. Mimo tych niedogodności jest w 100% godny polecenia. Rzeka utworzyła dwa spektakularne, różniące się znacznie od siebie wodospady. Wyższy – szeroki, spokojny zamienia się za kilka metrów w wąską czelusć, skąd woda spada z wielkim hukiem, tworząc niesamowite widowisko. Wracamy już o zmierzchu, wspinając się pionowo skrótami, co całkowicie pochłania naszą całą energię. O zmroku podjeżdżamy do oddalonego o jakieś 5 mil kempingu (Sturgeon Road Campground/gratis) i ku naszej radości znajdujemy jeszcze trzy wolne miejsca. Kiełbaski smażone na wielkim ognisku wieńczą aktywnie spędzony dzień.

2 sierpnia. Po nocnej burzy niebo jest dalej zachmurzone i siąpi deszcz. Po rozgrzewającej owsiance zbieramy się i pomimo niesprzyjających warunków pogodowych ruszamy w podróż, poszukując nowych wrażeń. Dojeżdżamy do 28-ki, która łączy się z 41-ką w kierunku wschodnim. Mijamy kilka „road parków”, czyli zjazdów wyposażonych w toalety, ławeczki, kraniki z wodą pitną, grille itp. Zajeżdżamy na nie, ale z powodu deszczu nie chce nam się wychodzić na zewnątrz. Na dłuższą chwilę zatrzymujemy się dopiero w Van Riper State Park, gdzie uwagę naszą przyciąga ciekawa wystawa o łosiach introdukowanych na tych terenach. Dowiadujemy się, że łosie zostały tu w ciekawy sposób przetransportowane z odległego ponad 600 mil stąd parku w Kanadzie... Najpierw z helikoptera strzelano do łosi nabojami usypiającymi, gdy już padły na ziemię smacznie śpiąc, helikopter lądował tuż obok i kilku silnych pracowników parku podpięta łosia linami do helikoptera. Następnie helikopter przelatywał do głównej bazy, skąd śpiącego wciąż zwierzęka ładowano do kontenera i ciężarówką przewożono do Michigan, gdzie po założeniu kołnierza z nadajnikiem puszczano w końcu na wolność. W 1985 roku wykonano 30 takich przerzutów, co zaowocowało wzrostem populacji łosi do 1000 osobników w 2000 roku.

Deszcz wciąż pada, więc jedziemy dalej do wyjątkowo szpetnego miasta – Ishpeming, i Negaunee, które też uroda nie grzeszy... Miejsca te związane są przede wszystkim z wydobyciem rud żelaza, ukazując olbrzymie połącze hałd ciągnące się wszcz i wzdłuż. To na tym zagłębiu polegała gospodarka USA podczas drugiej wojny światowej. To dzięki nim Henry Ford zbudował swoje motoryzacyjne imperium. Po przejechaniu tych 2 miasteczek zatrzymujemy się w Michigan Iron Industry Museum (73 Forge Road Negaunee, wstęp bezpłatny) – małym, ale treściwym muzeum przedstawiającym kwintesencję przemysłu i wydobywania żelaza na tym terenie. Cała „gorączka złota” w Kalifornii była niczym w porównaniu z dochodem pochodzącym z wydobywania tu rud żelaza. W Marquette przejeżdżamy przez centrum i na nabrzeżu kierujemy się do ruin Iron Boat Loading Dock – olbrzymiej betonowo-stalowej konstrukcji służącej do wyładowywania rudy żelaza z wagonów kolejowych bezpośrednio na statki. Taka forma załadunków na jeziorach Superior i Michigan funkcjonuje do dziś, jedynie trochę zmodernizowana i przeniesiona poza obszary miejskie. Przykład taki możemy zaobserwować kilka mil na północ od miasta (Presque Isle Dock) z miejsca widokowego Hot Pond Beach. Ogromnych rozmiarów dok, wychodzący w wodę, długości 380 metrów, „przerzuca” rocznie 10 milionów ton kruszcu i działa tu nieprzerwanie od 1911 roku. Ma 200 „kieszonek”, z których każda ma pojemność 250 ton. Typowy załadunek olbrzymiego 1000-stopowej długości transportowca trwa 4 godziny. Widok robi na nas duże wrażenie.

W sąsiednim od północy parku krajobrazowym Presque Isle objeżdżamy jednokierunkową pętelką dookoła całego kompleksu parkowy, zatrzymując się jedynie na krótki spacer w Middle Bay. Razem z gromadą innych gapiów przypatrujemy się skaczącym z urwiska do wody kilku śmiałkom. Iście pocztówkowa zatoka jest przepiękna i mieni się zielonkawoturkusowym kolorem. Tu zagaduje nas Indianka z plemienia Lakota z kilkoma innymi osobami – jak się okazuje z Niemiec i Argentyny i zaprasza na międzynarodowy indiański festiwal słońca „Sun Dance”, który ma odbyć się za kilka dni w tej okolicy. Niestety napięty plan wycieczki prowadzi nas dalej i musimy podziękować.

Wracamy w kierunku Marquette i dalej na południe 41-ką i 28-ką po 15 milach dojeżdżamy do ostatniej atrakcji dnia dzisiejszego – Lakenenland Sculpture Park (wstęp bezpłatny, czynne 365 dni w roku), gdzie wszyscy są tu mile widziani. Miejsce niesamowite – olbrzymi obszar, na którym poustawiane są rzeźby – instalacje z metalu, betonu, drewna, z różnych resztek urządzeń mechanicznych. Są stare wagoniki kolejowe z kopalni, jest rozklekotany dźwig, stare rozgracane auta i traktor, chatka ze starym rowerem w środku, wielki słoń, zrobione z tarcz metalowe kwiaty, krokodyl, roboty i wiele, wiele innych śmiesznych instalacji. Dopatrzyć się też można w dziełach tych trochę politycznych przesłań autora. Jest też polski akcent – olbrzymia rzeźba zwierza – z rybą o tęczowym kręgosłupie, na którym namalowane są dwie polskie flagi z orzełkiem i napis „Savitski Saurus” – szczerze mówiąc, nie mamy pojęcia, o co tu chodzi i zapewne powinniśmy skontaktować się z artystą, by nam to wyjaśnił. Park jest tak przygotowany, że w zasadzie można go zwiedzić samochodem, bo droga, przy której ustawione są rzeźby, jest bardzo szeroka. My jednak musimy wyprowadzić nasze dzieci na spacer, zanim do szczytu rozniosą nasz dom na kółkach. Przy głównym parkingu umiejscowiona jest ogromna piknikowa wiata z wielkim, żelaznym, bogato zdobionym kominem – dzieło niezłego rzemieślnika-artysty. Całość wzniesiona z grubych bali sosnowych, a na środku wielki stół z piły tarczowej i drewniane stołki, obok wiaty stos porąbanego drewna czekającego na rozpalenie w kominku. Tuż obok plac zabaw i amfiteatr z rozstrojonym pianinem na zapleczu. Wszędzie kolorowe rabatki kwiatowe zasadzone w drewnianych wyżłobionych pniach drzew, uroczy domek – kibelek, dwa stawy pełne ryb, jednym słowem petarda turystyczna. Po zmroku siadamy przy kominku i pieczemy kiełbaski – jesteśmy tu zupełnie sami, ale szczęśliwi, że możemy gościć w tym niezwykle artystycznym świecie.

3 sierpnia. Dzień rozpoczynamy od krótkiego spaceru szlakiem Bog Trail (długość 0,25 mili) zaczynającym i kończącym się na posiadłości pana Lakenena. Szlak, poprowadzony przez małe torfowisko leśne, wiedzie również wśród ciekawych instalacji typu budka telefoniczna przytwierdzona do drzewa czy „nogi bagiennego topielca wstawione do góry nogami” prosto w bagno. Krocząc po wąskiej kładce, objadamy się przy okazji rosnącymi wzdłuż soczystymi jagodami. Z wielkim żalem rozstajemy się z tym miejscem i jedziemy na wschód 28-ką, mijając po drodze kilka zjazdów „rest area”. Za Au Train Beach zatrzymujemy się na takim właśnie zjeździe i krótkim spacerkiem po plaży dochodzimy do Face in the Rock – na skale widoczna jest twarz wyrzeźbiona przez francuskiego podróżnika w 1820 roku. Dosłownie po drugiej stronie 28-ki, tuż przy drodze znajduje się piękny niewielki wodospad o nazwie Scott. Woda spada z półki skalnej do basenika, a za samym wodospadem można śmiało się schować w kameralnej wnęce. Wracając do auta, naszym oczom ukazuje się stado żurawi kanadyjskich (sandhill cranes), drepzczących szybko w kierunku lasu. Te piękne, majestatyczne ptaki są bardzo nietolerancyjne na ludzką obecność i ciężko je spotkać. Podobno mogą wznosić się nawet do wysokości 6000 metrów.

Dojeżdżamy do miasteczka Munising, skąd odpływają rejsy wycieczkowe na Pictured Rocks National Lakeshore. Sprawdziliśmy prognozę pogody i według niej kupiliśmy bilety na rejs na następny dzień rano (37 USD/os., 1 USD/dziecko do 6 lat, długość rejsu 2,5 godz). Dziś miało padać do końca dnia, co zaburzyło nam pierwotny plan skorzystania z „sunset cruise”, czyli rejsu o zachodzie słońca, który jest najbardziej

spektakularny z oczywistego powodu. Po zakupie biletów udajemy się do „Fish House” po wędzonego pstrąga i „whitefish” (8,50–10 USD/funt), które rozpyływają się dosłownie w ustach... Przy okazji mamy szansę trochę popodglądać rybaków na zapleczu, filających świeżo złowione ryby.

Po tym wspaniałym posiłku jedziemy do Visitor Center (400 E Munising Ave, czynne codziennie 9.00–17.00) po bezpłatne mapy i foldery i ruszamy już na podbój lokalnych wodospadów. Pierwszy z nich 5-metrowy Alger Falls (skrzyżowanie 28-ki z 94-ką), nie niesie ze sobą zbyt dużo wody, przez co jest bardzo słabo widoczny. Pół mili dalej drogą 94 zajeżdżamy na parking i szeroką wybetonowaną ścieżką podchodzimy do spektakularnego wodospadu Wagner Falls (wysokość 6 metrów), który poza nami przyciąga tu dziesiątki innych turystów. Wracając do samochodu, pogoda drastycznie się zmienia i po całym dniu nieobecności wychodzi w końcu słońce. Jednogłośnie stwierdzamy, że musimy w takim razie zamienić bilety naszego rejsu na dzisiejszy wieczór. I na nasze szczęście udaje nam się tego dokonać bez żadnych dodatkowych opłat. Do 19.00 mamy jeszcze trochę czasu, więc korzystając z pięknej pogody i słońca, byczmy się na plaży razem z dziećmi, których pochłonięto do reszty budowanie fortecy z piasku i kamieni. Piętnaście minut przed czasem jesteśmy już zwarci i gotowi, stojąc w długiej kolejce osób oczekujących na wejście na pokład jednego z dwóch stojących statków. Ku naszej radości zajmujemy miejsce w pierwszym rzędzie, co daje najlepszą perspektywę obserwacyjną. Pomimo słońca pogoda jest bardzo wietrzna i ubrani jesteśmy „na cebulki” z naciągniętymi na uszy czapkami. Pani w kasie poinformowała nas, że podczas rejsu może nieco bujać, co jak się potem okazało, źle wpłynęło na samopoczucie Mundka i Jasia – zjedzony godzinę wcześniej obiad okazał się złym pomysłem. W momencie wypłynięcia słońce niestety zaszło za chmury, co zabrało dużo uroku kolorowym klifom, obok których przepływaliśmy. Na szczęście w drodze powrotnej wyrzało na ostatnie 20 minut, dając nam widowisko nie do opisania. Skały „Pictured Rocks” mieniły się na przemian ostro żółtopomarańczowymi kolorami, przechodząc miejscami w czerwień i brąz. Po zrobieniu zdjęcia ostatniemu promieniowi zachodzącego słońca schodzimy na dolny pokład, bo jesteśmy już nieźle skostniałi od silnie wiejącego wiatru. Po zmroku dopływamy do portu i niechcąc już ruszać się z miejsca w poszukiwaniu lepszego noclegu, zasypiamy na parkingu portowym. Dodać jeszcze tylko trzeba, że wycieczka była świetna i poza skalnymi klifami, które są oczywiście gwoździem programu, podплыliśmy też do latarni morskiej Grand Island Harbor Light (według przewodnika najczęściej fotografowana latarnia w Michigan), widzieliśmy wielkie łuki skalne i wodospad wpadający bezpośrednio do jeziora Superior. Przepływaliśmy też w miejscu, gdzie spoczywa kilka wraków XIX-wiecznych statków.

4 sierpnia. Po bardzo spokojnym noclegu obok wyblakniętego znaku „no overnight parking” ruszamy na zakupy w celu uzupełnienia zasobów spożywczych i paliwowych... i na obiecane „młodym gniewnym” lody. Po tych czynnościach zaczynamy turnee po okolicznych wodospadach. Pierwszy Munising (wysokość 15 metrów) okazał się łatwy do odnalezienia. Łatwość dojazdu i oznaczenia oraz wielki parking ściągają setki odwiedzających. Trzeba koniecznie go zobaczyć, bo jest naprawdę piękny. Po krótkim spacerze dochodzi się do platformy widokowej dolnej, skąd jest najlepszy widok wodospadu. My wdrapujemy się jeszcze po schodach na wyższą część, ale niestety widok stąd przestaniają gałęzie drzew. Kolejny wodospad – 12-metrowy

Olson (inna nazwa Tannery) jest już trudniej dostępny – najpierw trzeba znaleźć nieoznaczone miejsce parkingowe (maksymalnie na 8 samochodów, jadąc ulicą Munising na północny wschód, trzeba skręcić w Washington i od razu zaparkować po prawej stronie drogi), potem wejść w las po przekroczeniu Munising Road i wdrapać się na wzgórze, po którym już dochodzi się do wodospadu – ukrytego głęboko w lesie. Wodospad tworzy wystająca półka skalna (w kształcie półksiężyca), z której rozpryskują się krople wody. Pod wodospadem można swobodnie przejść, gdyż rzeka wcięła się bardzo głęboko w skałę, tworząc olbrzymie wyżłobienie. Pomimo niedogodności w odnalezieniu tego szlaku ściągają tu dziesiątki hałaśliwych turystów, zabierając trochę uroku temu miejscu.

Przejeżdżamy do Miner's Castle Beach (dojazd z H58 skręcamy na północ w H11 – odbijamy w Miner's Beach Road), gdzie urządzamy sobie szybki piknik, a chłopaki budują wielki wigwam na plaży z wyrzuconych przez sztorm kawałków drewna. Następnie podjeżdżamy do końca Miner's Castle Road i spacerujemy na punkty widokowe, skąd rozpościera się widok na jezioro Górne. Punkty umiejscowione są na wysokim klifowym wybrzeżu, które wczoraj podziwialiśmy, płynąc łodzią. Ktoś wpadł na dobry pomysł, żeby w drewnianych barierkach umiejscowić plastikowe przeźroczyste prześwitwy dla dzieciaków, żeby nie trzeba było ich podnosić w celu pokazania widoków. Wyjeżdżamy z parkingu na południe i za miłą skręcamy na wschód do wyjścia na wodospad Miners (długość szlaku 0,6 mili; wysokość wodospadu 12 metrów). Szlak jest bardzo prosty i prowadzi przez piękny, gęsty las, a sam wodospad „rzuca na kolana”. Olbrzymia masa wody spada pionowo w przepaść do kanionu. Dla zwiedzających przygotowana jest platforma widokowa, ale podczas naszego pobytu znalazło się kilku śmiazków, którzy zeszli, a w zasadzie zjechali pod samo podnóże wodospadu.

Po tym przyjemnym spacerku wracamy do 58-ki i dalej jadąc na wschód, dojeżdżamy do szutrowej drogi – Chapel Road, prowadzącej do dużego parkingu, skąd wychodzą szlaki na wodospady Mosquito i Chapel, a także nieco dłuższe prowadzące na wybrzeże jeziora. Dzień ma się już ku końcowi, ale postanawiamy jeszcze przejść się na jeden z wodospadów. Wybór pada na Mosquito (2 mile). Szlak okazuje się trochę trudny do przebycia (szczególnie dla Janka) ze względu na wystające z ziemi korzenie i kamienie. Pomimo tych niedogodności dochodzimy do celu i mamy okazję podziwiać w zasadzie nie jeden, a dwa wodospady. Nie zabawiamy tu długo, mimo cudownego uroku tego miejsca, bo otaczający nas gęsty las robi się coraz bardziej ciemny i straszny i nie chcąc utknąć w lesie na noc, musimy szybko się stąd ewakuować. Do parkingu dochodzimy już po zmroku i tu też postanawiamy nocować, by z samego rana ruszyć na podbój Chapel Falls.

5 sierpnia. Po rozgrzewającej owsiance ruszamy na szlak (długość 2,8 mili) ku wodospadowi Chapel, prowadzący szeroką, polną drogą w zasadzie po płaskim terenie. Wodospad jest piękny, ale nie ma zbyt dobrego miejsca, żeby strzelić mu fotkę, jako że stoimy niebezpiecznie na półce skalnej, skąd spada woda, a podnóże wodospadu jest nieosiągalne. Krążymy wokół niego, przechodząc przez mostek na drugą stronę rzeki, ale jedyna możliwość sfotografowania wodospadu jest z góry, przez co nie widać jego majestatu. Wracając do auta, mijamy już tłumy turystów zmierzających ku wodospadowi. A my o 10.00 jesteśmy już gotowi do dalszej drogi. Wyjeżdżamy Chapel Road do H-58 (Adams Trail) i jadąc dalej na północny wschód, docieramy do kem-

pingu Hurricane River, skąd wychodzi szlak do latarni morskiej Au Sable Point (długość 3,5 mili). Szlak jest bardzo prosty i prowadzi zamkniętą dla ruchu samochodowego nabrzeżną drogą przez las. Tylko skok w bok, w lewo i jesteś na pięknej kamienistej plaży, na której rozrzucone są wraki statków, które zatonięły tu w przeciągu ostatnich 300 lat. „Okazy” są całkiem sporej wielkości i na pewno są jedną z głównych atrakcji po drodze. U celu latarnia Au Sable wynagradza pamiętnymi doznaniem wzrokowymi trud piechurski (wejście na szczyt kosztuje 3 USD), a tuż obok niej znajduje się Visitor Center z bardzo ciekawymi eksponatami z wraków statków znalezione na pobliskiej plaży. Można lisnąć wiedzy o tragicznych zatonięciach statków w jeziorze Górnym. Widoki stąd są niesamowite – dostrzegamy 300-metrowe strome zbocza wydmy, wpadające bezpośrednio do szmaragdowego jeziora. Stoi też znak ostrzegający przed aktywnymi w tym obszarze niedźwiedziami (black bear). Na całym półwyspie żyje ich około 15 000 sztuk i chociaż nie notuje się raczej żadnych tragicznych wypadków z ich udziałem, to lepiej nie spotkać ich na swojej drodze. Ciekawostką jest to, że pomimo nazwy sugerującej ubarwienie ich sierści na czarno, to można też spotkać misie w kolorze brązowym czy cynamonowym, należące do tego samego gatunku. Ich pożywienie to przede wszystkim dzikie owoce lasu, owady i orzechy, ale dochodzi też do sytuacji, że niedźwiedzie zakradają się na kempingi czy śmietniki i pałaszują wszystko, co znajdują. Dlatego ważne jest, żeby nigdy nie zostawiać jedzenia na zewnątrz, a w trakcie długich wędrówek z plecakiem zawieszać na noc jedzenie w workach wysoko na gałęziach drzew.

Po powrocie do samochodu przejeżdżamy kawałek dalej (na wschód) na punkt widokowy Log Slide Overlook. W zasadzie są tu 2 punkty widokowe, z tym że jeden z nich – „piaszczysty” to istna petarda – wielka pochyłona stromo plaża (o różnicy wysokości 300 metrów), z której, nieświadomi jaki trud ich czeka z powrotem, śmiałkowie zbiegają (czytaj: staczają się) w ciągu kilkunastu sekund w dół do jeziora. Stojąc na szczycie wydmy, ledwo dostrzegamy ludzi, którzy właśnie stoczyli się na sam dół i teraz pływają sobie w jeziorze. Po tych pełnych emocji widokach, wracamy do H58 i dojeżdżamy do kolejnej atrakcji – wodospadu Sable (wysokość 23 metry). Żeby dojść do platformy widokowej, trzeba pokonać odległość 0,4 mili (650 metrów) po schodach – najpierw w dół, potem w górę..., ale wysiłek jest wart, bo wodospad jest naprawdę spektakularny, a niedaleko leżąca plaża pełna agatów i pięknych otoczków jest świetna na spędzenie miłego popołudnia.

Po wyczerpującym wdrapaniu się po schodach jedziemy do Grand Marais – jak się okazuje miasta opanowanego, nie wiedzieć czemu, przez prawie samych emerytów. Ponieważ skończyły nam się zasoby wodne w kamperze, zajechaliśmy na miejski kemping (Woodland Park Campground, 21–30 USD/noc, prysznic i pralnia), by je uzupełnić (dump station). Tam naszym oczom ukazało się pole kempingowe, na którym dosłownie poustawiane były dziesiątki wozów kempingowych, sąsiadujących jeden przy drugim, przy czym jakiegokolwiek drzewko, to był już mega luksus... W miasteczku uzupełniamy też zapasy paliwa i zgodniali rozglądamy się za jakimś pożywieniem. Zachęceni przez pracownika stacji/sklepiku jedziemy do lokalnego „Fish House” (Canal Street na północ od stacji benzynowej, dom z łodziami), ale pomimo głośnych nawoływań nikt się nie pojawia. W miasteczku są tylko trzy jadalnie – Dunes Saloon (pełen pijaczków), zamknięta Sportsman’s Restaurant i Breakwall Bakery & Cafe (N14278 Lake Ave), która okazuje się strzałem w dziesiątkę. Nowiutka, dwupiętrowa restaura-

cja – skonstruowana z drewnianych bali – dosłownie wszystko w środku z pachnącego jeszcze drewna, ozdobiona wypchanymi zwierzętami. Klimat super!!! W dolnej części poza stolikami stoisko ze świeżo upieczonym chlebem. Jedzenie też niczego sobie (za-mówiliśmy okoniowatą rybę – perch – 12 USD i pizzę – 13 USD – rozmiar 14”) i bardzo tanie. Jediną wadą był czas oczekiwania na posiłek... rozumiem to, że cała restauracja była wypełniona po brzegi wygodniałymi gośćmi, ale prawie półtorej godziny musieliśmy czekać na nasz posiłek, na co nasze dzieci zareagowały totalnym wariactwem. Było ganiebanie po całym lokalu, niekończące się wchodzenie i schodzenie po schodach, przepychanie pod nogami klientów, siedzących wygodnie przy swoich stolikach... i na sam koniec jeszcze musieliśmy czekać 20 minut na rachunek.

Dopiero po 19.00 opuszczamy cywilizację w poszukiwaniu noclegu. Nieświadomi niczego co do jakości, wybieramy drogę H58 na wschód i ku naszemu zdumieniu tuż za miasteczkiem (na granicy Alger i Luce County) kończy się asfalt i zaczyna droga dla czołgistów. Maksymalna prędkość, jaką możemy rozwinąć na tej utwardzanej gąsienicami trasie, to 5 mil/godz. W naszym RV-iku wszystko się telepie, łącznie z nami... wszędzie tumany kurzu... do tego robi się ciemno, a na drodze nie ma żadnych znaków informujących o tym, czy prowadzi ona do kempingu czy też nie. Nie mija nas żaden samochód i zaczynamy nabierać podejrzeń, że najzupełniej w świecie zabłądziliśmy. W końcu chyba po godzinie takiego telepania odnajdujemy jeden z trzech zaznaczonych na mapie kempingów – Blind Sucker #1 (13 USD/noc), który o dziwo jest pełen ludzi. Na nasze szczęście są jeszcze 2 wolne miejsca. Szybko bierzemy prysznic w naszej kabinie, Mundi dla zasady spala parę patyków i zapadamy w głęboki sen.

6 sierpnia. Po pysznym śniadaniu ruszamy dalej drogą dla czołgistów i zatrzymujemy się za kempingiem Lake Superior (brak wolnych miejsc!) na chwilowy relaks. Plaża jest tu piaszczysta, pełna wielkich otoczek, i nikogo poza nami tu nie ma. Ponure niebo jest w pełni zachmurzone, co trochę odbiera blasku temu miejscu. Jedziemy dalej na wschód (H58/407) i dojeżdżamy do parku stanowego Muskallonge Lake, mijając po drodze małą osadę, której nazwa nawet nie widnieje na naszej mapie topograficznej. W parku jest kemping, na którym przy okazji dobieramy wody do naszego zbiornika w kempingowozie. Jezioro, o dziwo, bardzo płytkie, pełne jest olbrzymich muskie/musky, czyli ryb z rodziny szczupakowatych (nazwa w języku Indian Ojibwa oznacza „brzydki szczupak”) o bardzo dużych rozmiarach, dochodzących do prawie 2 metrów długości i 30 kg wagi. Muskie są super drapieżnikami, żywiącymi się rybami, żabami, węzami, ptakami, myszami, a nawet młodymi muskie i tylko człowiek – rybak jest dla nich jedynym zagrożeniem.

Zatrzymujemy się na chwilę na placu zabaw, żeby dzieciaczki troszkę dały upust swojej energii, a następnie drogą 407/H37 (asfaltową wreszcie na szczęście!) jedziemy na południe, skręcamy w 123 na północny-wschód, by dojechać do perełki tego regionu Tahquamenon Falls. Wodospady znajdują się w dwóch częściach parku – my zaczynamy od „górných”. Parking jest przeogromny, a tuż za nim istne miasteczko pełne straganów z pamiątkami, restauracja, lodziarnia, browar... Do tego jeszcze trzeba dodać setki turystów i robi się z tego niezły komercyjny młyn. Wodospady same w sobie są bardzo spektakularne i jest kilka miejsc, z których można je oglądać. Przechodzimy przez wszystkie, kończąc na 100-stopniowych schodach, i następnie na skróty przez las wracamy na parking, racząc się jeszcze słodkimi malinami rosnącymi na krzakach.

Na parkingu postanawiamy, że skorzystamy z jednej komercyjnej oferty w tym miejscu – kręconych lodów, które dzieciakom sprawiają niesamowitą frajdę (w tym czasie zepsuła się maszyna do lodów, przez co w ramach rekompensaty za długie oczekiwanie dostajemy mega, a raczej przemega porcję). Wodospady w części dolnej są równie komercyjne, aczkolwiek piękne. Za 20 USD można pożyczyć sobie łódkę, żeby przepłynąć na wyspę rzeczną, która pozwala na całkowitą eksplorację wodospadów. Ludzi tu jak mrówek, nie czuję w ogóle klimatu tego miejsca. Ja osobiście bardzo źle znoszę miejsca tego typu i dlatego nie podoba mi się tu wcale, ale Mundi wraz z dziećmi tryska humorem. Niedaleko wodospadu jest kemping, z którego bezpłatnych pryszniców korzystamy z radością i jedziemy na zachód słońca do Whitefish Point. Po drodze jednak trafiamy na lokalną wędzarnię ryb (Brown Fisheries – skrzyżowanie 123/Whitefish Point Road), w której zaopatrujemy się w „whitefish” (9 USD/funt). Po zakupach mkniemy już prędko na północ i pomimo że Great Lakes Shipwrecks Museum (bilet 13 USD/os.) jest już zamknięte, zwiedzamy wszystkie obiekty z zewnątrz. Przy samym Superior jest spora platforma widokowa na jezioro i plażę. Chcieliśmy na koniec pobytu tutaj przejść sobie krótkim szlakiem po lesie (Interpretive trail), ale po 15 sekundach obsiada nas chmara komarów i mimo zesprejowania prawie całej butelki płynu, komarów nie ubywa, a wręcz stają się jeszcze bardziej kąśliwe. Uciekamy więc z lasu czym prędzej i postanawiamy jechać dalej w celu poszukiwania mniej zakomarzonego noclegu. Docieramy do „rest area” za Newberry (28/117 okolica Watson Corner) już dawno po zachodzie słońca. Tu zostajemy na noc.

7 sierpnia. Dzień rozpoczynamy od wizyty w Seney National Wildlife Refuge – Wi-gwam Access Point (przy drodze nr 77). Tu spacerujemy po grobli, podziwiając podpływające do nas ciekawskie łabędzie(Trumpeter Swan). Park ten można określić jako mokradła, jeziora, bagna, porośnięte bujną roślinnością i zamieszkałe przez tysiące gatunków ptactwa i zwierzyny. Jednym słowem: raj dla ornitologów, zoologów i botaników... no i rybaków, którzy mogą sobie tu zarzucać wędki od późnej wiosny do końca września i wyciągać szczupaki, pstrągi czy sandacze (wystarczy tylko ważna licencja rybacka na stan Michigan wykupiona np. w Walmarcie za 68 USD – ważna cały rok).

Po krótkim spacerze i podkarmieniu łabędzi polnymi kwiatkami i trawą jedziemy do Visitor Center, gdzie dzieci mają okazję podotykać i pobawić się wypchanymi wieiórkami, wydrami czy bobrami. Stoją też wypchane okazy niedźwiedzia, wilka czy lokalnie występujących kilku gatunków sów. Na stoliku z eksponatami przeznaczonym dla dzieci do dotykania są też kości, całe szczęki czy wyprawione skóry zwierząt, pojemnik z piaskiem, gdzie najmłodsi mogą sobie odbijać ślady zwierząt, używając specjalnych pieczętek. Nasi młodzi są wniebowzięci i spędzamy tu ponad godzinę, żeby mogli się tym wszystkim pobawić... i przytulić do każdego wypchańca. Na tarasie budynku ustawiona jest luneta wycelowna w gniazdo rybołowa, którego mamy akurat okazję podziwiać wracającego do domu ze zdobyczą w szponach. Zwiedzanie tego parku polega na bardzo powolnym przejechaniu autem wyznaczoną jednokierunkową trasą (długość 7 mil) i wypatrywaniu zwierząt i ptaków, których jest tu mnóstwo. Nam udało się zobaczyć wydry rzeczne, żurawie kanadyjskie, rybołowa, łabędzie, kaczki z gatunku loon i bobra.

Pogoda niestety zaczyna się psuć i pada deszcz. Zjeżdżamy drogą nr 77 na południe do 2-ki i dalej 432/431 dojeżdżamy do wybrzeża jeziora Michigan. Stoi tu – od-

malowana jak z obrazka – latarnia morska Seul Choix Point z 1895 roku (bilet 5 USD/os.). Na latarnię nie wchodzimy i oglądamy wszystko z zewnątrz, zaglądając tylko do „muzeum – szopy” pełnej pozostałości z wraków statków i wyblakłych czarno-białych zdjęć. Ponieważ deszcz przybrał na sile, uciekamy do auta i jedziemy do Manistique – miasteczka słynącego z dziwnego betonowego mostu (Siphon Bridge), który w zależności od stanu wody w kanale może być w niej zanurzony „po brzegi” i idąc takim mostem możemy z łatwością rękami dotykać wody (most to taka betonowa rynienka, wewnątrz której można przejść). Budowa tego mostu i całej przemysłowej infrastruktury dookoła miała miejsce w 1919 roku, kiedy to zakłady papiernicze potrzebowały olbrzymiej ilości energii do produkcji. Skonstruowano wtedy równoległy do rzeki kanał, gdzie woda płynęła na wyższym poziomie prosto z tamy.

Deszcz tak strasznie pada, że nie mamy ochoty wychodzić z samochodu... nie ma też żywej duszy na ulicach, by zasięgnąć języka. Ruszamy więc dalej 442-ką na zachód do Palms Book State Park, trafiając po drodze na Jansen's Fishery (pyszny wędzony pstrąg!!!). Park słynie z krystalicznie czystego jeziora, z którego środka bije źródło nazwane – Kitch-iti-kipi Spring. Głębokość jego wynosi ponad 12 metrów, a ilość krystalicznie czystej wody bijąca z jego wnętrza w ciągu sekundy to 630 litrów!!! Na środek źródła – jeziora można dostać się za pomocą zadaszonego minipromu (wstęp bezpłatny), którym operującymi są sami turyści, kręcąc wielkim kołem – sterem. Wypłynęliśmy więc poruszani mięśniami Jasia, który dzierżył ster przez cały „rejs”. Na środku promu jest wielki otwór, przez który widać piaszczyste dno z wielkimi bąblami wypychanymi z dna wody. Co chwilę widok ten zakłócają olbrzymie, dorodne pstrągi, pływające we wszystkich kierunkach. Stojąc na brzegu, woda wydaje się być turkusowożółtozielona. niesamowity widok. Deszcz ciągle pada, więc po zobaczeniu tego cudu natury wskazujemy do auta i jedziemy dalej 2-ką na zachód w kierunku Garden Peninsula. Skracamy w 183-kę na południe i mijając sady i pola docieramy do Fayette State Park. Deszcz przybrał na sile, więc nawet nie wychodzimy z auta. Postanawiamy rozejrzeć się za miejscem na nocleg. Zjeżdżamy na sam południowy koniec półwyspu nad zatokę Sac Bay i tam na końcu świata znajdujemy jakby zapomniany Colonial Park (mały park z placem zabaw i drewnianym kibelkiem). Dla poprawy humoru serwujemy sobie wędzoną rybkę na kolację.

8 sierpnia. Słońce!!! Super nowina – zaczynamy dzień z wielką radością. Jadąc w kierunku Fayette, zatrzymujemy się w Sac Bay „ghost town”, by pstryknąć kilka strasznych zdjęć duchów w prześcieradłach. Na parkingu w parku stanowym jesteśmy jako pierwsi i rozpoczynamy zwiedzanie od Visitor Center (interaktywna makietą oryginalnego historycznego miasta). Cały kompleks składa się z 20 odrestaurowanych lub zrekonstruowanych budynków (m.in. szkoła, sklep, opera, biura, hotel, rezydencje mieszkalne, maszynownia) wypełnionych pamiątkami po ówczesnych mieszkańcach i 2 wielkich piecy hutniczych i piecy do wyrobu węgla drzewnego. Fayette było miasteczkiem przemysłowym, którego główną produkcję stanowiła surówka hutnicza, z niej później wytwarza się stal i żeliwo. W wielu pomieszczeniach lub przed spotkaniem można było wolontariuszy poprzebieranych w stroje z XIX wieku, fascynatów – rzemieślników z dumą prezentujących swoje dzieła. Najbardziej urzekł nas pan wyrabiający łuki i strzały metodą prymitywną, czyli za pomocą tego, co sam znajdzie w lesie. Sznurek do łuku robił z drzewa, groty do strzał z krzemieni. Wśród swoich rekwizy-

tów miał też torbę ze skóry upolowanego przez siebie czarnego niedźwiedzia (klapa tej torby była misiowa buzia). Po czterech godzinach opuszczamy ten wspaniały, żywy skansen i udajemy się na superobiad do naszego RV-ika. Dzisiaj szefowa kuchni serwuje spaghetti z sosem pomidorowym prosto ze słoika. Nasza wycieczka powoli dobiega końca i z żalem żegnamy się z Upper Peninsula.

Wracamy drogą 2/35, jadąc zachodnim brzegiem jeziora Michigan. Zatrzymujemy się jeszcze na pożegnanie w parku stanowym J. W. Wells, gdzie malcy bawią się na plaży, budując skomplikowany system tam. Dojeżdżając do miasta granicznego z Wisconsin odkrywamy jeszcze jedną perełkę: miasto Menominee, pełne odrestaurowanych XIX-wiecznych budynków, z mnóstwem restauracji i galerii. W mieście odbywa się akurat jakiś festyn, więc zostajemy na chwilę... i tylko na chwilę, bo okazuje się, że na festynie poza masą żądnych społecznej integracji przy piwku i otaczających ten tłum policjantów nic się nie dzieje. Przedostajemy się na drugą stronę rzeki Menominee i już jesteśmy w Marinette w stanie Wisconsin. Dzień ma się już ku końcowi, więc zaczynamy rozglądać się za noclegiem, co okazuje się już nie takie proste jak wcześniej, bo tereny, przez które jedziemy, są rolniczo-przemysłowe i nie ma ciekawych miejscówek na nocleg. Ostatecznie lądujemy na „rest area” za Green Bay (168 mila, Hwy 43).

9 sierpnia. Nasz ostatni dzień wakacji spędzamy w zasadzie objeżdżając nadbrzeżne miasteczka. Manitowoc to pierwsze miejsce, gdzie się zatrzymujemy – to tutaj w 1962 roku na jedną z głównych ulic miasta spadł ważyący ponad 9 kg fragment radzieckiego satelity Sputnik. Dzień zaczynamy w malutkim Lincoln Park ZOO (wejście bezpłatne). Dzieci są zachwycone, my również, czytając wszystkie ciekawostki na tablicach informacyjnych ulokowanych przed każdą klatką ze zwierzęciem. Np. to, że kozy uwielbiają pływać, orły mogą wznieść się na wysokość 3000 metrów, sowy mogą usłyszeć mysz wędrującą 30 cm pod śniegiem itp.

Kolejny punkt dzisiejszej wycieczki to Wisconsin Maritime Museum (bilet 15 USD/os.) i po rozsądnej naradzie część męska towarzystwa udaje się na zwiedzanie muzeum, damska pozostaje w RV-iku i relaksuje się czytaniem książek. Po 2 godzinach chłopaki wracają pełni wrażeń i wiedzy na temat statków, łodzi podwodnych i wszystkiego, co potrafi pływać. Następny przystanek to Sheboygan z wystawionym wrakiem statku Lottie Cooper niedaleko mariny. Następnie miasteczko Kohler – stolica najlepszej jakości zlewów, wanien i toalet. Zaglądamy tu do Kohler Design Center – „show roomu” firmowego, z ciekawymi modelami armatury łazienkowej, a także całymi modelami kuchni i łazienek. Wszystko to piękne i stylowe... a najbardziej ceny, czy stają w poprzek.

Jedziemy dalej wzdłuż wybrzeża na południe do Port Washington – przyjemnego, portowego miasteczka, którego centrum szpecą, niestety, kominy elektrowni ulokowanej nad jeziorem Michigan. Ponieważ jest wczesne popołudnie, ruszamy dalej do Cedarburga i jego słynnej winiarni na degustację pysznego lokalnego winka. Po drodze mijamy uroczy Grafton i zatrzymujemy się na parkingu przed winiarnią Cedar Creek. Winiarnia oferuje darmową degustację wszystkich win, które sprzedaje. Wybornie smakuje La Belle Vie – idealne białe wino w taki upał. Po spróbowaniu i zakupieniu kilku wybornych trunków udajemy się na zwiedzanie budynku (winiarnia ulokowana jest w starym młynie pełnym staroci). Miejscówka świetna! Świetne jest też całe miasteczko Cedarburg – pełne restauracji i galerii sztuk. I tu kończymy, niestety, nasze wakacje pełne niezapomnianych chwil i miejsc. Przez Milwaukee wracamy do Chicago.

Katarzyna Anoszczenko (Zuza)
Rafał Robak (Mundi)

Kalifornia południowa – road trip późną jesienią



Termin: 18 listopada – 3 grudnia 2015

Uczestnicy: Zuza (Katarzyna Anoszczenko), Mundi (Rafał Robak), Janek Robak i Basia Robak

Trasa: Chicago – Kalifornia: Los Angeles, Manhattan Beach, Palos Verdes, San Pedro, Long Beach, Huntington Beach, Balboa Beach, Balboa Island, Mission San Juan Capistrano, Ortega Hwy (74), Lake Elsinore, Orange Empire Railway Museum, Pines to Palms Hwy (74), Palm Desert, Indian Canyons (Andreas Canyon & Palms Canyon), Palm Springs, Joshua Tree National Park (Trails: Ryan Ranch & Hidden Valley), Noah Purifoy Outdoor Desert Art Museum, Old Woman Spring Road (274), Camp Rock Rd (18), San Bernardino National Forest, Big Bear Lake, Rim of the World Drive, Horsethief Canyon Rd (138), Mormon Rocks, Canyon Road (138), Angeles Crest Hwy (2), Big Pines Hwy (N4), Antelope Valley Fwy (14), Vasquez Rocks, Mission San Fernando Rey De Espana, Golden State Hwy (5), Paso Robles Hwy (46), Hwy 1, Cambria, Piedras Blancas Elephant Seal Rookery, William R. Hearst Memorial State Beach, San Simeon State Park, Cambria, Morro Rock, Los Osos Elphin Forest, Montana de Oro State Park, Los Padres National Forest, Mission San Luis Obispo de Tolosa, Port San Luis, Monarch Butterfly Grove, Pismo Beach, Hwy 1, La Purisima Mission State Historic Park, Solvang, Mission Santa Ines, Las Cruces Hot Springs, Hwy 154, Stagecoach Road, Knapp's Castle Trail, Chumash Painted Cave, Santa Barbara (Santa Barbara Mission, County Courthouse, Stearns Wharf), Montecito, Carpinteria Seal Sanctuary Trail, Ventura – San Buenaventura Mission, Hwy 101, Hwy 1, Mugu Point, Santa Monica, Hollywood (Christmas Parade, Walk of Fame, Mulholland Scenic Drive), Los Angeles (Art District, Japan Town, El Pueblo Historic Monument, China Town, Walt Disney Concert Hall), Venice, Santa Monica.

Przewodniki: *South California* Atlas Delorme; *Coastal California* (Lonely Planet) Sara Benson & Andrew Bender, *Top 10 Los Angeles* (Eyewitness Travel); *California* Esther Labi; *Los Angeles, San Diego and Southern California* (Lonely Planet) Sara Benson & Andrew Bender; *Hiking Southern California* Ron Adkinson; www.hikespeak.com; www.modernhiker.com.

Pogoda: Czas, który wybraliśmy na wycieczkę, okazał się idealny. Temperatury oscylowały od 28°C na wybrzeżu do 0°C wysoko w górach. Było słonecznie z jednym jedynym opadem deszczu, który zdarzył się na szczęście w nocy. Poza tym był to „martwy” okres turystyczny, a więc nie musieliśmy przeciskać się przez tłumy innych turystów.

Koszt przelotu: Chicago – Los Angeles – Frontier Airlines – 472 USD/4 os. (w cenę wliczony koszt programu Den Deals 50 USD, dzięki któremu można kupić bilet w ekstremalnie niskiej cenie. Program zniżkowy ważny jest przez cały rok – od momentu pierwszej transakcji i umożliwia zakup biletów dla 6 osób).

Środki transportu: Kempingowóz, czyli RV (Apollo RV Rental, 8559 Artesia Blvd, Bellflower, CA). Całkowity koszt wynajmu RV na 12 dni – 902 USD (silnik V8, długość 22 stopy- wersja najmniejsza); w wyposażeniu RV: kuchenka, zlew, lodówka, zamrażalka, prysznic, WC, 2 duże łóżka, rozkładana kanapa i stół, generator i klimatyzator oraz TV/DVD. Koszt wynajmu RV poza sezonem turystycznym jest ponad trzy lub nawet czterokrotnie niższy!!!. Bazowa promocyjna cena przy rezerwacji wynosiła 496 USD (następnie dodano do tej kwoty – bond administration fee 30 USD, przejechane mile według stawki 0,45 USD/mila i podatek 10%, co razem wyniosło 902 USD).

Kilka słów o wypożyczaniu RV: W opisie naszej wycieczki znajdują się dokładne informacje, jak korzystnie wypożyczyć i podróżować RV (recreational vehicle). Jest to najbardziej wygodna wersja wakacyjna, szczególnie, jeśli podróżujemy z dziećmi i chcemy jak najwięcej zobaczyć, nie marnując czasu na codzienne poszukiwanie moteli czy hoteli. W Kalifornii jest wiele firm zajmujących się wypożyczaniem tego typu aut – od minivanów do olbrzymich gabarytowo autobusów wycieczkowych (m.in. El Monte RV, Cruise America, Camper USA, 1st Choice RV, Corona Motorhome, Jucy RV Rentals, Road Bear RV itp). Ceny w sezonie sięgają horrendalnych sum, dlatego warto przemyśleć wybór innego terminu i zaoszczędzić dzięki temu cały worek dolarów. Inną bardzo korzystną finansowo opcją mobilnych wakacji jest tzw „relocation”, czyli w ciągu danego przez firmę czasu (z reguły jest to tydzień lub trochę dłużej) musimy przewieźć auto z punktu A do punktu B (np. z Las Vegas do Los Angeles). Opłata jest wtedy symboliczna – od 1 USD do kilkunastu dolarów za dzień. Jeśli chcemy pojeździć sobie trochę dłużej, to wypożyczalnia liczy nam np. 60 USD za każdy kolejny dzień. Oferty „relocation” można znaleźć m.in. na stronie www.transfercarus.com lub bezpośrednio na każdej stronie internetowej w wyżej wymienionych firmach wypożyczających RV.

Dodatkowe opłaty: Naliczanie mil – z reguły w pakiecie początkowym jest 500–1000 mil, za które nie płacimy, a potem za każdą następną przejechaną milę płacimy około 0,35–0,45 USD (można też na wstępie wykupić sobie dodatkowy pakiet milowy, ale w przypadku ich niewykorzystania firma nie zwraca pieniędzy). Do rachunku doliczana jest też kwota 100–200 USD, tzw. „preparation fee” oraz opłata administracyjna. W zależności od firmy jest też dodatkowa opłata za korzystanie z generatora – może być liczona za każdą zużytą godzinę (3 USD) lub wykupiona jako pakiet 5 USD za każdy dzień. Jeśli ktoś nie chce wchodzić w koszty generatora, to trzeba w Walmarcie kupić „power inverter”, by móc naładować (poprzez gniazdko zapalniczeki) baterie laptopa, telefonu itp. My nie używaliśmy w ogóle generatora. Właściwie to generator umożliwia pracę tv/dvd, mikrofalówki i klimatyzatora, gdy pojazd nie jest podłączony do prądu np. na kempingu. Woda i propan są nabite do pełna i w przypadku firmy Apollo nie musieliśmy się martwić uzupełnianiem tego przy zwrocie auta, a je-

dyne o co należało zadbać, to opróżnienie zbiorników z brudną wodą i zatankowanie benzyny do pełna. Samochód przed oddaniem należy sprzątnąć – tzn. zamieść podłogę miotłą (która jest na wyposażeniu), zmyć naczynia i ogarnąć z grubsza wszystko inne. W firmie Apollo dostaliśmy za darmo zestaw naczyń, garnków, sztućców itp, natomiast wiele firm liczy sobie około 50 USD za wypożyczenie takowego zestawu. Rezerwując RV, musimy również zapłacić zaliczkę – w naszym przypadku było to 250 USD (która przepada w wypadku rezygnacji). Godziny odbioru (12.00–16.00) i zwrotu RV (9.00–11.00) nie są zbyt korzystne. A za każdą godzinę spóźnienia płacimy około 25 USD (tak przynajmniej jest napisane w regulaminie). I na sam koniec dochodzi jeszcze podatek liczony od całej kwoty. Przy odbiorze kampera firma pobiera również depozyt na czas korzystania z auta i wynosi on w przypadku Apollo 1500 USD (trzeba zapłacić kartą kredytową). Depozyt jest zwrotny, gdy podczas końcowej inspekcji wszystko z autem jest OK.

Koszt benzyny: RV – 387 USD (147 galonów = 1325 mil), średnie spalanie 9 mil/galon. Samochody osobowe: Advantage Rental – Volkswagen Jetta 30 USD/1 dzień; Fox Rental Car – Toyota Corolla 31 USD/1 dzień. Średnia cena benzyny: 2,80 USD/galon (1 galon w przybliżeniu to 4 litry).

Długość trasy: RV – 1325 mil plus osobówki – ok. 57 mil + 60 mil. Razem 1442 mil = 2321 km.

Noclegi: bezpłatnie na ziemiach federalnych lasów państwowych (National Forest) oraz bezpłatnie gdziekolwiek indziej, tylko 1 nocleg płatny – kemping w N. F. 18 USD/noc.

Co szokuje? Olbrzymia liczba ludzi bezdomnych, koczujących w okolicach plaż i centrum Los Angeles oraz kwoty, jakie płacić muszą turyści za kalifornijskie atrakcje. Przykładowo wjazd na plażę należącą do stanu Kalifornia płaci się 15 USD. Jeśli chce się „zaoszczędzić”, roczny karnet do wszystkich stanowych parków w Kalifornii 195 USD, 4-godzinny rejs dookoła Channel Islands 99 USD/os., bilet do Disneyland 99 USD/os.).

Southern California Annual Adventure Pass (30 USD) potrzebny w: Angeles National Forest, Cleveland National Forest, Los Padres National Forest, San Bernardino National Forest (zakupiony online www.myscenicdrives.com), ważny przez 12 miesięcy od daty zakupu. Niezbędny, jeśli ktoś zamierza korzystać z kempingów lub szlaków turystycznych należących do wyżej wymienionych lasów państwowych.

Całkowity koszt wycieczki: 2516 USD.

RELACJA Z PODRÓŻY

18 i 19 listopada. Tłumy ludzi; 2-godzinne opóźnienie lotu spowodowane awarią systemu wodnego w naszym samolocie, zamieszanie, wszechobecna dezorientacja i my z dwójką małych, zmęczonych i miauczących dzieci w tym wszystkim... I dodać jeszcze należy, że od momentu wystartowania (to jej lotniczy debiut) Basia nasza wrzeszczała (a to piosenkarski debiut) prawie do momentu lądowania, czyli od 11.00 w nocy do prawie 4.00 nad ranem. Tak właśnie zaczęły się nasze wakacje. Ale później było już na szczęście tylko lepiej. Po 4,5 godzinach „morderczego” lotu wytoczyliśmy się z naszym całym dobytkiem (a było tego sporo: z 2 walizkami, 2 siedzonkami dla dzieci, wózkiem, torbą pieluchową, plecakiem i przeciążoną, wypchaną po brze-

gi torbą laptopową) przed terminal w Los Angeles. Z tym całym tobołem wyglądaliśmy po prostu jak typowi przedstawiciele tanich linii lotniczych. Po kilku minutach złapałszy bezpłatnego busika transferowego do wypożyczalni samochodów Advantage, gdzie mieliśmy zrobioną wcześniej rezerwację na osobówkę. Busiki takie kursują całą dobę pomiędzy wypożyczalnią a lotniskiem. W miarę szybko udało nam się załatwić formalności, chociaż trafiliśmy na wyjątkowo niekumatego pana, który na naszą prośbę o „hatchback car” zaoferował nam kabrioleta. W końcu z braku laku wypożyczyliśmy sedana Volkswagena Jetty (intermediate size) i udaliśmy się kawałeczek dalej (ulicą Sepulveda South skręciliśmy do Pine Road) na 2-godzinną drzemkę, po której zaczęliśmy realizację naszego planu organizacyjnego.

O godzinie 7 rano zawitaliśmy na śniadanie do Whole Foods z planem zakupu warzyw i owoców, ale po zorientowaniu się w cenach szybko ta myśl nam odeszła. Ceny jabłek zaczynały się od 3,99 USD/funt (czyli prawie pół kg), organiczne truskawki 7,99 USD/funt (zadziwiające jest to, że te same warzywa i owoce w Chicago w sklepie tej samej sieci kosztują o wiele taniej, a przecież pochodzą z Kalifornii). Kupiliśmy więc bułkę i kefir na śniadanie i rozsiedliśmy się wygodnie w części jadalnej sklepu. Basia co chwilę wskakiwała na krzesła i stoły, co w znaczący sposób rozbudziło nerwy ochroniarza i nie omieszkął podchodzić do nas i zwracać nam uwagę. Zapoznaliśmy się z miłą Polką, która siedziała obok. Pani Ewa wyklada geologię w pobliskim collegu i wyglądała na szczęśliwą osobę, ale ktoś zamieszkujący wybrzeże Kalifornii nie jest szczęśliwy? Raj to na ziemi przecież... Po tym jakże bogatym posiłku podjechalśmy na pobliską plażę – słynną Manhattan Beach „wypożyczoną” w długie, zabytkowe moło. Zaparkowaliśmy przy samej plaży (parkometry 1,50 USD/godzinę) i powędrowaliśmy po przystrojonym świątecznymi choinkami moło do samego końca, gdzie znajdowało się minioceanarium, a raczej kilka zbiorników z płaszącymi w środku rekinkami. Budynek był generalnie zamknięty, ale krzątająca się tam pani z obsługi pozwoliła naszym szkrabom na chwilę zajrzeć do środka i nacieszyć oko. Zeszliśmy na klasyczną kalifornijską plażę – wszczepioną wzdłuż pokrytą boiskami siatkowymi, gdyż Manhattan Beach jest tym dla siatkówki plażowej, co Wimbledon dla tenisa. Janek i Basia w końcu stali się najszczęśliwszymi dziećmi pod słońcem. Gonili się z falami, ładując co chwilę w wodzie. Przez prawie 2 godziny biegali po plaży jak opętani... co jednoznacznie określało nas jako przybyszy z kosmosu. Nikt poza naszymi dziećmi nie zachowywał się w ten sposób, bo też i lokalne dzieci do fal przywykły, ale miło było patrzeć, jak spalają skumulowaną energię na skokach do wody.

Po tym przyjemnie spędzonym czasie musieliśmy się zbierać i załatwiać wszelkie inne formalności związane z zakupami i wynajmem RV-ika, bo w wypożyczalni musieliśmy się zjawić o godzinie 12.00. Zajechaliśmy po drodze to sklepu ze sprzętem turystycznym REI (1800 Rosecrans Ave, Manhattan Beach) w celu zakupu/„pożyczki” plecaka-nosidełka dla Basi, co w praktyce okazało się nie lada wyzwaniem, ponieważ córka nasza kochana usadowiła się w namiocie wystawionym na środku sklepu na wystawie i za nic w świecie nie dała się stamtąd wyprowadzić, wrzeszcząc wniebogłosy, kiedy próbowaliśmy przymierzyć ten plecak. I jak to zawsze bywa, zbiegło się pół obsługi sklepu, próbując pomóc nam w tej czynności. Niestety Basia do nosidełka włożyć się nie dała i kupiliśmy go w ciemno, wierząc informacjom na ulotce (dotyczącym limitu wagowego dziecka).

Po tej szopce zgłodnieliśmy nieco, a że nasz ulubiony sklep – Trader Joe’s był tuż obok, wskoczyliśmy na małe co nieco (zawsze mają tam smaczne przekąski jako degustacje i darmową kawę), robiąc przy okazji zakupy na podróż. Ledwo udało nam się wepchać wszystkie sprawunki do auta, a i tak musieliśmy jechać z torbami na kolanach. Teraz już tylko należało jak najszybciej przetransportować się do wypożyczalni naszego domku na kółkach, co też uczyniliśmy. Na miejscu w ciągu półtorej godziny załatwiliśmy wszystko, łącznie z krótką prezentacją obsługi kempingowozu i przeładowaniem wszystkich bagaży i zakupów do środka. Propan był naładowany do pełna (gaz zasila lodówkę, ogrzewanie i oczywiście kuchenkę), woda również. Generator w schowku – w razie czego. Poza tym firma Apollo jako jedna z niewielu ma w darmowym zestawie telewizor z DVD (zasilany generatorem lub podłączem do prądu np. na kempingu) oraz zestaw naczyń, garnków, sztućców i ekspres do kawy (jest nawet korkociąg do wina i durszlak).

Samochód w środku prezentował się znakomicie. Dużo przestrzeni i wszystko w miarę dobrze usytuowane. Chociaż jak dla nas był trochę za długi i za wysoki, co stanowiło czasami problem z parkowaniem. Ale była to i tak najkrótsza wersja do „zdobycia”. Kolejnym miejscem, które musieliśmy odwiedzić w celu zaopatrzenia się w niezbędne rzeczy, był Walmart (3705 E. South Street, Long Beach). Wiele rzeczy musieliśmy kupić „w razie czego” (np. lekarstwa), by potem z zatrzymanym rachunkiem – korzystając z praw konsumenckich – móc je spokojnie zwrócić i odzyskać pieniądze. Tak to działa w Ameryce i każdy z tego korzysta – „klient nasz pan”. Następnie pędem pojechaliśmy (na 2 auta) znowu w okolice lotniska do wypożyczalni Advantage, w celu zwrócenia samochodu osobowego i na szczęście udało się nam to zrobić w miarę „zgrabnie”, unikając popołudniowych korków (samochód przed oddaniem musi być zatankowany do pełna, bo w przeciwnym razie za każdy brakujący galon doliczają dużą karę). Mieliśmy jeszcze nadzieję, że uda nam się „złapać” zachód słońca na plaży, ale niestety dotarliśmy już po całym widowisku. (Słońce o tej porze roku zachodzi bardzo wcześnie, czyli w okolicach godziny 17.00). Za to podświetlone dekoracje bożonarodzeniowe nadały temu miejscu szczególny charakter. Z Manhattan Beach, pojechaliśmy na nieco komercyjną promenadę miejską i przystań do Redondo Beach, by w końcu spokojnie coś zjeść i wziąć prysznic w naszym superdomu na kółkach. Ciężko było nam się poruszać i parkować tą kolumbryną, bo nie jest to raczej miejski samochód. W niedługim czasie znaleźliśmy się w niedalekiej uliczce i poszliśmy spać, bo brak snu poprzedniej nocy dał nam się porządnie we znaki.

20 listopada. Szybka poranna akcja i przed 7.00 zebraliśmy się z naszego miejsca noclegowego i przenieśliśmy się na inne parkingowe miejsce, niezauważywszy znaku informującego o tym, że właśnie dzisiaj jest tu zakaz parkingu od godziny 8 rano z powodu sprzątanía ulic. Zjedliśmy sobie smacznie śniadanie i już mieliśmy odjeżdżać, kiedy to pani policjantka wręczyła Mundkowi przez okno mandat za parkowanie w niedozwolonym miejscu (45 USD). Tak właśnie cudownie zaczął się pierwszy dzień kalifornijskiego zwiedzania. Cóż, pojechaliśmy w kierunku Palos Verdes, mijając wielomilionowe rezydencje i wyskakiwaliśmy co chwilkę na szybkie zdjęcie na tle klifu lub oceanu. Zagadnęła nas miła pani z sąsiedztwa spacerująca z psem i po krótkiej rozmowie na temat parkowania utwierdziła nas w przekonaniu, że policjanci z Redondo Beach są wyjątkowo „niegrzeczni”. Cóż, nie zmienia to faktu, że mandat trzeba zapłacić

i to w jak najszybszym czasie. A oto instrukcja: kupuje się tzw. „money order” na daną kwotę (np. w Walmarcie), wypisuje się numer mandatu na „money order”, wypełnia się mandat i w dołączonej kopercie, naklejając zwykły znaczek („forever”), wysyła się pod wskazany adres. Za dni kilka, by uniknąć kar ze strony wypożyczalni aut, lepiej upewnić się na stronie internetowej, w tym przypadku firmy MoneyGram, czy czek został już spieniężony.

Następnym przystankiem jest Point Vicente Lighthouse & Interpretive Center (31501 Palos Verdes dr, Rancho Palos Verdes), skąd mamy okazję podziwiać z daleka (zamkniętą dla turystów) latarnię morską Point Vicente oraz wysokie, strome klifowe wybrzeże, wszechobecne palmy i przyjemne muzeum (otwarte 10.00–16.00, gratis). Jest to znakomite miejsce do obserwowania wielorybów (w poprzednim sezonie od listopada do maja widziano ich tu 4441 sztuk). Z klifu, na którym zbudowane jest Interpretive Center, podobno „gołym okiem” widać pomarańczowe ryby zwane garibaldis (oficjalna ryba – symbol Kalifornii). My jednak, pomimo zapewnień pań tam pracujących, nic nie dostrzegamy. Ruszamy dalej w kierunku osuwiska Portuguese Band. Pogoda w ogóle jest znakomita, jak na tę porę roku – ciepłutko i słonecznie; jedynym mankamentem jest długość dnia – zaledwie niecałe 11 godzin, dlatego postanawiamy codziennie wstawać o 5.00 rano, by zdążyć zjeść śniadanie przed wschodem słońca i wraz z nim rozpocząć zwiedzanie.

Następnie zajeżdżamy do szklanej kapliczki Wayfarers (5755 Palos Verdes Dr S, Rancho Palos Verdes, wejście bezpłatne), będącej dziełem syna znanego architekta Franka Lloyda Wrighta. Miejsce to jest wpisane na listę „US National Register of Historic Places” i popularne wśród nowożeńców ze względu na bardzo atrakcyjne położenie nad oceanem, przepiękny ogród i oczywiście romantyczną atmosferę (koszt ceremonii ślubnej waha się zaledwie od 1500 do 3000 USD w zależności od dnia tygodnia). Jadąc dalej Palos Verdes Drive, dotarliśmy do miejsca, skąd ze zbocza naszym oczom ukazał się trzeci co do wielkości port kontenerowy na świecie, jednym słowem: największy port, jaki w życiu widzieliśmy. Nie sposób było to ogarnąć wzrokiem. Większość tego, co przytływa z Azji do USA, jest przeładowywane właśnie tutaj, w Long Beach. Podobno rocznie rozładowują tu około 7 milionów kontenerów wypełnionych po brzegi produktami made in China.

Ruszyliśmy się kawałek dalej od „miejsca widokowego” i zaparkowaliśmy przy Korean Bell of Friendship (3601 S Gaffey St, San Pedro, gratis). Jest to wielki 17-tonowy dzwon wykonany z brązu, umiejscowiony pod tradycyjnym, bogato zdobionym, kolorowym dachem, wspartym na 12 kolumnach (reprezentujących znaki zodiaku koreańskiego) i jako całość tworzy bardzo ciekawe miejsce, na pewno godne odwiedzenia, szczególnie w porze zachodu słońca. Posuwając się dalej na południe wzdłuż zatoki, zatrzymaliśmy się przy Fish Market (w San Pedro), tu poza zakupem ryb można wybrać się na rejs statkiem po zatoce lub „podglądanie wielorybów”, oferowane poza sezonem jedynie w weekendy. Jako że w brzuchach nam burczało z głodu, kupiliśmy sobie kanapki z rybą, co niestety okazało się totalnym niewypałem, bo tuńczyk w kawałku bułowego chleba okazał się wyłowiony prosto z puszki i w dodatku zatopiony w tłustym majonezie. A do tego jeszcze rozpieszczone przez turystów mewy siadały nam na ramionach niemalże, próbując wysępić chociaż odrobinę poślitku dla siebie. Zniesmaczony tym kulinarnym „wydarzeniem” Mundi zaczął rozglą-

dać się staranniej po „okolicy” i odkrył fantastyczną ofertę, a mianowicie: można było sobie samemu wybrać świeżą rybę w sklepie i następnie poprosić kucharza, który za darmo tę rybę przyrządzi na grillu. Wybraliśmy więc dwie zupełnie przez nas nieznanne wcześniej gatunki ryb, jakie znaleźliśmy w chłodni – mullet i pompalo – pochodzące podobno z Meksyku (w ofercie była też ryba o wdzięcznej nazwie robalo, ale jakoś nie odważyliśmy się jej spróbować). Atmosfera isticie odpustowa, do „kotleta” przygrywa nawet skocznie meksykański zespół mariachi. Jaś tymczasem przykleił się do automatów do gry, a Basia od jednej do drugiej bujanej zabawki na monety. Po 30 minutach dostaliśmy z powrotem nasze wygrillowane ryby i od razu pobiegliśmy z nimi do RV-ika, bo mieliśmy już dosyć wszędzie szwędających się mew i ich błagalnych, utkwionych w nas oczu. Mullet okazał się w smaku nawet OK, natomiast ryba pompalo raczej nie przypadła nam do gustu.

Kilka mil od targu rybnego ulokowany jest ponad 300-metrowy, zabytkowy transatlantycki statek Queen Mary (1126 Queens Hwy, Long Beach), w którym obecnie znajduje się hotel, muzeum i restauracje oraz centrum handlowe. Tam też pojechaliśmy. Statek uważany jest za jedno z 10 miejsc w Ameryce najbardziej nawiedzonych przez duchy – tak przynajmniej uznał „Time Magazine” w 2008 roku. Za „jedyne” 80 USD od osoby można wybrać się na 2,5-godzinną wycieczkę w poszukiwaniu zjaw i upiórów. Jednemu z pracujących tu przewodników (o nazwisku Peter James) podobno udało się skontaktować ze 150 duchami zamieszkującymi na statku. Cóż, na pewno nie będziemy tego sprawdzać. Dodatkową atrakcją zacumowaną tuż przed Queen Mary jest radziecka łódź podwodna „Skorpion” i należący do niej sklep z suwenirami, przywołującymi czasy komunizmu (m.in. T-shirty i kieliszki z napisem CCCP, radzieckie odznaki i medale, żołnierskie czapki za jedyne 300 USD/sztuka, wańki-wstańki, matrioszki itp.). Do kompleksu „statkowego” przylega bezpośrednio (sezonowa, jak myślę) wioska świętego Mikołaja, gdzie właśnie trwają generalne próby przed wieczornymi występami. Kilka wystrojonych w króciutkie spódniczki mikołajek wykonuje po kolei swoje partie wokalne, a my jesteśmy jedyną ich publicznością. Wszyscy biegają i kończą przygotowania do zapewne dzisiejszego otwarcia sezonu świątecznego. Ponieważ słońce już zaszło, wracamy do auta i zaczynamy powoli rozglądać się za noclegiem, co wcale nie okazuje się łatwe. Dojeżdżamy do Huntington Beach i wbijamy się gdzieś pomiędzy Ocean Drive i ulicę 17, gdzie nie ma zakazu postoju.

21 listopada. Wstajemy o 5.00 rano i po błyskawicznym śniadaniu parkujemy przy Ocean Drive, podziwiając wschód słońca. Surferzy zaczynają już swoje popisy na wysokich falach, rowerzyści prześcigają się z rolkowcami i porannymi biegaczami, na plaży grupka młodych kobiet ćwiczy jogę. W Huntington Beach, jak w całym Orange County, życie koncentruje się na plaży. Dzień tutaj budzi się, jak widać, na sportowo. Zatrzymujemy się na tyłach ekskluzywnego centrum handlowego Huntington Beach (na wszystkich parkingach przy plaży limity długości samochodu nie pozwalają nam znaleźć miejsca) i wybieramy się na spacer na molo, skąd podziwiamy wyczyny wielu, jak na Surf City USA przystało, beachboysów brykających na deskach. To co nas tu najbardziej cieszy, to widok przesiadujących na barierkach mola pelikanów, którym rybacy wrzucali resztki wypatroszonych ryb prosto do dziobów. Te wielkie ptaki nie czuły żadnego lęku przed człowiekiem, bo stał się ich podstawowym żywicielem. Z innych stworzeń, których obserwacją możemy się cieszyć, są dwie foki, które Jasio wypatrzył

między deskami w molo. Młoda foczka płaśła w wodzie wokół swojej, jak mniemamy, mamy. Po kilkuminutowym wpatrywaniu się we wszystko dookoła – schodzimy na plażę i pozwalamy dzieciom poszaleć z dobijającymi do brzegu falami, co oczywiście sprawia im niesamowitą radość.

Robimy kilka ciekawych fotek i po 2 godzinach jedziemy już dalej wzdłuż wybrzeża Pacyfiku do Balboa Beach, przypominającego swym stylem i bogactwem kurorty z Łazurowego Wybrzeża. Udać nam się znaleźć parking pomiędzy tymi bogatymi domostwami i dzięki temu spędzamy godzinę na plaży miejskiej, gdzie tuż wzdłuż brzegu przed naszymi oczami przepływają trzy delfiny. Plaża jest praktycznie wyludniona, może ze względu na bardzo wysokie fale i ostrzeżenia przed wchodzeniem do wody. W centrum miasteczka wśród wąskich uliczek odnajdujemy wejście na prom, który przewozi samochody i pasażerów na wyspę Balboa, ale niestety gabaryty naszego RV-ika nie pozwalają nam z niego skorzystać. Robimy więc podział drużyny i ja z Jasiem wchodzimy na pokład promu, a Mundi z Basią podążają drogą lądową na około, by nas odebrać po drugiej stronie. Za prom płacimy dosłownie 1,25 USD za dwie osoby, ale i dystans do pokonania jest śmiesznie krótki. Cała frajda trwa może 2 minuty. Płyniemy przez zatoczkę pełną jachtów. Mundi po pokonaniu całej trasy przez Newport Beach nie może wyjść z zachwytu po mijanych po drodze salonach samochodowych Porsche, Maserati, Bentley'a.

Kolejną na naszej drodze zamożną wioską (dzisiaj, gdyż niegdyś była biedną osadą cyganerii artystycznej) jest Laguna Beach. Podziwiamy ją jednak już tylko z okien samochodu, pędząc w kierunku Mission San Juan Capistrano (otwarta 10.00–17.30, bilet 9 USD/os., 6 USD/dziecko). Miejsce pełne uroku i ciekawych historii okazuje się hitem dnia. Jedyną niedogodnością były wszędzie porozstawiane na dziedzińcu misyjnym stoły i przygotowująca się obsługa dużego przyjęcia, które miało miejsce tuż po zamknięciu obiektu dla zwiedzających. W misyjnym ogrodzie wokół fontanny z japońskimi karpiami i innymi orientalnymi rybami gigantyczne kaktusy i drzewka pomarańczowe, uginające się pod ciężarem owoców, a we wnętrzach komnaty z pełnym wyposażeniem, dzwony kościelne i oryginalna kaplica, pamiętająca czasy św. Junipero Serra (jedyna w Kalifornii, w której odprawiał mszę). Jest to jedna z 21 katolickich misji rozsiansych wzdłuż tzw. El Camino Real (drogi królewskiej) – na pewno jedna z piękniejszych, jakie uda nam się zobaczyć podczas tej wycieczki. Gdy już opuściliśmy miasteczko, włączono dodatkowy atut fotogeniczny – mianowicie: kolorowe iluminacje świetlne, które dodały uroku temu miejscu po zmroku.

Trasą 74 Ortega Highway wyjeżdżamy z miasteczka przez góry w kierunku Palm Springs, szukając szansy na wykorzystanie w pełni możliwości naszego wozu. Według mapy topograficznej miały być tu ulokowane kempingi należące do Cleveland National Forest. Ku naszej rozpaczy okazało się, że – jako że po sezonie – były niestety zamknięte. Szlabanu nie dało się sforsować, musieliśmy więc spędzić noc przy drodze na dzikiej zatoczce pod wielkim „baobabem”.

22 listopada. Obudziliśmy się jeszcze przed 5.00 rano i po śniadaniu zaczęliśmy jechać dalej 74-ką, zatrzymując się na chwilę w miejscu piknikowym, gdzie nabieraliśmy sporo drewna na ognisko. Zjechaliśmy z gór w kierunku jeziora Elsinore i dalej 74-ką dotoczyliśmy się do Orange Empire Railway Museum w Perris, które było niestety zamknięte (choć i tak nie zachęcało do odwiedzin). Tutejsze okolice w niczym nie

przypominały nadoceanicznych kipiących bogactwem miasteczek, a wręcz odpychały swoją brzydotą i biedą, a także wszechobecnym bałaganem. Być może to nasz błąd w percepcji tych obszarów, gdyż nie mogąc przywyknąć do braku zieleni trawników, jakimi syciły oko nadbrzeżne rolowane dywaniki muraw, stojące w kontraście do tychże wypalonych kalifornijskim słońcem półpustynnych nieużytków, odbieraliśmy krajobraz jako zaniedbany, brzydki i biedny. Ale w zasadzie taka jest cała Południowa Kalifornia, która w ostatnich latach na domiar tego boryka się z klęską suszy i deficytu wodnego. Generalnie nic się tu nie działo. Po drodze zatankowaliśmy w Hemet (za 2,59 USD za galon) i nabraliśmy wody do zbiornika RV – bezpłatnie z automatu na stacji benzynowej przy zakupie paliwa. Przemknęliśmy w miarę sprawnie do Valle Vista, skąd zaczęliśmy powoli wspinać się stromą drogą (trafnie nazwaną Pines to Palms Road) w góry San Jacinto. Chyba jest to ulubiona trasa sprawnościowa dla motocyklistów na ścigaczach, bo przemknęło ich tu brawurowo chyba ze 30.

Przed dojechaniem do Palm Desert zatrzymujemy się jeszcze na dwóch dużych punktach widokowych, skąd rozpościera się panorama pustyni, a na jednym z nich Mundi znowu nie może wyjść z zachwyty, ujrawszy Lamborghini Diablo, i zamiast podziwiać krajobraz, jego wszystkie zmysły skupione są na ten majstersztyk włoskiej motoryzacji. Jest to bynajmniej przedsmak przepychu tego, co zobaczymy w dolinie, bowiem kurort Palm Springs i okolice to ulubiony „plac zabaw” hollywoodzkich gwiazd i zamożnych ludzi z przemysłu filmowego. Jadąc 111-ką przez miasto, dojeżdżamy do Canyon Road, prowadzącej do Indian Canyons (teren rezerwatu indiańskiego), skąd zamierzamy wybrać się na 2 krótkie szlaki (wjazd do parku kosztuje 9 USD od osoby). Zaczęliśmy od totalnej petardy!!! – Andreas Canyon (długość 1 mila) – szlak zaczyna się w oazie wypełnionej palmami (i w niej też się kończy). Przez środek oazy przepływa wartki potok – ewenement jak na tak suchą pustynię. My poszliśmy w odwrotnym kierunku niż sugerowała parkowa mapa, dzięki czemu wędrowaliśmy bez żadnych „ogonków”. Basia dzielnie siedziała w plecaku i dopiero pod koniec szlaku musieliśmy ją wypuścić z zamknięcia, żeby chwilę pobiegała dookoła palm.

Ponieważ zostało nam bardzo mało czasu do zachodu słońca, pogrzailiśmy ile sił w silniku do Palm Canyon, ale tu niestety ku naszej rozpaczy musieliśmy porzucić nasz samochód dużo, dużo przed oficjalnym parkingiem, ponieważ nie zmieściłby się między skałami, gdzie prowadziła droga. I tak pieszo dowlekliśmy się po pół godzinie do parkingu i dosłownie minuty dzieliły nas przed zapadnięciem ciemności. Adrenalina podniosła się dodatkowo po przeczytaniu ostrzeżeń dotyczących grzechotników (Use extreme caution!!! Rattlesnakes!!!). Popatrzyliśmy jeszcze chwilę na koliberki pijące wodę z małych buteleczek przyczepionych do sznurków przy budynku Trading Post i ruszyliśmy ścieżką w dół kanionu, żeby zobaczyć chociaż słynną powykręcaną palmę znaną ze zdjęć w Internecie. Byliśmy już tu zupełnie sami. Mundeł wdrapał się na tę palmę i zażyczył sobie sesję zdjęciową, którą wykonałam błyskawicznie w ostatnich przeblyskach dziennego światła.

Szybko, już po zmroku wróciliśmy do auta i ruszyliśmy w poszukiwaniu obiecanego dzieciom w mieście placu zabaw. Dzieci szalały jak opętane na ślizgawkach z lokalnymi dziećmi, a ja w końcu zabrałam się za przygotowywanie gorącej strawy. Nawet nie przypuszczaliśmy, że makaron z sosem pomidorowym może smakować tak wyśmienicie. Wykąpaliśmy się szybko, zahaczyliśmy jeszcze o Walmart w celu zakupu „mo-

ney order" (na nasz mandat za parkowanie) i ruszyliśmy dalej w kierunku wschodnim. Wydostając się z Palm Springs, zamiast posłuchać się rad GPS-a, który „kazał” jechać nam okreśną drogą omijającą autostradę, zaczęliśmy na nią wjeżdżać, ale widząc kilometrowe korki, miny nam od razu zrzedły. Zauważyliśmy ciekawą praktykę lokalnych kierowców, którzy jeden po drugim zaczęli wycofywać się z powrotem na wjazd... po boczem oczywiście. Skoro inni tak robią, to i my grzecznie ustawiliśmy się na poboczu, włączyliśmy światła awaryjne i zaczęliśmy powolutku cofać, by przez następne godziny nie tkwić na zakorkowanej autostradzie. Okazało się to bardzo dobrym pomysłem, bo następnie, jadąc wzdłuż autostrady Hwy 10, z satysfakcją patrzyliśmy, jak nasza decyzja uchroniła nas przed stratą cennego wakacyjnego czasu. Kiedy w końcu dotarliśmy do wjazdu do Joshua Tree National Park, od razu zjechaliśmy z Cottonwood Springs Road (prowadzącej do parku) i zaparkowaliśmy w miejscu dozwolonym do kempingowania za darmo (na stronie internetowej parku jest mapa, gdzie za darmo można kempingować). Nocne pustynne niebo rozświetlał księżyc, a do snu kołysał nas szum pobliskiej autostrady... po prostu pełen romantyzm.

23 listopada. Wstajemy o 5.00 rano i od razu wjeżdżamy do parku, mijając zamknięte Visitor Center (w godzinach jego otwarcia powinno się uiścić opłatę 20 USD za wstęp) i szukamy jakiejś ciekawej miejscówki, by obserwować wschodzące słońce. Przy okazji połykamy błyskawicznie śniadanie i jesteśmy już gotowi do wędrowania po pustyni.

Pierwszym punktem jest Cholla Cactus Garden, który okazał się dla nas miejscem niestety boleśnie zapamiętanym. Nie wiem, czy ktokolwiek zdaje sobie sprawę, jaki ból odczuwa się po zetknięciu z tym kaktusem. Najpierw ja zupełnie przez przypadek wdepnęłam w kulkę kaktusową, której kolce zakotwiczyły się momentalnie w wystającym z sandała kawałku mojej stopy. Zaczęłam krzyczeć wniebogłosy, bo ból był straszny, a nie dało się tego badziewia za nic wyciągnąć ze stopy. Jakimś patykiem w końcu odczepiłam kulkę kaktusa, ale kilka igieł dalej tkwiło i powodowało niesamowity ból. Na pomoc przybył Mundi i tak zajęci reanimacją mnie nie zauważyliśmy, gdy za chwilę niczego nieświadoma Basia złapała delikatnie chollę i cała wielka kaktusowa iglasta kula wczepiła jej się w dłoń. Widok był straszny. Moja rana to było nic w porównaniu do Basiuni. Mundi, widząc to, próbował ręką wyrwać całość, ale sam się nadział na zakotwiczone się kolce i też zaczął wrzeszczeć wniebogłosy. Jedynie Janek zachował zimną krew i świątły umysł, wychodząc cało z tej sytuacji, zaczął w pośpiechu szukać dużych patyków, żeby w jakiś sposób usunąć iglastą kulę. Niestety nie udało nam się wyjąć krwiożerczego kaktusa z rączki konającej z bólu Basi i pobiegliśmy szybko do RV-ika w celu znalezienia czegoś bardziej praktycznego. I tu dopiero wielkimi widłami do grilla i jakimś widelcem udało nam się wyszarpać kaktusa z rączki, która była już cała zakrwawiona. Potem jeszcze pincetą usuwaliśmy pojedyncze kolce-kotwice i cała operacja zakończyła się powodzeniem. Biedna, wycieńczona z bólu, zestresowana i zapłakana Basia poszła od razu spać, a my ruszyliśmy dalej, pukając się w głowy, jak mogliśmy pozwolić dwuletniemu dziecku biegać swobodnie po ogrodzie pełnym kaktusów.

Z głównej drogi skręciliśmy na zachód w Park Blvd, zostawiając za plecami (jak się potem okazało) tę najmniej ciekawą część parku. Zdecydowaliśmy się na spacer po szlaku Ryan Ranch (1,2 mili), który zaprowadził nas do ruin adobe – starych zabudo-

wań rancza, w którego murach podobno można dostrzec kawałki prawdziwego złota, jako że było budowane z materiału z hałdy po kopalni o bogatej zawartości tego kruszcu. Szlak jest bardzo przyjemny i prowadzi w zasadzie po płaskim terenie szeroką ścieżką wśród drzew Jozuego. Pośród ruin budynków mieszkalnych łatwo dostrzec porzucane niedbale „zabytkowe” puszki, wijące się metalowe kawałki ogrodzeń, studnię, resztki jakichś bliżej nieokreślonych metalowych „antyków”. Po krótkim spacerze podjeżdżamy do Keys View – punktu widokowego, skąd rozpościera się panorama na otaczające nas góry i dolinę Coachella. Kilka mil dalej jest wyjście na szlak Hidden Valley (1 mila) – jeden z najpiękniejszych miejsc w parku. Jak widać, większość odwiedzających też tak uważa, bo razem z nami szlakiem przemierzają pielgrzymki, podziwiając otaczające bobkowatokszałtne skałki (mekka wspinaczy skałkowych) i wyschnięte poskręcane od wiatru drzewa.

Krótki dzień już niestety ma się ku końcowi, więc ze smutkiem opuszczamy teren parku i jedziemy do Noah Purifoy Outdoor Desert Art Museum (63030 Blair Lane, Joshua Tree; wjazd gratis, czynne od świtu do zmierzchu). Dojazd jest trochę pogmatwany i trzeba skorzystać z podpowiedzi, jakie są na yelp.com. Docieramy tu wraz z ostatnimi promieniami słońca i udaje nam się jeszcze spędzić chwilę, podziwiając artystycznie pozytywne zakręcone twory wyobraźni pana Noah. Generalnie rzecz ujmując, jest to jedna wielka awangardowa graciarnia złożona z połączonych z artystycznym smakiem w sposób zorganizowany rzeczy, jakie można znaleźć na przeciętnym wysypisku śmieci. Wszystkie konstrukcje znajdują się na terenie posiadłości właściciela-artysty, ale jego samego nie udaje nam się spotkać. Miejsce pozytywnie odjechane i, będąc w okolicy, trzeba je koniecznie zobaczyć.

Wracamy do głównej drogi i w miasteczku Joshua Tree tankujemy oraz nabieramy wodę do RV-ika w – zorientowanym na wszelakiej maści wagabundów – rock’n’rollowym Coyote Corner Store & Bath House, gdzie można wykupić sobie prysznic i przy okazji wygrać niekończący się konkurs fotograficzny zatytułowany „Przed kąpielą i po”. Sam w sobie sklep jest ciekawym drewnianym obiektem iście z „dzikiego zachodu”, otoczonym zewsząd wielgaśnymi kaktusami. W poszukiwaniu noclegu wyjeżdżamy z miasteczka drogą 247 na NW, a następnie skręcamy w Camp Rock Rd na południe w kierunku Big Bear Lake. W miejscowości Cushenbury mijamy jakieś przerażliwe wielkie cementownie należące do Mitsubishi. Po przekroczeniu granicy federalnych lasów San Bernardino National Forest zjeżdżamy z 18-tki od razu „do rowu” i zapadamy w szybki sen.

24 listopada. Jeszcze przed świtem wyruszamy w dalszą drogę, wspinając się bardzo stromą 18-tką i podziwiając wschodzące słońce. Jezioro sztuczne Baldwin, które mijamy, pozbawione jest w ogóle wody, poziom Big Bear Lake też jest znacznie obniżony. Zapewne dowód to na borykającą się od kilku lat z suszą Kalifornię i „kierowanie” wody w rejonu bardziej potrzebujące. W pewnym momencie po wjechaniu na podjazd lokalnej poczty nastąpiła spektakularna „stłuczka” zastawy stołowej, czyli wszystkie rzekomo „nietłukące się” naczynia (będące na wyposażeniu naszej RV-ikowej kuchni), wyleciały z szafki i potłukły się w drobny mak. Na szczęście nikomu nic się nie stało, tylko do listy zakupów musieliśmy dopisać komplet nowych naczyń.

Droga 18-ka, czyli Rim of the World Drive wiedzie nas krawędzią zbocza i mamy okazję podziwiać zapierającą dech w piersiach panoramę gór i zaległej w smogu ko-

tliny aglomeracji Los Angeles. Za Crestline skręcamy w 138-kę na północ i najbardziej hardcorową drogą jaką kiedykolwiek jechaliśmy, zjeżdżamy – ledwo się w niej zresztą mieszcząc – do jeziora Silverwood. Ten odcinek 138-ki jest niezwykle spektakularny – składa się w zasadzie tylko z serpentyn i w dodatku „wysadzany” jest wysokimi sośnami, sterczącymi na każdym z tych zakrętów. Jadąc nią, ma się wrażenie, że drąży się w jakimś wąskim labiryncie, staczając się po wielkiej stromiźnie w przepaść. Za jeziorem droga 138 już biegnie po praktycznie płaskim terenie. Mijamy malowniczo „przeładowane” Mormon Rocks i skręcamy w 2-kę, mając nadzieję na jej pokonanie. Niestety tuż za skretem mignął nam znak z informacją, że jakiś odcinek tej właśnie drogi jest zamknięty, co okazuje się niestety prawdą. Osuwisko skalno-błotne 5 mil od skrzyżowania zablokowało przejazd. Musieliśmy szybko zmodyfikować plan – skręcamy na N4 (Big Pines Hwy), prowadzącą przez San Andreas Rift Zone i otaczającą góry San Gabriel od północy, przeskakujemy na 14-kę, wiodącą do Mission San Fernando Rey de Espana (5 USD/os., czynne 9.00–17.00). Misja jest pełna skarbów i w zasadzie jest jednym wielkim muzeum z eksponatami umiejscowionymi w gablotach. Można zobaczyć tu krzesło, na którym siedział Jan Paweł II podczas swojej wizyty w 1987 roku. Same budynki są raczej skromne i nie tak spektakularne jak w misji Capistrano. Zwiedzamy jeszcze skromny kościółek (w którym akurat jakaś typowa latynoska para „lekką” przy tuszy bierze ślub) i delikatnie „obdartą” fontannę. I jak zwykle nasze zwiedzanie wygląda tak, że Mundi w zadumie czyta wszystkie opisy i podziwia eksponaty, a ja ganiam za dziećmi, gubiąc zbędne kalorie.

Po zamknięciu misji podjeżdżamy do Trader's Joe, aby zaopatrzyć się w indyka (niestety w plasterkach) na zbliżające się Święto Dziękczynienia. W Targocie udaje nam się znaleźć identyczną zastawę, która nam się niedawno stłukła i dosłownie „łapiemy” jej ostatnie opakowanie. Rozważając ambitny plan wakacyjny i podcinające nam skrzydła terminy, po szybkiej burzy mózgów wybieramy kompromis, by przenieść się szybko na „drugi koniec” Kalifornii i powoli od północy wracać do Los Angeles, skąd za tydzień mamy samolot do Chicago. I właśnie wtedy, podczas kilkugodzinnej nocnej jazdy na północ, jedyny raz w czasie naszej wycieczki pada deszcz. Rozpiętość cenowa benzyny wzdłuż autostrady nr 5 jest jakimś istnym szaleństwem – oscyluje od 2,59 do 3,75 USD za galon, i to dosłownie na obok sąsiadujących stacjach benzynowych. Po przejechaniu ponad 200 mil, będąc prawie u celu, zatrzymujemy się w przyjemnej zatoczce przy trasie Paso Robles Hwy (nr 46) i zapadamy w krótki, ale głęboki sen.

25 listopada. 5.00 rano pobudka, szybka owsianka i jesteśmy już gotowi powitać kolejny piękny dzień. Miejsce na nocleg okazuje się petardą i mamy szansę podziwiać z punktu widokowego oddaloną o ponad 20 mil Morro Rock w świetle wschodzącego słońca. Następnie, zjeżdżając z gór i łącząc się ze słynną „Jedynką” w miejscowości Cambria, skręcamy w prawo, zatrzymując się w najdalej na północ wysuniętym (z przyczyn czasowych) punkcie naszej wycieczki – Piedras Blancas Elephant Seal Rookery (położonej 12 mil na północ od Cambrii; wjazd bezpłatny) – będącej podobno domem dla liczącej 17 000 sztuk populacji słoni morskich (dla porównania w 1970 roku było ich tu zaledwie 20 sztuk). Widok jest po prostu obłędny – setki wielkich, tłustych, ryczących i wylegujących się na plaży ssaków, całościowo tworzy niepowtarzalny widok!!! Spacerujemy wzdłuż wybrzeża po drewnianym pomoście widokowym, obser-

wując z ciekawością pełzające po piasku zwierzęta. Co chwilę można też zobaczyć miniwalki „na ugryzienia” i ciężko tak naprawdę stwierdzić, czy jest to forma zabawy, czy rywalizacji. Samce tworzą sobie haremny liczące od 30 do 100 samic i rzeczywiście na plaży widoczne są przede wszystkim „panie”, dostrzegamy zaledwie jednego olbrzymiego samca. Taki „alfa szczęściarz” w ciągu swojego życia może dorobić się nawet 500 sztuk potomstwa. Zadziwiający jest fakt, że słonie morskie są szybsze niż człowiek. Jeśli ustawimy obydwu zawodników na wydmie piaskowej, to tonowe zwierzę poradzi sobie lepiej niż przeciętny homo sapiens.

Po opuszczeniu „fokowiska” zajeżdżamy do William R. Hearst Memorial State Park (wjazd bezpłatny) i od razu wskakujemy do Visitor Center, gdzie przemiła wolontariuszka zasypuje nas ciekawymi informacjami. Prezentuje miniaturowy kubeczek styropianowy, który swój nowy „skurczony” rozmiar zawdzięcza, na skutek zmiany ciśnienia, zanurzeniu bardzo głęboko w oceanie. Jasio maluje, koloruje, odgaduje zagadki, masuje czaszki fok i ogląda film o statkach podwodnych... prawdziwie zafascynowany. Pomimo dużego wiatru i bardzo niskiej temperatury wypuszczamy dzieciaki na plażę, gdzie szaleją tym razem w kurtkach i ciepłych czapkach, kopiąc doły plastikową koparką. Cały park otoczony jest przepięknymi eukaliptusowymi drzewami, nadającymi mu niesamowity klimat. Niedaleko plaży znajduje się zabytkowy sklepik/bar – Sebastian Store (z 1852 roku, 442 Slo San Simeon Road, San Simeon) „state historical landmark”, wypełniony na werandzie po brzegi rozbawionymi turystami, sączącymi wino i zającymi hamburgery.

My ruszamy dalej na południe, zajeżdżając tylko na chwilę na parking, należący do rezydencji Hearsta. Zwiedzać zamku nie zamierzaliśmy, bo z naszymi dziećmi wycieczki z przewodnikiem nie miałyby jakiegokolwiek sensu. (Bilet kosztuje 25–36 USD/osobę). Przejżdżamy przez Pico Beach, San Simon State Park (wjazd bezpłatny) i malownicze miasteczko Cambria (pełne malutkich, starych domków). Następnie wskakujemy na 1-kę i jedziemy do Morro Rock, zwanej Gibraltarem Pacyfiku – wulkanicznej 180-metrowej skały, określanej jako jeden z charakterystycznych miejsc środkowej Kalifornii. Widok robi rzeczywiście wrażenie... gdyby nie jedna rzecz, która bardzo psuje majestat Morro – 3 wielkie kominy stojące tuż za nią, a należące do elektrowni. Ktoś miał „światny” pomysł, żeby je tu umieścić. Następnie konkretnie pobłądziliśmy, szukając Los Osos Elfin Forest (gratis – najlepszy parking od ulicy 16-tej w Los Osos). Szlak ma około milę i wiedzie po drewnianej kładce, ukazując różne formy miniaturowego lasu. Nam najbardziej przypada do gustu zagajnik karłowatych dębów tworzących bardzo kameralne miejsce – labirynt.

Do Montana de Oro State Park (wjazd bezpłatny) wjeżdżamy już prawie o zachodzie słońca. Jest przeraźliwie zimno, ale nie przeszkadza nam to w szybkim biegu na plażę, by uchwycić tę „złotą” chwilę w obiektywie. Silny wiatr i szybko nastająca ciemność jednak przepędza nas (i nasze zakatarzone, „lejące” nosy) z powrotem do auta. Szkoda, bo miejsce jest bardzo spektakularne i chciałoby się tu zostać na dłużej, by delektować się wspaniałymi widokami. Musieliśmy jednak szybko opuścić park, który czynny był tylko do zmroku i jak najszybciej wykopać maluchy, które wyglądały jak kocmołuchy po zetknięciu z mokrym piaskiem na plaży. Po tych obowiązkowych czynnościach, do których dołączyliśmy jeszcze ugotowanie obiadu, zdecydowaliśmy się na nocleg na kempingu Cerro Alto w Los Padres National Forest (droga nr 41, 18 USD/

noc – system płatności kopertowy – „self-paid”). Na kemping wjeżdża się „dżunglowym labiryntem”, tzn. bardzo wąskim (wyglądającym jakby wyciętym maczetą) tunelem o pionowych ścianach pokrytych gęstą roślinnością. Niesamowite wrażenie, szczególnie jeśli wjeżdża się na kemping w nocy i jedynym oświetleniem są reflektory auta. Porównać to można do jakiejś sceny z horroru. Trzeba jechać kilka mil tym tunelem, zanim w końcu dotrze się do miejsc kempingowych. Prawie wszystkie miejsca były zarezerwowane, chociaż nikogo żywego tam nie spotkaliśmy. Żwawo zabraliśmy się do rozpalania ogniska, a że drewna mieliśmy duży zapas, to i ognisko z tego wyszło całkiem pokaźne. I tu powinien nastąpić szczęśliwy moment smażenia na kiju kiełbasek, ale czyż można być szczęśliwym piekąc tofurki??? Mundi, robiąc zakupy w spożywczaku, zamiast zwykłej kiełbasy kupił jej sojową imitację, co okazało się niezjadalne, a przynajmniej takie upieczone z ogniska. Drugą wersją jego zakupu okazuje się kurczakowa wersja „hot”, czyli dla mnie i dzieci nie do przełknięcia. I tak to pozwolić facetowi zakupy robić – to się najeść potem można, ale nerwów. W taki oto sposób kończymy dzień, piekąc chleb i zjadając go potem z ketchupem.

26 listopada. Zbieramy się jeszcze przed świtem, wyjeżdżając znowu tym straszonym tunelem. Śniadanie urządzamy sobie przy Morro Rock. Dzisiaj Święto Dziękczynienia, więc pora zasewnować naszego indyka w plasterkach (niestety, z przyczyn technicznych, słodkich ziemniaków i żurawiny brak). Około 8 rano jesteśmy już w San Luis Obispo. Parkujemy przy samej Misji (parkometry płatne od 9.00) i spacerujemy wokół kościoła, który wraz z muzeum okazuje się zamknięty z powodu święta. Objeżdżamy potem miasto i jeszcze raz zaglądamy do Misji (tym razem od strony „zaplecza”), by mieć pewność, że rzeczywiście jest dzisiaj zamknięta i ku naszemu zdumieniu znalazł się ktoś, kto drzwi jednak otworzył, a był to pan pianista z panią śpiewaczką, którzy zaczęli swoją próbę przed zapewne świątecznym występem. I dzięki temu udaje nam się zwiedzić kolejną Misję założoną przez Junipero Serra. W miasteczku można też zobaczyć „ciekawostkę”, a mianowicie Bubblegum Alley – czyli oblepioną gumą do żucia całą alejkę i ściany jej budynków. Jest to atrakcja raczej „niehigieniczna”, więc postanawiamy nie wprowadzać tam naszych dzieci, które pewnie z przyjemnością przeżyłyby sobie jakiś jej kawałek jeszcze raz.

Ruszyliśmy dalej na południe w kierunku Port San Luis – pięknej zatoki i portu oferującego świeże ryby i kraby oraz bezpośrednie zejście do rezydencji lwów morskich (sea lion). Parkujemy na olbrzymim (bezpłatnym) parkingu maryny (oferującym toalety i prysznice) i ruszamy na spacer na długie drewniane moło „zakończzone restauracją i hotelem”. Na końcu pomostu po stronie zachodniej znajduje się magiczna furka z napisem „Uwaga – lwy morskie i foki gryzą”. Można ją otworzyć i zejść kilka schodków poniżej głównego poziomu, aby spotkać się twarzą w pysk z ryczącymi fokami, które de facto nie wyglądają na zadowolone z powodu częstych odwiedzin. Wracamy do naszego domu na kółkach i zgodnie z amerykańską tradycją zasiadamy do świątecznego stołu, by celebrować Święto Dziękczynienia. Jak wspomniałam wcześniej, zadowolamy się plasterkowaną wersją indyka, co w zupełności nam – podobnie jak pierwszym osadnikom – wystarcza na zaspokojenie głodu.

Wracając przez Avila Beach, mijamy resorty oferujące gorące źródła i w nich lecznicze kąpiele. W Pismo Beach bezpośrednio przy „Jedynce” znajduje się Monarch Butterfly Grove – czyli miejsce, gdzie „zimują” motyle monarchy, oblepiając dosłownie

drzewa eukaliptusowe. Ich populacja sięga tutaj co roku około 25 tysięcy sztuk (w całej Kalifornii zimuje ich około 100 tysięcy rocznie), a w jednym miejscu może być ich tak dużo, że pod ich ciężarem łamią się gałęzie. Niektóre skupiska motyli zajmują obszar kilku hektarów lasu. Na jesieni lecące na południe motyle mogą pokonywać odległość nawet ok. 3000 km. Obserwując z daleka, mamy wrażenie, jakby to były pomarańczowe, ciężko zwisające z drzew liście lub jakieś grono owoców i dopiero patrząc przez porozstawiane wszędzie teleskopy widać, że to jednak tysiące motyli przylegają do siebie.

Na południe od „zagajnika motylego” znajduje się superplaża – rozległa Pismo State Beach, na którą można legalnie wjeżdżać i legalnie kempingować w samochodzie na plaży oraz legalnie na tej plaży palić ogniska (555 Pier Avenue, Oceano), płacąc za tę przyjemność 10 USD. Miejsc wolnych na kempingu tu nie uświadczy oczywiście, zresztą wszystkie kempingi w okolicy są już zapchane z powodu Święta Dziękczynienia. Parkujemy obok przy restauracji i zakładając „stroje kąpielowe” w postaci czapek i szalików idziemy na wietrzną plażę pobawić się trochę w piasku. Wieje okrutnie, ale dzieciom to nie przeszkadza tańczyć w mokrym piachu i co chwilę wbiegać do oceanu. Wielkie mewa-złodziejki, korzystając z chwili naszej nieuwagi, wyciągnęły worek z ciastkami z naszej torby i rzuciły się na niego jak wygłodniałe sępy, pozbawiając nas tym samym podwieczorku. Siedzimy sobie na tej plaży aż do zachodu słońca, który jest chyba najbardziej spektakularnym jaki udało nam się przeżyć podczas tych wakacji. W końcu zziębnięci wracamy do naszego RV-ika i bierzemy zasłużoną gorącą kąpiel, racząc się obiadokolacją w postaci oczywiście makaronu z sosem pomidorowym. Na plażowym parkingu nie możemy zostać na noc (przed wjazdem ustawione są znaki zabraniające „No overnight parking”), więc udajemy się w okolice Monarch Butterfly Grove i kempingu (North Beach campground), który nie dysponuje już wolnym miejscem. Parkujemy wzdłuż „Jedynki” i tu razem z innymi „bezdonnymi” turystami spędzamy noc.

27 listopada. Szybka pobudka i jeszcze po ciemku zabieramy się w to samo miejsce, gdzie wczoraj spędziliśmy popołudnie i wieczór, by z widokiem na ocean rządzić się poranną owsianką. Jedynką pośród truskawkowych plantacji jedziemy dalej na południe do stanowego parku historycznego La Purisima Mission (2295 Purisima Road, Lompoc; wjazd 6 USD/samochód, czynne 9.00–17.00). Miejsce to okazuje się wielką petardą!!! Wszystkie budynki są udostępnione do zwiedzania, można sobie dotknąć każdego eksponatu (lub raczej repliki) i poleżeć na pryczy sprzed prawie 250 lat. Nikt tu niczego w szaskłone gabloty nie powkładał i dlatego miejsce to jest tak bardzo autentyczne. I tak sobie chodzimy i zwiedzamy, aż tu nagle w pewnym momencie zabrakło Basi! Szukamy, wołamy – nic! Mija minuta, dwie, trzy... Basi nie ma! Poprosiliśmy o pomoc strażniczkę parku. Ona też szuka, woła i nic... Zaglądamy do wszystkich komnat, zakamarków – nie ma i koniec, zapadła się pod ziemię! Mamy serce w gardle, ręce spocone, w głowie się złe myśli kotłują... Jasio obiega całą misję trzy razy i nic... Przechesaliśmy jeszcze raz misję razem... i Jasio w pewnym momencie dosłyszał cichutkie kwilenie, gdzieś przy oknie jednej z komnat! Nasłuchujemy i rzeczywiście, coś jakby myszka cicho... ale nie ma jak wejść do środka, bo drzwi zamknięte, a przez zakratowane okno nikogo nie widać. Strażniczka wyjęła klucze i otworzyła drzwi – a tam w kąciuku siedzi Barbara R.! Pomiędzy kratą oddzielającą komnatę a drzwiami nasza córeczka sobie siedzi i czeka na to, co się wydarzy. Zatrzasnęła za sobą drzwi, ganiając się z Ja-

siem i zapewne otworzyć nie mogła od wewnątrz, a i przejść dalej do komnaty się nie dało, bo była taka krata „widokowa” tylko. I zamiast krzyczeć ze strachu, czy chociażby śpiewać, to siedziała cicho, a my dostawaliśmy szajby, nawołując ją. Ona nas zresztą doskonale słyszała, bo przecież wkładaliśmy głowy do każdego okna między kraty i wołaliśmy! Taka ta nasza Basia jajcara. Strachu nam narobiła. Strażniczka już w pewnym momencie myślała, że Basia wczołgała się do jakiejś studzienki albo tunelu... Po tym szczęśliwie zakończonym incydencie kontynuujemy zwiedzanie jeszcze przez 2 godziny i pełni wrażeń (mijając jeszcze potężnego byka z wielkimi rogami strzegącego swej zagrody) wracamy do auta.

Poprzez wzgórze z winnicami w dolinie rzeki Santa Ynez docieramy do Solvang (miasteczka stworzonego na styl duński), pełnego po brzegi turystów z całego świata. Atrakcja to iście komercyjna – sztuczne wiatraki, wielki sklep Lego, na każdym rogu piekarnia/cukiernia oferująca słodkie przysmaki. Pewnie duch Christiana Andersena też się gdzieś tam płatał pomiędzy tymi stylizowanymi duńskimi budynkami. Skuszeni namowami Jasia kupujemy kilka duńskich bułeczek i od razu tego żałujemy – gorszych gniotów to w życiu nie jedliśmy. Daliśmy się nabrać na „duński klimacik” i nawet dzieci tego zlepką teraz nie chcą ruszyć. Amerykańscy Duńczycy dużo się jeszcze muszą nauczyć w kwestii wypieków. Prawie w centrum miasteczka znajduje się Misja Santa Ines (bilet 5 USD/osoba, 1760 Mission Dr, Solvang) i szczerze mówiąc jest to najmniej atrakcyjna misja ze wszystkich, które widzieliśmy. Wszystko schowane w gablotach, przeciętny ogród z taką sobie stojącą na środku małą fontanną. W ciągu niecałej godziny udaje nam się wszystko zobaczyć i ruszamy już dalej na południe bardzo malowniczą leśną drogą (Alisal Rd – nr 264) do wodospadu Nojoqui. I tu czeka nas niemiła niespodzianka – szlak na wodospad zamknięty z powodu „niebezpiecznych warunków”. Taka wielka szkoda, bo wodospad jest naprawdę spektakularny.

Pełni rozgoryczenia pędzimy szybko na ostatnią już dzisiejszą atrakcję – Las Cruces (lub Gaviota) Hot Springs. Dojazd – jadąc od północy drogą 101 – zjazd na trasę nr 1, skręć w lewo, przejeżdżając nad 101-ką, a następnie od razu w prawo w tzw. „frontage road”, która prowadzi do parkingu – opłata 2 USD. Szlak prowadzi początkowo starą, stromą przeciwpożarową leśną drogą, mijając po prawej stronie piękne powalone drzewo, na które warto się wspiąć, by z bliska zobaczyć jego pokręcone wielkie gałęzie. Przy pierwszym rozgałęzieniu należy skręcić w lewo, przy następnym w prawo w wąską ścieżkę prowadzącą wzdłuż strumienia (uwaga na tzw. trujący bluszcz – poison ivy!!!). Dzikie kompleksy źródeł to dwa baseniki – górny i dolny umiejscowione wokół palm. Tak naprawdę nie są to gorące źródła tylko ciepłe – ich temperatura to komfortowe 32°C. Spotykamy tu grupkę sympatycznych Amerykanów, z którymi gaworzymy sobie przez godzinę, mocząc nogi w siarkowej wodzie (wydzielającej „wspaniały” odór zgniłych jaj). Jaś natomiast nie omieszkął spluskać się aż po samą szyję. Po zejściu ze szlaku wyznaczamy na mapie kierunek Los Padres National Forest i lokalizujemy serię kempingów, gdzie zamierzamy zrobić wielkie ognisko. Zawracamy w kierunku Solvang i dalej trasą 154 na wschód. Mijamy Lake Cachuma i dojeżdżamy do pierwszego kempingu – Fremont Campground (na Paradise Rd) i cóż za porażka – zamknięty... Dwa kolejne (Paradise & Los Prietos Campgrounds) wypełnione po brzegi. To już sobie pokempingowaliśmy... Przekłęty długi weekend! Zatrzymujemy auto w zatoczce przy wyjściu

na szlak pieszo-rowerowy (Snyder Trail – przedłużenie schodzącego od południa szlaku na Knapp's Castle) i tu zostajemy na noc.

28 listopada. Po rozgrzewającej porannej owsiance ruszamy z powrotem w kierunku 154-ki, ale nie dojeżdżamy do niej, tylko skręcamy wcześniej w lewo w historyczny trakt Old Stagecoach Road, który kryje w sobie niesamowite historie, pamiętające czasy dyliżansów. Jadąc w stronę Santa Barbara tą wąziutką, niebezpieczną drogą tuż nad przepaścią pośród wielkich starych drzew, oczom naszym jawi się ponad nami imponujący most Cold Spring Arch, którym przebiega obecnie trasa nr 154. Za moment natrafiamy na perełkę tego regionu – tawernę Cold Spring z 1865 roku (5995 Stagecoach Road). Miniaturkowe drewniane domki oblepione pnącym się wszędzie bluszczem i otoczone kamiennymi małymi płotkami, a w małych okienkach widoczne ledwo tłące się świece, czerwone pelargonie w rozpadających się donicach... w środku stare drewniane ławy, kominek, trofea myśliwskie na ścianach. To wszystko tworzy niepowtarzalny klimat – wypisz, wymaluj jak z czasów Robin Hooda. Tawerna jest jeszcze zamknięta, więc nie mamy okazji skosztować tutejszego jedzenia, ale ktokolwiek się tu pojawi w odpowiedniej porze, musi koniecznie tu „pobyć” i wchłonąć tę niesamowitą atmosferę przenoszącą w czasie.

Jadąc dalej, przecinamy 154-kę i wspinamy się East Camino Cielo Road, skąd po przejechaniu około 2 mil (mijamy Painted Cave Rd po prawej) wychodzimy na szlak Knapp's Castle (długość szlaku 0,8 mili). Spotykamy tu kilku rowerzystów kaskaderów, którzy ubrani w kaski i liczne ochraniacze rzucają się w dolinę razem ze swoimi rowerami górskimi, uskutekniając tzw. downhill biking. Ten szlak kończy się dokładnie w miejscu, gdzie dzisiaj nocowaliśmy, ale my pokonujemy tylko odcinek prowadzący do ruin pałacyku. Przed wejściem na posiadłość spalonego 75 lat temu zamku znajduje się szlaban z napisem informującym, że na teren prywatny przejść możemy legalnie, co też czynimy. Będąc na miejscu, panorama powala na kolana. Z samego zamku niewiele pozostało – zaledwie parę kamiennych łuków, ale można sobie tylko wyobrazić, jak mógł prezentować się w całej okazałości na tle tych wysokich, pięknych gór. Gdzieś niedługo widać pozostawione sprzęty budowlane sprzed kilku lat, kiedy to miała nastąpić odbudowa całego kompleksu.

Zadowoleni z satysfakcjonującego, acz niewyczerpującego spaceru, wracamy do auta i cofamy się kawałek wcześniej do drogi Painted Cave Rd, prowadzącej do malowideł naskalnych Indian w Chumash Painted Cave. Pomimo znaku informującego, że droga jest bardzo wąska i niebezpieczna i wjazd dużych samochodów jest nierekomendowany, postanawiamy zaryzykować. Droga okazuje się bardzo, ale to bardzo wąska i stroma. W zasadzie tak wąska, że powinna ona być jako jednokierunkowa. W niektórych momentach muszę nawet wyjść z auta i pilotować Mundka, bo trzeba również patrzeć na nisko zwisające gałęzie drzew, które mogą uszkodzić nasz pojazd wysokości 12,5 stopy. Mundek pokonuje prawie niemożliwe do sforsowania zakręty i w końcu podjeżdżamy pod jaskinię. Nie ma tu miejsca, żeby zaparkować, więc zostawiamy auto na światłach awaryjnych, jako że atrakcja jest tuż przy drodze. Ruszamy biegiem po schodkach, by zobaczyć ponad 400-letnie indiańskie graffiti. W związku z tym, że nasz wehikuł tarasuje całą drogę, nie możemy tu dłużej zostać i biegiem wracamy do auta.

Turlamy się dalej w dół w kierunku Santa Barbara, ale do pokonania mamy jeszcze jedną przeszkodę, a mianowicie: z drogi wyrasta wielka skała, tworząc jeszcze węższy przesmyk, który pokonujemy powolutku ze złożonymi lusterkami, wieńcząc przeprawę sukcesem. Jeśli nie udałooby nam się dokonać tego „bohaterskiego” czynu, utknęlibyśmy tu chyba na wieki, bo niemożliwe byłoby się jakkolwiek złamać, by zmienić kierunek jazdy na powrotny. Zatrzymaliśmy się na chwilę na sesję zdjęciową panoramy Santa Barbary na tle otaczających gór i oceanu z łańcuchem przybrzeżnych wysp Channel Islands. Słyszymy nagle tajemniczy głos, dochodzący z jakiejś rezydencji na wzgórzu z przestrogą, by nie próbować dalszej drogi wzwyż: „you’re not gonna make it...”. Jakże ten głos musiał się zdziwić, jak mu odpowiedzieliśmy, że właśnie tę drogę przebyliśmy.

Stoczyliśmy się tą dróżką do samego miasta i przy znaku informującym, że zaczyna się właśnie Santa Barbara, robimy naszej „świętej” Barbarze fotkę na tle znaku. Nie opieramy się kilku dojrzałym pomarańczom z obok rosnącego drzewka. W Santa Barbara Mission (bilet 8 USD/os.; 2201 Laguna St) udaje nam się zakombinować troszeczkę. Biletami są tu okrągłe naklejki z datą, które należy przykleić na piersi. Stojąc w kolejce, znajduję jedną taką naklejkę z datą dzisiejszą... w związku z tym płacimy tylko za jeden bilet. Ludzi jest tu co niemiara; dodatkowo odbywa się ślub w kościele i nie można do niego wejść przez następne półtorej godziny. Ogród też jest zamknięty dla zwiedzających, otwarte tylko małe muzeum z projekcją filmu i cmentarz misyjny – ogólnie mówiąc niewypał. Mundi zniesmaczony wrócił do kasjerki, kwestionując pobieranie opłaty wstępu, na co pani, przepraszając za zaistniałą sytuację, zareagowała zwrotem biletu bez żadnego problemu. Misja znacznie lepiej prezentuje się z zewnątrz niż w środku, zatem zostaje jeszcze chwilę, żeby zrobić zdjęcia, gdyż nie dano nam szansy we wnętrzach. Później podjeżdżamy pod budynek sądu (Superior Court of California 118 E Figueroa St; wejście bezpłatne, a parking przy ulicy – 90 minut bezpłatnie). Powłóczyliśmy się po wartych penetracji pięterkach i wjechaliśmy windą na wieżę widokową, skąd rozpościera się niesamowity widok (360 stopni) na całą okolicę.

Jako że dzień już się miał ku końcowi, pogналиśmy szybko do portu, by sprawić naszemu synowi jedyną w swoim rodzaju atrakcję, a mianowicie: rejs taksówką wodną Lil’ Toot, którą samodzielnie, chociaż pod ścisłym nadzorem kapitana będzie mógł poprowadzić. Zaparkowaliśmy z widokiem na zatokę przy plaży miejskiej Leadbetter Beach naprzeciw Shoreline Beach Cafe. Ja z Jasiem pogналиśmy w stronę portu, a tata z Basią wybrali się z wiaderkiem i łopatkami na plażę. Taksówki odpływają zawsze z doku przy 113 Harbor Ln. (zejście od strony Chuck’s Waterfront Grill) i dowożą ludzi do Stearns Wharf. Jako że jest już po sezonie, kapitan zakomunikował nam, że przepływanie jednak jedynie po marinie, zataczając pętlę. Za tę przyjemność trzeba było zapłacić podwójną stawkę (10 USD/osoba dorosła i 2 USD dziecko). Mimo wszystko widok Jasia, który z dumą dzierżył ster w dłoniach, był bezcenny. Pobujaliśmy się 20 minut pomiędzy jachtami bogaczy (kapitan wskazał nawet jacht Kevina Costnera) oraz wszędożyłskimi pelikanami siedzącymi na bojach i zawróciliśmy do punktu wyjścia. Jaś dostał od kapitana naklejkę z napisem Junior Captain i dumnie nakleił ją na piersi. Wróciliśmy do reszty drużyny i już wspólnie podziwialiśmy zachodzące słońce. Po smacznej jajecznicy z widokiem na morze ruszyliśmy w drogę w poszukiwaniu noclegu, co okazało się niebywale trudnym wyczynem. W Santa Barbara nie wolno parkować kampe-

rami w nocy, na każdym rogu i przy każdej ulicy stoi znak – „No RV parking”. Podjechaliśmy do następnego miasteczka – Montecito i tam krążyliśmy przez długi czas w poszukiwaniu jakiegokolwiek miejsca bez zakazu parkowania w nocy. W końcu stanęliśmy gdzieś w małej uliczce w osiedlu rezydencyjnym.

29 listopada. Jak zwykle jeszcze przed świtem ruszamy dalej – zatrzymując się na wschód słońca przy 101-ce, oczywiście z widokiem na ocean. Owsianka i kilka pięknych zdjęć wschodzącego słońca i już prujemy dalej na wschód do Carpinteria Bluffs Nature Preserve (południowy koniec Bailard Avenue, Carpinteria). Szlak wychodzi z parkingu w kierunku oceanu (około 1 mila) i prowadzi przez tory kolejowe do punktu widokowego, skąd można obserwować wielkie stado „pasących się” na plaży fok. Jest tu (był właściwie) zjazd na plażę – nad brzegiem oceanu widać śmiesznie stojący pionowo znak stopu, który najprawdopodobniej osunął się wraz z podmytą skarpią do oceanu. Jadąc dalej wzdłuż wybrzeża, tereny stawały się coraz bardziej zaludnione i komercyjne.

Wjeżdżamy do Ventura i parkujemy niedaleko Misji San Buenaventura, która jest naszym celem. Misję zwiedzamy za darmo (211 E Main; bilet 4 USD/osoba), bo akurat jest msza i kościół jest ogólnie dostępny dla wszystkich. Samo miasto osaczone jest przez chmary bezdomnych – są wszędzie, leżą na każdym trawniku, na każdej miejskiej ławce, na każdym parkingu. Widok nieciekawym i bardzo psujący oblicze tak ładnego miejsca. Jedziemy dalej 1-ką w kierunku Los Angeles, mijając Point Mugu, gdzie zatrzymujemy się na chwilkę relaksu przy drodze i podążamy na plażę poskakać trochę po wydmach. Wszystkie plaże są tu już płatne, ale gdzieś tam można legalnie zaparkować za darmo tuż przy oceanie. Chcieliśmy jeszcze przejść się szlakiem Point Dume Trail (Malibu Riviera, Cliffside Drive), ale niestety malutki parking jest cały załadowany samochodami, a przy gabarytach naszego pojazdu nie ma możliwości zatrzymania się w wąskich uliczkach. Jedziemy w takim razie bezpośrednio do Hollywood, gdzie Jaś i tata wyruszają na Christmas Parade (hollywoodchristmasparade.net), by spotkać się ze wszystkimi postaciami z bajek disneyowskich i poczuć klimat nadchodzących świąt Bożego Narodzenia (Hollywood Blvd & Sunset Blvd). My z Basią odpoczywamy sobie w spokoju, czytając książki i przygotowując bagaże do lotu. Po paru godzinach chłopaki wracają pełni wrażeń i ponieważ jest już bardzo późno, parkujemy w niedalekiej uliczce i idziemy spać.

30 listopada. Zaczynamy dzień od przejazdu po słynnej Mulholland Drive od wschodu – podziwiamy panoramę Los Angeles i wznoszący się po drugiej stronie autostrady 101 legendarny napis HOLLYWOOD. Liznąwszy przez szybę auta smaku high life’u, porzucamy trasę widokową, zjeżdżając do miasta przez Laurel Canyon Blvd i na Sunset Boulevard mijamy „The Viper Room” (klub należący kiedyś do Johnny Deppa), „Whisky a go go” (gdzie zaczynali The Doors, Janis Joplin, Guns N’ Roses), The Rainbow Bar i wiele, wiele innych kultowych miejsc na Sunset Strip, gdzie imprezują obecnie co bardziej rock’n’rollowi celebryci. Odwiedzamy Rodeo Drive w Beverly Hills, by przez okna samochodu podziwiać luksusowe butikie Giorgio Armaniego, Chanel, Prady, Versace czy Louisa Vuittona.

Mundi uparł się, że nie wraca bez autografu jakiejś gwiazdy, która zapewne zaopatrza się w torebki w jednym z tych ekskluzywnych sklepów. Przyklejony do wystawy co drugiego butiku (bo oczywiście nie śmiał wstąpić do żadnego z powodu zbyt niskie-

go limitu na karcie kredytowej), poddał się w końcu, bo ze względu na wczesną porę, niestety, jedynymi kręcącymi się tu osobami były latynoskie sprzątaczkі. Z wielkim rozczarowaniem więc Mundi opuszcza Rodeo Drive i kieruje nasz wehikuł w stronę El Pueblo w Los Angeles – historycznego dystryktu miasta. Znalezienie parkingu graniczy tu z cudem. Nawet te bardzo drogie (3 USD/20 minut) są już pozajmowane. W poszukiwaniu parkingu zajeżdżamy w tak obleśne miejsca, że wręcz nie wierzymy, że jest to centrum amerykańskiej metropolii. Wielkie koczowiska – pełne rozwianych namiotów albo skleconych niezdarnie kawałków skleki powiązanych sznurkami, by tworzyły schron przed otoczeniem, wszędzie toboły i wózki sklepowe wypchane po brzegi reklamówkami z butelkami i puszkami do zwrotu. Smród i odór unoszące się wokół takiego miejsca są nie do opisania. Krążymy i krążymy wokół śródmieścia jak satelity, trafiamy też na dzielnicę zakapiorów i dziwnych typów, i to wszystko w odległości 1–2 mile od centrum. W końcu już prawie zrezygnowani trafiamy do artystycznej dzielnicy – Art District i znajdujemy jedno, jedyne miejsce, które akurat ktoś zwolnił przy Cafe Gratitude (Santa Fe Ave/3rd street).

Dzielnica okazuje się przyjazna i widać, jak ktoś miał świetny pomysł, żeby z opustoszałych ruder magazynów fabrycznych zrobić ciekawe miejsca, które przyciągnęły jak magnes rzesze młodych ludzi. Powstają nowe modernistyczne budynki mieszkalne, a w starych urządza się sklepy z awangardową odzieżą, nocne kluby i galerie sztuki. Maszerujemy jakieś 2 mile do El Pueblo, zahaczając po drodze o japońską dzielnicę, w której odwiedzamy małe sklepiki pełne dziwnych rzeczy z niezrozumiałymi dla nas napisami. Okolice historycznego Puebla też są osaczone przez chmary bezdomnych, koczujących na każdym rogu. Władze miasta mają chyba z nimi wielki problem. Na pewno nie sprzyja to dobremu wizerunkowi miasta. Jak już dochodzimy do głównego placu (Paseo de la Plaza), robi się już bardziej nieprzyjemnie, bo zaczynamy być naga-bywani i proszeni o datki pieniężne. Przechodzimy na drugą stronę Main Street do kościoła Our Lady Queen of The Angels, wypełnionego meksykańskimi wiernymi. Jakaś młoda kobieta wchodzi na kolanach do kościoła, niosąc na rękach owiniętego w kocik noworodka. Meksykanie to bardzo religijni ludzie i stanowią wielką siłę kościoła katolickiego w USA. Przy północno-wschodniej ścianie kompleksu znajduje się obraz Matki Bożej z Guadalupe – patronki Meksyku, pod którym wierni układają tysiące kolorowych kwiatów i palą świece, prosząc o łaski.

Wracamy na plac i kręcimy się wśród licznych straganów z tradycyjnymi suvenirami o tematyce rodem z południowej granicy USA, a wykonaniem zapewne rodem z oceanu. Wchodzimy do Avila Adobe – najstarszej rezydencji w Los Angeles (1818 rok). Teraz jest to muzeum (wejście bezpłatne) z dziedzińcem kaktusowym i komnatami wyposażonymi w oryginalne eksponaty. Zaglądamy na chwilę do chińskiej dzielnicy, ale, szczerze mówiąc, jest tam brudno i nieciekawie. Udając się w kierunku naszego auta, odkrywamy świetny plac zabaw w Grand Parku (N Spring street/W 1st street), na którym dzieciaki szaleją przez godzinę. I jako że dzień się już kończy, postanawiamy wspiąć się szybko po schodach na wyższe tarasy Grand Parku, by obejrzeć wielkie fontanny. Stamtąd Hope Street przechodzimy do ostatniej atrakcji dnia dzisiejszego Walt Disney Concert Hall – nowatorskiej perełki architektonicznej miasta. Wjeżdżamy windą na taras widokowy i tu krążymy wśród mistrzowsko zaprojektowanych z błyszczącego aluminium labiryntowych korytarzy, spotykając na każdym rogu fotografa z dłu-

gonogą modelką. Rzeczywiście miejsce to jest idealnym plenerem fotograficznym. Już bardzo zmęczeni dowlekamy się do RV-ika, który na szczęście stoi cały i zdrowy, i wyruszamy w kierunku północnym do Angeles National Forest, zahaczając po drodze do Trader's Joe w celu wymiany żywności, która nam została, na przekąski i suchy prowiant, który będziemy potrzebować na jutrzejszy dzień już po oddaniu kampera. Już w nocy wjeżdżamy 2-ką (Angeles Crest Hwy) stromo pod górę i tylko przekroczywszy granicę National Forest, ustawiamy się w miejscu widokowym, zamierzając w spokoju spędzić noc. Widok jest niesamowity – cała aglomeracja Los Angeles u naszych stóp, oświetlona milionami świateł. Wstępnie pakujemy bagaże i zapadamy, jak się okazuje, w bardzo krótki sen.

Około 11.30 w nocy budzi nas hałas unoszącego się nad nami helikoptera. Wyglądamy przez okno i oczom naszym ukazuje się rzeczywiście policyjny helikopter, przeszukujący szperaczem oddalone od nas około 200 metrów zbocze. Również w podobnej odległości stoi z 10 policyjnych radiowozów i 3 straże pożarne z włączonymi migającymi światłami – istna dyskoteka. Policjanci z latarkami bardzo skrupulatnie przeczesują zbocze, szukając kogoś lub czegoś. Różne myśli krążyły nam po głowach: że może hollywoodzka ekipa filmowa kręci film, albo że może samochód spadł ze skarpy (jak się rano okazało, bariarki były nienaruszone). Na dole w mieście jednak też latał helikopter, podświetlając tamtejszą miejscówkę. I też błyskały światła radiowozów. Obserwowane wydarzenia podpowiadały coś poważniejszego. Mundi wystraszył mnie pomysłem, jakoby szukali niebezpiecznego zbiega, a jak wiadomo, zbieg może brać zakładników... i że możemy znaleźć się w pułapce. Tak na szczęście się nie stało. Do tej pory nie znamy powodu tej akcji. Za to dnia następnego, już po naszym wylocie, miała miejsce ta straszna strzelanina terrorystyczna w San Bernardino. Aż strach pomyśleć...

1 grudnia. Wyruszamy przed świtem, mając już gotowy plan organizacyjny na dzisiejszy dzień. Samolot mamy o 12.45 po północy, a więc czeka nas ciężki dzień, żeby dotrzeć do tego czasu. Zjeżdżamy z góry, kierując się do wypożyczalni samochodów Fox, wypożyczamy Toyotę Corollę i już na 2 samochody jedziemy do Walmartu oddać rzeczy, które nam zostały z wycieczki. Tuż przed 11.00 dojeżdżamy do Apollo i oddajemy nasz wehikuł. Przy okazji dzięki ich uprzejmości drukujemy sobie w ich biurze karty pokładowe do naszego samolotu. Po tych wszystkich obowiązkowych formalnościach udajemy się do REI, gdzie oddajemy plecak – nosidełko i już na „luzaka” walimy na plażę do Venice. Plaża i promenada – mekka cyganerii artystycznej – ściągą, na fali kalifornijskiego mitu, wszelakiej maści hipsterów z całego świata, którzy swymi ulicznymi performance'ami próbują prowadzić w sposób bardziej lub mniej trzeźwy „plenerowy styl życia”. Niemniej jednak po zmierzchu wskazana jest ostrożność.

Janek przez 2 godziny gania fale, Basia dłubie patykami w piachu, Mundi pije piwo, a ja relaksuję się, robiąc im wszystkim zdjęcia. Z powodu silnego wiatru przenosimy się „w głąb łądu” na pobliski plażowy plac zabaw i spędzamy tu ostatnią godzinkę przed zachodem słońca. Z baru na deptaku dobiega muzyka na żywo; serpentyniastą ścieżką ścigają się rowerzyści, rolkowcy i inni mobilni. Mimo to nie czuje się tu zdrowego ducha sportu, a raczej „skacowanego”, dekadentckiego ducha miernoty i niemoicy. Następnie robimy sobie przejażdżkę do Santa Monica i tam zaszyty gdzieś w małej uliczce zapadamy w 60-minutową drzemkę regeneracyjną przed lotem.

Teraz tylko trzeba oddać auto do wypożyczalni i busikiem przedostać się na lotnisko. Tu wszystko odbywa się zgodnie z planem, poza dodatkową kontrolą bagażu osobistego, gdzie znajdował się mały soczek dla Basi – to wzbudziło podejrzenia oficera, który dokładnie obejrzał pudełeczko i kazał mi je otworzyć, pobrał próbkę jakimś specjalnym wacikiem i po stwierdzeniu, że nie jest to niebezpieczna substancja, pozwolił zabrać i oddać w ręce czekającej już na napój Basi. Soczek potrzebny był nam co prawda do samolotu, by podczas zmiany ciśnienia przy starcie dziecko mogło pić, ułatwiając wskutek tego pozbycie się „ucisku” w uszach. Lot odbył się bez zarzutów, a w Chicago przywitał nas śnieg, na co tylko nasze dzieci zareagowały z wielką radością.

Meksyk – indiańska fiesta na cześć Matki Boskiej



Termin: 28 listopada – 13 grudnia 2015 r. Termin tej podróży był wybrany bardzo pieczołowicie. Chodziło nam o to, by obejrzeć największą indiańską fiestę świata, czyli Święto Matki Boskiej z Guadalupe, mające miejsce 12 grudnia. Musieliśmy też wrócić do dzieci na święta Bożego Narodzenia. Tym razem – wyjątkowo – dzieci z nami nie podróżowały. Dla mnie i Tomka to była kolejna podróż do Meksyku. Pięć lat temu byliśmy na Jukatanie.

Uczestnicy: Asia i Tomek Kusiak oraz Ewa Mizera-Skrzyńska i Sławek Skrzyński.

Informacje praktyczne:

W Meksyku są 3 strefy czasowe. Różnica względem Polski wygląda następująco: Cancun: –6 godz., Mexico City: –7 godz., Baja California Sur: –8 godz.

Przelot główny liniami Air France: Dusseldorf – Paryż – Cancun – Mexico City; Mexico City – Paryż – Dusseldorf (powrót z ominięciem Cancun) – 1730 zł.

Dolotówka liniami German Wings: Katowice – Dusseldorf: 492 zł w dwie strony wraz z opłatą za 1 baraż rejestrowany.

Wewnętrzny przelot liniami Volaris: Mexico City – La Paz – Mexico City: 200 USD w dwie strony na osobę tylko z bagażem podręcznym.

Wynajem samochodów dokonany przez Internet:

1. W Mexico City: wyszukiwarka www.rentalcars.com, wypożyczalnia europcar; koszt wynajęcia auta typu Renault Talia (dla 4 osób + 3 walizki) na 7 dni wraz z pełnym ubezpieczeniem: 955 zł + 132 USD.
2. W La Paz: wyszukiwarka: www.skyscanner.pl, wypożyczalnia Mex, koszt wynajęcia Hyundaia i10 (dla 4 osób + małe bagaże) na 4 dni wraz z pełnym ubezpieczeniem: 132 USD (dostaliśmy znacznie większego Nissana w tej samej cenie).

Aby uzyskać pełne ubezpieczenie, dopłacaliśmy USD na miejscu. Wypożyczając samochód 5 lat temu, pełne ubezpieczenie kupiliśmy przez Internet jeszcze w Polsce. Wtedy korzystaliśmy z innej wypożyczalni. Widać każda z nich ma własną politykę. Przy pełnym ubezpieczeniu „kupiliśmy” sobie spokój od wszelkich zdarzeń drogowych.

Zdecydowaliśmy się na wynajem samochodu z powodów ekonomicznych. Koszty przejazdów międzymiastowych w Meksyku są wysokie, autobusy są drogie. Jazda wynajętym samochodem przy 4 osobach była dla nas bardziej opłacalna niż transport publiczny.

USD – 3, 90 zł

1 peso – 25 gr

1 litr benzyny – 13, 60 peso

Noclegi: wszystkie noclegi w Mexico City zarezerwowałam wcześniej na booking.com. Nasz hostel cieszył się dużą popularnością i osoby szukające noclegu na miejscu, odchodziły z kwitkiem. W pozostałych miejscach noclegów szukaliśmy na miejscu. Ceny noclegów od 200 do 600 peso za pokój 2-osobowy z łazienką i ciepłą wodą. Klimatyzacja była nam potrzebna tylko w Baja California Sur.

Wyżywienie:

Śniadania: 55–70 peso

Obiady w restauracji od 120 peso (w niektórych restauracjach do ceny należało dodać 10% napiwku, tzw. servicio)

Zupy – 50 peso

Przekąski na ulicy (tacos, enchiladas itp.) od 30 peso

Owoce (obrane i pokrojone w kubku 0,5 l) – od 15 do 30 peso

Woda mineralna 1,5 l – od 10 do 14 peso

Sok wyciskany 0,5 l – od 15 do 20 peso

Coca – cola 0,5 l – od 7 peso

Banany 2 kg – 12 peso (1 banan 2 peso)

Bułki z nadzieniem (ostрым lub słodkim) – od 7 do 10 peso

Piwo Korona 0,5 l w sklepie – od 15 peso

Piwo Korona w restauracji 0,3 l – od 25 do 35 peso

Kawa w restauracji – 12–16 peso (nie polecam, Meksykanie nie potrafią parzyć kawy, trafienie na dobry napój graniczy z cudem)

Herbata w restauracji najczęściej droższa od piwa – od 30 peso (niestety skosztowanie dobrej czarnej herbaty jest także rzadko osiągalne)

Wstęp do zabytków – najczęściej 64 peso

RELACJA Z PODRÓŻY

28 listopada, Mexico City. Przylecieliśmy około godz. 23.00. Było zbyt późno, by jechać do centrum metrem. Z lotniska wzięliśmy bezpieczną licencjonowaną taxi (340 peso), której kierowca dowiózł nas do zarezerwowanego na booking.com hostelu Mundo Joven Catedral. Miejsce polecam z całą odpowiedzialnością. Najlepszą rekomendacją jest oczywiście doskonałe położenie – tuż za Katedrą na samym Zocalo, z tarasem widokowym na serce stolicy. My mieszkaliśmy w pokoju 2-osobowym z łazienką i zawsze ciepłą wodą (kosmetyki + ręczniki w cenie) – koszt 580 peso (200 peso łóżko w dormitorium, ale za wszystkie dodatkowe rzeczy, np. ręczniki, trzeba dopłacać). Hostel oferuje pobyt z bufetowymi śniadaniami włącznie, które były naprawdę obfite (jajecznica, tosty, grzanki, jogurt, płatki, dżem, owoce, sok, herbata, kawa, kakao). Mnie jedynie brakowało dobrej czarnej herbaty (były jakieś ziółka), dlatego też na śniadanie przychodziłam zaopatrzona we własne torebki mojego ukochanego napoju. Angiel-

skojęzyczny personel udzielał wszelkich informacji. Popołudniami w miejsce stołówki śniadaniowej otwierała się ogólnodostępna restauracja, w której klienci hostelu mieli 15% zniżki na smaczne posiłki oraz drinki. A wieczorem można było posiedzieć popijając Coronę i w międzynarodowym towarzystwie przyglądać się z tarasu życiu nocnemu Meksykanów licznie przybywających na Zocalo. W hostelu można było skorzystać z darmowej przechowalni bagażu. Może jedynym minusem był słaby Internet, który przy dużym natężeniu gości pragnących łączyć się ze światem w tym samym czasie, po prostu nie dawał rady.

29 listopada, Mexico City. Od razu zdecydowaliśmy, że po pierwszym lub drugim największym mieście świata będziemy poruszać się metrem. Błyskawicznie musieliśmy przyswoić sobie niepisane zasady tego transportowego kolosa. Najważniejsza była szybkość: szybkość wsiadania i wysiadania. Gdy pierwszym razem wsiadaliśmy za wolno, to ja i Sławek zostaliśmy zgnieceni drzwiami. Tu motorniczy nie patrzył, czy wszyscy wsiadli, bo taka sytuacja prawie nigdy się nie zdarza. W przypadku przemieszczania się mieszkańców ponad 20-milionowej metropolii tłumy w metrze są prawie zawsze, a w wagonach jest taki ścisk, że nie ma czym oddychać. Jak szybko wsiądziesz – nie patrząc, czy inni już wyszli, to jedziesz. Jak szybko wysiądziesz, przebijając się przez tłum wchodzących i wychodzących, to wyjdiesz tu, gdzie chcesz. Decyduje siła i umiejętność pchania się. Ktoś powie: ale po co tak się cisnąć? Dlatego, że takie przemieszczanie się jest bardzo tanie, gdyż całodzienne wielokilometrowe wyprawy po mieście kosztują nas 2,50–5 zł od osoby (1 bilet to 5 peso – jak wejdiesz do metra, to jeździsz na tym 1 bilecie, dopóki nie wyjdiesz na świat). Pomimo to nie należy się zniechęcać do jazdy metrem, ponieważ zdarza się i mniejszy tłok. Czasem udawało nam się nawet siedzieć! Mapę metra mieliśmy w komórce pobraną w formacie PDF.

Zwiedzanie zaczęliśmy od Katedry (stojącej na Zocalo) z jej barokowymi ołtarzami pokrytymi złotem. W tym czasie sam środek Zocalo był niedostępny. Ogrodzono go i wyłożono rusztowaniami, gdyż Meksykanie szykowali się do Bożego Narodzenia. Świąteczny czas też chyba udzielił się różnego rodzaju rzemieślnikom, oferującym swe usługi w „urzędzie pracy pod chmurką”, czyli pod płótnem Katedry, gdyż było ich tam niewielu, albo bezrobocie w Meksyku się zmniejszyło.

Następnie wchodząc do ulokowanego niedaleko Zocalo Gran Hotelu (Avenida 16 de Septiembre 82), po prostu zaniemówiliśmy. Człowiek stracił mowę, gdy spojrzał w górę, na sufit. Był on jak ogromny witraż. Warto go zobaczyć.

Później udaliśmy się do Palacio Nacional (na Zocalo) – słynnego z murali Diego Rivery (niedziela, wejście gratis, trzeba okazać się dokumentem tożsamości). Oczywiście największe wrażenie wywarły na nas fragmenty murali, wyrażające jego komunistyczne, utopijne poglądy. Kto bogatemu zabroni... Kontynuując wątek muralistyczny, udaliśmy się do Bellas Artes (niedziela, wejście gratis, możliwość fotografowania niestety 30 peso). Potem ponownie wróciliśmy na Zocalo i obejrzelśmy obowiązkowe Templo Mayor (dla turystów zawsze płatne, 64 peso), które niestety jako labirynt niezbyt wysokich murków było mało atrakcyjne. Tutaj musieliśmy uruchomić wyobraźnię na temat potęgi Azteków, bo trudno pominąć miejsce, które kiedyś było ich głównym pałacem w Tenochtitlan, a teraz wygląda jak odkrywka schronu. I trochę szkoda, że z jego kamieni Hiszpanie zbudowali Katedrę.

Obeszliśmy sobie Plaza de Santo Domingo, by poczuć wreszcie ślamazarnie płynące życie Meksykanów. Taka oaza spokoju w – niestety – zagonionej stolicy.

Po południu nadszedł czas na wizytę w Bazylice w Guadalupe. Pojechaliśmy tam metrem: linia nr 3 w kierunku Indios Verdes, przesiadka na stacji Deportivo 18 de Marzo na linię nr 6 w kierunku Martin Carrera i wysiadka na 1 stacji La Willa. Guadalupe jest właściwie kompleksem kościołów i kaplic. Główna świątynia, czyli nowa Bazylika, architektonicznie prezentuje się dosyć miernie i wyglądem absolutnie nie pasuje do goszczenia w swoich wnętrzach świętego obrazu. Pozostałe kościoły zbudowane w tradycyjnej konwencji prezentują się znacznie lepiej. Miejsce na pewno jest niezwykle i nawet kiczowate figury na skałach tworzą specyficzny meksykański klimat przenikania się wiary i świętości w codziennym ziemskim życiu.

30 listopada, Mexico City – Teotihuacan – Mexico City. Zmęczył nas zgietł aglomeracji i by nieco od niego odpocząć i zmienić klimat, zorganizowaliśmy sobie wyjazd do piramid w Teotihuacan. Oferowane przez pośredników wycieczki kosztowały 500 peso za osobę. Zrobiliśmy to na własną rękę za 162 peso za osobę (ze wstępem – 64 peso i jazdą tam i z powrotem – 88 peso autobus i 10 peso metro)! Metrem linią nr 5 dojechaliśmy do stacji Autobuses del Norte. Na dworcu autobusowym Del Norte w sali nr 8 sprzedawano bilety na autobusy do piramid (kierunek Piramides). Przejazd bez korków zajął około 1 godziny. Przyjemnie było stanąć wśród tych dwóch sławnych piramid: Słońca i Księżycy i przejść się wreszcie „drogą zmarłych” po tak długim okresie wyczekiwania na spełnienie tego pragnienia. Na miejscu lokalni sprzedawcy oferowali nam różnego rodzaju ceramikę, zachęcając do zakupu słowami „taniej niż w Biedronce”, co bardzo nas rozbawiło.

Wróciliśmy, wychodząc z kompleksu inną bramą prosto na przystanek autobusu, w którym kupiliśmy bilety powrotne do stolicy. Nie ma to jednak znaczenia, bo autobusy objeżdżają wszystkie bramy. Wieczorem zwiedzaliśmy okolice „nowoczesnego” Meksyku, czyli niedaleko Paseo de La Reforma. Tam zadziwił nas wygląd Muzeum Rewolucji: Monumento de la Revolucion.

1 grudnia, Mexico City. Dzięki unikatowym informacjom zawartym w znakomitej książce Jana Gacia *Meksyk*, mogliśmy stanąć przed „grobem” Hernana Corteza. W kościele Jesus Nazareno niedaleko Zocalo (Pino Suárez 34), tuż przy ołtarzu z lewej strony była niepozorna czerwona tablica upamiętniająca złożenie kości słynnego konkwistadora właśnie w tym miejscu, w tym kościele. Cortez zmarł w Hiszpanii, ale zawsze chciał być pochowany w Meksyku. Tutaj przewieziono i złożono później jego kości.

Następnie udaliśmy się do „meksykańskiego Luwru”, czyli do Muzeum Antropologicznego (dla obcokrajowców zawsze płatne, 64 peso). Metrem linią nr 1 dojechaliśmy do Chapultepec i w cieniu drzew przyjemnym 15-minutowym spacerkiem przez słynny park dotarliśmy do muzeum.

Wątek muzealny kontynuowaliśmy w dzielnicy Coyoacan (metro linia nr 3 w kierunku Universidad, stacja Coyoacan), zwiedzając Dom Lwa Trockiego (wstęp 40 peso + 15 peso pozwolenie na fotografowanie) i Muzeum Fridy Kahlo (wstęp dla 2 osób i 1 pozwolenie na fotografowanie 300 peso!), które oprócz jej obrazów prezentowało także jej mieszkanie, zdjęcia, gorsety ortopedyczne i stroje. Wyszliśmy stamtąd bogatsi o przepis Fridy na mole poblano, który umieszczono we framudze drzwi kuchennych (po hiszpańsku i angielsku). Oba muzea znajdują się w dzielnicy, do której zgietł

wielkiego miasta nie dociera, a budynki posiadają patio, na którym w otoczeniu zieleni można było odpocząć.

2 grudnia, wyjazd z Mexico City, Tepozotlan, Tula, Papantla (ok. 410 km). Bez żalu opuściliśmy stolicę Meksyku. Brak jej było tej atmosfery spokoju typu „maniana”, która czyni ten kraj atrakcyjnym i przyciąga jak magnes. Zdecydowaliśmy się na wzięcie taxi z naszego hostelu do wypożyczalni samochodów europejczyków na Paseo De La Reforma. Nie wyobrażaliśmy sobie wsiąść z walizkami do zapchanego metra. W wypożyczalni wszystko było OK. Nieubłagalnie nadszedł odwiekany przez nas trudny moment – Tomek musiał zasiąść za sterami naszego wehikułu i przebić się przez korki. Nie bez kozery mówi się „ale Meksyk!” Styl jazdy w tym kraju jest nie do ogarnięcia dla Europejczyka. Tu pierwszeństwo ma ten, kto pierwszy wjedzie na skrzyżowanie, a pasy na jezdni są tylko dekoracją. No, ale Tomek miał doświadczenie w jeździe po Meksyku. W końcu 5 lat temu przejechał tutaj 3000 km. Bezboleśnie przeprowadził nas przez zakorkowaną stolicę. Nawet nie przypuszczałam, że pójdzie nam tak gładko. Ale co się odwlecze, to nie uciecze...

Nasza trasa wiodła ponad 400 km na północ do Papantli. Ale po drodze mieliśmy jeszcze dwa cele: Tepozotlan oraz Tulę. W Tepozotlanie mieści się niezwykły kościół św. Franciszka Ksawerego (50 peso), do którego wchodzi się przez Muzeum de Virre- itano. Weszliśmy do kaplicy i oniemieliśmy. Niby wiedziałam, czego możemy się spodziewać, ale żadne zdjęcie nie odda tego wrażenia na miejscu. Ła! Każdy, kto zobaczył ściany ociekające złotem, tak reagował. Przy tych doznaniach kolumny atlantów w Tuli (wstęp 64 peso) zrobiły na nas znacznie mniejsze wrażenie.

Ruszyliśmy dalej na północ. Nagle z daleka zauważyliśmy ciemną chmurę. Do tej pory cieszyliśmy się, że nie sprawdza się prognoza pogody zapowiadająca deszcz. Niestety, sprawdziła się. Zaczęło lać. A my wjeżdżaliśmy w coraz wyższe góry, na których jak wata cukrowa rozciągały się chmury. Droga wiała się jak wąż, a widoczność spadała do kilku metrów. Ulewa spowodowała, że zmierzch zapadł znacznie wcześniej. Nawigacja zaczęła nam trochę świrować, benzyny zaczęło brakować, a Pemexu (tutejsza stacja paliw) ani widu, ani słychu. Zjechaliśmy z autostrady do wioski w poszukiwaniu paliwa i tam dowiedzieliśmy się, że musimy wrócić na autostradę, bo za kilka kilometrów natrafimy na stację. I rzeczywiście tak było. Stamtąd było jeszcze ok. 40 km do Papantli, z czego 20 trzeba było pokonać w absolutnych ciemnościach przez wioski pełne zabójczych betonowych spowalniaczy (tzw. topes). Gdy dojechaliśmy do Papantli, to dopadliśmy pierwszy lepszy hotel, który miał zresztą bardzo dobre ceny: pokój z łóżkiem małżeńskim (tzw. uno matrimoniales), z łazienką – 200 peso.

Świadomie korzystaliśmy z płatnych dróg (cuota), które gwarantowały nam brak atrakcji w postaci topes, ale poważnie drenowały portfele. W sumie różne odcinki autostrady Mexico City – Papantla kosztowały nas 509 peso.

3 grudnia, Papantla – El Tajin – Puebla (około 315 km). Śniadanie zjedliśmy na Zocalo w restauracji Pardo Plaza. Pyszna pikantna jajecznica mexicana (z warzywami), z chlebem, pastą z fasoli, sok wyciskany z pomarańczy i wyjątkowo smaczna kawa, to wszystko kosztowało nas 68 peso. Podczas krótkiego spaceru po mieście chłoniliśmy jego spokojną atmosferę, a zakończyliśmy go kupnem aż 16 przeróżnych bułek z nadzieniem od pana stojącego na ulicy, czym wzbudziliśmy zachwyt miejscowych. Wyposażeni w jedzenie na cały dzień (bułki jak pięknie pachniały, tak wspaniale smako-

wały) ruszyliśmy do El Tajin (wstęp 64 peso). Ruiny miasta Tolteków ze słynną piramidą del Nichios z 365 niszami podziwialiśmy prawie samotnie.

Następnie zaczęła się nasza droga powrotna autostradami do Puebli (297 peso). Pierwszy stop mieliśmy tak na prawdę dopiero pod koniec trasy – w Taxcali oglądaliśmy piękną fasadę i złote wnętrza Sanktuarium Matki Boskiej w Ocotlan.

Do Puebli znowu wjeżdżaliśmy po ciemku, przebijając się przez koszmarnie korki, borykając się z meksykańskim chaosem na drodze, mijając kilka stłuczek i hamując do zera na tysiącach topes. Minęło dobre 1,5 godziny, zanim dotarliśmy do centrum miasta i znaleźliśmy nocleg. Zamieszkaliśmy w hotelu El Fuente (300 peso za pokój 2-osobowy – łóżko małżeńskie) na ulicy Poniente 3. Z tarasu widać było Katedrę na Zocalo. Wskoczyliśmy wieczorem (po godz. 20.00) na miasto, ale większość sklepów i restauracji była już zamknięta. Myślę, że zimno sparaliżowało w Meksykanach chęć do fiestowania do późna. W nocy temperatura spadła do 5°C. Bożonarodzeniowa dekoracja Puebla nocą zaostrzyła nasze apetyty na dzienne zwiedzanie.

4 grudnia, Puebla – Oaxaca (około 370 km). Puebla w dzień przywitała nas kolorowymi, rzeźbionymi fasadami kolonialnych budynków. Eleganckie miasto. Smaczne tradycyjne meksykańskie śniadanie zjedliśmy w knajpcie na Poniente 3. Dodało nam ono sił do zwiedzenia Capilla del Rosario w Kościele Santo Domingo. Przechodząc przez raczej zwyczajny kościół, tuż przed ołtarzem głównym skrzyliśmy w lewo i naszym oczom ukazało się wnętrze pełne misternych złocień. Białe ściany pokryte zostały złotymi liśćmi, winogronami, zawijaszami, serpentynami, kwiatami, aniołkami. Znalazłam nawet syrenę! Złote były kolumny, kolumnienki, ramy obrazów i sufit. Znowu widok zapierał dech, a z piersi wydobyliśmy tylko skromne „ta!” Przy tej kaplicy mumia św. Sebastiana w kościele św. Franciszka wyglądała dość rachitycznie.

Puebla pachniała kawą. Kierując się zapachem, wylądowaliśmy w maleńkiej kawiarence, jak sama nazwa mówi – Cafe Aroma na Poniente 3, podającej jedynie... kawę. Ale jaką? Pyszna! Dość długo delektowaliśmy się świeżo przy nas zmieloną aromatyczną kawą w stylu italiano. Jak na Meksyk taka jakość była niezwykła, gdyż królowała tu amerykańska lura.

Z powodu intensywnego przemieszczania się od 2 dni nie jedliśmy obiadu, dlatego też postanowiliśmy wreszcie położyć kres tej złej tradycji. Do polecanej przez kilkoro Meksykanów restauracji Santa Clara na... no wiadomo – Poniente 3, zamówiliśmy koronne meksykańskie danie pochodzące właśnie z Puebli – słynne mole poblano. Wybrane przez nas udko z kurczaka zalane było gęstym sosem kakaowym z chili i posypane lekko sezamem. Niebo w gębie za 140 peso + 10% servicio.

Podczas wyjazdu ze znowu zakorkowanej Puebli tym razem nasza navi się spisała i sprawnie znaleźliśmy się na autostradzie do Oaxaca. Droga widokowo była bardzo malownicza, wijąc się między wysokimi szczytami, ciągnących się aż po horyzont pasm górskich.

Po drodze mieliśmy atrakcje w postaci biegnących w sztafecie Indian, człowieka, który nie musiał chodzić do kościoła, gdyż woził kapliczkę ze sobą, oraz konie czy muły przewożone na pace.

Do Oaxaca dojechaliśmy o zmierzchu. Navi tylko kilka razy kazała nam skręcać pod prąd. Zamieszkaliśmy w Casa Arnal (600 peso) z czystymi, ciepłymi pokojami oraz pięknym patio (Aldama 404). Rzuciliśmy wszystko i jak staliśmy, poszliśmy w miasto

spowite światłami latarni i... gwarne jak w dzień. Już Puebla zapowiadała się fajnie, ale w Oaxaca wreszcie spotkaliśmy się z naszym ukochanym Meksykiem, tętniącym życiem nawet gdy ciemna noc zapadnie. Wiedzeni słuchem błyskawicznie nastawiliśmy nasz azymut na fiestę, która swój początek miała pod kościołem św. Dominika Guzmána, a kończyła się jak zwykle na Zocalo.

5 grudnia, Oaxaca. Dzień nie zapowiadał się aż tak intensywnie i przygodowo. Jako pierwszą atrakcję zaplanowaliśmy sobie oddalone o 6 km od naszego hotelu ruiny miasta Zapoteków – Monte Alban. Ci niesamowici wojownicy na początku pierwszego tysiąclecia ścięli 250 metrów góry, z której na wysokości 750 m n.p.m. zrobili taras, na którym zbudowali miasto pełne piramid. A my ludzie żyjący na początku trzeciego tysiąclecia nie potrafimy zrobić takiej nawigacji, która by nas bezbłędnie przeprowadziła przez 6 km do celu! Z 10 minut jazdy zrobił się godzinny horror podjazdów po dziurawych drogach o nachyleniu 45 stopni, podjeżdżaniu ludziom pod domostwa, wycofywaniu się tyłem, gdyż na wąskich drózkach nie było mowy o zawróceniu, wjeżdżaniu w drogi będące dopiero w budowie. W mieście prawie wcale nie było oznaczeń jak dotrzeć do Monte Alban, tak by można było zlekceważyć gadającą navi. Gdy Tomek zatrzymywał samochód, by zapytać się o drogę, to kolana samowolnie uderzały mnie w głowę, gdyż staliśmy na takiej stromiźnie! Wreszcie po wielu wskazówkach miejscowych wyjechaliśmy na szeroką asfaltówkę, prowadzącą prosto do Monte Alban (64 peso). Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą. Gdybyśmy wiedzieli, że ta droga tego dnia to był „pikuś”...

A potem odbyliśmy banalną jazdę do Santa Maria del Tule i podziwialiśmy najstarsze drzewo na świecie (podobno ma 2000 lat, a może nawet 3000) – unikatowy 58-metrowy w obwodzie cypryśnik należy do gatunku, który wymarł w okresie kolonialnym (wstęp 10 peso). Tule nakarmiło nas smacznie tortillą z chorizo (ostra kiełbasa; 50 peso za ogromny placek), napoiło sokiem wyciskany z pomarańczy i mandarynek (15 peso). Dalej zrobiliśmy krótki wypad do Mitli (wstęp 40 peso) – mało imponującego miasta Miksteków, ale słynącego z charakterystycznych mozaik.

Słońce zaczęło nieuchronnie chylić się ku zachodowi, a my mieliśmy zaplanowany jeszcze jeden cel – Hierve El Agua – niezwykle źródła, jeziora i wodospady ukryte w górach. Już na początku nie bardzo nam się podobało, że navi prowadzi nas przez jakieś zapyziałe wioski żywcem wyjęte z filmów Rodrigueza. Zastanawialiśmy się tylko, czy zdążymy pokonać dziurawą jak ser szwajcarski zakurzoną drogę zanim z chaty wyskoczą wrogowie Antonio Banderasa. Ale przejechalśmy i wyjechalśmy poza domostwa bez dodatkowego towarzystwa. A dalej na drogę wyszedł chłopiec ze stadem kóz i definitywnie skończył się asfalt. Szutrowa drożyna prowadziła nas coraz wyżej, zakręty zaczęły robić się coraz ciasniejsze, a przepaście coraz głębsze. Zwątpiliśmy, ale nie było już odwrotu, bo droga była tak wąska, że Tomek nie mógł zawrócić. Jakość trasy przypominała Nepal. Tylko, że wtedy kierowca nas wiozł, a tutaj Tomek sam pokonywał ostre zakręty na zboczach góry. Gdy dojeżdżaliśmy do zakrętu, to Tomek trąbił, by ewentualny samochód jadący z naprzeciwka dał radę zahamować na śliskim szutrze, a nie wylądował nam na masce. Trzy razy musieliśmy się minąć z innym pojazdem. Serce w gardle, ręce mokre, a oczy w słup. Do tej pory uważałam, że podróż przez Himalaje była najgorsza w moim życiu. Myliłam się. Ta była znacznie gorsza, gdyż oprócz ekstremalnie niebezpiecznej drogi nie byliśmy pewni, czy jedziemy dobrze (brak znaków,

navi nie raz wyprowadziła nas w pole), a słońce nieuchronnie zbliżało się do górskich szczytów. Widoki za to zapierały dech i mimo stresu byliśmy w stanie je podziwiać. Przed nami odsłoniły się zielone pofałdowane połacie gór, mnóstwo łańcuchów, z których każdy wydawał się rościć sobie palmę pierwszeństwa w konkursie urody. Było totalnie odludnie, a dominowała tylko surowość i potęga gór.

Gdy przejeżdżaliśmy przez wierzchołek na drugą stronę zbocza, to zaczęła się miakra cywilizacja. Widok pojedynczych osób zaczął dodawać nam otuchy, zwłaszcza gdy wskazywali nam drogę (w tym miejscu inaczej niż navi!). Tomek dowiózł nas cało i zdrowo na parking przed źródłami (wstęp 25 peso). Na pieszo po skałach w dół prawie biegliśmy, gdyż widzieliśmy ciemną zasłonę zmierzchu tuż za plecami. A pokonać taką drogę i nic nie zobaczyć – nawet nie chciałam myśleć o ogromie rozczarowania! Ale nie było smutku i rwania sobie włosów z głowy. Był zachwyt nad przyrodniczą perłą w środku przepastnych gór. Zdecydowanie warto było przeżyć ten stres związany z drogą do Hierve El Agua. Można tam się także dostać, wynajmując taxi z Oaxaca lub dostać się do Mitli i tam złapać transport dla turystów pt. „Herve El Agua”. Widzieliśmy tych śmiaków, którzy na pickapach docierali do jeziorzek. Jazda na ławeczce wiązała się z wartością dodaną w postaci kurzu oblepiającego całe ciało. W drodze powrotnej odstawiano ich na drogę w kierunku Oaxaca, a dalej musieli radzić sobie sami. Gdy wróciliśmy do Oaxaca, po tym wszystkim, co przeżyliśmy, szkoda było spędzić wieczór w pokoju. Już piechotą wyruszyliśmy na Zocalo i na jego okoliczne uliczki.

Odległości od Oaxaca – jadąc samochodem: Tule: 30 minut, Mitla: 60 minut, Hierve El Agua: 1,5–2 godziny.

6 grudnia, Oaxaca. Rano zapytaliśmy się w naszym hotelu, gdzie dzisiaj w okolicy odbywa się indiański targ. Uzyskaliśmy odpowiedź, że w Tlacoluli. Dlatego tam pojechaliliśmy (około 40 minut). Ale wspomnienie niedzielnego targu w Chamuli (stan Chiapas) przyćmiło rzeczywistość. Mało Indian, drogo, dużo pospolitych towarów. Zakup chapulines (suszone koniki polne) złągodził nieco rozczarowanie.

Resztę dnia poświęciliśmy na włóczenie się po Oaxace. Byliśmy w dwóch kościołach. Kościół św. Dominika Guzmana wart był obejrzenia z uwagi na wystrój wnętrza w stylu churrigueresco (meksykański barok). Otwierają go tylko na msze i w środku był problem z robieniem zdjęć (można je tylko było robić w jednej kaplicy). Kolejną świątynią była Bazylika Santa Maria de Soledad – drugie po Guadalupe najważniejsze sanktuarium Ameryki. Ładna fasada, ale mało imponujące wnętrze.

Chęć posiedzenia sobie na Zocalo wygrała ze zwiedzaniem Domu Benito Juareza, Muzeum Miejskiego i ogrodu kaktusów. Odpuściliśmy sobie te miejsca na rzecz delektowania się potrawami z oaxackim serem i osładzania sobie życia ciepłą czekoladą do picia w The Oaxacan Coffee Company (43 peso za dużą filiżankę czekolady z imbirem, kardamonem i cynamonem – pycha). Kulinarne doświadczenia były dla nas bardzo ważną częścią Meksyku. Acha, meżkal też zakupiliśmy, ale ten w wersji crema (0,5 litra za 167 peso).

7 grudnia, Oaxaca – Cholula – Mexico City (około 500 km). Dzień powrotu do stolicy celem realizacji dalszych planów podróżniczych. Wracając do Mexico City, zjechaliliśmy z autostrady do Choluli, by obejrzeć kiedyś największą piramidę Meksyku (wstęp 54 peso). Górę zwieńczoną kościołem o żółtej fasadzie widać było z daleka.

Mimo oglądania odkopanej fasady tej „góry”, będącej w rzeczywistości piramidą, jakoś trudno było sobie wyobrazić ogrom budowli.

Następnie podjechaliśmy do kaplicy królewskiej kościoła św. Gabriela z charakterystycznymi kolumnami i łukami. Miejsce nie zrobiło na nas wrażenia, dlatego też postanowiliśmy jechać do kościoła Santa María Tonanzintla, by jednak wywieźć z Cholu-li przyjemne wspomnienia. Byliśmy tak zdeterminowani dotarciem tam, że ruszyliśmy nawet przez pole, na które nawigacja i miejscowi kierowali nas jako we właściwym kierunku. Ale gdy polna droga skurczyła się do ścieżki dla rowerów, to odpuściliśmy. Wróciliśmy do miasta i spróbowaliśmy z drugiej strony. Tym razem ulica doprowadziła nas do celu. I warto było tak się trudzić. Małeńki kościółek krył w swoim wnętrzu prawdziwe skarby stylu churrigueresco. Niestety, nie można było ich fotografować, ale... Tomkowi udało się je nagrać!

Później już prosto pojechaliśmy do Mexico City. W wypożyczalni byliśmy umówieni o godz. 18.00 na oddanie samochodu. Do aglomeracji wjechaliśmy o godz. 15.30. Mając 2,5 godziny zapasu, postanowiliśmy podjechać do naszego hostelu i zostawić tam bagaże, by z wypożyczalni wrócić już metrem. Trudno w to uwierzyć, ale nie udało nam się tego planu zrealizować. 6 km jechaliśmy prawie 2 godziny. Korki zmusiły nas do pojechania z całym majdanem do wypożyczalni. Dojechaliśmy tam o godz. 17.30, oddaliśmy samochód bez problemów, odzyskaliśmy kaucję (blokada na karcie kredytowej) i taxi (200 peso) wróciliśmy do hotelu.

Przejazd autostradą Oaxaca – Mexico City (+ zjazdy na Cholulę) wyniósł 375 peso. Pokonaliśmy około 2800 km.

8 grudnia, Mexico City – Todos Santos (Baja California Sur). Rano taxi na lotnisko zamówiona z hostelu kosztowała nas tylko 50 peso. Bilety do La Paz linią Volaris zakupiliśmy kilka miesięcy przed podróżą (koszt 200 USD w dwie strony z bagażem podręcznym). Zabraliśmy ze sobą tylko kilka najpotrzebniejszych rzeczy i bagaże główne zostawiliśmy w darmowej przechowalni w naszym hostelu.

Po niecałych 2 godzinach lotu byliśmy w słonecznej Baja California Południowa. Tam w kolejnej wypożyczalni czekał na nas samochód (miał być hyundai i10 z manualną skrzynią biegów, a był znacznie większy nissan z automatem). Jeszcze kilka słów o naszym samochodzie. Mieliśmy z nim niezłego zgryza, gdyż... nie zamykał się. Kluczyk był wygięty i bez pilota. Biorąc go z wypożyczalni nie przyszło nam do głowy, by sprawdzić, czy się zamyka! No cóż, zostawialiśmy otwarte auto.

Po godzinie drogi byliśmy w Todos Santos. Miasteczko sprawiało wrażenie wymarłego, ale poszukiwanie noclegu zajęło nam trochę czasu. Pierwszy hotel (w nazwie miał wyraz „mar”) w wysokiej cenie 550 peso oferował głównie pleśń. Kolejna ładna posesja niedaleko plaży była cała zapełniona. Wróciliśmy do (na wyrost określanego) centrum i w hotelu (nazwy nie mogliśmy znaleźć) nad pralnią znaleźliśmy pokój dwuosobowy (oczywiście z łazienką i klimą) za 400 peso (po krótkich negocjacjach). Nasze pokoje były codziennie sprzątane, zmieniano nam ręczniki i dostawaliśmy dwie 0,5 l butelki wody mineralnej. Brzuchy już od dłuższego czasu nam burczały, więc ruszyliśmy w poszukiwaniu jedzenia. Ceny nas zaskoczyły. Obiady kosztowały dwa razy tyle co w pozostałej części kraju. A wszędzie puchy, w restauracjach jedyny ruch stanowili kelnerzy wyskakujący z uśmiechem jak Filip z konopi na rzadki widok klienta. Ale udało nam się znaleźć restaurację „U Miguela” (niedaleko stacji benzynowej) z akceptowa-

nyimi cenami. A jedzonko? Palce lizać! Wzięliśmy specjalność restauracji, czyli faszerowaną paprykę z serem i krewetkami. Danie rozpyływało się w ustach. Przez wszystkie dni żyliśmy się właśnie tam.

Wybór okolicy nie był przypadkowy. Moi towarzysze podróży poprosili o kilkudniowy pobyt na plaży. Mnie zawsze szkoda czasu na taki „brak atrakcji”, więc szukałam miejsca, które i mnie dostarczy rozrywek. I znalazłam właśnie Todos Santos, które w rezultacie zaoferowało nam wszystkim najlepsze wrażenia z całej podróży. Jednak najmielsze chwile zawsze są związane z dziką przyrodą...

9 grudnia, Todos Santos – Cabo San Lucas (Los Cabos) – Todos Santos. Dzisiaj wyruszyliśmy do Cabo San Lucas – 70 km od naszej wioski. Parking koło mariny – 15 peso za godzinę. Sama miejscowość nie miała w sobie nic ciekawego. Amerykańska mekka, w której w wielu miejscach płaciło się w dolarach. Ale miasto oferowało coś fajnego, dlatego warto było tu pojechać. Z mariny pełnej drogich jachtów wypływały łodzie – taxi, które zawoziły turystów na pobliskie plaże, niedostępne z lądu. Po stargowaniu ceny do dos cientos (200 peso) od osoby popłynęliśmy łodzią ze szklanym dnem, by zobaczyć największą atrakcję okolicy Los Cabos – lwy morskie! Ich stado leżało na skale i czekało na podpływających turystów. Widok tych dzikich zwierząt o przepięknych oczach i zabawnych pyszczkach ujmował za serce. A potem, nacieszywszy oczy malowniczymi skałami wyrastającymi prosto z Oceanu Spokojnego, zostaliśmy wysadzeni na Playa Amor, by móc poczuć ciepły żółty piasek pod stopami, a ciało zamoczyć w krystalicznie czystej wodzie. Co do długości pobytu na plaży można się dogadać z kapitanami wodnych taxi.

10 grudnia, Todos Santos. Miejsce to jako cel podróży wybrałam tylko dlatego, co miało się wydarzyć dzisiaj. A mianowicie, chodzi o wieloryby! Wypłynęliśmy na Ocean, by oglądać humbaki. Już w kilku miejscach na świecie „uciekle” mi te największe ssaki. Todos Santos to było moje kolejne podejście, by na własne oczy ujrzeć te tajemnicze wodne giganty. Humbaki przyplływają tutaj z północy i przebywają w okresie od listopada do marca, a wieloryby szare od stycznia do marca (stąd na te przyjdzie czas podczas kolejnych ferii zimowych). Zorganizowanie całej atrakcji rozpoczęliśmy od udania się w tym opustoszałym miasteczku do jedyne go hotelu tętniącego życiem. Dobrze przypuszczaliśmy, że tam na pewno ktoś będzie coś wiedział na temat „whale watching”.

Dostaliśmy namiary na Amerykankę o imieniu Bryan (TSecoAdventures@gmail.com), organizującą takie wyprawy, i kosztowało nas to bagatela 300 USD (za łódź mieszczącą maksymalnie 4 osoby). O 6.45 Bryan podprowadziła nas do „mariny” usytuowanej poza miastem i zaznajomiła ze specyficznym systemem dostania się naszej łodzi przez ogromne fale z zatoki na Ocean. I tak: pierwsza motorówka musi sobie dać radę sama, a następnie na linie wyciąga kolejną łódź motorową, a ta kolejną, itd. Wyglądało to dość prosto, tylko że „po drodze” trzeba było pokonać co najmniej dwie ogromne fale. „Wyjazd” wyglądał bardzo spektakularnie, zwłaszcza gdy grzywa fali miała przemożną potrzebę dostania się do środka łodzi.

Miedzy sobą wymieniliśmy informacje, że żadne z nas nie ubezpieczyło się na wypadek uprawiania sportów ekstremalnych i z tym „pocieszającym” uczuciem wsiedliśmy do naszej łódki. Dalej cała akcja potoczyła się tak błyskawicznie, że nim się obejrzeliśmy, już zostaliśmy wyciągnięci z zatoki, bez zaliczenia chociażby kropelki wody

morskiej! I płynęliśmy, płynęliśmy, płynęliśmy... i nic. Nasz kapitan Augusto zaczął się już denerwować i tłumaczyć nam w swym ojczystym języku, że wczoraj wielorybów było mnóstwo, a dzisiaj musiały popłynąć na północ. Moje zdenerwowanie rosło, gdyż niewiarygodne wydawało mi się w środku sezonu na humbaki nie zobaczyć tych zwierząt. To musiałyby być niewyobrażalny pech i wielka niesprawiedliwość. Tymczasem świat przybrał stalową barwę, trudno było uchwycić, gdzie jest horyzont, gdzie ocean styka się z niebem. A wieloryby lubią słońce. Jednak chyba zadziałała na nie magia 300 USD zapłaconych przez zdenerwowanych podróżników i... zaczęły się wyłaniać! Zresztą nieważna była przyczyna, dlaczego zrezygnowały z zabawy w chowanego z nami. Wypłynęły!!! Ale wiecie, jak ogląda się dzikie wieloryby? Wszystko zaczyna się od fontanny wody wydychywanej w górę. Za chwilę pojawia się kawałek czarnego grzbietu, potem pojawia się większy kawałek grzbietu, następnie wszystko znika i chwilę później wyłania się tylna płetwa, by w ciągu sekundy majestatycznie zniknąć pod wodą. Takich spektakli widzieliśmy co najmniej kilkanaście. Po denerwująco długim okresie oczekiwania nasze marzenia się spełniły. I co więcej, mieliśmy niebywałą okazję zobaczyć morskie igraszki wielorybów „chłopaka” i „dziewczyny”, które przeskakiwały przez siebie, klaskały płetwami i... pokazały nam swe pyski! Widzieliśmy początek wieloryba!!! Morska przygoda przedłużyła się z planowanych 3 godzin do ponad 5. W tym czasie także foka chciała się z nami bawić, a nasz kapitan Agosto zaproponował nam łowienie ryb, które zakończyło się sukcesem wędkarskim w postaci 6 ogromnych żółtozielonych ryb o nazwie machi machi.

Niestety trzeba było wrócić. Samo lądowanie na plaży – dosłownie lądowanie – też było emocjonujące. Przy wypłynięciu mieliśmy o tyle lepiej, że obserwując poprzedników, wiedzieliśmy o co chodzi. Powrót na ląd to była wielka niewiadoma. Na początku, będąc już w zatoce, trochę pływaliliśmy w kółko. Okazało się, że czekamy na odpowiednio wysoką falę. Gdy taka wreszcie nadeszła, ile mocy w silniku ruszyliśmy za nią. My na łodzi musieliśmy się mocno trzymać i zaprzeć nogą. Przy samym brzegu dogoniliśmy spienioną potężną grzywę i dosłownie „na fali” wjechaliśmy na piasek! W jakimś filmie widziałam, jak robił to Robert De Niro. Teraz zrobiłam to ja. Żałowałam tylko, że nie mogłam tego nagrać, gdyż kapitan pilnował nas, byśmy się trzymali. Moja znajoma podróżniczka i imienniczka, gdy rozmawiamy o planowanych podróżach, zawsze się mnie pyta, czy jadę z dziećmi. Gdy słyszy odpowiedź twierdzącą, to się uspokaja, bo z autopsji wie, że podróżnik rodzic jest mniej szalony. No cóż, ten wyjazd był wyjątkowo bez dzieci. I chwala mu za to! Tak poza tym, to byliśmy pierwszymi klientami z Polski dla Bryan, która od 10 lat zajmuje się tym interesem. Zapraszamy na emocjonującą przygodę. Szlaki przetarte.

Z zaplanowanych największych atrakcji było tyle, ale wkrótce miało się okazać, że czekało nas jeszcze coś niezwykłego. Inna spotkana Amerykanka (ta część Meksyku w ogromnej części jest zamieszкана przez Amerykanów) – Danny – opowiedziała nam o miejscu, w którym chronią żółwie i wypuszczają je do Oceanu. Po południu udaliśmy się tam. Za ogrodzeniem na plaży znajdowały się gniazda żółwi, którymi opiekowali się wolontariusze. Dowiedzieliśmy się, że z 5 zagrożonych wyginięciem gatunków żółwi morskich – 3 przybývają na tę plażę, by złożyć jaja. Wolontariusze znajdują dość płytko zakopane jaja i przenoszą je do głębokich na około metr dołków wykopanych w piasku za ogrodzeniem. Żółwie wykluwają się po 45 dniach. Wraz z innymi gapiami

doczekaliśmy na plaży do wieczora i obejrzelśmy jedyny w swoim rodzaju spektakl narodzin! Dwa gniazda były 45-dniowe i wolontariusze, delikatnie rozkopując jamy, wyciągnęli z nich 107 wielkości śródreżca maleńkich zapiaszczonych żółtków.

Gdy słońce wreszcie utopiło się w Oceanie, na pożegnanie oświetlając niebo na różowo, a po wschodniej stronie zrobiło się ciemno, my gapie zostaliśmy ustawieni na linii narysowanej na piasku. Wolontariusze zaczęli przenosić maleństwa na plażę i puszczać wolno w ich pierwszą i najtrudniejszą podróż w życiu. A my jak ochroniarze pilnowaliśmy, by żaden pies czy ptaszysko ich nie dopadło. Ze wzruszeniem patrzyliśmy, jak maleńkie stworzonka niepewnie badają grunt, zadzierają łebki do góry, wachają morską bryzę, uzyskując w pakiecie GPS i nagle w te pędy – jak na możliwości żółwia oczywiście – biegną do Oceanu Spokojnego. A znalazłszy się w nim, będą płynąć niezmordowanie przez 48 godzin! Samice powrócą na tę samą plażę w Todos Santos Baja California Sur (to ten niezwykle tajemniczy GPS!) za 20 lat, by złożyć w miejscu swoich narodzin pierwsze jaja w swoim życiu. Niezwykłym przeżyciem było uczestniczenie w tym najtrudniejszym, najbardziej niebezpiecznym i pochłaniającym najwięcej ofiar etapie życia żółwi – czyli wędrówce do morza przez otwartą plażę.

Na koniec, głównie by wesprzeć tych, co ratują żółwie i też trochę na pamiątkę wruszających chwil, kupiłam sobie koszulkę za 20 USD. Kasa została przeznaczona na rzecz ratowania żółwi. A oto strona organizacji ratującej te żółwie, które jak przeżyją, to może spotkamy je w Japonii lub w Chile: www.todostortugueros.org

11 grudnia, Todos Santos – Mexico City. Jadąc na lotnisko, zakupiliśmy miejscowe przepyszne słodycze: ciasteczka z karmelem. Samochód oddaliśmy bez kłopotów. Za to lekkie problemy czekały nas na lotnisku. Nasz samolot był opóźniony o 3 godziny (na 1,5 godziny lotu!). Na międzynarodowym lotnisku w La Paz znaleźliśmy tylko 1 osobę z obsługi mówiącą po angielsku, od której dostaliśmy vouchery na darmowy ciepły posiłek wraz z piciem. Do Mexico City przylecieliśmy po godz. 20.00 i wzięliśmy licencjonowaną taxi do naszego hostelu (230 peso). Na transport czekaliśmy w kolejce około 30 minut. A takich kolejek było kilka – do różnych kompanii, wiele znacznie dłuższych od naszej.

12 grudnia, święto Matki Boskiej z Guadalupe. Nadszedł wreszcie dzień, który stanowił główny, pierwotny, podstawowy powód naszej (mojej i Tomka, bo Ewa ze Sławkiem wybrali zakupy) wyprawy: Meksyk 2015 – 12 grudnia. Największy odpust świata, największe i najważniejsze chrześcijańskie święto obu Ameryk – Matki Boskiej z Guadalupe. Wiedząc, że tłumy zmierzają do Bazyliki, zabraliśmy ze sobą tylko najważniejsze rzeczy, chowając je po kieszeniach, czyli niewiele dobrze zbunkrowanej kasy, bilety do metra, wodę mineralną do ręki i aparat na szyję. Żadnych torebek i plecaków. W hostelu przestrzegli nas, że będziemy jechać 40 minut (poprzednio tę trasę zrobiliśmy w 15 minut). Wyruszając około godz. 9.00, metro było puste i dojechalśmy w... 15 minut. A na miejscu okazało się, że rzeczywiście tłumy są, ale porządkowi tak regulują marszem pielgrzymów, że jest pełna swoboda ruchów, nikt się nie przepycha, nie ma ścisku i deptania sobie po paluchach. Teren wokół Bazyliki jest tak ogromny, że przyjąć może kilka dreamlinerów. Napięcie gdzieś zniknęło i teraz śmiesz mnie nasze „wojenne” przygotowania, zabezpieczające przez złodziejami – pseudopielgrzymami.

Tymczasem pod Bazyliką... Wielka indiańska fiesta, feeria wirujących barw, strojnych pióropuszy kołyszących się w rytm grzechotek, podskakujących w takt tak moc-

nego walenia w bębny, że aż podeszwy butów odczuwały drżenia. Święto robiło niesamowite wrażenie i warte jest zobaczenia zarówno przez tych, co chcą przeżyć religijne uniesienia, jak i fascynatów antropologii kulturowej.

Po południu poszliśmy jeszcze obejrzeć Casa de Los Azulejos (na Francisco Made-ro), zabytkową pocztę (naprzeciwko Bellas Artes) – koniecznie należy wejść do środka, oraz mariachi na Placu Garibaldi.

13 grudnia, Mexico City – powrót. Rano wybraliśmy się w długą podróż lokalnym transportem (metrem i pociągiem o nazwie *tren ligero*) na przedmieścia, by zobaczyć ledwie cień dawnej świetności azteckiej stolicy Tenochtitlanu w postaci Xochimilco. Powolne pływanie kolorową łodzią (200 peso/os. za 1 godzinę) po kanałach jeziora Tlatelolco dostarczyło nam dawkę wyciszenia i relaksu. Wkrótce jednak rozleniwienie ustąpiło bacznej obserwacji wesołego rodzinnego życia Meksykanów, imprezujących na łodziach w towarzystwie mariachi.

Powrót do centrum *historico* był dwuetapowy, gdyż zatrzymaliśmy się w Muzeum Dolores Olmedo (75 peso). Kontynuowaliśmy czas relaksu na terenie zadbanego ogrodu zawładniętego przez pawie i w ciszy podziwialiśmy obrazy Fridy Kahlo i Diego Rivieri.

Obiad zjedliśmy niedaleko Zocalo, wyjątkowo na koniec w restauracji La Capilla, ale paella nas nie powaliła. W Barcelonie robią znacznie smaczniejsze... Potem z Tomkiem wyruszyliśmy metrem, by zużyć ostatnie bilety i wykorzystać czas darmowej niedzieli w niektórych muzeach. Mieliśmy zaległe Muzeum Murali Diego Rivieri na Hidalgo z przepięknym murem *Śniadanie w Parku Alameda*.

Do samego wyjazdu na lotnisko chłoniliśmy ostatnie chwile tego meksykańskiego molocha, wybierając same przyjemności: lody zrobione z samych owoców, kawę (to Tomek, ale mówił, że trafił na dobrą), ja czekoladę (zrażona jestem do lurowatej kawy meksykańskiej) na tarasie nad Zocalo i ostatnie guacamole w naszym hotelu (bagaż na cały dzień za darmo trzymaliśmy w hotelowej przechowalni).

Siedząc na tarasie i mając Zocalo u stóp, podziwialiśmy meksykańskie umiejętności zorganizowania przy temperaturze 20°C lodowiska (stąd na początku naszego pobytu były te rusztowania na środku Zocalo). Powoli też wczuwaliśmy się w atmosferę zbliżających się świąt Bożego Narodzenia. Ogromne dekoracje świąteczne, udekorowana bombkami choinka i wpadające w ucho rozpoznawalne, choć po hiszpańsku, piosenki świąteczne znacznie nam to ułatwiały. W fajnym czasie przybyliśmy do tego kolorowego kraju pełnego przyjaznych ludzi.

Crazy *driver* bez zbędnej zwłoki w jego mniemaniu, a dla nas zbyt szybko, zawiózł nas na lotnisko (160 peso). Nie mogliśmy dokonać odprawy online (rezerwacja Air France, ale lot liniami partnerskimi Aero Mexico), dlatego też formalności dokończyliśmy na lotnisku. Do Paryża dolecieliśmy o czasie. Ale stamtąd do Dusseldorfu wylecieliśmy spóźnieni. Lotnisko w Paryżu ma też denerwujący zwyczaj podawania numeru bramki dopiero 20 minut przed odlotem. Z Dusseldorfu do Katowic podróż odbyła się bez opóźnień. Adios.

Ameryka Środkowa – szlakiem wulkanów



Termin: 10 lipca – 11 sierpnia 2015

Liczba uczestników: 2 osoby

Przelot: tam: Warszawa – Amsterdam – Panama City – Gwatemala City; z powrotem: Gwatemala City – Meksyk – Paryż – Warszawa, linie lotnicze: Airfrance (4200 zł).

Waluta:

Gwatemala – quetzal (GTQ), na lotnisku kurs 1 USD = 6,30 GTQ, w banku 7,50 GTQ

Belize – dolar belizeński (\$ BZ), sztywny kurs 1 USD = 2 \$ BZ

Honduras – lempira honduraska (HNL), 1 USD = 22, 5 HNL

Salvador – dolar amerykański

Wizy: Nie ma obowiązku wizowego dla Polaków przy pobycie do 90 dni. Czasami, przy przekraczaniu granicy pobierane są niewielkie opłaty. My, pomimo wielokrotnego przekraczania granic, taką opłatę wnosiliśmy tylko 2 razy, w urzędzie imigracyjnym w Livingston i w El Florero, a raz nawet otrzymaliśmy od urzędnika imigracyjnego oficjalne prezenty – laleczki gwatemalskie.

Bezpieczeństwo: w Gwatemali i Belize czuliśmy się bezpiecznie, zachowując podstawowe środki ostrożności. Podróżując po Hondurasie i Salvadorze omijaliśmy duże miasta i miejsca lokalnych niepokojów społecznych. Na terenach wiejskich i w małych miasteczkach nic złego nam się nie przytrafiło, a miejscowa ludność odnosiła się do nas przyjaźnie.

RELACJA Z PODRÓŻY

10 lipca, Gwatemala City – Antigua (Gwatemala). Wcześniej rano szukamy pierwszego shuttle busa przed dworcem lotniczym, aby dojechać do miejscowości Antigua. Bus jest, ale nie ma pasażerów i czekamy jeszcze ponad godzinę, aż się zapełni (przejazd 1 godz., 10 USD). Zakwaterowujemy się w Banana Azul Hostel (150 Q/2 os.) niedaleko rynku i idziemy zwiedzać miasto. Antigua, dawna stolica w czasach kolonialnych ma swój klimat. W 1979 r. została wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Na ulicach można zobaczyć dużo miejscowej ludności w tradycyjnych stro-

jach. Domy są zadbane, chociaż pozostały fragmenty zruinowanych budynków po trzęsieniu ziemi z 1976 r. Jednak najbardziej spektakularny widok to otaczające miasto 3 wulkany: Acatenango (3975 m n.p.m.), Agua (3766 m n.p.m.) i ciągle aktywny Fuego (3763 m n.p.m.). Po południu załatwiamy w agencji turystycznej „New Way Tour” wyjazd na następny dzień na oddalony 25 km wulkan Pacaya (80 Q/os. – pół dnia). Wieczór spędzamy w Parku Centralnym, gdzie toczy się lokalne życie towarzyskie oraz dokonujemy zakupów kartek pocztowych (3 Q) i znaczków do Polski (8 Q).

11 lipca, Wulkan Pacaya (Gwatemala). O 8.00 rano busik zabiera nas na miejsce zbiórki grupy udającej się na wulkan Pacaya (2552 m n.p.m.). Komfort jazdy nienajlepszy. Jedziemy trochę stłoczeni, a bus czasy swojej świetności ma już dawno za sobą. No, ale nie płacimy dużo. Nie można zbyt wiele wymagać za 10 dolarów od osoby.

Przejazd do wejścia parku zajmuje ok. 1,5 godziny. Stąd ruszamy z naszym przewodnikiem na pieszą wędrowkę po jeszcze ciepłej lawie. Wulkan jest ciągle aktywny. Stożek cały czas dymi. Ostatnia silniejsza erupcja miała miejsce 3 lata temu. Wybuch zniszczył 800 domów. W ostatnim roku zginęły konie. Na zboczach widać ślady spływającej lawy.

Ze względów bezpieczeństwa nie możemy wejść na szczyt, ale zwiedzamy fumarole, gdzie można sobie coś upiec w gorących wyziewach. Jest także sklepik z wyrobami z lawy. Do miasta wracamy około godz. 14.00. Wieczorem na ulicach miasta dużo się dzieje. Rozpoczynają się obchody święta patrona miasta Antigua – św. Jakuba. Grają lokalne zespoły muzyczne. Propagowane są zajęcia aerobiku. Jest mnóstwo ludzi w tradycyjnych strojach, ale są także grupy z transparentami, protestujące przeciwko złodziejstwu i korupcji w rządzie.

12 lipca, Wulkan Acatenango (Gwatemala). Wyruszamy na 2-dniową wyprawę na wulkan wykupioną w agencji „New Way Tour” (350 Q/os. + 50 Q wstęp do parku). Jedziemy w 6-osobowej grupie. Zabieramy ze sobą namioty i sprzęt biwakowy. Największą atrakcją jest możliwość nocnej obserwacji wybuchów aktywnego wulkanu Fuego. Droga do obozu zajmuje około 6 godzin. Jest trochę uciążliwa, bo cały czas idziemy pod górę. Najpierw wędrujemy malowniczą ścieżką wśród plantacji, a następnie lasem porośniętym sosną karaibską. I tutaj zaskakuje nas po raz pierwszy wybuch wulkanu Fuego.

Słyszymy dudnienie oraz widzimy wśród drzew unoszące się nad kraterem dymy. Z platformy obozowej, gdzie rozbijamy nasze namioty, mamy widok na 3 wulkany: z tyłu Pacaya, a z przodu Agua i ziejący ogniem Fuego. W nocy budzi on nas dudnieniem i rozbłyskami wyrzucanej lawy, kilkakrotnie wznowiając swoją aktywność.

13 lipca, Wulkan Acatenango (Gwatemala).

O 4.00 rano rozpoczynamy wejście na wulkan Acatenango. Po 1,5 godziny jesteśmy na szczycie. Czekamy na wschód słońca. Temperatura spada nieco poniżej zera, ale nie ma wiatru. Zimno chyba bardziej dokucza naszym z ciepłego klimatu przewodnikom niż nam z chłodniejszej Polski. Wschodzi słońce. Trudny wczesny wstawanie oraz wspinaczki wynagradzają nam wspaniałe widoki na wulkany. Schodzimy do obozu, gdzie czeka na nas śniadanie. Po południu wracamy do miejscowości Antigua, gdzie skończyły się już obchody święta patrona. Życie toczy się spokojnie, a my planujemy dalszą trasę, zakupując bilety na shuttle busa do Panajachel (80 Q).

14 lipca, Antigua – Panajachel – Jezioro Atitlán (Gwatemala). Przejazd do Panajachel zajmuje nam ok. 2,5 godz. Znajdujemy nocleg w Hospodaje San Francisco (50 Q/os. w dwójce bez łazienki). Chcemy zwiedzić miejscowości położone nad Jeziorem Atitlán, a najłatwiej jest tam dotrzeć wodą. Idziemy do portu, gdzie kupujemy bilety na kurs do San Pedro (25 Q w jedną stronę). Łódź płynie szybko. Po drodze zwiedzamy jeszcze miejscowość San Marco. San Pedro znane jest z ciekawych murali wzorowanych na dawnych malowidłach Majów. Na jednym z domów zaskakuje nas rysunek przedstawiający wodza Majów, wypisującego coś na klawiaturze laptopa.

W mieście kobiety chodzą w tradycyjnych strojach. W chustach na plecach noszą dzieci. Czekając na łódź powrotną, delektujemy się bananami zapiekаныmi w tłuszczu z cukrem lub kremem do wyboru (5 Q). W malowniczo położonych miejscowościach nad Jeziorem Atitlán funkcjonuje wiele szkół języka hiszpańskiego. Wiele osób wybierających się w podróż po Ameryce Środkowej zatrzymuje się w Gwatemali na tydzień lub dwa, aby za niewielką opłatą nauczyć się podstaw tego języka przed dalszą podróżą.

15 lipca, Jezioro Atitlán – Santiago Atitlán (Gwatemala). Płyniemy promem (25 Q) do Santiago Atitlán, największego miasteczka nad jeziorem z dużą społecznością Majów. W centrum znajduje się kościół Franciszkanów z symbolami łączącymi 2 religie: katolicką i Majów. Katolicki ołtarz swoim kształtem symbolizuje 3 święte wulkany Majów otaczające jezioro: Atitlán, Tolimán i San Pedro. Tuż przy kościele rozbiło się wesołe miasteczko. Przy dźwiękach religijnych śpiewów dzieci jeżdżą na karuzeli. Można też odwiedzić Maximona, którego kult rozpowszechniony jest w mieście, a jego figura przemieszcza się z domu do domu. Symbolizuje on bóstwo Majów, chrześcijańskiego Judasza i hiszpańskiego konkwistadora Pedro de Alvarado. Trzeba zapytać miejscowych, gdzie aktualnie znajduje się Maximon.

16 lipca, Panajachel – Quetzaltenango (Gwatemala). Rano są 2 autobusy do Quetzaltenango: o 6.30 i 8.00 (25 Q). Jedziemy tzw. chickenbusem. Są to stare amerykańskie szkolne autobusy – sprzedane przez Stany Zjednoczone krajom Ameryki Środkowej. Trzeba przyznać, że pomimo marnego wyglądu, jeżdżą tutaj szybko i sprawnie.

Po 2,5 godzinach jesteśmy na miejscu. Wsiadamy w centrum i zaraz ogarnia nas wielkomiejski gwar. Nie zamierzamy spędzać tu zbyt wiele czasu. Chcemy tylko zorganizować wyjazd na wulkan Tajumulco (4220 m n.p.m.) – najwyższy szczyt Gwatemali i Ameryki Środkowej.

Znajdujemy nocleg w Casa Argentina (40 Q/os. – pokój dwuosobowy) i zaraz udajemy się do agencji Kaqchikel Tours, gdzie wykupujemy 2-dniową wyprawę na wulkan (450 Q/os.). Popołudnie spędzamy w Parku Amerykanów, gdzie odbywa się niedzielny koncert. Lokalny muzyk wygrywa przeróżne melodie na szklaneczkach wypełnionych wodą.

17 lipca, Wulkan Tajumulco (Gwatemala). O 6.00 rano jesteśmy z małymi plecakami i 4 litrami wody przed naszą agencją, skąd zabiera nas lokalny przewodnik. Dawid jest bardzo sympatyczny. Mówi nawet trochę po angielsku, a my trochę po hiszpańsku, więc wzajemne zrozumienie jakoś nam wychodzi. Najpierw jedziemy dwoma chickenbusami do wioski Tajumulco (z przesiadką w San Marco), skąd rozpoczyna się nasza piesza wędrówka. Autobusy są bardzo zatłoczone, bo to jedyna możliwość podróżowania dla wielu mieszkańców regionu. Nie wolno w nich stać, więc dwuosobowe siedzenia szybko zamieniają się w 4-osobowe. Z wioski widać szczyt wulkanu, któ-

ry z tej wysokości wydaje się mały, kopułowaty i niepozorny. Podejście do obozu pod szczytem zajmuje ok. 3 godzin. Droga nie jest trudna, ale łapie nas burza i zaczyna się ulewa. Nasz przewodnik ma świetny patent na deszcz – niesie wielki płat folii, w który nas i plecaki owija w czasie burzy. Miejsce biwakowania jest ładnie położone. Jesteśmy sami w lesie z widokiem na Tajumulco. W nocy budzą nas odgłosy wyjących kojotów.

18 lipca, Wulkan Tajumulco (Gwatemala). Wstajemy o 4.30 i wyruszamy na wulkan. Podejście jest po kamieniach, ale niezbyt strome. Po godzinie jesteśmy na szczycie. Jest trochę zimno, kilka stopni poniżej zera. Czekamy na wschód słońca. Nie ma nikogo oprócz nas. W dali widać wybuchający wulkan oraz góry po meksykańskiej stronie. W okresie Nowego Roku nie jest tu tak spokojnie. Tajumulco jest oblężony przez tłumy turystów z Meksyku, którzy przybywają tu na tradycyjną pielgrzymkę. W drodze powrotnej ze szczytu, zatrzymujemy się w punkcie widokowym, aby podziwiać wulkan Santa Maria i San Tomas.

19 lipca, Quetzaltenango – Gwatemala City – Coban (Gwatemala). Chcieliśmy ominąć stolicę, ale dowiedzieliśmy się, że przejazd północną drogą do Cobanu może być trudny i zająć dużo czasu. Jedziemy chickenbusem do Gwatemala City (35 Q, 4 godz.). Trzeba przejechać w mieście taksówką (40 Q) na inny dworzec: Central Norte, skąd odjeżdżają autobusy linii Monja Blanca do Cobanu. Mamy szczęście, bo o 12.00 jest autobus (60 Q) i zaraz ruszamy w trasę. Autobus jedzie wolno przez małe wioski i plantacje. Coban wita nas ulewnym deszczem. Szybko zakwaterowujemy się w hotelu La Paz (75 Q/2 os. pokój z łazienką).

20 lipca, Coban – Lanquín (Gwatemala). Do Lanquín jeżdżą mikrobusy i autobusy linii Transportez Martínez. Nasz odjeżdża o 10.00 (30 Q). Mamy jeszcze trochę czasu z rana, aby obejrzeć targ w miasteczku. Jest to region rolniczy, więc jest dużo owoców i zwierząt domowych. Warto poświęcić chwilę czasu na zrobienie zdjęć kobietom w ich tradycyjnych strojach. Droga do Lanquín najpierw prowadzi szosą, później mniej komfortową drogą przez las tropikalny. Otacza nas bujna roślinność, kolorowe ptaki i odgłosy selvy. Po 2,5 godz. jesteśmy na miejscu. Znajdujemy nocleg w hotelu Rabin Itzam (100 Q/2 os. – pokój bez łazienki).

Hotel jest bardzo przestronny z dużym tarasami, gdzie wieczorem można posłuchać odgłosów lasu tropikalnego. Idziemy zwiedzić jaskinie Grutas de Lanquín. Łatwo tam trafić. Idziemy przez las do wejścia parku naszą drogą dojazdową. Jaskinie są ogromne. Trzeba zabrać ze sobą światło, bo nie zawsze jest ono włączone, a warto obejrzeć bardzo ciekawe formy krasowe. Przy wejściu do jaskini jest wielkie wywierzysko. Wypływa cała rzeka. W jaskini żyje też bardzo dużo nietoperzy. Czekamy do godz. 18.00, aż zaczną po zachodzie słońca wylatywać stadnie na żer. Widowisko jest niesamowite.

21 lipca, Lanquín – Semuc Champey (Gwatemala). Oddalone 11 km od Lanquín Semuc Champey znane jest z naturalnego mostu wapiennego (300 m długości), który jest jednym wielkim wywierzyskiem. Rzeka Cahabón znika pod ziemią, aby potem znowu wypłynąć cała spod mostu. Wyżej znajdują się także baseny z krystalicznie czystą, ciepłą wodą, gdzie można się wykąpać. Szukamy jakiegoś środka transportu, aby tam dojechać. Dogadujemy się z kierowcą samochodu, który czeka na turystów z agencji,

że zabierze nas za 25 Q od osoby. Niestety, przyjazd turystów opóźnia się i ruszamy dopiero po ok. 2 godzinach.

Samochód ma napęd na 4 koła. Teren jest pofałdowany. Trzeba pokonywać dość znaczne różnice wysokości. Malownicza droga prowadzi przez las tropikalny i plantacje kakaowców. Wstęp do parku wynosi 50 Q. Idziemy do punktu widokowego, aby popatrzeć na spływające w dół kaskady. Następnie schodzimy do basenów i zażywamy przyjemnej kąpieli. Nie chce nam się długo czekać na kurs powrotny samochodu, więc decydujemy się drogę do Lanquín pokonać pieszo. Idzie nam się ciężko, bo jest bardzo gorąco i pod górę, ale trudy wędrówki wynagradzają nam wszechobecne odgłosy lasu tropikalnego. Po 2,5 godzinach jesteśmy w hotelu. Za trudy dnia należy nam się nagroda w postaci posiłku w restauracji (kurczak z frytkami – 15 Q, banan pieczony na ruszcie – 5 Q, coca-cola – 10 Q).

22 lipca, Lanquín – El Remate (Gwatemala). Czas ruszyć na północ, w stronę Tikal. Jedziemy bardziej dziką, mniej uczęszczaną trasą, łapiąc okazje od jednego targu do drugiego: Lanquín – Pajal (15 Q), Pajal – Cumpa (10 Q), Cumpa – Sobol (15 Q), Sobol – Sayaxche (10 Q), przejazd łódką-promem w Sayaxche na drugą stronę rzeki (2 Q), Sayaxche – Santa Elena (23 Q), Santa Elena – El Remate (20 Q).

Podróż zajęła nam cały dzień, ale pojazdy były dobrze skomunikowane ze sobą. Czasami trzeba było przejść na drugą stronę targu, aby się przesiąść. W El Remate nocleg znajdujemy w Casa de Ernesto. Nasz 2-osobowy bungalow z łazienką znajduje się tuż nad jeziorem (200 Q – chatka).

23 lipca, Tikal (Gwatemala). Jedziemy na zwiedzanie zamówionym w hotelu busem (wyjazd o 5.30, 30 Q/os., wstęp do parku 50 Q). Tikal położony jest w lesie tropikalnym. Zwiedzając ruiny, słyszymy odgłosy wyjców. Udaje się nam także zaobserwować wiele dzikich zwierząt i egzotycznych ptaków. Mamy trochę szczęścia, bo przybył fotograf z National Geographic, aby sfilmować dawne obrzędy Majów, więc dyrekcja parku zaprosiła lokalnego kapłana, aby odprawił modły. Odmawia on modlitwy nad ogniem o odmiennych kolorach, symbolizujących różne siły natury. Następnie kapłan, sam przejmując energię ognia i przekazując ją innym ściskając obserwatorów obrzędu. My też korzystamy z okazji, bo przecież ekstra energia przyda się w dalszej podróży.

24 lipca, El Remate – Park Biotopo Cerro Cahui (Gwatemala). Rano zwalniamy się miejsca w hotelu obok, więc przenosimy się do tańszej chatki (40 Q/os.).

Idziemy pieszo drogą wzdłuż jeziora do Parku Biotopo Cerro Cahui (wstęp – 40 Q). Można go zwiedzać samodzielnie. Ścieżka jest dobrze oznaczona z dwoma punktami widokowymi na jezioro. W lesie jest dużo ciekawych drzew tropikalnych i niestety także dużo komarów. Lepiej jest zabrać ze sobą jakiś repelent i ubrać coś z długim rękawem.

Po południu płyniemy motorówką na jezioro, aby obserwować ptaki, ale jest ich mało. Wycieczka jest raczej mało atrakcyjna. Trochę szkoda na to pieniędzy (150 Q/os.). Wieczorem podobno można wypłynąć na obserwację krokodyli. Lepiej jednak wcześniej się upewnić, czy jest to rzeczywiście możliwe, aby je zobaczyć w tym okresie.

25 lipca, El Remate – Hopkins (Belize). W El Remate wychodzimy na główną drogę i łapiemy busa (40 Q) do przejścia granicznego w Melchor de Mencos. Pan, który nas zabiera, jedzie po turystów do granicy. Na granicy spokojnie, nie ma żadnych trud-

ności. Nie ma też żadnych dodatkowych opłat, a wręcz przeciwnie, dostajemy prezenty. Opuszczając Gwatemalę, otrzymujemy pięknie zapakowane małe laleczki, którym gwatemalskie dzieci opowiadają o swoich zmartwieniach. Wieczorem wkładają laleczki pod poduszkę i rano zmartwienia same znikają. Laleczki z pewnością pomogą nam także rozwiązać kłopoty w podróży. Po stronie Belize szybko otrzymujemy pieczętki wjazdowe. Miejscowi przechodzą dokładną kontrolę bagażu. Nie można przewozić alkoholu, warzyw czy owoców.

Turystów przepuszczają. Nie sprawdzają plecakowiczów. Przystanek autobusowy jest 3 km od granicy. Jedziemy taksówką (5 \$BZ). Udajemy się najpierw do stolicy kraju Belmopan (5 \$BZ). Tu musimy się przystosować po Gwatemali do nowej rzeczywistości – o miejsce w autobusie trzeba walczyć. Należy się wcześniej ustawić w kolejce przed bramką wejściową na stanowisko i w momencie przyjazdu autobusu szybko ruszać do drzwi, aby nie zostać wypchniętym. My przegapiliśmy jeden taki moment i nie było już wolnych miejsc, a to oznaczało, że musieliśmy czekać na następny autobus 3 godziny.

Naszym celem podróży jest Hopkins. Najpierw jedziemy do miejscowości Dangriga (6 \$BZ, 2 godz.), gdzie mamy przesiadkę. Musimy trochę poczekać na następny autobus, ale dworzec jest bezpośrednio przy plaży, więc idziemy na pierwszą kąpiel w Morzu Karaibskim.

W Belize na przystanki i dworce trzeba przychodzić trochę wcześniej, bo czas odjazdu autobusów jest umowny. Nasz autobus do Hopkins wyrusza 15 minut wcześniej przed godziną podawaną w rozkładzie jazdy. Przejazd z Dangrigi zajmuje nam 0,5 godz. (5 \$BZ). Zakwaterowujemy się w hostelu Funky Dodo (21 \$BZ os./pokój 2-osobowy). Idziemy na zakupy spożywcze. Nie jest aż tak strasznie drogo, jak nas ostrzegali turyści w Gwatemali. Jak na razie ceny są niewiele wyższe.

26 lipca, Hopkins (Belize). Skoro jesteśmy nad Morzem Karaibskim, postanawiamy spędzić cały dzień na plaży. Szukamy dobrego miejsca do kąpieli. Niestety, nie jest to takie łatwe, bo wszędzie są brunatne glony: na piasku i w wodzie. Są one problemem plaż w Hopkins od kilku lat. Miejscowi się w tym kąpią, ale nam to nie sprawia przyjemności. Wieczorem siedzimy na molo, obserwując chłopców łowiących kraby.

27 lipca, Snorkeling na rafie koralowej (Belize). Wykupiliśmy wyprawę łodzią z nurkowaniem na rafie koralowej za 65 USD od osoby. W marinie wybieramy sprzęt i ruszamy na oglądanie podmorskiego życia w kryształnie czystej wodzie. To moje pierwsze nurkowanie z maską, więc trochę się duszę, ale i tak to bardzo ciekawe doświadczenie. Zbliża się burza, więc uciekamy z rafy. Wracamy do hostelu ok. godz. 16.00.

28 lipca, Hopkins – Livingston (Gwatemala). Opuszczamy Belize. Jedziemy do miejscowości Dangriga. Autobus odjeżdża o 7.00 rano sprzed hostelu (5 \$BZ). Jak zwykle, trzeba być 15 minut wcześniej. Z Dangrigi mamy od razu przesiadkę do Punta Gorda (13 \$BZ). Bezpośrednio po przyjeździe, przed wykupem biletu na łódź do Livingston, udajemy się do urzędu emigracyjnego po pieczętki opuszczenia kraju. Tutaj są opłaty: 20 USD lub 37,50 \$BZ. Z Punta Gorda są dwie łodzie do Livingston: o 12.00 i o 13.00.

Trafiamy na duże fale i naszą łodzią mocno rzuca. Dobrze, że mamy folię do przykrycia, bo inaczej nasze plecaki i my bylibyśmy całkowicie mokrzy. Przy wjeździe do Gwatemali już nie ma żadnej opłaty. Trzeba tylko uzyskać pieczętkę wjazdową. Urząd emigracyjny znajduje się bardzo blisko, 5 minut pieszo pod górę bezpośrednio ulicą

z portu. Nocleg znajdujemy w hostelu Casa de Iguana (20 Q/os. w dormitorium). Po raz pierwszy, odkąd jesteśmy w Gwatemali, chcą trzymać nasze paszporty w hotelowym sejfie. Miejscowość jest dosyć przyjemna. Jest jednak sporo turystów zagranicznych.

29 lipca, Rio Dulce (Gwatemala). Chcemy przepłynąć łodzią do miejscowości Rio Dulce. Są dwa kursy o 9.30 i 14.30 (125 Q/os.). My wybieramy ten wcześniej-szy. Na rzece są mniejsze fale, więc można swobodnie obserwować ptactwo wod-ne i domy na palach po obu jej brzegach. Przepływamy obok fortu i pod bardzo długim, 3,5-km mostem. Decydujemy się zostać na jeden dzień w miasteczku, co oka-zuje się niezbyt dobrym pomysłem. Brzegi rzeki są zabudowane prywatnymi pomo-stami. Nie da się pójść zbyt daleko na spacer. W centrum jest tłoczno i hałaśliwie. Ża-łujemy, że nie pojechalibyśmy dalej. Nocujemy w dość komfortowych warunkach w ho-telu Rio Dulce (120 Q/2 os.).

30 lipca, Rio Dulce – Copán (Honduras). Z Rio Dulce do granicy z Hondurasem El Florero jest jeden dziennie bezpośredni autobus (o 9.00 rano, 125 Q). Przejazd jest bardzo długi. Wprawdzie jedziemy nową, dobrą drogą, ale głównym problemem jest, że nie ma z niej zjazdów czy też możliwości objazdów. Właśnie zdarzył się wypadek i wszystkie samochody stoją w olbrzymim korku. Do granicy dojeżdżamy późno, po 18.00. Trochę się martwimy, bo w przewodniku Lonely Planet jest napisane, że prze-jście jest zamykane o 17.00. Nasz kierowca twierdzi, że na pewno zdążymy, bo granica jest dłużej otwarta. I rzeczywiście ma rację. Przejście jest zamykane o 21.00. Szybko za-łatwiamy formalności, wnosząc opłatę 20 Q. Do Copanu jedziemy busem (20 Q). Noc-leg znajdujemy w hostelu Abuelo (6 USD/os., pokój 2-osobowy). Warunki noclegu są bardzo dobre, tylko trochę daleko od centrum.

31 lipca, ruiny Copán (Honduras). Idziemy zwiedzać słynne ruiny miasta Ma-jów (15 USD lub 330 L). Przy wejściu witają nas wielobarwne ary. Ruiny przez wiele lat były zarośnięte lasem tropikalnym. Teraz są częściowo odkopane. Niektóre z zabytków można obejrzeć tylko w tunelach pod powierzchnią (300 L).

Warto też zwiedzić Muzeum Rzeźby (140 L), w którym znajduje się replika oryginal-nej wielkości świątyni Majów oraz wiele rzeźb przeniesionych tutaj z parku.

1 sierpnia, ruiny Copán – Park Macaw Mountain (Honduras). Park Macaw Mo-untain (200 L lub 10 USD) jest położony nad rzeką, 2,5 km za miastem. Idziemy tam pieszo. Park jest schronieniem dla ptaków, które są chore, wypadły z gniazd bądź zo-stały wyrzucone przez właścicieli. Tutaj są przystosowywane do życia na wolności i kie-dy są gotowe, to się je wypuszcza. Można sobie zrobić zdjęcie z arą na ramieniu. Nad rzeką jest też przebieralnia i miejsce do kąpeli, ale w tym roku jest trochę mało wody, więc nie ma zbyt wielu chętnych.

2 sierpnia, ruiny Copán – Gracias (Honduras). Stacja autobusowa znajduje się przy ścieżce do Parku Archeologicznego, tuż za mostkiem. Autobus do Gracias odjeżd-ża o 8.00. Nie ma problemów z zakupem biletów (100 L). Jedziemy bardzo wolno. Po drodze nie omijają nas czynności, do których już się przyzwyczailiśmy: tankowa-nie, pompowanie kół i szukanie nowych pasażerów. Po 3 godzinach jesteśmy w Santa Rosa de Copán. Skąd wyruszamy do Gracias (50 L). Miasteczko przyjemne, z partero-wą kolonialną zabudową. Znajdujemy nocleg w hotelu Josue (200 L/2 osoby). W pobli-

żu znajduje się Park Centralny z pomnikiem żołnierzy, którzy zginęli w walkach w czasie zamieszek w 2011 i 2013 r.

3 sierpnia, Park Narodowy Montaña de Celaque (Honduras). Chcemy zwiedzić park narodowy z najwyższym szczytem Hondurasu – El Cerro de las Minas. Sam wierzchołek góry jest pokryty gęstym, tropikalnym lasem i niewiele z niego widać, ale warto przynajmniej go zobaczyć z punktu widokowego. Park oddalony jest od miasta 9 km. Szukamy jakiegoś dojazdu do niego. Część drogi przebyliśmy riksą motorową (150 L/os.). Niestety, na części trasy są roboty drogowe i ostatnie 2 km pokonujemy pieszo. Wstęp do parku kosztuje 100 L/os. Trzeba wybrać trasę i wpisać w księdze wejść, gdzie idziemy. Strażnik ostrzega nas, aby nie zbacać z oznaczonej ścieżki. Łatwo się zgubić i potem jest ciężko wrócić na szlak w tropikalnym lesie. Dzisiaj jesteśmy jedynymi turystami w parku.

Wspinamy się do platformy widokowej na wysokości 2000 m n.p.m. Jest tutaj trochę chłodniej. Możemy w ciszy i spokoju podziwiać lekko spowity mgłą najwyższy szczyt Hondurasu. Drogę powrotną do Gracias pokonujemy pieszo. Idziemy wśród pasterisk i plantacji kawy. Robotnicy drogowi wskazują nam właściwy kierunek wędrówki. Wieczór spędzamy na rynku, w centrum, gdzie toczy się życie towarzyskie miasta. Dowiadujemy się, że komunikacja w stolicy Salvadora, gdzie chcieliśmy teraz jechać, jest sparaliżowana przez porachunki lokalnej mafii. W ostatnim czasie zamordowano ok. 20 kierowców autobusów miejskich, którzy nie chcieli płacić haraczu. Pozostali kierowcy w obawie o swoje życie podnieśli strajk. Na ulice wyszło wojsko, aby przewozić ludzi. W tej sytuacji weryfikujemy naszą trasę podróży. Nie ma sensu jechać do stolicy. Kuszą nas jednak piękne salvadorskie wulkany. Postanawiamy więc ominąć wielkie miasta i, jak radzą nam miejscowi, wjechać do Salvadora od strony Gwatemali.

4 sierpnia, przejazd do Salvadora. Czeka nas męczący dzień, ponieważ do pokonania mamy 2 granice i wiele przesiadek, aby dotrzeć do miejscowości Santa Ana w Salvadorze. Nasze etapy podróży: Gracias – Santa Rosa de Copán (50 L), Santa Rosa de Copán – Nueva Ocotepeque (90 L), Nueva Ocotepeque – przejście graniczne do Gwatemali Agua Caliente (taksówka 100 L) – nie można dojechać aż do samego przejścia taksówką, trzeba się przesiąść do busa (25 L), Agua Caliente – Esquipulas (15 Q), Esquipulas – przejście graniczne z Salvadorem Anguiatú (15 Q), Anguiatú – Metapan (0,56 USD), Metapan – Santa Ana (0,90 USD), przejazd taksówką do hostelu w Santa Ana (3 USD).

Na przejściach granicznych nie ma żadnych opłat. Na przejściu z Hondurasu do Gwatemali trzeba uważać, aby otrzymać 2 pieczątki w paszporcie, ponieważ punkty kontrolne obu krajów są w tym samym budynku, 2 okienka, tuż obok siebie.

W Santa Ana nocujemy w hostelu Casa Verde (10 USD/os. – dormitorium). Jest on bardzo wygodny i dobrze wyposażony. Na zewnątrz hostelu nie ma umieszczonej jego nazwy, tylko znaczek Lonely Planet.

5 sierpnia, Park Nacional los Volcanos (Salvador). Chcemy wybrać się na wulkan Santa Ana i Izalco. Wejście do Parku los Volcanos jest możliwe tylko z obstawą policji. Trzeba być tam przed godz. 11.00, kiedy organizowane są grupy przez lokalnych przewodników. Dojazd jest możliwy autobusem nr 248 (0,90 USD) o 7.30 sprzed supermarketu w pobliżu hostelu. Jest tylko jeden taki kurs. Autobus jest bardzo przepełniony i jedzie wolno, zabierając wszystkich lokalnych pasażerów po drodze. Mamy tro-

chę pecha, bo dzisiaj jest święto w Salvadorze i dzień wolny od pracy. Przy wejściu jest sporo osób oczekujących na przewodników.

Decydujemy się na wejście na wulkan Santa Ana, w którego kraterze znajduje się turkusowe jezioro i bardzo dobrze jest widoczny, ciągle aktywny sąsiadujący wulkan Izalco. Wejście i zejście zajmuje ok. 4 godzin. Opłaty są symboliczne: od 3 do 5 USD na osobę (wstęp do parku i napiwki dla przewodników). W powrotnej drodze zwracamy uwagę na znaki wskazujące kierunki ewakuacji. Wulkany są ciągłym zagrożeniem. W 2005 r. na stokach Santa Any zginęli zbieracze kawy. W późniejszym okresie zdarzyły się także lawiny błotne.

6 sierpnia, Santa Ana – Tacuba (Salvador). Wyruszamy do miejscowości Tacuba, w pobliżu której znajduje się wejście do Parku Narodowego El Imposible. Najpierw jedziemy autobusem nr 210 do miejscowości Ahuachapán (1 godz., 0,60 USD), gdzie przesiadamy się do autobusu do Tacuby (45 min, 0,49 USD). Znajdujemy nocleg w Hostelu de Mamá y Papá y Manolo (20 USD/2 os.). Rezerwujemy wyjazd na następny dzień, na trekking do parku (25 USD/os.). Można wybrać się też do wodospadów (30 USD/os.), ale my wolimy pochodzić po górach. We wszystkich gazetach dużo piszą o morderstwach kierowców w stolicy Salvadoru, ale tutaj jest spokojnie i nasi gospodarze zapewniają nas, że jest zupełnie bezpiecznie. Spacerujemy po wiosce. Panuje tu senna atmosfera i niewiele się dzieje. Ludzie żyją skromnie. Ceny produktów spożywczych są niskie. Jeden dolar amerykański ma tutaj dużą wartość.

7 sierpnia, Park Nacional El Imposible (Salvador). O 8.00 rano wyjeżdżamy na trekking. Trafiliśmy na dobrego przewodnika. Abel zna się świetnie na roślinach. Opowiada o różnych odmianach uprawianej w regionie kawy. Pokazuje nam rośliny wykorzystywane przez miejscową ludność jako lekarstwa. Zabieramy trochę liści „anisillo” – lokalnego środka na odstraszanie komarów. Przechodzimy też szybki kurs survivalu. Uczymy się, w jakich roślinach można znaleźć wodę i których nie należy zjadać, bo są trujące.

Wspinamy się na szczyt góry do punktu widokowego na Ocean Spokojny i wulkan Gwatemali. Rzeczywiście widoki są imponujące. Z jednej strony widzimy plażę i rozbijające się o brzeg fale Pacyfiku, z drugiej zaś wulkany w otoczeniu miasta Antigua, na których szczytach już wcześniej byliśmy. Nazwa parku El Imposible wywodzi się od niebezpiecznego kanionu, w którym ginęli farmerzy i muły transportujące kawę do portów na wybrzeżu Pacyfiku. Teraz już jest wybudowany most nad kanionem i transport płodów rolnych jest łatwiejszy. My też przechodzimy po tym moście, spoglądając w dół przepastnego kanionu.

8 sierpnia, Tacuba – Monterrico (Gwatemala). Nasz wyjazd zbliża się powoli do końca. Ostatnie dni chcemy spędzić na plaży nad Pacyfikiem.

Wracamy do Gwatemali, skąd mamy nasz lot do Polski. Dzisiejszy dzień przeznaczamy na przejazd, który przebiega bardzo sprawnie. Trasa przejazdu: Tacuba – Ahuachapán (0,49 USD), Ahuachapán – Las Chimanas (0,90 USD), przejście graniczne (bez opłat) – Cuilapa (12 Q), Cuilapa – Chiquimulilla (10 Q), Chiquimulilla – Taxisco (5 Q), Taxisco – La Avallena (5 Q), La Avallena – Monterrico (prom 5 Q).

Do Monterrico przybywamy ok. 18.00. Mamy trochę problemów ze znalezieniem noclegu. Jest weekend i dużo miejscowych turystów ze stolicy Gwatemali przyjeżdża

tu na odpoczynek nad oceanem. Nocujemy w prywatnej kwaterze (75 Q/os.). Następnego dnia przenosimy się do tańszego hostelu Delfin (40 Q).

9 sierpnia, Monterrico (Gwatemala). O 5.00 rano wyruszamy na 2-godzinną wycieczkę łodzią (75 Q/os.), aby obserwować ptaki i zobaczyć lasy namorzynowe o wschodzie słońca. Wyprawa jest ciekawa pod warunkiem, że znamy pozostałych pasażerów łodzi. My płyniemy z rodziną z małymi dziećmi, które nie są zadowolone z konieczności wczesnego wstawania. Cały czas głośno krzyczą, że chcą wracać i w rezultacie wycieczka jest skrócona o pół godziny. Resztę dnia spędzamy na wędrowce po plaży, która jest tutaj zupełnie czarna. To zasługa piasku wulkanicznego. Zwiedzamy także tortugarnię, gdzie chroni się i rozmnaża żółwie.

Obok jest muzeum, ale bardzo zaniedbane. Pan sprzedający bilety chyba ma tego świadomość, bo sprzedaje je nam po cenie dla miejscowych (10 Q), innej niż jest oficjalnie napisane na wejściu.

Wieczorem można wyjść z przewodnikiem na obserwację żółwi składających jaja na plaży. Wchodzi się o 20.00 i wraca o 22.00. W rzeczywistości chyba jednak rzadko udaje się coś zaobserwować. Cena jest mocno negocjacyjna. Miejscowi przewodnicy nie są zbyt przekonujący w swoim uzasadnieniu skuteczności wyjścia, raczej wygląda to tak, jakby chcieli wyciągnąć turystów na płatny spacer po plaży niezależnie od pory składania jaj przez żółwie.

10 sierpnia, Monterrico (Gwatemala). Po negatywnych doświadczeniach z wczorajszą wycieczką łodzią, dziś decydujemy się na obserwację ptaków, płynąc kursowym promem do La Avellana (5 Q). Wokół tej miejscowości ciągną się plantacje roślin tropikalnych. Idziemy pieszo do sąsiedniej wioski, obserwując pracę miejscowych rolników. Wieczorem spacerujemy po czarnej plaży, wsłuchując się w szum fal. To nasze pożegnanie z oceanem i wakacjami. Jutro wracamy do miejscowości Antigua, skąd zaczęła się nasza wyprawa.

Po ostatnim spojrzeniu na otaczające ją wulkany, czeka na nas przejazd na lotnisko i odlot do Polski.

Brazylia 2015



Termin: 18 kwietnia – 12 maja 2015

Trasa: Kraków – Madryt – Foz do Iguaçu (Puerto Iguazu, Ciudad del Este) – Campo Grande (Pantanal) – Brasilia – Salvador – Sao Paulo – Paraty – Rio de Janeiro – Madryt – Kraków

Przeloty (wszystkie z bagażem rejestrowanym dla każdej osoby):

Kraków – Madryt Ryanair: 240 zł/osobę

Madryt – Rio de Janeiro – Berlin (przez Madryt) Iberia: 1041 zł/osobę

Rio de Janeiro – Foz do Iguaçu GOL: 123 BRL/osobę

Campo Grande – Brasilia (przez Sao Paulo) Azul: 91 USD/osobę

Brasilia – Salvador GOL: 46 USD/osobę

Salvador – Sao Paulo GOL: 71 USD/osobę

Uwaga: Ceny noclegów poniżej podane dotyczą zawsze pokoju dwuosobowego.

Waluta:

Brazylia real brazylijski (BRL), średni kurs wymiany 100 USD = ok. 308 BRL

Argentyna peso (ARS), 100 USD = 1270 ARS

Paragwaj guarani (PYG), 20 USD = 100 000 PYG

Uwaga: oficjalny kurs peso argentyńskiego jest niższy, więc warto wymieniać na „czarnym rynku”. My wymieniliśmy u właściciela hostelu w Foz do Iguaçu, który dodatkowo odkupił po tym samym kursie pieniądze, które nam zostały po jednodniowym wypadzie do Argentyny.

Różnica czasu między Brazylią i Polską 5 godzin (Brasilia – 7.00, Polska – 12.00).

Uwaga: W Brazylii istnieją 3 strefy czasowe, więc w zależności od położenia miasta może wystąpić inna godzina.

RELACJA Z PODRÓŻY

19 kwietnia, lot z Madrytu do Rio de Janeiro + Foz do Iguaçu. Lot z Madrytu do Rio de Janeiro linią Iberia mieliśmy o 11.50 z planowanym przylotem na lotnisko Galeão o godzinie 17.25. Do następnego lotu o 22.00 do Foz do Iguaçu mieliśmy tro-

chę czasu, który wykorzystaliśmy na wymianę pierwszych pieniędzy (100 USD = 302 BRL). Aby uprzyjemnić sobie czekanie, kupiliśmy sobie na lotnisku miejscowe najbardziej znane piwo Skol (473 ml – 8 BRL). Zgodnie z planem o północy wylądowaliśmy w Foz do Iguaçu, gdzie czekał już na nas właściciel hostelu, w którym mieliśmy zarezerwowany nocleg na pierwsze trzy noce. Za transfer z lotniska do jego hostelu zapłaciliśmy wcześniej umówioną cenę 42 BRL.

Nocleg: hostel Iguassu Falls (www.iguassufallshostel.com) 234 BRL 3 noce za pokój dwuosobowy ze śniadaniem, wspólna łazienka na korytarzu.

Inne ceny:

Kawa espresso (lotnisko) – 4 BRL

Piwo Brahma 350 ml – 3 BRL

20 kwietnia, wodospady Iguazu (strona brazylijska). Po dość pożywnym śniadaniu w hostelu (tosty, wędliny, soki, kawa itp.) udaliśmy się autobusem (przystanek niemalże przy hostelu – bilet 3 BRL) pod bramę parku z wodospadami Iguazu. Wstęp do parku (<http://www.cataratasdoiguacu.com.br/>) kosztuje 52,30 BRL na osobę, ale to jedne z najlepiej wydanych dotychczas przez nas pieniędzy. Strona brazylijska oferuje bardziej panoramiczny widok na całość wodospadów. Ścieżką maszeruje się aż do największej atrakcji – Gardzieli Diabła, bodajże najbardziej spektakularnej części wodospadów Iguazu. Po drodze mija się wiele kręcących się szopów, które często podkradają się do damskich torebek, próbując wyciągnąć z nich jakieś drobizgi. Na zwiedzanie części brazylijskiej wystarczy w zupełności kilka godzin, ale polecamy po zakończeniu podziwiania wodospadów udanie się do leżącego nieopodal bramy wejściowej parku ptaków (<http://www.parquedasaves.com.br/en/> – wstęp 34 BRL/os.), w którym można w naturalnym środowisku podziwiać wiele egzotycznych dla nas ptaków, m.in. ary i tukany.

Do hostelu wracaliśmy na raty, zatrzymując się po drodze w centrum, gdzie nieopodal dworca autobusowego jest supermarket, w którym można zakupić interesujące nas produkty.

Inne ceny:

Woda 0,5 l przy wodospadach – 4 BRL

Lody włoskie (park ptaków) – 5 BRL

Coca-cola 2,5 l – 5,43 BRL

Piwo Itaipav (473 ml) – 2,09 BRL

Piwo Itaipav (350 ml) – 1,69 BRL

Woda (1,5 l) – 2,49 BRL

Kebab – 8 BRL

Pastel (à la pieróg z mięsem) – 3 BRL

21 kwietnia, wodospady Iguazu (strona argentyńska). Kolejnego dnia postanowiliśmy obejrzeć wodospady Iguazu ze strony argentyńskiej. Ponownie z przystanku zlokalizowanego przy naszym hostelu, ale tym razem w przeciwną stronę pojechaliśmy do Puerto Iguazu w Argentynie. Bus zatrzymuje się na granicy zarówno po stronie brazylijskiej, jak i argentyńskiej, z tym że na pasażerów czeka wyłącznie po stronie argentyńskiej. My, nie chcąc czekać na kolejnego busa, przejechaliśmy granicę brazylijską, stemplując paszporty wyłącznie w Argentynie. Autobusem z Foz do Iguaçu można dojechać do dworca autobusowego w Puerto Iguazu (bilet 20 ARS), ale korzystniej

wysiąść na rozstaju dróg (wskaze je kierowca na naszą prośbę), skąd odjeżdża autobus pod bramę parku. Bilet autobusowy kosztuje 50 ARS, przy 4 osobach można jechać taksówką za 200 ARS – wyjdzie na to samo, a będzie szybciej.

Park narodowy wodospadów Iguazu (<http://www.iguazuargentina.com/en/>, wstęp 260 ARS/os.) jest znacznie rozleglejszy niż jego brazylijski odpowiednik. Na jego terenie znajdują się dwa główne szlaki: jeden prowadzący dołem wodospadów, drugi pozwala natomiast podziwiać ten cud przyrody z góry. Dodatkową atrakcją jest kolejka, która podwozi nas na początek ścieżki pod najbardziej spektakularną część, a mianowicie: Garganta del Diablo. Choć niestety po paru godzinach zepsuła się pogoda, nastąpiło prawdziwe oberwanie chmury, to nie przeszkodziło nam to w zwiedzeniu całości parku. Po zakupie drobnych pamiątek (magnes na lodówkę 69 ARS, porcelanowy czajniczek 79 ARS) wróciliśmy do Foz do Iguaçu. Tam zjedliśmy w pizzerii w jednym z centrów handlowych obiadokolację (duża pizza – 55 BRL, piwo Skol 600 ml – 8 BRL oraz wino w promocji „weź 2 zapłać za 1” w cenie 5 BRL).

22 kwietnia, Ciudad de Este. Ostatni dzień w tych okolicach postanowiliśmy spędzić na krótkim wypadzie do Paragwaju, aby zobaczyć tam elektrownię Itaipu, drugą pod względem wielkości elektrownię wodną na świecie. Jest ona zbudowana na rzece Parana, stanowiącej granicę między Brazylią i Paragwajem, stąd też energia elektryczna w niej wyprodukowana jest dostarczana do obu tych krajów. Podróż tradycyjnie zaczęliśmy od przystanku autobusowego przy hostelu, tym razem podjeżdżając linią 103 pod granicę brazylijsko-paragwajską, którą przekroczyliśmy pieszo. Po przekroczeniu granicy w jednym z kantorów wymieniliśmy 20 dolarów (co według naszych obliczeń powinno nam wystarczyć na jeden dzień w Paragwaju) na miejscową walutę. Niedaleko granicy odjeżdża autobus w stronę elektrowni (kierunek Hernandarias, cena 3000 PYG). W punkcie turystycznym elektrowni najpierw puszczany jest film z najważniejszymi informacjami o elektrowni, a następnie darmowy autobus zabiera na przejażdżkę po okolicach elektrowni. Niestety zatrzymuje się wyłącznie w jednym punkcie widokowym, więc większość elektrowni podziwiamy zza okien autobusu. Po wycieczce wróciliśmy ponownie do Ciudad del Este, nazywanym największym targowiskiem Ameryki Południowej, ponieważ znajduje się w nim mnóstwo sklepów i straganów, w których można ponoć tanio nabyć różnego rodzaju sprzęty, głównie elektronikę i sprzęt AGD.

Wieczorem mieliśmy autobus do Campo Grande (1800-700, 130 BRL/os.), na dworzec autobusów międzymiastowych z naszego przystanku podjechaliśmy linią 115 (3 BRL).

Inne ceny:

Magnes na lodówkę – 15 000 PYG

Lody w McDonalds – 5500 PYG

Piwo – 5000 PYG

Pringels – 10 000 PYG

Empañada z mięsem – 6500 PYG

Coca-cola 0,5 l – 7000 PYG

Matero (małe) – 10 000 PYG

Woda 1,5 l (dworzec) – 4 BRL

WC (dworzec) – 1 BRL

Empañada+kawa+sok – 5,75 BRL

23 kwietnia, Campo Grande. Po przyjeździe około 7 do Campo Grande od razu na dworcu zaczepili nas przedstawiciele agencji turystycznych, oferując wycieczki po Pantanal. Ostatecznie zdecydowaliśmy się na 3-dniowy pakiet wykupiony w agencji Pantanal Trekking w cenie 950 BRL za naszą dwójkę. Ponieważ wyjazd w stronę Pantanal oddalonego od Campo Grande o ponad 400 km miał nastąpić o 10.00, to facet, który sprzedał nam wycieczkę, zawiózł nas do swojego hostelu, gdzie mogliśmy zjeść darmowe śniadanie i poczekać w przytulnym holu na odjazd busa. Zgodnie z planem o 10.00 podjechał bus, który zbierał turystów również z innych biur. Po drodze zatrzymaliśmy się na lunch (empañada z kurczakiem 4,60 BRL, woda 1,5 l – 4,50 BRL, coca-cola 0,5 l – 5,30 BRL). Po dojechaniu po paru godzinach na skraj Pantanal, przesiedliśmy się na pakę dżipa i przez kolejne 30 km w drodze na nocleg podziwialiśmy już pierwsze zwierzęta, takie jak kajmany, tukany i wiele innych różnych ptaków, których nazw już nie wspomnimy. Po drodze zatrzymaliśmy się w jedynym sklepie w tej części Pantanal, gdzie kupiliśmy piwo Antarctic (3,50 BRL) oraz napój Guarana (2 l – 6 BRL). Jedzenie mieliśmy zapewnione na miejscu, natomiast w napoje musieliśmy się zaopatrzyć we własnym zakresie.

Na miejsce dojechaliliśmy ok. 16.00. Po krótkim odpoczynku, gdy zapadł zmierzch, razem z naszym przewodnikiem udaliśmy się na ok. 30-minutową nocną przejażdżkę, podczas której w świetle lampy przewodnika mogliśmy obserwować wielkie pająki, kryjące się w konarach drzew oraz wylegające się w szuwarach aligatory.

Nocleg: pousada Arara Azul (<http://www.booking.com/hotel/br/pousada-arara-azul-pantanal-sul.pl.html>) w cenie pakietu obejmującego zwiedzanie Pantanal.

24 kwietnia, Pantanal. Wstaliśmy o 6.00, zjedliśmy śniadanie (drożdżówki, owoce, kawa) i godzinę później pojechaliliśmy razem z pięcioma już tu przebywającymi osobami na około 2-godzinną wycieczkę łodziami. Widzieliśmy mnóstwo kajmanów, różnorodnych ptaków oraz – co było dla nas nowością – kapibary. Po powrocie skorzystaliśmy z kąpeli w basenie, gasząc pragnienie zimnym piwem. Po obiedzie czekała nas kolejna atrakcja – połów piranii. Udało nam się złapać kilka rybek, w przeciwieństwie do pary sympatycznych Szwajcarów, którym ta sztuka się nie udała. Złowione ryby zjedliśmy na kolację – trzeba przyznać, że piranie smakują nie najgorzej.

25 kwietnia, Pantanal. W dniu dzisiejszym bezpośrednio po śniadaniu poszliśmy na 3-godzinny trekking (a bardziej spacer, bo w klapkach) po mokradłach Pantanal. Próbowaliśmy wypatrywać różne zwierzęta, ale szczerze powiedziawszy, udało nam się zobaczyć tylko kilka małych skaczących po drzewach, mrówkojad, kilka papug ara, tukany oraz kilka mniejszych ptaków. Brodziliśmy kilka razy prawie po kolana w jakichś moczarach – tylko czekaliśmy, jak wyskoczy jakiś kajman ludożerca. Po powrocie i lunchu nadszedł czas powrotu – nasz przewodnik Pablo zawiózł nas tradycyjnie dżipem na skraj Pantanal, skąd busem wróciliśmy do Campo Grande (na miejscu byliśmy o 20.00). Nocowaliśmy w hostelu Ecological Expeditions, którego właścicielem był gość, u którego wykupiliśmy wycieczkę po Pantanal.

W samym Campo Grande spotkała nas miła niespodzianka: w knajpie, do której poszliśmy na kolację, spotkaliśmy naszego znajomego z Pantanal – Rodrigo wraz z całą rodziną. Spędziliśmy miło czas, tocząc ciekawe rozmowy przy obficie lejącym się piwie. Cała impreza (ogromna pizza i kilka dużych piw) kosztowała nas 50 BRL za na-

szą dwójkę. O północy położyliśmy się spać, bo już o 5 rano czekała nas pobudka na samolot do Brasilii.

Nocleg: hostel Ecological Expeditions (<http://www.pantanaltrekking.com/hostel-campo-grande.html>) – 80 BRL.

26 kwietnia, przelot do Brasili (przez Sao Paulo). Rano po śniadaniu wyruszyliśmy na lotnisko, gdzie zawieźli nas za darmo ludzie z hostelu (tak umówiliśmy się z właścicielem przy zakupie u niego wycieczki na Pantanal). Linia Azul lecieliśmy o 9.40 do Sao Paolo, a następnie po godzinnej przesiadce do stolicy Brazylii – Brasili. Choć połączenie wygląda na nielogiczne, to w momencie zakupu była to najtańsza alternatywa. Wylądowaliśmy po 15.00, ale dopiero po około 1,5-godziny mieliśmy autobus do centrum (8 BRL/os.). Z taxi ze względu na znacząco większą cenę nie chcieliśmy korzystać. Niestety jako że to stolica, trudno z dostępnością tanich hoteli. My zdecydowaliśmy się na nocleg w hotelu El Pilar, który wydał nam się najbardziej korzystną opcją. Po zakwaterowaniu udaliśmy się na zakupy do sklepu Carrefour oddalonego od naszego hotelu o 1,5 km, po drodze na kolację kupując burgery w sieciówce Bo-b's (6,50 BRL)

Inne ceny (Carrefour):

Piwo Antartica 473 ml – 2,29 BRL

Piwo Brahma 473 ml – 2,29 BRL

Coca-cola 2,5 l – 4,49 BRL

Woda 1,5 l – 2,59 BRL

Czipsy – 2,79 BRL

Różne ciastka – 1,90–2,60 BRL

Bułka – 1,09 BRL

Nocleg: Hotel El Pilar (<http://www.elpilar.com.br/wp/>) – 340 BRL/2 doby ze śniadaniem.

27 kwietnia, Brasilia. Po śniadaniu około 8.00 wyruszyliśmy zwiedzać stolicę. Najbliżej mieliśmy wieżę TV, ale okazało się, że w tym dniu była zamknięta, więc zostawiliśmy ją sobie na kolejny dzień. Poszliśmy zatem do oddalonej o 2,5 km katedry Metropolitana (wejście darmowe) w bardzo oryginalnych kształtach, przypominających koronę cierniową Chrystusa. Jak większość budynków w Brasilii, została zaprojektowana przez słynnego brazylijskiego architekta Oscara Niemeyera i rzeczywiście zrobiła na nas wrażenie (uczciwie trzeba przyznać, że jako jedna z nielicznych budowli w tym mieście). Następnie idąc wzdłuż jednej z głównych ulic, zobaczyliśmy budynek Parlamentu w kształcie dwóch dysków, pałac Itamaraty, Sąd Najwyższy, aż dotarliśmy na Plac Trzech Potęg (Praça dos Três Poderes), na których znajduje się wiele pomników, wśród nich pomnik dwóch ludzi symbolizujących budowniczych miasta, które powstało w zasadzie na pustkowiu w latach 1956–1960. Później poszliśmy zwiedzić sanktuarium św. Jana Bosco – przepiękny kościół z dużymi błękitnymi witrażami oraz żyrandolami ważącymi 2,5 tony, wykonanymi z kawałków szkła. Po drodze zjedliśmy obiad w knajpie serwującej jedzenie na wagę, za który wraz z dużym piwem Skol (600 ml) zapłaciliśmy za 2 osoby 30 BRL. Wieczorem po odpoczynku w hotelu wybraliśmy się jeszcze zrobić parę nocnych fotek.

Inne ceny:

Churro (tradycyjny wypiek z nadzieniem) – 1 BRL

Acai (brazylijski słodycz) – 3,50 BRL

Różańce – 3 lub 6 BRL

Miniatura budowli w Brasílii (pamiątka) – 25 BRL

Popcorn – 3 BRL

28 kwietnia, Brasília. Pokój zdaliśmy około 11.00, zostawiliśmy bagaże w przechowalni i ruszyliśmy dokończyć nasze zwiedzanie Brasílii. Tym razem udało nam się wejść na wieżę telewizyjną (wjazd na 75 piętro – darmowy), skąd rozpościerała się dość szeroka panorama miasta. W zasadzie najważniejsze atrakcje mieliśmy zwiedzone, więc poszliśmy kawał drogi do parku, który był polecany w przewodnikach. Niestety, jak większość Brasílii, tak i ten park nas rozczarował. Poszwendaliśmy się jeszcze troszkę po mieście i po obiedzie ok. 16.00 pojechaliśmy na lotnisko (bus linia 113 – 6 BRL). Na lotnisku mieliśmy małe problemy przy samodzielnej odprawie, ponieważ okazało się, że Beata wzbudziła podejrzenia tym, że za jej bilet zapłacono kartą kredytową jej męża.

Po przylocie do Salvadoru (ok. 21.00) w informacji turystycznej zasięgnęliśmy języka na temat możliwości dostania się do centrum. Na szczęście wbrew informacjom z przewodnika, że autobusy jeżdżą tylko do 20.00, znalazł się jeszcze autobus (linia 1001), który zawiózł nas na miejsce za 3 BRL/os. Inną alternatywą jest taksówka za 130 BRL. Na starym mieście było wszędzie pełno policji i choć do upatrzonego hostelu mieliśmy tylko 600 metrów, policjant odprowadził nas pod same drzwi i odszedł dopiero, gdy upewnił się, że zostajemy tam na noc. Już po powrocie do domu w Internecie przeczytaliśmy, że Salvador plasuje się na 13 miejscu najbardziej niebezpiecznych miast świata – my na szczęście podczas naszego pobytu ani razu tego nie odczuliśmy.

Nocleg: Hostel Laranjeiras (<http://www.laranjeirashostel.com.br/>) – pierwsza noc w małym, ciemnym pokoju za 65 BRL, pozostałe dwie noce w lepszym pokoju za 86 BRL.

29 kwietnia, Salvador. Z samego rana poszliśmy zobaczyć Stare Miasto, które za dnia zrobiło dużo bardziej przyjemniejsze wrażenie niż poprzedniego dnia w nocy. Spacerując wybrukowanymi uliczkami Starego Miasta, mijając kolorowe kolonialne budynki, zajrzeliśmy najpierw do kościoła MB Różańcowej (wstęp 3 BRL/os.). Zwiedziliśmy jeszcze kilka innych kościołów, choć wiele z nich było w remoncie. Następnie zjechaliśmy słynną windą Lacerda na niższy poziom miasta, tzw. Cidade Baixa (bilet 0,15 BRL/os.). Znajduje się tam duży targ, gdzie można zaopatrzyć się w różnego rodzaju pamiątki i wyroby brazylijskie. Wieczorem po krótkim odpoczynku w hostelu poszliśmy zwiedzić znajdujący się po sąsiedzku kościół św. Franciszka (wstęp 5 BRL/os.). Później, popijając piwko nad morzem, podziwialiśmy zachód słońca. Po zachodzie słońca wróciliśmy do hostelu, bo odradzano nam chodzenie po zmroku (akurat tylko w Salvadorze raczej tego unikaliśmy).

Inne ceny:

Buteleczka likieru kakaowego – 20 BRL

Hamburger – 3,50 BRL

Tapioca 3 sery – 6 BRL

30 kwietnia, Salvador. Po śniadaniu w hostelu pojechaliśmy na cały dzień na oddaloną o około 60 km plażę Praia do Forte. Teoretycznie miało się jechać 2 godziny w jedną stronę, więc się skusiliśmy, tym bardziej że na plaży jest rezerwat żółwi (Projeto Tamar). Niestety owe 2 godziny przekształciły się w 4 godziny w jedną stronę, po-

nieważ 5-km odcinek z naszego przystanku na dworzec autobus pokonał w 1 godzinę i 20 minut. Na szczęście z dworca już jechał zgodnie z przewidywaniami 2 godz. Płaza okazała się bardzo ładna, trochę więc się poopalaliśmy i popływaliliśmy w Oceanie Atlantyckim. Następnie poszliśmy do wspomnianego wcześniej rezerwatu żółwi (wstęp 18 BRL + 6 BRL dodatkowo dla chętnych za kino – łódź podwodną – w naszej opinii nie warto). Żółwie zrobiły na nas wrażenie, można było zobaczyć zarówno malutkie żółwiki, jak i ogromne dorosłe żółwie morskie. Oprócz żółwi można podziwiać tam rekiny, manty i inne stworzenia morskie. Ok. 16.00 nadszedł czas powrotu, po drodze zjedliśmy jedynie w przydrożnej budce po szaszłyku (5 BRL) i po pączku (3 BRL). Ceny w nadmorskich restauracjach zaczynały się niestety od 50 BRL, co dla nas było stanowczo za drogo.

Inne ceny:

Autobus z Praca do Se do Rodovaria (dworzec autobusowy) – 3,25 BRL

Autobus z Rodovaria do Praia do Forte – 7 BRL

Piwo Schin 269 ml – 3 BRL

1 maja, Salvador. Rano wykwaterowaliśmy się i, zostawiając plecaki w hostelu, poszliśmy jeszcze na parę godzin na miasto. Jako że był to dzień świąteczny, na placu głównym była rozłożona scena, na której odbywały się wszelakiego rodzaju występy. Po raz pierwszy podczas naszego pobytu w Brazylii skosztowaliśmy capirinho, czyli tutejszego specjału składającego się z miejscowej wódki (Cachaça), limonek i cukru trzcinowego. Od tego momentu został naszym ulubionym napojem podczas dalszego pobytu. Około 14.00 udaliśmy się na lotnisko skąd o 16.46 mieliśmy samolot do Sao Paulo. Lot trwał 2,5 godziny, ale zanim odebraliśmy bagaże i dostaliśmy się autobusem i metrem do centrum, było już ok. 23.00. Na szczęście zaklepany wcześniej hostel miał bardzo przyjacielską obsługę, która na przywitanie poczęstowała nas piwem i umożliwiła zamówienie pizzy do hostelu, bo nie chcieliśmy już się szwendać po nocy.

Inne ceny:

Capirinha – 5 BRL

Bus na lotnisko (Salvador) – 3,25 BRL

Bus z lotniska na metro (Sao Paulo) – 5,15 BRL

Metro – 3,50 BRL

Pizza – 35 BRL

Nocleg: Hostel Mama Brasil (<http://www.mamabrasil-hostel.com/en>) – 227 BRL/2 doby ze śniadaniem.

2 maja, Sao Paulo. Po śniadaniu w hostelu poszliśmy na przystanek metra i podjeżdżając na stację Republica (3,50 BRL), zrobiliśmy sobie około 3-godzinny spacer po mieście, oglądając najciekawsze atrakcje. Parę kościołów, teatr miejski. Następnie poszliśmy do muzeum futbolu, gdzie wstęp normalnie kosztuje 6 BRL, ale w soboty jest za darmo, więc parę groszy zostało nam w kieszeni. Około południa weszliśmy do katedry metropolitalnej Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, gdzie akurat odbywały się comiesięczne uroczystości ku czci MB Fatimskiej. Podczas uroczystej procesji wnoszono figurę MB Fatimskiej wśród śpiewu wiernych i przygrywającej orkiestry. Wieczorem przeszliśmy jeszcze najsłynniejszą drogą Sao Paulo – Avenida Paulista, gdzie zrobiliśmy parę nocnych fotek. Ogólnie jednak uznaliśmy Sao Paulo za mało atrakcyjne miasto, choć trzeba pamiętać, że to nasza subiektywna opinia.

Inne ceny:

Bułka z kebabem+sok – 3 BRL

Zestaw u Boba (hamburger, frytki, napój) – 18 BRL

Orzeszki (duża paczka) – 6 BRL

3 maja, Paraty. Z samego rana udaliśmy się na dworzec autobusowy (stacja metra Portuguesa-Tietê na linii 1 metra), skąd odjeżdżał autobus do nadmorskiej miejscowości Paraty (autobus firmy Reunidas 54 BRL/os.). Radzimy wodę kupić gdzieś wcześniej na miejsce, bo na dworcu butelka 0,5 l kosztowała aż 4 BRL. Wyjeżdżaliśmy o 10.00, a na miejsce dotarliśmy ok. 16.00. Do plaży, w okolicach której chcieliśmy nocować, z dworca mieliśmy około 1,5 km. Kupiliśmy po piwie na drogę i raźnie ruszyliśmy szukać noclegu. Kwatery okazały się dość drogie, ale w końcu zdecydowaliśmy się na nocleg w uroczej pousadzie z dużym pokojem, balkonem z widokiem na morze za 130 BRL za noc. Byliśmy na tyle wyczerpani drogą, że poszliśmy zrobić tylko drobne zakupy do supermarketu i poszliśmy spać.

Inne ceny:

wafle 1,65 – 1,79 BRL

piwo Itaipava 350 ml, 12 puszek – 21,48 BRL

Coca Cola 2 l – 4,49 BRL

Ciasto francuskie z mięsem (na ciepło) – 7 BRL

Nocleg: Pousada do Imperador (<http://www.pousadadoimperador.com.br>) – 130 BRL/dobę ze śniadaniem.

4 maja, Paraty. Po bardzo smacznym i obfitym śniadaniu pierwszą rzeczą, którą zrobiliśmy, to udanie się na dworzec autobusowy w celu zakupu biletów autobusowych na 6 maja do Rio de Janeiro. Miejscowość Paraty w końcu pozwoliła nam odpocząć po zgiełku dużych brazylijskich miast. Malownicze kamieniczki z kolorowymi oknami przy wybrukowanych uliczkach Starego Miasta wręcz zachęcały do spacerów. Dzień był w miarę słoneczny, więc większą jego część spędziliśmy na plaży Pontal, oddalonej o 5 metrów od naszego noclegu. Plaża była prawie pusta, ponieważ sezon w zasadzie się już zakończył. Nasz pobyt na plaży od czasu do czasu urozmaicailiśmy sobie spacerkiem do naszej łódki po zimne piwo. Zauważyliśmy, że występuje znaczna różnica poziomów wody: rano można było wejść i 200 metrów w głąb morza, a woda sięgała po kolana, natomiast popołudniem już po kilku metrach woda nas kryła. Wieczorem u naszego gospodarza kupiliśmy na dzień następny wycieczkę łodzią po 4 okolicznych wyspach.

Inne ceny:

Bilet autobusowy Paraty – Rio de Janeiro (linia Costa Verde) – 65,50 BRL

Obiad na wagę + cola (2 os.) – 32 BRL

Pastalao z bananem – 7 BRL

Wycieczka 4 wyspy (5 godzin) – 40 BRL/os.

5 maja, Paraty. W związku z tym, że od rana dość mocno lało, naszą wycieczkę po 4 wyspach odwołano, oczywiście pieniądze zwrócono nam co do grosza. Troszkę później, gdy przestało padać, zrobiliśmy wycieczkę pieszą. Poszliśmy z mapą w rękę na inną plażę (Jabaquara) oddaloną o 2 km, po drodze zahaczając o fort obronny (Museu Forte Defensor Perpetuo – wstęp darmowy). Sam fort nic specjalnego, ale z braku innych atrakcji można go było odwiedzić, aby troszeczkę zleciał nam czas. Plaża, na

którą poszliśmy, była jeszcze bardziej opustoszała niż nasza, a piwo w jedynej otwartej budce aż 9,90 BRL – oczywiście nie kupiliśmy. Co ciekawe, wypatrzyliśmy sklep, ale dopiero przy kasie okazało się, że za zimne piwo z lodówki liczą sobie 1,75 BRL więcej za sztukę. Również zrezygnowaliśmy z zakupu. Deszczowe popołudnie spędziliśmy na balkonie, grając w karty. Dopiero wieczorem wyszliśmy na spacer i obiadokolację w pizzerii Mama Mira (ogromna pizza + woda +10% wliczonego napiewku – 41+3+4,40 = 48,40 BRL).

Inne ceny:

Herbatniki bananowe z cynamonem – 3,79 BRL

Ciastka truskawkowe – 1,69 BRL

Czekoladka biała – 1,29 BRL

Piwo Itaipava 473 ml – 1,99 BRL

6 maja, przejazd Paraty – Rio de Janeiro. Po śniadaniu poszliśmy na dworzec, skąd o 10.20 mieliśmy autobus do Rio de Janeiro, gdzie dojechaliśmy o 15.00. Miejskim autobusem zajechaliśmy do dzielnicy Ipanema przy plaży o tej samej nazwie, sąsiadującej z Copacabaną – najśłynniejszą plażą świata. Hotel zaklepaliliśmy jeszcze w Paratach (pokój mały, na poddaszu, ale nam wystarczy). Plusem jest lokalizacja za w miarę rozsądną cenę, niestety bez śniadań.

Inne ceny:

ćwiartka pizzy – 6,50 BRL

capirinha (Ipanema) – 10 BRL

pastel z kurczakiem – 6 BRL

coca-cola 2,5 l – 5,39 BRL,

piwo Skol 350 ml – 2,19 BRL

woda 1,5 l – 3,50 BRL

Nocleg: Ocean Hostel Ipanema (<http://oceanhostelipanema.com/>) – 459 BRL/4 doby.

7 maja, Rio de Janeiro. Niestety od rana niebo było bardzo zachmurzone, więc nie zdecydowaliśmy się na wjazd na pomnik Chrystusa Odkupiciela – nie byłoby prawdopodobnie żadnych widoków. Wybraliśmy się na stadion Maracana (Estádio Jornalista Mário Filho – wstęp 24 BRL), kiedyś największy stadion piłkarski świata, mogący pomieścić około 200 tys. widzów. Po modernizacji i dostosowaniu do współczesnych wymogów bezpieczeństwa aktualna pojemność stadionu wynosi 78 838 miejsc.

Następnie pojechaliśmy na najbardziej znane schody Brazylii – Escadaria Selaron w dzielnicy Lapa. Ozdobione płytkami ceramicznymi schody to dzieło artysty pochodzenia chilijskiego Jorge Selarona. W stworzonej mozaice króluje 3 kolory, znajdujące się na faldze Brazylii, a mianowicie: żółty, niebieski oraz zielony. Po południu po wskoczeniu w stroje kąpielowe poszliśmy na plażę Ipanema, aby przynajmniej na chwilę zanurzyć się w chłodnych wodach Oceanu Atlantyckiego. Oczywiście nie obyło się bez paru capirinh. Później spacerkiem przeszliśmy się wzdłuż plaży Ipanema, aż do skały Pedra do Arpoador, która jest znakomitym punktem do podziwiania zachodu słońca.

Inne ceny:

Pojedynczy przejazd metrem – 3,70 BRL

Capirinha – 8–10 BRL

Szaszłyk z kurczaka – 5 BRL
Pocztówka – 1,50 BRL
Lody McDonald – 2 BRL
Crispy Tasty (McDonald) – 7 BRL
Coca-cola 0, 5 l (McDonald) – 6 BRL

8 maja, Rio de Janeiro. Niestety w dalszym ciągu pogoda nam nie sprzyjała, więc wjazd na górę, gdzie znajduje się pomnik Chrystusa, odłożyliśmy na kolejny dzień, który zgodnie z prognozą pogody w końcu ma być słoneczny. Najpierw poszliśmy więc do sklepu kupić naszym braciom po butelce wódki Cachaça (0,75 l – 35 BRL), aby mogli sobie w domu przygotować tradycyjny brazylijski drink capirinhę. Po drodze wysłaliśmy również kartki do Polski (zaczek 3,50 BRL, wszystkie przyszły).

Następnie poszliśmy na Copacabanę i choć było zimno, to stwierdziliśmy, że musimy się wykąpać, bo być na najsłynniejszej plaży świata i nie wejść do wody, to byłby grzech. Dużo frajdy sprawiły nam ogromne fale, które również wykorzystywali surferzy. Późnym popołudniem zwiedziliśmy fort przy plaży Copacabana (wstęp 6 BRL)

Inne ceny:

WC przy plaży Copacabana – 2 BRL
Kebab mały – 19 BRL
Kebab duży – 25 BRL
Kawałek pizzy – 5 BRL
Torba – 5 BRL

9 maja, Rio de Janeiro. Był to nasz ostatni pełny dzień w Rio i na szczęście okazał się słoneczny. Już o 7.00 pojechaliśmy autobusem do dolnej stacji kolejki wwożącej turystów na górę w pobliże pomnika Chrystusa Odkupiciela (bilet na kolejkę 62 BRL). Na szczęście załapał się na pierwszy pociąg, który odjeżdżał o 8.20, dzięki czemu udało nam się zrobić sensowne zdjęcia bez tłumów ludzi. Z górnej stacji do pomnika trzeba jeszcze przejść około 200 schodów. Z góry Corcovado rozpościera się wspaniały widok na zatokę Guanabara. Sam pomnik zaprojektowany przez francuskiego rzeźbiarza polskiego pochodzenia Paula Landowskiego odsłonięto w 1931 r. Figura Chrystusa ma 30 metrów i stoi na 8-metrowym cokole, więc całość mierzy więcej niż nasz rodzimy pomnik Chrystusa w Świebodzinie, choć sama figura jest o 3 metry mniejsza. Jako że kolekcjonujemy miniatury odwiedzonych Cudów Świata, to kupiliśmy sobie mimo wysokiej ceny (110 BRL) figurę Chrystusa oraz tradycyjne magnesy na lodówkę dla rodziców po 12 BRL za sztukę. Już po zjeździe na dół zobaczyliśmy dużo tańszy sklepik, w którym kupiliśmy pamiątki dla reszty rodziny.

Po powrocie do naszej dzielnicy Ipanema, zjedliśmy po bułce z kurczakiem na ciepło (6 BRL) oraz po kawałku pizzy (6,50 BRL), a później po raz ostatni na dwie godziny poszliśmy na plażę. Tym razem ze względu na pogodę była ona pełna, a fale jak zwykle były ogromne. Ok. 15.30 zebraliśmy się i pojechaliśmy autobusem na Głowę Cukru, czyli drugie miejsce widokowe w Rio. Jest to góra usytuowana również nad zatoką Guanabara o wysokości 396 m n.p.m., na którą wjeżdża się kolejką linową, składającą się z wagoników o pojemności 65 pasażerów (bilet 62 BRL). Ze szczytu można podziwiać Copacabanę, Ipanemę, dzielnicę Flamengo oraz Leblon. Ponadto można dostrzec figurę Chrystusa, u stóp której byliśmy wcześniej tego samego dnia. Wjechaliśmy prawie na zachód

śłońca, więc zjechaliśmy z góry już po zmroku. Po powrocie zjedliśmy jeszcze po zestawie w McDonalds (21 BRL), a później już tylko łóżko i zasłużony odpoczynek.

Inne ceny:

Bilet autobusowy jednorazowy – 3,40 BRL

Figury Chrystusa małe – 9 BRL

Figury Chrystusa średnie – 20–55 BRL

10 maja, Rio de Janeiro, wylot do Europy. Dziś nasz ostatni dzień w Brazylii, więc postanowiliśmy zakupić jeszcze jakieś drobne pamiątki. Jako że była niedziela, to na placu Praça General Osório (przy stacji metra o tej samej nazwie) odbywało się cotygodniowe targowisko (<http://www.feirahippieipanema.com/>), głównie z wyrobami rzemieślniczymi, ale również z innymi rzeczami (odzież, jedzenie itp.). Tutaj figury Chrystusa kupilibyśmy najtaniej, lecz my zakupy w tym zakresie zrobiliśmy już wcześniej. Pokój musieliśmy opuścić o 12.00. Samolot do Madrytu mieliśmy dopiero o 18.00, więc był jeszcze czas na ostatnią capirinhę przy plaży. Odebraliśmy plecaki i poszliśmy do autobusu na lotnisko. I tu zaczęły się pierwsze problemy, ponieważ w niedzielę droga bezpośrednio przy plaży jest zamknięta i były rozbieżne informacje, skąd odjeżdża autobus. W końcu udało się jednak ustalić, że zamknięty jest tylko jeden pas, a akurat ten prowadzący w stronę lotniska funkcjonuje normalnie. Grzecznie więc czekaliśmy na autobus, niestety dokładna godzina odjazdu nie była znana. Trzeba stać i wyglądać autobusu i jak nadjeżdża, zatrzymać machając ręką. Czekaliśmy ponad 40 minut, i w końcu autobus nadjeżdżał, niestety, nie na skrajnym prawym pasie, tylko na najbardziej skrajnym lewym. Nasze machanie kierowca zignorował i się nie zatrzymał. Nie mieliśmy czasu, aby czekać na następny autobus – zostało jedyne wyjście skorzystanie z taksówki. Na szczęście zostało nam ostatnie 66 BRL, za które zatrzymana taksówka zgodziła się zawieźć nas na lotnisko. W oczekiwaniu na samolot za ostatnie drobne znalezione w kieszeni tradycyjnie wypiliśmy pożegnalne piwo. Nasz samolot do Madrytu odleciał punktualnie o 18.00.

Inne ceny:

Autobus na lotnisko (nie udało nam się złapać) – 15 BRL

Pastele z kurczakiem – 6 BRL

Skol 473 ml – 3 BRL

Cachaça 750 ml – 34 BRL

Najmniejsze figurki Chrystusa Odkupiciela – 5 BRL

11 maja, Madryt. Lot do Madrytu trwał około 12 godzin. Niestety brak indywidualnego systemu rozrywki, słabe posiłki i mało napoi – ogólnie linię Iberia oceniamy dość słabo. Wylądowaliśmy o 11.00, a samolot do Berlina mieliśmy dopiero po 20.00, więc mieliśmy praktycznie cały dzień na zwiedzanie Madrytu. Nasze plecaki nadaliśmy bezpośrednio do Berlina, więc nie było z nimi problemu, ale do depozytu (10 euro) oddaliśmy naszą ogromną torbę podręczną, w której mieliśmy wszystkie zakupione pamiątki. Najpierw pojechaliśmy zwiedzić stadion Santiago Bernabeu – obiekt Realu Madryt. Oprócz stadionu ogromne wrażenie robi nowoczesne muzeum Realu, w którym zgromadzono m.in. trofea zdobyte przez ten klub i jego piłkarzy. Po zwiedzaniu w centrum handlowym niedaleko stadionu zjedliśmy po kebabie, popijając piwkiem. Później jeszcze troszkę pospacerowaliśmy po mieście i udaliśmy się z powrotem na lotnisko. W Berlinie dotarliśmy do hotelu około 23.00, a rano Polskim Busem wróciliśmy do Katowic.

Peru – trekking w Andach



Termin: 23 sierpnia – 25 września 2015.

Zależało nam na dobrej, słonecznej pogodzie w Andach i tym podyktowany był dobór terminu. W drugiej kolejności czas podróży został dopasowany do rzadko kursującej kolei transandyjskiej (Malinowskiego). Wybór okazał się trafny – przez cały czas trwania wyjazdu nie spadła na nas ani jedna kropla deszczu.

Trasa: Polska – Praga – Lima – przejazd koleją Malinowskiego – Huancayo i okolice – Ayacucho – Andahuaylas – Cachora – trekking w Andach – Santa Teresa – Macchu Pichu – Ollantaytambo – Pisco – Cuzco – Puno – Arequipa – trekking na wulkan Misti – Arequipa – Lima – Praga – Polska.

Przed wyjazdem:

1. Bilet lotniczy: Praga–Amsterdam–Lima–Paryż–Praga – 3796 zł (taryfa grupowa, za pośrednictwem agenta lotniczego w Polsce, z wyprzedzeniem 6 miesięcy).
2. Rezerwacja i zakup przez Internet biletów do Macchu Pichu (na określony dzień) z prawem wchodzenia na szczyt Huaynapichu (na określoną godzinę tego samego dnia). Dzienny limit wejść do ruin Macchu Pichu wynosi 2500 osób, a na szczyt Huaynapichu 400 osób, w dwóch turach po 200 osób. łączny koszt 300 złotych/osoba (przez oficjalną stronę www.ticketmacchupichu.com).
3. Próba rezerwacji kolei Malinowskiego – nieudana. Odpowiedź mailowa była niejednoznaczna – zawierała instruktaż zakupu biletu w Limie, pomijając jasne określenie, czy miejsca są dla nas zarezerwowane. Kiepska strona internetowa www.ferrocarril-central.com.pe nie budzi zaufania, jeśli chodzi o zakup biletu, ale pozwala sprawdzić rozkład jazdy.
4. Próba rezerwacji mułów na trekking w Stowarzyszeniu Poganiaczy Mułów w Cachora (Asociacion de Arieros San Pedro de Cachora) – nieudana. Brak reakcji na maila.
5. Szczepienia – żadne nie są obowiązkowe. Niektórzy uczestnicy zaszczepili się dobrowolnie na żółtaczkę typu A/B, tężec, dur brzuszny, polio. Większość wybrała się bez szczepień.
6. Wiza – do 90 dni nie obowiązuje.
7. Rezerwacja dwóch pierwszych hoteli na trasie: w Pradze oraz w Limie. Udana.

8. Rezerwacja i zakup biletów (z dużym wyprzedzeniem) na Polski Bus w relacjach: Wrocław–Praga (45 zł) i Praga–Wrocław (20 zł). Udana.

Waluta, kursy i wymiana pieniędzy:

Walutą Peru jest nowy sol (popularnie po prostu sol) o kodzie międzynarodowym PEN. Oto kursy z jakimi się spotkaliliśmy:

Lotnisko w Limie: 1 USD = 3,085 PEN (+3% comission)

Uliczny wymiennicz w Limie (legalny!): 1 USD = 3,30 PEN (no comission)

Kantor w Ayacucho: 1 USD = 3,25 PEN (no comission)

Kantory w Cuzco i w Arequipie: 1 USD = 3,19 PEN (no comission).

Można wymieniać też euro, ale uwaga – nie za duże nominały. Jedna z uczestniczek zabrała niefrasobliwie banknot o nominale 500 euro (!!!), którego nikt w Cuzco nie chciał wymienić. Ostatecznie udało się to, ale po zaniżonym kursie.

RELACJA Z PODRÓŻY

23 sierpnia, z Polski do Pragi. Zjeżdżamy się z kilku różnych miast Polski do Pragi, większość uczestników z wykorzystaniem dwóch linii Polskiego Busa: Warszawa–Wrocław–Praga oraz Gdańsk–Wrocław–Praga. W Pradze zatrzymujemy się w hostelu „Dakura” zarezerwowanym i opłaconym przez Internet, 75 zł/os. w dwójkę ze śniadaniem. Okolica hotelu jest tańsza niż historyczne centrum Pragi. Za obiad w pobliskiej restauracji płacimy 200–300 koron. Pozostałą część dnia spędzamy na spacerze po dzielnicy Mala Strana, gdzie odwiedzamy gmach Senatu Republiki Czeskiej (wstęp bezpłatny).

24 sierpnia, Praga. Zwiedzamy stolicę Czech, głównie na piechotę. Hradczany – wybieramy trasę o nazwie „okruh B”, która obejmuje: Katedrę św. Wita, stary pałac królewski, kościół św. Jerzego i oczywiście Złotą Uliczkę. Cena biletu 250 koron czeskich. Przez uliczki i place Małej Strany zmierzamy na Most Karola i przekraczamy Wełtawę. Wstęp na wieżę mostową na prawobrzeżnym przyczółku – 90 koron czeskich. Widok jest super. Odwiedzamy jeszcze plac Staromiejski (zegar Orloj, pomnik Jana Husa) oraz plac Waclawa. Kończymy miejską wędrówkę na lokalnym dworcu kolejowym Praha Masarykovo i wracamy koleją (11 koron) do naszego hostelu.

Wieczorem udajemy się do Krizikowej Fontanny na spektakl wodno-muzyczny (wybraliśmy „Mamma Mia”). Bilety po 230 koron czeskich. Fajne zakończenie dnia.

25 sierpnia, Praga–Amsterdam–Lima. Na lotnisko docieramy komunikacją miejską (metro + autobus linii 119) za 48 koron na osobę.

Skorzystanie z samoobsługowej odprawy biletowej na nasz lot (KLM) okazuje się obligatoryjne. Dobrze, że mamy spory zapas czasu, bo system jest czasochłonny. Dopiero z wydrukowanymi kartami pokładowymi udajemy się do odprawy bagażowej. W Amsterdamzie na lotnisku Shipol nasza ekipa kompletuje się w całości. Z Warszawy dolatuje Agnieszka, a z Dusseldorfu Ewa. Od teraz jest nas czternastka – komplet uczestników. Po 12,5 godz. lotu lądujemy w Limie, gdzie nadal jest 25 sierpnia.

Wymiana pieniędzy. Kurs na lotnisku w Limie jest podejrzanie niski (1 USD = 3,085 sola), toteż wymieniamy tylko po 50 USD na głowę, na pierwsze wydatki. Obsługa hotelu „Espania” w Limie nie zawiodła i czekają na nasz przylot. Usługa odbioru z lotniska i transferu do hotelu kosztuje 154 sole, czyli 11 soli na osobę. Hotel „Espania” jest położony w historycznym centrum miasta. Płacimy 65 soli za dwójkę/noc i 80 soli za trójkę/noc. Lider grupy śpi gratis.

26 sierpnia, Lima. Dzień zaczynamy hotelowym śniadaniem, dodatkowo płatnym 7,50 sola. Wnętrze hotelu „Espania” robi wrażenie muzeum. Obrazy i rzeźby jak w domu z epoki kolonialnej, a na tarasie dwie skrzeczące papugi ary, para pawi oraz sędziwy, duży żółw. Klimatyczne miejsce.

Oglądamy rankiem Plaza Major (d. Plaza de Armas) z katedrą i pałacem prezydenckim (Palazzo Gobierno). Taksówkami (za 30 soli każda) przemierzamy się do nadmorskiej dzielnicy Miraflores. Wewnątrz supermarketu sieci Metro załatwiamy ważną dla nas sprawę w punkcie „Teleticket”. Kupujemy bilety na przejazd koleją transandyską z Limy do Huancayo. Właśnie podczas tego zakupu okazało się, że moje mailowe starania o wcześniejszą rezerwację nie miały znaczenia. Tych niby „zarezerwowanych” miejsc nie ma, ale są wolne miejsca w klasie „classico”, choć pociąg odjeżdża już za 2 dni (w droższej klasie „turistico” miejsc już nie było). Super! Nam właśnie chodziło o „classico”. Bierzymy 14 miejsc! Cena jednego biletu 211 soli + 19 soli prowizji dla „Teleticket”. Ale najpierw wymiana waluty. Gdzie jest jakiś kantor?! Pokazują nam ulicę, a tam stoi gość umundurowany w kamizelkę z wielkimi symbolami dolara i euro oraz jakimś emblematem dzielnicy Miraflores. Oto on – licencjonowany wymieniacz! I tenże gość wymienia czternastu osobom po 500 dolarów na głowę. Na chodniku!!! Nigdy potem nie mieliśmy lepszego kursu wymiany w Peru.

W dzielnicy Miraflores mamy do załatwienia jeszcze jedną kluczową sprawę – zakup kartuszy z gazem na trekking. Okazuje się, że namierzony przez Internet sklep nie ma już takowych od wielu miesięcy. Mamy problem. Ale, że nadszedł już czas na relaks, więc udajemy się na plażę, na spotkanie z Pacyfikiem. Moczymy nogi, niektórzy wskazują między olbrzymie fale.

Do hotelu „Espania” wracamy ekspresowym autobusem o nazwie Metropolitana, który porusza się po wydzielonym, tylko dla niego, pasie jezdni. Kawał miasta przejeżdża się szybko za 2,50 sola plus plastikowa karta za 4,50 jedna na wszystkich.

27 sierpnia, Lima. Rozpaczynam dzień od wizyty w Instituto Geographico Nacional, gdzie kupuję mapy topograficzne. Cena jednego arkusza 33 sole. Na szczęście trasa zaplanowanego, 7-dniowego trekkingu z Cachora w rejon Macchu Pichu, mieści się na jednym arkuszu o nazwie „Macchu Pichu”.

Przez resztę przedpołudnia jeżdżę wraz z dwójką uczestników taksówką po mieście w poszukiwaniu kartuszy z gazem. Nic z tego! Nie ma! Nasze nakręcane palniki pozostaną więc na trekkingu bezużyteczne. Mam przecucie, że w takich turystycznych miastach jak Cuzco czy Arequipa udałoby się te kartusze kupić, ale niestety oba miasta odwiedzimy już po głównym trekkingu wyprawy.

Po południu zwiedzam klasztor San Francisco z katakumbami (wstęp 10 soli) oraz limańską katedrę (też 10 soli za wstęp), którą spośród wielu podobnych kościołów w Peru wyróżnia obecność kaplicy ze szczątkami Francisco Pizarro – najeźdźcy, który podbił Peru, ale też założyciela miasta.

Generalnie – tego dnia podgrupy uczestników zwiedzają Limę samodzielnie wedle własnych preferencji i harmonogramów czasowych.

28 sierpnia, przejazd koleją Lima–Huancayo. Dworzec kolejowy nazywa się Desamparados, ale obecnie to także Casa de Literatura (Dom Literatury). Nic dziwnego! Ten ładny, kolonialny budynek musi się przydawać na inne cele, skoro tylko 6–7 razy w roku odjeżdża stąd jakiegokolwiek pociąg. I właśnie taki wyjątkowy dzień zdarza się dziś.

Kurs pociągu, słynną w świecie linią kolejową, nie ma charakteru zwykłego przejazdu, ale raczej imprezy turystycznej. Policjanci kolejowi odstawiają balet na peronie przebrani za Myszkę Miki. Nasze wielkie plecaki są nam zabrane do wagonu o funkcji bagażowej, ale nie wszystkie. Część ekipy umieszcza bagaż na półkach nad siedzeniami. Dobrze, że mamy „clasico”, bo w klasie „turistico” pókeł na bagaż w ogóle nie ma.

O godzinie 7.00 pociąg rusza z Limy w górę doliny potoku Rimac. Organizujemy własnym sumptem śniadanie, na które w hotelu nie było czasu. Po pewnym czasie – zdziwienie! Obsługa roznosi śniadanie, które jest w cenie biletu. Obiad zresztą też. Jak w samolocie. Nie wiedzieliśmy o tym. Niemniej biorąc pod uwagę cenę biletu (4 razy drożej niż autobus na tej samej trasie), nie jest to jakiś wielki bonus.

Tylko dwa razy mamy możliwość wysiąść z pociągu na postojach. Na pierwszej zmianie kierunku jazdy w San Bartholome oraz w Matucana, gdzie postój jest na tyle długi, że można się nawet udać na Plaza Major i zrobić zakupy pierwszej potrzeby (np. piwo).

Za Matucana trasa robi się niezwykle atrakcyjna widokowo. Góry coraz wyższe, kolejowych zygzaków coraz więcej, lokomotywy raz ciągną skład, a raz pchają. Wreszcie tunel Galera pod głównym grzbieciem Andów. Tuż za nim stacja Galera najwyższa na trasie 4781 m n.p.m., a przed wybudowaniem kolei tybetańskiej do Lhasy, najwyższa w świecie. I tu spotyka nas rozczarowanie. Pociąg przemknął przez Galerę bez przystanku, tak szybko, że nie wszystkim udało się zrobić zdjęcie.

Do Huancayo przyjeżdżamy w ciemnościach wieczoru o 20.15, a tu odmienna niespodzianka. Na peronie wita nas orkiestra i zespół taneczny w kolorowych, regionalnych strojach. Co śmielsi pasażerowie dołączają do płaśów z atrakcyjnymi senioritami.

Za bramą stacji oczekuje autobus, który wiezie nas na nocleg do „Casa de la Abuela” (30 soli za noc ze śniadaniem). Obiekt poleciła i zarezerwowała nam recepcjonistka w Limie. Obrotny właściciel Lucio oferuje pomoc w każdej sprawie, byle jeszcze dziś, bo nazajutrz wyjeżdża. Tak więc mimo późnej pory jadę z nim taksówką na dworzec autobusowy firmy „Molina”, po bilety do Ayacucho. Umawiam też dla całej naszej grupy całonocną wycieczkę busem, po dolinie Mantaro, na dzień następny.

29 sierpnia, Dolina Mantaro. Za 60 soli na osobę wyruszamy na wycieczkę po dolinie Mantaro, w bliskich okolicach Huancayo. Najpierw odwiedzamy miasteczko Chupaca. Akurat jest sobota i odbywa się cotygodniowy targ zwierząt gospodarskich (bydło, owce, świny, lamy). Po sąsiedztwu znajduje się strefa uboju, ale nie wszyscy mamy chęć patrzeć ma podrzynanie gardeł. Na ulicach Chupaca jest też zwykły targ warzywny, a na głównym placu fiesta. Jest muzyka i kobiety w kolorach. Lud bawi się tańcząc. Poza nami nie widzimy w miasteczku innych gringo. Miejscowi przypatrują się nam i pozdrawiają przyjaźnie.

Przerwa na lunch, wliczony w cenę wycieczki, wypada w strefie rekreacyjnej La Syrena, w Nahuinpuquio. Serwują nam pachamankę – danie z pieca ziemnego przypominającego dymarkę. Ma ono różne wersje od wegetariańskiej przez kurczakową po stek z lamy. Do wyboru!

Po posiłku, „zdobynamy” niewysokie wzgórza Arwaturo 3456 m n.p.m. z ruinami preinkaskich fortyfikacji. Następnie odwiedzamy wioskę Chongos z najstarszym kościołem w dolinie Mantaro. Kolejny raz brzmi muzyka i oglądamy taneczny korowód tubylców. To był przyjemnie spędzony dzień wart wydanych pieniędzy.

30 sierpnia, Huancayo–Ayacucho. Droga z Huancayo do Ayacucho zasługuje na ksywkę „carretera de la muerte” (droga śmierci). Przez lata była nieczynna, ale obecnie po modernizacji, wąziutki pas asfaltu wijący się nad urwiskiem umożliwia nawet przejazd autokaru czy też ciężarówek. Jednak renomowane firmy peruwiańskie nadal stronią od tej trasy i obsługują ją jedynie lokalna „Molina” – cena biletu: 30 soli.

Jedyny dzienny autobus wyrusza z Huancayo do Ayacucho o 8.00 rano i my właśnie nim jedziemy. Widokowo lepsze miejsca są z prawej strony. Podczas 7-godzinnej podróży trafiają nam się dwie sytuacje szczególne. Podczas jednej z mijanek, w panikę wpada parę Indianek. One wrzeszczą, że chcą wysiąść, a kierowca wrzeszczy, że teraz mają siadać. Druga sytuacja jest moją osobistą. Właśnie podnoszę się z miejsca, by zrobić fotkę, gdy rzuca mną nagłe hamowanie. Uderzam się boleśnie w szyję, po czym przez parę następnych dni męcę się z obrzękiem.

Około 15.00 dojeżdżamy do nowego dworca autobusowego (terminal terrestre) na dalekich peryferiach Ayacucho. Udaje się złapać jedną, jedyną taksówkę do miasta, która kursuje wahadłowo, by przewieźć całą naszą grupę na Plaza de Armas. Kwaterujemy w hotelu „Colmena”, który zarezerwowano nam z Huancayo. Pokoje i śniadania są OK. Trójka 130 soli, dwójka 100 soli, dwójka z jednym łóżkiem (matrimonio) 90 soli.

31 sierpnia, Ayacucho. Spędzamy cały dzień w Ayacucho, które zajmuje nas nie tylko swoimi 37 zabytkowymi kościołami, ale festą, która opanowuje całe centrum wraz z głównym placem. Dużo kolorowo ubranych kobiet i dzieci, obnoszenie feretronu, uroczystość w Katedrze – całe centrum wyłączone jest z ruchu samochodowego. Zastanawiamy się, kiedy Peruwiańczycy pracują, skoro znów trafiamy na zabawę. Tym razem powodem świętowania w mieście jest jedna z rocznic powstania szkoły w Ayacucho. Obraz festiwa ma jeszcze jedną niebagatelną cechę. Oprócz naszej grupy, prawie nie widzimy innych gringo. Być może jeszcze pokutuje zła sława Ayacucho, jako siedliska terrorystów ze „Świetlistego Szlaku”. Ale to już czasy minione, a miasto ma obecnie świetną atmosferę.

1 września, Ayacucho–Andahuaylas. Tylko 2 autobusy na dobę jadą w pożądanym przez nas kierunku. Jeden o 7.30 i ten właśnie wybieramy. Drugi zaś dopiero wieczorem, jest nocnym kursem do Cuzco przez Andahuaylas. Cena biletu do Andahuaylas: 30 soli.

Z planowanych 7 godzin jazdy robi się 11. Autobus firmy „Los Chankas” psuje się w połowie trasy i 4 godziny czekamy na dostawę części zamiennej. Do Andahuaylas dojeżdżamy po zmroku. Na szczęście na terminalu warują „busiarze”. Umawiam jednego na kurs do hotelu plus nazajutrz z Andahuaylas przez Abancay do wioski Cachora. Cena: 28 soli od osoby za całą usługę.

Hospedaje „Nuevo Amanecer” okazuje się paskudną norą, ale nie mamy już ochoty szukać czego innego na jedną noc. Cena noclegu 10 soli od osoby. Wpłacam kierowcy 100 soli zaliczki. Za 17 soli jemy obiad w pobliskiej knajpcie.

2 września, Andahuaylas–Cachora. Dzięki wynajętemu busowi przejeżdżamy miasto i węzeł komunikacyjny Abancay i docieramy w przyzwoitej porze (13.00) do Cachora (pełna nazwa: San Pedro de Cachora). Gdyby nie wynajem busa, mogłoby się to nie udać w dniu dzisiejszym. W miarę zbliżania się do Cachora wypatrujemy zwierząt na pastwiskach. Są! Mułów pasie się tyle, że nie powinno ich dla nas zabraknąć.

Turyści do Cachora przyjeżdżają tylko w jednym celu: wyruszyć na trekking do ruin Choquequirao albo jeszcze dalej do Colcapampa, skąd niedaleko już do Machu Picchu. Przyjazdu 14. turystów trudno w Cachora nie zauważyć, toteż ariero (poganiacz, mulnik) Reynaldo Huaman znajduje nas wcześniej niż my zdążymy za kimkolwiek się rozglądać.

Upływa niespełna godzina od naszego przyjazdu, a już mamy wszelkie ustalenia dotyczące trekkingu: 35 soli dziennie za muła, 40 soli dziennie dla ariero, na naszą grupę potrzeba 9 mułów i 3 arieros, będziemy wędrować do Colcapampa 6 dni, ale płacimy za 8 dni tytułem powrotu arieros i mułów do Cachora. Dodatkowo wypożyczamy 20-litrową butlę z gazem i dwupalnikową kuchenką za 80 soli oraz jeden brakujący nam namiot za 60 soli (większość uczestników miała swoje namioty). Podwózka dwoma autami pierwsze 10 km do mirador Capuliyoc 100 soli za całą grupę. Nie bierzemy ani kucharza, ani przewodnika. Na trasie naszego trekkingu z Capuliyoc do Colcapampa jedyną opcję noclegową stanowi namiot. Należy też mieć własny prowiant, choć część posiłków udaje się zamówić w wioskach.

Nocujemy w Hospedaje „Salkantay” przy głównej ulicy w Cachora – 40 soli za dwójkę, a 35 soli za matrimonio. Nieopodal w jedynej knajpce we wsi jemy solidny obiad za 10 soli na głowę. Nad wioską wznoszą się ośnieżone szczyty pięciotysięczników Nevado Padreyoc i Nevado Corihuaynachina. Wspaniała panorama.

3 września, Cachora – Santa Rosa Baja. Po sutoj śniadaniu w znajomej knajpce (15 soli na głowę), wyruszamy dwoma terenówkami, wąską drogą gruntową do punktu widokowego Capuliyoc. Tu nasz Reynaldo życzy sobie całkowitego rozliczenia za usługę, a jednocześnie obniża cenę, gdyż pójdzie z nami tylko dwóch arieros, a nie trzech. On sam zostaje. Płacę mu niemałą sumę 3400 soli, nie bez wahania wprawdzie, ale polegając bardziej na własnym wyczuciu niż na tzw. „zasadach”.

Trasa wędrówki do Choquequirao jest tak ewidentna, że każdy wędruje swoim ulubionym tempem i nasza grupa znacznie się rozciąga. Nie ma problemów orientacyjnych. Niedawno poszerzono ścieżkę, montując przy niej słupki kilometrowe oraz tablice z nazwami mijanych miejsc. Początkowo schodzimy w dół, do kanionu rzeki Apurimac, obniżając się aż 1400 metrów. Mamy sporo szczęścia, że zdążono odbudować most na Apurimacu. Poprzedni most został zniszczony przez powódź i przez spory czas funkcjonowała tylko przeprawa linowa. Dla turystów to nawet atrakcja, ale dla mułów rzeka była nieprzekraczalna. Na przeciwległym brzegu wspinamy się 500 m różnicy poziomów do małej osady Santa Rosa Baja, gdzie wąski skrawek poziomego terenu pełni rolę kempingu, a właściciel w budce serwuje nawet piwo. Nocowanie 5 soli od namiotu.

4 września, Santa Rosa Baja – ruiny Choquequirao. Rankiem wynika problem. Nasi dwaj arieros, Jose i Lucio, nie mają co jeść. Tutejsze obyczaje są takie, że arieros są karmieni przez tego, kto ich najmuje. Niedogadanie z Reynaldo? Wprawdzie mówiłem mu w Cachora, że mamy żywność tylko dla siebie, ale widać to nie wystarczyło. Co ciekawe, w tej sprawie interweniuje szef kempingu, a nie nasi arieros, którzy nie są bynajmniej roszczeniowi. Chyba są też wobec nas trochę nieśmiali, skoro wczoraj poszli spać na głodniaka. Bierzemy ich zatem na swoje utrzymanie. Gdzie się da, kupimy im posiłki, a jak się nie da – podzielimy się naszymi zapasami. Jest nas przecież aż 14 osób, a każdy coś ma.

Dziś idziemy tylko w górę. W sporej (jak na te tereny) wiosce Marampata robimy dłuższą przerwę i zamawiamy danie obiadowe (drogo: 10 soli za talerz makaronu z sosem). W Sunchupata jest check post, gdzie płacimy 37 soli od głowy za wstęp na teren kompleksu archeologicznego Choquequirao. To jedyna opłata formalna na całej trasie trekkingu. Dobrze, że obejmuje także prawo do biwakowania na wydzielonym tarasie nieopodal ruin. O 15.30 mamy już rozstawione namioty i udajemy się na zwiedzanie ruin.

Choquequirao – zwane „mniejszym kuzynem Machu Picchu” to ruiny dostępne przy minimum czterodniowym pieszym wysiłku. Nie ma więc tłumu chętnych. Oglądamy Plaza Principal, inkaski sector administrativo i wzgórze sakralne. Jesteśmy jedynymi zwiedzającymi. Brakuje natomiast czasu na „sektor z lamami” – a m.in. z niego słynie Choquequirao.

Wieczorem odbywam ważną dyskusję z naszymi arieros. Jutrzejszy etap skrócimy, tj. podzielimy go na dwa dni, z biwakiem pośrednim na inkaskich tarasach Pinchaunuyoc. Nie dość, że pierwotnie zakładany etap do Maizal jest bardzo długi, to my mamy jeszcze niedosyt oglądania Choquequirao. Odpowiedź Jose: Zgoda senior, to dobra decyzja. Nocą muły pasą się między naszymi namiotami. To trochę stresujące.

5 września, Choquequirao–Pinchaunuyoc. Spakowane bagaże, jak co dzień, zostawiamy naszym arieros do załadunku na muły. Upprzedzam Jose, że dzisiaj udajemy się jeszcze raz do ruin i pewnie nie miną nas w drodze jak zwykle. Ale mają zatrzymać się w Pinchaunuyoc.

W zespole Choquequirao odwiedzamy sektor lam. Wymaga to sporego zejścia w dół (i powrotu). To bardzo efektowny układ tarasów, których mury oporowe zostały udekorowane przez Inków podobiznami lam, przy pomocy białych, kwarcowych kamieni. Widok wart jest wysiłku!

Gdy wkraczamy na szlak z drogowskazem Yanama, widzę świeże odchody – znak że nasze muły już tędy przeszły. Przekraczamy Abra de Choquequirao (3272 m n.p.m.) – najwyższe miejsce dnia. Widoki na dolinę Apurimac są świetne. Gdy docieram do Pinchaunuyoc, nasze bagaże już czekają rozładowane. Cudowne miejsce. Biwakujemy na inkaskich tarasach. Jest woda, bo starodawny inkaski system nadal działa. Pinchaunuyoc pozostaje nadal dzikie. Nie ma tu budki strażnika, ani nic podobnego. Obcowanie z górami, naturą i historią jest pełne. Wszystkie posiłki w tym miejscu pichcimy sami, nie zapominając o naszych arieros. Trzeba tylko uważać, aby podczas nocnych wyjść z namiotu nie zlecieć z murku oporowego w dół, na niższą terasę.

6 września, Pinchaunuyoc–Maizal. Początkowo schodzimy w dół (500 m deniwelacji) do doliny potoku Rio Blanco (Rio Victoria). Podczas wspinaczki drugą stroną doliny mijamy efektowny las (tzw. selva wysoka). Maizal – koniec etapu – trudno nazwać wioską. To tylko dwa oddalone od siebie gospodarstwa, z których jedno jest opuszczone, a drugie zamieszkałe. Zatrzymujemy się na noc w tym drugim. Za nocleg płacimy 3 sole od namiotu, za obiad 12 soli od osoby, a za śniadanie 8 soli. Najdroższe jest piwo (butelka 1,1 litra za 17 soli), ale i tak ma u nas wzięcie. Z powodu naszego obiadowego zamówienia – 3 kurczaki tracą życie niemal na naszych oczach.

7 września, Maizal–Yanama. Dziś przekraczamy wysoką przełęcz Abra de San Juan (Abra de Victoria) o wysokości 4170 m n.p.m. Już na 3800 kończy się las i wkraczamy w trawiastą punę. Z przełęczy mamy superwidoki na ośnieżony masyw wyso-

kiego pięcioletniego Nevado Sacsarayoc. Efektowną ścieżką schodzimy do wioski Yanama (3600 m n.p.m.) na biwak. To dotychczas największa wioska na trasie. Poszukując miejsca biwaku, trzeba pytać o rodzinę Torres. Koszt 5 soli od namiotu. Obok jest sklepik z najpotrzebniejszymi artykułami.

8 września, Yanama–Totorá. To zdecydowanie najdłuższy odległościowo dzień trekkingu. Spora jego część biegnie gruntową drogą jezdnią, którą niedawno doprowadzono do Yanamy. Przekraczamy też najwyższą przełęcz na trasie trekkingu Abra Mariano Llamoya 4660 m n.p.m. (na niektórych mapach występuje jako Przełęcz Yanama). Przełęcz jest brzydka z powodu wspomnianej drogi, a widoki na piękny masyw Salcantay przesłaniają nam popołudniowe chmury. Zarówno w czasie podejścia, jak i zejścia z przełęczy wielokrotnie przecinamy serpentyny drogi jezdnej. Mijamy osadę Hornopampa z oficjalnym polem biwakowym, a zatrzymujemy się dopiero pół godziny dalej w wiosce Totorá na kempingu „Sumaqtika” (najlepiej pytać po nazwisku o Bernabe Saca). Uwaga! Na mapie topograficznej kupionej w Limie nazwy obu miejscowości są zamienione. Mapa ta wprawdzie dobrze pokazuje rzeźbę terenu, ale ogólnie jest uboga w pozostałe szczegóły (brak dróg, ścieżek, a nawet linii kolejowej), co czyni ją mało użyteczną trekkingowo.

Nocowanie w Totorá: 5 soli od namiotu. Obfite danie kolacyjne 10 soli. Nie wiem, jak znalazł nas, w ciemnościach wieczoru, facet oferujący transport na dzień następny. Umówiliśmy się, że będzie czekał nazajutrz o 11.00 w Collcapampa i zawiezie nas busem do miasta Santa Teresa w dolinie rzeki Urubamby.

9 września, Totorá – Santa Teresa. Tylko 3 godziny marszu dzieli nas dziś od końcowego punktu trasy pieszej. Po dojściu do Collcapampa przeładujemy bagaże z mułów na oczekującego nas busa. Żegnamy się z naszymi arieros Jose i Lucio. Takie pożegnania bywają czasem niemiłe, bo zdarza się, że wypływają niespodziewane żądania finansowe. Tymczasem wszystko jest OK! Nawet nie dopłacamy za wydłużenie trekkingu o jeden dzień. Z przyjemnością i z własnej inicjatywy wręczamy Jose i Lucio napiwki – po 100 soli i po butelce piwa. W sumie całość kosztów tygodniowego trekkingu – muły, arieros i ich żywienie, wynajem kuchenki i butli z gazem oraz końcowe napiwki wyniosły nas 3800 soli, co w przeliczeniu na jedną osobę dało ok. 270 soli (czyli ok. 320 złotych). To niskie koszty w konfrontacji z cenami w peruwiańskich agencjach trekkingowych.

Za 2-godzinny przejazd busem do Santa Teresy płacimy 260 soli od grupy. Kwaterujemy w przyzwoitym Hospedaje „Castillio's” (35 soli/osoba), a resztę dnia spędzamy na świetnym kąpielisku termalnym, 4 km od centrum Santa Teresy (wstęp 5 soli, dojazd w każdą ze stron też 5 soli).

Santa Teresa – Aguas Calientes. Przymierzamy się do popołudniowego pociągu ze stacji Hydroelektrica do Aguas Calientes. Przedpołudnie w Santa Teresa wykorzystujemy na zakupy środków łagodzących swędzenie. Na całej trasie minionego trekkingu nasze ciała były żerem dla meszek. Zostaliśmy pogryzieni pomimo używania repelentów.

Do stacji kolejowej Hydroelektrica podjeżdżamy busem za 10 soli/osoba. Tu rozpoczyna się strefa bezpardonowego zdzierstwa. Bilet kolejowy na 11-kilometrową trasę do Aguas Calientes kosztuje 28 dolarów USA (!!!). Od tego momentu wszystko, co nie podlega konkurencji, a wiąże się z odwiedzeniem Machu Picchu, staje się absur-

dalnie drogie. Jedyną konkurencją w dostaniu się do Aguas Calientes są własne nogi. W tej sytuacji aż 10 osób z naszej grupy decyduje się na pieszą wędrówkę torem kolejowym, 4 pozostałe osoby jadą pociągiem dodatkowo „dociążone” częścią bagażu idących pieszo.

Nie wiem, czy w świecie jest drugi taki odcinek kolei, gdzie torowiskiem więcej ludzi chodzi piechotą niż jedzie pustawym pociągiem pasażerskim. Wędrujemy nie tylko my Polacy, ale też przedstawiciele wielu innych nacji. Są nawet zorganizowane bufety przy torze. Dla piechurów oczywiście, bo pociąg się przy nich nie zatrzymuje. Po 3 godzinach wędrówki torem, całkiem ładną trasą docieramy do Aguas Calientes. Nasza czwórka kolejowa zdążyła już znaleźć hotel. Kwaterujemy w „Golden House Inn II” za 40 soli od osoby ze śniadaniem.

11 września, Aguas Calientes. Nasze planowanie wizyty w Machu Picchu z wielotygodniowym wyprzedzeniem musiało uwzględniać zapas czasu na nieprzewidziane wydarzenia. I tak wyrobił nam się dziś jeden dzień luzu. Nad Aguas Calientes wznosi się kuszący szczyt Cerro Putucusi 2579 m n.p.m. – niestety ścieżka na wierzchołek została zamknięta do czasu jej wyremontowania, toteż zrezygnowaliśmy z próby wejścia. Z kolei kąpielisko termalne w Aguas Calientes nie spodobało nam się, po części za sprawą mętnej wody. Resztę dnia roztrwoniliśmy w barach i na bazarach.

12 września, Machu Picchu. Wstajemy przed świtem, by dostać się pierwszym autobusem do ruin Machu Picchu. Ale takim „sprytem” wykazują się wszyscy dzisiejszy turyści. Tuż przed 6.00 rano zastajemy więc na przystanku kilkusetmetrową kolejkę. Na szczęście posuwa się ona szybko. Autobusy podjeżdżają jeden za drugim. My załapujemy się dopiero na 26. autobus, ale i tak nie czekamy dłużej niż pół godziny. Kilkunastominutowy przejazd krętą, gruntową drogą kosztuje 12 USD w jedną stronę. Drogo, ale dzięki temu wchodzimy do Machu Picchu o 7.00 i nie jesteśmy zmęczeni podejściem. Kto nie kupił biletu wstępu ze sporym wyprzedzeniem, ma jeszcze szansę zrobić to dzień wcześniej w biurach turystycznych w Aguas Calientes (o ile nie został wyczerpany dzienny limit zwiedzających). Natomiast nie da się kupić biletu przy wejściu do ruin, bo po prostu nie ma tu kasy.

Od rana ruiny są spowite mgłą. Gdyby miało się to utrzymać cały dzień, byłaby to krajoznawcza porażka. Na szczęście mgły rozpraszają się z upływem dnia i oglądamy widoki w pełnym słońcu. Na Machu Picchu warto poświęcić cały dzień. Jeden powód to zmienność pogody, drugim jest zmienność liczby zwiedzających. Tego dnia około 15.00 ruiny były już opustoszałe.

Nasze bilety opiewają także na wejście na szczyt Huaynapichu. Zabiera to do 2 godzin czasu w obie strony. Bilet z prawem wejścia na ten szczyt jest około 10 dolarów droższy od biletu podstawowego, ale warto to zrobić, nawet jeśli ktoś nie jest górolazem. Opuszczamy ruiny dopiero około 16.00 i schodzimy pieszo do Aguas Calientes.

13 września, Aguas Calientes – Cuzco. Aż 62 dolary USA (!!!) kosztuje bilet kolejowy na najtańszy pociąg z Aguas Calientes do Ollantaytambo, który odjeżdża o niepopularnej porze 5.35 rano. I nim właśnie wszyscy jedziemy. Z Aguas Calientes nie można się wydostać (ani dostać) samochodem – nie ma drogi. Po 2 godzinach jazdy jesteśmy u celu.

Na stacji w Ollantaytambo dopadają nas właściciele busów. Umawiamy się na kurs do Cuzco, ale z przystankami pośrednimi na zwiedzanie dwóch zespołów inkaskich

ruin: Ollantaytambo i Písac. Mieścimy się w jednym mikrobusie. Cena umowna za cały kurs 300 soli.

W ruinach Ollantaytambo kupujemy bilet turystyczny za 130 soli/osobę. Obejmuje on 16 atrakcji w Cuzco i okolicy, w tym także Ollantaytambo i Písac. Na zwiedzanie każdego z obu tych miejsc przeznaczamy ok. 1,5 godz. (w Písac to trochę za mało). O 15.00 zgodnie z umową kończymy jazdę w Cuzco. Nocleg znajdujemy w hostelu „Hatun Wasí” za 50 soli na osobę (ze śniadaniem). Hostel leży na wzniesieniu, przy kościele San Blas, a z tarasu mamy piękny widok na miasto.

14 września, Cuzco. Rozpoczynamy dzień od kursu taksówkami do ruin Sacsayhuaman (wstęp w ramach biletu turystycznego). 1 godzina w zupełności wystarcza na zwiedzanie. Do centrum miasta wracamy na piechotę. Na niektórych uliczkach starówki, ściany współczesnych domów wyrastają z pozostałości inkaskich murów z kamienia. Szczególnie ciekawe są uliczki wychodzące z Plaza Major: Loreto oraz Triunfo. Przy tej ostatniej w inkaskim murze tkwi wielki głaz o dwunastu kątach.

Kamienne mury pozostałe po Coricanchy – inkaskiej świątyni Słońca – także zostały wkomponowane w późniejszą budowlę. Część z nich widać od zewnątrz, jednak najważniejsze znajdują się wewnątrz klasztoru Santo Domingo (wstęp 10 soli, bilet turystyczny tego nie obejmuje).

Po południu rozpraszamy się po mieście. Wieczorem spotykamy się w knajpce koło hostelu, gdzie za 10 soli podają świetne pisco (narodowy drink Peru). Odkrywam, że wkręcane kartusze z gazem są do kupienia niemal w każdym sportowym sklepiku (ale drogo: 25–30 soli za sztukę).

15 września, Cuzco–Puno. Za 25 soli od osoby jedziemy 7 godz. autobusem z Cuzco do Puno nad Jeziorem Titicaca. Pokusa skorzystania z naganiacza hotelowego na dworcu autobusowym w Puno prowadzi nas na manowce. Po zajechaniu taksówkami pod hotel okazuje się, że nie ma wystarczającej liczby miejsc. Na szczęście sami znajdujemy w pobliżu i przy pomocy lonelki hotel „Manco Capac”. Płacimy 28 soli od osoby ze śniadaniem.

16 września, Jezioro Titicaca. Dziś całodzienna wycieczka na jezioro. Maszerujemy do portu, nie ulegając naganiaczom z biur turystycznych. W porcie czeka na klientów wiele łódek, ale nie ma indywidualnych negocjacji z właścicielami. Owszem negocjujemy, ale z „zarządem łodziowej korporacji”. Oni kasują należność i przydzielają łódź (jak u flisaków nad Dunajcem). Niewiele utargowaliśmy. W efekcie mamy łódź na wyłączenie za 400 soli na cały dzień (cena wyjściowa 450 soli).

Płyniemy nie tylko na najbliższe wyspy trzciniowe Uros, ale też na oddaloną, górzystą wyspę Amantani. Plusem jest, że wypływamy od razu i nie musimy czekać na dodatkowych pasażerów.

Wkrótce mijamy wśród sitowia „posterunek poboru myta” (zapewne i od turystów i od przewoźników). Nasz kapitan wdaje się w dyskusję, nie zatrzymując łodzi i unika opłaty. Wkrótce potem wpływamy w skupisko wysp i budowli z sitowia totora, ale nie zatrzymujemy się. Kapitan wyjaśnia, że płyniemy na bardziej autentyczną i odległą wyspę. To co widać z pokładu, rzeczywiście zakrawa na „cepelię”. Łodzie z totory połączone są w katamaran i zaopatrzone w wysoką drewnianą konstrukcję, aby siedzący wysoko turyści mieli lepszy widok. Widać też wieże widokowe na samych „wyspach”.

Daleko za posterunkiem od myta przystajemy przy małej wysepce z sitowia. Skansen jest taki sam, jak poprzednio, tyle że w rozmiarze mini. Kobiety handlują souvenirami, mężczyźni w dowcipny sposób opowiadają jak zbudowana jest i jak funkcjonuje pływająca wyspa z sitowia. Spędzamy na niej 30 minut.

Amantani jest odległą wyspą, a nam trafiła się dość powolna łajba. Potrzeba jej aż 3 godzin, by pokonać dystans Puno-Amantani. Kiedy wreszcie lądujemy u celu, mamy tylko 2 godziny na zwiedzanie sporej wyspy. Osada na wyspie jest schludna, a uliczki wybrukowane. Wchodzimy na Pachapapa – jedno z dwóch wzgórz. Widok jest super! Widać ośnieżone szczyty w Boliwii. Wstęp na Amantani jest płatny 8 soli od osoby. Do Puno wracamy krótko przed zmrokiem. Na mijanych wyspach z Uros nie widać ludzi. Większość zjechała na noc do miasta.

17 września, Puno–Arequipa. Jedziemy porannym autobusem do Arequipy za 20 soli od osoby (taniocha). Niewiele mniej kosztuje taksówka w Arequipie, tyle że dzielimy ją zwykle na 3 osoby. Tym razem nie mamy rezerwacji i wyjątkowo długo szukamy noclegu. Wreszcie kwaterujemy w Hostelu „La Reyna” za 25 soli/os., bardzo blisko zabytkowego klasztoru Santa Catalina. Z tarasu hotelu jest piękny widok na miasto i otaczające góry: Nevado Chachani oraz wulkan El Misti – nasz najbliższy cel.

18 września, Arequipa. Nasze dwudniowe wejście na Misti organizujemy przy pomocy firmy „Sacred Road Extreme” przy c. Jerusalem 400 w Arequipie. Podczas rozmowy od razu widać, że ludzie ci znają się na górach. Są też elastyczni i nie wciskają pakietów. Zamawiamy tylko te usługi, które nas interesują, czyli: transport do podnóża góry i z powrotem oraz jednego przewodnika na całą grupę. Z tak liczną grupą jak nasza, ich firma wysyła zazwyczaj dwóch przewodników. Przekonuję jednak mego rozmówcę, że jesteśmy wystarczająco doświadczonym i zaaklimatyzowanym zespołem. Jeden przewodnik na pewno nam wystarczy.

Za transport liczą nam $2 \times 400 = 800$ soli, a za przewodnika 650 soli. Łączny koszt to 1450 soli. Na Misti decyduje się 12 osób z naszej grupy, mamy więc zapewnioną logistykę za 120 soli od osoby, tj. około 140 złotych.

Obrana przez nas trasa wejścia na wulkan to szlak południowy, od strony miasta Arequipa. Łatwiejszy dostęp do szczytu jest wprawdzie od północnego wschodu (od zapory retencyjnej Aguada Blanca), ale tam jest posterunek wojskowy i trzeba zgłosić uczestników wraz z numerami paszportów co najmniej 3 dni robocze wcześniej.

Reszta dnia upływa nam na zwiedzaniu miasta oraz przygotowaniu do jutrzejszego wyjścia. Żywność, minimum 5 litrów wody na głowę, sprzęt biwakowy i kuchenny będziemy nieśli sami. Dokupujemy też kartusze z gazem (wkręcane), które są tu równie dostępne jak w Cuzco.

19–20 września, El Misti (5822 m n.p.m.). O 8.00 rano podejżdżają pod nasz hotel dwa samochody. Po jednej godzinie jazdy dojeżdżamy do wysokości 3415 m n.p.m. u południowo-zachodnich podnóża wulkanu i rozpoczynamy podejście. Początkowo dokuczają nam duże, bzyczące muchy. Na szczęście wyżej już ich nie ma. Po około 6 godzinach powolnego podejścia docieramy na miejsce obozu, na wysokości ok. 4500 m n.p.m. Rozstawiamy namioty, gotujemy i już o 19.00 układamy się do snu, bo i tak będzie to krótka noc.

Pobudka jest o 1.00 w nocy, a godzinę później rozpoczynamy podejście w świetle latarek. Dobrze, że idzie z nami nasz przewodnik Ignacio. Rozpoznanie w ciemno-

ściach właściwej ścieżki nie byłoby łatwe. Przez 4 godz. idziemy w ciemnościach i coraz bardziej marzniemy. Powolne tempo nie rozgrzewa, a szybciej iść się nie da z powodu wysokości. Z radością witamy świt i słońce. Po ok. 5 godz. od obozu osiągamy przełęcz w koronie starego krateru. Tu jedna osoba rezygnuje ze szczytu i postanawia czekać w nasłonecznionym miejscu na nasz powrót.

Około godz. 8.00 pozostała 11. uczestników naszej grupy dociera do krzyża na szczycie Misti. Pogoda jest wyśmienita. Widoki extra. W drodze powrotnej schodzimy na krawędź krateru wewnętrznego. Dopiero stąd widać jego dno, żółte od siarki i pełne dymiących fumaroli.

Drogę zejściową obieramy zlebem wypełnionym sypkim, wulkanicznym piaskiem. Znakomicie ułatwia to i przyspiesza zejście. O 10.30 jesteśmy z powrotem przy namiotach. Tuż przed 12.00 mamy już spakowany biwak i schodzimy do podnóża wulkanu. Dwie godziny później wsiadamy do samochodów przybyłych po naszą ekipę. Wieczorem popijamy piwo na tarasie hotelu, spoglądając z satysfakcją na sylwetkę El Misti....

21-22 września, Arequipa-Lima. Dziś dzień luzu, odpoczynku i zakupów. Zwiedzam tylko jeden obiekt: uniwersyteckie Museo Santuarios Andinos (wstęp 20 soli), ze słynną mumią inkaskiej dziewczyny nazwanej „Juanita”, którą złożono w ofierze pod szczytem Nevado Ampato.

O godz. 22.00 wyruszamy autobusem w długą, 1000-kilometrową podróż do Limy. Aby odbyć ją maksymalnie wygodnie, wybieramy „Cruz del Sur” – jedną z najbardziej renomowanych firm przewozowych w Peru. Wpadka! Aż do północy uszczęśliwiają nas filmami wideo z nazbyt głośną ścieżką dźwiękową. A od ósmej rano ponownie. Po 17 godzinach jazdy non stop, z posiłkami podawanymi podczas jazdy, przybywamy do Limy. Cena biletu jest zależna od miejsca. Górny pokład jest zawsze tańszy niż dolny. Koszt biletu Arequipa-Lima w „Cruz del Sur” wynosi 90 soli na górnym pokładzie. Ale są też jeszcze tańsze miejsca. W każdym kursie do kilku foteli „przypisana” jest promocja w zamian za jakąś restrykcję (np. brak możliwości zwrotu biletu bądź zmiany daty, czy choćby kursu). W naszej grupie mamy aż 3 takie promocyjne miejsca.

W Limie nie ma centralnego dworca autobusowego – każda firma ma swój. Taxi z dworca Cruz del Sur do historycznego centrum ma stałą cenę wypisaną na tablicy: 15 soli za pojazd niezależnie od liczby pasażerów. Kwaterujemy w znanym nam już z początku wyprawy Hotelu „Espania”.

23 września, Lima i wylot do Europy. Pomimo typowego o tej porze roku zamglenia w Limie, kusi nas wycieczka na San Cristobal – wznoszący się nad miastem wierzchołek z krzyżem. Na Plaza Major wsiadamy do piętrowego autobusu turystycznego z otwartym górnym pokładem. Objeżdża on kilka miejsc w centrum historycznym, a punktem kulminacyjnym (dosłownie i w przenośni) jest właśnie San Cristobal. Cena 10 soli od osoby w obie strony. W tym jest 20-minutowy postój na wierzchołku. Widok ze szczytu jest imponujący, ciekawe są też mijane na zboczach góry favele. To z ich powodu odradza się pieszą wycieczkę na szczyt jako niebezpieczną.

Przez miesiąc naszego pobytu w Peru nie spotkaliśmy się z takimi przykrościami jak napad, kradzież czy choćby próba kradzieży. Wydaje się, że poprawa bezpieczeństwa w tym kraju nie jest pustym sloganem najnowszych przewodników. O 17.00 wyruszamy zamówionymi w hotelu autami na lotnisko (45 soli od jednej taksówki). O 22.00 startujemy samolotem Air France do Paryża.

24–25 września, przelot do Pragi i przejazd do Polski. 24 września jest dla nas krótki i trwa tylko 17 godzin. Samolot spóźnia się z przylotem do Paryża i mamy bardzo „ekspresową” przesiadkę do Pragi. W związku z tym w Pradze nie ma niespodzianki – ani jeden z naszych bagaży nie doleciał. Po załatwieniu formalności w biurze „lost luggage” jedziemy komunikacją miejską do centrum. O 23.55 wsiadamy do Polskiego Busa na dworcu Praha Florenc i nazajutrz docieramy do domów. Natomiast nasze bagaże kurierzy przywożą 2 dni później.

Podsumowanie. Na wszelkie programowe i poza programowe wydatki w Peru uczestnicy zabrali po 1250 USD na osobę i była to kwota wystarczająca.

Boliwia – od La Paz do Santa Cruz



Termin: 27 marca – 4 kwietnia 2015

Ceny:

Argentyna

Wymiana pieniędzy: lotnisko – 8,705 peso = 1 USD (wymieniłem 50 USD); objaśnienie w tekście – w kwietniu 2015 był kurs oficjalny i nieoficjalny.

Transport: taksówka lotnisko międzynarodowe Ezeiza – centrum Buenos Aires – 450 peso, miasto – lotnisko – 350 peso, przejazd z lotniska Ezeiza (BA) autobusem na dworzec autobusowy – 165 peso, taxi z hotelu Claridge (Tucuman) – San Telmo – 35–50 peso.

Hotele: Claridge Hotel, Tucuman, 535, Buenos Aires – 81,82 USD + 21% VAT = 99 USD = 871,22 peso (ale w gotówce, kiedy wymieniłem po 12,50 peso za 1 USD, czyli faktycznie 70 USD).

Restauracja: duża pizza Grande Napolitana – 123 peso, butelka – 22 peso, piwo Cristal-Brahma – 38 peso, napoje Ravioli – 55 peso, nakrycie do stołu na osobę – 14 peso, butelka wina – 94 peso, spaghetti – 45 peso, kawiarnia Tortoni – Cafe Doble – 39 peso.

Na lotnisku: Cafe con leche – 35 peso, churro – 10 peso, medialuna – 10 peso, Malbec 0,375 l – 100 peso, kanapka wegetariańska – 75 peso, befsztyk z pieczarkami – 185 peso, sałata z pomidorami – 60 peso.

Inne: Museo Mundial del Tango (Academia Nacional del Tango) – 20 peso.

Boliwia

Wymiana: 1 USD = 6,88 Bs (Lotnisko El Alto – 300 USD wymieniłem, comision – 6, 50 Bs = 1 USD).

Transport: taksówka lotnisko El Alto – La Paz – dzielnica centralna – 80 peso, dzielnica centralna – lotnisko – 70 peso, taksówka wynajęta na podróż La Paz – Copacabana i z powrotem – 100 USD (14,5 godz. podróży) – 151 km w jedną stronę.

Taksówka wynajęta na podróż La Paz – Tiahuanaco oraz do Valle de la Luna – 85 USD (8 godz. podróży wraz z oczekiwaniem kierowcy) – 70 km w jedną stronę.

Amboro Tours – 2-dniowy wyjazd do Refugio Volcan (transport, wyżywienie na miejscu, opłacone dwie wycieczki z przewodnikiem (2–3 godz.) – po południu i rano po dzungli – za 2 osoby – 2200 Bs (315 USD).

Wstęp: Tiahuanaco – Kalasaya, Puma Punku, Museo Litico, Museo Ceramico – 80 BWS (dla gościa zagranicznego), wstęp na Wyspę Słońca (Yumani) – 5 Bs, Valle de la Luna – La Paz – 15 Bs, Museo Nacional de Etnografia y Folclore, La Paz – 20 Bs, wykonywanie zdjęć – 20 Bs.

Hotele – Boliwia: Casa de Piedra Hotel Boutique, La Paz, Jenaro Sanjinez No 451 – 481 Bs; Urbari Apartment Hotel, Calle Igmiri 506, Santa Cruz de la Sierra (cztery gwiazdki) – 69 USD + 13% VAT = 78 USD; Residencial „Bolívar” Calle Sucre 131, Santa Cruz – 2 osoby – 270 Bs.

Wyżywienie – sklep: woda mineralna – 1,5 l – 4,50 Bs, Cerveza Pacena – 18 Bs, ser żółty 1 kg – 84,90 Bs, sok brzoskwinowy – 10 Bs.

Restauracja – Boliwia: zupa pomidorowa – 16 Bs, zupa jarzynowa – 18 Bs, sałatka grecka – 35 Bs, filet z łamy z dodatkami – 70 Bs, butelka wina Concepcion Boliviana (Cabernet Sauvignon) – 155 Bs, piwo 25–27 Bs, medalion z wołowiny z dodatkami – 58 Bs, Te coca – 9 Bs, kawa – 10 Bs, Subway (lotnisko w La Paz) – 1 długa bułka wegetariańska oraz 1 mniejsza bułka wegetariańska – łącznie 83 Bs.

Samolot wewnątrz Ameryki Południowej: Buenos Aires (Pistarini) – Santa Cruz (Viru Viru Intl) – 15.50–17.40 (2 godz. 50 min) – różnica czasu – cofanie czasu o godzinę – Boliviana de Aviacion; Santa Cruz (Viru Viru Intl) – La Paz (El Alto Intl) – 18.45–19.45 (1 godz.) – Boliviana de Aviacion La Paz (El Alto Intl) – Santa Cruz (Viru Viru Intl) – 13.20–14.20 (1 godz.) – Boliviana de Aviacion Santa Cruz (Viru Viru Intl) – Sao Paulo (Guarulhos Intl) – 10.25–14.25 (3 godz.) – różnica czasu – przesuwanie czasu do przodu o godzinę – Boliviana de Aviacion.

Cena za jeden bilet łączony na trasę Buenos – La Paz – Santa Cruz – Sao Paulo = 2050 PLN.

RELACJA Z PODRÓŻY

27 marca. Wylądowałem wcześniej rano w Buenos Aires, gdzie miałem się spotkać z moim synem Jackiem podróżującym już jakiś czas po Ameryce Południowej. Następnego dnia mieliśmy już razem polecieć do Boliwii. Do centrum Buenos pojechałem autobusem do stacji Terminal Madero, tuż przy stacji kolejowej Terminal Retiro. Pogoda była wymarzona. Ani jednej chmurki, temperatura nieco ponad 20 stopni.

Wymiana pieniędzy. W Argentynie funkcjonowały w marcu 2015 roku dwa obiegi wymiany waluty. Kurs oficjalny wynosił około 8,70 peso za dolara. Po takim kursie wymieniałem 50 dolarów w banku na lotnisku. Nie było go tam łatwo odnaleźć, bo i mało kto próbuje wymienić oficjalnie jakąś większą gotówkę. Tuż po przyjeździe ważne było dla mnie, aby wymienić tyle co potrzebne na dotarcie do hotelu. Lepszy kurs oferowało nam dziesiątki „staczy” szepczących na głównym deptaku Buenos, czyli Florida „Change money, cambio”. Kurs był 12,50 za dolara. Zaprowadzono nas do znajdującego się nieopodal budynku, gdzie na pierwszym piętrze w małym pokoiku był już dla nas przygotowany zwitek 25 banknotów po 100 peso w zamian za 200 USD. W lepszej cenie były studolarówki, gorszy kurs miały banknoty o mniejszym nominale.

Wsiedliśmy do taksówki i za kilkanaście minut byliśmy już w kawiarni na Plaza Dorrego, centrum życia dzielnicy San Telmo. Stamtąd nie jest tak daleko na Avenida Mayo,

gdzie pod numerem 825 znajduje się Cafe Tortoni. Sławę swą zawdzięcza nie tylko etykietce, że to najstarsza wciąż działająca kawiarnia w mieście, ale i bywalcom tego wytwornego lokalu, takim jak Borges, Gombrowicz czy Ernesto Sabato. Lokal był z klasą, co jeszcze podkreślały równie elegancko ubrani i noszący się z klasą kelnerzy.

Bramę dalej na pierwszym piętrze znajdowało się Światowe Muzeum Tanga. Było dużo plakatów, nieco zdjęć, sala widowiskowa oraz duże pomieszczenie, gdzie w tym czasie odbywały się lekcje tanga.

Przespacerowaliśmy się również na Plac Majowy. Przedzielony był niemal w połowie wysokim płotem. Służył on za miejsce dla przeróżnych haseł i ogłoszeń; dawał też drugiej stronie, czyli policji szansę na szybką interwencję w pobliżu Pałacu Prezydenckiego. Na Placu Majowym wciąż bije serce politycznych zawirowań niezadowolonych Argentyńczyków. Plac był pełen zwiedzających, ale na wszelki wypadek w pobliżu było zatrzymanie policji i jej pojazdów. Byli gotowi do akcji w każdej chwili.

Galerias Pacifico – świątynia zakupów położona jest na rogu Florida i Avenue Corridora. W swojej ponad stuletniej historii służyła przeróżnym celom. Od 1992 roku znajduje się tu galeria handlowa, a na pierwszym piętrze znalazła swą siedzibę Jorge Luis Borges Cultural Centre otwarte w 2003 roku. Nie jest to typowe muzeum upamiętniające dzieje tego pisarza. Na ścianach powieszono fotografie autora, grafiki z różnymi bestiami, które też przynależą do świata jego utworów; była też i lista miejsc w Buenos, gdzie on mieszkał, tworzył czy umieścił je w swoich opowiadaniach.

28 marca. Sobota przeciekła nam dość szybko. Taksówka na lotnisko była już tańsza – kosztowała 350 peso, ale jazda zabrała nam więcej niż godzinę. Mieliśmy mimo wszystko dużo czasu i wciąż dużo argentyńskiej gotówki, którą trzeba było wydać. Samolot do Santa Cruz w Boliwii miał mieć godzinne opóźnienie, a nadmiar gotówki szybko stopniał, gdy zamówiliśmy obiad w lotniskowej restauracji. Moje cienkie kawałki mięsa nazywały się stekiem z pieczarkami (165 peso) i mogłem się jedynie pocieszać, że dostaniemy coś jeszcze w samolocie. Dobrze, że prawie wszędzie można było uzyskać połączenie z Internetem. Dzięki temu udało mi się załatwić transport z lotniska do zarezerwowanego dzień wcześniej hotelu w La Paz.

Tak jak to było planowane, wylecieliśmy z godzinnym opóźnieniem. Mieliśmy się podobno nie martwić w Santa Cruz z przesiadką do La Paz, gdyż nasz samolot miał na nas czekać. Będzie tak jak będzie, lepiej nie martwić się na zapas. Po wylądowaniu w Santa Cruz do przejścia mieliśmy jeszcze kontrolę paszportową, a następnie jeszcze raz kontrolę naszego bagażu podręcznego. Przejście Jacka z termosem pełnym gorącej wody przeszło niezauważenie. Każdy tu rozumie, że terroryści nie piją yerba mate. Zegarki cofnęliśmy o jedną godzinę, i dopiero wtedy spojrzeliśmy na tablicę informacyjną. Zgodnie z zapowiedzią samolot do La Paz był również opóźniony. Ale drobiazg – opóźniony był samolot o innym numerze lotu.

Samoloty do La Paz latały na szczęście prawie co godzinę. Skończyło się wszystko jednak dobrze. Po różnych przejściach znaleźliśmy się na pokładzie samolotu i po godzinie kołowaliśmy już na lotnisku El Alto. Tam już oczekiwał, i to podobno od 2 godzin, człowiek z tabliczką z moim nazwiskiem. Wymieniłem naprędce trzysta dolarów i ruszyliśmy. Mieliśmy zjechać do centrum La Paz położonego około 400–500 metrów niżej. Przejazd z górki zajął nam ponad pół godziny.

Trafiliśmy na szczególną porę. Następnego dnia, w niedzielę miały się odbyć wybory lokalne i do władz prowincji, i ten dzień został ogłoszony świętem państwowym. To dobrze, bo ruch samochodowy miał być wstrzymany i nie groził nam żaden smog. To źle, bo na wyjazd z miasta można było liczyć tylko wtedy, kiedy znalazło się chętnego taksówkarza. Ale i wtedy jakby gdziekolwiek pojechać w ciekawe miejsce, to mogłoby być ono pozamykane. Zamknięte miały być też wszystkie muzea, a co do restauracji, to na wiele z nich nie mieliśmy co liczyć. Ale tym mieliśmy martwić się dnia jutrzejszego, przy planowaniu naszego pobytu w La Paz i okolicach.

Kierowca wysadził nas w jakiejś ciemnej uliczce, ledwo zaś dostrzegalne napisy świadczyły, że jest to poszukiwany przez nas Casa di Piedra. Brama była pozamykana na cztery spusty. Kiedy jednak wrota się otworzyły, oczom naszym ukazał się piękny dziedziniec pamiętający może nawet jeszcze czasy hiszpańskiej kolonii, czyli sprzed co najmniej dwustu lat. Pokój dostaliśmy bardzo gustowny, choć dopiero następnego dnia okazało się przy otwieraniu jedynego okna, że jest za nim jedynie wnęka.

29 marca. La Paz. Gdy rano wyszedłem na ulice, były one zupełnie puste. Czasem przejechała jakaś taksówka, a nieliczni przechodnie mogli swobodnie przechodzić przez główną arterię miasta – Prado – nie zważając na jakiegokolwiek światła. Ożywienie panowało jedynie na placu przed kościołem św. Franciszka, gdzie na licznych straganach sprzedawano plecione krzyże, palmy, a nawet i zajączki wielkanocne. W tym dniu były nie tylko wybory, ale również i świętowano Niedzielę Palmową. Na mszy świętej większość wiernych przyniosła ze sobą palmy czy zielone krzyże, obficie święcone podczas ceremonii.

Muzea były wszystkie zamknięte, ale co gorsza większość restauracji również była pozamykana na cztery spusty. Zarówno te knajpki w bocznych uliczkach, jak i te w zagłębiu turystycznym, jaki stanowi uliczka Linares zwana też Aleją Gringo. W końcu szczęście się do nas uśmiechnęło i na drzwiach miłej knajpki na rogu Linares i Sagárnaga widniała tabliczka „Abierto”. Czego nie można było w tym dniu zamówić, to alkoholu, gdyż panował zakaz jego sprzedawania i konsumpcji. Ale pierwszego dnia na tej wysokości podobno lepiej nie sięgać po trunki.

Wieczorem trzeba było podjąć decyzję, co czynić dnia następnego. Ostatecznie z uwagi na to niespodziewane państwowe święto postanowiliśmy zostać w La Paz i czynić jednodniowe wycieczki do okolicznych atrakcji. Na pierwszy ogień wybraliśmy wypad nad Jezioro Titicaca. Mieliśmy wyruszyć z taksówkarzem bardzo wcześniej rano, aby zdążyć na poranny stateczek odpływający z nabrzeża w Copacabanie na Wyspie Słońca. Kosztować nas to miało 100 USD.

30 marca. Czwarta rano. Bębnienie kropli deszczu zapowiadało, że tego dnia słońce może nam nie dopisać. „Nie martwcie się” powiedział nam recepcjonista, „potrwa dziesięć minut i przestanie”. Nie do końca się to sprawdziło. Ruszyliśmy o czwartej trzydzięci. Przed nami było sto pięćdziesiąt kilometrów do Copacabany, portu nad Jezioro Titicaca, a dalej jeszcze ponad dwadzieścia kilometrów żeglugi na wyspę. Pomimo tak wczesnej pory El Alto – bliźniacze miasto La Paz – tętniło życiem. Więcej, było niemal zakorkowane, szczególnie tam, gdzie zatrzymywały się minibusy. Nasz kierowca prowadził pojazd w sposób nieraz brawurowy, wybierając zwykle przeciwny pas ruchu do ścinania zakrętów, nie wspominając już o przekraczaniu linii ciągłej. Dniało już, kiedy dojechalismy do przeprawy promowej w Tiquina, prowadzącej na półwysep

podzielony w połowie pomiędzy Boliwię i Peru. Na nabrzeżu stało kilkanaście barek mogących pomieścić najwyżej dwa pojazdy, albo jeden autobus lub ciężarówkę. Przesmyk w tym miejscu miał co najwyżej pół kilometra, a dalej czekało nas jeszcze czterdzieści kilometrów jazdy. Po obu stronach drogi mieliśmy Jezioro Titicaca, a gdzieś w oddali śnieżyły się wierzchołki szczytów andyjskich.

Tuż przed ósmą dotarliśmy do Copacabany. W budce kupiliśmy dwa bilety po 35 boliwarów na mały stateczek. Mieliśmy nim dojechać do południowej części wyspy, spędzić tam kilka godzin i wrócić około godziny pierwszej. Popatrzyłem się na zdjęcia tego, co możemy wtedy zobaczyć, i nie pytałem się o wszystkie szczegóły. A czasem warto się pytać po raz drugi i trzeci. Wycieczka określona została jako półdniowa, a nam się zdawało, że atrakcji będziemy mieli w tym czasie sporo. Było jeszcze wciąż za zimno, by decydować się na otwarty pokład. Rejs trwał znacznie dłużej niż można było sobie wyobrazić. Dwadzieścia kilometrów, a trwało to niemal półtorej godziny.

Nad jeziorem słońce przedarło się przez warstwę chmur, aby oświetlić swoją wyspę, czyli Wyspę Słońca (Isla del Sol). To największa wyspa Jeziora Titicaca, mierząca dziewięć kilometrów długości i sześć kilometrów szerokości. W oddali widać było ruiny budowli Pilko Kaina, zbudowanej przez Inków, o nieznanym nam przeznaczeniu. Z tej wyspy wywodzili się protoplaści Inków: Manco Capac i Mama Ocillo, którzy stworzeni przez Wirakoczę powędrowali na północ, aby założyć miasto Cusco. Dzięki tej legendzie Inkowie tytułowali się Synami Słońca, bo ich stworzenie zbiegło się z narodzinami Słońca.

Na jeziorze zaczynało bardzo bujać, szczególnie gdy dobijaliśmy do małego nabrzeża wioski Yumani. Z ulgą więc mogliśmy stanąć nogą na suchej ziemi. Stateczek płynął dalej na Wyspę Księżycy, ale sternik zapewniał nas, że przybędzie tu za jakieś półtorej godziny, kiedy będzie wracał. I tyle czasu miało nam zostać na Wyspie Słońca z tej południowej wycieczki. Nasze rozczarowanie przerodziło się w walenie sobie po głowie z własnej nieroztropności, gdy usłyszeliśmy, że statek z powrotem jednak będzie odpływał już za pół godziny. Jedyne co nam zostało, to wspięcie się po setce schodów, tzw. Escalera del Inca. Co jakiś czas robiłem sobie odpoczynek, aby zniwelować swój dług tlenowy. Doszliśmy do końca schodów i po kilkunastu minutach musieliśmy rącho zbiec na stateczek i wrócić do Copacabany.

Copacabana – eldorado turystyczne. Równie dużo jest tu biur turystycznych, które sprzedają bilety autobusowe na przejazd zarówno do Limy (trwa ponad dobę) czy też krótszą, 22-godzinną podróż do Santa Cruz w Boliwii. Od nabrzeża do najbardziej czczonego w Boliwii sanktuarium Matki Boskiej było zaledwie kilkanaście minut spaceru. O tej porze dnia nie przyciągała ona takiej ciżby ludzi jak knajpki nanizane niczym koraliki wzdłuż głównej promenady miasta. W każdym sklepiku oferowano wymianę waluty, a na straganach zaś czekały na nabywców figurki Matki Boskiej.

Droga powrotna wcale się nam nie dłużyła. Tym razem oczy mieliśmy szeroko otwarte, sen nas już nie morzył, kierowca zaś w drodze powrotnej okazał się już bardziej powściągliwy w swym stylu jazdy. Przed nami rysował się łańcuch pokrytych wiecznym śniegiem sześcioletnich otaczających La Paz. Dopiero pod koniec podróży zwolniliśmy znacznie tempo jazdy, trafiając na zatłoczone przedmieścia El Alto, aby jeszcze przed zachodem słońca przystanąć tuż pod wyciągiem kolejki linowej łączącej La Paz ze swoją młodszą siostrą El Alto, spoglądającej na nią z wysokości tych

300 czy 400 metrów wyżej. To obowiązkowe miejsce dla odwiedzających ten kawałek Boliwii. Można się było pocieszać, że warto było wstać tak wcześnie i zatoczyć to spore kółko, aby na koniec dnia nasycić swe oczy tym widokiem.

31 marca. Bogaci w doświadczenia z dnia poprzedniego, że wczesne wstawanie nie przynosi doskonałych efektów, miałem już budzik nastawiony na późniejszą godzinę. Rano skłaniał do decyzji promujących wygodę, toteż zamiast drałować pod górę do stacji autobusów zdążających w kierunku Tiahunaco, wybraliśmy własny dojazd z kierowcą, z opcją, aby pod koniec wycieczki zawitać do Doliny Księżycowej (Valle de la Luna) położonej na obrzeżach La Paz. Mieliśmy już innego kierowcę, Dona Victorio, który jeździł znacznie spokojniej i rzadziej wyprzedzał na zakrętach. Siedemdziesiąt kilometrów, jakie dzieliło nas od Tiahuanaco, pokonaliśmy w niecałe półtorej godziny. Droga wiodła w jednostajnym krajobrazie Altiplano w kierunku Peru, a od granicy dzieliło nas może kilkadziesiąt kilometrów. Po drodze od czasu do czasu policjanci zatrzymywali samochody w poszukiwaniu narkotyków. Nas, turystów z Polski, nie kontrolowali.

Dwa muzea i główny kompleks ruin dawnej metropolii przedzielony był torem kolejowym. Tuż obok znajdował się budynek stacji linii kolejowej zwanej Ferrocarril de Guayaquí czy też górnołotniej Koleją Postępu. Obecnie z częstotliwością raz na 3–4 tygodnie kursuje tędy pociąg turystyczny. Trafiliśmy na lukę. Ostatnio zatrzymał się tutaj po drodze z El Alto do Guayaquí nad Jeziorem Titicaca ósmego marca 2015 roku, a kolejny miał przejechać dopiero 12 kwietnia.

W muzeach, jak w dużej części innych obiektach boliwijskich, zakazuje się fotografować. Pierwsze, starsze muzeum było wystawą przeróżnych obiektów znalezionych na terenie starożytnego miasta. Najbardziej interesującym obiektem była dla nas wielka mapa Ameryki Południowej, która nie podlegała restrykcyjnym przepisom zakazu fotografowania. Położony tuż obok drugi budynek został niedawno otwarty. Znajdował się tam wielki, ważący ponad 20 ton monolit Bennetta. Czy jego skierowane gdzieś daleko wyglądały jakby posąg ronił łzy.

Dzisiaj to, co oglądamy jako Tiahuanaco, stanowi więc zaledwie cień tego miasta, które było już ruiną, gdy przybyli tutaj Hiszpanie i przez kolejne 500 lat coraz bardziej chyliło się ku upadkowi. Obszar ogrodzony, obejmujący co bardziej znaczące budowle miasta, nie jest zbyt duży. Wystarczy może 20–30 minut, aby wszystko pobieżnie obejść, ale można i dłużej. Nie ma tutaj zachwycającej scenerii górskiej i ze szczytu wysokiej na 17 metrów piramidy Akapana co najwyżej rysuje się w oddali łańcuch górski Kordylierów Królewskich. Na darmo wysilałem oczy, aby ujrzeć błękit Jeziora Titicaca oddalonego o niecałe dwadzieścia kilometrów. Moim ulubionym miejscem w Tiahuanaco pozostanie Półpodziemna Świątynia z czerwonego piaskowca, położona tuż obok bramy wiodącej do dużo większego obiektu sakralnego, jakim jest Świątynia Kalasasaya.

Kalasasaya mogło pełnić kiedyś różne funkcje. Przypuszcza się, że była jednocześnie miejscem kultu jak i obserwatorium astronomicznym. Obecnie ostała się tutaj słynna, andezytowa Brama Słońca oraz dwa monolity, jeden z nich to ta brodata postać zwana też monolitem Ponce. Inny posąg postawiony w Kalasasaya zwie się popularnie El Fraile, czyli Zakonnik.

Zabrało mi to z dwie godziny, aby obejść wszystkie kamienie, w tym i na końcu Bramę Księżyca. Ostatnie stanowisko archeologiczne Puma Punku potraktowaliśmy nieco po macoszemu. Czasu starczyło jeszcze na odwiedzenie położonej na obrzeżach gospy, gdzie większość grup wycieczkowych zatrzymywała się na obiad.

Na sam koniec zostawiliśmy sobie Dolinę Księżycową, w dolnej części La Paz. Stanowią ją formacje skalne, będące mieszaną gliny, piaskowca i wapienia w różowym odcieniu. Warte odwiedzenia są tam dwie trasy. Przejście pierwszej drogi nominalnie zabiera kwadrans, druga zaś jest czterokrotnie dłuższa, ale spokojnie można to obejść dwa razy szybciej. Wieczór upłynął nam na pakowaniu i przygotowywaniu się do podróży na nizinną część Boliwii.

1 kwietnia. Po raz trzeci to samo śniadanie pozwoliło bez żalu żegnać się z naszym hotelem. Zimna jajecznicza, kilka filiżanek mate de coca. Tylko smak świeżych bułek mnie tam jeszcze przyciągał. Nienasycony wrażeń muzealnych pojawiłem się w Muzeum Etnograficznym tuż przed dziewiątą. Wewnątrz nie można było fotografować, chyba że wykupi się kolejny bilet. Ale czy warto było kupować kota w worku, pamiętając nędzę wystawienniczą w muzeum w Tiahuanaco?

Po wejściu do Sali Masek szybko zmieniłem zdanie. Nikt wprawdzie tu niczego nie pilnował, nie zwracał uwagi „Senior, no photo”, ale sceneria była wprost czarowna. Wyobraźmy sobie ciemną przestrzeń, w której punktowe światła oświetlają dziesiątki masek ustawione po obu rzędach. Byłem tam sam. Wycieczka szkolna, która zrobiła sobie grupowe zdjęcie na dziedzińcu muzeum, jeszcze tam nie doszła, gdyż przewodniczka zaprowadziła ich do oglądania różnych skorup, czyli ceramiki. Samotność bynajmniej mi nie przeszkadzała, ale wyostrzała zmysły. Nie wyobrażałem sobie, abym mógł tam wyjść bez kliknięcia kilku zdjęć. Pobiegłem na dół, kupiłem bilet na aparat i do dzieła.

Tu również mogłem spojrzeć na krótki przegląd całej historii Boliwii. Kończyła się bardzo optymistycznie, gdyż pochód ważnych osób dla historii tego kraju zamykał Evo Morales, prezydent od 2005 roku.

Czasu nie miałem dużo, ale nogi mnie jeszcze raz poniosły do muzeum franciszkanów. Tam z kolei nie można było w ogóle fotografować. Można było za to wejść na wieżę oraz pobłąkać się po różnych salach muzealnych, przybliżających życie codzienne franciszkanów i sztukę sakralną. Tuż po odzyskaniu niepodległości nowa władza zaczęła wprowadzać swoje porządki i skasowała wszystkie zakony z wyjątkiem franciszkanów, którzy brali czynny udział w wybiciu się na niepodległość. Jest tam nawet cela, gdzie odbywały się pierwsze zebrania konspiracyjne, ścięty zaś na rynku Pedro Murillo został pochowany w tym kościele.

Nie było już więcej czasu. Cekał już na nas Don Victorio, aby zawieźć jeszcze raz na wysokość ponad 4000 metrów na lotnisko. Samolot nie miał zbyt dużo do pokonania, aby wznieść się do wysokości przelotowej. Po kilku minutach lotu nad Andami zanurzaliśmy się w chmury, aby wyłonić się z nich niedługo przy podchodzeniu do lądowania. Pod nami rozpościerała się zielona równina poprzecinana zygzakowatymi, szerokimi, ciemnożółtymi wstęgami rzek. Tak jakbyśmy trafili do zupełnie innego kraju. Temperatura nie schodziła poniżej 20 stopni. Mogliśmy z siebie wszystkie ciepłe ciuchy i tak miało już być do końca moich amerykańskich wakacji.

Hotel zarezerwowany dzień wcześniej wyglądał na ekranie jak z bajki. Duży basen, obrzeżony palmami, budynek w stylu kolonialnym, duży pokój z aneksem kuchennym

i to wszystko za 260 PLN. Basen był, ale trzeba było wyjść z hotelu i przejść się kilkaset metrów; Internet był dla nas niedostępny po wpisaniu hasła. Recepcjonista z kolei był tak zagubiony we wszystkim do czego się dotknął, że lepiej było go o nic nie prosić.

Do centrum miasta taksówką mieliśmy przynajmniej 20 minut, podany zaś w przewodniku adres biura Amboro Tours okazał się niewłaściwy. Z kłopotami, ale wreszcie dotarliśmy na pierwsze piętro biura, gdzie udało się nam załatwić naszą wyprawę w pobliżu parku narodowego Amboro. Wyglądało ciekawie. Mieliśmy być zakwaterowani w domku położonym na polanie otoczonej ze wszystkich stron ścianą dżungli i wysokimi skałami wznoszącymi się kilkaset metrów wyżej. Umówiliśmy się, że będziemy czekali przed hotelem wcześniej rano, spisaliśmy umowę, zapłaciliśmy 316 dolarów i mogliśmy wreszcie przyjrzeć się miastu.

Wieczorem plac zapełniał się ludźmi okupującymi ławki na placu. To był okres Wielkiego Tygodnia i drzwi katedry były otwarte na oścież, zachęcając do wejścia. Kluczając uliczkami, znaleźliśmy hotel bardziej odpowiadający naszym aspiracjom na nocleg z piątku na sobotę, kiedy to mieliśmy wrócić z dżungli. Residencia Bolivar był dosłownie kilka kroków od placu centralnego. Zarezerwowaliśmy pokój i umówiliśmy się, że zostawimy tu nasze bagaże z rzeczami, których nie chcieliśmy brać ze sobą do lasu.

Szczęście nam sprzyjało. Znalazła się bowiem i knajpka z włoskim zacięciem tuż przy rynku, gdzie mieli Wi-Fi, jak i można było wybierać w jadłospisie. Na sam koniec czekały nas jeszcze zakupy w supermarkecie, aby zabezpieczyć się przed ewentualnymi skąpymi racjami żywieniowymi następnego dnia.

W hotelu po dłuższych tarapatkach i komediach pomyłek udało się nam wpisać właściwe hasło i znowu staliśmy się niewolnikami Internetu.

2 kwietnia. Do miejsca naszego spotkania z przyrodą, czyli Refugio de Volcano było mniej niż dwie godziny jazdy samochodem. Po kilkudziesięciu kilometrach droga zaczęła się wspinać. Jechaliśmy na południe, tzw. dawną drogą do Cochabamby, która wiodła do miejscowości Samaipata, a dalej jeszcze do Vallegrande, gdzie kiedyś żył swój zakończył nagle Che Guevara. Ale nie zamierzaliśmy ruszać śladami ikony rewolucji latynoamerykańskiej. Wkrótce wokół nas zaczęły górować potężne czerwone skały zawieszone w morzu zieleni. Niepostrzeżenie wjechaliśmy w otulinę parku Amboro. Boczną i wyboistą drogą stopniowo wjeżdżaliśmy w górę, aby dojechać do miejsca spotkania z drugim kierowcą samochodu z napędem na cztery koła. Przenieśliśmy nasze rzeczy do mniejszego samochodu i umówiliśmy się następnego dnia na odebranie nas z tego miejsca około trzeciej popołudniu. W oddali, kilkaset metrów niżej, u podnóża potężnej czerwonej skały dostrzec można było małą plamkę jasnej zieleni. Tam miała znajdować się nasza mała hacjenda pod wulkanem, czyli Volcano Refugio. Stroma wąska droga była dobrze utrzymana, choć miejscami bardzo stroma. Pewnie w porze deszczowej, która przypada na okres pomiędzy listopadem a marcem, musi to być spore wyzwanie dla tych, którzy chcą się tam dostać.

Miejsce, do którego dojechaliśmy, wyglądało bajecznie. Otrzymaliśmy pokój w parterowym budynku z podcieniami, gdzie aż prosiło się, aby wskoczyć na zawieszane hamaki i poświęcić się nicnierobieniu. Dookoła nas były potężne czerwone skały, ściana lasu i mocne słońce. A na przekąskę soczyste wielkie awokado, kupione gdzieś po drodze. Wędrówka po parku czekała nas wczesnym popołudniem tuż po obiedzie. Naszym przewodnikiem był Niko, sympatyczny Indianin, z nieodłączną maczetą. Nie cze-

kało nas jednak przedzieranie się przez gąszcze. Wokół znajdowało się bowiem szereg dobrze utrzymanych i oznakowanych szlaków, które wystarczyłyby na kilka dni wędrówek. Potoków czy strumieni, które musieliśmy przekraczać – skacząc z kamienia na kamień – było bez liku. W sumie zajęło nam to ponad trzy godziny i już nie reflektowaliśmy na nocny spacer po parku.

3 kwietnia. Wielki Piątek. Pierwszy raz miałem okazję w takim dniu spędzić poranek w tak przedziwnym miejscu. Mieliśmy stąd wyjechać wczesnym popołudniem. Pierwszy raz też nie włączyłem budzika, a nasze wyjście na kolejną wędrówkę po dzungli niepostrzeżenie przesunęło się godzinę później, czyli na godzinę dziesiątą. Tym razem nie czekało nas przechodzenie przez strumienie, nie mieliśmy też ostrego wchodzenia pod górę jak dzień wcześniej. Na początku wędrówki pojawiły się jakieś większe stworzenia niż mrówki. Wysoko w konarach drzew baraszkowały małpy, skakały z konaru na konar, przypatrując się nam z dużym zdziwieniem. Były jednak za wysoko, aby móc im zrobić jakieś zdjęcia.

Trzy godziny minęły niepostrzeżenie. Mały relaks na hamaku i trzeba się z niego było wygrzebać, aby ruszyć w drogę powrotną na spotkanie naszego auta z Ambo-ro Tours. Wielki Piątek jest wolnym dniem od pracy i wielu mieszkańców Santa Cruz rozkoszowało się kąpielą w żółtych wodach większych rzeczek spływających z gór. To był także *ley seca* co w polskim tłumaczeniu znaczy „Suche Prawo”, zabraniające od czwartku do soboty przed Niedzielą Wielkanocną sprzedawać napojów alkoholowych, co dotyczy też i lokali. Większość restauracji, wszystkie urzędy państwowe i sklepy są w tym dniu nieczynne, w tym również i pizzeria, gdzie dwa dni wcześniej znaleźliśmy całkiem smaczne dania.

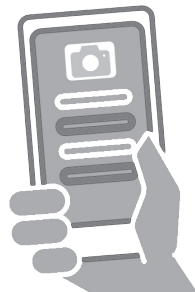
Do Santa Cruz dojechaliśmy jeszcze za dnia. Większość ulic w ścisłym centrum była pozamykana z uwagi na trasę procesji wielkopiątkowej. Zdążyliśmy rozpakować się w Residencia Bolivar dwie przecznice od głównego placu w Santa Cruz. Budynek tego hostelu zbudowano w XVIII wieku, a w 1905 roku stał się podobno pierwszym hotelem dla podróżnych w Santa Cruz. Wrzuciłem swoje bagaże do naszego pokoju i powędrowałem na rynek przecznicę dalej. Tam zaczęła się już msza święta przed wejściem do katedry. W porównaniu do uroczystości wielkopiątkowych w Polsce nie trwała zbyt długo. Miała się bowiem jeszcze odbyć procesja ulicami miasta wokół placu centralnego. Procesję rozpoczynała grupa mężczyzn niosących wysoki krzyż. Musieli bardzo uważać, aby nie zaczepić krzyża o przewody z prądem rozpostarte pomiędzy domami, co przed rokiem spowodowało ofiary śmiertelne podczas karnawału na Haiti. Dalej w procesji kroczył arcybiskup Santa Cruz Sergio Gualberti, dzierżący w ręku pastorał. Za nim kilkunastu dostojnie ubranych mężczyzn niosło na swoich barkach bogato rzeźbioną trumnę z ciałem Chrystusa przykrytym całunem. Procesję zamykała niesiona postać Matki Boskiej, bolejącej nad śmiercią swojego syna. Nie miało to tak odświętnego charakteru, jak w macierzystej Hiszpanii, ale zobaczyć było warto.

Na kolację w patio naszej rezydencji składały się artykuły kupione przez Jacka w sklepie spożywczym. Do posiłku próbowała się dołączyć para tukanów, Simeon i Manuela. Ta ostatnia traktowała nas jako intruzów, których trzeba przepędzić ze swojego terytorium, oczywiście pod warunkiem, że zostawimy im do zjedzenia naszą kolację. Wpierw Manuela zabrała się do dziobania Jacka buta i nie reagowała na żadne perswazyje, bardziej gwałtowne gesty czy nawet pohukiwania. Czuli się tutaj gospoda-

rzami, jak i maskotkami tego hostelu. Doczekały się nawet całej galerii portretów malowanych przez dzieci, odwiedzających z rodzicami tę rezydencję. Kiedy już się wydało, że oddamy im palmę zwycięstwa, przyszedł jeden z pracowników i zabrał je bezceremonialnie, wrzucając je do któregoś z pomieszczeń.

4 kwietnia. Samolot do Sao Paulo miał odlecieć zgodnie z rozkładem. Na granicy zarówno w Boliwii czy Argentynie nie zwraca się zbyt dużo uwagi na jakieś laptopy czy przeróżne sprzęty, znajdujące się w moim podręcznym plecaczku. Nie wykazywali też – tak jak wcześniej – żadnej gorliwości wobec termosu Jacka pełnego ciepłej wody do zalania kubka maté. Kiedy zaczęliśmy popijać kolejną kawę, aby załogować się do Internetu na lotnisku, usłyszeliśmy dziwnie brzmiące w hiszpańskiej wymowie nasze nazwiska. Czekano już tylko na nas, aby się wznieść w powietrze. Tak skończyła się nasza boliwijska podróż.

Fotografowanie w podróży – w dobie selfie



*Podróżujemy szybciej, częściej, dalej,
choć zamiast wspomnień przywozimy slajdy.*

Ten fragment liryku z późnego okresu twórczości Wisławy Szymborskiej trafnie oddaje współczesne realia poznawania świata. Rosnące tempo życia, także w jego turystycznym wymiarze, nie pozostawia, niestety, nadmiaru czasu na kontemplację urody Błękitnej Planety, na niespieszne smakowanie materialnego dorobku człowieka oraz nierzadko wręcz oszałamiających pejzaży, jak choćby Wodospadów Wiktorii, nowozelandzkiego fiordu Milford Sound czy Zatoki Ha Long. W obliczu ich majestatu rodzi się u wędrowca głębokie przekonanie, jak, w gruncie rzeczy, kruchą i szybko przemijającą istotą jest człowiek, a jak wielkie dzieło Natury – i to niezależnie od systemu wartości, wiążanego z tym pojemnym, także w aksjologicznej perspektywie, słowem.

Na pejzaże te, na wypełniających je ludzi trzeba umieć patrzeć – również przez wizer lub ekranik aparatu fotograficznego, lecz, jak uczy doświadczenie autora niniejszych refleksji, umiejętność to niełatwa. I mniej istotna, choć nie do końca, jest tu klasa sprzętu; bardziej znaczący indywidualny dar obserwacji, wrażliwość i osobiste emocje. Co więcej, nie od rzeczy jest także postawienie sobie pytania, jaki cel ma mieć zapisywanie na karcie pamięci, także tej ukrytej w szufladce wyobraźni, obrazów zwiedzanych miejsc. Czy ma to być jedynie pospieszenie wykonany obrazek, ów slajd Szymborskiej, czy raczej chodzi o coś bardziej ambitnego, co można będzie nazwać fotografią.

Powie ktoś, iż pytanie takie nie jest do końca uprawnione, a nawet ociera się o absurd, bo przecież, na dobrą sprawę, semantycznie leksemy „zdjęcie” i „fotografia” są, jeśli nie tożsame, to na pewno bardzo bliskie. I będzie miał rację, lecz jednak nie do końca. Bowiem to, co je różni, ma naturę etymologiczną. Wszak „fotografia” wywodzi się od greckiego „photos”, czyli „światło” i „grapho” – „pisać”, i powinna być postrzegana właśnie jako „pisanie światłem”. Przeto, podobnie jak posługiwanie się poprawną polszczyzną, szczególnie w jej pisemnej odmianie, stanowi swego rodzaju sztukę, coraz – jak się zdaje – trudniejszą, tak i tworzenie obrazów za pomocą obiektywu również takim mianem określić wypada. Przynajmniej wówczas, gdy chodzi o coś więcej niż jedynie naciśnięcie migawki.

Z pewnym żalem trzeba powiedzieć, do czego upoważnia wieloletnia już włączęga po świecie, iż także na podróżniczych ścieżkach zaczyna królować selfie. Jaki to przecież nieskomplikowany zabieg unieść aparat lub telefon i oto uśmiechnięta facjata potwierdza, że gdzieś się było i coś widziało. A że – dajmy na to – poruszający w swym pięknie Taj Mahal w Agrze, ów pomnik wielkiej miłości, ledwie wyłania się zza policzka – to już zupełnie inna historia.

Pozwolę sobie w tym miejscu na tezę dyskusyjną, więcej, celowo prowokacyjną. Otóż szalejące selfie z fotografią nie mają wiele wspólnego. Co zatem fotografię tworzy? Jeśli pominąć barwę, nasycenie, balans bieli, ostrość a więc to, nad czym czuwa za nas każdy właściwie współczesny aparat, w zasadzie pozostaną nam dwie kwestie – temat kadru i jego kształt, rozumiane jako obecność planów zdjęciowych, ujętych w ramy kompozycyjne. Wybór tematu to w zasadzie subiektywna decyzja fotografującego, jednak nie będzie uchybieniem stwierdzenie, że w podróży szczególnie wdzięcznym obiektem są – pejzaż, architektura, ludzie oraz flora i fauna. Tu zaś jako dominujące uznać wypada krajobraz i budowlę. Odkrywanie pejzażu, jego czytanie, uświadamianie sobie zmienności zależnej i od perspektywy spojrzenia, i od pory dnia – to wyjątkowo frapująca czynność. Pejzaż ma jedną jeszcze istotną, choć oczywistą cechę – w zasadzie jest nieruchomy, jeżeli pominiemy nasze przemieszczanie się i zmiany kąta widzenia obiektywu. Pozwala to, w miarę posiadanego czasu, na cierpliwe i przemyślane komponowanie kadru w wizjerze lub na ekraniku. Niech będzie na nim jakiś plan pierwszy, na przykład obramowanie z modlitewnych chorągiewek, obecne na moim ujęciu jeziora Jamdrok w Tybecie. A jeżeli do tego aura obdaruje nas magią obłoków, fotografia nabierze głębi i niezwykłego, mistycznego niemal wymiaru.

To, co zostało wcześniej napisane, w znacznym zakresie odnieść można także do architektury. Warto jednak, nie rozwijając szerzej tego wątku, wspomnieć o dwóch sprawach, mających niebagatelny wpływ na klimat kadru. Przede wszystkim ekspresję ujęcia buduje światło, które, zwłaszcza późnym popołudniem, gdy słońce nabiera już pomarańczowego odcienia, przydaje budowlom nowej barwy, często dostrzegalnie odbiegającej od naturalnej. A jeśli dodać do tego wydłużające się z biegiem czasu płaszczyzny cienia, fotografia wręcz tchnie klimatem jakiejś tajemnicy, a już na pewno ociera się o impresjonizm.

Drugim momentem jest tu detal. Wprawdzie naturalną niejako skłonnością fotografującego jest chęć ujęcia całej bryły budowli, lecz nie należą do rzadkości przypadki, iż właśnie szczegół bywa tym, co w zabytku reprezentatywne. Ilustracją tej tezy uczynimy pałac w Blois, jeden z wielu wzniesionych nad brzegami Loary. Ten znamienity przykład kunsztu XVI-wiecznych architektów francuskich postrzegany jest przede wszystkim przez pryzmat charakterystycznej klatki schodowej w tak zwanym skrzydle Franciszka I.

Warto więc, fotografując architekturę, umiejętnie operować zoomem.

Uwaga ta nabiera wyjątkowego znaczenia w odniesieniu do ludzi i zwierząt. Bywa bowiem, że człowiek reaguje niechętnie, a nawet wrogo, na widok zwróconego w swoją stronę obiektywu, a przedstawiciele fauny mają daleko ważniejsze zajęcia niż pozowanie. Dlatego właśnie dobre ujęcia egzotycznych typów ludzkich i mieszkańców odległych gór, lasów czy stepów sprawiają szczególną satysfakcję. W obu przypadkach należy wykazać się jednocześnie i cierpliwością, i refleksem, a także sprytem. Cierpliwość i refleks to w istocie sprzeczność, nie tylko semantyczna, ale też realna, w podróży właśnie. Bywają bowiem momenty, w których wspomniane przymioty są wprost niezbędne. Odwołajmy się do stosownego przykładu.

Atitlan to przepiękne jezioro w Gwatemali, w którego granatowej toni przeglądamy się wulkany. W sennym miasteczku nad jego brzegiem żyją Indianie Kekci, rdzenni mieszkańcy tych terenów. Ludzie ci wierzą, iż robienie zdjęć to rzucanie na nich złych

czarów, dlatego na każdą próbę sfotografowania odwracają głowę lub chowają twarz w fałdach odzieży. Czyni to też starsza kobieta, o wyrazistym obliczu, pokrytym siatką bruzd i zmarszczek. Wiem, że muszę mieć jej portret, że będzie to ozdoba wielu konterfektów utrwalanych w różnych stronach świata. Kobieta, jakby przewidując ten zamiar, odwraca twarz i powoli, wręcz z pewnym dostojeństwem, nieco się oddala. Ten swoisty pojedynek wydaje się przegrany, lecz podejmuję wyzwanie. Przysiadam na murku, zoom na maksimum i czekam, wzrokiem wodząc po okolicznych domostwach. Staruszka pozornie przestała mnie interesować. Wtem nagły impuls – przecież dysponuję uchylnym ekranem. Patrzę więc w szklany prostokąt, niby to sprawdzając wcześniejsze ujęcia. Z wolna głowa kobiety, jeszcze z profilu, wypełnia poletko ekranu, po chwili odwraca się. Cichy dźwięk migawki... I oto jest!

Fotografujemy ludzi, bowiem, co oczywiste, to oni tworzą kulturę krajów oraz ich klimat, toteż udany kadr to wyjątkowy powód do dumy, to również egzamin z pomysłowości i cierpliwości, a także bystrości obserwacji.

Wszystkie te cechy niezbędne są też w przypadku świata zwierząt, zwłaszcza tych egzotycznych. Także tu długi zoom i refleks, współ z uporem przełożą się na sukces – jak choćby w dżungli Mezoameryki, gdzie, podążając za odgłosami wydawanymi przez wyjce, udało się uwiecznić jednego z nich, zawieszzonego gdzieś wysoko, niemal na obłoku.

Na zakończenie tych refleksji, snutych nie przez profesjonalistę, lecz pospolitego fotoamatora, wypada dać wyraz świadomości ich sporej dawki subiektywizmu. Jednak wydaje się, że właśnie ów subiektywizm lub, ujmując rzecz inaczej, indywidualny, głęboko osobisty filtr wrażliwości, przez który postrzegamy lub postrzegać będziemy urodę planety Ziemia, to jedno z najistotniejszych dyspozycji użytkownika aparatu, przekładających się na kształt fotografii.

Chyba, że wystarczy nam selfie.

Spis treści

Drodzy Czytelnicy	3
www.travelbit.pl.....	4
W świecie globtroterów	5
OSOTT 2015	7
Konkurs na relację z wypraw	17
Krzysztof Batycki, Anna Migdał	
Dania – dziwny kraj... czyli rowerami wokół Jutlandii	19
Beata Rujner, Tomasz Cukiernik	
Rumunia i Mołdawia latem	24
Paweł Burchard	
Zimowe Wyspy Kanaryjskie	32
Adam Stępiński	
Ślady biblijne w Izraelu i Jordanii	37
Tomasz Szymkiewicz	
Iran – do trzech razy sztuka	44
Piotr Wiland	
Południowe Indie. Od Goa do Chennai	51
Leszek Czmur	
Indonezja 2015	64
Ewa Flak, Jarosław Kociel	
Borneo – światowe sanktuarium przyrody	85

Ewa Flak, Jarosław Kociel	
Okinawa	99
Tomasz Szymkiewicz	
Republika Zielonego Przylądka – karnawał w Mindelo	109
Danuta Wojciechowska	
Cabo Verde.....	115
Tomasz Szymkiewicz	
Kamerun – niespełnione marzenie	124
Katarzyna Anoszczenko (Zuza), Rafał Robak (Mundi)	
Michigan – road trip po Upper Peninsula (USA)	133
Katarzyna Anoszczenko (Zuza), Rafał Robak (Mundi)	
Kalifornia południowa – road trip późną jesienią	152
Joanna Kusiak	
Meksyk – indiańska fiesta na cześć Matki Boskiej.....	174
Krystyna Olszewska	
Ameryka Środkowa – szlakiem wulkanów	187
Beata i Rafał Gwóźdź	
Brazylia 2015	197
Krzysztof Lisowski	
Peru – trekking w Andach	208
Piotr Wiland	
Boliwia – od La Paz do Santa Cruz	221
Wojciech Pelczar	
Fotografowanie w podróży – w dobie selfie	231